



PATRICIA
CORNWELL

Ostatni posterunek

Prószyński i S-ka

PATRICIA CORNWELL

OSTATNI POSTERUNEK

(THE LAST PRECINCT)

Przełożyła: Maja Lavergne



Prószyński i S-ka

2005

Spis treści

Karta tytułowa

Prolog – po fakcie

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Kilka chwil później

Prolog – po fakcie

Zimny zmierzch o barwie siniaków ustępuje zupełnej ciemności i odczuwam wdzięczność, że zasłony w sypialni są na tyle ciężkie, iż wchłaniają nawet najśłabszy zarys mojej sylwetki, kiedy pakuję torbę. Moje życie nie mogłoby być bardziej oddalone od normalności, niż jest właśnie teraz.

– Chcę drinka – oznajmiam, otwierając szufladę komody. – Chcę rozpalić ogień w kominku, nalać sobie drinka i ugotować makaron. Szerokie wstążki, żółte i zielone, z papryką i kielbasą. *Le pappardelk del cantunzein*. Zawsze marzyłam, by mieć rok urlopu, pojechać do Włoch i naprawdę nauczyć się włoskiego. Żeby mówić, nie tylko znać nazwy potraw. Albo może do Francji. Może wyjadę właśnie w tej chwili – dodaję ze zdwojoną bezsilnością i gniewem. – Mogłabym mieszkać w Paryżu. Z łatwością. – To mój sposób odrzucania Wirginii i wszystkich tutaj.

Pete Marino, kapitan policji miasta Richmond, góruje nad moją sypialnią jak gruba latarnia morska. Ogromne dłonie wcisnął w kieszenie dzinsów. Nie proponuje, że pomoże mi spakować torbę z kostiumami i drugą, podróżną, które leżą otwarte na łóżku – zna mnie tak dobrze, że nawet mu

to nie przychodzi do głowy. Marino może i wygląda na prostaka, mówi i zachowuje się, jakby nim był, ale jest piekielnie bystry, wrażliwy i bardzo spostrzegawczy. Na przykład w tej chwili uprzytamnia sobie prosty fakt: niecałą dobę temu, kiedy księżyc był w pełni, człowiek o nazwisku Jean-Baptiste Chandonne przeszedł po śniegu i podstępem dostał się do mojego domu. Dobrze już znałam jego metody działania, więc mogę sobie wyobrazić, co by ze mną zrobił, gdyby mu się udało. Nie potrafię jednak poddać się szczegółowym anatomicznym obrazom swoich zmasakrowanych zwłok, a nikt nie zdołałby opisać czegoś takiego precyzyjniej niż ja. Jestem patologiem sądowym, mam skończone prawo i pracuję jako naczelny koroner stanu Wirginia. Przeprowadzałam autopsje dwóch kobiet, które Chandonne zabił ostatnio tutaj, w Richmondzie, i przejrzałam akta siedmiu innych, zamordowanych w Paryżu.

Bezpieczniej dla mnie, żebym powiedziała, co zrobił tym ofiarom. Ciężko je pobił, pogryzł im piersi, dłonie i stopy, a potem bawił się ich krwią. Wczoraj wieczorem był uzbrojony w gradzinę, dziwaczne narzędzie używane w kamieniarstwie, z wyglądu podobne do kilofa lub młotka. Wiem dobrze, co taki młotek może zrobić z ludzkim ciałem, bo Chandonne użył owego narzędzia – przypuszczam, że tego samego – do zamordowania swojej drugiej ofiary w Richmondzie, Dianę Bray, którą zabił kilka dni temu, we czwartek.

– Jaki dziś dzień? – pytam kapitana. – Sobota, prawda?

– No. Sobota.

– Osiemnasty grudnia. Tydzień do Bożego Narodzenia. Wesołych świąt.

– Otwieram boczną kieszeń torby na kostiumy.

– No. Osiemnasty grudnia.

Marino obserwuje mnie, jakbym w każdej chwili mogła zrobić coś irracjonalnego. W jego przekrwionych oczach odbija się ostrożność, która

przepełnia cały mój dom. W powietrzu unosi się nieufność, czuję jej smak, jest jak kurz. Wdycham jej zapach jak ozon. Przenika mnie niczym wilgoć. Zgrzyt opon na mokrej nawierzchni, dysonans kroków, głosów i radia tworzą piekielną dysharmonię, podczas gdy stróże prawa nadal okupują mój dom. Zadają mi gwałt. Każdy skrawek mojego schronienia został odsłonięty, każdy aspekt mojego życia obnażony. Mogłabym równie dobrze być nagim ciałem na jednym ze stalowych stołów w prosektorium. Tak więc Marino rozumie, że nie powinien pytać, czy trzeba mi pomóc przy pakowaniu. Och tak, jest dla niego aż nadto jasne, że nie wolno mu nawet pomyśleć o tym, że mógłby dotknąć choć jednej mojej rzeczy, buta, skarpetki, szczotki do włosów, butelki szamponu, najmniejszego drobiazgu. Policja poprosiła, żebym opuściła swój wymarzony, solidny, kamienny dom, który wybudowałam w spokojnej, ogrodowej dzielnicy West End. Pomyśleć tylko. Jestem zupełnie pewna, że Jean-Baptiste Chandonne – *Le Loup Garou*, czyli Wilkołak, jak sam siebie nazywa – jest traktowany lepiej niż ja. Takim jak on zapewnia się wszelkie wyobrażalne prawa obywatelskie: wygodę, prywatność, darmowy pokój, darmowe jedzenie i picie i bezpłatną opiekę lekarską na oddziale sądowym Akademii Medycznej stanu Wirginia, gdzie jestem jednym z wykładowców.

Marino od dwudziestu czterech godzin nie wykąpał się ani nie położył. Kiedy przechodzę obok niego, czuję ohydny odór ciała Chandonne'a i dopadają mnie mdłości, torsje skręcają mi żołądek, unieruchamiając mózg i sprawiając, że oblewam się zimnym potem. Prostuję się i oddycham głęboko, żeby odpędzić halucynację zapachową, a moją uwagę przyciąga zwalniający za oknem samochód. Nauczyłam się rozpoznawać najmniejsze przerwy w ruchu ulicznym i wiem, kiedy oznaczają, że ktoś zamierza zaparkować przed domem. To rytm, w który wsłuchiwałam się godzinami. Ludzie się gapią. Ciekawscy sąsiedzi przystają na środku ulicy. Zataczam

się odurzona niesamowitymi uczuciami, w jednej chwili jestem zaszokowana, w następnej przerażona. Miotam się między wyczerpaniem a pobudzeniem, od depresji do spokoju, a pod spodem pieni się podniecenie, jakby moją krew wypełniał gaz.

Sprzed domu dobiega odgłos zamykanych drzwiczek samochodu.

– A teraz co znowu? – warczę. – Kto tym razem? FBI? – Otwieram kolejną szufladę. – Marino, mam dość. – Robię gest oznaczający „odpieprzcie się”. – Zrób coś, żeby wyszli z mojego domu. Wszyscy. Już. – Wściekłość oślepia mnie jak miraż nad rozgrzaną jezdnią. – Żebym mogła skończyć się pakować i wynieść stąd. Czy nie mogą zaczekać, aż wyjdę? – Trzęsącymi się rękami wybieram skarpetki. – Wystarczy, że sterczą na podwórzu. – Wrzucam kilka par do torby. – Wystarczy, że w ogóle tu są. – Jeszcze jedno. – Mogą wrócić, jak mnie już tu nie będzie. – Rzucam kolejną parę, nie trafiam i schylam się, żeby ją podnieść. – Mogą przynajmniej pozwolić mi przejść przez mój własny dom. – Jeszcze jedna para. - I pozwolić mi wyjść w spokoju i bez rozgłosu. – Wkładam następne skarpetki z powrotem do szuflady. – Czemu, do cholery, panoszą się w mojej kuchni? – Zmieniam zdanie i ponownie wyjmuję te, które dopiero co odłożyłam. – Czego szukają w gabinecie? Powiedziałam im, że tam nie wchodził.

– Musimy się rozejrzeć. – To wszystko, co Marino ma do powiedzenia na ten temat.

Siada w nogach łóżkach i to też jest niewłaściwe. Mam ochotę mu powiedzieć, żeby wstał i wyszedł z sypialni. Z trudem udaje mi się nie wyprosić go z domu i z mojego życia. Nieważne, jak dawno go znam i ile razem przeszliśmy.

– Jak łokieć? – Wskazuje na gips unieruchamiający moją lewą rękę niczym rura.

- Jest pęknięty. Boli jak cholera. – Zbyt mocno zamykam szufladę.
- Bierzesz lekarstwa?
- Przeżyję. Obserwuje mnie.
- Powinnaś brać to, co ci przepisali.

Nagle zamieniliśmy się rolami. Ja się zachowuję jak chamski gliniarz, a on jest logiczny i spokojny niczym lekarz-prawnik, którym niby mam być ja. Idę z powrotem do wykładanej drewnem cedrowym szafy, zaczynam wyjmować bluzki i układać je w torbie z kostiumami. Upewniam się, że górne guziki są zapięte, wygładzam prawą ręką jedwab i bawełnę. Lewy łokieć pulsuje jak bolący ząb, ciało pod gipsem poci się i swędzi. Większość dnia spędziłam w szpitalu – nie dlatego, że założenie gipsu na pękniętą kończynę jest długim zabiegiem, ale dlatego, że lekarze uparli się, aby mnie dokładnie zbadać i sprawdzić, czy nie mam innych obrażeń. Powtarzałam wyjaśnienia, że uciekając z własnego domu, spadłam z frontowych schodów i pękł mi łokieć, to wszystko, a Jean-Baptiste Chandonne nie miał żadnej szansy, by mnie tknąć. Uciekłam i wszystko jest w porządku, powtarzałam podczas prześwietlenia i potem. Personel szpitala zatrzymał mnie na obserwację aż do późnego popołudnia, a detektywi wchodzili i wychodzili. Zabrali mi ubranie. Moja siostrzenica Lucy musiała mi przywieźć inne rzeczy do włożenia. Nie spałam w ogóle.

Dźwięk telefonu przebija powietrze jak folię. Podnoszę słuchawkę aparatu przy łóżku.

– Doktor Scarpetta – mówię i fakt wymienienia własnego nazwiska przypomina mi telefony w środku nocy, kiedy jakiś detektyw dzwoni ze złą wiadomością, z informacją o czyjejś śmierci. To zwykłe, urzędowe zgłoszenie przywołuje obraz, którego dotychczas udawało mi się uniknąć: moje zmasakrowane ciało na łóżku, zbryzgany krwią pokój – właśnie ten – mój zastępca odbierający telefon i wyraz jego twarzy, kiedy policja –

prawdopodobnie Marino – mówi mu, że zostałam zamordowana i ktoś, Bóg wie kto, musi zająć się oględzinami miejsca zbrodni. Przychodzi mi do głowy, że niemożliwe, aby to zrobił ktoś z mojego biura. Pomogłam Wirginii w opracowaniu najlepszego w całym kraju planu działania na wypadek klęski. Umielibyśmy poradzić sobie z wielką katastrofą lotniczą, bombardowaniem centrum miasta czy z powodzią, ale co by zrobili, gdyby coś się stało mnie? Sprowadziliby patologa z najbliższego okręgu sądowego, pewnie z Waszyngtonu. Problem w tym, że znam niemal wszystkich patologów sądowych na wschodnim wybrzeżu i było mi strasznie żal tego, który musiałby się zajmować moimi zwłokami. Bardzo trudno jest pracować nad sprawą, jeśli się znało ofiarę. Takie myśli przelatują mi przez głowę jak spłoszone ptaki, kiedy Lucy pyta przez telefon, czy czegoś nie potrzebuję, a ja ją zapewniam, że czuję się dobrze, co jest absolutnie śmieszne.

– Przecież nie możesz dobrze się czuć – zauważa.

– Pakuję się. Jest ze mną Marino, a ja się pakuję – powtarzam swoje, opowiadając jej dokładnie, co robię. Moje spojrzenie zastyga na kapitanie. Rozgląda się wokół, a mnie przychodzi nagle do głowy, że nigdy przedtem nie był w mojej sypialni. Nie chcę sobie wyobrazać jego fantazji. Znam go od wielu lat i wiem, że jego szacunek dla mnie jest silnie zabarwiony niepewnością i pociągami fizycznym. Marino, zwałiste chłopisko z brzuchem wydętym od piwa, ma dużą, naburmuszoną twarz. Jego włosy nieokreślonego koloru w nieładny sposób przeniosły się z głowy na inne części ciała. Słucham głosu Lucy, a oczy Marina lustrują moją prywatną przestrzeń: toaletkę, szafy, otwarte szuflady, to, co pakuję, i moje piersi. Kiedy Lucy przywiozła mi do szpitala tenisówki, skarpetki i dres, nie pomyślała o biustonoszu, a najlepszym pomysłem, jaki mi przyszedł do

głowy po powrocie ze szpitala, było włożenie starego, obszernego fartucha laboratoryjnego, który noszę, kiedy coś robię w domu.

– Pewnie cię tam nie chcą – brzmi głos Lucy w słuchawce.

To długa historia, ale moja siostrzenica pracuje w Agencji do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej (ATF) i policja, przyjechawszy, starała się jak najszybciej pozbyć Lucy z mojej posesji. Może trochę wiedzy jest rzeczą niebezpieczną i obawiali się, że ważna agentka federalna włączy się w dochodzenie. Nie wiem, czy Lucy nie czuje się winna, bo nie było jej przy mnie wczoraj wieczorem i wtedy omal nie zostałam zamordowana, a teraz znów się mną nie zajmuje. Powiedziałam wyraźnie, że nie mam do niej najmniejszych pretensji. Ale i ja nie mogę przestać się zastanawiać, o ile inaczej wyglądałoby moje życie, gdyby zamiast zajmować się przyjaciółką, była ze mną, kiedy pojawił się Chandonne. Może zbrodniarz zorientowałby się, że nie jestem sama, i trzymałby się od nas z daleka, albo byłby zaskoczony, widząc drugą osobę i uciekłby spod drzwi, albo może odłożyłby zamordowanie mnie do jutra lub na kolejny dzień albo na Boże Narodzenie, albo na nowe tysiąclecie.

Pakuję się, słuchając zdyszanych wyjaśnień Lucy w bezprzewodowym telefonie i kiedy przechodzę przed lustrem, napotykam swoje odbicie. Moje krótkie jasne włosy są potargane, niebieskie oczy szkliste i zapuchnięte z wyczerpania i stresu, rysy ściągnięte grymasem, który jest w połowie wyrazem złości, a w połowie chęcią płaczu. Stary, poplamiony fartuch nie wskazuje na moje kierownicze stanowisko. Jestem bardzo blada.

Ochota na drinka i papierosa staje się tak silna, że niemal nie do zniesienia, jak gdyby to, że omal mnie nie zamordowano, natychmiast przemieniło mnie w narkomankę. Wyobrażam sobie, że jestem sama we własnym domu. Nic się nie stało. Rozkoszuję się ogniem na kominku, papierosem, kieliszkiem wina, może bordeaux, bo jest lżejsze niż burgund.

Bordeaux to cudowny, stary przyjaciel, którego nie trzeba rozszyfrowywać. Rozpraszam tę fantazję, przypominając sobie fakty: nieważne, co Lucy zrobiła, a czego nie, Chandonne i tak w końcu przyszedłby mnie zabić. Czuję się tak, jakby przez całe życie czekał na mnie jakiś koszmarny wyrok, rysując znak na moich drzwiach, niby Anioł Śmierci. Dziwnym trafem wciąż żyję.

Rozdział 1

Po głosie Lucy poznaję, że się boi. Rzadko się zdarza, żeby moja wspaniała siostrzenica, pilotka helikoptera, silna kobieta z obsesją na punkcie sprawności fizycznej, agentka federalna, czegoś się obawiała.

– Naprawdę czuję się okropnie – powtarza znowu. Marino nadal siedzi na moim łóżku, a ja chodzę tam i z powrotem.

– Nie powinnaś – mówię. – Policja nie chce tu nikogo i wierz mi, nie potrzeba cię tu. Pewnie jesteś u Jo i to dobrze. – Mówię tak, jakby to było dla mnie bez różnicy, jakby nie martwiło mnie to, że jej tu nie ma i że nie widziałam jej cały dzień. Owszem, robi mi to różnicę. Ale mój stary zwyczaj to dawać ludziom możliwość wycofania się. Nie lubię być odtrącana, szczególnie przez Lucy Farinelli, którą wychowałam jak własną córkę.

Waha się chwilę z odpowiedzią.

– Prawdę mówiąc, jestem w centrum, w Jeffersonie.

Próbuję się w tym połapać. Jefferson to najekskluzywniejszy hotel w mieście, a nie wiem, po co Lucy w ogóle miałyby się zatrzymywać w hotelu, tym bardziej w takim eleganckim i drogim. Łzy napływają mi do oczu. Powstrzymuję je siłą.

– Och – mówię tylko – to dobrze. Pewnie Jo jest tam z tobą.

– Nie, została ze swoją rodziną. Słuchaj, właśnie się wprowadziłam. Mam dla ciebie pokój. Może po ciebie przyjadę?

– Hotel to chyba nie jest teraz najlepszy pomysł. – Pomyślała o mnie i chce, żebym była obok. Czuję się trochę lepiej. – Anna zaprosiła mnie do siebie. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, myślę, że najlepiej będzie, jeśli do niej pojadę. Ciebie też zaprosiła. Ale pewnie już się zainstalowałaś.

– A skąd Anna się o tym dowiedziała? – pyta Lucy. – Usłyszała w wiadomościach?

Ponieważ do zamachu na moje życie doszło późno wieczorem, gazety napiszą o tym dopiero jutro rano. Ale spodziewam się, że było mnóstwo informacji w radiu i telewizji. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, nie wiem, skąd Anna wie. Lucy mówi, że w tej chwili nie może się ruszyć, spróbuje jednak wpaść później wieczorem. Odkładamy słuchawki.

– Media się dowiedzą, że jesteś w hotelu, tylko tego ci teraz trzeba. Reporterzy będą za każdym krzakiem – mówi Marino, marszcząc brwi. Wygląda okropnie. – Gdzie się zatrzymała Lucy?

Powtarzam to, co mi powiedziała i prawie żałuję, że z nią rozmawiałam. Tyle zyskałam, że czuję się teraz jeszcze gorzej. W porządku, jestem w potrzasku, jak gdybym się znalazła w dzwonie do nurkowania, głęboko pod powierzchnią oceanu, odcięta od butli z powietrzem, z zawrotami głowy, a świat nade mną stał się nagle nierozpoznawalny i surrealistyczny. Jestem otępiała, a jednak każdy mój nerw płonie.

– W Jeffersonie? – pyta Marino. – Chyba żartujesz! Wygrała na loterii czy co? Nie martwi się, że i ją znajdą media? Co jej się stało, do cholery?

Wracam do pakowania. Nie umiem odpowiedzieć na pytanie mojego przyjaciela. Czuję się już taka zmęczona wszystkimi pytaniami.

– I nie jest razem z Jo – ciągnie. – Hm, ciekawe. Nigdy nie wierzyłem, że to będzie trwało.

Ziewa głośno i trze dłonią swą grubo ciosaną, nieogoloną twarz; patrzy, jak przewieszam kostiumy przez oparcie krzesła, wybierając te, w których będę chodzić do pracy. Trzeba mu oddać sprawiedliwość – stara się być spokojny, a nawet delikatny, od kiedy wróciłam ze szpitala do domu. Przyzwoite zachowanie przychodzi mu z trudem nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach, a obecne z pewnością do takich nie należą. Jest spięty, niewyspany, napędza się kofeiną i byle jakim jedzeniem, a ja nie pozwalałam mu zapalić. To tylko kwestia czasu, kiedy straci panowanie nad sobą i znów stanie się niegrzeczny i arogancki. Jestem świadkiem jego przeobrażenia i w jakiś dziwny sposób znajduję w tym ulgę. Rozpaczliwie potrzebuję rzeczy znanych, choćby nie wiem jak nieprzyjemnych. Marino zaczyna mówić o tym, co Lucy zrobiła wczoraj wieczorem, kiedy podjechała pod dom i znalazła Chandonne’a i mnie na zaśnieżonym podwórku.

– Hola, wcale jej nie potępiam, że chciała rozwalić mu łeb. – Marino częstuje mnie swoim komentarzem. – Ale tu się właśnie powinno sprawdzić szkolenie. Nieważne, czy chodzi o twoją ciotkę czy dziecko, masz robić to, czego cię nauczono, a ona tego nie zrobiła. Za cholere. Odbiło jej.

– Parę razy w życiu widziałam, jak tobie też odbiło – przypominam mu.

– No, moim zdaniem nigdy nie powinni byli kierować jej do tych tajnych zadań w Miami. – Lucy została przydzielona do terenowego biura FBI w Miami, a tu, poza wszystkim innym, przyjechała na wakacje. – Czasem ludzie są zbyt blisko przestępców i zaczynają się z nimi utożsamiać. Lucy jest teraz nastawiona na zabijanie. Spodobało jej się pociąganie za cyngiel, moja pani doktor.

– Jesteś niesprawiedliwy. – Widzę, że zapakowałam zbyt wiele butów. – Przyznaj się uczciwie, co byś zrobił, gdybyś tu przyjechał przed nią? – Przerwywam pakowanie i patrzę na niego.

– Przynajmniej bym się zatrzymał na ułamek sekundy, żeby ocenić sytuację, zanim bym podszedł i przyłożył temu dupkowi lufę do skroni. Psiakrew. Facet był tak upieprzony, że nawet nie widział, co robi. Darł się jak opętany, bo mu chlusnęłaś w oczy tym chemicznym gównem. Nie był uzbrojony, więc nikomu nie mógł zrobić krzywdy. To było od razu jasne. Więc gdybym przyjechał, zadzwoniłbym po karetkę, a Lucy nawet o tym nie pomyślała. Jest nieobliczalna, Kay. Nie, nie chciałem, żeby tu została, dlatego przesłuchaliśmy ją w komisariacie, zeznawała w neutralnym miejscu, aby mogła się uspokoić.

– Nie uważam pokoju przesłuchań za miejsce neutralne – zauważam.

– No, ale przebywanie w domu, gdzie omal nie zamordowano jej ciotki Kay, też jest niezupełnie neutralne.

Nie sprzeciwiam mu się, choć jego ton zatruty jest sarkazmem. Zaczynam mieć tego dosyć.

– Tak czy owak, nie podoba mi się to, że akurat teraz jest w tym hotelu – dodaje, znowu trąc twarz. Cokolwiek by powiedział, wysoko ceni moją siostrzenicę i nie ma rzeczy, której by dla niej nie zrobił. Zna Lucy od czasu, kiedy miała dziesięć lat i to on zaznajamiał ją z ciężarówkami, silnikami, bronią i różnymi tak zwanymi męskimi sprawami, których obecność w jej życiu teraz krytykuje. – Może zajrzę do tej smarkuli, jak już cię odwiozę do Anny. Nie żeby kogoś obchodziły moje uczucia. – Wraca myślą do niedawnych wydarzeń. – Taki Jay Talley. Oczywiście to nie mój interes. Egocentryczny palant.

– Czekał na mnie cały czas w szpitalu – bronię Jaya kolejny raz, przekłuwając balon jawnej zazdrości Marina. Jay jest łącznikiem ATF

w Interpolu. Nie znam go dobrze, ale przespałam się z nim cztery dni temu w Paryżu. – A trzymali mnie tam trzynaście czy czternaście godzin – ciągnę.

Marino przewraca oczami.

– Jezu! – wybucha. – Od kogo słyszałaś tę bajkę? – W jego oczach płonie niechęć. Gardzi Jayem od pierwszej chwili, kiedy go zobaczył we Francji. – To nie do wiary. Pozwolił, żebyś myślała, że cały czas był w szpitalu? Wcale tam nie siedział! To kompletna bzdura. Zawiózł cię do izby przyjęć na swoim pieprzonym białym koniu i wrócił prosto tutaj. Potem zadzwonił do szpitala, żeby się dowiedzieć, kiedy wychodzisz, wślizgnął się tam i odebrał cię, jakby cały czas warował przy drzwiach.

– Zupełnie słusznie. – Nie okazuję konsternacji. – Nie ma sensu siedzieć beczynnienie. I wcale nie powiedział, że cały czas tam był. Ja tak pomyślałam.

– Dobra, ale dlaczego? Bo pozwolił ci tak uważać. Pozwolił ci wierzyć w coś, co nie jest prawdą i to cię nie martwi? U mnie nazywa się to skazą charakteru. Kłamstwem. Czego tam? – Gwałtownie zmienia ton. Ktoś stoi w drzwiach.

Policjantka w mundurze, z identyfikatorem, na którym widnieje nazwisko M. I. Calloway, wchodzi do mojej sypialni.

– Przepraszam – zwraca się wprost do Marina. – Panie kapitanie, nie wiedziałam, że pan tu wrócił.

– No to teraz już wiesz. – Marino rzuca jej pełne złości spojrzenie.

– Doktor Scarpetta? – Jej szeroko otwarte oczy przeskakują jak piłeczki pingpongowe tam i z powrotem z kapitana na mnie. – Muszę panią zapytać o ten słoik. Gdzie ten słoik ze środkiem chemicznym, z formaliną...

– Z formaliną – poprawiam ją spokojnie.

– Właśnie. Dokładnie, znaczy gdzie dokładnie stał ten słoik, kiedy pani go złapała?

Marino nadal siedzi w nogach łóżka, jakby był u siebie. Zaczyna sięgać po papierosy.

– Na stoliku do kawy w salonie – odpowiadam. Już to wszystkim mówiłam.

– Tak, proszę pani, ale gdzie na stoliku? Jest dość duży. Bardzo mi przykro, że muszę panią tym niepokoić. Staramy się odtworzyć, jak to się stało, bo później będzie trudniej wszystko sobie przypomnieć.

Marino powoli wytrząsa lucky strike'a z paczki.

– Calloway? – Nawet na nią nie patrzy. – Od kiedy jesteś detektywem? Nie przypominam sobie, żebyś była w oddziale A. – W policji w Richmondzie Marino jest dowódcą jednostki zajmującej się morderstwami, potocznie nazywanej oddziałem A.

– Po prostu nie byliśmy pewni, gdzie stał ten słoik, panie kapitanie. – Jej policzki płoną.

Prawdopodobnie gliny uznały, że kobieta, która przyjdzie mnie przesłuchać, wyda się nam mniejszym intruzem niż mężczyzna. Może koledzy przysłali ją tu z tego właśnie powodu, a może przydzielono jej to zadanie po prostu dlatego, że nikt inny nie chciał się mieszać w nic, co wiąże się z moją osobą.

– Kiedy się wchodzi do salonu i stoi twarzą do stolika, prawy róg jest najbliższy patrzącego – wyjaśniam. Już to mówiłam wiele razy. Nic nie jest jasne. To, co się wydarzyło, jest zamazanym, niewyraźnym wywróceniem rzeczywistości.

– I tam mniej więcej pani stała, kiedy chlusnęła pani w niego chemikaliami? – pyta funkcjonariuszka Calloway.

– Nie. Byłam po drugiej stronie kanapy. Obok rozsuwanych szklanych drzwi. Gonił mnie i właśnie tam się znalazłam – wyjaśniam.

– A potem od razu wybiegła pani z domu...? – Policjantka wykreśla coś, co zapisała w niedużym bloczku.

– Przez jadalnię – wpadam jej w słowo. – Tam leżał mój pistolet, zostawiłam go przypadkiem na stole wcześniej tego samego wieczora. Przyznaję, że to nie było właściwe miejsce. – Moje myśli błądzą. Czuję się tak, jakbym miała potężnego kaca. – Wpadłam w panikę i wybiegłam przez frontowe drzwi z glockiem w rękę. Ale poślizgnęłam się na lodzie, upadłam i pękł mi łokieć. Nie mogłam odciągnąć bezpiecznika jedną ręką.

Calloway zapisuje także i to. Moja opowieść jest wymęczona i niezmienna. Jeśli przyjdzie mi opowiedzieć wszystko jeszcze raz, mogę przestać zachowywać się racjonalnie, a jeszcze żaden gliniarz na tej planecie nie widział mnie w takim stanie.

– Nie wystrzeliła pani? – Patrzy na mnie i zwilża wargi.

– Nie mogłam odbezpieczyć glocka.

– W ogóle nie próbowała pani strzelić?

– Nie wiem, co pani rozumie przez próbę. Nie mogłam go odbezpieczyć.

– Ale próbowała pani?

– Potrzebujesz tłumacza, czy co? – wybucha Marino. Złowieszcze spojrzenie, które kieruje na M. I. Calloway przypomina czerwony punkt celownika optycznego, kierującego się na ciało ofiary, zanim dosięgnie jej kula. – Broń nie była odbezpieczona, a doktor Scarpetta nie wystrzeliła, zrozumiałaś? – powtarza powoli i niegrzecznie. – Ile jest naboji w magazynku? – To pytanie kieruje do mnie. – Osiemnaście? To glock, siedemnastka, więc ma osiemnaście naboji w magazynku i jeden w komorze. Zgadza się?

– Nie wiem – odpowiadam. – Chyba nie osiemnaście, na pewno nie. Trudno załadować aż tyle, bo sprężyna w magazynku ciężko chodzi.

– No tak, no tak. Pamiętasz, kiedy ostatnio z niego strzelałaś?

– Jak byłam na strzelnicy. Ładnych parę miesięcy temu.

– Zawsze czyścisz potem pistolet, prawda? – To stwierdzenie, nie pytanie. Marino zna moje zwyczaje i rutynowe zachowania.

– Tak. – Stoję pośrodku sypialni, mrużąc oczy. Boli mnie głowa, a światło drażni oczy.

– Widziałaś pistolet, Calloway? To znaczy, zbadałaś go, prawda? – Ponownie przebija ją wzrokiem jak laserem. – Więc co jest grane? – Macha ręką w jej stronę, jakby opędzał się od czegoś głupiego i dokuczliwego. – Powiedz, co stwierdziłaś.

Policjantka się waha. Czuję, że nie chce ujawnić informacji w mojej obecności. Pytanie Marina wisi ciężko w powietrzu, jak wilgoć, która zaraz się skropli. Decyduję się na dwie spódnice, granatową i szarą i przewieszam je przez krzesło.

– W magazynku jest czternaście naboji – mówi w końcu oficjalnym tonem. – Żadnego nie było w komorze. Pistolet nie został odbezpieczony. I wygląda na czysty.

– Proszę, proszę. Więc nie był odbezpieczony i nikt z niego nie strzelał. „Była ciemna noc, szalała burza, a trzech Indian siedziało w obozie przy ognisku...”. Mamy tak chodzić w kółko, czy możemy, do kurwy nędzy, pójść dalej? – Marino poci się, jego zapach nabiera intensywności.

– Proszę posłuchać, nie mam nic więcej do dodania – mówię. Nagle jestem na krawędzi łez, robi mi się zimno, drzę i znowu czuję okropny smród Chandonne’a.

– A dlaczego miała pani w domu ten słoik? I co dokładnie w nim było? To, czego używa pani w kostnicy, tak? – Funkcjonariuszka Calloway staje

tak, żeby Marino znalazł się poza linią jej wzroku.

– Formalina. Dziesięcioprocentowy roztwór formaldehydu, nazywany potocznie formaliną – wyjaśniam. – Używa się go w kostnicy do konserwowania tkanek. Wycinków narządów. W tym wypadku skóry.

Chlusnęłam drugiemu człowiekowi w oczy żrącą substancją. Może na zawsze go oślepiłam. Wyobrażam go sobie, przywiązanego do łóżka na więziennym oddziale, na dziewiątym piętrze Akademii Medycznej stanu Wirginia. Ocalałam własne życie i nie odczuwam z tego powodu żadnej satysfakcji. Czuję się jedynie wykończona.

– Więc miała pani w domu ludzką tkankę. Skórę. Tatuaz. Z tego niezidentyfikowanego ciała w porcie? Z kontenera? – Dźwięk jej głosu, pstryknięcie długopisu, szelest kartek przypominają mi reporterów. – Nie chcę sprawiać wrażenia nierozgarniętej, ale po co trzymała pani to w domu?

Wyjaśniam, że były duże trudności z identyfikacją zwłok znalezionych w porcie. Nie mieliśmy naprawdę nic oprócz tatuazu i w zeszłym tygodniu pojechałam, żeby pokazać ten wzór specjalście. Potem wróciłam wprost do domu i dlatego fragment skóry z tatuazem, w słoiku z formaliną, był wczoraj wieczorem w moim domu.

– Normalnie nie miałabym czegoś takiego u siebie – dodaję.

– Trzymała to pani w domu przez tydzień? – pyta policjantka z powątpiewaniem.

– Dużo się działo przez ten czas. Zamordowano Kim Luong. W strzelaninie w Miami omal nie zginęła moja siostrzenica. Musiałam wyjechać do Lyonu, do Francji. Chciał się ze mną widzieć ktoś z centrali Interpolu, żeby porozmawiać o siedmiu kobietach, które on – mam na myśli Chandonne'a – prawdopodobnie zamordował w Paryżu i o podejrzeniu, że trup w kontenerze to Thomas Chandonne, brat zabójcy, a obaj są synami

szefa przestępczego kartelu Chandonne'ów, z którym walczy od zawsze wymiar sprawiedliwości na całym świecie. Potem została zamordowana Diane Bray, zastępczyni policji. Czy powinnam była zwrócić tatuaż do kostnicy? – Głowa mi pęka. – Tak, z pewnością. Ale musiałam myśleć o wielu innych sprawach. Po prostu zapomniałam. – Jestem dla niej prawie nieuprzejma.

– Po prostu pani zapomniała – powtarza funkcjonariuszka Calloway, a Marino słucha z rosnącą furią. Stara się pozwolić jej robić, co do niej należy, jednocześnie traktując ją z pogardliwą protekcjonalnością.

– Doktor Scarpetta, czy ma pani w domu jakieś inne części ciała? – pyta Calloway.

Przenikliwy ból przeszywa mi prawe oko. Zaczyna się migrena.

– Co to jest, kurwa, za pytanie? – Głos Marina podnosi się o następny decybel.

– Prawdę mówiąc, nie chciałabym, żebyśmy się znowu natknęli na płyny ustrojowe czy inne chemikalia, czy...

– Nie, nie mam. – Potrząsam głową i skupiam uwagę na stosie porządnie złożonych spodni i koszulek polo. – Tylko przezrocza.

– Przezrocza?

– Do histologii – tłumaczę mętnie.

– Do czego?

– Calloway, dosyć! – Marino podnosi się z łóżka; jego słowa są jak uderzenia młotka.

– Chcę się tylko upewnić, że nie musimy się obawiać żadnego innego zagrożenia – odpowiada, a jej rozognione policzki i błysk w oczach nie pasują do oficjalnego tonu podwładnej.

– Jedyne zagrożenie, jakie może was niepokoić, stoi przed tobą – rzuca Marino. – A gdyby tak dać pani doktor trochę spokoju, trochę ulgi od

kretyńskich pytań?

M. I. Calloway jest nieatrakcyjną kobietą o okrągłej twarzy, z szerokimi biodrami i szerokimi barkami jak u mężczyzny. Spięta teraz ze złości i zażenowania, odwraca się i wychodzi z mojej sypialni. Perski chodnik w korytarzu tłumi odgłos jej kroków.

– Co ona sobie wyobraża? Że zbierasz trofea czy co? – zwraca się do mnie Marino. – Przynosisz do domu pamiątki? Jezu Chryste!

– Więcej tego nie zniosę. – Wpycham starannie złożone koszulki polo do torby.

– Będziesz musiała. Ale niekoniecznie dzisiaj. – Zmęczony, siada znowu w nogach mojego łóżka.

– Trzymaj swoich detektywów z daleka ode mnie – ostrzegam go. – Nie chcę widzieć ani jednego gliniarza więcej. Nie zrobiłam nic złego.

– Jeśli będą jeszcze czegoś chcieli, będą musieli przejść przeze mnie. Ja prowadzę to śledztwo, nawet jeśli tacy ludzie jak Calloway jeszcze tego nie rozumieją. Niestety, nie jestem jedynym człowiekiem, który się tym interesuje. To tak jak „weź numererek” w kolejce w delikatesach, tyle osób koniecznie chce z tobą rozmawiać.

Kładę spodnie na koszulkach polo, a potem zmieniam kolejność, żeby koszulki się nie pogniotły.

– Oczywiście znacznie więcej osób chce rozmawiać z nim. – Ma na myśli Chandonne’a. – Wszyscy ci specjaliści od portretów psychologicznych i psychiatrzy sądowi, i media, i cholera wie kto jeszcze.

Przerywam pakowanie. Nie chcę wybierać bielizny pod okiem Marina. Odmawiam przebierania w przyborach toaletowych w jego obecności.

– Muszę zostać na kilka minut sama – oznajmiam.

Wpatruje się we mnie, ma przekrwione oczy i twarz koloru czerwonego wina. Nawet jego łysiejąca głowa jest czerwona. Wygląda nieporządnie, ma

na sobie dżinsy i bluzę, brzuch mu sterczy jak w dziewiątym miesiącu ciąży, nosi ogromne i brudne buciska. Widzę jego proces myślowy. Nie chce innie zostawić samej i wygląda, jakby rozważał problemy, którymi się ze mną nie dzieli. Mój umysł wypełnia paranoidalna myśl jak ciemny dym. Marino mi nie ufa. Może sądzi, że chcę popełnić samobójstwo.

– Słuchaj, proszę, czy możesz stanąć na zewnątrz i nie wpuszczać tu nikogo, dopóki nie skończę? Albo idź do mojego samochodu i wyjmij z bagażnika torbę lekarską. Gdyby mnie dokądś wezwano... no, będzie mi potrzebna. Kluczyki są w szufladzie w kuchni, w górnej, po prawej stronie, tam gdzie trzymam wszystkie klucze. Proszę. Zaraz, przecież potrzebny mi będzie samochód. Chyba po prostu wezmę swój, więc można jednak zostawić w nim torbę.

Marino się waha.

– Nie możesz wziąć samochodu.

– Psiakrew! – wybucham. – Nie mów mi, że muszą zbadać mój samochód. To bzdura.

– Chwileczkę. Alarm włączył się wczoraj pierwszy raz, gdy ktoś usiłował się włamać do garażu. «

– Co to znaczy „ktoś”? – odpieram. Migrena atakuje mi skronie i mąci wzrok. – Wiemy dokładnie, kto. Otworzył siłą drzwi do garażu, bo chodziło mu o to, żeby alarm się włączył. Chciał, aby się pojawiła policja. Pewnie dlatego, żeby nie wyglądało dziwnie, jak policja pojawi się ponownie, wezwana jakoby przez sąsiada, który zauważył, że ktoś się kręci koło mojej posesji. To właśnie Jean-Baptiste Chandonne pojawił się ponownie, udając policjanta. Ciągle nie mogę uwierzyć, że dałam się nabrać.

– Nie mamy jeszcze odpowiedzi na wszystkie pytania – oświadcza Marino.

– Dlaczego nie mogę się pozbyć wrażenia, że mi nie wierzysz?

– Powinnaś pojechać do Anny i położyć się spać.

– Nie dotykał samochodu – zapewniam. – W ogóle nie wszedł do garażu. Nie chcę, żeby ktokolwiek dotykał mojego samochodu. Chcę nim pojechać dziś wieczór. Proszę po prostu zostawić torbę w bagażniku.

– Dziś wieczór nie. – Marino wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

Rozpaczliwie chce mi się drinka, żeby wyciszyć elektryczne kolce w centralnym układzie nerwowym, ale cóż mogę zrobić? Podejść do barku i powiedzieć gliniarzom, aby się zabrali w cholerę i zeszli mi z drogi, dopóki nie znajdę szkockiej? Świadomość, że alkohol prawdopodobnie nie pomoże mi na ból głowy, nie robi na mnie wrażenia. Czuję się tak podle w swojej skórze, że jest mi wszystko jedno, co mi teraz zaszkodzi, a co nie. W łazience kopię w kolejnych szufladach i wysypuję szminki na podłogę. Toczą się między wannę a sedes. Schylam się niepewnie, by je podnieść, niezdarnie sięgając prawą ręką, co jest o tyle trudniejsze, że jestem leworęczna. Przez chwilę zastanawiam się nad perfumami, ustawionymi równo na toaletce, i delikatnie ujmuję niedużą, złotą metalową buteleczkę. Hermes 24 Faubourg. Czuję jej chłód w dłoni. Zbliżam ją do nosa i korzenny, erotyczny zapach, za którym przepadał Benton Wesley, sprawia, że łzy napływają mi do oczu i czuję się tak, jakby moje serce miało przestać bić. Nie używałam tych perfum ani razu od ponad roku, od kiedy Benton został zamordowany. Teraz zamordowano mnie, mówię mu w myślach. I nadal żyję, Benton, nadal żyję. Zajmowałeś się w FBI tworzeniem portretów psychologicznych, byłeś specjalistą od rozbierania na części psychiki potworów, interpretowania i przewidywania ich zachowań. Byłbyś przewidział, na co się zanosi, prawda? Przewidział i zapobiegł, prawda? Dlaczego cię tu nie ma, Benton? Nic by mi się nie stało, gdybyś tu był.

Uświadamiam sobie, że ktoś puka do drzwi sypialni.

– Chwileczkę! – wołam, odkasłuję i wycieram oczy. Obmywam twarz zimną wodą i wkładam perfumy do torby. Idę do drzwi, spodziewając się zobaczyć Marina. Zamiast niego wchodzi Jay Talley w mundurze polowym ATS i z jednodniowym zarostem, dzięki któremu jego uroda bruneta staje się niebezpieczna. Jest jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich znam, ma ciało jak piękna rzeźba, zmysłowość bije z niego wszystkimi porami niczym zapach piżma.

– Chciałem sprawdzić, jak się czujesz. – Wbija we mnie palący wzrok. Jego oczy zdają się dotykać mnie i przenikać, tak jak cztery dni temu we Francji robiły to jego ręce i usta.

– Co ci mam powiedzieć? – Wpuszczam go do sypialni i nagle czuję się skrępowana swoim wyglądem. Nie chcę, żeby mnie oglądał w takim stanie. – Muszę się wynieść z własnego domu. Zaraz jest Boże Narodzenie. Boli mnie ręka. Boli mnie głowa. Poza tym mam się świetnie.

– Odwiozę cię do doktor Zenner. Chciałbym to zrobić, Kay.

Dociera do mnie niejasno, że Jay wie, dokąd jadę dziś wieczorem. Przecież Marino obiecał mi, że miejsce mojego pobytu pozostanie tajemnicą. Jay zamyka drzwi i bierze mnie za rękę, ale ja mogę myśleć tylko o tym, że nie czekał na mnie w szpitalu, a teraz chce mnie dokądś zawieźć.

– Pozwól, żebym ci pomógł przejść przez to wszystko. Zależy mi na tobie – mówi.

– Nie wygląda na to, aby komuś specjalnie na mnie zależało wczoraj – odpowiadam i przypominam sobie, że kiedy przywiózł mnie ze szpitala do domu i dziękowałam mu za to, że czekał, został przy mnie, nie napomknął ani razu, że wcale go tam nie było. – Ty biegasz dookoła z całym swoim międzynarodowym zespołem interwencyjnym, a ten drań zwyczajnie puka do moich drzwi – ciągnę. – Lecisz tu aż z Paryża, żeby dowodzić tym

cholernym oddziałem w tych swoich łowach na grubego zwierza, a tu śmiech na sali. Jak w złym filmie: są tu wszystkie ważne gliny, z całym sprzętem i bronią bojową, a ten potwór po prostu podchodzi do moich drzwi.

Oczy Jaya błędzą po różnych częściach mojej sylwetki jak gdyby to były miejsca postoj, które ma zamiar odwiedzić. Odczuwam wstrząs i odrazę, że w takiej sytuacji może myśleć o moim ciele. W Paryżu myślałam, że jestem w nim zakochana. Kiedy stoję z nim tutaj, w swojej sypialni, a on otwarcie interesuje się tym, co zakrywa mój stary fartuch laboratoryjny, zdaję sobie sprawę, że nie kocham go ani trochę.

– Jesteś zdenerwowana. Boże, jakże mogłoby być inaczej? Martwię się o ciebie. Jestem przy tobie. – Próbuje mnie dotknąć, ale się odsuwam.

– Mieliśmy jedno popołudnie. – Już mu to mówiłam, a tym razem powtarzam serio. – Kilka godzin. Jedno spotkanie, Jay.

– To była pomyłka? – Uraza sprawia, że jego głos staje się ostry. W oczach Jaya pojawiają się ciemne błyski złości.

– Nie próbuj zamieniać jednego popołudnia w całe życie, w coś, co ma trwałe znaczenie. Tego nie ma. Przykro mi. Na miłość boską. – Moje oburzenie narasta. – W tej chwili nie chciej ode mnie niczego. – Odchodzę od niego kilka kroków, gestykułując zdrową ręką. – Co ty wyprawiasz? Co ty wyprawiasz, do diabła?

Jay unosi dłoń i zwiesza głowę, jak gdyby osłaniał się przed ciosem i przyznawał do błędu. Nie jestem przekonana o jego szczerości.

– Sam nie wiem, co robię. Głupi jestem, ot co – mówi. – Nie miałem zamiaru domagać się czegokolwiek. Jestem głupi, głupi, bo darzę cię uczuciem. Nie miej mi tego za złe. Proszę. – Patrzy na mnie z napięciem, otwierając drzwi. – Jestem przy tobie, Kay. *Je t'aime.*

Mówi do widzenia w sposób, który sprawia, że mam poczucie, iż go już więcej nie zobaczę. Dreszcz atawistycznej paniki przeszywa mnie do głębi i walczę z pokusą, aby go zawołać, przeprosić i obiecać, że niedługo pójdziemy na kolację albo na drinka. Zamykam oczy i masuję skronie, opierając się przez chwilę o kolumienkę łóżka. Mówię sobie, że w tej chwili nie wiem, co robię i nie powinnam w nic się angażować.

Marino czeka w holu z niezapalonym papierosem w kąciку ust i czuję, że stara się wyczytać z mojej twarzy, co się mogło zdarzyć, kiedy byłam z Jayem w sypialni, za zamkniętymi drzwiami. Mój wzrok zatrzymuje się w pustym holu z połowiczną nadzieją a zarazem lękiem, że Jay się tu pojawi. Marino bierze torby, a policjanci milkną, kiedy się zbliżam i unikają patrzenia w moim kierunku. Chodzą po salonie, ich pasy skrzypią. Majstrują przy swoim sprzęcie, który piszczy i trzaska. Jeden z techników robi zdjęcie stolika do kawy, flesz błyska białym światłem. Ktoś filmuje coś kamerą wideo, a inny technik ustawia lampę luma-lite, zdolną odkryć odciski palców, narkotyki i płyny ustrojowe niewidoczne dla oka. W moim biurze w mieście też mamy luma-lite i używamy jej rutynowo, badając zwłoki na miejscu zbrodni i w kostnicy. Widok tego urządzenia w moim własnym domu przyprawia mnie o uczucie, którego nie podejmuję się opisać.

Smugi ciemnego talku plamią meble i ściany, barwny perski dywan odsunięto, odsłaniając podłogę ze starego francuskiego dębu. Sofa ziele pustymi kraterami tam, gdzie zwykle leżały poduszki, a w powietrzu unoszą się zapach oleju i żrąca woń formaliny. Obok salonu, bliżej wejścia, znajduje się jadalnia i przez otwarte drzwi wita mnie widok brązowej papierowej torby zaklejonej regulaminową żółtą taśmą, używaną przy dochodzeniach, z datą, inicjałami i naklejką z napisem „ubrania Scarpetta”. Torba zawiera sweter, spodnie, skarpetki, biustonosz i majtki, które miałam

na sobie wczoraj wieczorem – ubranie zabrane mi w szpitalu. Torba wraz z innymi dowodami, a także latarki i sprzęt stoją na moim ulubionym stole, jakby to był warsztat. Gliniarze porozwieszali płaszcze na krzesłach, wszędzie pełno mokrych, brudnych śladów butów. Ze wstydu i wściekłości czuję suchość w ustach i mam miękkie kolana.

– Ty, Marino – warczy jeden z detektywów. – Righter cię szuka. Buford Righter jest prokuratorem Richmondu. Rozglądam się za Jayem. Nigdzie go nie widać.

– Powiedz mu, żeby wziął numerek i ustawił się w kolejce. – Marino trwa przy porównaniu do stoiska w delikatesach.

Zapala papierosa, a ja otwieram drzwi wejściowe. Zimno uderza mnie w twarz, sprawiając, że z oczu płyną mi łzy.

– Masz moją torbę? – pytam.

– Jest w samochodzie. – Mówi to jak zgodny mąż, którego poproszono, żeby przyniósł żonie portfel.

– Po co dzwonił Righter? – pytam.

– Banda pieprzonych podglądaczy – mruczy pod nosem. Samochód Marina stoi na ulicy przed domem; dwie potężne opony wyłobiły koleiny w moim zaśnieżonym trawniku. Z Bufordem Righterem pracowałam nad wieloma sprawami w ciągu tych lat i jest mi przykro, że nie zwrócił się bezpośrednio do mnie z pytaniem, czy może przyjść do mojego domu. Skoro już o tym mowa, nie skontaktował się ze mną, aby się dowiedzieć, jak się czuję i wyrazić radość, że jednak żyję.

– Na moje oko, chcą po prostu zobaczyć, jak mieszkasz – mówi Marino, więc zaczynam tłumaczyć, że przecież muszą sprawdzić to i owo.

Idę ostrożnie przez podjazd, a topniejący śnieg wciska mi się do butów.

– Nie masz pojęcia, ile osób mnie pyta, jak wygląda twój dom. Można by pomyśleć, że jesteś Pierwszą Damą czy kimś takim. A Righter wtyka

nos we wszystko, nie ścierpiałby, gdyby coś się działo poza nim. Najpoważniejsza sprawa od czasu Kuby Rozpruwacza. Daje nam popalić.

Nagle wybucha oślepiające, białe światło fleszy. Omal nie tracę równowagi. Klnę głośno. Fotoreporterzy przedostali się za strzeżoną bramę. Troje z nich śpieszy w moim kierunku, błyskając lampami. Pomagając sobie zdrową ręką, usiłuję wdrapać się na wysokie siedzenie z przodu samochodu.

– Hej! – krzyczy Marino do najbliższego z intruzów, którym jest kobieta.
– Przekłeta suka! – Rzuca się do przodu, usiłując zasłonić jej obiektyw i reporterka traci równowagę. Siada ciężko na śliskiej jezdni, a sprzęt fotograficzny rozsypuje się z łoskotem dokoła.

– Kretyn! – wrzeszczy na kapitana. – Kretyn!

– Wsiadaj! Szybko! – krzyczy do mnie Marino.

– Skurwiel!

Serce wwierca mi się w żebra.

– Zaskarżę cię, skurwielu!

Flesze błyskają, przycinam sobie płaszcz i muszę ponownie otworzyć i zamknąć drzwi, a przez ten czas Marino wpycha moje torby do bagażnika i wskakuje za kierownicę. Silnik wyje i dudni jak na statku.

Reporterka usiłuje się podnieść i przychodzi mi do głowy, że powinnam sprawdzić, czy nic jej się nie stało.

– Powinniśmy zobaczyć, czy nic jej nie jest – mówię, wyglądając przez okno.

– Nie, cholera. Kurwa, nie. – Samochód wypada na ulicę, zarzuca tyłem i przyśpiesza.

– Kto to? – Czuję przypływ adrenaliny. Niebieskie punkciki latają mi przed oczyma.

– Jakieś dupki. I tyle. – Marino bierze do ręki mikrofon. – Oddział dziewiąty – rzuca w eter.

– Oddział dziewiąty – odpowiada dyżurny.

– Nie życzę sobie fotografowania mojego domu ani mnie samej. – Podnoszę głos. Każda komórka w moim ciele protestuje przeciwko całej tej niesprawiedliwości.

– Dziesięć pięć, jednostka trzy dwadzieścia, poproś, niech zadzwoni do mnie na komórkę. – Mój przyjaciel trzyma mikrofon przy ustach. Jednostka trzy dwadzieścia odpowiada natychmiast, telefon wibruje jak olbrzymi owad. Marino włącza go i zaczyna mówić. – Media w jakiś sposób przedostały się w pobliże domu. Fotoreporterzy. Myślę, że zaparkowali gdzieś w pobliżu Windsor Farms i szli pieszo, przeleźli przez płot i trawnik za budką strażnika. Wyślijcie patrol, niech znajdą wszystkie samochody zaparkowane tam, gdzie ich nie powinno być, i niech je odholują. Jeśli ktokolwiek postawi nogę na posesji doktor Scarpetty, aresztujcie go. – Kończy rozmowę i wyłącza telefon, jak gdyby był kapitanem Kirkiem i prowadził „Enterprise” do ataku.

Zwalniamy przy budce strażnika i Joe wychodzi do nas. Ten starszy mężczyzna zawsze z dumą nosi brązowy mundur firmy Pinkertona. Jest miły, uprzejmy i opiekuńczy, ale nie liczyłabym na niego i jego kolegów, gdyby chodziło o coś poważniejszego niż zakłócanie porządku. Nie powinno mnie wcale dziwić, że Chandonne’owi, a teraz mediom udało się przedostać w pobliże mojego domu. Na pomarszczonej, obwisłej twarzy Joego pojawia się wyraz zakłopotania, kiedy dostrzega mnie w samochodzie.

– Hej, chłopie – warczy Marino przez otwarte okno – jak tu się dostali fotoreporterzy?

– Co? – Joe natychmiast przyjmuje postawę obronną i zwięzonymi oczyma patrzy w głąb kompletnie pustej ulicy; żółte światło latarni tworzy aureole wysoko na słupach.

– Przed dom pani doktor. Co najmniej troje.

– Tędy nie przechodzili – oświadcza Joe. Chowa się w budce i sięga po telefon.

Odjeżdżamy.

– To wszystko, co możemy zrobić – stwierdza Marino. – Lepiej schowaj głowę, bo wszędzie będzie pełno zdjęć i w ogóle.

Patrzę przez okno na stare stylowe domy, lśniące od świątecznych ozdób.

– Niedobrze, stopień ryzyka znów podskoczył. – Częstoje mnie kazaniem, mówiąc to, co i tak wiem i o czym nie chcę akurat teraz rozmyślać. – Bo teraz pół świata zobaczy twój wielki dom i wszystkie bajery i dowie się dokładnie, gdzie mieszkasz. Taka historia przyciąga różne dziwne ptaszki, a to mnie martwi jak cholera. Podsuwa im pomysły. Zaczynają sobie wyobrażać ciebie w roli ofiary, a to rajcuje takich dupków, co chodzą do sądu i czekają, żeby posłuchać spraw o gwałt.

Zwalnia i zatrzymuje się na skrzyżowaniu Canterbury Road i West Car Street. Omiatają nas światła reflektorów, ciemna limuzyna skręca w naszą stronę i zwalnia. Poznaje wąską, nieinteresującą twarz Buforda Rightera, który bada oczami samochód Marina. Obaj opuszczają szyby.

– Wyjeżdża...? – zaczyna pytanie Righter, a jego wzrok omija kapitana i ze zdziwieniem zatrzymuje się na mnie. Mam obezwładniające wrażenie, że jestem ostatnią osobą, którą chciałby teraz zobaczyć. – Przykro mi, że masz kłopoty – mówi dziwacznie, jakby to, co się dzieje w moim życiu, było jedynie kłopotem, niedogodnością, nieprzyjemnościami.

– No, wyjeżdżam. – Marino zaciąga się papierosem.

Nawet nie próbuje być pomocny. Już wyraził swoje zdanie na temat pojawienia się Rightera w moim domu. To zbyteczne, a nawet jeśli prokurator uważa, że koniecznie musi sam wszystko zobaczyć, dlaczego nie zrobił tego wcześniej, kiedy byłam w szpitalu?

Righter szczerzej otula szyję kołnierzem płaszcza, w okularach odbija mu się światło latarni. Kiwa głową i zwraca się do mnie.

– Proszę, uważaj na siebie. Cieszę się, że nic ci nie jest. – Postanawia przyjąć do wiadomości moje tak zwane kłopoty. – To naprawdę trudne dla nas wszystkich. – Zatrzymuje jakąś myśl, zanim zdążył ją wypowiedzieć. Cokolwiek miał zamiar powiedzieć, znikło, cofnięte, wykreślone z zapisu. – Zadzwoń do pana – mówi do Marina.

Szyby podnoszą się i odjeżdżamy.

– Proszę, daj mi papierosa – mówię. – Zakładam, że nie pojawił się wcześniej u mnie w domu – dodaję.

– Owszem, pojawił się, około dziesiątej rano. – Podsuwa mi paczkę lucky strike'ów bez filtra i wyciąga w moją stronę zapalniczkę, z której strzela płomień.

Gniew pełnie przez moje wnętrzości, piecze mnie kark, ucisk w głowie jest prawie nie do zniesienia. Strach porusza się w moim wnętrzu jak zbudzone zwierzę. Ogarnia mnie złość, wciskam zapalniczkę na desce rozdzielczej, nieuprzejmie ignoruję wyciągniętą rękę Marina.

– Dziękuję, że mi powiedziałeś – odpowiadam ostro. – Pozwolisz, że zapytam, kto jeszcze, do diabła, był w moim domu? I ile razy? I jak długo tam pozostawał i czego dotykał?

– Hola, przestań się na mnie wyżywać – ostrzega Marino.

Znam ten ton. Mój przyjaciel zaraz straci do mnie cierpliwość. Jesteśmy jak fronty atmosferyczne, które się zderzą, a tego nie chcę. Ostatnie, na czym mi teraz zależy, to wojna z Marinem. Przytykam koniec papierosa do

rozżarzonej pomarańczowej spirali i zaciągam się głęboko, kopniak czystego tytoniu sprawia, że kręci mi się w głowie. Jedziemy przez kilka minut w kamiennym milczeniu i kiedy wreszcie się odzywam, mój głos brzmi drętwio, ogarnięty gorączką mózg się wycisza, a przygnębienie jak dotkliwy ból rozlewa się wokół żeber.

– Wiem, że robisz tylko to, co należy. Doceniam to. – Siłą wydobywam z siebie słowa. – Nawet jeśli tego nie okazuję.

– Nie musisz niczego tłumaczyć. – Zaciąga się papierosem i oboje wydmuchujemy strużki dymu w stronę częściowo uchylonych okien. – Wiem dokładnie, jak się czujesz – dodaje.

– To niemożliwe. – Niechęć podchodzi mi do gardła jak żółć. – Nawet ja sama tego nie wiem.

– Rozumiem o wiele więcej, niż przypuszczasz – ciągnie. – Kiedyś zrozumiesz. Teraz nie widzisz tego za cholerę i wiedz, że w nadchodzących dniach i tygodniach nie będzie lepiej. Tak to jest. Prawdziwe problemy jeszcze nie nadeszły. Nie umiem ci powiedzieć, ile razy już to oglądałem. Widziałem, co się dzieje z ludźmi, kiedy stają się ofiarami.

Nie chcę w ogóle tego słuchać, ani słowa.

– Bardzo dobrze, że jedziesz do Anny – dodaje. – Pod wieloma względami to będzie dokładnie to, co polecił lekarz.

– Nie przenoszę się do Anny, bo tak kazał lekarz – odparowuję ze złością. – Przenoszę się do niej, bo jest moją przyjaciółką.

– Słuchaj, jesteś ofiarą napadu i musisz sobie z tym poradzić, a do tego potrzebna ci pomoc. Nieważne, czy jesteś lekarką, prawniczką czy wozdrem. – Marino nie chce się zamknąć częściowo również dlatego, że szuka zaczepki. Chce jakiegoś punktu, na którym mógłby skupić swoją złość. Widzę, na co się zanosi, i fala gniewu rozlewa się ciepłem po mojej

szyi aż po nasadę włosów. – Bycie ofiarą bardzo zrównuje ludzi – ciągnie Marino, światowy autorytet.

– Nie jestem ofiarą. – Wymawiam powoli każde słowo, a mój głos drży jak płomień. – Istnieje różnica między byciem represjonowaną a byciem ofiarą. Nie występuję w charakterze przypadku zaburzeń osobowości. – Podnoszę głos. – Nie stałam się tym, co chciał ze mnie zrobić – oczywiście mam na myśli Chandonne’a – a nawet gdyby mu się udało, nie stałabym się tym, co próbował mi narzucić. Byłabym po prostu nieżywa. Nie zmieniona i nie pomniejszona, tylko nieżywa.

Czuję, że Marino wycofuje się w ciemną, głośną przestrzeń swojego męskiego samochodu. Nie rozumie, o co mi chodzi ani co czuję i prawdopodobnie nie zrozumie tego nigdy. Reaguje tak, jakbym uderzyła go w twarz albo kopnęła kolaniem w podbrzusze.

– Mówię o faktach – odparowuje. – Ktoś musi.

– Faktem jest, że żyję.

– Aha. Cudem, kurwa, cudem.

– Powinnam była wiedzieć, że tak zareagujesz. – Robię się spokojna i zimna. – To oczywiste. Zwała się winę na ofiarę, a nie na napastnika, krytykuje się poszkodowanego, a nie bydlaka, który to spowodował. – Drzę w ciemności. – Niech was cholera. Niech cię diabli, Marino.

– Ciągle nie mogę uwierzyć, że otworzyłaś drzwi! – krzyczy. To, co mi się przydarzyło, napełnia go poczuciem bezsilności.

– A gdzie wyście byli? – Ponownie wytykam mu ten nieprzyjemny fakt.

– Byłoby miło, gdyby dwóch z was czy przynajmniej jeden miał na oku mój dom. Skoro tak się obawialiście, że może na mnie napaść.

– Rozmawialiśmy przez telefon, nie pamiętasz? – atakuje z innej strony.

– Powiedziałaś, że wszystko w porządku. Mówiłem, żebyś się nie ruszała z miejsca, bo wiemy, gdzie ten skurwiel się chowa, że gdzieś tu się kręci,

pewnie szuka kolejnej kobiety, aby ją pogryźć i zatłuc. A co ty robisz, wielka doktoro i prawniczko? Słyszysz pukanie i otwierasz te pieprzone drzwi. O północy, kurwa mać!

– Myślałam, że to policjant. Powiedział, że jest z policji.

– Niby dlaczego? – Marino wrzeszczy i wali pięścią w kierownicę jak rozzłoszczone dziecko. – Co? Dlaczego? Powiedz mi wreszcie, do cholery!

Wiedzieliśmy już od kilku dni, kto jest zabójcą, że to upośledzony psychicznie i fizycznie Jean-Baptiste Chandonne. Wiedzieliśmy, że jest Francuzem, i znaleźmy jego adres w Paryżu. Człowiek, który zjawił się u moich drzwi, nie miał ani śladu francuskiego akcentu.

„Policja!”.

„Nie wzywałam policji” – odpowiedziałam przez zamknięte drzwi.

„Proszę pani, zawiadomiono nas, że ktoś podejrzany kręci się koło pani domu. Czy wszystko w porządku?”.

Nie miał obcego akcentu. Nigdy nie przypuszczałam, że będzie mówił bez akcentu. W ogóle mi to nie przyszło do głowy, ani razu. Gdybym miała raz jeszcze przeżyć wczorajszą noc, też bym na to nie wpadła. Policja właśnie ode mnie wyszła, kiedy włączył się alarm. Niesłusznie założyłam, że gliny mają mój dom na oku. Wszystko stało się tak szybko. Otworzyłam drzwi, światło na ganku się nie paliło i w głębokiej, zimnej nocy poczułam ten brudny zapach mokrego zwierzęcia.

– Hej, jest tam kto? – krzyczy Marino i szturcha mnie mocno w ramię.

– Nie dotykaj mnie!

Wracam do rzeczywistości, wzdrygam się i odsuwam gwałtownie, gdy samochód zarzuca. Cisza, która teraz zapada, sprawia, że powietrze robi się ciężkie jak woda na głębokości trzydziestu metrów, a w moich najczarniejszych myślach pojawiają się znowu straszne obrazy.

Zapomniałam o papierosie, słupek popiołu jest tak długi, że nie udaje mi się donieść go do popielniczki. Strzepuję pył z kolan.

– Możesz skręcić przy centrum handlowym Stonypoint. – mówię. –
Będzie szybciej.

Rozdział 2

Wielki klasycystyczny dom doktor Anny Zenner świeci w ciemności na południowym brzegu rzeki James. Jej pałac, jak nazywają go sąsiedzi, zdobią korynckie kolumny – oto lokalny dowód przekonania Tomasza Jeffersona i Jerzego Waszyngtona, że architektura nowego narodu winna wyrażać wielkość i godność świata starożytnego. Anna należy do starego świata, jest Niemką. Chyba pochodzi z Niemiec. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, nie przypominam sobie, by mi kiedykolwiek wspomniała, gdzie się urodziła.

Białe świąteczne lampki mrugają na drzewach, a świece w licznych oknach domu Anny płoną ciepłym blaskiem, przypominając mi o wielu Gwiazdkach w Miami pod koniec lat pięćdziesiątych, gdy byłam dzieckiem. W rzadkich chwilach, kiedy mój chory na białaczkę ojciec czuł się lepiej, lubił jeździć z nami do Coral Gables i przyglądać się domom, które nazywał willami, tak jakby możliwość pokazania nam owych miejsc sprawiała, że w jakiś sposób stawał się kimś z tamtego świata. Pamiętam, jak wyobrażałam sobie bogatych ludzi mieszkających w tych pięknych budowlach, bentleye i przyjęcia z befsztykami albo krewetkami siedem dni w tygodniu. Nikt, kto tak mieszkał, nie mógł być biedny ani chory, ani

traktowany jak śmieć przez ludzi, którzy nie lubią Włochów ani katolików, ani imigrantów nazywających się Scarpetta.

Noszę nietypowe nazwisko, o którego pochodzeniu wiem doprawdy niewiele. Scarpettowie mieszkają w Stanach od dwóch pokoleń, tak przynajmniej twierdzi moja matka, ale nie wiem, kim są owi inni Scarpettowie. Nigdy ich nie poznałam. Powiedziano mi, że nasza rodzina pochodzi z Werony, przodkowie byli rolnikami, pracowali też na kolei. Wiem natomiast na pewno, że mam tylko jedną młodszą siostrę imieniem Dorothy. Przez krótki czas była zamężna i jej mąż, Brazylijczyk, dwa razy starszy od niej, jest jakoby ojcem Lucy. Mówię „jakoby”, bo w wypadku Dorothy tylko badanie DNA przekonałoby mnie, z kim naprawdę była w łóżku, kiedy moja siostrzenica została poczęta. Czwartym mężem mojej siostry został niejaki Farinelli, a potem Lucy przestała już zmieniać nazwisko. O ile wiem, poza mamą jestem jedyną Scarpettą.

Marino hamuje przed okazałą bramą z czarnego żelaza i wyciąga potężne ramię, żeby nacisnąć guzik domofonu. Słychać elektroniczne brzęczenie, a potem głośne szczęknięcie i brama otwiera się powoli niczym czarna krata. Nie wiem, czemu Anna opuściła swoją ojczyznę, by przyjechać do Wirginii, i dlaczego nie wyszła nigdy za mąż. Nigdy jej nie zapytałam, dlaczego zdecydowała się na praktykowanie psychiatrii w tym skromnym mieście na Południu, skoro mogła pojechać, dokąd chciała. Nie wiem, czemu nagle się zastanawiam nad jej życiem. Myśli błądzą tak dziwnymi drogami. Ostrożnie wysiadam z samochodu Marina i staję na granitowym chodniku. Czuję się, jakbym miała kłopoty z oprogramowaniem – rozmaite pliki same się otwierają i zamykają, pokazując informacje o działaniu systemu. Nie jestem pewna dokładnego wieku Anny, wiem tylko, że jest po siedemdziesiątce. Z tego co pamiętam, nigdy mi nie mówiła, gdzie chodziła do szkoły ani gdzie studiowała

medycynę. Od lat dzielimy się informacjami i poglądami, lecz rzadko rozmawiamy o czymś, co jest bolesne albo zbyt osobiste.

Nagle zaczyna mi bardzo przeszkadzać to, że tak mało wiem o Annie. Wchodzę ostrożnie, po jednym stopniu, na porządnie zamiecione schody, przesuając zdrową rękę wzdłuż żelaznej poręczy i czuję się zawstydzona. Anna otwiera drzwi i jej napięta twarz łagodnieje. Spogląda na mój gruby, okazały gips i niebieski temblak, a potem patrzy mi w oczy.

– Kay, tak się cieszę, że cię widzę – mówi, witając mnie tymi samymi słowami co zawsze.

– Jak się pani miewa, pani doktor? – odzywa się Marino. Staje na głowie, żeby pokazać, jaki jest dobrze wychowany i uroczy i jak niewiele dla niego znaczą. – Mm, jak tu coś ładnie pachnie. Znowu pani coś dla mnie ugotowała?

– Dzisiaj nie, panie kapitanie. – Anny nie interesują ani on sam, ani jego zagrywki.

Całuje mnie w oba policzki, nie ściska mocno, nie chcąc urazić chorej ręki, ale w lekkim dotyku jej palców czuję serce. Marino stawia moje torby na wspinałym jedwabnym dywanie w holu, pod kryształowym żyrandolem, który lśni jak kosmiczny lód.

– Może pan wziąć do domu trochę zupy – zwraca się doń Anna. – Ugotowałam cały garnek. Bardzo zdrowa. Bez tłuszczu.

– Jak nie ma tłuszczu, to religia mi nie pozwala. Pójdę już. – Unika patrzenia na mnie.

– Gdzie jest Lucy? – Anna pomaga mi zdjąć płaszcz. Mocuję się, usiłując przeciągnąć rękaw przez gips i spostrzegam ze zgrozą, że nadal mam na sobie stary fartuch laboratoryjny. – Nie wzięłaś żadnych autografów – stwierdza moja przyjaciółka, bo nikt się nie podpisał i nie podpisze na moim gipsie. Anna ma suche, wyrafinowane, szczególne

poczucie humoru. Potrafi być bardzo zabawna bez cienia uśmiechu, toteż jeśli ktoś nie uważa i wolno myśli, w ogóle nie zauważy dowcipu.

– Pani chata nie jest dość dobra, więc wylądowała w Jeffersonie – komentuje ironicznie Marino.

Anna wiesza mój płaszcz w szafie w holu. Moja energia, spowodowana zdenerwowaniem, szybko znika. Czuję, jak przygnębienie zaciska mi klatkę piersiową i zwiększa ucisk wokół serca. Marino nadal udaje, że nie istnieję.

– Może się zatrzymać tutaj, oczywiście. Zawsze jest mile widziana i bardzo chciałabym ją zobaczyć. – Anna zwraca się do mnie. Jej niemiecki akcent nie zanikł przez dziesięciolecia, nadal mówi twardo i rzadko używa skróconych form. Zawsze uważałam, że woli niemiecki, a angielskiego używa, bo nie ma wyboru.

Patrzę, jak kapitan wychodzi.

– Dlaczego się tu przeniosłaś, Anno? – Zaczynam mówić bez związku.

– Tu? Chodzi ci o ten dom? – Przygląda mi się badawczo.

– Do Richmondu. Czemu wybrałaś Richmond?

– To proste. Z miłości. – Mówi to obojętnie, bez śladu jakiegokolwiek emocji.

Wraz z nadejściem nocy spadła temperatura, słyszę jak śnieg skrzypi pod wielkimi stopami Marina w ciężkich butach.

– Z jakiej miłości? – pytam.

– Do kogoś, kto okazał się tego niewart.

Detektyw obstukuje buty ze śniegu o stopień samochodu. Silnik warczy jak turbiny wielkiego statku, z rury wydechowej wydobywa się dym. Marino czuje mój wzrok, więc udaje, że nie wie, iż patrzę, albo że go to nie obchodzi, zamyka drzwiczki i wprawia swego behemota w ruch. Kiedy odjeżdża, śnieg pryska spod wielkich kół. Anna zamyka drzwi frontowe, a ja stoję przed nimi w wirze myśli i uczuć, skręcających się jak spirala.

– Musimy cię tu zainstalować – mówi Anna, dotykając mojej ręki i dając znak, bym poszła za nią.

Wracam do rzeczywistości.

– Jest na mnie zły.

– Gdyby nie był z jakiegoś powodu zły albo nieuprzejmy, pomyślałabym, że zachorował.

– Jest na mnie zły, bo prawie dałam się zamordować. – W moim głosie słychać ogromne zmęczenie. – Wszyscy są na mnie źli.

– Jesteś wyczerpana. – Anna zatrzymuje się, żeby wysłuchać, co mam do powiedzenia.

– Czy mam przeproszać za to, że ktoś usiłował mnie zabić? – wyrzucam z siebie z goryczą. – Prosiłam o to? Zrobiłam coś złego? Zgoda, otworzyłam drzwi. Popełniłam błąd, ale żyję, prawda? Wszyscy jesteśmy cali i zdrowi, prawda? Dlaczego ludzie są na mnie źli?

– Nie wszyscy.

– Dlaczego to moja wina?

– Uważasz, że to twoja wina? – Przygląda mi się z wyrazem twarzy, który można by opisać jako radiologiczny. Prześwietla mnie aż do kości.

– Oczywiście, że nie – odpowiadam. – Wiem, że to nie moja wina. Anna zamyka drzwi na zasuwę, włącza alarm i prowadzi mnie do kuchni. Usiłuję sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz coś jadłam i jaki dziś dzień tygodnia. Po chwili zaczyna mi świtać. Sobota. Pytałam już o to parę razy. Od chwili kiedy omal nie zginęłam, minęło dwadzieścia godzin. Stół w kuchni jest nakryty na dwie osoby, a na kuchence stoi duży garnek zupy. Czuję zapach piekącego się chleba i nagle jednocześnie dopadają mnie mdłości i głód, a poza tym rejestruję pewien szczegół. Jeżeli Anna spodziewała się Lucy, dlaczego stół nie jest nakryty dla trzech osób?

– Kiedy Lucy wraca do Miami? – Anna zdaje się czytać w moich myślach. Podnosi pokrywkę i miesza w garnku drewnianą łyżką. – Czego się napijesz? Chcesz whisky?

– Tak, mocną.

Anna wyciąga korek z butelki Glennoramngie Sherry Wood Finnish i leje kosztowny, różowawy trunek na kostki lodu w kryształowych szklankach.

– Nie wiem, kiedy wraca Lucy. Nie mam pojęcia, naprawdę... – Zaczynam jej dostarczać brakujących informacji. – Brała udział w zatrzymaniu w Miami i poszło źle, bardzo źle. Wynikła strzelanina, Lucy...

– Tak, wiem, Kay, znam tę historię. – Anna podaje mi drinka. Może sprawiać wrażenie zniecierpliwionej, nawet kiedy jest bardzo spokojna. – Dużo o tym mówili w wiadomościach. Zadzwoiłam wtedy do ciebie, pamiętasz? Rozmawialiśmy o Lucy.

– A tak, rzeczywiście.

Anna siada naprzeciwko mnie, opiera łokcie na stole i pochyla się do przodu. Jest zdumiewająco mocną kobietą, w doskonałej formie, wysoką i silną, podobną do Leni Riefenstahl, światłą ponad swoje czasy i nietkniętą przez wiek. Niebieski dres, który ma na sobie, nadaje jej oczom zaskakujący odcień chabrów, a srebrne włosy są ściągnięte w koński ogon, związany czarną, aksamitną wstążką. Nie wiem, czy robiła lifting czy jakiś inny zabieg kosmetyczny, ale podejrzewam, że jej wygląd ma coś wspólnego z możliwościami dzisiejszej medycyny. Anna mogłaby z łatwością uchodzić za kobietę po pięćdziesiątce.

– Zakładam, że Lucy przyjechała do ciebie na czas dochodzenia – odzywa się. – Wyobrażam sobie całą tę biurokrację.

Zatrzymanie poszło jak najgorzej. Lucy zastrzeliła dwóch członków międzynarodowego kartelu przemytników broni, naszym zdaniem związanego z przestępczą rodziną Chandonne'ów. Zraniła też niechący Jo, agentkę DEA, która wtedy była jej kochanką. Biurokracja to niewłaściwe słowo w tym kontekście.

– Ale nie wiem, czy wiesz o Jo – mówię do Anny. – Jej partnerce z HIDTA.

– Nie wiem, co to jest HIDTA.

– Specjalny zespół do walki z handlem narkotykami. Powołano oddział, w skład którego wchodziły rozmaite agencje zajmujące się walką z przestępczością. ATF, DES, FBI Miami – Dade – wyjaśniam. – Kiedy szlag trafił całą akcję dwa tygodnie temu, Jo dostała postrzał w nogę. Okazało się, że kula pochodziła z broni Lucy.

Anna słucha, popijając whisky.

– Lucy niechący postrzeliła Jo i oczywiście od razu wyszedł na jaw ich związek. Ostatnio było w nim dużo napięć. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak tam teraz jest między nimi. Myślę, że Lucy zostanie tu przez święta, a potem nie wiadomo.

– Nie wiedziałam, że rozstała się z Janet – wtrąca Anna.

– Już jakiś czas temu.

– Wielka szkoda. – Jest szczerze zmartwiona ta wiadomością. – Bardzo lubiłam Janet.

Opuszczam wzrok na swoją zupę. Dużo czasu upłynęło, od kiedy Janet była tematem rozmowy. Lucy nigdy o niej nie wspomina ani słowem. Uświadamiam sobie, że bardzo mi brakuje Janet i nadal uważam, że miała dobry, stabilizujący wpływ na moją siostrzenicę. Przyznaję uczciwie, że w gruncie rzeczy nie lubię Jo. Nie jestem pewna dlaczego. Może, zastanawiam się, sięgając po szklanę, po prostu dlatego, że nie jest Janet.

– A Jo jest tutaj? – Anna stara się dokopać do dalszych wiadomości.

– Jak na ironię stąd pochodzi, chociaż nie dlatego związały się ze sobą. Poznały się przy pracy w Miami. Myślę, że Jo jakiś czas będzie się kurować u rodziców w Richmondzie. Nie pytaj mnie, jak to się ma udać. Oni są chrześcijańskimi fundamentalistami i niezupełnie aprobują styl życia córki.

– Lucy nigdy nie wybiera łatwych dróg – zauważa Anna i ma rację. – Wciąż tylko strzela i strzela. Co u niej jest z tym strzelaniem do ludzi? Dzięki Bogu, że znowu kogoś nie zabiła.

Ciężar w piersi przygniata mnie coraz mocniej. Mam wrażenie, że moja krew zamieniła się w ciężki metal.

– Czemu ją tak ciągnie do zabijania? – drąży Anna. – Martwi mnie to, co teraz się stało. Jeśli można wierzyć temu, co mówią w telewizji.

– Nie włączałam telewizji. Nie wiem, co mówią. – Piję drinka i znowu myślę o papierosach. Już tyle razy rzucałam palenie.

– Omal nie zabiła tego Francuza, Jeana-Baptiste’a Chandonne’a. Celowała w niego, ale ją powstrzymałaś. – Oczy Anny przewiercają moją czaszkę, szukając tajemnic. – Wyjaśnij mi to, proszę.

Opisuję, co się wydarzyło. Lucy pojechała do szpitala Akademii Medycznej Wirginii, aby przywieźć Jo do domu. Kiedy po północy zatrzymały się przed moim domem, Chandonne i ja byliśmy na podwórzu. Lucy, którą przywołuje moja pamięć, wydała mi się kimś obcym, nieopanowanym, kimś niebezpiecznym, istotą, której nie znam, gdy z twarzą wykrzywioną wściekłością celowała w Chandonne’a i trzymała palec na spuście, a ja ją prosiłam, żeby nie strzelała. Wrzeszczała i przeklinała go, a ja wołałam: „Nie, nie, Lucy, nie!”. Chandonne koszmarne cierpiał, był oślepiiony, skręcał się z bólu i tarł śniegiem poparzone formaliną oczy, wył i błagał o pomoc. W tym momencie Anna przerywa moją opowieść.

– Mówił po francusku?

Pytanie mnie zaskakuje. Próbuję sobie przypomnieć.

– Chyba tak.

– To znaczy, że znasz francuski. Zastanawiam się chwilę.

– Uczyłam się w szkole średniej. Mam wrażenie, że krzyczał do mnie, abym mu pomogła. Wydawało mi się, że rozumiem, co mówi.

– Próbowełaś mu pomóc?

– Próbowełam ocalić mu życie, powstrzymać Lucy, zanim go zabije.

– Ale chodziło ci o Lucy, nie o niego. Nie próbowełaś naprawdę go uratować. Staraełaś się uchronić Lucy przed zniszczeniem własnego życia.

Myśli zderzają się, wymazując jedna drugą. Nie odpowiadam.

– Chciała go zabić – kontynuuje spokojnie Anna. – Wyraźnie miała taki zamiar.

Potakuję, patrząc gdzieś w bok i przeżywając ponownie tę scenę. „Lucy, Lucy”, wołałam raz za razem jej imię, usiłując powstrzymać morderczy szala, który nią owładnął. Podpełzłam do niej przez zaśnieżone podwórze. „Odłóż ten pistolet. Lucy, nie chcesz tego zrobić. Proszę, odłóż pistolet”. Chandonne tarzał się i wił z bólu, wydając straszne odgłosy rannego zwierzęcia, a Lucy klęczała w pozycji bojowej i celowała w jego głowę z pistoletu, który drżał w jej rękach. Potem na moje podwórko wpadł tłum agentów ATF i policjantów w ciemnych kombinezonach bojowych, z karabinami i pistoletami. Nikt z nich nie wiedział, co robić, a ja błagałam siostrzenicę, żeby nie zastrzeliła Chandonne’a z zimną krwią. „Dosyć było już zabijania”, prosiłam ją, przysuwając się jak najbliżej. „To byłoby złe, Lucy. Nie rób tego, proszę. Kochamy cię”.

– Jesteś zupełnie pewna, że Lucy miała zamiar go zabić, chociaż to nie było we własnej obronie?

– Tak – odpowiadam. – Jestem pewna.

– Więc może powinniśmy się zastanowić, czy zabicie tych dwóch ludzi w Miami rzeczywiście było konieczne?

– To coś zupełnie innego, Anno. I nie mogę mieć do Lucy pretensji, że tak zareagowała, zobaczywszy go przed moim domem – jego i mnie, na ziemi, w śniegu, niespełna trzy metry jedno od drugiego. Wiedziała o innych zabójstwach, których tu dokonano, o Kim Luong i Dianę Bray. Wiedziała aż za dobrze, po co do mnie przyszedł, co zaplanował. Jak ty byś się czuła na miejscu Lucy?

– Nie umiem sobie tego wyobrazić.

– No właśnie – tłumaczę. – Nie sądzę, żeby ktokolwiek umiał sobie coś podobnego wyobrazić, dopóki to się nie wydarzy. Wiem, że gdybym to ja podjechała, a Lucy była na podwórzu i ktoś usiłowałby ją zamordować, to... – Przerывam, analizuję, nie jestem w stanie dokończyć myśli.

– Zabiłabyś go – kończy Anna, przypuszczając, że to właśnie chciałam powiedzieć.

– Tak, to możliwe.

– Nawet gdyby nie’ stanowił zagrożenia? Gdyby odczuwał straszliwy ból, był ślepy i bezradny?

– Trudno stwierdzić, czy ktoś jest bezradny, Anno. Co ja wiedziałam, na podwórku, w śniegu, ze złamaną ręką, przerażona?

– Ach, jednak wiedziałas wystarczająco dużo, żeby odwieść Lucy od zamiaru zabicia go. – Wstaje, a ja patrzę, jak Anna zdejmuje łyżkę wazową z żelaznego wieszaka, gdzie wiszą także rondle, i nalewa do glinianych misek zupę, z której unosi się aromatyczna para. Stawia je na stole, dając mi czas na zastanowienie się nad tym, co właśnie powiedziała. – Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że twoje życie można odczytać jako jeden z bardziej skomplikowanych aktów zgonu, które wydałaś? – mówi. – „Z przyczyny, z przyczyny, z przyczyny”. – Gestykuje, jakby dyrygowała

własną orkiestrą. – To, gdzie się teraz znajdujesz, zostało spowodowane tym czy tamtym, z takiej czy innej przyczyny i tak dalej, i tak dalej. A to wszystko bierze się z pierwotnej rany, jaką otrzymałaś. Śmierci twojego ojca.

Szukam w pamięci, co jej opowiadałam o swojej przeszłości.

– Robisz to, co robisz, bo już w bardzo młodym wieku musiałaś oglądać czyjąś śmierć – ciągnie Anna. – Większą część dzieciństwa spędziłaś przy umierającym ojcu.

Zupa jarzynowa zawiera kawałki kurczaka, czuję w niej także sherry i liście laurowe. Nie jestem pewna, czy uda mi się coś zjeść. Anna wkłada rękawice i wyjmuje z pieca żytnie bułki. Podaje gorące pieczywo na talerzykach, z masłem i miodem.

– Zdaje się, że twoja karma to ciągle powracanie, że tak powiem, do tego samego miejsca – analizuje. – Do śmierci twojego ojca, do tej pierwszej straty. Tak jakbyś w pewien sposób mogła sprawić, żeby to się odstało. Ale tylko powtarzasz tamtą sytuację. To najstarszy wzorzec w ludzkiej naturze. Oglądam go codziennie.

– Tu nie chodzi o mojego ojca. – Biorę łyżkę do ręki. – Ani o moje dzieciństwo. Prawdę mówiąc, dzieciństwo to ostatnie, co mnie w tej chwili obchodzi.

– Chodzi o brak uczuć. – Moja przyjaciółka siada przy stole. – O nawyk odrzucania emocji, bo uczucia były zbyt bolesne. – Zupa jest za gorąca, nie da się jej jeść i Anna mieszają leniwie ciężką srebrną łyżką ozdobioną monogramem. – Kiedy byłaś dzieckiem, nie potrafiłaś żyć w panującej w domu atmosferze nadchodzącej katastrofy, w lęku, smutku, gniewie. Zamknęłaś się więc.

– Czasem to konieczne.

– Nigdy nie jest dobrze się zamykać. – Anna potrząsa głową.

– Czasem to konieczne, żeby przeżyć – oponuję.

– Zamykanie się to odrzucenie. Kiedy się odrzuca przeszłość, będzie się ją powtarzać. Jesteś tego żywym dowodem. W twoim życiu straty następowały jedna po drugiej, od czasu tej pierwszej. Jak na ironię uczyniłaś z tego swój zawód, zostałam lekarką, która bada zwłoki, lekarką, która siedzi przy łóżku umarłego. Rozwód z Tonym. Śmierć Marka. Zabójstwo Bentona w zeszłym roku. Potem Lucy wdaje się w strzelaninę i omal jej nie tracisz. A teraz, w końcu, ty sama. Ten straszny człowiek przyszedł do ciebie do domu i omal nie straciłaś życia. Nic, tylko straty i straty.

Ból spowodowany śmiercią Bentona jest przerażająco świeży. Boję się, że zawsze pozostanie świeży, że nigdy nie ucieknę przed uczuciem pustki, echem pustych pokoi w mojej duszy i męką w sercu. Ponownie ogarnia mnie oburzenie, kiedy myślę o policjantach, dotykających bezwiednie przedmiotów, które należały do Bentona, ocierających się o jego obrazy, roznoszących błoto po pięknym dywanie w jadalni – Benton podarował mi go któregoś roku na Gwiazdkę. Nikt tego nie wie. Nikogo to nie obchodzi.

– Taki wzorzec – ciągnie Anna – jeśli się go nie zatrzyma, nabiera niepoohamowanej energii i wsysa wszystko jak czarna dziura.

Tłumaczę, że moje życie nie jest czarną dziurą. Nie zaprzeczam, że rzeczywiście istnieje pewien wzorzec. Musiałabym być ciemna jak tabaka w rogu, żeby tego nie widzieć. Ale co do jednego punktu pozostaję nieprzejednana.

– Bardzo mi przeszkadza to, że implikujesz, jakobym sama przyprowadziła go do swoich drzwi – mówię, mając na myśli Chandonne'a, którego nazwiska nie mam siły wymówić. – Że w jakiś sposób zainicjowałam cały proces, który doprowadził zabójcę do mojego domu. Jeżeli dobrze rozumiem, co mówisz. Jeżeli właśnie to masz na myśli.

– Pytam o to. – Anna smaruje bułkę masłem. O to cię pytam, Kay – powtarza ze smutkiem.

– Anno, na Boga, jak możesz uważać, że doprowadziłabym do zamordowania samej siebie?

– Bo nie byłabyś ani pierwszą, ani ostatnią osobą, która to zrobiła. To nie jest świadome.

– Nie u mnie. Nie zrobiłabym tego ani podświadomie, ani nieświadomie – upieram się.

– Jest w tym wiele z samospełniającej się przepowiedni. Ty. Potem Lucy. Omal nie stała się tym, z czym walczy. Bądź ostrożna, wybierając wroga, bo to do niego najbardziej się upodobnisz. – Anna rzuca cytaty z Nietzschego. Powtarza słowa, które w przeszłości słyszała z moich ust.

– Nie chciałam, żeby przyszedł do mojego domu – powtarzam wolno i stanowczo. Nadal unikam wymawiania nazwiska Chandonne’a, bo nie chcę, żeby stał się dla mnie rzeczywistą osobą.

– Jakim sposobem wiedział, gdzie mieszkasz? – wypytuje dalej Anna.

– Niestety, w ciągu ostatnich lat wielokrotnie podawano mój adres w wiadomościach – zgaduję. – Nie wiem, skąd wiedział.

– Więc co? Poszedł do biblioteki i sprawdził twój adres na mikrofilmie? Ten potwór, tak strasznie zniekształcony, że rzadko wychodził z domu za dnia? Ze swoim psim pyskiem, z tą wrodzoną anomalią, z ciałem porośniętym długimi białymi włosami, cienkimi jak u małego dziecka? Poszedł do publicznej biblioteki? – Anna zawiesza głos, w powietrzu pozostaje absurdalność takiego przypuszczenia.

– Nie wiem, skąd wiedział – powtarzam. – Ukrywał się niedaleko mojego domu. – Zaczynam się denerwować. – Nie obwiniaj mnie. Nikt nie ma prawa mnie winić o to, co on zrobił. Dlaczego mnie winisz?

– To my tworzymy swoje światy. I my je niszczymy. To takie proste, Kay.

– Nie wierzę, że choć przez chwilę możesz myśleć, iż chciałam, aby na mnie napadł.

W moich myślach pojawia się obraz Kim Luong. Pamiętam strzaskane kości twarzy, kruszące się pod moimi palcami w lateksowych rękawiczkach. Pamiętam ostry, słodkawy zapach krzepnącej krwi w dusznym, nagrzanym magazynie, dokąd Chandonne zawlókł konającą ofiarę, by dać upust swej oszalałej żądzy, żeby bić, gryźć, rozmazywać krew.

– Te kobiety też tego na siebie nie sprowadziły – mówię dobitnie.

– Nie znałam tych kobiet – odpowiada Anna. – Nie mogę stwierdzić, co robiły, a czego nie.

Mam przed oczyma Dianę Bray, jej arogancką urodę, zniszczoną, zmasakrowaną i brutalnie wystawioną na widok publiczny na materacu w jej własnej sypialni. Kiedy Chandonne z nią skończył, była nierozpoznawalna, widać nienawidził jej bardziej niż Kim Luong – bardziej niż tych kobiet, które zamordował w Paryżu, zanim przyjechał do Richmondu. Zastanawiam się głośno, dzieląc się tym z Anną, czy Chandonne rozpoznał samego siebie w Bray i czy właśnie to wzmogło nienawiść do niej do najwyższego stopnia. Dianę Bray była przebiegła i zimna. Była także okrutna i nadużywała władzy; przychodziło jej to równie łatwo jak oddychanie.

– Miałaś wszelkie powody, żeby jej nienawidzić – zauważa Anna. Jej słowa przerywają moje rozmyślenia. Nie od razu odpowiadam.

Próbuję sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek powiedziałam, że kogoś nienawidzę albo, co gorsza, czy kiedykolwiek popełniłam ten grzech. Nienawiść do drugiego człowieka jest czymś złym. Nigdy nie jest słuszna.

Nienawiść jest zbrodnią ducha, prowadzącą do zbrodni ciała. To właśnie nienawiść sprowadza do mnie tak wielu pacjentów. Oświadczam Annie, że nie nienawidziłam Dianę Bray, nawet jeśli uznała za swoją misję zniszczenie mnie i prawie jej się udało doprowadzić do mojego zwolnienia. Była patologicznie zazdrosna i ambitna. Ale nie, zapewniam Annę, nie nienawidziłam Dianę Bray. Była zła, oznajmiam. Lecz nie zasłużyła na to, co z nią zrobił. I na pewno tego nie spowodowała.

– Uważasz, że nie? – Anna kwestionuje wszystko. – Nie uważasz, że symbolicznie zrobił z nią to, co ona zrobiła z tobą? Obsesja. Wciskanie się w twoje życie, kiedy byłaś odsłonięta i łatwo było cię zranić. Atak, poniżanie, niszczenie – to ją podniecało, może nawet seksualnie. Co mi tyle razy powtarzałaś? Ludzie umierają tak, jak żyli.

– W wielu wypadkach.

– A ona?

– Symbolicznie, jak to ujęłaś? Może.

– A ty, Kay? Czy omal nie zginęłaś tak, jak żyłaś?

– Ja nie zginęłam, Anno.

– Ale mało brakowało – powtarza znowu. – A zanim Chandonne pojawił się pod twoimi drzwiami, niemal dałaś za wygraną. Prawie przestałaś żyć, kiedy Benton zginął.

Łzy napływają mi do oczu.

– Jak myślisz, co by się mogło stać z tobą, gdyby Dianę Bray nie została zamordowana? – pyta moja przyjaciółka.

Dianę Bray kierowała departamentem policji w Richmondzie i różne ważne osobistości dały się jej nabrać. W krótkim czasie wyrobiła sobie nazwisko w całej Wirginii i zdaje się, że to właśnie jej narcyzm, żądza władzy i uznania mogły przyciągnąć do niej Chandonne'a. Zastanawiam

się, czy ją najpierw śledził. I czy śledził też mnie. Przypuszczam, że odpowiedź na oba te pytania jest twierdząca.

– Czy myślisz, że byłabyś nadal głównym koronerem, gdyby Dianę Bray żyła? – Anna nie spuszcza ze mnie oczu.

– Nie pozwoliłabym jej wygrać. – Próbuję zupy i mój żołądek staje dęba.
– Wszystko mi jedno, jaka była, nie dopuściłabym do tego. Moje życie zależy ode mnie. Nigdy nie zależało od niej. Tylko ja mogę je budować lub niszczyć.

– A może jesteś zadowolona, że ona nie żyje? – wtrąca Anna.

– Świat jest na pewno lepszy bez niej. – Odsuwam daleko od siebie serwetkę wraz ze wszystkim, co się na niej znajduje. – Taka jest prawda. Świat jest lepszy bez takich ludzi jak ona. Byłby lepszy bez niego.

– Bez Chandonne'a? Potakuję.

– Więc może wolałabyś, żeby Lucy go zabiła – sugeruje spokojnie Anna. Potrafi domagać się prawdy bez agresji i bez osądzania. – Może, jak to się mówi, nacisnęłabyś guzik?

– Nie. – Potrząsam głową. – Nie nacisnęłabym guzika w niczym przypadku. Nie mogę jeść. Przykro mi, że zadałaś sobie tyle trudu. Mam nadzieję, że nie zaczynam chorować.

– Dosyć już tej rozmowy. – Anna nagle zamienia się w matkę, decydującą, że czas iść do łóżka. – Jutro niedziela, dobry dzień, aby spokojnie siedzieć w domu i odpoczywać. Wyczyściłam kalendarz, odwołałam wszystkich pacjentów z poniedziałku. A jak będzie trzeba, odwołam jeszcze we wtorek i środę, i resztę tygodnia.

Próbuję zaprotestować, ale Anna nie słucha.

– Dobra strona mojego wieku to ta, że mogę robić, co mi się żywnie podoba – oświadcza. – W nagłych wypadkach jestem pod telefonem. Ale to

wszystko. A w tej chwili ty jesteś moim najcięższym nagłym wypadkiem, Kay.

– Nie jestem nagłym wypadkiem. – Wstaję od stołu.

Anna pomaga mi nieść torby i prowadzi mnie długim korytarzem, który wiedzie do zachodniego skrzydła jej majestatycznej rezydencji. W pokoju gościnnym, gdzie mam zamieszkać na czas nieokreślony, dominuje wielkie cisowe łoże, bladozłoty biedermeier, jak większość mebli w tym domu. Wystrój wnętrza jest powściągliwy, przeważają proste linie, ale puchowe kołdry i poduszki, a także ciężkie zasłony w kolorze szampana, spływające niczym jedwabne wodospady ku drewnianej podłodze, zdradzają prawdziwą naturę pani domu. Posłannictwem życiowym Anny jest pocieszanie innych, leczenie, przepędzanie bólu, cieszenie się czystym pięknem.

– Czy potrzeba ci czegoś jeszcze? – Wiesza moje ubrania. Pomagam jej porozkładać rzeczy w szufladach komody i uświadamiam sobie, że znowu drzę.

– Dać ci coś na sen? – Ustawia moje buty w równym rzędzie na dole w szafie.

Wziąć ativan albo jakiś inny środek uspokajający to kusząca propozycja, której się jednak opieram.

– Zawsze się bałam, że się przyzwyczaję – odpowiadam niepewnie. – Widzisz, jak mi idzie z papierosami. Nie można mi ufać.

Anna przygląda mi się bacznie.

– To bardzo ważne, żebyś dobrze spała, Kay. Nie ma nic lepszego na depresję.

Nie jestem pewna, co mówi, ale wiem, o co jej chodzi. Jestem w depresji, a brak snu jeszcze wszystko pogarsza. Przez całe życie cierpię na nawroty bezsenności jak na artretyzm, a kiedy zostałam lekarzem,

musiałam się opierać łatwemu dostępowi do lekarstw. Leki na recepty są pod ręką, ale zawsze trzymałam się od nich z daleka.

Anna zostawia mnie samą, a ja siedzę w łóżku, zgasiwszy światło, i wpatruję się w ciemność. Na poły wierzę, że kiedy nadejdzie ranek, okaże się, że to, co zaszło, to jeszcze jeden z nękających mnie złych snów, kolejny horror, który wypełził z jakiejś kryjówki w głębi mnie samej, w chwili kiedy nie byłam tego świadoma. Mój głos rozsądku bada moje wnętrze jak latarka, ale nie rozprasza niczego. Nie potrafię wyjaśnić ani nadać żadnego sensu temu, że omal nie zostałam zmasakrowana i zabita, ani temu, jaki wpływ będzie miał ów fakt na resztę mojego życia. Nie czuję tego. Nie rozumiem. Boże, pomóż mi. Przewracam się na bok i zamykam oczy. Układam samą siebie do snu, matka odmawiała ze mną pacierz, ale zawsze uważałam, że tamte słowa odnosiły się bardziej do mojego chorego ojca, leżącego w sypialni w głębi korytarza. Czasem, kiedy wyszła już z mojego pokoju, wstawiałam do modlitwy męski zaimpek. Gdyby miał umrzeć, zanim się obudzi, proszę, Boże, żebyś wziął jego duszę – i płacząc, zasypiałam.

Rozdział 3

Nazajutrz rano budzi mnie dźwięk głosów i niepokojące wrażenie, że przez całą noc dzwonił telefon. Nie jestem pewna, czy mi się to nie śniło. Przez straszną chwilę nie mam pojęcia, gdzie jestem, a potem wszystko wraca ohydną, przerażającą falą. Przez chwilę siedzę nieruchomo, oparta o poduszki. Poprzez zasunięte firanki widzę, że słońce znowu się oddaliło, nie pozostawiając nic oprócz szarości.

Biorę gruby szlafrok frotte wiszący na drzwiach łazienki, wkładam skarpetki, po czym idę zobaczyć, kto jeszcze jest w domu. Mam nadzieję, że zjawiała się Lucy, i tak jest w istocie. Obie z Anną siedzą w kuchni. Za wielkimi oknami, wychodzącymi na podwórze za domem i płaską rzekę jak z cyny, drobnymi płatkami pada śnieg. Nagie drzewa, których ciemne kontury rysują się w tle, poruszają się lekko na wietrze, a z komina domu najbliższego sąsiada unosi się dym z palonego drewna. Lucy ma na sobie spłowiały dres z czasów, kiedy studiowała w Massachusetts Institute of Technology. Jej krótkie, rudawobrazowe włosy wyglądają, jakby je tylko przeczesła palcami. Sprawia wrażenie niezwykle ponurej, a szklane spojrzenie przekrwionych oczu każe mi podejrzewać, że wczoraj wieczorem przeholowała z alkoholem.

– Dopiero przyjechałaś? – Ściskam ją na dzień dobry.

– Właściwie wczoraj wieczorem – odpowiada, ściskając mnie mocno. – Nie mogłam się powstrzymać. Pomyślałam, że wpadnę i będziemy gadać, leżąc w łózkach, ale spałaś już jak suseł. To moja wina, za późno się zjawiłam.

– Och, nie. – Czuję pustkę w środku. – Powinnaś była mnie obudzić. Dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Po prostu nie mogłam. Jak ręka?

– Już tak nie boli. – To niezupełnie prawda. – Wyprowadziłaś się z hotelu? Z Jeffersona?

– Nie, wciąż tam mieszkam. – Nie potrafię odczytać wyrazu jej twarzy. Siada na podłodze i zdejmuje dół dresu, ukazując obcisłe spodnie treningowe z jaskrawego nylonu.

– Coś mi się zdaje, że twoja siostrzenica ma na mnie zły wpływ – wtrąca się Anna. – Zjawiła się tu z butelką bardzo dobrego szampana Veuve Cliquot i siedziałyśmy o wiele za długo. Nie pozwoliłam jej usiąść za kierownicą i wracać do miasta.

Czuję ukłucie bólu, może to zazdrość.

– Szampan! Oblewacie coś? – pytam.

Zamiast odpowiedzi Anna wzrusza lekko ramionami. Coś zaprzęta jej myśli. Czuję, że są bardzo poważne i że nie chce ich przede mną wyjawiać. Zastanawiam się, czy wczoraj wieczorem rzeczywiście nie dzwonił telefon. Lucy rozpina kurtkę, ponownie ukazując jaskrawy niebiesko-czarny nylon, który na jej silnym, wysportowanym ciele leży jak warstwa farby.

– No. Oblewamy – mówi z goryczą w głosie. – Wysłali mnie na urlop administracyjny.

Mam wrażenie, że źle usłyszałam. Urlop administracyjny to tyle co zawieszenie. Pierwszy krok do zwolnienia. Patrzę na Annę, usiłując się

zorientować, czy już o tym wie, ale sprawia wrażenie tak samo zdziwionej jak ja.

– Wysłali mnie na plażę. – To w slangu ATF oznacza właśnie zawieszenie. – Jakoś w przyszłym tygodniu czy kiedyś mam dostać pismo z listą wszystkich wykroczeń, jakich się dopuściłam. – Lucy mówi zblazowanym tonem, ale znam ją zbyt dobrze, żeby się na to nabrać. Przez ostatnie miesiące i lata widziałam tylko, jak się w niej gotowała złość, a teraz dostrzegam, jak wylewa się spod licznych warstw jej złożonej osobowości. – Podadzą mi wszystkie powody, dla których powinnam zostać zwolniona i będę miała prawo złożyć odwołanie. Chyba że uznam, że pieprzę to wszystko, i sama odejdę. Może tak zrobię. Nie potrzebuję ich.

– Dlaczego? Co się stało, na miłość boską? To nie przez niego? – Mam na myśli Chandonne’a.

Zazwyczaj w wypadkach, kiedy agent jest wmieszany w strzelaninę albo znalazł się w innego rodzaju krytycznej sytuacji, natychmiast daje mu się wsparcie kolegów i przydziela go do mniej stresujących spraw, odsuwa się go od niebezpiecznych, tajnych zadań, jakie Lucy wykonywała w Miami. Jeśli ktoś nie potrafi pozbierać się emocjonalnie, może nawet dostać specjalny urlop. Ale urlop administracyjny to coś innego. To kara.

Lucy podnosi na mnie oczy. Siedzi z wyprostowanymi nogami, dłonie opiera o podłogę za swoimi plecami.

– Tak źle i tak niedobrze – odpowiada. – Gdybym go zabiła, dostałabym za swoje. Nie zabiłam i też mam za swoje.

– Jesteś zamieszana w strzelaninę w Miami, a zaraz potem zjawiasz się w Richmondzie i omal nie zabijasz jeszcze kogoś.

Anna stwierdza fakty. To bez znaczenia, że ten „jeszcze ktoś” jest seryjnym mordercą, który wdarł się do mojego domu. W przebiegu kariery zawodowej mojej siostrzenicy, jeszcze przed incydem w Miami,

figurowało użycie siły. Jej burzliwa przeszłość wisi ciężko nad kuchnią Anny jak front niżowy.

– Pierwsza to przyznaję – odpowiada Lucy. – Wszyscy chcieliśmy go rozwalić. Myślisz, że Marino nie? – Patrzy mi w oczy. – Czy nie wiesz, że każdy gliniarz, każdy agent, który pojawił się w twoim domu, chciał pociągnąć za spust? Oni myślą, że jestem specjalnym przypadkiem, jakąś psychopatką, którą rajcuje zabijanie. Przynajmniej to mi dają do zrozumienia.

– Potrzebny ci urlop – oświadcza bez osłonek Anna. – Może tylko o to chodzi.

– Nie, nie o to. Słuchaj, gdyby któryś z facetów zrobił to, co ja zrobiłam w Miami, byłby bohaterem. Gdyby któryś facet prawie zabił Chandonne’a, szczy w Waszyngtonie chwaliłyby go za opanowanie, zamiast się czepiać, że o mało czegoś nie zrobił. Jak można kogoś karać za to, że omal czegoś nie zrobił? W gruncie rzeczy, jak można udowodnić, że ktoś omal czegoś nie zrobił?

– Cóż, będą musieli to udowodnić – odpowiada tkwiący we mnie prawnik i oficer śledczy.

Jednocześnie przypominam sobie, że Chandonne też omal mi czegoś nie zrobił. Nie zrobił tego, bez względu na to, jakie miał zamiary, a jego obrońca będzie podkreślał i zaznaczał ten fakt.

– Mogą sobie robić, co im się podoba – mówi Lucy z rosnącym bólem i oburzeniem. – Mogą mnie wyrzucić. Albo przyjąć mnie z powrotem i posadzić za biurkiem w jakimś pokoiku bez okien w Dakocie Południowej albo na Alasce. Albo zakopać mnie w jakimś gównianym wydziale, na przykład w audiowizualnym.

– Kay, nie piłaś jeszcze kawy. – Anna stara się złagodzić narastające napięcie.

– Więc może na tym polega mój problem. Może dlatego nic nie ma dzisiaj sensu. – Podchodzę do ekspresu do kawy, stojącego obok zlewu. – Ktoś jeszcze chce kawy?

Nikt nie ma ochoty. Nalewam sobie filiżankę. Lucy pochyła się do przodu, robiąc głębokie skłony. Zawsze podziwiam, jak płynne i giętne są jej ruchy, jak pięknie jest umięśniona – silnie, ale bez ostentacji. Początkowo pulchna i powolna, poświęciła wiele lat, żeby zmienić własne ciało w maszynę, reagującą tak, jak ona wymaga, podobnie jak helikoptery, które pilotuje. Może to brazylijska krew dodaje ciemnego ognia jej urodzie, ale Lucy jest elektryzująca. Wszędzie, gdzie się pojawia, ludzie wlepiają w nią oczy, na co reaguje najwyżej wzruszeniem ramion.

– Nie wiem, jak możesz biegać w taką pogodę – zwraca się do niej Anna.

– Lubię się katować. – Lucy zapina pasek z saszetką, w której ma pistolet.

– Musimy jeszcze o tym porozmawiać, zastanowić się, co powinnaś zrobić. – Kofeina uspokaja pracę mojego serca i przywraca jasność myśli.

– Po biegu idę ćwiczyć do siłowni. Trochę mi to zajmie.

– Nic tylko katowanie i katowanie – mówi w zamyśleniu Anna. Patrząc na siostrzenicę, myślę tylko o tym, jaka jest niezwykła i ile razy los był dla niej niesprawiedliwy. Nigdy nie знаła swego biologicznego ojca, a potem pojawił się Benton i zastąpił tego nieobecnego – i jego także straciła. Jej matka to egocentryczka, która zbyt rywalizuje ze swoją córką, żeby ją kochać, o ile moja siostra Dorothy w ogóle mogłaby kogokolwiek kochać, w co wątpię. Lucy jest chyba najinteligentniejszą i najbardziej złożoną osobowością, jaką znam. Nie zyskała przez to grona wielbicieli. Zawsze była zbuntowana i kiedy teraz patrzę, jak wybiega z kuchni niczym zawodniczka olimpijska, uzbrojona i niebezpieczna, przypomina mi się

okres, gdy zaczynała szkołę w wieku czterech i pół roku i oberwała dwóję ze sprawowania.

– Jak się dostaje dwóję ze sprawowania? – zapytałam moją siostrę, kiedy zadzwoniła do mnie wściekła, żeby ponarzekać, jak strasznie ciężko jest być matką Lucy.

– Cały czas gada, przerywa innym uczniom, ciągle podnosi rękę i zgłasza się do odpowiedzi! – wyliczyła w słuchawkę Dorothy. – Wiesz, co nauczycielka napisała jej w dzienniczku? Proszę! Pozwól, że ci przeczytam! „Lucy nie pracuje i nie bawi się dobrze z innymi dziećmi. Popisuje się i wymądrza, i ciągle coś rozmontowuje, na przykład temperówki i klamki”.

Lucy jest lesbijką. To chyba najbardziej niesprawiedliwe ze wszystkiego, bo nie można z tego wyrosnąć ani tego zmienić. Homoseksualizm jest niesprawiedliwy, gdyż stwarza niesprawiedliwość. Dlatego serce mi krwawiło, kiedy się dowiedziałam o tej stronie życia mojej siostrzenicy. Rozpaczliwie nie chcę, żeby cierpiała. Zmuszam także samą siebie do przyznania, że do tej pory udawało mi się ignorować to, co oczywiste. ATF nie umie okazać wielkoduszności ani nie wybacza i Lucy już chyba o tym wie od jakiegoś czasu. Kierownictwo w Waszyngtonie nie będzie brać pod uwagę wszystkiego, czego dokonała, ale spojrzy na nią przez zniekształcającą soczewkę uprzedzeń i zawiści.

– To polowanie na czarownice – stwierdzam po wyjściu Lucy. Anna wbija jajko do miseczki.

– Chcą się jej pozbyć, Anno.

Moja przyjaciółka wrzuca skorupkę do zlewu, otwiera lodówkę, wyjmuje karton mleka, sprawdza datę ważności.

– Niektórzy uważają ją za bohaterkę – zauważa.

– Wymiar sprawiedliwości jedynie toleruje kobiety. Nie ceni ich, a te, które stają się bohaterkami, karze. To brudna tajemnica, o której nikt nie chce mówić – odpowiadam.

Anna energicznie ubija jajka widelcem.

– To jest nasza historia, ta sama – ciągnę. – Weźmy medycynę w czasach, kiedy musiałyśmy przeproszać, że zajmujemy miejsca przeznaczone dla mężczyzn. W niektórych wypadkach unikano nas i sabotowano. Na pierwszym roku poza mną były jeszcze trzy kobiety. Ile było u ciebie?

– W Wiedniu było inaczej.

– W Wiedniu? – Myśli mi się płaczą.

– Tam studiowałam – wyjaśnia Anna.

– Och. – Ogarnia mnie poczucie winy, gdy poznaję kolejny nieznany mi dotąd szczegół życia mojej dobrej przyjaciółki.

– Kiedy tu przyjechałam, to wszystko, co mówisz o sytuacji kobiet, tak właśnie wyglądało. – Anna zaciska usta w twardą linię i wlewa rozbite jajka na żeliwną patelnię. – Pamiętam, jak było, kiedy się przenieśliśmy do Wirginii. Jak mnie traktowano.

– Doskonale wiem, jak to jest, możesz mi wierzyć.

– To było trzydzieści lat wcześniej, Kay. Naprawdę nie wiesz wszystkiego.

Jajka bulgoczą, unosi się z nich para. Opieram się o blat i piję kawę, żal mi, że spałam wczoraj, kiedy przyszła Lucy, boli mnie, że z nią nie rozmawiałam. Musiałam się wszystkiego dowiedzieć właśnie tak, niemal mimochodem.

– Rozmawiała z tobą? – pytam Annę. – O tym, co nam teraz powiedziała? Anna składa omlet na czworo.

– Patrząc wstecz, myślę, że przyjechała tu z szampanem, bo chciała ci o tym powiedzieć. Dość niefortunnie dobrany alkohol, zważywszy na rodzaj wiadomości. – Wyjmuje z tostera pełnoziarniste muffinki. – Łatwo jest zakładać, że psychiatrzy prowadzą ze wszystkimi głębokie rozmowy, podczas gdy w rzeczywistości ludzie rzadko mówią mi o swoich prawdziwych uczuciach, nawet jeśli słono płacą za każdą godzinę. – Niesie talerze do stołu. – Najczęściej mówią mi o tym, co myślą. I to cały problem. Za dużo myślą.

– Nie zrobią tego otwarcie. – Siadamy naprzeciwko siebie, wracam myślami do ATF. – Ich atak będzie zamaskowany, tak jak było w FBI. Prawdę mówiąc, FBI spławiło ją z tego samego powodu. Była ich wschodzącą gwiazdą, czarodziejką od komputerów, pilotem helikopterów, pierwszą kobietą w zespole do uwalniania zakładników. – Opowiadam życiorys Lucy, a Anna patrzy na mnie coraz bardziej sceptycznie. Obie wiemy, że nie muszę tego wszystkiego wyliczać. Anna zna Lucy od dziecka. – Potem wyciągnęli argument o homoseksualizmie. – Nie mogę przestać. – Odeszła od nich do ATF. I proszę, znowu to samo. Powtarza się ta sama historia. Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Bo pozwalasz, żeby cię zżerały problemy Lucy, a twoje własne są większe niż Mont Blanc.

Moja uwaga przenosi się za okno. Do karmnika podlatuje niebieska sójka, stroszy piórka. Nasiona słonecznika spadają i znaczą pokrytą śniegiem ziemię jak kulki ołowianego śrutu.

Błede palce słońca badają zachmurzony poranek. Nerwowo kręcę filiżanką po stole. Gdy jem, łokieć pulsuje mi powoli i głęboko. Jakiegokolwiek byłyby moje problemy, powstrzymuję się od mówienia o nich, tak jakby nie miały już znaczenia. Anna nie naciska. Milczymy. Sztućce postukują o talerze, a śnieg sypie gęściej, pokrywając krzewy i drzewa jak

warstwa lukru, i zawisa niczym mgła nad rzeką. Wracam do swojego pokoju. Biorę długą, gorącą kąpiel, opierając rękę w gipsie o krawędź wanny. Ubieram się z trudem, zdaję sobie sprawę, że chyba nigdy nie opanuję sztuki wiązania sznurowadeł jedną ręką. Rozlega się dzwonek przy drzwiach. Chwilę potem Anna puka i pyta, czy jestem ubrana.

Moje myśli robią się czarne, przewalają się jak burza. Nie oczekuję towarzystwa.

– Kto przyszedł?! – wołam.

– Buford Righter – brzmi odpowiedź.

Rozdział 4

Ludzie różnie mówią o Righterze za jego plecami: że jest słaby, nijaki, niezdolny do walki, że się boi własnego cienia. Zawsze uprzejmy, zawsze na swoim miejscu, Righter pozostaje tym dżentelmenem z Wirginii, na jakiego go wychowano w Caroline County, końskim hrabstwie, skąd pochodzi. Nikt go nie kocha. Nikt go nie nienawidzi. Nie wzbudza ani strachu, ani szacunku. Nie ma w nim ognia. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widziała go poruszonego, bez względu na to, o jak okrutną czy rozdzierającą serce sprawę chodziło. Co gorsza, brzydzą go szczegóły, które przedstawiam na spotkaniach i woli się skupić na prawie niż na strasznych ludzkich jatkach, jakie pozostawiają ci, którzy to prawo łamią.

Przez to, że unika kostnicy, nie jest tak obznajomiony z medycyną sądową, jak powinien. Prawdę mówiąc, jest jedynym doświadczonym prokuratorem, jakiego znam, który nie ma nic przeciwko posługiwaniu się w sali sądowej pisemnym sprawozdaniem zamiast zeznania koronera. To czysta parodia. Nadużycie zaufania. Kiedy na rozprawie nie zeznaje koroner, wówczas, w pewnym sensie, nie ma także ciała i przysięgli nie mogą wyobrazić sobie ofiary ani tego, przez co przeszła, umierając gwałtowną śmiercią. Kliniczne słownictwo w protokołach po prostu nie

oddaje całej grozy i cierpienia i z tego powodu zazwyczaj właśnie obrona, a nie oskarżyciel, stara się ustalić przyczynę śmierci.

– Jak się masz, Buford. – Wyciągam rękę, a on spogląda na gips i temblak, a potem opuszcza wzrok na moje niezawiązane sznurowadła i zwisające końce bluzki.

Nigdy nie widział mnie ubranej inaczej niż w kostium i w otoczeniu stosownym do mojej pozycji zawodowej, więc teraz marszczy brwi i przybiera wyraz twarzy mający oznaczać łagodne współczucie, zrozumienie, pokorę i troskę tych, których sam Bóg wybrał, żeby rządili całą resztą podrzędniejszych stworzeń. Jest wielu takich jak on wśród pierwszych rodzin Wirginii, uprzywilejowanych, zacofanych ludzi, którzy opanowali wyrefinowaną umiejętność ukrywania swego snobizmu i arogancji, pozując na kogoś, kto niesie ogromny ciężar, jak gdyby bycie taką osobą było piekielnie trudne.

– Jak ty się masz, to jest właściwe pytanie – odpowiada, siadając ponownie w pięknym salonie Anny, ze sklepionym sufitem i widokiem na rzekę.

– Buford, naprawdę nie wiem, jak na to odpowiedzieć. – Siadam w fotelu na biegunach. – Za każdym razem kiedy ktoś o to pyta, mój umysł, jak system komputera, ponownie się ładuje. – Anna wyraźnie dopiero co napaliła w kominku i znikła, a ja mam nieprzyjemne uczucie, że jej nieobecność to coś więcej niż uprzejmość i chęć nieprzeszkadzania.

– Trudno się dziwić. Nie wiem, jak możesz funkcjonować po tym, co przeszłaś. – Righter przeciąga słowa, ma wirginijską wymowę, słodką jak syrop. – Przepraszam, że tak się tu zjawilem, Kay, ale wynikło coś niespodziewanego. Ładny dom, prawda? – Dalej przygląda się otoczeniu. – Sama go zbudowała?

Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

– Jesteście blisko zaprzyjaźnione – dodaje.

Nie jestem pewna, czy stara się podtrzymać rozmowę, czy czegoś szuka.

– Anna zawsze była dobra przyjaciółką – odpowiadam.

– Wiem, że bardzo cię ceni. Zmierzam do tego, że nie mogłabyś być teraz w lepszych rękach.

Nie podoba mi się stwierdzenie, jakobym znalazła się w czyichś rękach, jak gdybym była pacjentką. Mówię mu to.

– Ach tak, rozumiem. – Dalej ogląda olejne obrazy na blad różowych ścianach, artystyczne szkło i rzeźby, europejskie meble. – Więc nie macie kontaktów zawodowych? Nigdy nie miałyście?

– Nie w dosłownym sensie – odpowiadam ze złością. – Nigdy nie zamawiałam u niej wizyty.

– Przepisywała ci kiedyś lekarstwa? – wypytuje dobrotliwie.

– Niczego takiego nie pamiętam.

– Nie do wiary, że to już prawie Boże Narodzenie – wzdycha Righter; jego uwaga błądzi tam i z powrotem między mną a rzeką za oknem.

Używając określenia Lucy, wygląda fiutowato w ciężkich, ciemnozielonych, wełnianych, przypominających bawarskie, spodniach zapinanych na guziki, wpuszczonych w wyściełane kożuszką gumki na grubych podszewkach. Ma na sobie wełniany sweter typu Burberry, zapięty pod szyję, jak gdyby nie mógł się zdecydować, czy dzisiaj będzie się wspinał na jakiś szczyt czy grał w golfa w Szkocji.

– Cóż – mówi. – Pozwól, że ci powiem, dlaczego tu jestem. Dwie godziny temu dzwonił kapitan Marino. Stało się coś nieoczekiwanego w sprawie Chandonne'a.

Natychmiast czuję się zdradzona. Mój przyjaciel o niczym mnie nie powiadomił. Nawet się nie pofatygował, żeby zobaczyć, jak się dziś miewam.

– Przedstawię ci to w skrócie, najlepiej jak umiem. – Righter zakłada nogę na nogę i składa uroczyście dłonie na brzuchu; cienka obrączka i sygnet Uniwersytetu Wirginii połyskują w świetle lampy. – Kay, jestem przekonany, że zdajesz sobie sprawę, że wiadomość o tym, co zaszło w twoim domu, i o aresztowaniu Chandonne’a podano wszędzie. Wszędzie. Z pewnością śledziłaś wiadomości, więc zrozumiesz doniosłość tego, co powiem.

Strach jest fascynującym uczuciem. Studiuję je bez końca i często mówię ludziom, że najlepszym przykładem tego, jak działa, jest przypomnieć sobie reakcję kierowcy, na którego się omal nie wpadło. Panika natychmiast przemienia się we wściekłość, tamten natychmiast kładzie się na klaksonie, robi ordynarne gesty albo – zwłaszcza w naszych czasach – strzela. Doświadczam teraz całej gamy tych uczuć, strach przeradza się w furję.

– Specjalnie nie oglądałam telewizji i na pewno nie docenię żadnej doniosłości – odpowiadam. – Nigdy nie rozumiałam naruszania moich prywatnych dóbr.

– Morderstwu Kim Luong i Dianę Bray poświęcono wiele uwagi, ale wszystko to nic w porównaniu z próbą zamordowania ciebie – ciągnie Righter. – Pewnie nie widziałaś dzisiejszego wydania „Washington Post”?

Patrzę na niego bez słowa i gotuję się z wściekłości.

– Na pierwszej stronie zamieścili zdjęcie Chandonne’a na noszach, w drodze do szpitala. Z kudłatymi ramionami wystającymi spod prześcieradła wyglądał jak pies z długą sierścią. Oczywiście twarz miał zakrytą bandażami, ale można się było zorientować, jak dziwnie wygląda. A prasa brukowa skorzystała z okazji – możesz sobie wyobrazić. „Wilkołak z Richmondu”, „Piękna i Bestia”, nagłówki w tym stylu.

Do głosu Rightera wkrada się ton pogardy, jak gdyby pogoń za sensacją była czymś nieprzyzwoitym i wbrew mojej woli staje mi przed oczyma jego obraz z żoną w łóżku. Wyobrażam sobie, że pieprzy ją, nie zdjęwszy skarpetek. Podejrzewam, że uważa seks za coś niegodnego, za prymitywne prawo biologii, biorące górę nad wyższą stroną jego osobowości. Dochodziły mnie pewne plotki. W toalecie nie korzystał z pisuarów czy klozetu w obecności innych. Kompulsywnie myje ręce. Wszystko to przebiega mi teraz przez myśl, a Righter siedzi tak grzecznie i opowiada o fatalnym wystawieniu mnie na widok publiczny, będącym dziełem Chandonne’a.

– Czy pokazano gdzieś zdjęcie mojego domu? – muszę zapytać. – Gdy wyjeżdżałam wczoraj wieczorem, kręcili się tam reporterzy.

– Wiem, że dziś rano przelatowały tam helikoptery, ktoś mi o tym wspomniał – odpowiada Righter, a ja natychmiast podejrzewam, że znowu był u mnie i sam to widział. – Fotografowały dom z powietrza. – Patrzy w okno na padający śnieg. – Pewnie pogoda kazała im przerwać. Strażnik przy bramie odmówił wpuszczenia wielu samochodów. Prasy, ciekawskich. Całkiem niespodziewanie to dobrze, że jesteś u doktor Zenner. Zabawne, jak czasami sprawy same się układają. – Urywa i znowu patrzy w stronę rzeki. Stado kanadyjskich gęsi kołuje w powietrzu, jakby czekając na instrukcje z wieży kontrolnej. – Normalnie zalecałbym, żebyś nie wracała do domu przed zakończeniem procesu.

– Zakończeniem procesu? – przerywam.

– Na wypadek gdyby odbywał się tutaj. – Zmierza do następnej rewelacji, a ja automatycznie przyjmuję, że jest nią zmiana miejsca, gdzie odbędzie się rozprawa.

– Chcesz powiedzieć, że proces zostanie przeniesiony poza Richmond? – pytam. – I co to znaczy „normalnie”?

– Do tego właśnie zmierzam. Marino odebrał telefon z Biura Prokuratora Okręgowego na Manhattanie.

– Dziś rano? I to jest ta niespodziewana sprawa? – Jestem zaskoczona. – Co ma do tego wszystkiego Nowy Jork?

– To było kilka godzin temu – ciągnie Righter. – Kobieta, szef wydziału zbrodni na tle seksualnym. Jaime Berger – dziwne imię, pisze się J-A-I-M-E, ale wymawia „Jamie”. Mogłaś o niej słyszeć. Prawdę mówiąc, nie zdziwiłoby mnie, gdybyście się znały.

– Nie znamy się – odpowiadam. – Ale słyszałam o niej.

– W piątek, piątego grudnia, dwa lata temu, w mieszkaniu na Upper East Side w Nowym Jorku, w okolicy Drugiej Alei i ulicy Siedemdziesiątej Siódmej znaleziono ciało dwudziestoośmioletniej czarnej kobiety. Była meteorologiem, prowadziła prognozę pogody w CNBC. Nie wiem, czy słyszałaś o tym przypadku? Wbrew woli zaczynam kojarzyć fakty.

– Kiedy tego dnia rano nie pojawiła się w studiu i nie odbierała telefonów, ktoś pojechał to sprawdzić. Nazwisko ofiary – Righter wyjmując z tylnej kieszeni spodni skórzany notes i przewraca kartki – Susan Pless. Zwłoki leżały w sypialni, na dywanie przy łóżku. Ubranie było zdarte od talii w górę, twarz i głowa tak zmasakrowane, że wyglądała jak ofiara katastrofy lotniczej. – Podnosi na mnie oczy. – Katastrofa lotnicza to cytat, prawdopodobnie Berger tak to opisała w rozmowie z Marinem. Jakiego słowa ty miałaś zwyczaj używać? Pamiętasz ten przypadek, kiedy para pijanych nastolatków pędziła pikapem, a jeden z nich postanowił wychylić się do połowy przez okno i nadziać się na drzewo?

– Zgniecenie – odpowiadam głucho, rejestrując, co do mnie mówi. – Twarz wgnieciona od silnego uderzenia, takiego jak podczas katastrofy lotniczej, podczas której ludzie zeskakiwali albo spadali na twarz z dużej wysokości. Dwa lata temu? – Mam zamęt w głowie. – Jak to możliwe?

– Oszczędzę ci szczegółów. – Przerzuca kolejne strony notesu. – Ale znaleziono ślady ukąszeń, także na dłoniach i stopach, i mnóstwo dziwnych, długich, białych włosów przyklejonych do ran; początkowo uznano, że są pochodzenia zwierzęcego. Może z długowłosego kota angorskiego. – Znowu podnosi na mnie wzrok. – Widzisz, do czego zmierzam.

Przez cały czas zakładaliśmy, że pojawienie się Chandonne'a w Richmondzie to jego pierwsza wycieczka do Stanów Zjednoczonych. Nasze założenie nie miało właściwie żadnej logicznej podstawy poza tym, że uważaliśmy Chandonne'a za kogoś w rodzaju Quasimodo, potwora, który przez całe życie krył się w suterenie paryskiego domu potężnej rodziny. Zakładaliśmy również, że przyplłynął do Richmondu z Antwerpii w tym samym czasie, kiedy w naszym kierunku zmierzało ciało jego brata. Czy mylimy się również w tej kwestii? Podsuwam tę myśl Righterowi.

– W każdym razie wiesz, co przypuszczał Interpol – brzmi jego komentarz.

– Że był na pokładzie „Syriusza” pod fałszywym nazwiskiem – przypominam sobie. – Niejaki Pascal, którego natychmiast zabrano na lotnisko, gdy tylko statek przybił do portu w Richmondzie na początku grudnia. Podobno pilna sprawa rodzinna wymagała jego natychmiastowego powrotu do Europy. – Powtarzam informacje, które Jay Talley przedstawił w Interpolu w Lyonie, kiedy tam byłam w zeszłym tygodniu. – Nikt naprawdę nie widział, jak wsiadał do samolotu, więc uznano, że Pascal to w rzeczywistości Chandonne i nigdy nigdzie nie wyjechał, tylko tu został i zaczął zabijać. Ale jeśli ten gość bez trudu wjeżdża i wyjeżdża, nie wiadomo, od jak dawna tu jest ani kiedy przyjechał, ani w ogóle nic. Tyle są warte teorie.

– Cóż, wiele z nich zostanie pewnie zrewidowanych, zanim to wszystko się skończy. Nie zamierzam deprecjonować Interpolu ani nikogo innego. – Righter ponownie zakłada nogę na nogę i sprawia wrażenie dziwnie zadowolonego.

– Czy ten Pascal został zlokalizowany?

Righter nie wie, ale myśli, że kimkolwiek jest ów prawdziwy Pascal – zakładając, że rzeczywiście istnieje – to prawdopodobnie musi być kolejną parszywą owcą związaną z przestępczym kartelem rodziny Chandonne'ów.

– Inny facet z fałszywym nazwiskiem, może nawet współlnik tamtego z ładowni – zastanawia się Righter. – Pewnie brat. Thomas Chandonne, o którym wiemy na pewno, że był zaangażowany w rodzinny interes.

– Zakładam, że Jaime Berger słyszała o złapaniu Chandonne'a, słyszała o morderstwach, które popełnił, i zadzwoniła do nas – mówię.

– Rozpoznała sposób działania, tak. Mówi, że sprawa Susan Pless zawsze ją prześladowała. Jaime Berger śpieszy się, żeby porównać DNA. Podobno mają płyn nasienny i zrobili badanie, od dwóch lat mają dokładny obraz DNA.

– Więc w wypadku Susan zrobiono analizę płynu nasiennego. – Zastanawiam się nad tym i jestem trochę zdziwiona, bo zazwyczaj przepracowane, kulejące finansowo laboratoria nie robią badań DNA, jeśli nie ma podejrzanego – szczególnie jeżeli nie istnieje duży bank danych, tak żeby można było porównywać wyniki w nadziei na przypadkowe trafienie. W roku 1997 nowojorski bank danych nawet jeszcze nie istniał. – Czy to znaczy, że od początku mieli podejrzanego? – pytam.

– Myśleli chyba o jakimś facecie, ale nic nie znaleźli. Wiem tylko, że zrobili obraz DNA, a my natychmiast wysłaliśmy dane Chandonne'a do biura ich koronera – próbka już jest w drodze. To, co powiem, jest oczywiste, ale musimy wiedzieć, czy wyniki się pokrywają, zanim

Chandonne zostanie postawiony w stan oskarżenia tu, w Richmondzie. Musimy to wyjaśnić jak najszybciej i dobrze się składa, że zostało nam podarowane kilka dni z powodu jego stanu, z powodu chemicznego poparzenia oczu. – Mówi tak, jakbym nie miała z tym nic wspólnego. – To tak jak owa szczęśliwa godzina, o której zawsze mówisz, krótki czas, który masz, żeby uratować kogoś, kto miał jakiś straszny wypadek czy cokolwiek innego. To nasza szczęśliwa godzina. Porównamy DNA i zobaczymy, czy rzeczywiście Chandonne zabił tamtą kobietę w Nowym Jorku dwa lata temu.

Righter ma irytujący zwyczaj powtarzania tego, co powiedziałam, jak gdyby opowiadanie anegdot pozwalało mu nie znać się na sprawach, które są ważne.

– A co ze śladami ukąszeń? – pytam. – Czy była na ten temat jakaś informacja? Chandonne ma bardzo charakterystyczne uzębienie.

– Wiesz, Kay – odpowiada – naprawdę nie wchodziłem w takie szczegóły.

Oczywiście, że nie. Domagam się prawdy, chcę poznać rzeczywistą przyczynę, dla której dziś tu do mnie przyszedł.

– A co, jeśli DNA wskaże na Chandonne'a? Czemu chcesz to wiedzieć przed postawieniem go w stan oskarżenia tutaj, w Wirginii? – To retoryczne pytanie. Chyba wiem dlaczego. – Nie chcesz, żeby mu przedstawiono oskarżenie tutaj. Wolisz go przekazać Nowemu Jorkowi, żeby go najpierw sądzono tam, a nie u nas.

Unika mojego wzroku.

– A czemuż miałbyś tak zrobić, Buford? – ciągnę, teraz już przekonana, że właśnie tak postanowił. – Żeby móc umyć ręce od sprawy? Wysłać go na Riker's Island i pozbyć się sprawy? Bądźmy uczciwi, Buford, jeśli go skażą

za morderstwo pierwszego stopnia w Nowym Jorku, nie będziesz sobie zawracał głowy procesem tutaj, prawda?

Rzuca mi jedno ze swych szczerych spojrzeń.

– Cała nasza społeczność zawsze cię szanowała. Jestem zaskoczona.

– Zawsze szanowała? – Niepokój zalewa mnie jak strumień zimnej wody. – Chcesz powiedzieć, że już nie szanuje?

– Mówię ci tylko, że rozumiem, jak się czujesz – że ty i te inne biedaczki zasługujecie na to, aby Chandonne dostał pełny wymiar...

– Więc przypuszczam, że temu draniowi ujdzie na sucho to, co mi próbował zrobić – wpadam mu ostro w słowo. W głębi tego wszystkiego czai się ból. Ból odtrącenia. Ból bycia opuszczoną. – Przypuszczam, że ujdzie mu na sucho to, co zrobił tym innym biedaczkom, jak je nazywasz. Mam rację?

– W Nowym Jorku istnieje kara śmierci – tłumaczy.

– Och, na litość boską! – krzyczę z obrzydzeniem. Wpatruję się w niego intensywnie, z napięciem, jak w obiekt pod szkłem powiększającym, którego używałam do dzieciennych eksperymentów, wypalania dziur w papierze i zeschniętych liściach. – A kiedyż to kogoś na nią skazali? – Righter wie, że odpowiedź brzmi „nigdy”. Na Manhattanie nigdy nikomu nie wstrzyknięto trucizny.

– Nie ma też gwarancji, że orzekliby ją w Wirginii – zauważa rozsądnie.

– Oskarżony nie jest obywatelem amerykańskim. Cierpi na dziwną, deformującą chorobę, czy jak to nazwać. Nawet nie jesteśmy pewni, czy mówi po angielsku.

– Z całą pewnością mówił po angielsku, kiedy przyszedł do mnie do domu.

– Może się jeszcze wykręcić niepoczytalnością.

– Myślę, Buford, że to będzie zależało od umiejętności prokuratora.

Righter mruga. Mięśnie jego szczęk napinają się gwałtownie. Wygląda jak hollywoodzka parodia księgowego – cały szczelnie pozapinany, w malutkich okularkach – który właśnie poczuł jakiś przykry zapach.

– Rozmawiałeś z tą Berger? – pytam. – Musiałeś z nią rozmawiać. Nie mogłeś tu przyjechać na własną rękę. Zawarliście jakiś układ.

– Rozmawialiśmy. Są naciski, Kay, na pewno zdajesz sobie z tego sprawę. Po pierwsze, Chandonne jest Francuzem. Wyobrażasz sobie reakcję Francji, gdybyśmy chcieli stracić jednego z jej synów tutaj, w Wirginii?

– Rany boskie! – wybucham. – Tu nie chodzi o karę śmierci. Chodzi o karę i kropka. Znasz moje poglądy na temat kary śmierci, Buford. Jestem jej przeciwna. Im jestem starsza, tym bardziej. Ale, do cholery, powinien odpowiedzieć za to, co zrobił w Wirginii.

Righter nie odpowiada i znowu patrzy w okno.

– Więc uzgodniliście z Jaime Berger, że jeśli DNA będzie się zgadzało, Manhattan może przejąć sprawę Chandonne'a – proponuję swoje podsumowanie sytuacji.

– Zastanów się nad tym. To najlepsze, czego się możemy spodziewać w kwestii zmiany miejsca, że tak powiem. – Teraz na mnie patrzy.

– I sama dobrze wiesz, że proces nie mógłby się odbyć tutaj, w Richmondzie, przy całym tym hałasie i tak dalej. Prawdopodobnie wysłaliby nas wszystkich do jakiegoś wiejskiego sądu, milion kilometrów stąd – i jak byś to znosiła przez całe tygodnie, a może i miesiące?

– Słusznie. – Wstaję i szturcham głównie pogrzebaczem. Ogień grzeje mi twarz, iskry wzlatają jak stado spłoszonych szpaków. – Nie daj Boże, żebyśmy zostali narażeni na jakieś niewygody.

Szturcham mocno płonące drewno zdrową ręką, jak gdybym chciała zgasić ogień. Wracam na swoje miejsce i siadam, nagle bliska łez. Wiem wszystko o syndromie posttraumatycznym i zakładam, że właśnie to mi

dolega. Jestem niespokojna i łatwo mnie przestraszyć. Niedawno włączyłam lokalną stację nadającą muzykę klasyczną i Pachelbel pogrążył mnie w smutku tak, że zaczęłam płakać. Rozpoznaję objawy. Przełykam ślinę i opanowuję się natychmiast. Righter obserwuje mnie w milczeniu z wyrazem zmęczenia i smutnej szlachetności na twarzy, jak gdyby był Robertem E. Lee, rozpamiętującym bolesną bitwę.

– Co ze mną będzie? – pytam. – Czy może mam dalej żyć, jak gdybym nigdy się nie zajmowała tymi strasznymi zbrodniami – nie przeprowadziła sekcji ofiar ani nie uszła cudem z życiem, kiedy ich zabójca wdarł się do mojego domu? Buford, jaka ma być w tym wszystkim moja rola, jeśli przyjmiemy, że proces odbędzie się w Nowym Jorku?

– To będzie zależało od pani Berger – odpowiada.

– Darmowe obiady. – Używam tego wyrażenia w odniesieniu do ofiar, które nigdy nie doczekały się sprawiedliwości. W scenariuszu, jaki sugeruje Righter, ja na przykład będę darmowym obiadem, bo Chandonne nigdy nie zostanie osądzony w Nowym Jorku za to, co chciał ze mną zrobić w Richmondzie. A także, co jeszcze bardziej niesłychane, nawet mu nie dadzą po łapach za popełnione tu morderstwa. – Rzuciłeś nasze miasto na pożarcie wilkom – mówię Bufordowi.

Sens tej gry słów dociera do mnie i do niego w tej samej chwili, widzę to w oczach mojego rozmówcy. Richmond już został wydany na pastwę jednego wilka, Chandonne'a. Kiedy zaczął zabijać we Francji, do jego sposobu działania należało pozostawianie kartek podpisanych *Le Loup Garou*, Wilkołak. Teraz sprawiedliwość, należna ofiarom z naszego miasta, będzie w rękach obcych, czyli, mówiąc ściślej, nie doczekamy się sprawiedliwości. Wszystko może się zdarzyć. Wszystko się zdarzy.

– A jeśli Francja zażąda ekstradycji? – rzucam wyzwanie Righterowi. - I jeśli Nowy Jork się zgodzi?

– Możemy tak gdybać do końca świata. Wpatruję się w niego z nieukrywaną pogardą.

– Nie bierz tego do siebie, Kay. – Znowu posyła mi to swoje pobożne, smutne spojrzenie. – Nie traktuj tego jak swoją osobistą wojnę.

Chcemy tylko, żeby ten drań został unieszkodliwiony. Nieważne, kto to zrobi.

Wstaję z krzesła.

– Owszem, ważne. Cholernie ważne – mówię. – Jesteś tchórzem, Buford. – Odwracam się do niego plecami i wychodzę z pokoju.

Kilka minut później za zamkniętymi drzwiami mojego pokoju słyszę, jak Anna odprowadza Rightera do wyjścia. Najwyraźniej został dłużej, żeby z nią porozmawiać – zastanawiam się, co jej o mnie naopowiadał. Kompletnie zagubiona, siadam na brzegu łóżka. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek czuła się taka samotna i taka przerażona. Czuję ulgę, słysząc kroki Anny w korytarzu. Puka lekko do drzwi.

– Proszę – odpowiadam niepewnym głosem.

Staje w drzwiach i patrzy na mnie. Czuję się jak dziecko, bezbronna, pozbawiona nadziei, głupia.

– Obraziłam Rightera – mówię. – Nawet jeśli to, co powiedziałam, jest prawdą. Nazwałam go tchórzem.

– Uważa, że jesteś teraz niezrównoważona – odpowiada Anna. – Martwi się. Jest przy tym *ein Mann ohne Ruckgrat*, człowiekiem bez kręgosłupa, jak mówimy tam, skąd pochodzę. – Uśmiecha się lekko.

– Anno, nie jestem niezrównoważona.

– Dlaczego siedzimy tutaj, skoro możemy się cieszyć ogniem na kominku? – pyta.

Chce ze mną porozmawiać.

– Dobra – ustępuję. – Wygrałaś.

Rozdział 5

Nigdy nie byłam pacjentką Anny, a skoro już o tym mowa, nigdy nie uczestniczyłam w żadnej psychoterapii, co nie znaczy, że nigdy jej nie potrzebowałam. Z pewnością była mi potrzebna. Nie znam nikogo, kto nie skorzystałby na dobrej terapii. Tylko że jestem zamknięta w sobie, niełatwo ufam ludziom i mam ku temu powody. Absolutna dyskrecja nie istnieje. Jestem lekarką i znam innych lekarzy. Rozmawiają między sobą, ze swoimi rodzinami i z przyjaciółmi. Powtarzają tajemnice, choć złożyli przysięgę Hipokratesa, że do nikogo nie puszczą pary z ust. Anna gasi lampy. Jest późny poranek, pochmurny i ciemny jak zmierzch. Różowe ściany odbijają blask ognia, dzięki czemu salon staje się wręcz zniewalająco przytulny. Nagle czuję się skrzepowana. Anna przygotowała scenę, na której mam się odsłonić. Siadam w bujanym fotelu, a ona przysiada na brzegu otomany, blisko mnie, jak wielki ptak, pochylony nad swoim gniazdem.

– Nie wyjdiesz z tego, jeśli nie zaczniesz mówić. – Jest brutalnie szczerą.

Smutek podchodzi mi do gardła, usiłuję go przełknąć.

– Jesteś w traumie – ciągnie Anna. – Kay, nie jesteś z żelaza. Nawet ty nie zdołasz tyle znieść i żyć, jakby nic się nie stało. Dzwoniłam do ciebie

wiele razy po tym, jak zginął Benton, a ty nie mogłaś znaleźć dla mnie czasu. Dlaczego? Bo nie chciałaś rozmawiać.

Tym razem nie potrafię ukryć uczuć. Łzy płyną mi po twarzy i skapują na kolana jak krew.

– Zawsze mówię swoim pacjentom, że jeśli nie staną twarzą w twarz ze swoimi problemami, czeka ich dzień zapłaty. – Anna pochyła się do przodu, kładąc nacisk na słowa, które kieruje wprost w moje serce. – To jest twój dzień zapłaty. – Celuje we mnie palcem, nie spuszczając z oczu. – Teraz będziesz ze mną rozmawiać, Kay Scarpetta.

Patrzę ponuro w dół, na swoje kolana. Na moich spodniach widać ślady łez i mam idiotyczne skojarzenie, że są doskonale okrągłe, bo spadły pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

– Nigdy się od tego nie uwolnię – mówię cicho, z rozpaczą.

– Od czego? – To wzbudziło zainteresowanie Anny.

– Od tego, czym się zajmuję. Wszystko przypomina mi o czymś związanym z pracą. Nie mówię o tym.

– Chcę, żebyś teraz mi o tym powiedziała.

– To głupie.

Anna, cierpliwa jak wędkarz, czeka, wiedząc, że dotykam haczyka. Potem go połykam. Podaję przykłady, które uważam za żenujące, jeśli nie zgoła śmieszne. Mówię jej, że nigdy nie piję soku pomidorowego ani warzywnego, ani krwawej mary z lodem, bo kiedy lód się zaczyna topić, wygląda, jakby krzepnąca krew oddzielała się od surowicy. Podczas studiów przestałam jadać wątróbkę, a myśl o jakimkolwiek organie jako o daniu na moim talerzu jest nie do zniesienia. Przypominam sobie poranek na Hilton Head Island, kiedy spacerowałam z Bentonem po plaży – cofająca się fala pozostawiała bruzdy na szarym piasku, który niezwykle przypominał błonę śluzową żołądka. Moje myśli krążą i biegną, dokąd

chcą, i po raz pierwszy od dawna pojawia się w nich wycieczka do Francji. Przy tej wyjątkowej okazji, kiedy Bentonowi i mnie udało się naprawdę oderwać od pracy, objechaliśmy winnice wzdłuż szlaku *Grands Vins de Bourgogne*, Wielkich Win Burgundii. Przyjmowano nas w sławnych Drouhin i Dugat, próbowaliśmy win z beczek w Cambertin, Montrachet, Musigny i Vosne-Romanee.

– Pamiętam, że czułam wzruszenie, którego nie umiem opisać – dzielę się wspomnieniami, o których istnieniu nie wiedziałam. – Światło wczesnej wiosny, załamujące się na stokach, i poskręcane, przycięte winorośle, wszystkie unoszące gałęzie w ten sam sposób, ofiarowujące nam to, co mają najlepszego, swoją istotę. A jakże często nie docieramy do ich istoty, nie poświęcamy dość czasu, żeby odnaleźć harmonię zawartą w subtelnych tonach, tę symfonię, którą wspaniałe wina wygrywają na naszych podniebieniach, jeśli im na to pozwolić. – Mój głos cichnie. Anna czeka w milczeniu, aż wrócę. – To tak, jak pytać mnie tylko o sprawy, które prowadzę – ciągnę dalej. – Wyłącznie o okropności, które oglądam, choć mam tyle innych rzeczy do powiedzenia. Nie jestem przecież jakimś tanim dreszczowcem.

– Czujesz się samotna – zauważa cicho Anna. – I niezrozumiana. Może tak samo odczłowieczona jak twoi nieżywi pacjenci.

Nie odpowiadam, tylko ciągnę dalej swoje analogie; opisuję kilkutygodniową podróż z Bentonem pociągiem przez Francję, zakończoną w Bordeaux i to, jak dachy robiły się coraz czerwiejsze w miarę posuwania się na południe. Pierwszy dotyk wiosny pokrył drzewa nierzeczywistą, połyskliwą zielenią, a żyły wody i jej większe arterie pobiegły w stronę morza, tak jak naczynia krwionośne w ciele człowieka zaczynają się i kończą w sercu.

– Ciągłe uderza mnie symetria w przyrodzie, to, że dopływy i potoki widziane z powietrza wyglądają jak układ krążenia, a kamienie przypominają mi porozrzucane kości – mówię. – A mózg najpierw jest gładki, a potem pojawiają się na nim bruzdy i zagłębienia, tak jak poprzez tysiące lat formują się góry. Jesteśmy poddani tym samym prawom fizyki. A jednak nie. Na przykład po mózgu nie widać, czym się zajmuje. Przy pobieżnym badaniu jest równie interesujący jak grzyb.

Anna kiwa głową. Pyta, czy dzieliłam się tymi refleksjami z Bentonem. Mówię, że nie. Chce wiedzieć, dlaczego nie miałam ochoty dzielić tych na pozór niewinnych spostrzeżeń z nim, moim kochankiem, a ja jej odpowiadam, że muszę się nad tym chwilę zastanowić. Nie jestem pewna odpowiedzi.

– Nie – zachęca mnie. – Nie myśl. Poczuj to. Zastanawiam się dalej.

– Nie. Poczuj to, Kay. Poczuj to. – Kładzie dłoń na sercu.

– Muszę pomyśleć. Doszłam do tego, kim jestem, dzięki myśleniu – odpowiadam defensywnie. Ocknęłam się, wracam z innego świata, w którym przed chwilą przebywałam. Znalazłam się teraz z powrotem w salonie Anny i rozumiem wszystko, co mi się przydarzyło.

– Doszłaś tam, gdzie jesteś, dzięki wiedzy – mówi moja przyjaciółka. – A wiedzieć to postrzegać. Myślenie to przetwarzanie wszystkiego, co postrzegamy, często też maskuje prawdę. Dlaczego nie chciałaś dzielić z Bentonem bardziej poetyckiej strony swojej psychiki?

– Bo tak naprawdę nie przyjmuję jej do wiadomości. Ta strona jest bezużyteczna. Na przykład porównanie mózgu do grzyba w sądzie nie doprowadziłoby do niczego.

– Aha. – Anna znowu kiwa głową. – W sądzie cały czas posługujesz się analogiami. Dlatego jesteś takim skutecznym świadkiem. Przywołujesz

obrazy zrozumiałe dla zwykłych ludzi. Czemu nie powiedziałaś Bentonowi o skojarzeniach, o których teraz mi mówisz?

Przestaję się huśtać i znowu układam złamaną rękę na kolanie. Odwracam się od Anny i patrzę przez okno na rzekę, unikając rozmowy jak przedtem Buford Righter. Dziesiątki gęsi kanadyjskich zebrały się wokół starego jaworu. Siedzą w trawie jak ciemne dynie o długich szyjach, nadymają się, biją skrzydłami i wyciągają dzioby w poszukiwaniu jedzenia.

– Nie chcę przechodzić na drugą stronę tego lustra – zwracam się do Anny. – To nie jest tak, że po prostu nie chciałam powiedzieć Bentonowi. Nikomu nie chcę o tym mówić. W ogóle nie chcę o tym mówić. A skoro nie powtarzam niechcianych obrazów i skojarzeń, nie, no, nie...

Anna znowu kiwa głową, tym razem głęboko.

– Nie powtarzając tych obrazów, nie dopuszczasz wyobraźni do udziału w swej pracy – kończy moją myśl.

– Muszę być kliniczna, obiektywna. Kto jak kto, ale ty powinnaś to zrozumieć.

Anna przygląda mi się badawczo, zanim decyduje się na odpowiedź.

– Więc o to chodzi? A może unikasz nieznośnego bólu, jaki z całą pewnością ściągnęłabyś na siebie, gdybyś pozwoliła wyobraźni włączyć się w sprawy, które prowadzisz? – Pochyliła się bliżej, opiera łokcie na kolanach i gestykuluje. – A co by było na przykład – robi dramatyczną pauzę – gdybyś mogła wziąć fakty naukowe i medyczne i użyła swej wyobraźni, żeby szczegółowo odtworzyć ostatnie chwile życia Dianę Bray. Co by było, gdybyś mogła je przywołać jak na taśmie filmowej i zobaczyć – widzieć, jak została napadnięta, jak krwawiła, była bita i gryziona. Zobaczyć, jak umiera?

– To by było niewypowiedzianie okropne – mówię.

– Jakąż by to miało siłę, gdyby przysięgli mogli zobaczyć taki film – zauważa Anna.

Impulsy nerwowe wiją się pod moją skórą jak tysiące drobnych rybek.

– Ale gdybyś przeszła, jak to nazywasz, na drugą stronę lustra – kontynuuję – gdzie by się to skończyło? – Unosi w górę ręce. – Ach. Może nie skończyłoby się i byłabyś zmuszona obejrzeć film o zamordowaniu Bentona.

Zamykam oczy i stawiam jej opór. Nie, proszę, Boże, nie każ mi tego oglądać. Migawka Bentona w ciemnościach, wycelowany w niego pistolet i zgrzyt metalu, kiedy zakładają mu kajdanki. Szyderstwa. Szydzili z niego: „No, panie FBI, taki jesteś mądry, no i co teraz zrobimy, specjalisto od portretów psychologicznych? Umiesz czytać w naszych myślach, rozszyfrować nas, przewidzieć? Co?”. Nie odpowiadał im.

Nie zapytał ich o nic, kiedy wepchnęli go do niewielkiego sklepu spożywczego, zamkniętego od piątej po południu. Dręczyli go i torturowali i na tym się skoncentrował – jak uniknąć bólu i ponizenia, które mu zadadzą, jeśli będą mieli czas. Ciemność i błysk zapalniczki. Jego twarz, słabo widoczna w świetle niewielkiego płomyka, drżące przy każdym podmuchu powietrza, i tych dwoje psychopatów poruszających się we wnętrzu nędznego pakistańskiego sklepiku, który po śmierci Bentona mieli podpalić.

Unoszę powieki. Anna mówi coś do mnie. Zimny pot pełźnie mi po bokach jak owady.

– Przepraszam. Co mówiłaś?

– Bardzo, bardzo bolesne. – Jej twarz roztapia się w wyrazie współczucia. – Niewyobrażalnie.

Benton wkracza w moje myśli. Jest ubrany w swoje ulubione spodnie koloru khaki i buty do biegania marki Saucony. Tylko takie nosił

i nazywałam go grymaśnikiem, bo był strasznie wybredny, jeśli naprawdę coś lubił. Ma też na sobie bluzę Uniwersytetu Wirginii, prezent od Lucy, ciemnoniebieską z jaskrawymi pomarańczowymi literami. Przez lata noszenia spłowiała i zmiękła. Benton obciął rękawy, bo były za krótkie i zawsze mi się podobał w tej starej, znoszonej bluzie – ze swymi srebrnymi włosami, czystą linią profilu i ciemnymi, bystrymi, pełnymi tajemnic oczyma. Jego dłonie zamykają się lekko na poręczach fotela. Ma palce pianisty, długie, szczupłe i pełne wyrazu, kiedy mówi, zawsze delikatne, gdy mnie dotykają, co z czasem zdarza się coraz rzadziej. Mówię to wszystko na głos do Anny, używając czasu teraźniejszego, kiedy opowiadam o człowieku nieżyjącym od ponad roku.

– Jak myślisz, jakie tajemnice przed tobą ukrywał? – pyta Anna. – Jakie tajemnice widziałaś w jego oczach?

– O Boże. Głównie miały związek z jego pracą. – Mój oddech drży, serce trzepocze się, przerażone. – Wiele szczegółów zatrzymywał dla siebie. Szczegółów odnoszących się do tego, co widział w niektórych wypadkach, co było tak okropne, że nikogo innego nie powinno się na to narażać.

– Nawet ciebie? Czy jest coś, czego nie widziałaś?

– Ich ból – mówię cicho. – Nie muszę oglądać niczyjego strachu. Nie muszę słuchać ich krzyku.

– Ale go rekonstruujesz.

– To nie to samo. Nie, to nie jest to samo. Wielu zabójców, którymi zajmował się Benton, lubiło fotografować, nagrywać i w wielu wypadkach filmować na wideo to, co wyprawiali z ofiarami. Benton musiał to oglądać. Musiał tego słuchać. Zawsze wiedziałam, kiedy. Przychodził do domu szary. Niewiele mówił przy kolacji, mało jadł i pił więcej niż zwykle.

– Ale nie opowiadał ci...

– Nigdy – przerywam z naciskiem. – Nigdy. To było jego święte miejsce i nikomu nie pozwalał tam wchodzić. Uczyłam kiedyś w Saint Louis i miałam zajęcia na kursie dotyczącym badania przyczyn śmierci. To było na początku mojej kariery zawodowej, zanim się tu przenieśli, kiedy byłam zastępcą szefa w Miami. Prowadziłam zajęcia na temat utonięć i zdecydowałam, że skoro już tam jestem, odbędę sama cały tygodniowy kurs. Któregoś popołudnia psychiatra sądowy prowadził zajęcia na temat zabójstw na tle seksualnym. Pokazywał przezrocza, na których były żywe ofiary. Widziałam kobietę, przywiązaną do krzesła. Jej prześladowca okręcił jej pierś liną i wbijał igły w sutek. Ciągłe widzę jej oczy – dwa ciemne jeziora pełne piekła i jej usta, szeroko otwarte w krzyku. Widziałam też taśmy wideo – ciągnę monotonicznie. – Kobietę, którą uprowadzono, związano, torturowano, a potem zabito strzałem w głowę. Cały czas kwiliła, wzywając matkę. Błagała, płakała. Chyba w jakiejś piwnicy, taśma była ciemna, ziarnista. Odgłos wystrzału. I cisza.

Anna milczy. Ogień strzela i trzaska.

– Byłam jedyną kobietą wśród jakichś sześćdziesięciu policjantów.

– W takim razie to jeszcze gorsze, bo ofiary były kobietami, a ty byłaś jedyną kobietą – zauważa moja przyjaciółka.

Ogarnia mnie gniew, kiedy przypominam sobie, w jaki sposób niektórzy z tamtych mężczyzn wpatrywali się w przezrocza i taśmy.

– Część z nich podniecał widok okaleczeń na tle seksualnym – mówię. – Widziałam to na ich twarzach, czułam to. Podobnie było z niektórymi specjalistami od portretów psychologicznych, kolegami Bentona. Opisywali, jak Bundy gwałcił kobietę od tyłu, dusząc ją jednocześnie. Oczy wychodziły jej z orbit, język miała wywieszony. Bundy miał wytrysk, kiedy umarła. Faceci, z którymi Benton pracował, odrobinę zbyt chętnie o tym opowiadali. Czy masz w ogóle pojęcie, jak to jest? – Wbijam w nią

spojrzenie, ostre jak gwóźdź. – Patrzeć na zwłoki, oglądać zdjęcia czy kasety wideo ukazujące kogoś, kto jest brutalnie torturowany, kogoś cierpiącego i przerażonego, i zdawać sobie sprawę, że ludziom wokół ciebie sprawia to cichą przyjemność? Że ich to podnieca?

– Myślisz, że Bentona też podniecało?

– Nie. Był świadkiem takich rzeczy co tydzień, może nawet codziennie. Nigdy go to nie podniecało. Musiał słuchać ich krzyku. – Zaczynam się powtarzać. – Musiał słuchać ich płaczu i błagań. Ci nieszczęśnicy nie wiedzieli. A nawet gdyby wiedzieli, nic by to nie pomogło.

– Nie wiedzieli? Czego nie wiedzieli?

– Że sadystów seksualnych płacz jeszcze bardziej podnieca. A także błagania. Strach.

– Czy myślisz, że Benton płakał i błagał, kiedy mordercy uprowadzili go i zabrali do tego ciemnego sklepu? – pyta Anna.

– Widziałam protokół z sekcji. – Wślizguję się w swoją kliniczną kryjówkę. – Nie ma w nim naprawdę niczego, co wyjaśniałoby definitywnie, co się stało, zanim nastąpiła śmierć. Ciało było poważnie uszkodzone przez ogień. Spaliło się tyle tkanki, że nie zdołano stwierdzić, czy jeszcze miał ciśnienie, kiedy wycięli mu twarz.

– Miał także ranę postrzałową głowy, prawda? – Tak.

– Jak sądzisz, co było pierwsze?

Patrzę na nią bez słowa. Nie analizowałam tego, co doprowadziło do śmierci Bentona. Nigdy nie potrafiłam się na to zdobyć.

– Wyobraź to sobie, Kay – mówi Anna. – Przecież wiesz, prawda? Zbadałaś zbyt wiele zgonów, żeby nie wiedzieć, co się stało.

W moim umyśle panuje ciemność jak w tamtym sklepie w Filadelfii.

– Zrobił coś, prawda? – naciska Anna, pochylając się w moją stronę. Siedzi teraz na samej krawędzi otomany. – Pokonał ich, prawda?

– Pokonał? – Odkasłuję. – Pokonał! – wykrzykuję. – Odcięli mu twarz, spalili go, a ty twierdzisz, że ich pokonał?

Anna czeka, aż skojarzę fakty. Kiedy nie mam jej nic więcej do zaoferowania, wstaje i podchodzi do kominka, po drodze dotykając lekko mojego ramienia. Wrzuca kolejną kłodę do ognia, patrzy na mnie.

– Kay, pozwól, że cię o coś zapytam. Dlaczego mieliby do niego strzelać po fakcie? – mówi.

Trę oczy i wzdycham.

– Wycinanie twarzy należało do ich sposobu działania – kontynuuje. – Newton Joyce lubił to robić swoim ofiarom. – Anna mówi o strasznym partnerze równie strasznej Carrie Grethen. Byli parą psychopatów, przy której Bonnie i Clyde wyglądali jak bohaterowie sobotniej kreskówki z mojej młodości. – Zdzierał im twarze i trzymał je w zamrażalniku jako pamiątki, a wszystko dlatego, że jego własna była tak pospolita i zeszpecona bliznami po trądziku. Kradł to, czego zazdrościł – urodę. Tak?

– Tak – wyrażam swoje przypuszczenie. – Jeżeli możemy tworzyć teorie, dlaczego ludzie robią to czy tamto.

– I ważne było, żeby zdejmować twarze ostrożnie, nie uszkodzając ich. Dlatego nie strzelał do swoich ofiar, a na pewno nie w głowę. Nie chciał ryzykować uszkodzenia twarzy ani skóry. Poza tym strzelanie jest zbyt łatwe. – Anna wzrusza ramionami. – Jest szybkie. Może być łaską. O wiele lepiej jest być zastrzelonym niż mieć poderżnięte gardło. Więc dlaczego Newton Joyce i Carrie Grethen zastrzelili Bentona?

Anna staje nade mną. Podnoszę na nią oczy.

– Powiedział im coś – odgaduję wreszcie powoli. – Musiał im coś powiedzieć.

– Właśnie. – Znowu siada. – Tak, tak. – Zachęca mnie, poruszając dłońmi, jak gdyby chciała skierować ruch uliczny w następną przecznicę. –

Co im powiedział? Wyjaśnij mi, Kay.

Nie wiem, co Benton powiedział Newtonowi Joyce'owi i Carrie Grethen. Ale powiedział albo zrobił coś, co sprawiło, że któreś z nich przestało panować nad tą grą. To był impuls, niezamierzona reakcja, jedno z nich przystawiło pistolet do głowy Bentona i pociągnęło za spust. Trach. I po zabawie. Potem nie czuł już nic, nie był niczego świadom. Cokolwiek z nim później robili, nie miało to już znaczenia. Nie żył albo umierał. Był nieprzytomny. Nie poczuł noża. Może go nawet nie zobaczył.

– Znałaś Bentona tak dobrze – kontynuuje Anna. – Znałaś jego zabójców, a przynajmniej Carrie Grethen – miałaś z nią do czynienia w przeszłości. Jak myślisz, co Benton powiedział i do kogo? Kto go zastrzelił?

– Nie umiem...

– Umiesz. Patrzę na nią.

– Kto stracił panowanie nad sobą? – Anna popycha mnie dalej, niż sądziłam, że mogę dojść.

– Ona. – Wyciągam to z głębi siebie. – Carrie. Bo to musiało być coś osobistego. Znała Bentona z dawnych czasów, od początku, kiedy była w Quantico, w Centrum Badań Inżynieryjnych.

– Gdzie również poznała Lucy, dawno, z dziesięć lat temu.

– Tak. Benton ją znał, znał Carrie, znał ją o tyle, o ile można poznać umysł takiej gadziny – dodaję.

– Co jej powiedział? – Wzrok Anny utkwiony jest we mnie.

– Prawdopodobnie coś na temat Lucy – zgaduję. – Coś, co mogło być dla Carrie obraźliwe. Obraził Carrie, zadrwił z niej w związku z Lucy, tak przypuszczam. – Czuję bezpośrednie powiązanie swojej podświadomości i języka. Nawet nie muszę myśleć.

– Carrie i Lucy były kochankami w Quantico. – Anna dorzuca kolejny element. – Obie pracowały w Centrum Badań Inżynieryjnych nad komputerem ze sztuczną inteligencją.

– Lucy była praktykantką, młodą dziewczyną, a Carrie ją uwiodła. Pracowały razem nad systemem komputerowym. To ja załatwiłam Lucy tę praktykę – dodaję z goryczą. Ja. Jej wpływowa, potężna ciotka.

– Nie takie miałaś zamiary, prawda?

– Carrie ją wykorzystwała...

– Zrobiła z niej lesbijkę?

– Nie, nie posunęłabym się do takiego stwierdzenia. Nie można z nikogo zrobić homoseksualisty.

– Doprowadziła do śmierci Bentona? Do tego możesz się posunąć?

– Nie wiem, Anno.

– Ulotna przeszłość, osobista historia. Tak, Benton powiedział coś na temat Lucy, a Carrie straciła panowanie nad sobą i po prostu go zastrzeliła – podsumowuje moja przyjaciółka. – Nie umarł tak, jak to sobie zaplanowali. – Jej głos brzmi tryumfalnie. – Nie tak.

Huśtam się powoli, patrząc przez okno na szary poranek, który stał się burzliwy. Gwałtowne porywy wiatru rzucają uschłe gałęzie i dzikie wino po podwórku z tyłu domu, co mi przywodzi na myśl rozgniewane drzewo, ciskające jabłkami w Dorotkę w „Czarnoksiężniku z Krainy Oz”. Anna wstaje bez słowa, tak jakby sesja dobiegła końca. Zostawia mnie i idzie zająć się sprawami domowymi. Dosyć rozmowy na teraz. Postanawiam wycofać się do kuchni i tu około południa znajduje mnie Lucy, wróciwszy z treningu. Kiedy wchodzi, otwieram właśnie puszkę pomidorów, a na kuchni gotuje się sos marinara we wstępnej fazie.

– Pomóc ci? – Patrzy na słodką cebulę, paprykę i pieczarki, leżące na desce. – Trudno chyba sobie radzić jedną ręką.

– Przysuń sobie stołek – odpowiadam. – Zaimponuję ci tym, jak sobie radzę.

Przesadzam z brawurą, kończąc otwierać puszkę bez niczyjej pomocy, a Lucy uśmiecha się, przysuwa sobie stołek barowy i siada. Nadal jest w dresie, a w oczach ma tajemnicze światło, które przypomina mi odbłask słońca w rzece bardzo wcześnie rano. Przytrzymuję cebulę dwoma palcami unieruchomionej ręki i zaczynam ją kroić.

– Pamiętasz naszą zabawę? – Układam płasko krążki cebuli, żeby je posiekać. – Kiedy miałś dziesięć lat? Czy nie pamiętasz tak daleko wstecz? Ja na pewno nigdy tego nie zapomnę. – Mówię tonem, który ma przypomnieć Lucy, jakim była nieznośnym bachorem. – Założę się, że nie masz pojęcia, ile razy bym cię wysłała na urlop administracyjny, gdybym miała taką możliwość. – Odważam się poruszyć tę bolesną prawdę. Może mam tyle śmiałości dzięki wcześniejszej obnażającej rozmowie, po której czuję się wyczerpana i ożywiona zarazem.

– Nie byłam aż taka straszna. – Oczy Lucy tańczą, bo uwielbia słuchać o tym, jakim była potworem w dzieciństwie, kiedy przyjeżdżała do mnie.

Wrzucam garście posiekanej słodkiej cebuli do sosu i mieszam.

– Surowica prawdy. Pamiętasz tę zabawę? – pytam. – Przychodziłam do domu, zwykle wprost z pracy i po wyrazie twojej twarzy widziałam, że coś zbroiłaś. Więc sadzałam cię w tym dużym, czerwonym fotelu w salonie, pamiętasz? Stał przy kominku w moim starym domu w Windsor Farms. Przynosiłam ci szklanekę soku i mówiłam, że to surowica prawdy. A ty wypijałaś i przyznawałaś się.

– Tak jak wtedy, kiedy ci przeformatowałam komputer, jak cię nie było. – Pokłada się ze śmiechu.

– Dziesięć lat i formatuje twardy dysk. Mało nie dostałam zawału – wspominam.

– Ale najpierw zrobiłam backupy wszystkich twoich plików. Chciałam cię tylko nastraszyć. – Naprawdę dobrze się bawi.

– Mało cię nie odesłałam do domu.

Wycieram palce lewej ręki ścierką do naczyń, uważając, żeby mój gips nie przeszedł zapachem cebuli i nachodzi mnie fala miłego smutku. Nie pamiętam naprawdę, dlaczego Lucy przyjechała do mnie do Richmondu z pierwszą wizytą. Przecież nie byłam typem kobiety, która wychowuje dzieci, w dodatku zaczęłam nową pracę i żyłam w dużym napięciu. U Dorothy doszło do jakiegoś kryzysu. Może uciekła i znowu wyszła za mąż, a może to ja byłam naiwna. Lucy mnie uwielbiała, a ja nie byłam do tego przyzwyczajona. Kiedy tylko odwiedzałam je w Miami, chodziła za mną krok w krok po całym domu, wszędzie, uparcie jak pies.

– Wcale nie miałaś zamiaru odesłać mnie do domu. – Lucy rzuca mi wyzwanie, ale dostrzegam cień wątpliwości w jej oczach. Lęk przed odtrąceniem bierze się z jej życiowych doświadczeń.

– Jeżeli tak, to tylko dlatego, że czułam, że nie potrafię się tobą zająć – odpowiadam, opierając się o zlew. – A nie dlatego, że za tobą nie szalałam, za tamtą nieznośną małą smarkulą, którą wtedy byłaś. – Lucy znowu wybucha śmiechem. – Ale nie, nie odesłałabym cię do domu. To by było straszne dla nas obu. Nie mogłabym. – Potrząsam głową. – Bogu dzięki, że miałyśmy tę naszą zabawę. To był niemal jedyny sposób, żeby się dowiedzieć, co ci chodzi po głowie albo jaką psotę znowu wymyśliłaś, kiedy mnie nie było lub gdy pracowałam, wszystko jedno. Więc czy mam ci teraz nalać soku albo kieliszek wina, czy po prostu powiesz mi, co się z tobą dzieje. Mam swoje lata, Lucy. Wiem, że nie mieszkasz w hotelu ot tak, dla hecy. Coś knujesz.

– Nie jestem pierwszą kobietą, którą wylali – zaczyna.

– Byłabyś najlepszą, jakiej się pozbyli – wtrącam.

– Pamiętasz Teun McGovern?

– Będę ją pamiętać do końca życia. – Teun – wymawia się Tijan – MacGovern, przełożona Lucy w ATF w Filadelfii, niezwykła kobieta, która zachowała się w stosunku do mnie cudownie, kiedy zginął Benton. – Proszę, nie mów mi, że coś się stało Teun – zaczynam się niepokoić.

– Odeszła jakieś pół roku temu – odpowiada Lucy. – Wygląda na to, że ci z ATF chcieli ją przenieść do LA jako SAC, główną agentkę specjalną w tamtejszym oddziale polowym. To najgorszy przydział na świecie. Nikt nie chce jechać do LA.

Bardzo niewiele kobiet w służbie federalnej kieruje całymi oddziałami polowymi. Lucy mówi, że odpowiedzią Teun było złożenie dymisji i zorganizowanie czegoś w rodzaju prywatnego biura śledczego.

– Ostatni Posterunek. – Lucy z każdą chwilą ożywia się coraz bardziej. – Niezła nazwa, prawda? Główną siedzibę ma w Nowym Jorku. Teraz zbiera specjalistów od podpaleń, bomb, a także gliniarzy, prawników, rozmaitych ludzi, którzy mogą się przydać i po niespełna pół roku już ma klientów. Zrobiło się z tego coś w rodzaju tajnego stowarzyszenia. Już o nim mówią. Jak jesteś w kropce, kiedy nie ma już dokąd pójść – dzwoń na Ostatni Posterunek.

Mieszam gotujący się sos pomidorowy i próbuję go.

– Najwyraźniej utrzymywałaś kontakt z Teun od jej wyjazdu z Filadelfii. – Dodaję kilka łyżeczek oliwy z oliwek. – Psiakość, chyba starczy, ale nie zostanie do sosu do sałaty. – Podnoszę butelkę, marszcząc brwi. – Jak się tłoczy oliwę, nie usunąwszy pestek, to tak, jakby się wyciskało pomarańcze razem ze skórą – ma się, na co się zasłużyło.

– Jakoś nie wydaje mi się, żeby Anna była wielbicielką wszystkiego, co włoskie – brzmi suchy komentarz Lucy.

– Będziemy musiały ją wyedukować. Lista zakupów. – Wskazuję ruchem głowy bloczek i długopis przy telefonie. – Pierwszy punkt, oliwa z oliwek, extra virgin, włoska, pestki usunięte przed tłoczeniem. Dobra jest Mission Olives Supreme, może uda ci się ją dostać. Nie ma śladu goryczy.

Lucy notuje.

– Teun i ja utrzymałyśmy kontakt ze sobą – informuje mnie.

– Jesteś w jakiś sposób zaangażowana w to, co ona robi? – Czuję, że rozmowa zmierza w tym kierunku.

– Można to tak ująć.

– Wyciskany czosnek. W dziale chłodniczym, w słoiczkach. Mam zamiar być leniwa. – Biorę miskę z chudą wołowiną, którą usmażyłam, usunąwszy z niej cały tłuszcz. – To nie jest dobry moment, żebym sama wyciskała czosnek. – Wrzucam zmielone mięso do sosu i mieszam. – Jak bardzo jesteś w to zaangażowana? – Idę do lodówki i wyciągam szuflady. Oczywiście Anna nie ma żadnych ziół.

Lucy wzdycha.

– Boże, ciociu Kay. Nie jestem pewna, czy chcesz o tym słuchać. Do niedawna moja siostrzenica i ja rozmawiałyśmy niewiele i bez zgłębiania czegokolwiek. Przez ostatni rok rzadko się widywałyśmy. Przeniosła się do Miami, a po śmierci Bentona każda z nas okopała się w swoim bunkrze. Usiłuję odczytać historie ukryte w oczach Lucy i od razu zaczynam odczuwać wątpliwości. Mam podejrzenia co do jej związku z Teun McGovern, tak jak w zeszłym roku, kiedy wszyscy zostaliśmy wezwani na miejsce podpalenia w Warrenton, w Wirginii. Zabójstwo, upozorowane na pożar, okazało się pierwszym z całej serii obmyślonej przez Carrie Grethen.

– Świeża lebiodka, bazylia i pietruszka – dyktuję listę zakupów. – I nieduży kawałek parmezanu. Lucy, zwyczajnie powiedz mi prawdę. – Szukam przypraw. Teun McGovern jest mniej więcej w moim wieku

i niezamężna – przynajmniej była niezamężna, kiedy ją widziałam ostatni raz. Zamykam szafę i staję przed siostrzenicą. – Czy ty i Teun jesteście parą?

– To nie było tak.

– Nie było?

– Dobrze, że ty to mówisz – stwierdza Lucy bez złościwości. – A ty i Jay?

– Nie pracuje dla mnie – odpowiadam. – A już na pewno ja nie pracuję dla niego. Mówimy o tobie.

– Nie cierpię, jak mnie spisujesz na straty, ciociu Kay – oświadcza cicho Lucy.

– Nie spisuję cię na straty, tylko martwi mnie, kiedy ludzie, którzy razem pracują, są ze sobą zbyt blisko. Jestem za zachowywaniem dystansu.

– A sama pracowałaś z Bentonem. – Lucy podkreśla kolejny wyjątek od moich własnych reguł.

Stukam łyżką o krawędź garnka.

– Zrobiłam w życiu wiele rzeczy, których zabraniałam robić tobie. Mówię ci, żebyś ich nie robiła, bo ja już popełniłam te błędy.

– Czy dorabiałaś kiedyś na boku? – Lucy rozprostowuje krzyż i robi krążenia barków.

Marszczę brwi.

– Na boku? Nie przypominam sobie.

– Dobra, czas na surowicę prawdy. Jestem przestępczynią, dorabiam na boku i jestem głównym wsparciem dla Teun – mam większość udziałów w Ostatnim Posterunku. Proszę. Cała prawda. Zaraz ją usłyszysz.

– Chodźmy usiąść. – Prowadzę ją do stołu, odsuwamy krzesła i siadamy.

– Wszystko zaczęło się przez przypadek – wyjaśnia Lucy. – Dwa lata temu stworzyłam szperacz na własny użytek. Jednocześnie ciągle

słyszałam, jaki majątek robią ludzie na Internecie. Więc powiedziałam: „A co mi tam” i sprzedałam go za trzy czwarte miliona dolarów.

Nie jestem zaszokowana. Możliwości zarobkowe Lucy ogranicza jedynie zawód, jaki wybrała.

– Potem wpadłam na inny pomysł, kiedy podczas obławy przejęliśmy kilka komputerów. Pomagałam odtworzyć usunięte e-maile i to mi uprzytomniło, jak bardzo wszyscy jesteśmy narażeni na to, że duchy naszej elektronicznej korespondencji mogą zostać obudzone, by nas straszyć. Więc wynalazłam sposób na likwidowanie e-maili. Jak w niszczarce, mówiąc przenośnie. Teraz jest już sporo programów, które to robią. Zarobiłam straszną furę pieniędzy na tej burzy mózgów.

W moim następnym pytaniu nie ma niczego dyplomatycznego. Czy ATF wie, że stworzyła technologię, która może uniemożliwić wysiłki organów prawa, mające na celu odtwarzanie poczty elektronicznej przestępców? Lucy odpowiada, że ktoś i tak by to wymyślił, a tajemnice ludzi szanujących prawo też muszą być chronione. ATF nic nie wie o jej działalności ani o tym, że inwestuje w wynalazki i udziały w Internecie. Do tej pory tylko jej doradca finansowy i Teun McGovern wiedzą, że Lucy jest multimilionerką, która ma swój własny helikopter.

– Więc to dlatego Teun mogła otworzyć własny interes w tak porażająco drogim mieście jak Nowy Jork?

– Tak – potwierdza Lucy. - I to jest również powód, dla którego nie będę walczyć z ATF, a przynajmniej dobry powód. Gdybym zaczęła z nimi wojować, prawdopodobnie wyszłoby na jaw, czym się zajmowałam w wolnym czasie. Sprawy Wewnętrzne, Biuro Inspektora Generalnego, wszyscy zaczęliby kopać. Znaleźliby kolejne gwoździe, którymi przybiliby moją opinię, wieszając mnie na tym swoim głupim, biurokratycznym krzyżu. Czemu miałabym pozwolić to sobie zrobić?

– Jeśli nie będziesz walczyć z niesprawiedliwością, inni ludzie też ucierpią, Lucy. I może te osoby nie będą miały milionów dolarów, helikoptera i firmy w Nowym Jorku, żeby się na tym wszystkim oprzeć, gdy przyjdzie im zaczynać nowe życie.

– Właśnie tym się zajmuje Ostatni Posterunek – oświadcza Lucy. – Walką z niesprawiedliwością. Będę z nią walczyć po swojemu.

– Z prawnego punktu widzenia twoja tajna praca nie należy do sprawy, którą wytacza ci ATF – przemawia przeze mnie prawniczka.

– Ale zarabianie na boku mówi coś o mojej wiarygodności, prawda? – Lucy przytacza argumenty drugiej strony.

– Czy ATF oskarża cię o brak wiarygodności? Czy uznali cię za nieuczciwą?

– No, nie. Czegóż takiego nie napisaliby w liście. Na pewno. Ale prawdą jest, ciociu Kay, że złamałam przepisy. Nie wolno mieć innego źródła dochodów, kiedy jest się zatrudnionym w ATF, FBI czy innej federalnej agencji broniącej prawa. Nie zgadzam się z tym zakazem. Gliny zarabiają na boku. My nie. Może zawsze wiedziałam, że moje dni w służbach federalnych są policzone. – Wstaje od stołu. – Więc zadbałam o swoją przyszłość. A może po prostu miałam tego wszystkiego dosyć. Nie chcę przeżyć reszty życia, wykonując rozkazy innych.

– Jeśli chcesz odejść z ATF, niech to będzie twój wybór, nie ich.

– To jest mój wybór – oświadcza z lekkim gniewem w głosie. – Chyba lepiej, żebym już poszła do tego sklepu.

Idę z Lucy do drzwi, trzymając ją pod rękę.

– Dziękuję ci. To dla mnie bardzo dużo znaczy, że mi powiedziałaś – mówię.

– Nauczę cię latać helikopterem. – Wkłada kurtkę.

– A czemuż by nie – odpowiadam. – Byłam dziś długo w nieznanym terytorium powietrznym. Jeszcze trochę chyba mi nie zaszkodzi.

Rozdział 6

Od lat powtarza się niemiły żart, że Wirgińczycy jeżdżą do Nowego Jorku z powodu sztuki, a Nowy Jork przyjeżdża do Wirginii z powodu śmieci. Burmistrz Giuliani omal nie rozpętał nowej wojny domowej, kiedy pozwolił sobie na ten dowcip podczas swej głośnej wojny z Jimem Gilmore'em, ówczesnym gubernatorem stanu, dotyczącej prawa Manhattanu do wysyłania megaton śmieci z północy na nasze południowe wysypiska. Mogę sobie tylko wyobrazić, jaka będzie reakcja, kiedy się rozniesie, że teraz musimy jeździć do Nowego Jorku również po sprawiedliwość.

Przez cały czas, odkąd jestem głównym koronerem Wirginii, Jaime Berger pełniła funkcję szefa wydziału zbrodni na tle seksualnym w Biurze Prokuratora Okręgowego na Manhattanie. Chociaż nigdy się nie poznałyśmy, nasze nazwiska często wymieniano razem. Mówi się, że jestem najsławniejszą kobietą patologiem sądowym w Stanach, a ona najsławniejszą kobietą prokuratorem. Dotychczas jedyną moją reakcją było to, że nie chcę być sławna i nie ufam ludziom, którzy są sławni, a słowo „kobieta” nie powinno być używane jako określenie. Nikt nie mówi przecież o mężczyźnie lekarzu czy dyrektorze generalnym.

W ciągu ostatnich kilku dni spędziłam wiele godzin przy komputerze Anny, sprawdzając dane prokurator Berger w Internecie. Starłam się nie być pod wrażeniem, ale bezskutecznie. Nie wiedziałam na przykład, że miała stypendium Rhodesa w Oksfordzie ani że kiedy wybrano Clintona, kandydowała na stanowisko prokuratora generalnego i, zdaniem tygodnika „Time”, odczuła cichą ulgę, gdy mianowano Janet Reno. Jaime Berger nie chciała zrezygnować z oskarżania w procesach. Jakoby z tego samego powodu odrzuciła propozycję zostania sędzią i oszłamiające oferty prywatnych firm prawniczych. Cieszyła się takim podziwem kolegów, że w Harvardzie, gdzie studiowała, ustanowiono stypendium jej imienia dla osób chcących poświęcić się służbie publicznej. Dziwne, ale mało znalazłam informacji o jej życiu prywatnym, poza tym, że gra w tenisa – oczywiście doskonale. Ćwiczy z trenerem w klubie sportowym trzy razy w tygodniu i codziennie biega pięć czy sześć kilometrów. Jej ulubiona restauracja to Primola. Trochę mnie pociesza fakt, że lubi wioską kuchnię.

Dziś jest środa, wczesny wieczór i wybrałyśmy się z Lucy na świąteczne zakupy. Oglądałam i kupowałam, ile starczyło mi siły. Mój umysł zatruwają zmartwienia, ręka w gipsowym kokonie okropnie swędzi, ochota na papierosa przybiera rozmiary żądz. Lucy przepadła gdzieś w centrum handlowym Regency Hall, zajęta swoimi sprawunkami, a ja szukam miejsca, gdzie mogłabym uniknąć napierającego tłumu. Tysiące ludzi czekały aż do dziś, na trzy dni przed Gwiazdką, żeby znaleźć przemyślane, specjalne prezenty dla osób, które się liczą w ich życiu. Dźwięk głosów i ciągły ruch łączą się w jednostajny ryk, mącący myśli i uniemożliwiający normalną rozmowę, a dobiegająca z głośników świąteczna muzyka wybija moje i tak napięte nerwy z ich zwykłego rytmu. Stoję twarzą do szyby wystawowej przed sklepem z wyrobami ze skóry, odwrócona plecami do niezbornych przechodniów, którzy, jak niewprawne palce na klawiszach

fortepianu, pędzą, zatrzymują się i popychają bez żadnej radości. Przyciskam telefon komórkowy do ucha, popadając w nowe uzależnienie. Już chyba dziesiąty raz dzisiaj sprawdzam pocztę głosową. To mój warty kontakt z poprzednią egzystencją. Odsłuchiwanie wiadomości stanowi jedyną możliwość powrotu do domu.

Mam cztery wiadomości. Rose, moja sekretarka, zadzwoniła, żeby się dowiedzieć, jak się trzymam. Moja matka nagrała długą skargę na temat życia. Biuro obsługi klienta AT&T usiłowało się ze mną skontaktować w sprawie billingu, a mój zastępca, Jack Fielding, musi ze mną porozmawiać. Dzwonię do niego od razu.

– Ledwo cię słyszę. – Jego skrzekliwy głos brzmi mi w jednym uchu, drugie zakrywam ręką. W tle płacze któreś z dzieci Jacka.

– Nie jestem w odpowiednim miejscu, żeby rozmawiać – mówię.

– Ja też nie. Jest tu moja była. Sama radość.

– Co się dzieje? – pytam.

– Właśnie miałem telefon z biura jakiegoś prokuratora z Nowego Jorku.

Jestem poruszona, ale staram się, żeby mój głos miał spokojne, niemal obojętne brzmienie, i pytam o nazwisko tej osoby. Jack mówi, że Jaime Berger dzwoniła do niego do domu przed niespełną godziną.

Chciała wiedzieć, czy asystował mi przy autopsjach Kim Luong i Diane Bray.

– To ciekawe – zauważam. – Nie masz zastrzeżonego numeru?

– Dostała go od Rightera.

Moja paranoja się nasila. Zdrada boli. Righter dał tej kobiecie numer Jacka, a nie mój.

– Dlaczego jej nie powiedział, żeby do mnie zadzwoniła? – pytam. Jack milczy, a kolejne dziecko dołącza do chóru w jego domu.

– Nie wiem. Wyjaśniłem jej, że oficjalnie nie asystowałem. Sekcje robiłaś ty. Nie jestem wymieniony w protokołach jako świadek. Powiedziałem, że musi porozmawiać z tobą.

– Jak na to zareagowała?

– Zaczęła mnie wypytywać, najwyraźniej ma kopie sprawozdań. Znowu Righter. Kopie sprawozdań ze wstępnego dochodzenia koronera i protokoły sekcji są wysyłane do biura sędziego. Kręci mi się w głowie. Wygląda na to, że odrzuciło mnie dwóch prokuratorów. Strach i zdumienie łączą się jak armia jadowitych mrówek, opanowują mój wewnętrzny świat, zatruwają psychikę. To, co się dzieje, jest niesamowite i okrutne. Przekracza wszystko, co sobie wyobrażałam w chwilach największej niepewności. Głos Jacka dobiega z oddali poprzez trzaski, które wydają się projekcją mojego umysłu. Udaje mi się usłyszeć, że Berger była bardzo chłodna, a jej głos brzmiał, jakby dzwoniła z samochodu. Potem Jack mówi jeszcze coś o specjalnych oskarżycielach.

– Myślałem, że sprowadza się ich tylko dla prezydenta czy do jakichś nadzwyczajnych spraw – ciągnie i nagle słyszę go doskonale. – Czy możesz je zabrać do drugiego pokoju? – wrzeszczy, jak sądzę, do byłej żony. – Jezu – wybucha do mnie – nie miej nigdy dzieci!

– Co to znaczy: specjalny oskarżyciel? – dopytuję się. – Jaki specjalny oskarżyciel?

Jack milczy przez chwilę.

– Myślę, że zamierzają sprowadzić ją tu na proces, bo Righter-Szmajter nie chce się podjąć sprawy – odpowiada, nagle zdenerwowany. Mam wrażenie, że robi unik.

– Wygląda na to, że mieli podobny przypadek w Nowym Jorku – odzywam się ostrożnie. – Powiedziano mi, że dlatego ją w to włączono.

– Taki przypadek jak u nas?

– Dwa lata temu.

– Bez jaj. Pierwsze słyszę. Dobra. Nic o tym nie mówiła. Interesują ją tylko tutejsze – opowiada Jack.

– Ile mamy do teraz? – Chcę wiedzieć, jak dużo będzie jutro pracy.

– Pięć sztuk na razie. Łącznie z jednym, z którym będzie zawracanie głowy. Młody, biały, może Latynos, znaleźli go w motelu. Wygląda na to, że pokój podpalono. Żadnych dokumentów. W ramieniu igła, więc nie wiemy, czy przedawkował, czy zaccadział.

– Nie rozmawiajmy o tym przez komórkę – ucinam, rozglądając się wokół. – Pomówimy o tym jutro rano. Zajmę się nim.

– Jesteś pewna? Bo ja... – słyszę po dłuższym, pełnym zdumienia milczeniu.

– Jestem pewna, Jack. – Nie byłam w biurze przez cały tydzień. – Do zobaczenia jutro.

Mam się spotkać z Lucy przed księgarnią Waldena o wpół do ósmej, więc wskakuję w kipiący tłum. Ledwie stanęłam w umówionym miejscu, spostrzegam dużego, naburmuszonego mężczyznę, jadącego w górę schodami. Marino je miękki precel, oblizuje palce i gapi się na nastolatkę stojącą o stopień wyżej. Obcisłe dzinsy i sweter nie pozostawiają żadnych tajemnic co do jej zagłębień, krągłości i wzniesień i nawet z tej odległości widzę, że Marino układa mapę jej ciała i wyobraża sobie, jak by to było po niej podróżować.

Obserwuję, jak unoszą go zatłoczone stalowe schody, bardzo zajętego precelem, żującego z otwartymi ustami, pożądliwie. Spłowiałe, wypchane dzinsy wiszą pod jego wydętym brzuchem, a ogromne dłonie wyglądają jak rękawice baseballowe, wystające z rękawów wiatrówki z napisem NASCAR. Jego łysiejącą głowę przykrywa czapka z takim samym napisem, a na nosie ma idiotyczne okulary a la Elvis. Mięsiasta twarz, pełna

bruzd wyrażających niezadowolenie, jest obwisła i chronicznie zaczerwieniona. Z zaskoczeniem uprzytamniam sobie, jak podle czuje się Marino we własnym ciele, jakie z nim stacza wojny i jak ono teraz go zawodzi, mszcząc się na nim. Mój przyjaciel jest jak ktoś, kto nie dbał o swój samochód, nie oszczędzał go, pozwolił mu zardzewieć i rozpaść się, a potem go znienawidził. Wyobrażam go sobie zatrząskującego maskę i kapiącego opony.

Pierwszy raz pracowaliśmy razem niedługo po tym, gdy się tu przenieśliśmy z Miami. Od początku był cierpki, protekcyjny i wręcz gburowaty. Uznałam, że przyjmując stanowisko głównego koronera Wirginii, popełniłam największy błąd w życiu. W Miami zjednałam sobie szacunek ludzi związanych z egzekwowaniem prawa, a także lekarzy i pracowników naukowych. Prasa traktowała mnie zupełnie dobrze i cieszyłam się pozycją pomniejszej gwiazdy, co dodawało mi pewności siebie i siły. Moja płęć też nie stwarzała problemów w pracy, dopóki na horyzoncie nie pojawił się Peter Rocco Marino, pochodzący z ciężko pracującej włoskiej rodziny z New Jersey, były nowojorski policjant, rozwiedziony ze swoją ukochaną z lat dziecińczych, ojciec syna, o którym nigdy nie mówi.

Jest jak naga żarówka w garderobie aktora. Czuję się całkiem dobrze sama ze sobą, dopóki nie zobaczyłam w nim własnego odbicia. W tej chwili jestem dostatecznie wytrącona z równowagi, aby przyjąć, że skazy, które mi wytyka, są zapewne prawdziwe. Spostrzega mnie przed sklepem, kiedy chowam telefon z powrotem do plecaka, stojąc z torbami pełnymi zakupów u stóp. Macham do niego, więc nie śpiesząc się, przepycha swe potężne gabaryty przez tłum zaabsorbowanych ludzi, którzy w tej chwili nie myślą o mordercach, procesach ani nowojorskich prokuratorach.

– Co tu robisz? – pyta, jakbym naruszyła czyjeś terytorium.

– Kupuję ci prezent gwiazdkowy – odpowiadam. Marino wgrzyza się ponownie w precel. Wygląda na to, że nic poza nim nie kupił. – A ty? – pytam.

– Przyszedłem zrobić sobie zdjęcie na kolanach Świętego Mikołaja.

– A więc nie przeszkadzaj sobie.

– Dzwoniłem do Lucy. Powiedziała mi, gdzie cię szukać w całej tej szopce. Pomyślałem, że może ktoś by się przydał, aby ci ponieść zakupy, bo jesteś teraz trochę słabosilna. Jak będziesz z tym robić sekcje? – Wskazuje na mój gips.

Wiem, dlaczego się tu zjawił. Wyczuwam daleki ryk informacji, pędzącej w moim kierunku jak lawina. Wzdycham. Pomału, ale nieuchronnie poddaję się faktowi, że jest coraz gorzej.

– Dobra, Marino, co teraz? – pytam. – Co się stało?

– Wszystko będzie jutro w gazetach. – Schyla się, żeby podnieść moje zakupy. – Przed chwilą dzwonił Righter, DNA się zgadza. Wygląda na to, że nasz Wilkołak załatwił tę meteorolożkę w Nowym Jorku dwa lata temu i że wyjdzie z naszego szpitala i nie będzie się sprzeciwiał ekstradycji do Nowego Jorku – szczęśliwy, jakby mu kto w kieszeń napluł, że spieprza z Wirginii. Trochę dziwny zbieg okoliczności, iż ten skurwiel ma wyjechać akurat w dniu mszy za Bray.

– Jakiej mszy? – Myśli tłoczą się ze wszystkich stron, zderzają jedna z drugą.

– W kościele Świętej Bridget.

Nie wiedziałam również, że Dianę Bray była katoliczką i chodziła do tego samego kościoła co ja. Dziwny dreszcz przebiega mi po kręgosłupie. Do któregośkolwiek ze światów bym należała, jej misją było wdrzeć się tam i zaćmić mnie. Fakt, że mogła tego próbować nawet w moim własnym, skromnym kościele, przypomina mi o jej bezwzględności i arogancji.

– Więc Chandonne zostanie wywieziony z Richmondu tego samego dnia, kiedy mamy pożegnać kobietę, którą zaciukał – ciągnie Marino, badając wzrokiem każdą osobę przechodzącą obok. – Ani przez chwilę nie sądzę, że takie zgranie w czasie to zbieg okoliczności. Dokądkolwiek by się ruszył, prasa zwali się całą kupą. Usunie w cień nieboszczkę Bray, bo media będzie o wiele bardziej interesowało, co robi Chandonne, niż kto się pojawi w kościele, żeby oddać hołd jednej z jego ofiar. Mnie tam na pewno nie będzie, po tym jak mi zasrała życie. I jeszcze, aha, Berger jest już w drodze. Z takim nazwiskiem pewnie nie obchodzi świąt.

Spostrzegamy Lucy w tej samej chwili co grupa głośnych, rozbrykanych chłopców. Są uczesani w najnowszy styl funky i noszą džinsy, opadające z ich szczupłych bioder. Popisują się, patrząc pożądliwie na moją siostrzenicę, która jest ubrana w obcisłe czarne legginsy, zdarte wojskowe buty i starą kurtkę lotniczą, znaną w jakimś sklepie z używaną odzieżą. Marino posyła jej wielbicielom spojrzenie, które powinno ich zabić, gdyby patrzeć na kogoś mogło przebić skórę i zniszczyć narządy wewnętrzne. Chłopcy kręcą się i podskakują, drepcząc w wielkich buciorach. Przypominają mi szczeniaki, mające łapy większe niż reszta ciała.

– Co mi kupiłaś? – zwraca się do Lucy Marino.

– Roczny zapas korzenia Maca.

– Co to jest korzeń Maca, do diabła?

– Jak znowu pójdziesz grać w kręgle z naprawdę gorącą kobietą, docenisz mój prezencik.

– Nie kupiłaś mu tego! – Na poły jej wierzę.

Marino prychnie pogardliwie, a Lucy się śmieje. Sprawia wrażenie zbyt pogodnej jak na osobę, która ma zostać wyrzucona z pracy, nieważne czy jest milionerką czy nie. Na zewnątrz, na parkingu, powietrze jest wilgotne i bardzo zimne. Reflektory oślepiają nas w ciemności i wszędzie, gdzie

spojrzę, widzę śpieszące się samochody i ludzi. Srebrne wieńce połyskują na słupach latarni, a kierowcy krążą jak rekiny, szukając miejsc blisko wejść do centrum handlowego, jak gdyby przejście kilkuset kroków było najgorszym, co może człowieka spotkać.

– Nienawidzę świąt. Chciałabym być Żydówką – komentuje ironicznie Lucy, jakby słyszała wcześniejszą uwagę kapitana na temat korzeni Jaime Berger.

– Czy Berger była prokuratorem okręgowym, jak zaczynałeś pracę w Nowym Jorku? – pytam, kiedy umieszcza moje paczki w starym zielonym suburbanie Lucy.

– Właśnie zaczynała. Nigdy jej nie poznałem. – Zamyka drzwi z tyłu samochodu.

– Co o niej słyszałeś?

– Seksowna, z dużym cycem.

– Marino, jesteś niezwykle wyewoluowany – stwierdza Lucy.

– Hej! – Podrzuca głową na pożegnanie. – Nie pytajcie mnie o nic, skoro nie chcecie znać odpowiedzi.

Obserwuję jego ciemną sylwetkę poruszającą się w mieszaninie światła, ludzi i cieni. W blasku niepełnego księżyca niebo ma kolor mleka, a śnieg pada wolno małymi płatkami. Lucy wyjeżdża z parkingu i włącza się w ruch. Przy jej kluczykach kołysze się breloczek z logo Wirujących Dziewczyn – to pozornie frywolna nazwa bardzo poważnego międzynarodowego stowarzyszenia kobiet – pilotek helikopterów. Lucy, która nie zapisuje się do żadnych organizacji, jest żarliwą członkinią tego bractwa, a ja cieszę się, że poza tym, iż wszystko inne potoczyło się źle, mój prezent dla niej spoczywa bezpiecznie w jednej z toreb z zakupami. Wiele miesięcy temu weszłam w konspiracyjny układ z firmą jubilerską Schwarzschild i zamówiłam dla Lucy wisiołek z logo Wirujących

Dziewczyn ze złota. Doskonale się to zbiega w czasie, zwłaszcza w świetle planów życiowych, jakie mi ostatnio ujawniła.

– A co dokładnie będziesz robiła z własnym helikopterem? Naprawdę masz zamiar go kupić? – pytam, częściowo chcąc odsunąć rozmowę od Nowego Jorku i Jaime Berger.

Ciągle jestem zirytowana tym, co Jack mi powiedział przez telefon i co kładzie się cieniem na moich myślach. Poza tym dręczy mnie jeszcze coś, nie jestem pewna co.

– Bell 407, tak, kupuję go. – Lucy zanurza się w niemającym końca strumieniu czerwonych tylnych świateł, płynącym wolno wzdłuż Parkham Road. – Co zamierzam z nim zrobić? Latać, oczywiście. I używać go w firmie.

– A co dalej z tą waszą firmą?

– Teun mieszka w Nowym Jorku, więc tam będzie moja nowa główna kwatery.

– Powiedz mi coś więcej o Teun – zachęcam ją. – Czy ma rodzinę? Gdzie spędza święta?

Lucy patrzy przed siebie, jako że zawsze traktuje poważnie prowadzenie auta i pilotowanie.

– Pozwól, ciociu Kay, że się cofnę i opowiem ci trochę historii. Kiedy Teun dowiedziała się o strzelaninie w Miami, skontaktowała się ze mną. Potem, dwa tygodnie temu, pojechałam do Nowego Jorku i było mi dość okropnie.

Dobrze to pamiętam. Lucy znikła, a ja wpadłam w panikę. Wytropiłam ją przez telefon gdzieś w Greenwich Village, w knajpie nad rzeką. Była zdenerwowana. Piła. Sądziłam, że jest zła i rozzalona z powodu kłopotów z Jo. Teraz cała ta historia zmienia się na moich oczach. Lucy jest od zeszłego lata związana finansowo z Teun McGovern, ale dopiero po

ubiegłotygodniowym incydencie w Nowym Jorku podjęła decyzję o zmianie całego swojego życia.

– Ann zapytała mnie, czy jest ktoś, do kogo może zadzwonić – wyjaśnia Lucy. – Nie byłam w nastroju, żeby wracać do hotelu.

– Ann?

– Była policjantka. Właścicielka baru.

– Ach, prawda.

– Przyznaję, że byłam dość złomotana i powiedziałam jej, żeby spróbowała zadzwonić do Teun. I chwilę potem widzę, że ta wchodzi do baru. Napompuwała mnie kawą i przegadałyśmy całą noc. Głównie o mojej sytuacji osobistej z Jo, o ATF, o wszystkim. Nie byłam zadowolona. – Rzuca mi spojrzenie. – Chyba już od dawna pragnęłam zmiany. Tamtej nocy podjęłam decyzję. Więc było już po wszystkim, zanim wydarzyła się ta druga sprawa. – Ta druga sprawa to próba zabicia mnie przez Chandonne’a. – Dzięki Bogu, że była przy mnie Teun. – Lucy nie ma tu na myśli pojawienia się tamtej w barze. Chodzi o to, że Teun McGovern jest przy niej w ogóle i czuję radość promieniującą gdzieś z głębi jej istoty. Pospolita psychologia uczy, że praca i inni ludzie nie mogą dać nam szczęścia. Możemy je sobie dać sami. To niezupełnie prawda. Wygląda na to, że Teun McGovern i Ostatni Posterunek dają Lucy szczęście.

– A od jakiego czasu jesteś związana z Ostatnim Posterunkiem? – zachęcam ją do dalszego opowiadania. – Od zeszłego lata? To wtedy pojawił się ten pomysł?

– Zaczęło się od żartu w dawnych czasach w Filadelfii, kiedy Teun i mnie doprowadzali do szału biurokratyczni krety, ludzie, którzy tylko przeszkadzali nam w pracy. Kiedy patrzyłyśmy, jak system niszczy niewinne ofiary. Miałyśmy wtedy taki pomysł, wtedy to była czysta fantazja, aby stworzyć organizację, którą nazwałam Ostatnim

Posterunkiem. Mówiliśmy: „Dokąd idziesz, jak nie ma już dokąd iść?” – Lucy uśmiecha się z przymusem i czuję, że za tymi radosnymi wspomnieniami czai się cień. Powie mi coś, czego nie chcę usłyszeć. – Zdajesz sobie sprawę, że to oznacza, że muszę się przenieść do Nowego Jorku – dodaje. – Niedługo.

Righter oddał sprawę Nowemu Jorkowi, a teraz Lucy tam się przenosi. Podkręcam ogrzewanie i owijam się ciasniej płaszczem.

– Zdaje się, że Teun znalazła mi mieszkanie na Upper East Side. Jakies pięć minut truchtem od parku. Przy Sześćdziesiątej Szóstej i Lexington.

– Szybkie jesteście – komentuję. – To także niedaleko od miejsca, gdzie zamordowano Susan Pless – dodaję, jakby to był zły znak. – Dlaczego w tej części miasta? Czy biuro Teun jest gdzieś niedaleko?

– Parę przecznic dalej. O dwa domy od Dziewiętnastego Posterunku, zdaje się, że zna policjantów z tej okolicy.

– A Teun nigdy nie słyszała o Susan Pless i tym morderstwie? Dziwne, że wylądowała parę ulic stamtąd. – Daję się ponieść negatywnym uczuciom. Nic na to nie poradzę.

– Wie o morderstwie, bo rozmawialiśmy o tym, co się dzieje z tobą – odpowiada Lucy. – Przedtem nie słyszała o tej sprawie. Ja też nie. Przypuszczam, że nasza okolica głównie jest zajęta gwałcicielem z East Side i prawdę mówiąc, włączyliśmy się już w tę sprawę. Gwałty powtarzają się od jakichś pięciu lat, ten sam facet, lubi blondynki trzydziesto-, czterdziestoletnie, które zwykle wychodzą z baru po paru drinkach. Rzuca się na nie, kiedy otwierają drzwi do mieszkania. To pierwsze anonimowe DNA w Nowym Jorku. Mamy jego DNA, ale nie znamy tożsamości przestępcy. – Wygląda na to, że wszystkie drogi prowadzą do Jaime Berger. Gwałciciel z East Side z pewnością byłby dla jej biura przypadkiem, któremu nadano by wysoki priorytet. – Ufarbuję się

na blond i zacznę późno wychodzić z barów – mówi Lucy kwaśno i wierzę, że byłaby gotowa to zrobić.

Chcę jej powiedzieć, że droga, jaką wybrała, jest porywająca i że się cieszę, ale słowa nie chcą mi przejść przez gardło. Mieszkała już w wielu miejscach, skąd nie było blisko do Richmondu, lecz tym razem z jakiegoś powodu mam uczucie, że opuszcza dom na dobre, że jest dorosła. Nagle staję się własną matką: krytykuję, wytykam ujemne strony, niedostatki, podnoszę dywan i szukam miejsca, które pominęłam, sprzątając dom, przeglądam swoje szkolne świadectwa z szóstkami od góry do dołu, narzekając, jaka szkoda, że nie mam przyjaciół, próbuję tego, co ugotowałam, i stwierdzam, że jest niedobre.

– Co zrobisz z helikopterem? Będziesz go tam trzymać? – Słyszę samą siebie. – To może być kłopot.

– Prawdopodobnie w Teterboro.

– I będziesz musiała jeździć do New Jersey, żeby móc polatać?

– To nie tak daleko.

– No i koszty utrzymania w Nowym Jorku. A ty i Teun... – brnę dalej.

– Co ja i Teun? – Radość znika z głosu Lucy. – Czemu ciągle się tego czepiasz? – Słyszę gniew. – Już u niej nie pracuję. Nie jest ani w ATF, ani moją przełożoną. Nie ma niczego złego w tym, że się przyjaźnimy.

Scena zbrodni – rozczarowanie i ból Lucy – pełna jest moich odcisków palców. Gorzej, bo w moim głosie słychać echo Dorothy. Jest mi wstyd, głęboko wstyd za samą siebie.

– Lucy, przepraszam. – Wyciągam rękę i końcami palców wystającymi spod gipsu ujmuję jej dłoń. – Chyba po prostu nie chcę, żebyś wyjeżdżała. To egoizm. Jestem egoistką. Przepraszam.

– Nie porzucam cię. Będę wyjeżdżać i wracać. Helikopterem to tylko dwie godziny stąd. Nie szkodzi. – Patrzy na mnie. – A może byś

przyjechała pracować dla nas, ciociu Kay?

Widzę, że to, co mówi, nie jest nowym pomysłem. Oczywiście obie z Teun dużo o mnie rozmawiały, również o mojej ewentualnej roli w ich firmie. Doznaję dziwnych uczuć, kiedy to sobie uświadamiam. Broniałam się przed rozmyślaniami o przyszłości, która nagle staje przede mną jak wielki pusty ekran. Choć rozumem już wiem, że moje dotychczasowe życie to przeszłość, muszę się jeszcze pogodzić z tą prawdą w sercu.

– Nie masz zamiaru pracować dla siebie, zamiast żeby państwo mówiło ci, co masz robić? – ciągnie Lucy. – Myślałaś kiedyś o tym poważnie?

– To był zawsze plan na później – odpowiadam.

– Później właśnie nadeszło – oświadcza Lucy. – Dwudziesty wiek kończy się dokładnie za dziewięć dni.

Rozdział 7

Jest prawie północ. Siedzę przed kominkiem w ręcznie rzeźbionym fotelu na biegunach, który jest jedynym rustykalnym akcentem w domu Anny. Celowo ustawiła swoje krzesło pod kątem, który umożliwia jej patrzenie na mnie, nie zmuszając jednocześnie, abym patrzyła na nią, gdybym nagle dokonała jakiegoś nieoczekiwanego odkrycia w swoich własnych wynurzeniach psychologicznych. Przekonałam się ostatnio, że nigdy nie wiadomo, czego się mogę dowiedzieć podczas rozmów z Anną, tak jakbym sama była miejscem zbrodni, które przeszukuję pierwszy raz. Światła w salonie są zgaszone, ogień w kominku w ostatnim stadium. Żar ogarnia dopalające się węgle, z których wysuwają się pomarańczowe cienie. Opowiadam Annie o pewnej niedzielnej nocy w listopadzie, trochę ponad rok temu, kiedy Benton w sposób dla siebie nietypowy stał się w stosunku do mnie obrzydliwy.

– Co masz na myśli, mówiąc: nietypowy? – pyta Anna swym mocnym, spokojnym głosem.

– Był przyzwyczajony do moich nocnych peregrynacji, kiedy nie mogłam się uspokoić, kiedy siedziałam i pracowałam do późna. Tej nocy, o której mowa, zasnął, czytając w łóżku. To nie było nic niezwykłego, a ja

uznałam, że mam teraz czas dla siebie. Potrzebuję ciszy, absolutnej samotności, gdy reszta świata śpi i niczego ode mnie nie chce.

– Zawsze miałaś taką potrzebę?

– Zawsze – potwierdzam. – Wtedy odżywam. Kiedy jestem zupełnie sama, wracam do siebie. Potrzebny mi ten czas. Muszę go mieć.

– Co się stało tej nocy, o której mówisz?

– Wstałam, wyjęłam mu książkę z rąk i zgasiłam światło.

– Co czytał?

To pytanie mnie zaskakuje. Muszę pomyśleć. Nie pamiętam dopadnie, ale wydaje mi się, że Benton czytał o Jamestown, pierwszej stałej osadzie Anglików w Ameryce, położonej o niecałą godzinę jazdy na wschód od Richmondu. Bardzo się interesował historią i zrobił z niej dyplom jednocześnie z dyplomem z psychologii. Później jego zainteresowanie Jamestown ożywiło się, kiedy rozpoczęto tam wykopaliska i odkryto stary fort. Wszystko to powoli do mnie wraca – książka, którą czytał, była zbiorem relacji, wiele z nich pióra Johna Smitha. Mówię Annie, że nie pamiętam tytułu. Przypuszczam, że książka jest nadal gdzieś u mnie w domu i myśl, iż mogę natknąć się na nią któregoś dnia, sprawia mi ból. Ciągnę dalej swoje wspomnienia.

– Wysunęłam się z sypialni, zamknęłam cicho drzwi i poszłam korytarzem do gabinetu – opowiadam. – Jak wiesz, kiedy robię sekcję, pobieram wycinki ze wszystkich organów, a czasem także z ran. Tkanek wysyła się do laboratorium histopatologicznego, gdzie ją fotografują i robią slajdy, które muszę potem przejrzeć. Nigdy nie udaje mi się być na bieżąco z dyktowaniem do magnetofonu, więc regularnie biorę foldery ze slajdami do domu. Oczywiście policja już mnie o to pytała. To śmieszne, ale moje normalne postępowanie wydaje się zwyczajne i nie budzi zastrzeżeń,

dopóki nie poddaje się go osądowi innych. Właśnie wtedy sobie uprzytamniam, że nie żyję tak jak inni ludzie.

– Jak myślisz, dlaczego policja pytała o slajdy, które mogłaś mieć w domu? – pyta Anna.

– Bo chciała wiedzieć o wszystkim.

Wracam do historii o Bentonie, opisuję, jak siedziałam w gabinecie, pochylona nad mikroskopem i pochłonięta neuronami, które wyglądały jak rój fioletowo-złoty jednocelowych stworów uzbrojonych w macki. Poczułam za sobą czyjąś obecność i zobaczyłam Bentona, stojącego w otwartych drzwiach. Jego twarz płonęła niesamowitym, złowieszczym blaskiem, przypominającym ogień świętego Elma, zanim uderzy piorun. „Nie możesz spać?” zapytał mnie złym, pełnym sarkazmu tonem, który zupełnie do niego nie pasował. Odsunęłam się od potężnego mikroskopu firmy Nikon. „Gdybyś go jeszcze nauczyła pierdolić, w ogóle już bym ci nie był potrzebny”, powiedział, a jego oczy błyskały dziką furią komórek, na które patrzyłam przed chwilą. Benton miał na sobie tylko spodnie od pizamy, w świetle lampy na moim biurku wydawał się blady. Jego lśniący od potu tors podnosił się i opadał, żyły na rękach nabrzmiały, srebrne włosy przyłgnęły do czoła. Zapytałam go, co, u licha, się dzieje, a wtedy szturchnął mnie palcem wskazującym i kazał wracać do łóżka.

W tym momencie Anna mi przerywa.

– Nie było niczego, co mogło wywołać takie zajście? Żadnych oskarżeń?

– Ona także знаła Bentona. To nie był Benton. To ktoś obcy, kto się w niego wcielił.

– Nic – odpowiadam. – To się stało bez uprzedzenia. – Huśtam się powoli, nieprzerwanie. Drwa w kominku trzaskają. – Ostatnim miejscem, w jakim chciałam się z nim znaleźć w tamtej chwili, było łóżko. Mógł sobie być psychologiem, gwiazdą FBI, specjalistą od portretów

psychologicznych, ale przy wszystkich swoich zdolnościach do rozszyfrowywania innych potrafił stać się niekomunikatywny i zimny jak gład. Nie miałam zamiaru wpatrywać się całą noc w ciemność, podczas gdy on leży odwrócony do mnie plecami, milcząc i ledwie oddychając. Ale nie był brutalny ani okrutny. Nigdy przedtem nie odezwał się do mnie w tak obraźliwy i poniżający sposób. Nawet jeśli nie było między nami nic innego, Anno, szanowaliśmy się. Zawsze traktowaliśmy się z szacunkiem.

– A powiedział ci, co jest nie w porządku? – naciska Anna. Uśmiecham się gorzko.

– Kiedy zrobił tę ordynarną uwagę o mikroskopie, zrozumiałam. Bentonowi i mnie mieszkało się dobrze i wygodnie w moim domu, ale on nigdy nie przestał czuć się tu gościem. To mój dom i wszystko w nim stanowiło część mnie. W ostatnim roku życia Benton był rozczarowany swoją pracą zawodową i kiedy teraz na to patrzę, widzę, że odczuwał zmęczenie, brak celu i bał się starości. To podkopało nasze współzycie. Ta strona naszego związku stała się opuszczonym lotniskiem, które z daleka wygląda normalnie, ale na wieży nie ma nikogo. Żadnych lądowań ani startów, tylko czasem krótki kontakt, bo chyba uważaliśmy, że powinniśmy, bo jedno miało drugie pod ręką i z powodu dawnych przyzwyczajeń.

– Kiedy sypialiście ze sobą, od kogo zazwyczaj wychodziła inicjatywa?

– Pod koniec tylko od niego. Z desperacji raczej niż z pożądania. Może nawet z frustracji. Tak, z frustracji – decyduję.

Anna mnie obserwuje, na jej twarzy kładą się cienie, coraz głębsze w miarę jak ogień dogasa. Kładzie łokieć na poręczu fotela i podpira się palcem wskazującym – ta poza kojarzy mi się z naszymi poważnymi rozmowami przez kilka ostatnich wieczorów. Salon stał się ciemną kryjówką konfesjonału, gdzie mogę sobie pozwolić na bycie emocjonalnym noworodkiem, obnażyć się i nie czuć wstydu. Nie patrzę na nasze sesje jak

na terapię, raczej jak na rodzaj duszpasterstwa przyjaźni, która jest święta i bezpieczna. Zaczynam opowiadać drugiej osobie, jak to jest być mną.

– Wróćmy do tej nocy, gdy się tak rozzłościł – dyryguje mną Anna.

– Czy pamiętasz, kiedy dokładnie to było?

– Kilka tygodni przed jego śmiercią. – Mówię to spokojnie, zahipnotyzowana węglami, które wyglądają jak żarząca się skóra aligatora.

– Benton wiedział, jak bardzo mi potrzeba własnej przestrzeni. Nawet w te noce, kiedy się kochaliśmy, nierzadko zdarzało mi się czekać, aż zaśnie, a wtedy wstawałam ukradkiem jak cudzołożnica, żeby się wymknąć do gabinetu. Miał zrozumienie dla tych zdrad. – Czuję, że Anna uśmiecha się w ciemności. – Rzadko narzekał, kiedy wyciągnąwszy rękę, znajdował puste miejsce po mojej stronie łóżka – wyjaśniam. – Akceptował moją potrzebę samotności, czy raczej sprawiał takie wrażenie. Nie wiedziałam, jak bardzo go raniły moje nocne nawyki, aż do tamtej nocy, gdy przyszedł do mnie do gabinetu.

– Naprawdę chodziło o twoje nawyki, czy może o to, że się trzymasz na uboczu?

– Nie uważam, że się trzymałam na uboczu.

– Uważasz się za kogoś, kto ma dobry kontakt z innymi? Analizuję to pytanie, szukając w swoim wnętrzu prawdy, której zawsze się bałam.

– Czy miałaś dobry kontakt z Bentonem? – ciągnie Anna. – Zaczniemy od niego. To był twój najważniejszy związek.

– Czy miałam dobry kontakt z Bentonem? – Podnoszę to pytanie jak piłkę tuż przed serwem, niepewna kąta, rodzaju i siły uderzenia. – Tak i nie. Benton był jednym z najpiękniejszych i najlepszych mężczyzn, jakich znałam. Był wrażliwy, mądry i inteligentny. Mogłam z nim rozmawiać o wszystkim.

– Ale robiłaś to? Mam wrażenie, że nie. – Oczywiście, Anna mnie atakuje.

Wzdycham.

– Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek z kimkolwiek rozmawiałam o wszystkim.

– Może Benton dawał ci poczucie bezpieczeństwa – sugeruje Anna.

– Może. Wiem, że były obszary głęboko we mnie, do których nigdy nie dotarł. Nigdy nie chciałam, żeby to zrobił, nie chciałam takiej intymności, takiej bliskości. Być może przyczyna leży częściowo w tym, jak się zaczął nasz związek. Benton był żonaty. Zawsze wracał do domu, do żony, do Connie. To trwało lata. Staliśmy po dwóch stronach muru, dotykaliśmy się tylko wtedy, kiedy udawało nam się wykraść czas. Boże, nigdy bym już tego nie zrobiła z nikim, żeby nie wiem kto to był.

– Poczucie winy?

– Oczywiście. Każdy dobry katolik czuje się winny. Na początku miałam okropne poczucie winy. Nigdy nie byłam typem kobiety, która łamie zasady. Nie jestem taka jak Lucy, a może powinnam powiedzieć, że ona nie jest taka jak ja. Jeżeli zasady są bezmyślne i głupie, łamie je na prawo i lewo. Do licha, przecież ja nawet nie dostaję mandatów za przekroczenie szybkości!

W tym momencie Anna pochyla się do przodu i unosi dłoń. To znak, że powiedziałam coś ważnego.

– Zasady – mówi. – Co to są zasady?

– Chodzi ci o definicję? Chcesz definicji zasad?

– Czym są dla ciebie? Tak, chcę twojej definicji.

– To, co jest właściwe i niewłaściwe – odpowiadam. – Legalne w przeciwieństwie do nielegalnego. Moralne w przeciwieństwie do niemoralnego. Uczciwe w przeciwieństwie do nieuczciwego.

– Sypianie z żonatym mężczyzną jest niemoralne, niewłaściwe, nieuczciwe?

– I poza wszystkim innym głupie. Tak, niewłaściwe. Nie jest fatalną pomyłką czy niewybaczalnym grzechem czy czymś nielegalnym, ale jest nieuczciwe, zdecydowanie nieuczciwe. To złamanie zasady, tak.

– Więc przyznajesz, że jesteś zdolna do nieuczciwości.

– Przyznaję, że jestem zdolna do robienia głupstw.

– A do nieuczciwości?

Nie udaje mi się wykręcić od tego pytania.

– Każdy jest zdolny do wszystkiego. Mój romans z Bentonem był nieuczciwy. Pośrednio kłamałam, bo ukrywałam to, co robię. Pokazywałam wszystkim, łącznie z Connie, fałszywą fasadę. Po prostu fałszywą. Więc jestem zdolna do zdrady i kłamstwa. – Przygnębia mnie to wyznanie.

– A co z zabójstwem? Jaka jest zasada co do zabójstwa? Jest niesłuszne? Niemoralne? Czy zabójstwo jest zawsze czymś niewłaściwym? Zdarzyło ci się zabić – zauważa Anna.

– W obronie własnej. – W tej kwestii czuję się silna i pewna. – Tylko kiedy nie miałam wyboru, bo ta osoba zabiłaby mnie albo kogoś innego.

– Popełniłaś grzech? „Nie zabijaj”.

– Absolutnie nie. – Zaczyna mnie ogarniać irytacja. – Łatwo wydawać sądy o sprawach, które ogląda się z odległego punktu obserwacyjnego moralności i idealizmu. Co innego konfrontacja z zabójcą trzymającym nóż na gardle ofiary albo sięgającym po pistolet, żeby cię zabić. Grzechem byłoby niezrobienie niczego, pozwolenie, żeby zginął niewinny człowiek, czy żebyś ty sama zginęła. Nie czuję wyrzutów sumienia.

– A co czujesz?

Zamykam oczy. Czuję blask ognia na powiekach.

– Mdłości. Nie potrafię bez mdłości myśleć o tych wszystkich morderstwach. To, co zrobiłam, nie było niesłuszne. Nie miałam wyboru. Ale także nie nazwałabym tego słusznym, jeśli rozumiesz różnicę. Kiedy Tempie Gault wykrwawiał się na śmierć, leżąc przede mną, i błagał o pomoc, nie ma słów, żeby opisać, jak się wtedy czułam ani jak się czuję teraz, kiedy to wspominam.

– To było w tunelu metra w Nowym Jorku. Cztery czy pięć lat temu? – pyta Anna, a ja przytakuję. – Dawny wspólnik Carrie Grethen. Był w pewnym sensie jej mentorem, prawda? – Ponownie przytakuję. – Ciekawe – zauważa Anna – ty zabiłaś jej partnera, a potem ona zabiła twojego. Może jedno ma związek z drugim?

– Nie mam pojęcia. Nigdy na to w ten sposób nie patrzyłam. – Jestem poruszona tą myślą. Nigdy mi to nie przyszło do głowy, a teraz wydaje się takie oczywiste.

– Czy twoim zdaniem Gault zasługiwał na śmierć?

– Niektórzy powiedzieliby, że utracił prawo bycia na świecie i dla nas wszystkich lepiej, że nie żyje. Ale mój Boże, Anno, nigdy bym się nie zdecydowała być osobą, która wykona wyrok. Nigdy, nigdy. Krew tryskała mu spomiędzy palców. Widziałam w jego oczach strach, grozę, panikę. Zło już go opuściło. Był po prostu umierającym człowiekiem. A ja do tego doprowadziłam. Płakał i błagał mnie, żebym zahamowała krwotok. Tak – mówię wreszcie – to było straszne. Po prostu straszne. Jeszcze mi się czasem śni. Ponieważ go zabiłam, pozostanie na zawsze częścią mnie. To cena, którą płacę.

– A Jean-Baptiste Chandonne?

– Nie chcę już nikogo skrzywdzić. – Wpatruję się w dogasający ogień.

– Przynajmniej żyje.

– Nie znajduję w tym żadnej pociechy. Niby jak? Tacy jak on nie przestają robić krzywdy innym, nawet jeśli ich się zamknie. Zło żyje nadal. To błędne koło. Nie chcę, żeby ich zabijano, ale wiem, jakie szkody wyrządzają, kiedy żyją. Sytuacja bez wyjścia, jakkolwiek by na to patrzeć.

Anna nie odpowiada. Jej metoda to milczeć, a nie wydawać sądy. W mojej piersi pulsuje smutek, a serce bije staccato ze strachu.

– Sądzę, że zostałamby ukarana, gdybym zabiła Chandonne’a – dodaję. - I nie ulega kwestii, że ponieważ go nie zabiłam, też zostanę ukarana.

– Nie mogłaś uratować życia Bentonowi. – Głos Anny wypełnia przestrzeń między nami. Potrząsam głową i łzy napływają mi do oczu. – Czy uważasz, że powinnaś była go obronić? – pyta moja przyjaciółka. Przęłykam łzy, opada mnie poczucie takiej męki i straty, że nie mogę mówić. – Zawiodłaś go, Kay? A może teraz twoją pokutą jest unicestwienie innych potworów? Za Bentona, bo pozwoliłaś, żeby potwory go zamordowały? Bo go nie uratowałaś?

Kipię z bezsilności i oburzenia.

– Sam się nie uratował, do cholery. Benton odszedł do swego mordercy tak, jak odchodzą koty i psy, żeby umrzeć, bo nadszedł ich czas. Jezu! – wybucham. – Jezu! Benton zawsze narzekał na zmarszczki, obwisłą skórę, na bóle i dolegliwości nawet na początku naszego związku. Jak wiesz, był starszy ode mnie. Może z tego powodu czuł większy lęk przed starością, nie wiem. Ale jak był po czterdziestce i zbliżał się do pięćdziesiątki, ilekroć spoglądał w lustro, kręcił głową i narzekał. „Nie chcę się zestarzeć, Kay”, tak mówił. Pamiętam, kiedyś późnym popołudniem kapaliśmy się razem i Benton narzekał na swoje ciało. „Nikt nie chce być stary”, powiedziałam w końcu. „Ale ja naprawdę nie chcę, nie chcę do takiego stopnia, że myślę, że tego nie przeżyję”, brzmiała odpowiedź. „Musimy to przeżyć, Benton. Inaczej byłby to egoizm”, powiedziałam. „A poza tym, przeżyliśmy

młodość, prawda?”. Ha! Myślał, że to z mojej strony ironia. Tak nie było. Zapytałam, ile dni młodości przeżył, czekając na jutro. Bo w jakiś sposób jutro miało być lepsze. Zastanawiał się nad tym przez chwilę, przyciągnął mnie do siebie w wannie, dotykał i pieścił pod parującą kołdrą gorącej wody pachnącej lawendą. Wiedział dokładnie, jak ze mną postępować w tamtych dniach, kiedy nasze zmysły natychmiast ożywały przy kontakcie. W owych dniach, gdy było nam tak dobrze ze sobą. „Tak, przyznał, to prawda. Zawsze wyczekiwałem jutra, bo myślałem, że będzie lepsze. Na tym polega to, że się przeżyło, Kay. Jeśli nie myślisz, że jutro albo następny rok, albo jeszcze kolejny będą lepsze, po co w ogóle zawracać sobie nimi głowę?”.

Przerywam na chwilę i huśtam się w fotelu.

– Cóż, przestał sobie zawracać głowę – mówię do Anny. – Benton umarł, bo już nie wierzył, że to, co jest przed nim, będzie lepsze od tego, co było w przeszłości. To bez znaczenia, że ktoś mu odebrał życie. To Benton zdecydował. – Moje łzy wyschły i czuję się pusta, pokonana i wściekła w środku. – Pieprzę cię, Benton – szepczę do dymiących węgli. – Pieprzę cię za to, że się poddałeś.

– Czy dlatego przespałaś się z Jayem Talleyem? – pyta Anna. – Żeby pieprzyć Bentona? Żeby mu odpłacić za to, że cię opuścił, umarł?

– Jeśli tak, to nieświadomie.

– Co czujesz? Próbuję coś czuć.

– Czuję się nieżywa. Po tym, jak zamordowano Bentona... – Zastanawiam się. – Nieżywa – decyduję. – Czuję się nieżywa. Nic wtedy nie czułam. Myślę, że przespałam się z Jayem...

– Nie, co myślisz, tylko co czujesz – przypomina mi łagodnie Anna.

– Tak. O to w tym wszystkim chodziło. Chciałam czuć, rozpaczliwie chciałam coś czuć, cokolwiek – mówię.

– Czy kochanie się z Jayem pomogło ci cokolwiek poczuć?
– Myślę, że sprawiło, że poczułam się mało warta – odpowiadam.
– Nie chodzi o to, co myślisz – przypomina mi.
– Czułam głód, pożądanie, gniew, swoje ego, wolność. Och, tak, czułam się wolna.

– Wolna od śmierci Bentona, czy może od niego? Usunęłaś go w jakiś sposób, prawda? Był bezpieczny. Miał bardzo silne superego. Benton Wesley był człowiekiem, który wszystko robił dobrze. Jak było z nim w łóżku? Dobrze?

– Był troskliwy. Delikatny i wrażliwy.

– Ach, troskliwy. Cóż, to ma dobre strony – stwierdza Anna z odcieniem ironii, który zwraca mi uwagę na to, co właśnie wyjawiałam.

– Nigdy nie było w tym dość głodu ani czystego erotyzmu. – Otwieram się. – Muszę przyznać, że wiele razy myślałam, kiedy się kochaliśmy. Już wystarczy, że muszę myśleć, rozmawiając z tobą, Anno. Nie powinno się myśleć, kochając się z kimś. Nie powinno być żadnych myśli, tylko rozkosz nie do zniesienia.

– Lubisz seks?

Śmieję się zaskoczona. Nikt nigdy o nic takiego mnie nie zapytał.

– O tak, ale różnie z tym bywa. Miewałam seks bardzo dobry, dobry, w porządku, nudny, zły. Seks to coś dziwnego. Nie jestem nawet pewna, co o nim myślę. Ale mam nadzieję, że jeszcze nie poznałam *premier grandem* w tej dziedzinie. – Robię aluzję do najlepszego bordeaux. Seks jest bardzo podobny do wina i prawdę mówiąc, moje doświadczenia z kochankami zwykle kończą się w tej części winnicy, skąd pochodzi wino *villages*: z winogron rosnących nisko na stoku, dosyć pospolite i o umiarkowanej cenie – w gruncie rzeczy nic specjalnego. – Myślę, że najlepszego seksu w życiu jeszcze nie miałam, tej najgłębszej, najbardziej erotycznej harmonii

fizycznej z drugim człowiekiem. Jeszcze nie, wcale nie. – Jąkam się, błądzę, zacynam, staram się zrozumieć to wszystko i kłócę się sama ze sobą, czy rzeczywiście chcę coś zrozumieć. – Nie wiem. Chyba myślę o tym, jakie to powinno być ważne, jakie to jest ważne.

– Biorąc pod uwagę to, czym się zajmujesz zawodowo, powinnaś wiedzieć, jaka to ważna sprawa. Seks to władza. Życie i śmierć – oświadcza Anna. – Oczywiście, w tym, co widzisz na co dzień, mowa jest głównie o władzy, której w straszliwy sposób nadużyto. Chandonne to dobry przykład. Doznaje spełnienia, używając przemocy, powodując cierpienie, bawiąc się w Boga i decydując, kto ma żyć, a kto i w jaki sposób umrze.

– Oczywiście.

– Władza podnieca go seksualnie. Jak większość ludzi – zauważa Anna.

– To najsilniejszy afrodyzjak – zgadzam się. – O ile ludzie są w tym względzie uczciwi.

– Inny przykład to Dianę Bray. Piękna, prowokująca kobieta, która używała swego seksapilu, żeby zawładnąć innymi, zapanować nad nimi. Przynajmniej takie jest moje wrażenie.

– Na to wyglądało – przyznaję jej rację.

– Czy myślisz, że miała na ciebie ochotę? – pyta Anna.

Oceniam tę kwestię w sposób kliniczny. Czuję się niezręcznie, odsuwam od siebie tę myśl i badam ją niczym narząd, którego sekcję przeprowadzam.

– Nigdy mi to nie przyszło do głowy – stwierdzam. – Więc pewnie niczego takiego nie było, bo odebrałabym jakiś sygnał. – Anna nie odpowiada. – Może – mówię niezdecydowanie.

Anna nie kupuje tego.

– Czy nie mówiłaś mi, że próbowała posłużyć się Marinem, aby cię poznać? – przypomina mi. – Że chciała się z tobą umówić na lunch,

widywać cię na gruncie towarzyskim i poznać bliżej? I próbowała to zaaranżować przez niego?

– Tak mi powiedział.

– Może dlatego, że czuła do ciebie pociąg? To by było ostateczne zawładnięcie tobą, prawda? Gdyby nie tylko zniszczyła cię zawodowo, ale jeszcze przy okazji wzięła sobie twoje ciało i w ten sposób zawłaszczyła całe twoje istnienie? Czyż nie to robi Chandonne i inni ludzie jego pokroju? Oni także odczuwają pociąg fizyczny. Tylko zachowują się inaczej niż my wszyscy. Wiemy, co mu zrobiłaś, kiedy próbował zrealizować swój pociąg do ciebie. Bardzo się pomylił, prawda? Popatrzył na ciebie pożądliwie, a ty go oślepiłaś. Przynajmniej na jakiś czas. – Milknie, podpierając podbródek palcem i nie spuszczać ze mnie oczu.

Patrzę teraz wprost na nią. Znowu mam to samo uczucie. Mogłabym niemal opisać je jako ostrzeżenie. Nie potrafię go nazwać.

– Co byś zrobiła, gdyby Dianę Bray postanowiła dać wyraz swemu pociągowi do ciebie, zakładając, że istotnie go odczuwała? Gdyby robiła ci awanse? – drąży dalej Anna.

– Umiem sobie radzić z niechcianymi awansami.

– Również ze strony kobiet?

– Z każdej strony.

– Więc kobiety robiły ci awanse.

– Od czasu do czasu. – To oczywiste pytanie i oczywista odpowiedź. Nie żyję w jaskini. – Tak, z pewnością bywałam w towarzystwie kobiet okazujących mi zainteresowanie, którego nie mogę odwzajemnić – mówię.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Na jedno wychodzi.

– A jak się czujesz, kiedy pożąda cię kobieta? Inaczej niż w przypadku mężczyzny?

– Anno, sprawdzasz, czy nie jestem homofobem?

– A jesteś?

Zastanawiam się chwilę. Sięgam najgłębiej, jak umiem, żeby się przekonać, czy homoseksualizm mi przeszkadza. Zawsze skwapliwie zapewniałam Lucy, że związki osób tej samej płci nie są dla mnie problemem, poza cierpieniem, jakie przynoszą.

– Nie robi mi to różnicy – odpowiadam w końcu. – Naprawdę. Po prostu to nie moja preferencja. To nie mój wybór.

– To jest kwestia wyboru?

– W pewnym sensie. – Tego jestem pewna – A mówię to, bo jestem przekonana, że ludzie odczuwają wiele popędów, z którymi nie byłoby im lekko żyć, więc za nimi nie idą. Potrafię zrozumieć Lucy. Widziałam ją z kochankami i w pewnym sensie zazdroszczę im tej bliskości, bo choć jest im trudno być przeciwko większości, mają plus tych specjalnych przyjaźni, do których kobiety są zdolne między sobą. Między mężczyzną i kobietą trudniej jest o głęboką przyjaźń, braterstwo dusz. Przyznaję to. Ale myślę, że znaczącą różnicą między Lucy a mną jest to, że ja nie oczekuję takich uczuć od mężczyzn, a Lucy czuje się przez nich zdominowana. Prawdziwa bliskość nie istnieje bez równowagi sił między partnerami. Tak więc, ponieważ ja nie czuję się zdominowana przez mężczyzn, wybieram ich fizycznie. – Anna milczy. – Tyle chyba z tego rozumiem – dodaję. – Nie wszystko potrafię wytłumaczyć. Nie można całkowicie wytłumaczyć pragnień i potrzeb Lucy. Moich też nie.

– Naprawdę uważasz, że nie możesz być bratnią duszą mężczyzny? Więc może twoje oczekiwania są zbyt małe? Czy to możliwe?

– Bardzo możliwe. – Prawie się śmieję. – Jeśli ktoś ma małe oczekiwania, to ja na to zasługuję, po wszystkich związkach, które spieprzyłam.

– Czy czułaś kiedyś pociąg do kobiety? – pyta wreszcie Anna. Spodziewałam się tego.

– Niektóre wydawały mi się bardzo pociągające – przyznaję. – Pamiętam, że w młodości podkochiwałam się w nauczycielkach.

– Podkochiwać się to nie znaczy mieć uczucia o charakterze seksualnym.

– To się mieści w podkochiwaniu, jakkolwiek byłoby ono niewinne i naiwne. Mnóstwo dziewcząt kocha się w nauczycielkach, szczególnie, jeśli chodzą do szkoły parafialnej, gdzie uczą tylko kobiety.

– Zakonnice.

– Tak, wyobraź sobie podkochiwanie się w zakonnicy – mówię z uśmiechem.

– Przypuszczam, że te zakonnice też się kochały jedna w drugiej – zauważa Anna.

Ogarnia mnie ciemna chmura niepewności i zakłopotania, a w głębi świadomości rozlega się ostrzegawcze pukanie. Nie wiem, dlaczego Anna skupia się na sprawach seksu, szczególnie homoseksualnego, i rozważam możliwość, że jest lesbijką i dlatego nigdy nie wyszła za mąż, a może sprawdza, jak bym zareagowała, gdyby wreszcie, po tylu latach wyznała mi prawdę o sobie. Boli mnie myśl, że za strachu mogła zatajać przede mną tak ważną rzecz.

– Powiedziałaś mi, że przeniosłaś się do Richmondu z miłości. – Teraz jest moja kolej, żeby pytać. - I ten ktoś okazał się stratą czasu. Czemu więc nie wróciłaś do Niemiec? Dlaczego zostałaś w Richmondzie, Anno?

– Skończyłam medycynę w Wiedniu i jestem z Austrii, nie z Niemiec – wyjaśnia. – Wychowałam się niedaleko Linzu, nad Dunajem, w zamku, który należał do naszej rodziny od kilkuset lat. Podczas wojny naziści mieszkali u nas w domu, ze mną, z moją matką, ojcem, dwiema starszymi

siostrami i młodszym bratem. A z okien widziałam dym z krematorium z oddalonego o kilkanaście kilometrów obozu koncentracyjnego w Mauthausen, wielkiego kamieniołomu, gdzie zmuszano więźniów do wyrąbywania granitu, noszenia ogromnych bloków po setkach schodów, a kiedy się chwalili, bito ich albo spychano. Żydów, hiszpańskich republikanów, Rosjan, homoseksualistów. Dzień po dniu ciemne chmury śmierci zasłaniały horyzont, a ja przyłapywałam ojca, jak się w nie wpatrywał i wzdychał, kiedy myślał, że nikt go nie widzi. Czułam jego głęboki ból i wstyd. Ponieważ nie mogliśmy nic poradzić na to, co się dzieje, postanowiliśmy wyrzucić te sprawy ze świadomości. Tak postąpiła większość Austriaków wobec zła, które panowało w naszym pięknym, niedużym kraju. Według mnie to było niewybaczalne, nic jednak nie mogliśmy zrobić. Mój ojciec miał duży majątek i wpływy, ale wystąpić przeciwko nazistom oznaczało zostać wysłanym do obozu albo śmierć na miejscu. Ciągle słyszę śmiech i brzęk kieliszków w moim domu, jak gdyby te potwory były naszymi najlepszymi przyjaciółmi. Jeden z nich zaczął w nocy przychodzić do mojej sypialni. Miałam szesnaście lat. Trwało to dwa lata. Nigdy nie powiedziałam ani słowa, bo wiedziałam, że ojciec nie może nic zrobić; przypuszczam, że wiedział, co się dzieje. O tak, jestem tego pewna. Martwiłam się, że to samo spotyka moje siostry, i jestem pewna, że tak było. Po wojnie skończyłam studia i poznałam amerykańskiego muzyka, który uczył się w Wiedniu. Był świetnym skrzypkiem, a także dowcipnym, pełnym fantazji mężczyzną, tak więc przyjechałam z nim do Stanów. Głównie dlatego, że nie mogłam już dłużej pozostać w Austrii. Nie mogłam żyć z tym, od czego moja rodzina się odwróciła, i nawet teraz, kiedy widzę krajobraz mojej ojczyzny, plami go ów ciemny, złowrogi dym. Zawsze go widzę w myślach. Zawsze.

W salonie Anny zrobiło się chłodno, a resztki węgla na kominku wyglądają jak dziesiątki lśniących w ciemności oczu.

– Co się stało z tym amerykańskim muzykiem? – pytam.

– Myślę, że górę wzięła rzeczywistość. – W głosie Anny pojawia się cień smutku. – Zakochać się w młodej Austriaczce, w jednym z najpiękniejszych, najromantyczniejszych miejsc na świecie – to jedno. Ale przywieźć ją do Wirginii, dawnej stolicy Konfederacji, gdzie ludzie nadal wszędzie wywieszają jej flagi, to zupełnie co innego. Zaczęłam pracę w Akademii Medycznej, a James przez kilka lat grał w orkiestrze symfonicznej Richmondu. Potem się przeniósł do Waszyngtonu i rozstaliśmy się. Dobrze, żeśmy się nie pobrali. Przynajmniej nie było komplikacji z rozwodem ani innych, gdybyśmy mieli dzieci.

– A twoja rodzina? – pytam.

– Moje siostry nie żyją. Mam brata w Wiedniu. Jest bankierem, tak jak ojciec. Pora iść spać.

Drzę, kiedy wsuwam się pod kołdrę, podwijam nogi i podkładam poduszkę pod złamaną rękę. Rozmowa z Anną wzburzyła mnie, jestem jak poruszona ziemia, która za chwilę się zapadnie. Czuję bóle fantomowe w tych częściach mojego ja, które już przeminęły i odeszły, a moja dusza jest ciężka od tego, co Anna opowiedziała mi o swoim życiu. Oczywiście większości ludzi nie wspomnieliby o takiej przeszłości. Kontakty z nazistami jeszcze teraz są straszliwym stygmatem i myśl o tym sprawia, że postrzegam jej zachowanie i styl życia w zupełnie innym świetle. To nieważne, że Anna nie mogła wybierać, kto mieszkał w jej domu i sypiał z nią, kiedy miała szesnaście lat. Nie wybaczone by jej, gdyby o tym wiedziano. – Boże kochany – szepczę, wpatrując się w sufit w ciemnym pokoju gościnnym Anny. – Boże kochany.

Wstaję i idę ciemnym korytarzem, przechodzę ponownie przez salon i kieruję się do wschodniego skrzydła domu. Sypialnia Anny znajduje się na końcu korytarza. Drzwi są otwarte, cienkie promienie księżyca wsączają się przez okno, miękko obrysowując kształt pod kołdrą.

– Anno – mówię cicho. – Spisz?

Porusza się i po chwili siada. Ledwie widzę jej twarz, podszedłszy bliżej. Siwe włosy spadają jej na ramiona. Wygląda, jakby miała sto lat.

– Czy coś się stało? – pyta niepewnie, z lekkim przestraczem.

– Tak mi przykro – mówię. – Nie umiem ci powiedzieć, jak strasznie mi przykro, Anno. Jestem okropną przyjaciółką.

– Jesteś moją najbardziej zaufaną przyjaciółką.

Ujmuje moją dłoń i ściskają, a jej kości wydają się drobne i kruche pod miękką, wiotką skórą, jak gdyby nagle Anna stała się bardzo stara i delikatna, przestając być tytanem, którego zawsze w niej widziałam. Może to dlatego, że teraz znam jej historię.

– Tyle przecierpiałaś, tyle zniosłaś zupełnie sama – szepczę. – Przepraszam, że nie byłam przy tobie. Tak strasznie mi przykro – powtarzam. Pochyliłam się, przytulam ją niezręcznie przez gips i całuję w policzek.

Rozdział 8

Nawet w najcięższych, najtrudniejszych chwilach doceniam moje miejsce pracy. Mam świadomość tego, że urząd koronera, którym kieruję, jest bodaj najlepszy w kraju, jeśli nie na świecie, i że zostałam jednym z dyrektorów Instytutu Nauki i Medycyny Sądowej Wirginii, pierwszej uczelni tego typu. Mam możliwość robienia tego wszystkiego w jednym z najbardziej zaawansowanych zakładów medycyny sądowej, jakie widziałam w życiu.

Nasza nowa siedziba, zajmująca powierzchnię czterdziestu tysięcy metrów kwadratowych, kosztowała trzydzieści milionów dolarów. Nazywa się Biotech II i leży w centrum Parku Badań Biotechnologicznych, który w zdumiewający sposób odmienił centrum Richmondu dzięki niestrudzonemu stawianiu eleganckich budynków z cegły i szkła w miejscu opuszczonych domów towarowych i innych zabitych deskami pustych ruder. Biotech upomniął się o miasto, które pozostało zastraszone jeszcze długo potem, kiedy napastnicy z Północy oddali ostatni strzał.

Gdy się tu sprowadziłam pod koniec lat osiemdziesiątych, Richmond konsekwentnie figurował na pierwszym miejscu listy miast o najwyższej liczbie zabójstw w Stanach Zjednoczonych. Biznes uciekł do sąsiednich hrabstw. Praktycznie nikt nie chodził wieczorem do centrum. Dziś już tak nie jest. Richmond w znacznej mierze staje się ośrodkiem nauki

i oświecenia, i muszę wyznać, że nigdy nie przypuszczałam, iż to będzie możliwe. Przyznaję, że kiedy się tu sprowadziłam, nienawidziłam Richmondu z powodów, które były głębsze niż okropne zachowanie wobec mnie Marina, czy też to wszystko, za czym tęskniłam w Miami.

Uważam, że miasta mają swoją osobowość; przejmują energię ludzi, którzy je zamieszkują i nimi rządzą. W swojej najgorszej epoce Richmond był uparty, miał ciasne poglądy i obnosił się z urażoną ambicją kogoś, czyja władza przeminęła i kto teraz musi słuchać rozkazów tych samych ludzi, nad którymi niegdyś panował, a w pewnych wypadkach był nawet ich właścicielem. Istniała tu doprowadzająca do szału ekskluzywność, powodująca, że na takie osoby jak ja patrzono z góry i czuły się osamotnione. Pod tym wszystkim odkryłam ślady dawnych ran i zniewag, równie widocznych jak te, które znajduję w zwłokach. Odnalazłam duchowy smutek w smętnej mgiełce, wiszącej w letnich miesiącach jak dym bitewny nad moczarami, a także niekończącymi się rzędami rachitycznych sosen i łachami piasku wzdłuż rzeki i opatrującej rany ceglanych gruzowisk oraz odlewni i obozów dla więźniów, które pozostały po tej strasznej wojnie. Ogarniało mnie współczucie. Nie spisałam Richmondu na straty. Dziś rano walczę z narastającym przeświadczeniem, że Richmond spisał na straty mnie.

Wierzchołki budynków w centrum znikły w chmurach, powietrze jest gęste od śniegu. Wyglądam przez okno gabinetu, rozpraszają mnie przelatujące wielkie płatki. Dzwonią telefony, ludzie idą korytarzem. Martwię się, że urzędy stanowe i miejskie będą zamknięte. Nie powinno tak być pierwszego dnia, kiedy jestem z powrotem w pracy.

– Rose? – wołam do swojej sekretarki w sąsiednim pokoju. – Czy sprawdzasz prognozy pogody?

– Śnieg – wpływa do pokoju jej głos.

– Tyle widzę. Nie zamykają jeszcze niczego, prawda?

Sięgam po kubek z kawą i w milczeniu zachwycam się nieustającą białą burzą, która zawładnęła naszym miastem. Zazwyczaj cudownymi zimowymi pejzażami obdarowywane są tereny na zachód od Charlottesville i na północ od Frederiksburga, z pominięciem Richmondu. Jako wyjaśnienie zawsze słyszałam, że rzeka James w naszej okolicy ogrzewa powietrze, zamieniając śnieg w marznące deszcze, które atakują ziemię niczym nadciągające wojska generała Granta.

– Przewidywane opady do dwudziestu centymetrów. Słabsze później popołudniem, temperatura minimalna w granicach minus dziesięciu stopni. – Rose najwyraźniej ogląda prognozę pogody w Internecie. – Maksymalna przez najbliższe trzy dni nie przekroczy zera. Wygląda na to, że będziemy mieli Boże Narodzenie w śniegu. Czy to nie nadzwyczajne?

– Rose, co robisz w święta?

– Niewiele – dobiega mnie jej odpowiedź.

Przeglądam stosy papierów i aktów zgonu; przekładam z miejsca na miejsce blankiety z wiadomościami telefonicznymi i notatki wewnętrzne. Nie widzę blatu swojego biurka i nie wiem, od czego zacząć.

– Dwadzieścia centymetrów? Ogłoszą stan pogotowia – komentuję. – Musimy się dowiedzieć, co jeszcze pozamykają poza szkołami. Czy mam w kalendarzu coś, czego jeszcze nie odwołano?

Rose ma dosyć krzyczenia do mnie przez ścianę i wchodzi do mojego gabinetu. Wygląda świetnie w szarym garniturze i białym swetrze z golfem. Siwe włosy upięła w kok. Rzadko się zjawia bez wielkiego kalendarza i właśnie go otwiera. Przejeżdża palcem po tym, co jest zapisane na dziś, patrząc przez półksiężycy okularów do czytania.

– Widzę wyraźnie, że jest już sześć przypadków, a jeszcze nawet nie ma ósmej – zawiadamia mnie. – Masz dyżur w sądzie, ale zdaje mi się, że nic z tego nie będzie.

– W jakiej sprawie?

– Niech spojrzę. Mayo Brown. Chyba go nie pamiętam.

– Ekshumacja – przypominam sobie. – Zabójstwo przez otrucie, dość niepewna sprawa.

Leży gdzieś na moim biurku. Zaczynam jej szukać i czuję, jak napinają mi się mięśnie karku i ramion. Ostatni raz, kiedy widziałam w swoim gabinecie Buforda Rightera, było to właśnie w związku z tą sprawą, która spowodowała jedynie zamieszanie w sądzie, mimo że przez cztery godziny wyjaśniałam efekt rozcieńczenia poziomego trucizny, występujący w wypadku balsamowania zwłok. Tłumaczyłam, że nie ma zadowalającej metody ilościowego pomiaru zniszczenia tkanki, jeśli jest zabalsamowana. Przesłam do raportu toksykologicznego i przygotowałam Rightera do wzięcia pod uwagę rozcieńczenia. Płyn do balsamowania przemieszcza krew i rozcieńcza poziom trucizny, wbijałam mu w głowę. Więc jeśli u denata stwierdza się poziom kodeiny odpowiadający dolnej granicy dawki śmiertelnej, to znaczy, że przed balsamowaniem mógł być tylko wyższy. Wyjaśniłam mu szczegółowo, że musi się na tym skupić, bo obrona będzie się starała zamącić obraz, mówiąc o heroinie w odróżnieniu od kodeiny.

Siedzieliśmy przy owalnym stole w mojej prywatnej sali konferencyjnej, papiery rozłożyliśmy przed sobą. Righter ma skłonność do sapania, kiedy jest zakłopotany, sfrustrowany czy zły. Brał do ręki raporty i odkładał je z powrotem, marszczył brwi i sapał jak wieloryb, który wypływa na powierzchnię. „Chińszczyzna, powtarzał. Jak do diabła sprawić, żeby przysięgli zrozumieli na przykład, że sześciomonoacetylmorfina jest znacznikiem heroiny i że jeśli jej nie wykryto, to nie znaczy, że heroina nie

była obecna, ale jeśli znacznik był obecny, oznacza to, że obecna była także heroina? W odróżnieniu od stwierdzenia, że kodeina jest środkiem medycznym?”. Odpowiedziałam mu, że właśnie o to mi chodzi, o tę właśnie sprawę, na której on nie chce się skupić. „Trzymaj się rozcieńczenia, tego, że poziom musiał być wyższy, zanim ciało zostało zabalsamowane”, instruowałam go. Morfina jest metabolitem heroiny. Jest również metabolitem kodeiny i kiedy kodeina jest metabolizowana we krwi, otrzymujemy bardzo niski poziom morfiny. Nie możemy tu niczego stwierdzić definitywnie, poza tym, że nie mamy znacznika dla heroiny, a mamy poziom kodeiny i morfiny wskazujące na to, że zmarły coś przyjął – dobrowolnie lub nie – zanim umarł. Przedstawiłam to Righterowi szczegółowo. Dawka była o wiele większa, niż na to teraz wygląda, z powodu balsamowania, podkreśliłam ponownie. Ale czy takie wyniki wskazują, że żona tego człowieka otruła go na przykład tylenolem? „Nie upieraj się przy monoacetylmorfinie”, powtarzałam.

Zdaję sobie sprawę, że to obsesja. Siedzę przy biurku, ze złością przekopuję się przez stos papierów, dręcząc się myślą o tym, ile trudu sobie zadałam, żeby przygotować Rightera do kolejnej rozprawy i zapewniając, że może na mnie liczyć jak zawsze. Szkoda, że nie wydaje się skłonny odpłacić przysługą za przysługę. Jestem darmowym obiadem. Wszystkie ofiary Chandonne’a w Wirginii to darmowe obiady. Po prostu nie mogę tego przyjąć i już zaczynam myśleć się z niechęcią o Jaime Berger.

– Sprawdź sądy – zwracam się do Rose. – Nawiasem mówiąc, dziś go wypisują ze szpitala. – Unikam wymawiania nazwiska Chandonne’a. – Jak zwykle, możemy się spodziewać telefonów od mediów.

– Słyszałam w radiu, że przyjechała ta prokuratorka z Nowego Jorku. – Rose przegląda mój terminarz. Nie podnosi na mnie oczu. – Ale byłaby heca, gdyby utknęła w śniegu, co?

Wstaję zza biurka, zdejmuję kitel laboratoryjny i wieszam go na oparciu krzesła.

– Chyba się do nas nie zgłaszała.

– Nie dzwoniła tu, do ciebie. – Moja sekretarka daje do zrozumienia, że Berger porozumiewała się z Jackiem czy z kimś innym poza mną.

Bardzo dobrze opanowałam umiejętność pogrążania się w pracy i odpierania wszelkich wysiłków innych osób, pragnących zbadać obszar, którego postanowiłam unikać.

– Żeby przyspieszyć sprawy, zrezygnujemy z zebrania zespołu – mówię, zanim Rosę zdąży mi posłać jedno ze swych ciężkich spojrzeń. – Musimy odesłać ciała, zanim pogoda jeszcze się pogorszy.

Rosę jest moją sekretarką od dziesięciu lat. To moja biurowa opiekunka. Zna mnie lepiej niż ktokolwiek, ale nie nadużywa swojej pozycji, żeby mnie popychać w kierunku, w którym nie chcę iść. W jej myślach wyczuwam zaciekawienie osobą Jaime Berger. Widzę pytania pojawiające się w jej oczach, chociaż ich nie zadaje. Wie aż nadto dobrze, jak się czuję, słysząc, że proces odbędzie się w Nowym Jorku, a nie tutaj, i że nie chcę o tym rozmawiać.

– Chyba doktor Chong i doktor Fielding są już w kostnicy – mówi. – Nie widziałam jeszcze doktora Forbesa.

Przychodzi mi do głowy, że nawet jeżeli sprawa Mayo Browna odbędzie się dzisiaj – nawet jeśli z powodu śnieżycy nie zamkną sądów – Richter mnie nie wezwie. Zażąda mojego raportu i w najlepszym wypadku wezwie toksykologa. Wykluczone, żeby stanął ze mną twarzą w twarz po tym, jak nazwałam go tchórzem, zwłaszcza że to prawda i jakąś częścią siebie jest tego świadom. Pewnie znajdzie sposób, żeby mnie unikać do końca życia. Ta nieprzyjemna myśl, która towarzyszy mi, kiedy przechodzę przez korytarz, rodzi następną. Co to wszystko wróży dla mnie?

Popycham drzwi damskiej toalety i przechodząc przez szereg przebieralni, przenoszę się z cywilizacji boazerii i wykładzin w świat zagrożeń biologicznych, nagości i gwałtownych odczuć zmysłowych. Po drodze zdejmuję się buty oraz wierzchnie ubranie i zamyka je w zielonych szafkach. Mam specjalną parę butów firmy Nike, którą trzymam obok drzwi prowadzących do prosektorium. Nie jest im pisane jeszcze kiedykolwiek chodzić po świecie żywych, a jak przyjdzie pora, żeby się ich pozbyć, spalę je. Niezdarnie wieszam spodnie, żakiet i białą jedwabną bluzkę na wieszakach. Czuję pulsowanie w lewym łokciu. Z trudem wkładam długi kitel, który ma zabezpieczenie antywirusowe z przodu i na rękawach, szczelne szwy i ściśle przylegający do szyi kołnierz-stójkę. Zakładam ochraniacze na buty, chirurgiczny czepek i maskę. Ostatnim zabezpieczeniem przed płynami jest osłona, chroniąca twarz i oczy przed rozpryskami, które mogą być zakażone przez wirusy żółtaczkowe albo HIV.

Drzwi z nierdzewnej stali otwierają się automatycznie, a moje stopy szeleszczą papierowymi osłonami na brązowej winylowej podłodze prosektorium, zabezpieczonej przed zagrożeniami biologicznymi. Lekarze w niebieskich kitlach pochylają się nad pięcioma stołami ze lśniącej nierdzewnej stali, połączonymi ze stalowymi zlewami. Leci woda, węże syczą, a zdjęcia rentgenowskie na podświetlaczach wyglądają jak białoczarna galeria cieni o kształtach narządów, nieprzezroczystych kości i maleńkich, jasnych fragmentów kul, które, jak luźne kawałki metalu w samolotach, niszczą mechanizm i powodują jego zatrzymanie. W szafkach wiszą na spinaczach poplamione krwią karty z próbkami DNA. Wyglądają jak malutkie japońskie chorągiewki, kiedy tak schną w strumieniu powietrza pod okapem. Z monitorów wewnętrznej telewizji, umieszczonych w kątach, dochodzi warkot samochodu – dom pogrzebowy kogoś dostarcza albo odbiera. To moja scena. Tutaj występuję. Podczas gdy

przeciętny człowiek mógłby z niechęcią się odnieść do ponurych widoków, odgłosów i zapachów, ja odczuwam nagle ogromną ulgę. Robi mi się lżej na sercu, kiedy lekarze podnoszą na mnie wzrok i kiwają głowami na dzień dobry. Jestem w swoim żywiole. Jestem u siebie.

W długim, wysokim pomieszczeniu unosi się kwaśny zapach dymu; na przykrytym prześcieradłem wózku, ustawionym tak, żeby nie hamować ruchu, spostrzegam szczupłe, nagie ciało, pokryte sadzą. Zmarły czeka na swoją kolej – samotny, zimny i milczący. Czeka na mnie. Jestem ostatnią osobą, do której przemówi w języku, który coś znaczy. Nazwisko, napisane niezmywalnym atramentem na kartoniku przyczepionym do dużego palca, wygląda żałośnie – John Doo. Ktoś nie umiał poprawnie napisać Doe. Rozdzieram paczkę lateksowych rękawiczek i jestem zadowolona, że udaje mi się naciągnąć jedną z nich na gips, który wyżej zabezpieczony jest nieprzemakalnym rękawem. Nie mam temblaka i będę musiała przez jakiś czas robić sekcje prawą ręką. Chociaż bycie leworęczną w praworęcznym świecie wiąże się z pewnymi trudnościami, nie jest też pozbawione dobrych stron. Wielu z nas jest oburęcznych albo przynajmniej potrafi nieźle funkcjonować po obu stronach. Popękane kości promieniują bólem, przypominając mi, że nie wszystko w moim świecie jest w porządku, bez względu na to, z jakim uporem robię swoje i jak intensywnie skupiam się na pracy.

Obchodzę powoli swojego pacjenta, pochylam się bliżej i patrzę. W zgięciu prawego ramienia mężczyzny nadal tkwi strzykawka, a górną część ciała pokrywają obwiedzione jaskrawymi krawędziami pęcherze poparzeń drugiego stopnia. Na ciele widnieją czarne pasma sadzy, której gęsta warstwa zalega w nosie i ustach. Mój pacjent mówi mi, że był żywy, kiedy wybuchł ogień. Żeby wdychać dym, musiał oddychać. Żeby w oparzeniach mógł się pojawić płyn, powodując pęcherze i czerwone

krawędzie, pacjent musiał mieć ciśnienie. Okoliczności – podpalenie i strzykawka w przedramieniu – z pewnością mogłyby sugerować samobójstwo. Ale wysoko na prawym udzie ma stłuczenie, spuchnięte do rozmiaru mandarynki i purpurowe. Dotykam go. Twarde jak kamień. Wygląda na świeże. Jak do niego doszło? Strzykawka tkwi w prawej ręce, co sugeruje, że jeśli wbił ją sobie sam, najprawdopodobniej jest leworęczny. A jednak jego prawe ramię jest bardziej umięśnione niż lewe, co wskazuje na praworęczność. Dlaczego jest nagi?

– Nadal nie wiemy, kto to? – wołam do Jacka Fieldinga.

– Żadnych dodatkowych informacji. – Wciska nowe ostrze w skalpel. – Mają tu przyjść detektywi.

– Znaleziono go bez ubrania? – Aha.

Przesuwam palce w rękawiczkach przez pokryte węglowym pyłem włosy zmarłego, chcąc zobaczyć, jakiego są koloru. Nie będę miała pewności, dopóki go nie umyję, ale owłosienie ciała jest ciemne. Jest gładko ogolony, ma wystające kości policzkowe i kwadratową szczękę. Oparzenia na czole i podbródka trzeba będzie pokryć makijażem domu pogrzebowego, zanim puścimy w obieg jego zdjęcie w celu identyfikacji, jeśli to będzie konieczne. Jest zupełnie sztywny, ręce ma ułożone po bokach, palce lekko zgięte. *Livor mortis*, czyli zbieranie się krwi w dolnych częściach ciała, spowodowane przez prawo ciężenia, już także nastąpiło, sprawiając, że nogi od tyłu i pośladki nabrały głębokiego czerwonego koloru, przy czym wszystkie miejsca, które po zgonie opierały się o ścianę lub podłogę, zbieleły. Przechyliłam go na bok i przytrzymuję w tej pozycji, żeby zbadać obrażenia na plecach i znajduję równoległe linie zadrapań na łopatkach. Ślady wleczenia. Między łopatkami i u nasady karku widzę oparzenia. Do jednego z nich przywarł kawałek jakiegoś materiału, podobnego do plastiku; ma około pięciu centymetrów długości, jest wąski,

biały, z drobnym niebieskim nadrukiem, jaki można zobaczyć z tyłu opakowania produktów spożywczych. Zdejmuję skrawek pęsetą i oglądam pod lampą chirurgiczną. Papier przypomina raczej cienki, miękki plastik, który kojarzy mi się z opakowaniami cukierków albo kanapek. Odcyfrowuję słowa: „ten produkt i 9-4 EST” oraz numer bezpłatnej infolinii i część adresu strony internetowej. Wkładam skrawek do torebki z dowodami rzeczowymi.

– Jack? – wzywam go i zaczynam zbierać formularze i wykresy i przyczepiać je do podkładki z klipem.

– Nie do wiary, że chcesz pracować z tym cholernym gipsem na rękę.

Fielding przechodzi przez prosekorium, jego potężne bicepsy rozpychają krótkie rękawy fartucha. Mój zastępca może się szcycić swym ciałem, ale żadne podnoszenie ciężarów ani jedzenie wysokoproteinowych odżywek o smaku czekolady nie może powstrzymać jego łysienia. To niesamowite, w ostatnich tygodniach jasnobrązowe włosy Jacka zaczęły wypadać na naszych oczach, przyczepiały się do jego ubrania, unosiły w powietrzu jak puch, jakby ich właściciel liniał.

Jack marszczy brwi, widząc błąd w pisowni nazwiska na kartce przy palcu denata.

– Ten, kto to pisał, to na pewno Azjata. John Doo!

– Który detektyw prowadzi tę sprawę?

– Stanfield. Nie znam go. Tylko nie przebij rękawiczki, bo przez następnych kilka tygodni będziesz chodzić z tabliczką „zagrożenie biologiczne”. – Wskazuje na mój pokryty lateksem gips. – Serio, co byś zrobiła, skoro już o tym mówimy?

– Rozciąłabym go i założyła nowy.

– Więc może powinniśmy tu mieć opatrunki gipsowe na zmianę?

– Tak czy owak, mam ochotę go zdjąć. Oparzenia tego człowieka są dla mnie niezrozumiałe – mówię. – Czy wiemy, w jakiej odległości od ognia znajdowało się ciało?

– Około trzech metrów od łóżka. Powiedziano mi, że łóżko było jedyną rzeczą, jaka się spaliła, i to tylko częściowo. On był nagi, siedział na podłodze oparty plecami o ścianę.

– Ciekawe dlaczego tylko górna część jego ciała uległa poparzeniu. – Wskazuję na poparzenia wielkości srebrnych dolarówek. – Ramiona, klatka piersiowa. Tu jest jedno, na lewym ramieniu. I te na twarzy. I liczne na plecach, gdzie nie powinno ich być, skoro opierał się o ścianę. A co ze śladami wleczenia?

– Z tego, co rozumiem, kiedy przyjechali strażacy, wyciągnęli ciało na zewnątrz, na parking. Jedno jest pewne: musiał być nieprzytomny albo niezdolny do poruszania się, gdy wybuchł ogień – wyjaśnia Jack. – Inaczej nie wiem, jak to byłoby możliwe, do diabła, żeby ktoś po prostu siedział w płomieniach i wdychał dym. W tej świątecznej i radosnej porze roku...

Mój zastępca tchnie skacowanym zmęczeniem, więc zaczynam podejrzewać, że miał ciężką noc. Zastanawiam się, czy on i jego była żona znów sobie skakali do oczu.

– ...wszyscy się zabijają. Tamta kobieta. – Wskazuje ciało na stole numer jeden, które fotografuje doktor Chang, stojąc na drabince. – Leżała nieżywa na podłodze w kuchni, na poduszce, pod kocem. Sąsiad usłyszał strzał. Znalazła ją matka. Zostawiła list. A pod dwójką – Jack wpatruje się w stół numer dwa – śmierć w samochodzie, policja podejrzewa samobójstwo. Liczne obrażenia. Wjechała prosto na drzewo.

– Czy mamy jej ubranie?

– Mhm.

– Prześwietlmy jej stopy i niech laboratorium zbada podeszwy butów, żeby zobaczyć, czy hamowała czy dodawała gazu, kiedy uderzyła w drzewo. – Zaczerniam miejsca na wykresie, żeby oznaczyć, jakie partie ciała są pokryte sadzą.

– Mamy też cukrzyka, który przedawkował. – Jack recytuje listę naszych porannych gości. – Znalezione na podwórzu. Pytanie, czy to narkotyki, alkohol czy wyziębienie.

– Albo wszystko razem.

– Właśnie. Widzę, co masz na myśli w sprawie tych oparzeń. – Pochyliła się, żeby popatrzeć z bliska, często mrugając, co mi przypomina, że nosi szkła kontaktowe. – Niesamowite, że wszystkie mają tę samą wielkość i kształt. Chcesz, żebym ci pomógł?

– Dzięki, poradzę sobie. Jak się miewasz? – Rzucam mu spojrzenie znad podkładki.

Ma w oczach zmęczenie, jego ładne, chłopięce rysy zdradzają napięcie.

– Może uda nam się kiedyś pójść razem na kawę – mówi. – W najbliższych dniach. I to ja powinienem tobie zadać to pytanie.

Klepię go po ramieniu, dając do zrozumienia, że u mnie wszystko w porządku.

– O tyle dobrze, o ile można się spodziewać, Jack – dodaję.

Rozpaczynam zewnętrzne badanie zwłok Johna Doe za pomocą zestawu PERK. Służy do zbierania fizycznych dowodów, co jest zdecydowanie nieprzyjemną czynnością, na którą składają się wymazy z otworów ciała, obcinanie paznokci i pobieranie próbek owłosienia z głowy i całego ciała. Traktujemy w ten sposób wszystkie zwłoki, jeśli istnieją jakiegokolwiek powody, żeby podejrzewać, że śmierć nastąpiła z innych przyczyn niż naturalne. Zawsze tak badam zwłoki, które są nagie, chyba że istnieje jakiś możliwy do przyjęcia powód, dla którego zmarły nie miał na sobie ubrania

w chwili śmierci – na przykład leżał w wannie albo na stole operacyjnym. Niestety, na ogół nie oszczędzam swoim pacjentom ponizenia. Nie mogę. Czasami najważniejsze dowody chowają się w najciemniejszych, najdelikatniejszych zagłębieniach, również pod paznokciami i we włosach. Podczas badania najintymniejszych miejsc tego człowieka odkrywam gojące się naddarcia przy zwieraczu odbytu. Znajduję otarcia w kącikach ust. Do języka i wewnętrznej strony policzków przyklejone są jakieś włókna.

Oglądam go przez lupę, centymetr po centymetrze i historia, którą mi opowiada, robi się coraz bardziej podejrzana. Jego kolana i łokcie są lekko podrapane, ubrudzone ziemią i włóknami, które zbieram, przyciskając do nich pokrytą klejem stronę kartek „Post-it”, żeby je następnie zamknąć w plastikowych torebkach. Na wystających kostkach obu nadgarstków znajduję suche, brązowoczerwone ślady otarć i małe kawałki poobrywanej skóry. Pobieram krew z żył biodrowych i płyn z ciała szklistego oczu – próbówki wędrują na górę do laboratorium toksykologicznego na badanie poziomu alkoholu i tlenku węgla. O wpół do jedenastej, kiedy odsuwam tkanekę przy nacięciu w kształcie litery Y, spostrzegam zbliżającego się do mojego stanowiska wysokiego, starszego mężczyznę. Ma szeroką, zmęczoną twarz i trzyma się na bezpieczną odległość od mojego stołu. W ręku ściska brązową papierową torbę, zaklejoną od góry czerwoną taśmą. Przypominają mi się nagle moje ubrania, zapakowane w worek, leżące na stole w jadalni.

– Detektyw Stanfield, mam nadzieję? – Trzymam płat skóry i oddzielam go od żeber drobnymi, szybkimi cięciami skalpela.

– Dzień dobry. – Odrywa wzrok od ciała. – Dla niego chyba nie bardzo.

Stanfield nie zawracał sobie głowy strojem ochronnym, jest ubrany w źle leżący garnitur w jodełkę. Nie ma rękawiczek ani ochraniaczy na

butach. Patrzy na moją pogrubioną lewą rękę i powstrzymuje się od pytania, w jaki sposób ją złamałam, z czego wnioskuję, że już wie. Przypominam sobie, że moim życiem zajmowały się wszystkie media, których śledzenia nieugięcie odmawiam. Anna częściowo oskarżyła mnie o tchórzostwo, o tyle, o ile psychiatrze wolno oskarżać i tak naprawdę nigdy nie użyła słowa „tchórz”. Nie obchodzi mnie to. Trzymam się z daleka od gazet. Nie oglądam ani nie słucham niczego, co o mnie mówią.

– Przepraszam, że to tak długo trwało, ale na drogach jest okropnie i będzie coraz gorzej, pani doktor – mówi Stanfield. – Mam nadzieję, że założyła pani łańcuchy na opony, bo ja nie i utknąłem. Musiałem wezwać pomoc, żeby mnie odholowali, a potem wziąć łańcuchy i dlatego nie przyjechałem wcześniej. Znalazła pani coś?

– Ma siedemdziesiąt dwa procent CO. – Mam na myśli tlenek węgla. – Widzi pan ten wiśniowy kolor jego krwi? To charakterystyczne dla wysokiego poziomu CO. – Biorę z chirurgicznego wózka nożyce. Poziom alkoholu zero.

– Więc to z pewnością ogień go zabił?

– Wiemy, że miał w ramieniu igłę, ale przyczyną śmierci jest zatrucie tlenkiem węgla. – Niewiele nam to mówi, niestety. – Przecinam żebra. – Zauważyłam rozszerzony odbyt, co innymi słowy oznacza stosunki homoseksualne. W jakimś momencie miał związane ręce. Wygląda na to, że go zakneblowano. – Wskazuję na otarcia nadgarstków i kącików ust. Stanfield wybałusza oczy. – Otarcia na nadgarstkach nie są stwardniałe – ciągnę. – Nie wyglądają na stare. A ponieważ są włókna w ustach, możemy być całkiem pewni, że był zakneblowany mniej więcej w chwili śmierci. – Trzymam szkło powiększające nad dołem łokciowym, czyli zgięciem ramienia i pokazuję Stanfieldowi dwie malutkie plamki krwi. – Świeże ślady wkłuć – tłumaczę. – I ciekawe, że nie ma żadnych starych śladów,

które by wskazywały na używanie narkotyków. Zbadam wątrobę na *triaditis*, łagodny stan zapalny systemu podtrzymującego przewód żółciowy, arterię i żyłę. I zobaczymy, co wykażą badania toksykologiczne.

– Pewnie mógł mieć AIDS. – Ta myśl głównie zaprzęta detektywa Stanfielda.

– Zbadamy go na obecność wirusa HIV – odpowiadam. Stanfield odsuwa się jeszcze o krok, kiedy usuwam trójkątny pancerz żeber. To sygnał dla Laury Turkel, którą wypożyczono nam z jednostki wojskowej w Forcie Lee w Petersburgu. Jest niezwykle uważna i gorliwa, a pojawiwszy się nagle w końcu stołu, niemal mi salutuje. Turek, jak ją tu wszyscy nazywają, zwraca się do mnie per „szefie”. Pewnie szef to dla niej ranga, a doktor nie.

– Jest pani gotowa, szefie, mogę otwierać czaszkę? – Jej pytanie jest stwierdzeniem niewymagającym odpowiedzi. Turek, jak wiele kobiet, które nam tu przysyła wojsko, jest twarda, pełna zapału, szybko usuwa w cień mężczyzn, jako że ci często, prawdę mówiąc, okazują się mięczakami. – Ta samobójczyni, którą bada doktor Chang – mówi teraz, włączając jednocześnie piłę Strykera do gniazdka nad stołem – zostawiła dyspozycję, żeby jej nie ratować, i nawet napisała swój nekrolog. Uporządkowała papiery dotyczące ubezpieczenia, wszystko. Włożyła dokumenty w segregator i zostawiła razem z obrączką na stole w kuchni. Potem położyła się na kocu i strzeliła sobie w głowę. Wyobraża sobie pani? To naprawdę smutne.

– Bardzo smutne. – Wyjmuję narządy wewnętrzne i kładę na desce do krojenia. Wyglądają jak jeden połyskliwy blok. – Jeśli ma pan zamiar tu zostać, naprawdę powinien pan włożyć ubranie ochronne. – Kieruję tę uwagę do Stanfielda. – Czy ktoś panu pokazał, gdzie co znaleźć w przebieralni?

Detektyw wpatruje się niewidzącym spojrzeniem w mankiety moich przesiąkniętych krwią rękawów i zachlapany przód fartucha.

– Jeśli pani pozwoli, chciałbym podzielić się tym, co mam – mówi. – Czy moglibyśmy na minutę usiąść? Potem muszę jechać z powrotem, zanim pogoda się pogorszy. Niedługo będzie można przejechać już tylko saniami Świętego Mikołaja.

Turek bierze skalpel i robi nacięcie z tyłu głowy, od ucha do ucha. Odwija skórę na głowie, ściągają do przodu i twarz robi się luźna, zapada się w tragicznym proteście, zanim wywinie się na lewą stronę, jak skarpetka. Obnażona kopuła czaszki lśni nieskazitelną bielą. Przyglądam jej się uważnie. Żadnych krwiaków. Żadnych wgłębień ani pęknięć. Zgrzyt elektrycznej piły brzmi jak połączenie piły do drewna i świdra dentystycznego. Ściągam rękawiczki i wrzucam je do pojemnika na odpadki stanowiące zagrożenie biologiczne. Daję znak Stanfieldowi, żeby podszedł ze mną do długiego blatu, który biegnie wzdłuż ściany, naprzeciwko stołów sekcyjnych. Przysuwamy sobie krzesła.

– Muszę być z panią uczciwy – zaczyna detektyw, powoli kręcąc głową.
– Nie mamy pojęcia, od czego zacząć. Wszystko, co mogę teraz powiedzieć, to tyle, że ten człowiek – wskazuje zwłoki na stole – zameldował się w Fort James, w motelu z kempingiem, wczoraj o trzeciej po południu.

– Gdzie dokładnie jest ten motel?

– Przy szosie Piątej Zachodniej, nie dalej niż dziesięć minut od Williama i Mary.

– Rozmawiał pan z obsługą motelu?

– Z kobietą z biura, tak, pani doktor. – Otwiera dużą brązową kopertę i wyjmuje garść kolorowych zdjęć zrobionych polaroidem. – Nazywa się Bev Kiffin. – Literuje nazwisko, z wewnętrznej kieszeni marynarki

wyjmuje okulary do czytania i lekko drżącymi rękoma przerzuca kartki notesu. – Powiedziała, że ten młody człowiek wszedł i poprosił o ofertę szesnaście zero siedem.

– Przepraszam, o co? – opieram długopis o notatki.

– Sto sześćdziesiąt dolarów i siedemdziesiąt centów. Od poniedziałku do piątku. Pięć nocy szesnaście zero siedem. Normalna stawka to 46 dolarów za noc, czyli moim zdaniem kupa forsy za taką dziurę. Ale wie pani, jak to jest z pułapkami na turystów.

– Szesnaście zero siedem? Jak rok założenia Jamestown? – Nawiązanie do Jamestown wydaje mi się dziwne. Zaledwie zeszłego wieczoru wspomniałam o nim Annie, kiedy opowiadałam o Bentonie.

Stanfield potakuje skwapliwie.

– Jak Jamestown. Tysiąc sześćset siedem. To oferta biznesowa, tak ją nazywają. Cena za tydzień roboczy i chciałbym dodać, pani doktor, że to nie jest porządny hotel, o nie, w żadnym wypadku. Zapchlona dziura i tyle.

– Notowany w sprawozdaniach policyjnych?

– Och, nie. Nie, proszę pani. Nic takiego, o ile mi wiadomo.

– Po prostu parszywy?

– Właśnie – przytakuje.

Detektyw Stanfield mówi wyraźnie, z naciskiem, jak gdyby uczył mało rozgarnięte dziecko, któremu ważne słowa trzeba powtarzać albo podkreślać. Układa zdjęcia na blacie porządnie, w szeregu. Oglądam je.

– Sam je pan robił? – wyrażam przypuszczenie.

– Tak, proszę pani.

To, co uchwycił na kliszy, jest takie jak on sam, dokładne i rzeczowe: drzwi motelowe z numerem czternaście, widok pokoju od strony wejścia, spalone łóżko, osmalone firanki i ściany. W pokoju jest komoda i miejsce na powieszenie ubrań – zwykły pręt w załamaniu ściany, tuż przy drzwiach.

Dostrzegam na łóżku resztki narzuty i białych prześcieradeł, ale nic więcej. Pytam Stanfielda, czy może odesłał pościel do laboratorium, żeby zbadać obecność substancji przyspieszających palenie. Odpowiada, że na łóżku nie było niczego, co by można odesłać, oprócz wypalonych resztek samego materaca, które włożył do szczelnie zamkniętej aluminiowej puszkii, „zgodnie z procedurą”, według jego słów, słów kogoś, dla kogo praca detektywa to coś nowego. Ale zgadza się ze mną, że brak pościeli jest dziwny.

– Czy łóżko było pościelone, kiedy się wprowadził?

– Pani Kiffin mówi, że nie odprowadziła go do pokoju, ale jest pewna, że łóżko zostało zaścielone jak należy, bo sama sprzątała pokój po wyjeździe ostatniego gościa kilka dni temu – odpowiada. W porządku, przynajmniej przyszło mu do głowy zapytać ją o to.

– A co z bagażem? Czy ofiara miała jakiś bagaż?

– Nie znalazłem żadnego bagażu.

– Kiedy przyjechali strażacy?

– Wezwano ich o siedemnastej.

– Kto? – Notuję.

– Jakiś anonimowy kierowca, który przejeżdżał obok. Zobaczył dym i zadzwonił z samochodu. O tej porze roku, z tego, co mówi pani Kiffin, w hotelu jest mało gości. Mówi, że wczoraj około trzech czwartych pokoi było pustych, bo już prawie święta, marna pogoda i w ogóle. Po łóżku widać, że ogień się nie rozprzestrzenił. – Grubym, szorstkim palcem dotyka fotografii. – Pewnie zdążył zgasnąć sam z siebie, zanim dojechali strażacy. Potrzebne im były tylko gaśnice, nie musieli używać sikawek, co jest dla nas korzystne. To jego ubranie.

Pokazuje mi zdjęcie ciemnego stosiku odzieży na podłodze, tuż za otwartymi drzwiami. Rozróżniam spodnie, koszulkę, kurtkę i buty. Potem

oglądam fotografię wnętrza łazienki. Na umywalce widzę plastikowy kubek na lód, plastikowe szklanki owinięte celofanem i mały, nierozpakowany kawałek mydła. Stanfield wyławia z kieszeni scyzoryk, otwiera go i przecina taśmę wokół papierowej torby, którą przyniósł ze sobą.

– To jego ubranie – wyjaśnia. – A przynajmniej zakładam, że jego.

– Chwileczkę – mówię.

Wstaję, przykrywam wózek świeżym prześcieradłem, wkładam nowe rękawiczki i pytam detektywa, czy znaleziono portfel albo inne rzeczy osobiste. Mówi, że nie. Ostrożnie wyjmuję ubranie z torby, tak że gdyby coś miało z niej wypaść, spadnie na prześcieradło. Czuję zapach moczu. Oglądam czarne wycięte slipki i czarne kaszmirowe spodnie od Armaniego. Jedne i drugie są przesiąknięte moczem.

– Złał się w spodnie – mówię do Stanfielda.

Potrząsa tylko głową i wzrusza ramionami. W jego oczach pojawia się wątpliwość – może wątpliwość zmieszana ze strachem. Wszystko to nie ma większego sensu, lecz moje odczucia są zupełnie jasne. Ten człowiek zarejestrował się w hotelu sam, ale w jakimś momencie pojawiła się druga osoba i zastanawiam się, czy ofiara straciła panowanie nad pęcherzem ze strachu.

– Czy ta kobieta z biura, pani Kiffin, pamięta, że był tak właśnie ubrany, kiedy się zameldował w hotelu? – pytam, wywracając kieszenie na lewą stronę, żeby sprawdzić, czy coś w nich jest. Nie ma nic.

– Nie spytałem jej o to – odpowiada detektyw. – Nic nie ma w kieszeniach. To jakby nienormalne.

– Nikt ich nie sprawdzał na miejscu?

– Prawdę mówiąc, to nie ja włożyłem ubranie do torby. Zrobił to inny detektyw, ale jestem pewny, że nikt nie przekopywał kieszeni,

a przynajmniej nie znaleziono żadnych rzeczy osobistych, bo wiedziałbym o tym i przywiózłbym je tutaj.

– No cóż, może niech pan zadzwoni teraz do pani Kiffin i zapyta, czy pamięta, że przyjechał w tym ubraniu? – uprzejmie mówię Stanfieldowi, żeby zrobił, co do niego należy. – A co z samochodem? Czy wiemy, jak ofiara dotarła do hotelu?

– Na razie nie znaleźliśmy żadnego pojazdu.

– To, jak był ubrany, z pewnością nie pasuje do niedrogiego motelu. – Zaznaczam spodnie na wykresie dotyczącym ubrania.

Czarna marynarka, czarna koszulka, a także pasek, spodnie i buty również pochodzą od drogich projektantów mody. To przywodzi mi na myśl Jeana-Baptiste'a Chandonne'a, którego charakterystyczne włosy, cienkie jak u dziecka, znaleziono na rozkładającym się ciele Thomasa, odkrytym w kontenerze w porcie na początku miesiąca. Dzielę się ze Stanfieldem komentarzem na temat podobieństwa ubrania obu ofiar.

– Według obowiązującej teorii – tłumaczę mu – Jean-Baptiste zamordował swego brata Thomasa, prawdopodobnie w Antwerpii i zamienił się z nim ubraniami przed zamknięciem ciała w kontenerze na statku płynącym do Richmondu.

– Dlatego że znalazła pani wszystkie te włosy, o których czytałem w gazetach? – Stanfield usiłuje zrozumieć coś, co byłoby trudne nawet dla najbardziej doświadczonego detektywa, który już niejedno widział.

– To i badanie mikroskopowe diatomów, czyli alg, zgodne z wynikiem badania wody obok domu Chandonne'ów na Wyspie Świętego Ludwika w Paryżu – ciągnę. Stanfield zgubił się kompletnie. – Proszę posłuchać, wszystko, co mogę panu powiedzieć to tyle, że ów człowiek – mam na myśli Jeana-Baptiste'a Chandonne'a – cierpi na niezwykle rzadkie wrodzone schorzenie i podobno miał zwyczaj kąpać się w Sekwanie, być

może wierząc, że to go uleczy. Mamy powody, aby uważać, że rzeczy, w które był ubrany jego brat, pierwotnie należały do Jeana-Baptiste'a. Rozumie pan? – Zaznaczam pasek i na podstawie wgłębienia na nim notuję, która dziurka była najczęściej używana.

– No, prawdę mówiąc – odpowiada Stanfield – o niczym innym nie słyszę tylko o tej dziwnej sprawie i o Wilkołaku. Znaczy się, proszę pani, tylko o tym gadają, jak włączyć telewizor albo wziąć gazetę i chyba pani o tym wie, a w ogóle to naprawdę strasznie mi przykro, że panią to wszystko spotkało i prawdę mówiąc, nie rozumiem, jak pani w ogóle może tu być i myśleć do rzeczy. Rany boskie! – Potrząsa głową. – Moja żona mówi, że gdyby ktoś taki stanął w naszych drzwiach, to nie musiałby już nic robić. Od razu umarłaby na atak serca.

Wyczuwam iskierkę jego wątpliwości co do mojej osoby. Zastanawia się, czy jestem w tej chwili całkowicie racjonalna, czy też ulegam projekcji – może wszystko, czego doświadczam, jest w jakiś sposób zabarwione Chandonne'em. Zdejmuję wykres dotyczący ubrania z podkładki i dołączam go do reszty papierów Johna Doe, a Stanfield wykręca numer, który odczytuje ze swego notatnika. Patrzę, jak zatyka palcem wolne ucho, zezując, jak gdyby odgłos piły, którą Turek otwiera czaszkę innego człowieka, przyprawiał go o ból oczu. Nie słyszę, co mówi. Odkłada słuchawkę i wraca do mnie, czytając jednocześnie wiadomość na swoim pagerze.

– Mamy dobre i złe wieści – oznajmia. – Ta kobieta, pani Kiffin, pamięta, że był naprawdę ładnie ubrany, w ciemny garnitur. To dobra wiadomość. A zła to ta, iż pamięta również, że miał w ręku kluczyki, takie z pilotem, jak od tych nowych, drogich samochodów.

– Ale samochodu nie ma – odpowiadam.

– Nie, proszę pani, nie ma. Kluczyków też nie. Wygląda na to, że cokolwiek się stało, ktoś mu w tym pomógł. Myśli pani, że może ktoś mu dał narkotyk, a potem próbował go spalić, żeby zatrzeć ślady?

– Myślę, że powinniśmy poważnie brać pod uwagę zabójstwo – stwierdzam to, co jest oczywiste. – Musimy zdjąć mu odciski palców i zobaczyć, czy pokrywają się z jakimiś w AFIS-ie.

AFIS – czyli Zautomatyzowany System Identyfikowania Odcisków Palców – umożliwia zeskanowanie odcisków palców do komputera i porównanie ich z bazą danych, przez którą można się łączyć ze stanu do stanu. Jeśli ten zmarły był notowany przez policję tu, w kraju, albo jeśli z jakiegoś innego powodu odciski jego palców znajdują się w bazie danych, najprawdopodobniej go znajdziemy. Wkładam świeże rękawiczki, starając się jak najlepiej osłonić gips, przykrywający dół mojej lewej dłoni i kciuk. Zdejmowanie odcisków palców zmarłych wymaga użycia prostego narzędzia, nazywanego łyżką. Przypomina zakrzywioną metalową rurkę, przeciętą wzdłuż na pół. Przez szpary w łyżce przeciągnięty jest pasek białego papieru, w taki sposób żeby swoim wygięciem pasował do konturów palców, które już się nie zginają posłuszne woli właściciela. Z każdym odciskiem pasek przesuwają się do następnego czystego kwadracika. Cała operacja nie jest trudna. Nie wymaga dużej inteligencji. Ale kiedy mówię Stanfieldowi, gdzie są łyżki, marszczy brwi, jak gdybym się do niego zwróciła w obcym języku. Pytam, czy zdejmował kiedyś odciski palców trupowi. Przyznaje, że nie.

– Niech pan zaczeka – mówię i idę do telefonu, żeby się porozumieć z laboratorium odcisków palców. Nikt nie odpowiada. Próbuje przez centralę. Dowiaduję się, że wszyscy poszli do domu ze względu na pogodę. Wyjmuję z szuflady łyżkę i poduszeczkę z tuszem. Turek przeciera dłonie zmarłego, a ja pokrywam jego palce tuszem i przyciskam kolejno jeden po

drugim do paska papieru. – Jeśli pan nie ma nic przeciwko temu – zwracam się do detektywa – to sprawdzę, czy Richmond zgodzi się je przesłać do AFIS-u, żeby natychmiast ruszyli z miejsca. – Przyciskam kciuk zmarłego do wnętrza łyżki, a Stanfield przygląda mi się z niesmakiem. Jest jednym z tych ludzi, którzy nienawidzą kostnic, i nie może się doczekać, by stąd wyjść. – Wygląda na to, że w laboratorium nie ma nikogo, kto mógłby nam akurat teraz pomóc – wyjaśniam. – A chciałam przesłać odciski i inne informacje do Interpolu, na wypadek gdyby nasz pacjent miał powiązania międzynarodowe.

– Dobrze – zgadza się Stanfield, ponownie kiwając głową i patrząc na zegarek.

– Miał pan kiedyś do czynienia z Interpolem? – pytam.

– Nie mogę powiedzieć, że miałem, proszę pani. To jakby szpieczy, prawda?

Dzwonię na pager Marina, żeby zobaczyć, czy kapitan będzie mógł nam pomóc. Pojawia się trzy kwadransy później, kiedy Stanfield już dawno poszedł, a Turek wkłada pocięte narządy Johna Doe do grubej plastikowej torby, którą umieści w ciele zmarłego, zanim je zaszyje.

– Cześć, Turek – wita ją Marino, wchodząc przez automatycznie otwierające się stalowe drzwi. – Znowu zamrażasz resztki?

Kobieta podnosi na niego wzrok, marszczy brwi i uśmiecha się krzywo. Marinowi podoba się Turek. Podoba mu się tak bardzo, że przy każdej okazji jest dla niej niegrzeczny. Laura Turkel nie wygląda tak, jak by na to mogło wskazywać jej przezwisko. Jest drobna, o czystych, ładnych rysach i kremowej cerze, długie jasne włosy nosi związane wysoko niczym ogon konia sportowego. Nawleka grubą, białą, woskowaną nić w długą igłę, a Marino nie przestaje się droczyć.

– Mówię ci – powiada – gdybym się kiedyś zaciął, to nie przyjdę do ciebie, żebyś mnie zszyła. – Turek z uśmiechem zagłębia dużą zakrzywioną igłę w ciele i przeciąga nić.

Marino sprawia wrażenie skacowanego, ma nabiegłe krwią i zapuchnięte oczy. Mimo wszystkich żarcików widać, że jest w podłym nastroju.

– Zapomniałeś się wczoraj położyć? – pytam.

– Mniej więcej. To długa historia. – Próbuje mnie ignorować, obserwując Laurę, ale jest dziwnie roztargniony i skrepowany. Odwiązuje fartuch i zdejmuję osłonę z twarzy oraz czepek chirurgiczny. – Zobaczymy, jak szybko wrzucicie to w komputer – zwracam się do niego rzeczowo i niezbyt przyjaźnie. Ukrywa coś przede mną i złości mnie jego puszenie się i szczeniackie zachowanie. – Mamy niedobłą sytuację, Manno.

Jego uwaga przenosi się z Turka na mnie. Poważnieje i przestaje się zachowywać jak smarkacz.

– A może byś mi opowiedziała, co się dzieje, a ja zapalę? – pyta, pierwszy raz od kilku dni patrząc mi w oczy.

W moim budynku nie wolno palić, co nie przeszkadza różnym ludziom, stojącym wysoko w porządku dziobania, robić tego w swoich gabinetach, jeśli otaczają ich tacy, którzy na nich nie naskarżą. W kostnicy nie obchodzi mnie, kto pyta, nie pozwalam palić i kropka. Nie dlatego, że nasi pacjenci mieliby się martwić, że pośrednio wdychają dym. Moja troska dotyczy żywych, którzy w kostnicy nie powinni robić niczego, co wymagałoby kontaktu ręka-usta. Żadnego jedzenia, picia ani palenia, odradzam także gumę do żucia, cukierki i drażetki. Przestrzeń, która służy jako palarnia, to dwa krzesła przy pojemniku na niedopałki obok niszy z automatami z napojami gazowanymi. O tej porze roku nie jest to przytulne ani ciepłe miejsce, w którym chciałoby się posiedzieć, ale

przynajmniej jest odosobnione. Sprawa nie należy do kompetencji Marina, jednak muszę mu powiedzieć o ubraniu.

– Mam przeczucie – mówię mu.

Strąca popiół w stronę pojemnika. Siedzi, rozplaszczony uda na plastikowym krześle. Widzimy, jak nasze oddechy zamieniają się w parę.

– Mnie też się to nie podoba – odpowiada. – Fakt, że to może być zbieg okoliczności, pani doktor. Ale drugi fakt to ten, że rodzina Chandonne'ów to niebezpieczne dranie. Nie wiemy, jakie będą skutki tego, że ich brzydkie kaczątko przymknęli w Stanach za morderstwo – co skierowało teraz tyle uwagi na mafijnego tatusia i w ogóle. To okropni ludzie, zdolni do wszystkiego. Proszę mi wierzyć, dopiero teraz zaczynam rozumieć, jacy są naprawdę, naprawdę źli – dodaje tajemniczo. – Nie lubię gangsterów, oj, nie lubię. Jak zaczynałem, rządziłem wszystkim. – Oczy mu twardnieją, kiedy to mówi. – Kurwa, pewnie dalej tak jest, jedyna różnica to ta, że nie ma żadnych reguł, żadnego szacunku. Nie wiem, co ten gość robił niedaleko Jamestown, ale na pewno nie pojechał tam, żeby zwiedzać tereny wykopalisk. A Chandonne leży w szpitalu zaledwie sto kilometrów dalej. Coś tu się kroi.

– Marino, trzeba natychmiast dać znać o tym Interpolowi.

Zawiadamianie Interpolu należy do policji i żeby to zrobić, kapitan będzie musiał skontaktować się z łącznikiem w policji stanowej, który przekaże informację do naszego centralnego biura Interpolu w Stanach Zjednoczonych, w Waszyngtonie. Poprosimy Interpol o wydanie międzynarodowego zawiadomienia o naszej sprawie i przeszukanie olbrzymiej bazy danych w ich sekretariacie generalnym w Lyonie. Takie zawiadomienia mają odpowiedni kod – czerwony oznacza natychmiastowe zatrzymanie i prawdopodobną ekstradycję, niebieski to ktoś poszukiwany o nieustalonej ostatecznie tożsamości, zielony to ostrzeżenie przed kimś, co

do kogo istnieje obawa, że popełni przestępstwo, takie jak napastowanie dzieci czy pornografia, żółty jest dla osób zaginionych, a czarny dla niezidentyfikowanych zwłok, najprawdopodobniej należących do zbiegów i również kodowanych na czerwono. Mój przypadek będzie drugim naszym zawiadomieniem w tym roku, po pierwszym sprzed zaledwie kilku tygodni, kiedy w kontenerze w porcie znaleziono rozkładające się zwłoki Thomasa Chandonne'a.

– Dobra, wyślemy do Interpolu zdjęcie, odciski i sprawozdanie z autopsji – notuje w pamięci Marino. – Zrobię to, jak tylko stąd wyjdę. Mam tylko nadzieję, że Stanfield nie uzna, że mu wchodzi w paradę. – Brzmi to raczej jak ostrzeżenie. Kapitana nic nie obchodzi, czy wejdzie tamtemu w paradę, ale nie chce awantur.

– On nie ma o niczym pojęcia.

– Szkoda, bo w hrabstwie James City są naprawdę dobrzy policjanci – odpowiada Marino. – Problem w tym, że szwagrem Stanfielda jest Matthew Dinwiddie, kongresman, więc tamtego zawsze traktowano w specjalny sposób, a na zabójstwach zna się tyle co Kubuś Puchatek. Ale pewnie takie było jego życzenie, a szwagierek zabajerował szefa.

– Zobacz, co się da zrobić.

Marino zapala następnego papierosa i błędzi wzrokiem wokoło, jego myśli są niemal wyczuwalne. Opieram się chęci zapalenia. Mam straszną ochotę na papierosa i nienawidzę samej siebie za powrót do nałogu. Jakoś zawsze myślę, że mogę zapalić tylko jednego papierosa i zawsze się myślę. Siedzimy w niezręcznym milczeniu. Wreszcie poruszam sprawę Chandonne'a i tego, co powiedział mi w niedzielę Righter.

– Czy możesz wyjaśnić mi, co się dzieje? – mówię cicho. – Zakładam, że dziś rano wypisali go ze szpitala i zakładam również, że przy tym byłeś. I przypuszczam, że poznałeś panią Berger.

Marino zwleka, zaciągając się papierosem.

– Tak, pani doktor, byłem tam. Pierdolone zoo. – Wypuszcza z siebie słowa i dym. – Nawet przyszło paru reporterów z Europy. – Rzuca mi enigmatyczne spojrzenie i czuję, że jest wiele rzeczy, o których mi nie powie, co mnie przygnębia. – Moim zdaniem takich dupków jak on powinni wrzucać w Trójkąt Bermudzki i nie pozwalać nikomu z nimi rozmawiać ani robić zdjęć – ciągnie. – To nie w porządku, przynajmniej w tym wypadku, ten gość jest taki brzydki, że pewnie wszyscy mieli problemy techniczne, zniszczył sporo kosztownych aparatów. Wyprowadzili go w tyłu łańcuchach, że wystarczyłoby na przycumowanie okrętu wojennego; podtrzymywali go jak niewidomego. Miał zabandażowane oczy i udawał, że go bolą, pełna szopka.

– Rozmawiałeś z nim? – Tego tak naprawdę chcę się dowiedzieć.

– To nie było moje przedstawienie – odpowiada dziwacznie, wbijając spojrzenie przed siebie i zaciskając szczęki. – Mówią, że może będą mu musieli przeszczepiać rogówkę. Kurwa mać. Na świecie jest kupa ludzi, których nie stać na okulary, a temu gnojowi może zafundują nową rogówkę! I pewnie za jego operację zabalą podatnicy, tak jak bulimy tym wszystkim lekarzom, pielęgniarkom i Bóg wie komu jeszcze za to, że się troszczą o jego dupę. – Zgniatą niedopałek w pojemniku. – Chyba powinienem się zbierać. – Wstaje z ociąganiem. Chce ze mną porozmawiać, ale z jakiegoś powodu tego nie robi. – Potem idę z Lucy na piwo. Mówi, że ma dla mnie jakąś wielką nowinę.

– Niech ci sama powie – odpowiadam. Patrzy na mnie z ukosa.

– Więc tak mnie zostawisz w zawieszeniu? Chcę powiedzieć, że kto to mówi.

– Nic mi nie wyjaśnisz? Czy to dobra wiadomość czy zła? Tylko mi nie mów, że Lucy jest w ciąży – dodaje ironicznie, przytrzymując mi drzwi,

kiedy wychodzimy z palarni.

W prosektorium Laura Turkel zmywa wężem moje stanowisko pracy; woda pluszcze, stalowe pręty głośno szczekają, kiedy Turek przeciera gąbką stół. Spozstrzega mnie i przekrzykując hałas, woła, że Rosę usiłuje się ze mną skontaktować. Idę do telefonu.

– Sądy są zamknięte – oznajmia moja sekretarka. – Ale biuro Rightera powiada, że mają zamiar zażądać twojego zeznania. Więc nie ma powodu się martwić.

– Co za wstrząs. – Jak to Anna go nazwała? *Ein Mann* coś tam. Bez kręgosłupa.

– I dzwonił z banku. Jakiś pan Greenwood prosi o telefon. – Rosę podaje mi numer.

Ilekcioć mój bank chce się ze mną skontaktować, popadam w paranoję. Albo spadła wartość inwestycji, albo jestem na minusie, bo komputer coś spieprzył, albo wynikł jakiś inny problem. Znajduję pana Greenwooda w oddziale prywatnych kont.

– Bardzo panią przepraszam – mówi chłodno. – To pomyłka. Nieporozumienie, pani doktor. Przepraszam, że panią niepokoiłiśmy.

– Więc nie ma potrzeby rozmowy? Wszystko w porządku? – Jestem zaskoczona. Kontaktuję się z Greenwoodem od lat, a zachowuje się, jakby mnie nie znał.

– To pomyłka – powtarza tym samym obcym głosem. – Raz jeszcze przepraszam. Miłego dnia.

Rozdział 9

Kilka następnych godzin spędziłam za biurkiem, dyktując sprawozdanie z sekcji Johna Doe, telefonując i parafując pisma. Wyszłam z biura późnym popołudniem i pojechałam na zachód.

Słońce prześwieca przez postrzępione chmury, a podmuchy wiatru rzucają na ziemię brązowe liście, które trzepoczą jak leniwe ptaki. Śnieg przestał padać, temperatura się podnosi, świat kapie i syczy mokrymi odgłosami ruchu ulicznego.

Prowadzę srebrnego lincolna navigatora Anny w stronę Three Chopt Road, a radio bez przerwy podaje wiadomość, że Jean-Baptiste Chandonne ma być sądzony poza Richmondem. Dużo się mówi o jego zabandażowanych oczach i poparzeniach chemicznych. Historia tego, jak go okaleczyłam, żeby ratować własne życie, nabiera rozpędu. Reporterzy znaleźli już swój punkt widzenia. Sprawiedliwość jest ślepa. Doktor Scarpetta wymierzyła karę cielesną.

– Oślepić kogoś – mówi prowadzący program radiowy – proszę to rozważyć. Kto to był ten gość u Szekspira? Pamiętacie, wyłupili mu oczy? Król Lir? Widzieliście ten film? Stary król musiał sobie włożyć w oczodoły surowe jajka czy coś, żeby złagodzić ból. Naprawdę straszne.

Chodnik prowadzący do brązowych, podwójnych drzwi kościoła pokrywa breja topniejącego śniegu i soli, a na parkingu stoi najwyżej dwadzieścia samochodów. Jak przewidział Marino, ani policja, ani prasa nie zjawiły się tłumnie. Może to pogoda odstraszyła ludzi od starego gotyckiego kościoła z cegły, a może raczej sama zmarła. Ja na przykład nie przyszedłam tu z szacunku, przywiązania czy choćby poczucia straty. Rozpinam płaszcz i wchodzę do środka, starając się nie myśleć o nieprzyjemnej prawdzie: nie znosiłam Dianę Bray i zjawiłam się tu z poczucia obowiązku. Była policjantką. Znałam ją. Była też moją pacjentką.

Duża fotografia zmarłej stoi na stole w przedsiionki' i zaskakuje mnie jej wyniosła, samolubna uroda, lodowaty, okrutny błysk w oczach, którego nie zdołałby ukryć żaden aparat, bez względu na kąt ujęcia, światło czy kunszt fotografa. Dianę Bray mnie nienawidziła i nadal nie potrafię w pełni zrozumieć powodu. Miała obsesję na punkcie mojej władzy i analizowała każdy aspekt mojej osoby w sposób, w jaki ja sama nigdy tego nie robiłam. Prawdopodobnie nie postrzegam siebie tak, jak ona mnie postrzegała, więc za późno się zorientowałam – kiedy ona już rozpoczęła swoją kampanię, tę niewiarygodnie ostrą batalię, skierowaną przeciwko mnie, której kulminacyjnym punktem było ubieganie się o jak najwyższe stanowisko.

Wszystko zaplanowała. Miała pomóc w przeniesieniu biura koronera z resortu zdrowia do resortu bezpieczeństwa publicznego, by móc potem, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zmanipulować gubernatora, żeby to ją mianował sekretarzem do spraw bezpieczeństwa. Gdyby tak się stało, byłabym jej podwładną i miałyby nawet tę przyjemność, że mogłaby wyrzucić mnie z pracy. Dlaczego? Nadal szukam rozsądnej motywacji i nie udaje mi się znaleźć niczego, co by mnie w pełni zadowalało. Nigdy nawet nie słyszałam o Dianę Bray, dopóki w zeszłym roku nie pojawiła się

w departamencie policji w Richmondzie. Ale ona słyszała o mnie i przeniosła się do mojego pięknego miasta, mając opracowaną strategię intryg i aktów agresji, żeby mnie zniszczyć, powoli, z sadyzmem, zakłócając moją pracę, przez oszczerstwa, rzucanie mi kłód pod nogi i upokorzenia, aż do zrujnowania mojej kariery zawodowej i życia. Przypuszczam, że punktem kulminacyjnym jej fantazji i wykalkulowanych na zimno manipulacji miała być moja dymisja, złożona w atmosferze hańby, a może nawet samobójstwo po pozostawieniu przeze mnie kartki, że to z jej winy. Ale jestem tu nadal. A jej nie ma. I to, że właśnie ja badałam jej zmasakrowane zwłoki, ma nie do opisania ironiczną wymowę.

Grupa oficerów policji w galowych mundurach stoi przy wejściu, rozmawiając cicho. Komendant Rodney Harris rozmawia z ojcem O'Connorem. Widzę też uroczyście ubrane osoby cywilne, których nie znam. Z niepewnego sposobu, w jaki się rozglądają, wskazującego na zagubienie, wnoszę, że to nie miejscowi. Biorę kartkę z informacją o porządku ceremonii i czekam, żeby porozmawiać z Harrisem oraz z księdzem.

– Tak, tak, rozumiem – mówi ojciec O'Connor.

Wygląda tak dostojnie w długim kremowym habicie, gdy tak stoi z dłońmi splecionymi na wysokości pasa. Uświadamiam sobie, że nie widziałam go od Wielkanocy, i czuję ukłucie winy.

– Cóż, ojczy, nie mogę. Ta część jest dla mnie nie do przyjęcia – odpowiada Harris.

Jego rzednące rude włosy, przyklejone do czaszki, odsłaniają obwisłą, nieładną twarz. Ten niski korpulentny mężczyzna z genetycznie zakodowaną skłonnością do otyłości wygląda jak pączek w galowym niebieskim mundurze. Harris nie jest miłym człowiekiem i nie lubi

władczych kobiet. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego zatrudnił Dianę Bray, i mogę tylko przypuszczać, że nie zrobił tego z właściwych powodów.

– Wola boska nie zawsze jest dla nas zrozumiała – mówi ojciec O’Connor i nagle mnie zauważa. – Doktor Scarpetta. – Uśmiecha się i ujmuje moją rękę w obie dłonie. – Jak dobrze, że pani przyszła. Myślałem o pani i modliłem się za panią. – Uścisk jego palców i światło w oczach pokazują mi, że rozumie, co się ze mną dzieje i że go to obchodzi. – Chciałbym, żeby mnie pani kiedyś odwiedziła.

– Dziękuję, ojcze. – Podaję rękę Harrisowi. – Wiem, że to trudny okres dla pańskiego wydziału – mówię. - I dla pana osobiście.

– To bardzo, bardzo smutne – odpowiada, patrząc w bok, na innych ludzi i krótko, zdawkowo potrząsa moją ręką.

Ostatni raz widziałam Harrisa w domu Dianę Bray, kiedy tam wszedł i zobaczył jej potwornie zmasakrowane zwłoki. Ta chwila pozostanie między nami na zawsze. Nie powinien był w ogóle przychodzić na miejsce zabójstwa. Nie było żadnego powodu, żeby oglądał swoją zastępczynię w stanie takiego pohańbienia, i zawsze będę mu to miała za złe. Czuję szczególny niesmak do ludzi, którzy traktują teren zbrodni w sposób prostacki i pozbawiony szacunku, a pojawienie się komendanta w domu Dianę Bray było manifestacją władzy i dawaniem upustu własnej potrzebie podglądania i Harris wie, że ja o tym wiem. Przechodzę w głąb kościoła i czuję na plecach jego wzrok. Organy grają, ludzie siadają w ławkach w połowie nawy. Na bogato zdobionych witrażach widnieją święci i sceny ukrzyżowania. Mosiężne i marmurowe krzyże lśnią. Siadam w nawie głównej, a w chwilę później zaczyna się ceremonia. Elegancko ubrani nieznajomi, których zauważyłam wcześniej, idą za księdzem. Jakiś młody człowiek niesie krzyż, a ubrany na czarno mężczyzna złotoczerwoną,

emaliowaną urnę z prochami Dianę Bray. Starsza para trzyma się za ręce i ociera łzy.

Ojciec O'Connor wita nas wszystkich i dowiaduję się, że są tu rodzice Bray i jej dwaj bracia. Przyjechali ze stanów Nowy Jork, Delaware i Waszyngton, bo bardzo kochali Dianę. Nabożeństwo jest proste. Nie trwa długo. Ojciec O'Connor odmawia modlitwę nad urną, pokropiwszy ją wodą święconą. Poza komendantem Harrisem nikt nie wyrywa się z żadnymi refleksjami czy pochwałami, a to, co on ma do powiedzenia, jest sztuczne i ogólnikowe.

– Chętnie wybrała zawód, którego celem jest pomaganie innym. – Stoi sztywno za pulpitem i czyta z kartki. – Każdego dnia wiedziała, że się naraża, bo takie jest życie policjanta. Uczymy się bez lęku patrzeć w twarz śmierci. Wiemy, co znaczy walczyć samotnie, a nawet być znienawidzonym, a jednak się nie boimy. Wiemy, co znaczy być piorunochronem dla zła, dla ludzi, którzy żyją na naszej planecie po to, aby zabierać życie innym.

Ludzie kręcą się w ławkach, drewno trzeszczy. Ojciec O'Connor uśmiecha się dobrotliwie i słucha, przechyliwszy głowę. Wyciszam Harrisa. Nigdy nie byłam świadkiem tak jałowej, pustej ceremonii i kulę się w środku z konsternacji. Liturgia, ewangelia, śpiew i modlitwy nie mają w sobie muzyki ani pasji, bo Dianę Bray nie kochała nikogo, nawet siebie. Jej zaborcze, zachłanne życie nie pozostawiło po sobie śladu. Wychodzimy wszyscy w milczeniu, zanurzamy się w zimną, ciemną noc, żeby wrócić do swoich aut i uciec stąd. Idę szybko, z opuszczoną głową, tak jak to robię, kiedy chcę uniknąć rozmowy z innymi ludźmi. Uświadamiam sobie nagle jakieś dźwięki i czyjąś obecność. Odwracam się, jednocześnie otwierając drzwiczki. Ktoś za mną stoi.

– Doktor Scarpetta? – Migoczące światło latarni podkreśla subtelne rysy twarzy kobiety, której oczy pozostają w cieniu. Ubrana jest w długie futro z norek. Gdzieś w głębi mnie zapala się iskierka rozpoznania. – Nie wiedziałam, że pani tu będzie, ale naprawdę się cieszę. – Poznaje nowojorski akcent i zanim sobie cokolwiek uświadamiam, doznaję wstrząsu. – Jestem Jaime Berger – mówi nieznajoma, podając mi dłoń w rękawiczce z kozłej skóry. – Musimy porozmawiać.

– Była pani na nabożeństwie? – To pierwsze słowa, jakie wydobywają się z moich ust. Nie widziałam jej w kościele. Moje paranoidalne nastawienie każe mi przypuszczać, że Jaime Berger w ogóle nie weszła do kościoła, tylko czekała na mnie na parkingu.

– Znała pani Dianę Bray? – pytam.

– Teraz ją poznaję. – Prokurator Berger podnosi kołnierz futra, jej oddech wygląda jak dym. Patrzy na zegarek i naciska przycisk. Fosforyzująca tarcza świeci bladą zielenią. – Nie sądzę, żeby pani wybierała się z powrotem do biura.

– Nie miałam tego w planie, ale mogę wrócić – mówię bez entuzjazmu.

Jaime Berger chce porozmawiać o zabójstwach Kim Luong i Dianę Bray. Oczywiście interesują ją także niezidentyfikowane zwłoki z portu, które według naszych przypuszczeń należą do Thomasa, brata Chandonne'a. Ale jeśli ta sprawa kiedykolwiek ujrzy salę rozpraw, dodaje, to nie w tym kraju. To jej sposób żeby mi powiedzieć, że Thomas Chandonne jest kolejnym darmowym obiadem. Jean-Baptiste zamordował swojego brata i uszło mu to na sucho. Siadam za kierownicą navigatora.

– Jak się pani podoba ten samochód?

Jej pytanie wydaje mi się niemądre i niestosowne w obecnej chwili. Od razu czuję się przesłuchiwana i podejrzewam, że ta kobieta nie mówi i nie pyta o nic bez powodu. Przygląda się luksusowemu sportowemu autu,

z którego Anna pozwala mi korzystać, ponieważ mój własny pojazd z niezrozumiałych względów nadal pozostaje niedostępny.

– To pożyczony samochód. Może najlepiej, żeby pani pojechała za mną. Są takie rejony miasta, w których lepiej jest się nie zgubić po ciemku – odpowiadam.

– Zastanawiam się, czy mogłaby pani zlokalizować Pete’a Marino.

– Kieruje pilota w stronę własnego samochodu, białego mercedesa ML430 z nowojorską rejestracją. Światła błyskają, zamki się otwierają.

– Może byłoby dobrze, żebyśmy porozmawiali wszyscy troje.

Włączam silnik, ale jeszcze drzę w ciemnościach. Noc jest mokra, z drzew kapie lodowata woda. Zimno wciska się pod gips na mojej ręce i znajduje drogę do pęknięcia w łokciu, dopada wrażliwych miejsc, gdzie mieszczą się szpik i zakończenia nerwów, które zaczynają się skarżyć głębokim pulsowaniem. Łączę się z pagerem Marina i uprzytamniam sobie, że nie znam numeru telefonu w samochodzie Anny. Grzebię w torbie, żeby wykopać telefon komórkowy, prowadząc czubkami palców złamanej ręki i pilnując w lusterku świateł samochodu Jaime Berger. Marino oddzwania po kilku długich minutach. Mówię mu, o co chodzi, a on reaguje z typowym cynizmem, pod którym wyczuwam podniecenie albo złość, a może jeszcze coś innego.

– No, dobra, nie wierzę w zbiegi okoliczności – mówi ostro. – Idziesz przypadkiem na nabożeństwo za Bray i przypadkiem jest tam pani prokurator Berger? Po cholere tam w ogóle polazła?

– Nie wiem – odpowiadam. – Ale gdybym nie znała miasta ani ludzi związanych ze sprawą, chciałabym wiedzieć, kogo Dianę Bray na tyle obchodziła, że przyszedł na ceremonię. Chciałabym też wiedzieć, kto nie przyszedł. – Usiłuję myśleć logicznie. – Nie powiedziała ci, że się wybiera

do kościoła? A co z waszym spotkaniem wczoraj wieczór? – wyrzucam z siebie. Chcę wiedzieć, co się działo podczas tego spotkania.

– Nic na ten temat nie wspomniała – mówi Marino. – Miała inne sprawy na głowie.

– Na przykład? Czy może to tajemnica? – dodaję znacząco. Marino milczy przez chwilę.

– Posłuchaj, Kay – mówi wreszcie. – Ja nie prowadzę tej sprawy. To sprawa Nowego Jorku, a ja robię tylko to, co mi każą. Jeśli chcesz wiedzieć, to po prostu zapytaj ją, bo tego chce. – Jego głos twardnieje od niechęci. – A ja jestem w środku cudownego Mosby Court i mam co innego do roboty, niż skakać za każdym razem, kiedy pani prokurator Berger pstryknie tymi swoimi wypicowanymi, światowymi palcami.

Mosby Court jest niezupełnie książęcą rezydencją, jak wskazywałaby jego nazwa, lecz jednym z siedmiu niskoczynszowych osiedli. Wszystkie mają w nazwie słowo „court”, czyli dwór; czterem z nich dano nazwiska wybitnych obywateli Wirginii: aktora, nauczyciela, wziętego właściciela sklepu tytoniowego, bohatera wojny secesyjnej. Mam nadzieję, że powodem wizyty Marina w Mosby Court nie jest kolejna strzelanina.

– Nie masz dla mnie następnej roboty, prawda? – pytam go.

– Kolejne wykroczenie z morderstwem.

Nie rozśmiesza mnie ten zakłamany szyfr – cyniczna metafora oznaczająca młodego czarnego mężczyznę podziurawionego kulami, prawdopodobnie na ulicy, prawdopodobnie z powodu narkotyków, prawdopodobnie ubranego w drogie sportowe ciuchy i buty do koszykówki. Oczywiście nikt nic nie widział.

– Spotkamy się na podjeździe – mówi rozdrażniony Marino. – Za pięć, dziesięć minut.

Śnieg przestał padać, a temperatura jest na tyle wysoka, że marznąca breja nie paraliżuje miasta. W centrum widać świąteczne dekoracje, budynki przyozdobiono białymi lampkami, a niektóre już się poprzepalały. Przed James Center zatrzymują się ludzie, żeby zobaczyć lśniącego renifera wyrzeźbionego z lodu, a na Dziewiątej rezydencja gubernatora błyszczy jak jajko poprzez nagie gałęzie starych drzew; bladożółte domostwo obok wygląda elegancko ze świecami we wszystkich oknach. Dostrzegam pary w wieczorowych strojach wysiadające z samochodów na parkingu i w panice przypominam sobie, że dziś wieczorem z okazji Bożego Narodzenia gubernator wydaje przyjęcie dla wyższych urzędników państwowych. Ponad miesiąc temu wysiałam kartkę, potwierdzając przyjęcie zaproszenia. O Boże. Gubernator Mike Mitchell i jego żona Edith zauważą, że się nie pojawiłam. Impuls, żeby skrócić na podjazd, jest tak silny, że włączam kierunkowskaz. Wyłączam go jednak równie szybko. Nie mogę tam pójść, nawet na kwadrans. Co miałabym zrobić z Jaime Berger? Zabrać ją ze sobą? Przedstawić wszystkim obecnym? Uśmiecham się smutno i potrząsam w ciemności głową, wyobrażając sobie, jak by na mnie spoglądano i co by było, gdyby się o tym dowiedziała prasa.

Pracując przez całe życie zawodowe dla organów władzy, nigdy nie lekceważyłam moźnych tego świata. Numer telefonu rezydencji gubernatora jest w książce telefonicznej, a biuro numerów może go wybrać automatycznie za dodatkowe pięćdziesiąt centów. Na chwilę na linii zgłasza się oficer jednostki ochrony i zanim udaje mi się powiedzieć, że chcę tylko zostawić wiadomość, każe mi czekać. Słyszę sygnał odzywający się w regularnych odstępach, jak gdyby mierzono czas połączenia i zastanawiam się, czy rozmowy z siedzibą gubernatora są nagrywane. Po drugiej stronie Broad Street starsza, bardziej ponura część miasta ustępuje nowemu imperium, z cegły i szkła, gdzie mieści się moje biuro. Patrę

w lusterko, czy widać światła samochodu prokurator Berger. Uparcie jedzie za mną i widzę w lusterku jej poruszające się usta. Rozmawia przez telefon, a ja czuję się niepewnie, widząc, jak wymawia słowa, których nie słyszę.

– Kay? – Głos gubernatora Mitchella dobiega nagle z głośno mówiącego telefonu w samochodzie Anny.

Z zaskoczenia załamuje mi się głos; pośpiesznie wyjaśniam, że nie chciałam przeszkadzać, ale jest mi strasznie przykro, że nie mogę być na przyjęciu. Nie odpowiada od razu, jego wahanie mówi mi, że robię błąd, nie przychodząc. Mitchell jest człowiekiem, który rozumie, co to szansa, i wie, jak ją wykorzystać. W jego odczuciu to głupota, że nie wykorzystuję szansy, aby spędzić choć chwilę z nim i innymi ludźmi mającymi władzę. Szczególnie teraz. Tak, przede wszystkim teraz.

– Przyjechała prokurator z Nowego Jorku. – Nie chcę mówić, w jakiej sprawie. – Właśnie jadę z nią się spotkać, panie gubernatorze. Mam nadzieję, że pan to rozumie.

– Myślę, że dobrze byłoby, gdybyśmy i my się spotkali. – Jego głos brzmi zdecydowanie. – Miałem zamiar porozmawiać z tobą na osobności.

Czuję się, jakbym chodziła po zbitym szkle, bojąc się zerknąć w dół, z obawy, że krwawię.

– Kiedy tylko będzie panu wygodnie, panie gubernatorze – odpowiadam z szacunkiem.

– Może byś zajrzała, wracając do domu?

– Prawdopodobnie będę wolna za jakieś dwie godziny – mówię.

– To do zobaczenia, Kay. Proszę, pozdrów panią Berger. Jak byłem prokuratorem, prowadziliśmy pewną sprawę i jej biuro się włączyło. Opowiem ci kiedyś.

Kryty podjazd w bok od ulicy Czwartej, gdzie są przywożone ciała, wygląda jak kwadratowe, szare igloo, przyczepione do ściany mojego

budynku. Wjeżdżam na rampę i zatrzymuję się przy masywnych wrotach do garażu, uświadamiając sobie z narastającą irytacją, że nie mogę wjechać. Pilot został w moim samochodzie, stojącym w garażu domu, z którego mnie wypędzono. Wybieram numer strażnika, pilnującego kostnicy wieczorem.

– Arnold? – mówię, kiedy po kilku dzwonekach podnosi słuchawkę. – Czy mógłby pan otworzyć drzwi na podjeździe?

– Tak, pani doktor. – Sprawia wrażenie oszołomionego i zmieszanego, jak gdybym go obudziła. – W tej chwili, proszę pani. Pani pilot nie działa?

Staram się być cierpliwa. Arnold jest jednym z tych ludzi, którzy tkwią z bezruchu. Walczy z siłą ciężkości i przegrywa. Ciągłe muszę przypominać samej sobie, że nie ma sensu złościć się na niego. Ludzie z wysoką motywacją nie biją się o taką pracę. Jaime Berger zatrzymała się za mną, a za nią stanął Marino – czekamy wszyscy, aż drzwi się podniosą, dając nam wstęp do królestwa zmarłych. Dzwoni mój telefon komórkowy.

– Jak miło, nieprawdaż? – słyszę głos detektywa.

– Wygląda na to, że znają się z gubernatorem. – Obserwuję ciemną furgonetkę, zakręcającą na rampę za granatową crown victorią kapitana. Drzwi podjazdu zaczynają się podnosić ze skrzypieniem.

– Proszę, proszę. Nie uważasz, że ona ma coś wspólnego z wyjazdem Wilkołaka do Nowego Jorku?

– Sama już nie wiem, co myśleć – przyznaję się kapitanowi. Podjazd jest na tyle duży, że wszyscy się tu mieścimy. Beton odbija i potęguje hałas silników i trzaskanie drzwi. Ostre powietrze ponownie drażni mój pęknięty łokieć. Zdumiewa mnie widok Marina w garniturze i w krawacie.

– Ładnie wyglądasz – komentuję sucho.

Marino zapala papierosa, wzrok ma utkwiony w owiniętą w norki Jaime Berger, wyjmującą swoje rzeczy z tylnego siedzenia mercedesa.

Dwaj mężczyźni w długich, ciemnych płaszczach otwierają tylne drzwi furgonetki, ukazując stojące wewnątrz nosze z ich ponurym ładunkiem, przykrytym całunem.

– Możesz mi wierzyć albo nie – zwraca się do mnie Marino – miałem zamiar wstąpić do kościoła, tak dla hecy, tyle że wtedy ten tutaj dał się załatwić. – Wskazuje ciało na noszach. – Okazuje się, że to jest trochę bardziej skomplikowane, niż myśleliśmy na początku. Może nawet więcej niż przypadek gangsterskich porachunków. – Berger idzie w naszą stronę, taszcząc książki, segregatory i mocną, skórzaną teczkę. – Przyjechała pani przygotowana. – Wpatruje się w nią z obojętnym wyrazem twarzy. Słychać szczęknięcie otwierających się aluminiowych podpórek noszy. Tylne drzwi furgonetki się zatrzasują.

– Naprawdę doceniam to, że spotkali się państwo ze mną tak szybko – mówi Berger.

W świetle podjazdu dostrzegam delikatne zmarszczki na jej twarzy i szyi oraz lekkie zagłębienie policzków, wskazujące na wiek. Na pierwszy rzut oka, w makijażu, przed kamerami, mogłaby uchodzić za kobietę trzydziestopięcioletnią. Podejrzewam, że jest o parę lat starsza ode mnie, bliżej pięćdziesiątki. Jej surowe rysy, krótkie ciemne włosy i piękne zęby tworzą znajomy portret ekspertki, którą widziałam w programie „Telewizja w sądzie”. Przypomina siebie ze zdjęć, które ściągnęłam z Internetu, kiedy uruchomiłam szperacz, żeby ją znaleźć w cyberprzestrzeni, chcąc się przygotować na tę inwazję z obcej galaktyki.

Marino nie wrywa się z propozycją, że pomoże jej coś nieść. Ignoruje Jaime Berger tak samo jak mnie, kiedy jest czymś dotknięty, niechętny czy zazdrosny. Otwieram drzwi prowadzące do budynku, a posługacze pchają nosze w naszą stronę. Rozpoznaję ich obu, ale nie pamiętam nazwisk. Jeden z nich wpatruje się w Berger z uwielbieniem należnym gwiazdzie.

– Widziałem panią w telewizji – mówi. – Ale heca. Pani sędzia.

– Chyba nie. Nie jestem sędzią. – Berger patrzy im w oczy i uśmiecha się lekko.

– To nie pani jest tą sędzią? Poważnie? – Nosze przejeżdżają z łoskotem przez drzwi. – Pewnie chce go pani mieć w chłodni – zwraca się do mnie jeden z sanitariuszy.

– Tak – odpowiadam. – Wiecie, gdzie go zarejestrować. Arnold jest tu gdzieś w pobliżu.

– Tak, pani doktor, wiemy, co robić.

Żaden z nich nie robi aluzji do tego, że to ja mogłam się znaleźć w tej furgonetce w zeszły weekend, gdyby moje losy potoczyły się inaczej. Dawno przekonałam się, że niewiele rzeczy szokuje czy nawet porusza ludzi pracujących dla zakładów pogrzebowych. Mojej uwagi nie uchodzi fakt, że na tych dwóch większe wrażenie robi sława Berger niż to, że ich miejscowy główny koroner ma szczęście, iż jeszcze żyje, a w oczach społeczeństwa wygląda raczej kiepsko.

– Jest pani przygotowana do świąt? – pyta mnie jeden z nich.

– Nigdy nie jestem przygotowana – odpowiadam. – Wesółych świąt, panowie.

– Będą o wiele weselsze niż jego. – Wskazują ciało na wózku i wiozą je w kierunku biura kostnicy, gdzie wypiszą identyfikator do zawieszenia na dużym palcu u nogi i zarejestrują naszego najnowszego klienta. Naciskam guziki, otwierające kolejne drzwi z nierdzewnej stali. Idziemy po wydezynfekowanych podłogach, mijając chłodnie i prosektoria. W powietrzu wisi ciężki zapach przemysłowych dezodorantów, a Marino opowiada o przypadku w Mosby Court. Berger nie pyta o nic w związku z tą sprawą, ale on chyba ma wrażenie, że chciałaby się czegoś dowiedzieć. A może się popisuje.

– Najpierw wyglądało na to, że go przejechał samochód, bo leżał na ulicy i miał zakrwawioną głowę. Ale muszę paniom powiedzieć, że teraz się zastanawiam, czy rzeczywiście samochód go potracił – informuje nas.

Otwieram drzwi prowadzące do pełnego głuchoj ciszy skrzydła administracyjnego, a Marino dalej opowiada Jaime Berger o wszystkich szczegółach przypadku, którego nawet jeszcze nie omówił ze mną. Wprowadzam ich do swojej prywatnej sali konferencyjnej i zdejmujemy okrycia. Pani prokurator jest ubrana w ciemne wełniane spodnie i gruby czarny sweter, który nie podkreśla, ale też z pewnością nie ukrywa jej wydatnego biustu. Ma szczupłą, silną budowę sportsmenki, a jej podniszczone buty marki Vibram wskazują, że pójdzie wszędzie i zrobi wszystko, jeśli będzie tego wymagać praca. Przysuwa sobie krzesło i zaczyna układać teczkę, segregatory i książki na okrągłym drewnianym stole.

– Ma ślady poparzeń tu i tu. – Marino wskazuje na swój lewy policzek i szyję i wyjmuje z wewnętrznej kieszeni marynarki zdjęcia zrobione polaroidem. Rozsądnie decyduje się podać je najpierw mnie.

– Dlaczego ktoś zabity przez kierowcę, który zbiegł, miałby być poparzony? – Moje pytanie brzmi jak sprzeciw i zaczynam się czuć nieswojo.

– Może go wypchnięto z jadącego samochodu albo poparzył się o rurę wydechową? – Kapitan stawia tę hipotezę niepewnie, bez rzeczywistego zainteresowania. Zajmują go inne sprawy.

– Nie wygląda mi na to – mówię ponurym tonem.

– Cholera – odpowiada i coś zaczyna mu świtać, kiedy na mnie patrzy. – W ogóle go nie widziałem, jak przyjechałem, już był w worku. Psiakrew, oparłem się na tym, co mi powiedzieli chłopcy na miejscu. Cholera – powtarza, rzucając spojrzenie na Jaime Berger. Twarz mu ciemnieje ze

zmieszania i irytacji. – Zapakowali ciało do worka, zanim przyjechałem. Durni jak nogi stołowe, wszyscy razem wzięci.

Mężczyzna na zdjęciach ma jasną skórę, ładne rysy i krótkie, bardzo kręcone włosy, ufarbowane na kolor żółtka. W lewym uchu błyszczą małe złote kółeczko. Rozumiem natychmiast, że jego poparzeń nie spowodowała rura wydechowa, która pozostawiłaby ślady w kształcie elipsy, a nie takie jak te: doskonale okrągłe, wielkości srebrnych dolarówek i pokryte pęcherzami. Żył, kiedy go poparzano. Posyłam Mannowi długie spojrzenie. Kojarzy fakty i potrząsa głową, prychnając.

– Mamy identyfikację? – pytam go.

– Nie. – Przygląda włosy, które na tym etapie jego życia są jedynie siwymi kosmykami przyklejonymi żelem do czubka szerokiej, łysej pały. Wyglądałby o wiele lepiej, gdyby po prostu ogolił głowę. – Nikt w okolicy nigdy przedtem go nie zauważył, a wszyscy moi chłopcy mówią, że nie jest podobny do nikogo, kogo tu widzimy.

– Muszę teraz obejrzyć ciało. – Wstaję zza stołu.

Marino odsuwa swoje krzesło. Prokurator Berger obserwuje mnie przenikliwymi niebieskimi oczyma. Przestała rozkładać papiery.

– Czy będzie pani miała coś przeciwko temu, że ja też pójdę? Owszem, mam, ale już się tu znalazła. Jest profesjonalistką. Byłoby okropnie niegrzecznie, gdybym jej dała do zrozumienia, że nie zachowuje się jak profesjonalistka albo że jej nie ufam. Wchodzę do biura po kitel laboratoryjny.

– Pewnie nie macie sposobu, żeby sprawdzić, czy ten gość był gejem. To chyba nie jest okolica, gdzie mógłby się kręcić ktoś taki – przepytuję Marina, kiedy wychodzimy z sali konferencyjnej. – A co z męskimi prostytutkami z Mosby Court?

– Skoro już o tym mowa, to na takiego wygląda – odpowiada detektyw.
– Jeden z policjantów powiedział, że to był pedał, sądząc z wypracowanej muskulatury. Nosił kolczyk. Chociaż, jak powiedziałem, nie widziałem ciała.

– Jestem pewna, że wygra pan nagrodę za stereotypowe myślenie, kapitanie – komentuje Jaime Berger. – A ja myślałam, że moi chłopcy są okropni.

– Ach tak? Jacy chłopcy? – Marino jest o krok od szyderstwa.

– W moim biurze – dopowiada Berger zblazowanym tonem. – W oddziale śledczym.

– Ach tak? Ma pani własnych gliniarzy w Departamencie Policji Nowego Jorku? Czyż to nie milutkie. Ilu?

– Około pięćdziesięciu.

– Pracują w pani budynku? – Po tonie Marina poznaję, że pani prokurator napętnia go przerażeniem.

– Tak. – Nie mówi tego protekcjonalnie ani arogancko, po prostu potwierdza fakty.

Detektyw ją wyprzedza.

– No proszę, czyż to nie nadzwyczajne? – rzuca za siebie.

Pracownicy firmy przewożącej zwłoki rozmawiają w biurze z Arnoldem. Kiedy się pojawia, strażnik sprawia wrażenie zdruzgotanego, jak gdyby przyłapała go na czymś niewłaściwym, ale taki już jest. Jak ćma, która zaczęła przybierać barwę otoczenia, twarz ma bladą, z niezdrowym szarym odcieniem, a chroniczne alergie sprawiają, że jego oczy są zaczerwienione i łzawią. Dzisiejszy drugi John Doe leży w połowie korytarza w ciemnoczerwonym worku z wyhaftowaną nazwą firmy: Bracia Whitkinowie. Nagle przypominam sobie nazwiska pracowników. Oczywiście, to bracia Whitkinowie.

– Zajmę się nim – informuję ich, żeby wiedzieli, że nie muszą zawozić ciała do chłodni ani przenosić na wózek.

– Nie ma sprawy, możemy to zrobić – śpieszą natychmiast z odpowiedzią, jak gdybym im dawała do zrozumienia, że próżnują.

– Wszystko w porządku. Muszę z nim najpierw trochę pobyc – mówię i pcham nosze przez podwójne stalowe drzwi, po czym daję tamtym dwojgu rękawiczki i ochraniacze na buty. Chwilę zajmuje mi dopełnienie koniecznych formalności, wpisanie Johna Doe do rejestru autopsji, przydzielenie mu numeru i sfotografowanie go. Czuję zapach moczu.

Część kostnicy, gdzie odbywają się sekcje, lśni światłem i czystością, wolna od wszystkich dźwięków i widoków. Cisza przynosi mi ulgę. Po tylu latach pracy, ciągły hałas – odgłos wody lecącej do stalowych zlewów, dźwięk piły Strykera, szczęk metalu o metal – sprawia, że czuję się spięta i zmęczona. Kostnica potrafi być zaskakująco hałaśliwa.

Umarli są głośni w swych żądaniach i krwawych kolorach, a ten nowy pacjent będzie mi się opierał. Widzę to od razu. Jest zupełnie sztywny i nie chce pozwolić się rozebrać ani rozsunąć sobie szczęk, żebym mogła obejrzeć język i zęby. Stawia opór. Otwieram worek i czuję zapach moczu. Przysuwam bliżej lampę chirurgiczną, obmacuję głowę, ale nie wyczuwam pęknięć. Krew rozmazana na szczęce zabitego i plamiąca przód jego marynarki wskazuje, że kiedy krwawił, utrzymywał pozycję pionową. Kieruję światło w jego nozdrza.

– Miał krwotok z nosa – oznajmiam Marinowi i Jaime Berger. – Na razie nie widzę żadnych urazów głowy.

Zaczynam badać oparzenia przez szkło powiększające, a pani prokurator przysuwa się bliżej, żeby popatrzeć. Spostrzegam włókna i zanieczyszczenia przyklepione do pokrytej pęcherzami skóry; znajduję także zadrapania w kącikach ust i od wewnętrznej strony policzków.

Podciągam rękawy czerwonej bluzy od dresu, którą ma na sobie, i patrzę na nadgarstki. Sznur pozostawił głębokie ślady na skórze, a kiedy rozpinam kurtkę zmarłego, znajduję dwa oparzenia dokładnie na pępku i lewym sutku. Berger przysuwa się tak blisko, że ociera się o mnie fartuchem.

– Jest raczej za zimno, żeby wychodzić w samym dresie, bez podkoszulka i czegoś pod spodem – zwracam się do Marina. – Czy sprawdzono na miejscu zawartość kieszeni?

– Lepiej było poczekać i zrobić to tutaj, gdzie przynajmniej coś widać – odpowiada.

Wsuwam ręce w kieszenie kurtki i spodni, ale nic nie znajduję. Ściągam denatowi spodnie i niebieskie spodenki treningowe przesiąknięte moczem. Woń amoniaku uruchamia sygnał alarmowy w mojej psychice i czuję, jak drobne włoski na całym moim ciele stają na baczność niczym wartownicy. Umarli rzadko mnie przerażają. Ten człowiek jednak tak. Sprawdzam kieszonkę wewnątrz paska i znajduję stalowy klucz z wygrawerowanym napisem „Nie dorabiać” i wypisanym niezmywalnym tuszem numerem 233.

– Może od pokoju w hotelu albo od domu? – zastanawiam się na głos, wkładając klucz do papierowej torebki. Dopadają mnie kolejne paranoidalne uczucia. – Może od szafki. – Dwa trzydzieści trzy był numerem skrytki pocztowej naszej rodziny, kiedy byłam dzieckiem, w Miami. Nie posunęłabym się tak daleko, żeby twierdzić, że 233 jest moją szczęśliwą liczbą, ale często jej używałam jako hasła dostępu albo szyfru, bo nie jest popularna i pamiętam ją.

– Widać już coś, co by mogło wskazywać, jak umarł? – pyta Berger.

– Na razie nie. Nie myślę, żebyśmy mieli szczęście z AFIS-em albo Interpolem? – zwracam się do Marina.

– Na ogół nie mamy szczęścia, więc podejrzewam, że nie będzie go w AFIS-ie. Z Interpolu również nic jeszcze nie przyszło, co też nie wygląda

najlepiej. Jeśli to coś oczywistego, zwykle mamy wiadomość po godzinie – odpowiada.

– Zdejmijmy mu odciski palców i wyślijmy je jak najszybciej do AFIS-u. – Staram się mówić spokojnie.

Używając szkła powiększającego, oglądam dłonie od wewnątrz i z zewnątrz, sprawdzając, czy nie ma tam śladów, które mogłabym naruszyć, zdejmując odciski palców.

Obcinam paznokcie i umieszczam je w kopercie, którą oznaczam i kładę na stole razem z resztą papierów, po czym smaruję atramentem końce palców denata i pobieram odciski, a Marino pomaga mi, trzymając łyżkę. Robię dwa komplety odcisków. Jaime Berger milczy i sprawia wrażenie zaciekawionej tym wszystkim, a jej badawczy wzrok jest jak ciepło bijące od jasnej lampy. Obserwuje mój każdy ruch, słucha każdego słowa i polecenia. Nie skupiam się na niej, ale zdaję sobie sprawę z jej uwagi i gdzieś w dalekim zakątku świadomości wiem, że ta kobieta dokonuje ocen, które mogą mi się spodobać albo nie. Naciągam prześcieradło na zwłoki i zapinam worek, gestem zapraszając Marina i panią prokurator. Pcham wózek do chłodni i otwieram drzwi z nierdzewnej stali. Odór śmierci naciera na nas zimną falą. Tego wieczora mamy niewielu rezydentów, tylko szóstkę. Sprawdzam nazwiska na kartkach przyczepionych do suwaków przy workach, szukając Johna Doe z motelu. Kiedy go znajduję, odkrywam jego twarz i wskazuję oparzenia oraz zadrapania w kącikach ust i wokół przegubów.

– Jezu – mówi kapitan. – Co to jest, do diabła? Jakiś seryjny morderca, który wiąże ludzi i torturuje ich suszarką?

– Musimy natychmiast zawiadomić o tym Stanfielda – odpowiadam, bo wygląda na to, że śmierć Johna Doe z motelu może mieć związek z ciałem znalezionym w Mosby Court. Spoglądam na detektywa i czytam w jego

myślach. – Wiem. – Nie stara się nawet ukryć pogardy w związku z koniecznością zawiadomienia Stanfielda o czymkolwiek. – Musimy mu powiedzieć, Marino – dodają.

Wychodzimy z chłodni i kapitan podchodzi do telefonu „czystych rąk”, umocowanego na ścianie.

– Trafi pani z powrotem do sali konferencyjnej? – pytam Jaime Berger.

– Oczywiście. – Sprawia wrażenie niemal półprzytomnej, tak bardzo jest czymś zaabsorbowana; po jej oczach widzę, że myślami znajduje się daleko.

– Zaraz tam przyjdę – mówię do niej. – Przepraszam za tę przerwę. Zatrzymuje się w drzwiach i odwiązuje fartuch chirurgiczny.

– Dziwne – odzywa się z namysłem. – Dwa miesiące temu mieliśmy pewną sprawę, chodziło o kobietę torturowaną palnikiem. Oparzenia były bardzo podobne do obu waszych przypadków. – Schyla się, żeby zdjąć z butów ochraniacze i wrzucić je do śmieci. – Była związana, zakneblowana i miała te okrągłe oparzenia na twarzy i na piersiach.

– Złapano sprawcę? – pytam szybko, niezadowolona ze zbieżności faktów.

– Robotnik budowlany, pracujący w jej bloku – odpowiada, marszcząc lekko brwi. – Palnik służył do usuwania farby. Prawdziwy nieudacznik, włamał się do jej mieszkania o trzeciej nad ranem, zgwałcił ją, udusił i tak dalej, a kiedy wychodził kilka godzin później, okazało się, że ukradziono mu ciężarówkę. Witamy w Nowym Jorku! Więc dzwoni na policję i chwilę później siedzi w aucie policyjnym z torbą na kolanach, składając zeznanie o kradzieży, a w tej samej minucie pojawia się sprzątaczką zamordowanej i znajduje ciało, więc zaczyna histerycznie wrzeszczeć i dzwoni pod 911. Zabójca siedzi w aucie gliniarzy, a kiedy nadjeżdżają detektywi, próbuje uciekać. Okazuje się, że ten dupek ma w torbie sznur od bielizny i palnik.

- Czy dużo było o tym mowy w wiadomościach? – pytam.
- Lokalnie. W „Timesie”, w brukowcach.
- Miejmy nadzieję, że to nie podsunęło pomysłu komuś innemu – zauważam.

Rozdział 10

Oczekuje się ode mnie, że bez mrugnięcia zniosę każdy widok, każdy obraz, zapach i dźwięk. Nie wolno mi reagować na okropności tak, jak to robią normalni ludzie. Moim zadaniem jest zrekonstruować ból, nie odczuwając go, przywołać strach i nie pozwolić, żeby poszedł za mną do domu. Muszę się zagłębić w sadystycznej sztuce Jeana-Baptiste'a Chandonne'a i nie wyobrażać sobie, że jego kolejną zmasakrowaną ofiarą miałam być ja.

Chandonne jest jednym z niewielu zabójców, jakich widziałam, wyglądającym na tego, kim jest, to klasyczny potwór. Wygląda ohydnie, jego twarz składa się z dwóch nierówno złożonych połówek, jedno oko ma niżej niż drugie, a zęby rzadkie, małe i spiczaste jak u zwierzęcia. Całe jego ciało porastają długie, jasne włosy, cienkie jak u dziecka, ale najbardziej niepokoją mnie oczy. W jego spojrzeniu zobaczyłam piekło, żądzę, która zdawała się podpalać powietrze, kiedy wdarł się do mojego domu i zatrzasnął za sobą drzwi. Jego intuicja i inteligencja są wyczuwalne i przesiąknięte złem. Choć nie chcę odczuwać choćby cienia litości dla tego mordercy, wiem, że cierpienie, jakiego przysparza innym, jest projekcją jego własnego nieszczęścia, odtworzeniem koszmaru, który znosi wraz z każdym uderzeniem swego pełnego nienawiści serca.

Odnalazłam prokurator Berger w sali konferencyjnej i teraz idzie za mną korytarzem, a ja jej tłumaczę, że Chandonne cierpi na rzadkie wrodzone zaburzenie, nazywane hipertrychozą. Występuje ono tylko raz na miliard osób, jeśli można ufać statystyce. Przedtem spotkałam tylko jeden przypadek tego okrutnego zaburzenia genetycznego. Pracowałam wtedy w szpitalu w Miami i wypadł mi oddział pediatriczny, gdzie pewna Meksykanka urodziła najstraszliwiej zdeformowane dziecko, jakie kiedykolwiek widziałam. Nowo narodzoną dziewczynkę porastały długie siwe włosy, których nie było jedynie na błonach śluzowych, dłoniach i podeszwach stóp. Kępki włosów wystawały z nozdrzy i uszu dziecka, dziewczynka miała również trzy sutki. Osoby chorujące na hipertrychozę bywają bardzo wrażliwe na światło i cierpią na anomalie zębów i genitaliów. Miewają dodatkowe palce u rąk i nóg. W minionych wiekach tych nieszczęśników pokazywano na jarmarkach albo sprzedawano na dwory królewskie. Niektórych oskarżano nawet, że są wilkołakami.

– Więc uważa pani, iż to, że gryzie dłonie i stopy swoich ofiar, ma jakieś znaczenie? – pyta Jaime Berger. Ma silny, modulowany głos, który niemal nazwałabym telewizyjnym. Jest niski i kulturalny, zwraca uwagę. – Może dlatego, że to jedyne partie jego własnego ciała nieporośnięte włosami? No nie wiem – zastanawia się. – Byłabym skłonna sądzić, że istnieje jakieś skojarzenie natury seksualnej, na przykład jak u ludzi, którzy fetyszyzują stopy. Ale nigdy nie widziałam przypadku, gdy ktoś gryzłby dłonie i stopy ofiary.

Zapalam światło w biurze od frontu i przesuwam elektroniczny klucz przez zamek ogniotrwałego pomieszczenia, które nazywamy pokojem dowodowym, gdzie ściany wzmacnia stal, a system komputerowy rejestruje kod każdego, kto wchodzi i na jak długo. Rzadko znajdują się tu jakiegokolwiek przedmioty osobistego użytku. Zazwyczaj policja zabiera je

do przechowalni albo zwraca rodzinom. Kazałam zbudować to pomieszczenie dlatego, że żadne biuro nie jest wolne od przecieków i uznałam, że potrzebuję bezpiecznego miejsca, aby w nim trzymać dokumentację wymagającą szczególnego zabezpieczenia. Wzdłuż tylnej ściany stoją ciężkie stalowe szafy. Otwieram jedną z nich i wyjmuję dwie grube teczki zaklejone mocną taśmą oznaczoną moimi inicjałami, żeby nikt do nich nie wtykał nosa bez mojej wiedzy. Wpisuję numery spraw Kim Luong i Dianę Bray do książki leżącej obok drukarki, która właśnie wystukała mój kod i godzinę. Rozmawiam z Jaime Berger, idąc z powrotem do sali konferencyjnej, gdzie czeka na nas zniecierpliwiony i spięty Marino.

– Dlaczego nie poprosiła pani, żeby na te przypadki spojrział psycholog?
– pyta mnie w drzwiach nasz gość.

Kładę teczki na stole i patrzę na kapitana. Niech odpowie na to pytanie. Nie do mnie należało wysyłanie dokumentacji do psychologów.

– Psycholog? Po co? – odpowiada Marino w sposób, którego nie można określić inaczej niż jako konfrontacyjny. – Zadaniem psychologa jest stwierdzenie, jakiego rodzaju ptaszek to zrobił. A to już wiemy.

– Ale dlaczego to zrobił? Jakie były uczucia, sens, symbolika? Analiza tego rodzaju. Chciałabym usłyszeć, co ma do powiedzenia na ten temat psycholog. – Jaime Berger nie zwraca uwagi na detektywa. – Szczególnie w kwestii dłoni i stóp. To jest dziwaczne. – Nadal skupia się na tym szczególe.

– Jak dla mnie, większość tej całej psychologii to wróżenie z fusów – obstaje przy swoim Marino. – Nie żebym nie uważał, że niektórzy naprawdę mają talent, ale większość tych analiz to bzdury. Przy takim ptaszku jak Chandonne, którego rajcuje gryzienie dłoni i stóp, nie potrzeba wielkiego psychologa, żeby stwierdzić, że może te części ciała mają dla niego specjalne znaczenie. Może jego własne dłonie i stopy są jakieś

dziwne – albo jak w tym wypadku, jest właśnie na odwrót. To jedyne miejsca, gdzie mu nie rosną włosy oprócz tej jego pieprzonej gęby i może dziury w dupie.

– Rozumiem, że niszczy to, czego nienawidzi, masakrując określone części ciała ofiar, na przykład ich twarze. – Jaime Berger nie pozwala się zahukać. – Ale nie wiem. Dłonie i stopy. Jest w tym coś więcej. – Daje Marinowi odprawę każdym gestem i tonem głosu.

– Tak, a z kurczaka najbardziej lubi białe mięso – upiera się kapitan. On i Berger odnoszą się do siebie nawzajem jak para skłóconych kochanków. – To go rajcuje. Kobiety z dużymi cyckami. Może to jakaś sprawa związana z jego matką, bo wybiera kobiety o pewnym typie fizycznym. I nie potrzeba aż psychologa z FBI, żeby się w tym połapać.

Nie odzywam się, ale posyłam mojemu przyjacielowi wiele mówiące spojrzenie. Zachowuje się jak tępy osioł, widocznie tak mu zależy na konfrontacji z tą kobietą, że nie zdaje sobie sprawy z tego, co przy mnie mówi. Wie aż nadto dobrze, że Benton miał prawdziwy talent, oparty na wiedzy naukowej i ogromnej bazie danych. Biuro zbudowało ją, przesłuchując i badając tysiące ludzi, którzy dopuścili się napaści na kogoś. I nie podobają mi się aluzje do typów fizycznych, jako że Chandonne wybrał mój typ.

– Wie pan, nie podoba mi się słowo „cycki” – oświadcza Jaime Berger rzeczowo, tak jakby mówiła kelnerowi, żeby nie podawał jej sosu Bearnaise. Patrzy spokojnie na Marina. – Czy wie pan, co to są cycki, panie kapitanie?

Tym razem detektyw nie znajduje słów, żeby jej odpowiedzieć.

– Moglibyśmy się zająć etymologią – ciągnie dalej, przekładając papiery. Energiczne ruchy jej rąk zdradzają gniew. – Nie mówię o badaniu chrząszczy. Wtedy w tym słowie byłoby „n” – to entomologia. Mówię

o słowach. Niektóre mogą być obraźliwe. I można nimi obrażać w odpowiedzi. Na przykład słowo „jaja” może oznaczać coś, co się jada – gotowane albo sadzone. Może się też odnosić do ciasnych mózdków między nogami facetów, którzy mówią o cyckach. – Patrzy na niego i robi znaczącą pauzę. – Teraz, kiedy już pokonaliśmy barierę językową, czy możemy iść dalej?

Twarz detektywa ma kolor rzodkiewki.

– Ma pani kopie wyników sekcji? – pytam ją, choć znam odpowiedź.

– Już je kilka razy przeczytałam – odpowiada.

Odklejam taśmę z teczek i przesuвам je w jej stronę. Marino wyłamuje sobie palce, unikając naszych spojrzeń. Jaime Berger wyjmuje kolorowe zdjęcia z koperty.

– Co możecie mi powiedzieć? – pyta.

– Kim Luong – zaczyna Marino służbowym tonem, a mnie przypomina się M. I. Calloway i to, jak nieustannie ją upokarzał. Jest wściekły. – Trzydziestopięcioletnia Azjatka, zatrudniona na pół etatu w sklepie Quik Cary w dzielnicy West End. Wygląda na to, że Chandonne czekał, aż zostanie sama. To było pod wieczór.

– Czwartek. Dziesiąty grudnia – mówi Jaime Berger, patrząc na zdjęcie półnagiego, zmasakrowanego ciała Luong.

– No. Alarm włączył się o dziewiętnastej szesnaście – ciągnie Marino, a ja zastanawiam się, o czym z nią rozmawiał wczoraj wieczorem, jeśli nie o tym. Zakładałam, że spotkała się z nim, aby omówić kwestie dotyczące śledztwa, ale wydaje mi się jasne, że nie rozmawiali o zabójstwie Luong ani Bray.

Jaime Berger marszczy brwi, oglądając kolejne zdjęcie.

– O dziewiętnastej szesnaście? To godzina, kiedy wszedł do sklepu, czy kiedy go opuścił po zabójstwie?

– Kiedy go opuścił. Wyszedł tylnymi drzwiami, gdzie zawsze jest włączony oddzielny system alarmowy. Więc wszedł do sklepu jakiś czas przedtem, drzwiami od frontu, prawdopodobnie, gdy tylko zrobiło się ciemno. Miał broń, wszedł i strzelił do Luong, kiedy siedziała przy kasie za ladą. Potem przekręcił tabliczkę z „Otwarte” na „Zamknięte”, zamknął drzwi i zaciągnął ofiarę do magazynu na zapleczu, żeby zrobić swoje.

Marino wyraża się lakonicznie i zachowuje przyzwoicie, ale kipi w nim chemiczna mieszanka, którą rozpoznaję. Chce zrobić wrażenie, upokorzyć Jaime Berger i pójść z nią do łóżka, a wszystko z powodu niezagojonych ran samotności, niepewności i frustracji z mojego powodu. Kiedy obserwuję, jak próbuje ukryć zażenowanie pod maską nonszalancji, odczuwam smutek. Gdyby tylko nie sprowadzał na siebie nieszczęść. Gdyby nie prowokował takich sytuacji jak ta.

– Żyła, kiedy zaczął ją bić i gryźć? – Prokurator Berger kieruje to pytanie do mnie, jednocześnie przeglądając wolno fotografie.

– Tak – odpowiadam.

– Skąd to wiadomo?

– Tkanka twarzy zareagowała wystarczająco silnie na urazy, żeby można było stwierdzić, że Luong żyła, gdy Chandonne zaczął ją bić. Nie wiemy natomiast, czy była przytomna. Albo jak długo pozostała przytomna – wyjaśniam.

– Mamy sceny z miejsca zbrodni na wideo – rzuca Marino głosem dającym do zrozumienia, że się nudzi.

– Chcę wszystko zobaczyć. – Jaime Berger wyraża się jasno.

– Sfilmowałem miejsce zabójstw Luong i Dianę Bray. Ale nie brata Thomasa. Nie sfilmowaliśmy go w kontenerze i to chyba nasze szczęście. – Kapitan tłumy ziewnięcie. Jego poza staje się coraz śmieszniejsza i coraz bardziej irytująca.

– Była pani na wszystkich miejscach zbrodni? – pyta mnie Berger. – Tak.

Ogląda kolejną fotografię.

– Nie ma mowy, żebym jeszcze kiedyś jadł pleśniowy ser, nie po tym czasie, który spędziłem z Thomasem. – Wrogość zaczyna emanować ze skóry Marina.

– Miałam zamiar zrobić kawę – zwracam się do niego. – Czy zechciałbyś...?

– Czy co bym zechciał? – Upór nie pozwala mu ruszyć się z krzesła.

– Czy zechciałbyś włączyć ekspres? – Patrzę na niego w sposób, który powinien dać mu do zrozumienia, że powinien zostawić mnie samą z Jaime Berger na kilka minut.

– Nie bardzo wiem, jak działa tutejsza maszyna – wykręca się głupio.

– Jestem całkowicie pewna, że sobie poradzisz – odpowiadam. – Widzę, że pracują państwo zgodnym rytmem – zauważam ironicznie, kiedy detektyw znika w głębi korytarza i nie może nas usłyszeć.

– Mieliśmy dobrą okazję, żeby się poznać dziś rano; mogę dodać, że było bardzo wcześnie. – Jaime Berger podnosi na mnie oczy. – W szpitalu, zanim Chandonne szczęśliwie odjechał.

– Skoro ma pani tu przez jakiś czas zostać, czy wolno mi zasugerować, że może powinna pani zacząć od powiedzenia Marinowi, żeby się zajmował tym, co do niego należy. Mam wrażenie, że toczy z panią jakąś bitwę, która mu przesłania wszystko inne, a to nie pomaga.

Prokurator Berger nadal studiuje fotografie, jej twarz jest pozbawiona wyrazu.

– Boże, wyglądają, jakby poszarpało je jakieś zwierzę. Zupełnie jak Susan Pless, prowadzę tę sprawę. To by mogły być zdjęcia jej ciała. Prawie już jestem gotowa uwierzyć w wilkołaki. Oczywiście istnieje teoria, że

pojęcie wilkołaka w folklorze mogło powstać na podstawie ludzi cierpiących na hypertrychozę. – Nie jestem pewna, czy Jaime Berger stara się pokazać mi, jak dużo się dowiedziała, czy też zbagatelizować to, co powiedziałam na temat Marina. Patrzy mi w oczy. – Doceniam pani radę. Wiem, że pracuje pani z nim od zawsze, więc nie może być zupełnie do niczego.

– I nie jest. Nie znajdzie pani lepszego detektywa.

– I niech zgadnę, kiedy go pani poznała, był nieznośny.

– Dalej jest – odpowiadam. Jaime Berger się uśmiecha.

– Jest kilka kwestii, których jeszcze nie rozwiązaliśmy. Wyraźnie nie jest przyzwyczajony do oskarżycieli, którzy mu mówią, jak sprawa się potoczy. W Nowym Jorku jest trochę inaczej – przypomina mi. – Na przykład policja nie może aresztować oskarżonego w sprawie o zabójstwo bez zgody prokuratora okręgowego. Prowadzimy te sprawy i szczerze mówiąc – bierze do ręki sprawozdanie laboratorium – w rezultacie lepiej to działa. Marino koniecznie musi czuć, że to on wszystkim rządzi i jest wobec pani wyraźnie opiekuńczy. I zazdrosny o każdego, kto pojawia się w pani życiu – podsumowuje, przeglądając sprawozdania. – Poza Dianę Bray nigdzie nie ma alkoholu. Zero zero trzy. Czy nie zakłada się, że wypła piwo albo dwa i zjadła pizzę, zanim pojawił się zabójca? – Przesuwa fotografie na stole. – Chyba nigdy nie widziałam nikogo tak strasznie pobitego. Wściekłość, niewiarygodna wściekłość. I żądza. Jeśli coś takiego można nazwać żądzą. Myślę, że nie ma słowa, aby nazwać jego uczucia.

– Tym słowem jest „zło”.

– Przypuszczam, że na razie nie dowiemy się niczego o innych substancjach.

– Przeprowadzimy te same próby, co zawsze. Ale to potrwa kilka tygodni – odpowiadam.

Umieszcza na stole kolejne zdjęcia, jak gdyby kładła pasjansa.

– Jak się pani czuje, wiedząc, że to mogła być pani?

– Nie myślę o tym – odpowiadam krótko.

– A o czym pani myśli?

– Co mi mówią te obrażenia.

– To znaczy?

Biorę zdjęcie Kim Luong, zdaniem wszystkich bystrej, wspaniałej młodej kobiety, która pracowała, żeby opłacić sobie szkołę pielęgniarstwa.

– Wzór – tłumaczę. – Niemal każdy centymetr jej obnażonej „skóry jest wysmarowany krwawymi zawijasami, to część jego rytuału. Malował palcami.

– Kiedy ofiary już nie żyły.

– Prawdopodobnie. Na tym zdjęciu – pokazuję – wyraźnie widać ranę postrzałową z przodu szyi. Kula uderzyła w tętnicę szyjną i kręgosłup. Kim była sparaliżowana od szyi w dół, kiedy ją ciągnął do magazynu.

– I krwawiła. Z przebitej tętnicy.

– Zdecydowanie. Widać ślady krwotoku z arterii na półkach, wzdłuż których ją włókł. – Pochyliam się bliżej i wskazuję na kilka fotografii. – Duże łuki, jakimi tryskała krew, stawały się niższe i słabsze, im dalej ją ciągnął przez sklep.

– Była przytomna? – Jaime Berger jest w ponury sposób zafascynowana.

– Uraz kręgosłupa nie spowodował natychmiastowej śmierci.

– Jak długo mogła krwawić w taki sposób?

– Kilka minut. – Odnajduję fotografię z sekcji, ukazującą kręgosłup po wyjęciu ze zwłok i ułożeniu na zielonym ręczniku obok białej plastikowej linijki dla pokazania skali. Na gładkim, kremowym pniu widać jaskrawy liliowoniebieski siniec. Kręgosłup jest częściowo przerwany w okolicy odpowiadającej ranie od kuli, która przebiła szyję Kim Luong między

piątym a szóstym kręgiem szyjnym. – Została natychmiast sparaliżowana – tłumaczę – ale siniec wskazuje na to, że miała nadal ciśnienie krwi, jej serce jeszcze pracowało, co i tak wiem na podstawie śladów krwotoku z arterii na miejscu zbrodni. Czyli prawdopodobnie była przytomna, kiedy ją ciągnął za nogi przez sklep do magazynu na zapleczu. Ale nie mogę powiedzieć, jak długo.

– Czy możliwe, że widziała, co on robi i krew tryskającą z własnej szyi?

– Twarz prokurator Berger jest pełna napięcia, oczy płoną energią.

– To również zależy od tego, jak długo była przytomna.

– Ale mieści się w granicach prawdopodobieństwa to, że mogła być przytomna przez cały czas, kiedy Chandonne ciągnął ją przez sklep do magazynu?

– Zdecydowanie.

– Czy mogła mówić albo krzyczeć?

– Mogła już nie być w stanie niczego zrobić.

– Ale stwierdzenie, że nikt nie słyszał jej krzyku, nie oznacza, że była nieprzytomna?

– Nie, niekoniecznie – odpowiadam. – Jeśli się dostało kulę w szyję i ma się krwotok, a ktoś ciągnie...

– Zwłaszcza ktoś, kto wygląda jak Chandonne.

– Właśnie. Można być zbyt przerażoną, by krzyczeć. Mógł jej zresztą powiedzieć, żeby się zamknęła.

– Dobrze. – Jaime Berger sprawia wrażenie zadowolonej. – Skąd pani wie, że ją ciągnął za nogi?

– Po krwawych smugach, jakie pozostawiły jej długie włosy i po śladach palców ponad głową – wyjaśniam. – Jeśli ktoś ciągnie osobę sparaliżowaną, na przykład za kostki, ramiona się rozkładają. Jak przy robieniu orła na śniegu.

– Czy nie byłoby ludzkim odruchem złapać się za szyję i próbować zatrzymać krwotok? – zastanawia się Berger. – Ale ona nie może tego zrobić. Jest sparaliżowana i przytomna, obserwuje własne umieranie i zastanawia się, co teraz z nią zrobi morderca. – Robi pauzę dla większego efektu. Myśli o przysięgłych i widzę, że reputacja, jaką się cieszy, nie jest przypadkowa. – Te kobiety naprawdę cierpiały – dodaje cicho.

– Z całą pewnością. – Moja bluzka zrobiła się wilgotna i znowu jest mi zimno.

– Spodziewała się pani takiego samego potraktowania? – Patrzy na mnie, w jej oczach czytam wyzwanie, jak gdyby chciała doprowadzić do tego, żebym uprzytomniła sobie wszystko, co przeszło mi przez myśl, kiedy Chandonne wdarł się przez moje drzwi wejściowe i usiłował zarzucić mi na głowę swój płaszcz. – Czy pamięta pani coś z tego, co pani myślała? – naciska. – Co pani czuła? Czy to się stało tak szybko...

– Szybko – przerywam. – Tak, to się stało szybko. Szybko. I trwało wiecznie. Wewnętrzne zegary przestają działać, kiedy ogarnia nas panika, kiedy walczymy o życie. To nie jest fakt stwierdzony przez medycynę, tylko po prostu moja własna obserwacja – dodaję, przywołując wspomnienia, które są fragmentaryczne.

– Więc Kim Luong minuty musiały się wydawać godzinami – stwierdza Jaime Berger. – Chandonne prawdopodobnie był u pani kilka minut, kiedy panią gonił po salonie. W pani odczuciu, jak długo to trwało? – Jest na tym całkowicie skupiona, zaabsorbowana mną.

– Wydawało mi się, że to było... – usiłuję to opisać, ale nie nasuwają mi się porównania – jak trzepot... – Mój głos cichnie, stoję, patrząc nieruchomo przed siebie, jest mi zimno, pocę się.

– Jak trzepot? – W jej głosie słyszę lekkie niedowierzanie. – Czy może pani wyjaśnić, co przez to rozumie?

– Jak gdyby rzeczywistość została zniekształcona, tak jak wiatr marszczy wodę, tak jak wygląda kałuża, kiedy wieje wiatr, wszystkie zmysły są nagle tak wyostrzone, kiedy mózgiem zawładnie zwierzęcy instynkt przeżycia. Słyszać, jak się porusza powietrze. Widać, jak się porusza. Wszystko jest jak na zwolnionym filmie, zachodzi na siebie i trwa bez końca. Widzi się wszystko, każdy szczegół tego, co się dzieje, spostrzega się...

– Spostrzega? – drąży Berger.

– Tak, spostrzega – ciągnę dalej. – Że włosy na jego rękach błyszczą w świetle jak cienkie nylonowe włókna, jak żyłka przy wędcie, są niemal przezroczyste. Że sprawia wrażenie niemal szczęśliwego.

– Szczęśliwego? Co pani ma na myśli? – pyta cicho. – Uśmiechał się?

– Opisałabym to inaczej. To był nie tyle uśmiech, co raczej prymitywna radość, żądza, wściekły głód, wszystko to, co się widzi w oczach zwierzęcia, które zaraz dostanie świeże surowe mięso. – Oddycham głęboko, patrząc na ścianę w moim pokoju konferencyjnym, na kalendarz z obrazkiem przedstawiającym bożonarodzeniową scenę i śnieg. Jaime Berger siedzi sztywno, jej dłonie leżą nieruchomo na stole. – Problem nie polega na tym, co się obserwuje, ale na tym, co się pamięta – ciągnę dalej, nieco przytomniej. – Myślę, że wstrząs, związany z tym wszystkim, powoduje błąd dysku i nie można pamiętać szczegółów z tą samą intensywną uwagą. Może to się też łączy z kwestią przetrwania. Musimy zapomnieć pewne rzeczy, żeby ich ciągle nie przeżywać na nowo. Zapomnienie jest częścią procesu zdrowienia. Jak ta dziewczyna, która biegła po Central Parku, została napadnięta przez bandę, zgwałcona, pobita i pozostawiona, żeby umarła. Dlaczego miałyby chcieć cokolwiek pamiętać? Wiem, że dobrze pani zna tę sprawę – dodaję z ironią. Oczywiście to ona ją prowadziła.

Jaime Berger, zastępca prokuratora okręgowego, porusza się w fotelu.

– A jednak pani pamięta – zauważa spokojnie. - I widziała pani, co Chandonne robi ze swoimi ofiarami. Poważne okaleczenia twarzy. – Zaczyna głośno czytać ze sprawozdania z sekcji Luong. – „Rozległe złamania wieloodłamowe prawej kości ciemieniowej... złamanie prawej kości czołowej... rozciągające się wzdłuż linii pośrodkowej... obustronny krwiak podtwardówkowy... zniszczenie znajdującej się pod nim tkanki mózgowej wraz z krwotokiem podpajęczynówkowym... wgłębienia, które wbiły kość czaszki w mózg... skrzepy...”.

– Skrzepy sugerują, że żyła przez przynajmniej sześć minut od chwili, kiedy została zaatakowana – wracam do swojej roli tłumaczki umarłych.

– To piekielnie długo – zauważa Jaime Berger i mogę sobie wyobrazić, jak każe przysięgłym siedzieć przez sześć minut w milczeniu, żeby się przekonali, jak to długo.

– Strzaskane kości twarzy, a tutaj – dotykam zdjęcia – pęknięcia i rozdarcia skóry spowodowane jakimś narzędziem, które pozostawiło ślady okrągłych linii.

– Uderzenia pistoletem.

– W tym przypadku, w przypadku Luong, tak. W przypadku Bray używał dziwaczego typu narzędzia.

– Młotka kamieniarskiego czy też gradziny.

– Widzę, że odrobiła pani lekcje.

– Taki mam dziwny zwyczaj – odpowiada.

– Premedytacja – ciągnę. – Przynosił własne narzędzie na miejsce zbrodni, nie posługiwał się czymś, co mógł znaleźć wokoło. A to zdjęcie – biorę do ręki kolejny koszmar – pokazuje sińce od ciosów pięścią. Więc bił ją także pięścią. Na tym zdjęciu widać też jej sweter i biustonosz na podłodze. Wygląda na to, że zdarł z niej ubrania gołymi rękoma.

– Skąd to wiadomo?

– Pod mikroskopem można zobaczyć, że włókna są rozdarte, a nie przecięte – wyjaśniam.

Jaime Berger wpatruje się w wykres.

– Chyba nigdy nie widziałam tylu ukąszeń pochodzących od człowieka. Od szaleńca. Czy jest jakiś powód, żeby podejrzewać, że był pod wpływem narkotyków, kiedy popełnił te zbrodnie?

– Nie mamy możliwości tego stwierdzić.

– A wtedy, kiedy pani miała z nim kontakt? – pyta. – Kiedy zaatakował panią w sobotę, niedługo po północy? I nawiasem mówiąc, jeśli dobrze rozumiem, miał przy sobie taki sam młotek?

– Szalenie to właściwe słowo. Ale nie mogę stwierdzić, czy był na narkotykach. – Przerywam. – Tak, miał ze sobą taki młotek, kiedy próbował mnie zaatakować.

– Próbował? Ustalmy fakty. – Patrzy mi w oczy. – Zaatakował panią. Nie próbował. Zaatakował panią, a pani uciekła. Przyjrzała się pani młotkowi?

– To ważne, jeśli staramy się ustalić fakty. Miał jakieś narzędzie. Wiem, jak wygląda młotek kamieniarski.

– Co pani pamięta? Trzepot – powraca do mojego dziwnego opisu. – Te niekończące się minuty, włosy na jego rękach, lśniące w świetle jak nylonowe włókna.

Pojawia mi się przed oczami czarny trzonek, wyglądający jak sprężyna.

– Widziałam zwoje na trzonku – tłumaczę najlepiej, jak umiem. – Pamiętam to. To takie dziwne, młotek kamieniarski z trzonkiem, który wygląda jak gruba czarna sprężyna.

– Jest pani pewna? To właśnie pani zobaczyła, kiedy panią zaatakował?
– naciska moja rozmówczyni.

– Jestem raczej pewna.

- Lepiej, żeby pani była bardziej niż raczej pewna.
- Widziałam czubek tego narzędzia. Jak duży czarny dziób. Kiedy je podniósł, żeby mnie uderzyć. Tak, jestem pewna, miał młotek kamieniarski.
- Mówię to z wyzwaniem. – Trzymał go w ręku.
- Chandonne’owi pobrano krew – informuje mnie Jaime Berger. – Nie ma w niej śladów alkoholu czy narkotyków.
- Sprawdza mnie. Wiedziała, że badanie krwi na obecność narkotyków i alkoholu wypadło negatywnie, ale nie ujawniała tej informacji, żeby sprawdzić, jakie było moje wrażenie. Chce zobaczyć, czy potrafię być obiektywna, mówiąc o własnym przypadku. Czy potrafię się trzymać faktów. Słyszę kroki Marina w korytarzu. Wchodzi z trzema parującymi kubkami ze styropianu i stawia je na stole. Przysuwa w moją stronę czarną kawę.
- Nie wiem, jaką pani lubi, ale zrobiłem dla pani kawę ze śmietanką – zwraca się nieuprzejmie do Berger. – A unizony sługa nie oszczędza sobie śmietanki ani cukru, bo za nic nie chciałbym pić czegoś, co by mi nie dostarczało składników odżywczych.
- Jak poważne mogą być obrażenia u kogoś, komu chluśnięto w oczy formaliną? – pyta mnie pani prokurator.
- To zależy od tego, jak szybko by je przepłukał – odpowiadam obiektywnie, tak jakby jej pytanie było czysto teoretyczne i nie zawierało aluzji, że okaleczyłam inną istotę ludzką.
- To musi piekielnie boleć. To kwas, prawda? Widziałam, co robi z tkanką, zmieniają w gumę.
- Nie dosłownie.
- Oczywiście, że nie dosłownie – zgadza się z cieniem uśmiechu, który sugeruje, że powinnam się trochę rozpogodzić, tak jakby to było możliwe.

– Jeśli zanurzy się tkankę w formalinie na dłużej albo wstrzykuje formalinę, na przykład przy balsamowaniu, wtedy tak, kwas utrwala tkankę i konserwuje ją na czas nieograniczony – wyjaśniam.

Ale prokurator Berger mało interesuje tkanka w formalinie. Nie jestem nawet pewna, czy interesuje ją stopień trwałego uszkodzenia, jakie środek chemiczny mógł spowodować u Chandonne'a. Mam wrażenie, że skupia się raczej na tym, jak ja się czuję wobec faktu, że zadałam komuś ból i być może okaleczyłam inną ludzką istotę. Nie pyta mnie o to, patrzy tylko na mnie. Zaczynam odczuwać ciężar tego spojrzenia. Jest jak dotyk doświadczonych dłoni, wyczuwających każdą anomalię czy bolesność.

– Czy mamy jakieś pojęcie o tym, kto będzie jego obrońcą? – Marino przypomina nam o swojej obecności.

– To pytanie za sześć milionów dolarów. – Jaime Berger popija kawę.

– Więc nie ma pani zielonego – stwierdza podejrzliwie kapitan.

– Och, mam. To ktoś, kto zdecydowanie nie będzie się panu podobał.

– Ha, to łatwo powiedzieć – odpiera detektyw. – Jeszcze nie spotkałem adwokata, który by mi się podobał.

– Przynajmniej to będzie mój problem, nie pański. – Jaime Berger ponownie wskazuje kapitanowi jego miejsce.

Ja też się na to jeżę.

– Proszę posłuchać – zwracam się do niej. – Ja również nie jestem zadowolona, że proces ma się odbyć w Nowym Jorku.

– Rozumiem, jak się pani czuje.

– Mam co do tego poważne wątpliwości.

– No cóż, wystarczająco długo rozmawiałam z pani przyjacielem, panem Righterem, żeby móc opisać dokładnie, jak by wyglądało postawienie monsieur Chandonne'a przed sądem tutaj, w Wirginii. – Jest teraz chłodna, leciutko rozdrażniona. – Sąd oddali zarzut podawania się za policjanta

i zredukuje usiłowanie zabójstwa do wtargnięcia do miejsca zamieszkania z zamiarem popełnienia morderstwa. – Milknie, czekając na moją reakcję. – On pani w ogóle nie dotknął. W tym cały problem.

– Prawdę mówiąc, problem byłby większy, gdyby mnie dotknął – zauważam, nie pokazując jej, że naprawdę zaczyna mnie złościć.

– Może podniósł młotek, żeby panią uderzyć, ale nie uderzył. – Jej wzrok spoczywa na mnie. – Za co wszyscy jesteśmy mu wdzięczni.

– Wie pani, mówi się, że nasze prawo jest respektowane tylko w sytuacjach kryzysowych. – Podnoszę kubek z kawą do ust.

– Pani doktor, Richter złożyłby wniosek o przedstawienie wszystkich zarzutów podczas jednego procesu. A jaka byłaby wtedy pani rola? Ekspert? Świadek? Czy ofiara? Wyraźnie widać konflikt. Albo pani zeznaje jako koroner, a atak na pani osobę zostaje całkowicie pominięty, albo jest pani po prostu ofiarą, która przeżyła, a ktoś inny zeznaje w pani sprawie. Albo gorzej. – Berger robi pauzę dla większego wrażenia. – Richter kwestionuje pani sprawozdania. Rozumiem, że jest to w jego zwyczaju.

– Ten facet ma tyle odwagi co brudna skarpetka – stwierdza Marino. – Ale doktor Scarpetta ma rację, Chandonne powinien zapłacić za to, co chciał jej zrobić. A już na pewno powinien odpowiedzieć za to, co zrobił z tamtymi dwiema kobietami. Powinien dostać karę śmierci. Tu byśmy go przynajmniej usmażyli.

– Nie, jeśli doktor Scarpetta została by zdyskredytowana jako świadek, panie kapitanie. Dobry obrońca raz-dwa przedstawiłby ją jako osobę z zaburzeniami psychicznymi i skomplikował sprawę.

– Nieważne. To tylko teoria, prawda? – oświadcza mój przyjaciel. – Nie będą go sądzić u nas, a ja nie jestem naiwny. Nigdy nie będzie sądzony. Zamkniecie go, a nas, szaraczków, nigdy nie wezwiecie do sądu.

– Co on robił w Nowym Jorku dwa lata temu? – Chcę załagodzić sytuację. – Wie pani coś na ten temat?

– Ha! – odzywa się Marino, jak gdyby znał jakieś szczegóły, którymi ze mną się jeszcze nie podzielono. – To dopiero historia!

– Czy to możliwe, że jego rodzinny kartel ma kontakty w moim pięknym mieście? – pyta lekkim tonem Jaime Berger.

– Cholera, pewnie mają tam cały luksusowy apartament – odpowiada Marino.

– A w Richmondzie? – ciągnie pani prokurator. – Czy Richmond nie jest miejscem postoju między Nowym Jorkiem a Miami wzdłuż korytarza narkotykowego 1-95?

– Tak, było – potwierdza Marino. – Zanim uruchomiliśmy projekt Exile i dowaliliśmy tym trutniom wyroki w federalnym więzieniu, jeśli zostali przyłapani z bronią czy narkotykami. Tak, nasze miasto było wspaniałym miejscem do robienia interesów. Więc jeśli kartel Chandonne’ów działa w Miami – a to już wiemy dzięki tajnej robocie Lucy i jeśli ma jakieś ważne połączenia z Nowym Jorkiem, nie jest niespodzianką, że broń i narkotyki lądowały też w Richmondzie.

– Lądowały? – dopytuje się Berger. – Może nadal lądują.

– Przypuszczam, że ATF będzie się tym zajmować przez dłuższy czas – wtrącam.

– Ha! – parska znowu Marino.

Następuje chwila ciężkiej ciszy, którą przerywa Jaime Berger.

– Skoro pani to poruszyła. – Z jej zachowania wnoszę, że powie coś, co mi się nie spodoba. – Wygląda na to, że ATF ma pewien problem. Podobnie jak FBI i francuska policja. Oczywiście istniała nadzieja, że aresztowanie Chandonne’a będzie okazją do uzyskania nakazu przeszukania paryskiego domu jego rodziny i być może znalezienia dowodów, które pomogą

zniszczyć cały kartel. Ale mamy drobną trudność ze wskazaniem rodzinnego domu Jeana-Baptiste'a. Tak naprawdę nie mamy nic, aby udowodnić, kim jest. Nie ma prawa jazdy. Nie ma paszportu ani świadectwa urodzenia. Żadnego dowodu, że ten dziwny osobnik rzeczywiście istnieje. Tylko DNA, które jest tak bliskie DNA nieboszczyka znalezione u was w porcie, że możemy przyjąć, że są krewnymi, prawdopodobnie braćmi. Ale potrzebne mi coś konkretniejszego, jeśli mam przekonać ławę przysięgłych.

– I nie ma mowy, żeby rodzina wystąpiła i przyznała się do *Loup Garou* – dodaje Marino okropną francuszczyznę. – Oto dlaczego nie jest nigdzie notowany, prawda? Potężni Chandonne'owie nie życzą sobie, żeby świat się dowiedział, iż mają syna, który jest owłosionym seryjnym mordercą i dziwolągiem.

– Chwileczkę – przerywam. – Czy on się nie przedstawił, kiedy go aresztowano? Skąd znamy imię i nazwisko Jean-Baptiste Chandonne, jeśli nie od niego?

– Od niego. – Kapitan pociera twarz dłońmi. – Psiakrew! Niech jej pani pokaże taśmę – wyrzuca nagle z siebie, zwracając się do Jaime Berger. Nie mam pojęcia, o jakiej taśmie mowa, a pani prokurator wcale nie jest zadowolona, że mój przyjaciel o niej wspomniał. – Doktor Scarpetta ma prawo wiedzieć – dodaje Marino.

– Mamy nowe dane dotyczące oskarżonego, z obrazem DNA, ale bez tożsamości. – Nasza rozmówczyni omija temat, który detektyw usiłował narzucić.

Jaką taśmę?, myślę, czując narastającą paranoję.

– Jaką taśmę?

– Mają pani przy sobie?

Marino patrzy na nią z nieukrywaną wrogością. Tworzą we dwoje nieruchomy, gniewny, żywy obraz, kiedy tak mierzą się wzrokiem poprzez stół. Twarz mojego przyjaciela ciemnieje. Chwyta teczkę Jaime Berger i przysuwa do siebie, jak gdyby miał zamiar wyjąć to, co jest w środku. Pani prokurator kładzie na niej dłoń, powstrzymując detektywa spojrzeniem.

– Panie kapitanie! – ostrzega go tonem, który wróży najgorsze kłopoty, jakie mogą go spotkać. Marino cofa rękę, jego twarz jest wściekle czerwona. Berger otwiera teczkę i skupia całą uwagę na mojej osobie. – Miałam szczerzy zamiar pokazać pani tę taśmę – mówi, ważąc słowa. – Po prostu wolałabym nie robić tego w tej chwili, ale niech będzie. – Robi wrażenie bardzo opanowanej, ale wyczuwam, że jest wściekła, kiedy wyjmuje kasetę z brązowej koperty. Wstaje i wkładają do magnetowidu. – Czy ktoś umie to obsługiwać?

Rozdział 11

Włączam telewizor i podaję jej pilota. – Pani doktor – Jaime Berger całkowicie ignoruje Marina – zanim zaczniemy, chciałabym panią poinformować, jak działa Biuro Prokuratora Okręgowego na Manhattanie. Jak już wspomniałam, wiele rzeczy wykonujemy inaczej, niż państwo macie w zwyczaju robić to w Wirginii. Miałam nadzieję wyjaśnić pani to wszystko, zanim będzie pani narażona na to, co zaraz zobaczymy. Czy zna pani nasz system zgłaszania zabójstwa?

– Nie – odpowiadam, a moje nerwy napinają się i zaczynają drgać.

– Pomocniczy prokurator okręgowy dyżuruje przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, na wypadek gdyby zgłoszono zabójstwo albo gdyby policja zlokalizowała sprawcę. Na Manhattanie policji nie wolno aresztować winnego bez zgody biura prokuratora okręgowego, jak już wyjaśniałam. Chodzi o to, aby wszystko, na przykład uzyskiwanie nakazów rewizji, było przeprowadzane we właściwy sposób. Zwykle ten pomocniczy prokurator udaje się na miejsce zbrodni, a w wypadku aresztowania, jeśli oskarżony chce być przez niego przesłuchany, natychmiast to robimy. – Panie kapitanie – zwraca się chłodno do Marina – pan zaczął w nowojorskim oddziale policji, ale to mogło być przed wprowadzeniem tej procedury.

– Nigdy przedtem o tym nie słyszałem – mamrocze mój przyjaciel, nadal niebezpiecznie czerwony.

– A co z oskarżeniem pionowym?

– To brzmi jak pozycja łożkowa – odpowiada Marino. Berger udaje, że nie usłyszała.

– To pomysł Morgenthaua – zwraca się do mnie.

Robert Morgenthau jest prokuratorem okręgowym na Manhattanie od prawie dwudziestu pięciu lat. Stał się już żywą legendą. Jest oczywiste, że Berger kocha z nim pracować. Coś się porusza w głębi mnie. Zawiść? Nie, może to smutek. Jestem zmęczona. Poczucie bezsilności narasta. Nie mam nikogo poza Marinem, który nie jest ani nowatorskim, ani światłym policjantem. Marino nie jest też legendą i w tej chwili ani nie chciałabym z nim pracować, ani nawet nie życzyłabym sobie, żeby tkwił tu obok.

– Prokurator zajmuje się sprawą od samego początku. – Jaime Berger zaczyna wyjaśniać, czym jest oskarżenie pionowe. – Więc nie musimy sobie zawracać głowy trzema czy czterema osobami, które już przesłuchiwały naszych świadków bądź ofiarę. Na przykład jeśli ja prowadzę sprawę, mogę ją rozpocząć dosłownie na miejscu zbrodni, a zakończyć w sądzie. Czystość, której absolutnie nie można zakwestionować. Jeśli mam szczęście, mogę przesłuchać oskarżonego, zanim dostanie adwokata – oczywiście, żaden obrońca nie zgodzi się, żeby jego klient ze mną rozmawiał. – Naciska guzik pilota. – Na szczęście złapałam Chandonne’a, zanim dostał adwokata. Przesłuchiwałam go kilka razy w szpitalu, począwszy od nieludzkiej godziny trzeciej dzisiaj nad ranem.

Powiedzieć, że jestem zaszokowana, byłoby wręcz strywializowaniem mojej reakcji na to, co właśnie wyjawiała. To niemożliwe, żeby Jean-Baptiste Chandonne rozmawiał z kimkolwiek.

– Jest pani wyraźnie zaskoczona. – Jej komentarz wydaje mi się czysto retoryczny, to raczej stwierdzenie.

– Można to tak ująć.

– Może tak naprawdę nie przyszło pani do głowy, że pani napastnik umie chodzić, mówić, żuć gumę, pić pepsi? Może nie wydaje się pani w pełni ludzki? – sugeruje moja rozmówczyni. – Może pani myśli, że to naprawdę wilkołak.

W ogóle go nie widziałam, kiedy zjawił się pod moimi drzwiami i odezwał w przekonujący sposób. „Policja. Czy wszystko w porządku?”. Potem był potworem. Tak, potworem. Potworem, który przyszedł do mnie z czarnym żelaznym narzędziem, wyglądającym, jakby pochodziło z londyńskiej Tower. Później jęczał, krzyczał i wydawał dźwięki pasujące do jego wyglądu – ohydneho i nieludzkiego. Jak zwierzę.

Jaime Berger uśmiecha się z lekkim zmęczeniem.

– Za chwilę zobaczy pani, przed jakim wyzwaniem stoimy, pani doktor. Chandonne nie jest szaleńcem. Nie jest też istotą nadprzyrodzoną. I nie chcemy, żeby przysięgli stosowali wobec niego inną miarę tylko dlatego, że cierpi na przykrą dolegliwość. Ale chcę też, żeby go zobaczyli takiego jak teraz, zanim się umyje, ogoli i włoży garnitur z kamizelką.

Uważam, że przysięgli powinni móc w pełni ocenić strach, jaki czuły jego ofiary, nie sądzi pani? – Patrzy mi w oczy. – Może im to pomóc pojąć, że nikt przy zdrowych zmysłach nie zaprosiłby go do domu.

– Dlaczego? On mówi, że go zaproszono? – Zasycha mi w ustach.

– Mówi dużo różnych rzeczy.

– Największy stek pieprzonych bredni, jaki słyszałem – stwierdza z niesmakiem kapitan. – Ale od razu to wiedziałem. Wchodzę do niego wczoraj późnym wieczorem, nie? Mówię, że pani Berger chce z nim rozmawiać, a on pyta, jak ona wygląda. Nie odpowiadam, udaję głupka.

Mówię mu: „John”, powiedzmy, że wielu facetom naprawdę jest trudno się skupić, kiedy ona jest obok, wiesz co mam na myśli?

John, myślę odrętwiała, Marino zwraca się do niego per „John”!

– Próba, raz, dwa, trzy, cztery, pięć, raz, dwa trzy, cztery, pięć – rozlega się głos z taśmy, a ekran wypełnia mur z cegieł. Kamera obejmuje pusty stół i krzesło. Gdzieś poza tym pokojem dzwoni telefon.

– Chce wiedzieć, czy ma ładne ciało i mam nadzieję, że mi pani wybaczy, pani Berger, że zrobiłem do tego aluzję. – Słowa detektywa ociekają sarkazmem, ciągle jest wściekły z powodów, które nie w pełni rozumiem. – Ale powtarzam tylko, co ten gnój powiedział. Więc mu mówię, że nie powinienem robić takich komentarzy, ale jak powiedziałem, faceci nie są w stanie myśleć, kiedy ona jest obok. Przynajmniej normalni faceci nie są.

Wiem aż za dobrze, że tego nie powiedział. Prawdę mówiąc, wątpię, żeby Chandonne w ogóle pytał o jej wygląd. Jest bardziej prawdopodobne, że aluzja na ten temat wyszła od Marina, żeby skłonić Chandonne’a do rozmowy z Jaime Berger, a kiedy sobie przypominam prostacki komentarz, jaki zrobił wczoraj wieczorem, gdy szliśmy do samochodu Lucy, czuję przyływ niechęci i gniewu. Mam go dosyć, razem z jego kultem macho. Rzygać mi się chce na jego męski szowinizm i prostactwo.

– Co jest, do cholery? – Mam ochotę p olać go zimną wodą. – Czy części kobiecego ciała muszą być obecne w każdej rozmowie? Marino, czy jest możliwe, żebyś się skupił na tej sprawie bez ulegania obsesji na temat wielkości kobiecych piersi?

– Próba, raz, dwa, trzy, cztery, pięć – rozlega się ponownie głos kamerzysty. Telefon przestaje dzwonić. Słychać szuranie stóp i szmer głosów. – Posadzimy cię przy tym stole, na tym krześle. – Poznaje głos Marina na taśmie. W tle ktoś puka do drzwi.

– Najważniejsze, że Chandonne zeznawał. – Jaime Berger patrzy na mnie, ponownie bada mnie oczyma, wynajdując moje słabości, moje punkty zapalne.

– Cokolwiek by to było warte. – Kapitan patrzy ze złością na ekran. Więc o to chodzi. Marino pomógł skłonić Chandonne'a, żeby rozmawiał z Berger, a naprawdę chciał, żeby to z nim rozmawiał morderca.

Kamera stoi nieruchomo i widzę tylko to, co jest bezpośrednio w jej obiektywie. Na ekranie pojawia się potężny brzuch Marina odsuwającego drewniane krzesło, a ktoś w ciemnoniebieskim garniturze i krawacie koloru głębokiej wiśni pomaga doprowadzić Jeana-Baptiste'a Chandonne'a do krzesła. Chandonne jest ubrany w szpitalną pidżamę z krótkimi rękawami. Długie jasne włosy zwisają mu z ramion, tworząc sploty falującego, miękkiego futra koloru bladego miodu. Włosy wypełzają zza spiczastego wycięcia kołnierzyka i długimi, odrażającymi kosmykami pną się po szyi. Siada i na ekranie pojawia się jego głowa, owinięta gazą od połowy czoła po czubek nosa. Ma ogolone te miejsca, których dotyka bandaże, a jego skóra jest biała jak mleko, jak gdyby nigdy nie widziała słońca.

– Czy mogę prosić o moją pepsi? – pyta. Nie jest unieruchomiony, nie ma nawet kajdanków.

– Chcesz, żeby ci dolać? – pyta go Marino.

Brak odpowiedzi. Jaime Berger przechodzi przed kamerą, a ja odnotowuję, że ma na sobie kostium koloru czekolady, z podkreślonymi ramionami. Siada naprzeciwko Chandonne'a. Widzę jedynie tył jej głowy i ramiona.

– Chcesz, żeby ci dolać, John? – pyta Marino człowieka, który próbował mnie zamordować.

– Za chwilę. Mogę zapalić? – pyta Chandonne.

Głos ma cichy, mówi z ciężkim francuskim akcentem. Jest uprzejmy i spokojny. Wpatruję się w ekran telewizora, ale nie mogę skupić uwagi. Znowu odczuwam zaburzenia elektryczne, posttraumatyczny stres, a moje komórki nerwowe podskakują jak krople wody spadające na rozgrzany tłuszcz i czuję kolejny silny atak bólu głowy. Ramię w ciemnoniebieskim rękawie z białym mankietem pojawia się na ekranie, stawia przed Chandonne'em kubek i kładzie paczkę cameli. Rozpoznaję wysoki, biało-niebieski, papierowy kubek ze szpitalnego bufetu. Słyszę szuranie odsuwanej krzesła i ramię w niebieskim rękawie przypala aresztantowi papierosa.

– Panie Chandonne. – Głos Berger brzmi swobodnie i władczo, jak gdyby codziennie rozmawiała ze zmutowanymi seryjnymi mordercami. – Jestem Jaime Berger, prokurator z Biura Prokuratora Okręgowego hrabstwa Nowy Jork na Manhattanie.

Chandonne podnosi rękę i lekko dotyka bandażu. Jego palce porastają przypominające puch jasne włosy, niemal jak u albinosa. Mają może ponad centymetr długości, jak gdyby niedawno golił grzbiety dłoni. Migawkami powraca mi wspomnienie tych rąk, usiłujących mnie zaatakować. Chandonne ma długie brudne paznokcie i pierwszy raz widzę zarys jego mięśni, nie grubych i napęczniałych jak u człowieka, którego obsesją jest chodzenie do siłowni, ale twardych jak liny, będących fizyczną cechą kogoś, kto niczym dzikie zwierzę używa własnego ciała, żeby zdobywać pożywienie, walczyć i uciekać, słowem: przeżyć. Jego siła zdaje się zaprzeczać naszemu założeniu, że prowadził raczej siedzący i beczynny tryb życia, chowając się w *hotel particulier* swojej rodziny, jak nazywa się eleganckie prywatne domy na Wyspie Świętego Ludwika.

– Poznał pan już kapitana Marino – mówi Jaime Berger do Chandonne'a. – Obecny jest także oficer Escudero z mojego biura – to on

obsługuje kamerę. I Jay Talley, agent specjalny z Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej.

Czuję na sobie spojrzenie tej kobiety. Unikam patrzenia na nią. Powstrzymuję się z trudem, żeby nie przerwać i nie zapytać, dlaczego. Dlaczego był tam Jay? Przemyka mi przez myśl, że Jaime Berger jest dokładnie tym typem kobiety, który by go pociągał – i to bardzo. Wyjmuję chusteczkę z kieszeni żakietu i ocieram zimny pot z czoła.

– Wie pan, że przesłuchanie jest nagrywane na taśmę wideo. Nie ma pan nic przeciwko temu, prawda? – pyta Berger na ekranie.

– Tak. – Chandonne zaciąga się papierosem i zdejmuje okruch tytoniu z koniuszka swego języka.

– Proszę pana, zadam panu kilka pytań na temat śmierci Susan Pless, trzeciego grudnia 1997 roku.

Chandonne nie reaguje. Sięga po pepsa i różowymi, nierównymi wargami szuka słomki, podczas gdy Jaime Berger podaje mu adres ofiary na Upper East Side w Nowym Jorku. Oznajmia, że zanim przejdą dalej, chce go poinformować o przysługujących mu prawach, choć już go o nich informowano Bóg wie ile razy. Chandonne słucha. Może to tylko moja wyobraźnia, ale wygląda na to, że się dobrze bawi. Nie sprawia wrażenia cierpiącego ani w najmniejszym stopniu onieśmiałego. Jest spokojny i grzeczny, jego okropne, włochate ręce spoczywają na blacie stołu albo dotykają bandaży, jak gdyby przypominając nam, co mu zrobiliśmy – co ja mu zrobiłam.

– Wszystko, co pan powie, może być wykorzystane przeciwko panu w sądzie – ciągnie prokurator Berger. – Rozumie pan? I dobrze by było, żeby pan mówił „tak” albo „nie”, zamiast kiwać głową.

– Rozumiem. – Chandonne jest chętny do współpracy, niemal miły.

– Ma pan prawo porozumieć się ze swoim adwokatem, teraz, przed rozpoczęciem przesłuchania. Adwokat może także być obecny podczas przesłuchania. Rozumie pan?

– Tak.

– A jeśli nie ma pan adwokata albo nie może sobie na niego pozwolić, zapewnimy panu bezpłatnego obrońcę z urzędu. Rozumie pan?

Chandonne ponownie sięga po pepsa. Jaime Berger niezmiernie upiera się, żeby zarówno on, jak i reszta świata wiedzieli, że wszystko odbywa się legalnie i sprawiedliwie, że przestępca został dokładnie poinformowany i rozmawia z nią z własnej woli.

– Teraz, kiedy został pan poinformowany o swoich prawach – kończy swój mocny, stanowczy wstęp – czy powie pan prawdę o tym, co się wydarzyło?

– Ja zawsze mówię prawdę – oświadcza cicho Chandonne.

– Pańskie prawa zostały panu przeczytane w obecności oficera Escudero, kapitana Marino i specjalnego agenta Talleya. Czy rozumie pan swoje prawa?

– Tak.

– Może mi pan opowie własnymi słowami, co się stało z Susan Pless? – mówi prokurator Berger.

– Była bardzo miła – odpowiada ku memu zdziwieniu Chandonne. – Ciągle jest mi niedobrze od tej historii.

– Akurat, już w to wierzę – mruczy pod nosem Marino w mojej sali konferencyjnej.

Nasza rozmówczyni natychmiast naciska guzik „pauza”.

– Panie kapitanie – rzuca w stronę detektywa. – Bez komentarzy. Proszę.

Dąsy Marina są jak zatrute opary. Jaime Berger naciska guzik pilota i pyta Chandonne’a na ekranie, jak poznał Susan Pless. Chandonne

odpowiada, że poznali się w restauracji o nazwie Lumi przy ulicy Siedemdziesiątej, między Trzecią a Lexington.

– A co pan tam robił? Jadł kolację czy pracował? – pyta dalej Berger.

– Jadłem sam kolację. Ona weszła, też była sama. Zamówiłem butelkę bardzo dobrego wina. Massolino Barolo, rocznik 1993. Ta kobieta była bardzo piękna.

Barolo to moje ulubione włoskie wino. Butelka, którą zamówił Chandonne, sporo kosztuje. Opowiada dalej. Jadł antipasto – *crostini dipolenta confunghi trifolati e olio tartufato* – mówi z doskonałym akcentem, kiedy zauważył, jak ta uderzająco piękna Afroamerykanka wchodzi sama do restauracji. *Maitre d'hôtel* traktował ją, jakby była kimś ważnym a jednocześnie stałą klientką. Posadził ją przy stoliku w rogu.

– Była dobrze ubrana – ciągnie Chandonne. – Było oczywiste, że to nie prostytutka. – Poprosił maitre'a, żeby zapytał, czy nie zechciałaby się przysiąść do jego stolika, a ona okazała się bardzo łatwa.

– Co pan rozumie przez „bardzo łatwa”? – pyta Jaime Berger. Chandonne wzrusza lekko ramionami i ponownie sięga po pepsi.

Pije przez słomkę, nie śpiesząc się.

– Chyba chciałbym jeszcze jedną. – Podnosi kubek, a ramię w ciemnoniebieskim rękawie, ramię Jaya Talleya, zabiera go. Chandonne szuka po omacku papierosów, jego owłosione dłonie obmacują stół.

– Co ma pan na myśli, mówiąc, że Susan okazała się bardzo łatwa? – powtarza Berger.

– Nie trzeba jej było namawiać, podeszła do mojego stolika i usiadła. Bardzo nam się miło rozmawiało.

Nie poznaję jego głosu.

– O czym rozmawialiście? – chce wiedzieć pani prokurator. Chandonne znowu dotyka swoich bandaży, a ja wyobrażam sobie tego odrażającego

człowieka z ciałem porośniętym długimi włosami, siedzącego w publicznym miejscu, jedzącego wykwintne jedzenie, pijącego drogie wino i zawierającego znajomości z kobietami. Przez głowę przebiega mi dziwaczna myśl, że Chandonne mógł podejrzewać, iż Jaime Berger pokaże mi tę taśmę. Czy to na mój użytek wspomina o włoskim jedzeniu i winie? Żeby się ze mnie naigrawać? Co o mnie wie? Nic, odpowiadam sama sobie. Nie ma powodu, żeby cokolwiek o mnie wiedział, teraz wyjaśnia, że przy kolacji rozmawiał z Susan Pless o polityce i muzyce. Kiedy Jaime Berger pyta, czy wiedział, czym ta kobieta się zajmuje, odpowiada, że wspomniała mu, iż pracuje w telewizji.

– Powiedziałem jej: „Więc jest pani sławna”, a ona się roześmiała.

– Widział ją pan kiedyś w telewizji?

– Mało oglądałem telewizję. – Wydmuchuje powoli dym. – Teraz, oczywiście, nic nie oglądam. Nie widzę.

– Proszę się ograniczyć do odpowiedzi na pytania. Nie pytałam, jak często pan ogląda telewizję, tylko czy widział pan kiedyś w telewizji Susan Pless.

Wyteżam się, żeby rozpoznać jego głos; strach łaskocze moje ciało, a dłonie zaczynają drżeć. Jego głos jest zupełnie obcy. Zupełnie nie brzmi jak wtedy za moimi drzwiami. „Policja... Proszę pani, dostaliśmy wiadomość o jakiejś podejrzanym osobie na pani posesji”.

– Nie pamiętam, żebym ją widział w telewizji – stwierdza w końcu Chandonne.

– Co się działo dalej?

– Jedliśmy kolację. Wypiliśmy wino i zapytałem, czy chciałyby pójść dokądś napić się szampana.

– Dokądś? Gdzie się pan zatrzymał?

– W Hotelu Barbizon, ale nie pod prawdziwym nazwiskiem. Dopiero przyjechałem z Paryża i byłem od zaledwie kilku dni w Nowym Jorku.

– Pod jakim nazwiskiem się pan zameldował?

– Nie pamiętam.

– Jak pan zapłacił?

– Gotówką.

– A z jakiego powodu przyjechał pan do Nowego Jorku?

– Byłem bardzo przerażony.

W moim pokoju konferencyjnym Marino porusza się na krześle i prychnął z niesmakiem. Ponownie komentuje:

– Trzymajcie się, kochani. Teraz będzie najlepszy kawałek.

– Przerażony? – słyhać z taśmy głos pani prokurator. – Czego się pan bał?

– Ludzi, którzy mnie ścigali. Waszego rządu. O to chodzi w tej całej sprawie. – Chandonne ponownie dotyka bandaży, tym razem jedną ręką, a potem drugą, w której trzyma camela. Dym wiję się wokół jego głowy. – Bo oni się mną posługują – posługiwali się mną – żeby dostać się do moich bliskich. Z powodu nieprawdziwych pogłosek na temat mojej rodziny...

– Chwileczkę. Proszę zaczekać – przerywa Jaime Berger.

Kątem oka widzę, że Marino kręci głową. Rozpiera się w krześle i opiera ręce na swoim wydatnym brzuchu.

– Masz, czego chciałaś – mruczy, a ja mogę jedynie zakładać, że uważa, iż nie powinna była nigdy przesłuchiwać Chandonne'a. – To błąd. Ta kasetka przyniesie więcej szkody niż pożytku.

– Panie kapitanie, bardzo proszę. – Jaime Berger zwraca się teraz do Marina, a jej głos na kasecie pyta Chandonne'a: – Kto się panem posługuje?

– FBI, Interpol. Może nawet CIA. Nie wiem dokładnie.

– Akurat – wtrąca sarkastycznie mój przyjaciel. – Nie wymienia ATF, bo nikt nigdy o nim nie słyszał. Nawet go nie ma w programie sprawdzającym pisownię.

Nienawiść do Talleya w połączeniu z obecnymi kłopotami zawodowymi Lucy przerodziły się u Marina w nienawiść do całego ATF. Jaime Berger tym razem się nie odzywa. Ignoruje go. Na taśmie przeciwstawia się Chandonne'owi; nieznosząca nonsensów natura każe jej przeć do przodu.

– Proszę pana, czy pan rozumie, jakie ważne jest, żeby mi pan powiedział prawdę?

– Mówię prawdę – odpowiada cicho, poważnie Wilkołak. – Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie. To się wydaje niewiarygodne, ale wszystko ma związek z moją potężną rodziną. Wszyscy ją znają we Francji. Od setek lat mieszka na Wyspie Świętego Ludwika. Istnieją pogłoski, że ma związek ze zorganizowaną przestępczością, na przykład z mafią, co jest absolutną nieprawdą. Stąd to całe zamieszanie. Nigdy z nimi nie mieszkałem.

– Ale jest pan częścią tej potężnej rodziny? Jej synem? – Tak.

– Ma pan rodzeństwo?

– Miałem brata, Thomasa.

– Miał pan?

– Nie żyje. Wie pani o tym. To z jego powodu jestem tutaj.

– Chciałabym do tego wrócić. Ale porozmawiajmy o pana rodzinie w Paryżu. Mówi pan, że z nimi nie mieszka i nigdy nie mieszkał?

– Nigdy.

– Dlaczegoż to? Czemu nigdy pan nie mieszkał ze swoimi bliskimi?

– Nigdy mnie nie chcieli. Jak byłem jeszcze mały, płacili bezdzietnej parze za zajmowanie się mną, żeby nikt się nie dowiedział.

– Nie dowiedział czego?

– Że jestem synem Thierry'ego Chandonne'a.

– Dlaczegoż to pański ojciec miałby nie chcieć, aby wiadano, że jest pan jego synem?

– Patrzy pani na mnie i zadaje takie pytanie? – Zaciska gniewnie usta.

– Zadaję pytanie. Dlaczego pański ojciec miałby nie chcieć, aby wiadano, że jest pan jego synem?

– Och, niech będzie. Będę udawał, że nie zauważyła pani mojego wyglądu. To bardzo uprzejmie, że pani udaje, iż tego nie widzi. – W jego głosie słycać drwinę. – Cierpię na poważne schorzenie. To wstyd, moja rodzina się mnie wstydzi.

– Gdzie mieszka to małżeństwo? Ci ludzie, którzy się panem opiekowali?

– Na Quai de l’Horloge, bardzo blisko Conciergerie.

– Koło więzienia? Tam, gdzie podczas rewolucji francuskiej więziono Marię Antoninę?

– Oczywiście, Conciergerie jest bardzo sławne. Obiekt turystyczny. Ludzi ogromnie interesują więzienia, sale tortur, ścięcia. Szczególnie Amerykanów. Nigdy tego nie rozumiałem. Wy mnie zabijecie. Stany Zjednoczone z łatwością mnie zabiją. Wy wszystkich zabijacie. To wszystko jest częścią tego wielkiego planu, tej zmywy.

– Gdzie dokładnie na Quai de l’Horloge? Myślałam, że cały ten odcinek zajmują Pałac Sprawiedliwości i Conciergerie. – Jaime Berger wymawia te nazwy jak ktoś, kto zna francuski. – Owszem, jest tam kilka mieszkań, bardzo drogich. Twierdzi pan, że tam znajdował się dom pańskich przybranych rodziców?

– Bardzo niedaleko stamtąd.

– Jak się nazywa to małżeństwo?

– Olivier i Christine Chabaud. Niestety, oboje od wielu lat nie żyją.

– Co robili? Czym się zajmowali?

– On był *boucher*. Ona *coiffeuse*.

– Rzeźnik i fryzjerka? – Z tonu Jaime Berger wynika, że w to nie wierzy i wie aż nadto dobrze, iż Chandonne kpi z niej i z nas wszystkich. To on jest rzeźnikiem. Ubrany w włosy.

– Tak, rzeźnik i fryzjerka – potwierdza Chandonne.

– Czy widywał pan czasem swoją prawdziwą rodzinę, Chandonne'ów, kiedy mieszkał pan u tych ludzi niedaleko więzienia?

– Od czasu do czasu pokazywałem się w domu. Zawsze jak było ciemno, żeby mnie nie zobaczono.

– Żeby pana nie zobaczono? Dlaczego pan nie chciał, żeby pana zobaczono?

– Tak jak powiedziałem. – Po omacku strząsa popiół. – Moja rodzina nie chciała, aby wiadano, że jestem jednym z nich. Byłoby wokół tego dużo szumu. Ojciec jest bardzo, bardzo znany. Nie mogę mieć do niego pretensji. Więc przychodziłem tam późno w nocy, kiedy zrobiło się ciemno i ulice na Wyspie Świętego Ludwika były puste. Czasem dawali mi pieniądze albo inne rzeczy.

– Wpuszczali pana do środka? – Jaime Berger rozpaczliwie próbuje umieścić go w rodzinnym domu, żeby władze miały wiarygodny powód do wydania nakazu rewizji.

– Tak. Ale nie zostawałem tam długo i nie wchodziłem do wszystkich pomieszczeń – wyjaśnia Chandonne, spokojnie paląc papierosa. – W moim domu rodzinnym jest dużo pokoi, w których nigdy nie byłem. Tylko w kuchni i zaraz, niech się zastanowię, w kuchni i w pomieszczeniach dla służby, i w sieni. Widzi pani, przez większość czasu sam się sobą zajmowałem.

– A kiedy ostatni raz odwiedził pan swój dom rodzinny?

– Och, ostatnio nie. Co najmniej dwa lata temu. Naprawdę nie pamiętam.

– Nie pamięta pan? Jeśli pan nie wie, niech pan po prostu powie, że pan nie wie. Nie proszę o zgadywanie.

– Nie wiem. Ale nie ostatnio, tego jestem pewien. Jaime Berger naciska pilota i obraz się zatrzymuje.

– Oczywiście widzi pani jego grę – zwraca się do mnie. – Najpierw podaje nam informacje, ale nie możemy ich sprawdzić. O ludziach, którzy nie żyją. O hotelu, gdzie zatrzymał się pod przybranym nazwiskiem, nie pamięta jakim, i gdzie płacił gotówką. A teraz jeszcze nie mamy żadnych podstaw do nakazu rewizji w domu jego rodziny, bo twierdzi, że nigdy tam nie mieszkał i prawie nie bywał. A z pewnością nie ostatnio. Brak wiarygodnego powodu, który byłby wystarczająco przekonujący dla władz.

– Cholera! Brak wiarygodnego powodu, kropka – dodaje Marino. – Chyba że znajdziemy świadków, którzy widzieli, jak wchodził i wychodził z rodzinnego domu.

Rozdział 12

Jaime Berger ponownie włącza magnetowid. – Czy jest pan i czy był pan kiedykolwiek gdzieś zatrudniony? – pyta Chandonne’a na taśmie.

– Robiłem to i owo – odpowiada łagodnie. – Biorę, co jest.

– A jednak stać pana było na pobyt w dobrym hotelu i pójście do drogiej nowojorskiej restauracji? I na zamówienie butelki drogiego włoskiego wina? Skąd wziął pan pieniądze na to wszystko?

Chandonne się waha. Ziewa, częstując nas zdumiewającym widokiem swych groteskowych zębów. Są małe, spiczaste, rzadkie i szare.

– Przepraszam. Jestem bardzo zmęczony. Nie mam dużo siły. – Ponownie dotyka bandaży.

Jaime Berger przypomina mu, że zeznaje z własnej woli. Nikt go nie zmusza. Proponuje, by przerwać, ale Chandonne oznajmia, że jeszcze trochę wytrzyma, może tylko kilka minut.

– Dużą część życia spędziłem na ulicy, kiedy nie mogłem znaleźć pracy – mówi. – Czasem zebrzę, ale najczęściej biorę, co się trafi. Zmywanie, zamiatanie. Kiedyś nawet jeździłem na *moto-crotte*.

– Co to takiego?

– *Trottirinet*. Taki zielony motocykl, którym jeździ się po chodnikach w Paryżu i sprząta odkurzaczem psie gówna.

– Ma pan prawo jazdy? – Nie.
– Więc jak pan mógł prowadzić taki motocykl?
– Ma poniżej stu dwudziestu pięciu centymetrów pojemności silnika, więc nie trzeba mieć prawa jazdy, a te moto-crotty wyciągają może ze dwadzieścia kilometrów na godzinę.

To wszystko bzdura. Znowu z nas kpi. Marino w mojej sali konferencyjnej kręci się na krześle.

– Ten dupek ma na wszystko odpowiedź, no nie?
– Czy zdobywa pan pieniądze jeszcze w jakiś inny sposób?
– Czasem od kobiet.
– A w jaki sposób dostaje pan pieniądze od kobiet?
– Jeżeli mi je dają. Muszę przyznać, że kobiety są moją słabością. Kocham kobiety – ich wygląd, dotyk, zapach, smak.

Mówi to wszystkim łagodnym tonem – on, który zatapia zęby w kobietach, znęca się nad nimi i je morduje. Udaje całkowitą niewinność. Zaczyna poruszać palcami na stole, jak gdyby mu zeszywniały, zgina je i rozgina, włosy na nich połyskują.

– Lubi pan smak kobiet? – Jaime Berger staje się agresywniejsza. – To dlatego pan je gryzie?

– Nie gryzę ich.
– Nie pogryzł pan Susan Pless? – Nie.
– Proszę pana, na ciele miała ślady ukąszeń.
– Ja tego nie zrobiłem. To oni. Siedzą mnie i to oni zabijają. Zabijają moje kochanki.
– Jacy oni?
– Powiedziałem pani. Agenci rządowi. FBI, Interpol. Żeby uderzyć w moją rodzinę.

– Skoro rodzina tak się starała ukryć pana przed całym światem, w jaki sposób ci ludzie – FBI, Interpol i kto tam jeszcze – skąd oni wiedzą, że jest pan Chandonne’em?

– Musieli czasem widzieć, jak wychodziłem z domu, iść za mną. A może ktoś im powiedział.

– I wydaje się panu, że minęły co najmniej dwa lata od czasu, jak pan był w swoim rodzinnym domu? – ponawia pytanie Berger.

– Co najmniej.

– Od jak dawna sądzi pan, że pana śledzą?

– Od wielu lat. Może od pięciu. Trudno określić. Są bardzo sprytni.

– A jak mógłby pan im pomóc, cytując: „uderzyć w pańską rodzinę”?

– Gdyby im się udało zrobić ze mnie seryjnego mordercę, wtedy policja mogłaby wejść do domu mojej rodziny. Nic by nie znalazła, bo moja rodzina jest niewinna. To wszystko polityka, mój ojciec jest bardzo potężny politycznie. A poza tym, nie wiem. Mogę tylko powiedzieć, co się działo ze mną, z moim życiem. To wszystko jest spisek, żeby mnie tu zwabić i zaarrestować, a potem skazać na śmierć. Bo wy, Amerykanie, zabijacie ludzi, nawet jak są niewinni. Wszystkim o tym wiadomo. – To stwierdzenie wydaje się go męczyć, jakby był znużony wyjaśnieniem go.

– Gdzie się pan nauczył mówić po angielsku?

– Sam się nauczyłem. A kiedy byłem młodszy, ojciec dawał mi książki, jak przychodziłem do domu. Czytałem dużo książek.

– Po angielsku?

– Tak. Chciałem się nauczyć bardzo dobrze angielskiego. Mój ojciec mówi wieloma językami, bo zajmuje się międzynarodową spedycją i ma do czynienia z wieloma zagranicznymi krajami.

– Włącznie ze Stanami Zjednoczonymi? – Tak.

Ramię Talleya ponownie pojawia się na ekranie, stawia na stole kolejną pepsi. Chandonne łakomie wsuwa słomkę do ust i głośno ssie.

– Jakiego rodzaju książki pan czytał? – pyta dalej Berger.

– Mnóstwo historycznych i innych też, żeby się kształcić, bo, widzi pani, musiałem sam się uczyć. Nigdy nie chodziłem do szkoły.

– Gdzie są teraz te książki?

– Och, nie wiem. Nie zabieram ich, ponieważ czasem jestem bezdomny albo dużo się przemieszczam. Ciągłe uciekam, oglądając się przez ramię, bo tamci ludzie mnie ścigają.

– Czy zna pan inne języki oprócz francuskiego i angielskiego?

– Włoski. Trochę niemieckiego. – Lekko mu się odbija.

– I też sam pan się ich nauczył?

– Znajduję dużo gazet w różnych językach w Paryżu i tym sposobem też się uczę. Czasem sypiam na gazetach. Kiedy nie mam gdzie się podziać.

– Serce mi się kraje. – Marino nie może się powstrzymać. Na taśmie Jaime Berger zwraca się do Chandonne'a. – Wróćmy do Susan, do jej śmierci piątego grudnia, dwa lata temu, w Nowym Jorku. Proszę mi opowiedzieć o tym wieczorze; twierdzi pan, że poznaliście się wtedy w Lumi. Co dokładnie się wydarzyło?

Chandonne wzdycha, jakby z każdą sekundą był coraz bardziej zmęczony. Często dotyka bandażu i dostrzegam, że drżą mu ręce.

– Muszę coś zjeść – mówi. – Jest mi słabo.

Nasza rozmówczyni naciska guzik pilota, a obraz zatrzymuje się i traci ostrość.

– Przerwaliśmy na około godziny – wyjaśnia mi. – Tyle, żeby zdążył coś zjeść i odpocząć.

– No, gościu zna nasz system jak ta lala – informuje mnie Marino, tak jakbym sama jeszcze tego nie spostrzegła. – A ta historia o małżeństwie,

które go wychowywało, to brednia. Po prostu chroni swoją mafijną rodzinę.

– Zastanawiam się, czy zna pani restaurację Lumi – zwraca się do mnie prokurator Berger.

– Tak z marszu jej nie kojarzę.

– To interesujące. Kiedy dwa lata temu zaczęliśmy badać zabójstwo Susan Pless, wiedzieliśmy, że tego wieczora, kiedy ją zamordowano, jadła kolację w Lumi, bo kelner, który ją obsługiwał, zadzwonił na policję natychmiast, gdy tylko usłyszał o jej śmierci. Koroner nawet znalazł w jej żołądku resztki posiłku, wskazujące na to, że prawdopodobnie jadła najpóźniej na kilka godzin przed zgonem.

– Była sama w restauracji? – pytam.

– Przyszła sama i dosiadła się do mężczyzny, który także był sam, ale nie był dziwolągiem, ani trochę. Opisano go jako wysokiego, szerokiego w ramionach, dobrze ubranego, przystojnego. To był wyraźnie ktoś, dla kogo pieniądze nie stanowią problemu, przynajmniej takie sprawiał wrażenie.

– Czy wie pani, co zamówił?

Jaime Berger przeczesuje włosy palcami. Pierwszy raz widzę, że traci pewność siebie. Prawdę mówiąc, przychodzi mi do głowy słowo „spłoszona”.

– Zapłacił gotówką, ale kelner pamiętał, co podawał obojgu. Mężczyzna zamówił polentę z grzybami i butelkę barolo, dokładnie tak, jak to Chandonne opisał podczas przesłuchania. Susan wzięła przystawkę z jarzyn opiekanych na ruszcie, a potem jagnię, co się zgadza, nawiasem mówiąc, z treścią jej żołądka.

– Jezu – mówi Marino. Wyraźnie to dla niego nowina. – Jak to możliwe, do cholery? Przecież potrzebne by były wszystkie efekty specjalne z całego

Hollywood, żeby zamienić ten obrzydliwy kłębek kudłów w jakiegoś przystojniaka, który wpada w oko kobietom.

– Chyba że to nie był on – zauważam. – Czy to mógł być jego brat Thomas? A Jean-Baptiste szedł za nim? – Milknę zaskoczona. Nazwałam potwora jego imieniem.

– Bardzo logiczna myśl – przyznaje Jaime Berger. – Ale jest kolejna przeszkoda w takim scenariuszu. Portier w domu Susan pamięta, że przysłała z mężczyzną, którego opis zgadza się z opisem tego z Lumi. To było około dziewiątej wieczór. Portier miał służbę do siódmej rano, więc był na miejscu, jak ten człowiek wyszedł o wpół do czwartej, czyli o godzinie, kiedy Susan zwykle już nie spała i była w drodze do pracy. Musiała być w studiu około czwartej czy wpół do piątej, bo program zaczyna się o piątej. Jej ciało znaleziono około siódmej i zdaniem koronera nie żyła już od kilku godzin. Głównym podejrzanym zawsze był nieznajomy, którego spotkała w restauracji. Prawdę mówiąc, nie widzę, jakby to mógł być ktokolwiek inny. Zabijają i przez jakiś czas masakruje ciało. Wychodzi o wpół do czwartej i ślad po nim ginie. Jeśli jest niewinny, dlaczego nie skontaktował się z policją, kiedy usłyszał o morderstwie? Bóg świadkiem, że sprawę rozgłoszono na wszystkie strony.

Doznaję dziwnego uczucia, uświadamiając sobie, że słyszałam o tym zabójstwie wtedy, kiedy się wydarzyło. Nagle niejasno przypominam sobie szczegóły tej krótko u nas rozgłaszanej sensacyjnej historii. Poraża mnie myśl, że kiedy usłyszałam o Susan Pless dwa lata temu, nie miałam pojęcia, iż będę zaangażowana w jej sprawę, a zwłaszcza w taki sposób.

– Chyba że to nie ktoś miejscowy, ale ktoś nawet spoza kraju – sugeruje Marino.

Jaime Berger wzrusza ramionami, unosząc ręce zwrócone dłońmi ku górze. Usiłuję zebrać dowody, które mi przedstawiła i nie znajduję

odpowiedzi mającej choćby pozory sensu.

– Jeśli jadła między siódmą a dziewiątą wieczór, jedzenie powinno być w większości strawione już o jedenastej – myślę głośno. – Zakładając, że koroner prawidłowo określa czas śmierci, jeśli umarła kilka godzin wcześniej, zanim znaleziono ciało, powiedzmy, około pierwszej czy drugiej rano, jedzenie powinno już było opuścić żołądek.

– Była w stresie. Bała się i to mogło spowolnić proces trawienia – wtrąca Berger.

– To by miało sens, gdybyśmy mówili o napastniku, który chowa się w szafie i rzuca na ofiarę, kiedy ta wraca do domu. Ale wygląda na to, że Susan czuła się w towarzystwie tego człowieka tak dobrze, że zaprosiła go do siebie do domu – tłumaczę. – A on czuł się na tyle pewnie, że nie obchodziło go, czy portier go zobaczył, jak wchodził i dużo później, kiedy wychodził. Co wykazał wymaz z pochwy?

– Obecność płynu nasiennego.

– Tego faceta – wskazuję Chandonne'a – nie interesuje penetracja i nic nie wskazuje na to, że miewa wytrysk – przypominam mojej rozmówczyni. – Tak było w przypadku morderstw w Paryżu i tutaj. Ofiary są zawsze ubrane od pasa w dół. Nie mają obrażeń poniżej talii. Zabójca nie wydaje się w ogóle interesować dolną częścią ich ciała, poza stopami. Miałam wrażenie, że Susan Pless też była ubrana od pasa w dół.

– Tak, w spodnie od piżamy. Ale znaleziono płyn nasienny, sugerujący przyzwolenie na stosunek, przynajmniej początkowo. Później na pewno nie, oczywiście – odpowiada Berger. – DNA z płynu nasiennego pasuje do Chandonne'a. Poza tym znaleźliśmy dziwne długie włosy, które wyglądają jak jego. – Ruchem głowy wskazuje telewizor. – Zbadaliście jego brata Thomasa, prawda? Jego DNA nie jest identyczny z DNA Jeana-Baptiste'a, więc nie wygląda na to, że Thomas pozostawił płyn nasienny.

– Profile ich DNA są bardzo zbliżone, ale nie identyczne – zgadzam się.
– I nie mogłyby być, chyba, że byłiby jednojajowymi bliźniakami, a tak nie jest.

– Skąd ta pewność? – marszczy brwi Marino.

– Gdyby Thomas i Jean-Baptiste byli identycznymi bliźniakami, obaj mieliby hypertrychozę, a nie tylko jeden z nich – wyjaśniam.

– Więc jak pani to wytłumaczy? – pyta nasza rozmówczyni. – Zgodność genetyczna we wszystkich przypadkach, a jednak opis zabójców wydaje się wskazywać, że to nie może być ta sama osoba.

– Jeśli DNA w przypadku Susan Pless odpowiada DNA Jeana-Baptiste’a Chandonne’a, mogę jedynie powiedzieć, że człowiek, który opuścił jej mieszkanie o wpół do czwartej rano, nie jest tym, który ją zabił – stwierdzam. – Zabił ją Chandonne. Ale mężczyzna, z którym ją widziano, to nie on.

– A może Wilkołak czasem jednak je pieprzy – dodaje Marino. – Albo usiłuje, a my o tym nie wiemy, bo zazwyczaj nie zostawia żadnych płynów.

– I co potem? – kwestionuje jego przypuszczenie prokurator Berger. – Wkłada im z powrotem majtki? Ubiera je po wszystkim od pasa w dół?

– Hola, przecież nie mówimy o kimś, kto działa w normalny sposób. Och, prawie zapomniałem ci powiedzieć. – Patrzy na mnie. – Jedna z pielęgniarek podejrziała, jakiego ma fiuta. Nieuciętego. – W żargonie mojego przyjaciela oznacza to, że Chandonne nie jest obrzezany. – Mniejszego niż kielbaska koktajlowa. – Rozsuwa kciuk i palec wskazujący na jakieś dwa i pół centymetra. – Nic dziwnego, że facet jest cały czas w takim podłym humorze.

Rozdział 13

Wraz z pstryknięciem pilota wracam do pokoju przesłuchań na oddziale sądowym Akademii Medycznej Wirginii. Wracam do Jeana-Baptiste'a Chandonne'a, który chce, abyśmy uwierzyli, że potrafi w jakiś sposób zmienić swój obrzydliwy wygląd i stać się eleganckim i przystojnym mężczyzną, kiedy ma ochotę wyjść na kolację i zawrzeć znajomość z kobietą. To niemożliwe. Kiedy aresztowanego prowadzą z powrotem do krzesła, na ekranie widać tors Wilkołaka z kłębami włosów, a gdy pojawia się głowa, stwierdzam ze zdumieniem, że już mu zdjęto bandażę i teraz oczy ma przysłonięte ciemnymi plastikowymi okularami. Skóra wokół nich jest różowa i podrażniona. Długie zrosnięte brwi wyglądają, jak gdyby ktoś wziął pasek futra i przykleił mu go do czoła. Takie samo futro pokrywa jego policzki i skronie.

Siedzę z Jaime Berger w moim pokoju konferencyjnym. Dochodzi wpół do ósmej. Marino wyszedł z dwóch powodów: wezwano go w sprawie identyfikacji ciała porzuconego na ulicy w Mosby Court, a pani prokurator dała mu do zrozumienia, że może nie wracać. Powiedziała, że musi pobyć ze mną sam na sam. Myślę, że miała go rzeczywiście dosyć i trudno ją potępiać. Marino wyraźnie jej powiedział, że odnosi się krytycznie do sposobu, w jaki przesłuchiwała Chandonne'a i do samego faktu

przesłuchiwania go. Część tego – nie, wszystko – to zazdrość. Nie ma na ziemi śledczego, który by nie chciał przesłuchać takiego dziwnego seryjnego mordercy. Tak się składa, że wybór Bestii padł na Piękną i Marino cały się gotuje ze złości.

Słucham, jak Jaime Berger na ekranie przypomina Chandonne'owi, że oświadczył, iż rozumie swoje prawa i zgodził się z nią dalej rozmawiać i uderza mnie istnienie pewnej rzeczywistości. Jestem małym stworzonkiem schwytanym w sieć zła, która zdaje się oplatać całą kulę ziemską jak południki i równoleżniki. Próba zamordowania mnie to tylko incydent w tym, o co chodzi Chandonne'owi. Ja byłam rozrywką. Jeśli przypuszcza, że oglądam to przesłuchanie na taśmie, nadal jestem rozrywką. Niczym więcej. Przychodzi mi do głowy, że gdyby mu się udało rozszarpać mnie na strzępy, teraz już by się skupił na kimś nowym, a ja byłabym tylko krótkim, krwawym epizodem, dawną zmasą nocną w jego nienawistnym, piekielnym życiu.

– Detektyw przyniósł panu coś do jedzenia i picia, tak, proszę pana? – pyta Jaime Berger.

– Tak.

– Co to było?

– Hamburger i pepsi.

– I frytki?

– *Mais oui*. Frytki. – Zdaje się, że go to śmieszy.

– Więc dostał pan wszystko, czego sobie życzył, prawda? – Tak.

– A personel szpitala zdjął panu bandaż i dał specjalne okulary. Dobrze się pan czuje?

– Trochę mnie boli.

– Dostał pan jakieś środki przeciwbólowe? – Tak.

– Tylenol. Zgadza się?

– Chyba tak. Dwie tabletki.

– Nic poza tym. Nic, co by mogło zakłócić pański proces myślowy?

– Nie, nic. – Jego czarne okulary są w niej utkwione.

– I nikt nie zmuszał pana do rozmowy ze mną ani nie robił panu żadnych obietnic, tak? – Porusza ramionami, domyślam się, że przerzuca stronę notatnika.

– Tak.

– Proszę pana, czy groziłam panu albo składałam jakieś obietnice, żeby pana skłonić do rozmowy?

Ta wymiana pytań i odpowiedzi ciągnie się długo: Jaime Berger sprawdza punkt po punkcie ze swojej listy. Upewnia się, że adwokat Chandonne'a nie będzie mógł powiedzieć, że jego klient został zastraszone, przyciśnięty, obrażony czy w jakikolwiek inny sposób niewłaściwie potraktowany. Chandonne siedzi wyprostowany, ręce ma założone jedna na drugą. Odrażająca płatanina włosów zwiesza się przez krawędź stołu jak brudne wąsy kukurydzy, włosy wystają również z krótkich (rękawów szpitalnej koszuli. W anatomii tego człowieka nie ma niczego harmonijnego. Przypomina mi stare dziwaczne filmy, na których niemądrzy chłopcy zakopują się nawzajem w piasku na plaży, malują sobie oczy na czołach i udają, że broda to włosy, albo wkładają okulary przeciwsłoneczne na tył głowy, lub też klęczą w butach na kolanach, żeby wyglądać jak karły, jak dziwadła, bo wydaje im się to zabawne. W Chandonnie nie ma niczego zabawnego. Nie uważam nawet, że jest godny litości. Głęboko pod powierzchnią stoickiego spokoju mój gniew szarpie się jak wielki rekin.

– Wróćmy do tego wieczoru, kiedy, jak pan twierdzi, poznał pan Susan Pless – zwraca się Jaime Berger do Chandonne'a na taśmie. – W Lumi. To na rogu Siódmej i Lexington, tak?

– Tak, tak.

– Mówił pan, że zjedliście razem kolację i zapytał ją pan, czy chciałyby napić się gdzieś z panem szampana. Proszę pana, czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że opis mężczyzny, którego Susan poznała i z którym jadła tamtego wieczora kolację, w najmniejszym stopniu nie pasuje do pańskiej osoby?

– A skąd mógłbym to wiedzieć?

– Ale musi pan zdawać sobie sprawę z tego, że cierpi pan na poważną dolegliwość, która sprawia, iż nie wygląda pan jak inni ludzie, więc trudno jest wyobrazić sobie, że można pana pomylić z kimś, kto zupełnie nie ma tej dolegliwości. Hypertrychoza. Choruje pan na to?

Widzę ledwie dostrzegalny ruch, Chandonne mruga za okularami. Jaime Berger dotknęła odsłoniętego nerwu. Mięśnie jego twarzy się napinają. Znowu zaczyna zginać i prostować palce.

– Czy to jest nazwa pańskiej dolegliwości? Czy wie pan, jak ona się nazywa? – pyta go Jaime Berger.

– Wiem, co to jest – odpowiada Chandonne tonem, w którym słychać napięcie.

– I żyje pan z tym cały czas? Chandonne wpatruje się w nią intensywnie.

– Proszę odpowiedzieć.

– Oczywiście. To głupie pytanie. Jak pani myśli? Że łapie się to jak katar?

– Chodzi mi o to, że nie wygląda pan jak inni ludzie i dlatego trudno mi sobie wyobrazić, że można pana pomylić z mężczyzną, którego opisano jako pewnego siebie, przystojnego i bez zarostu. – Robi pauzę. Czepia się go, chcąc, żeby stracił panowanie nad sobą. – Z kimś zadbanym i w drogim garniturze. – Kolejna pauza. – Dopiero co powiedział mi pan, że był praktycznie bezdomny. Jak więc mógł pan być tym mężczyzną z Lumi?

– Byłem w czarnym garniturze, koszuli i krawacie.

Nienawiść. Prawdziwa natura Chandonne'a zaczęła przeświecać przez ciemną osłonę jego kłamstw jak daleka, zimna gwiazda. Spodziewam się, że lada chwila rzuci się przez stół i zmiażdży gardło przesłuchującej go kobiety albo roztrzaska jej głowę o ścianę, zanim Marino czy kto inny zdoła go powstrzymać. Prawie przestaję oddychać. Przypominam samej sobie, że Jaime Berger, cała i zdrowa, siedzi obok mnie przy stole w moim pokoju konferencyjnym. Jest czwartkowy wieczór. Za cztery godziny minie dokładnie pięć dni od czasu, jak Chandonne wdarł się do mnie do domu i próbował zatłuc mnie na śmierć młotkiem kamieniarskim.

– Miewałem okresy, kiedy moja dolegliwość nie była tak ciężka jak teraz. – Chandonne się uspokoił. Powraca jego uprzejmość. – Stres ją pogarsza. Byłem w ogromnym stresie. Przez nich.

– A kim są „oni”?

– Amerykańscy agenci, którzy mnie wystawili. Kiedy się zorientowałem, co się dzieje, że chcą ze mnie zrobić mordercę, zacząłem się ukrywać. Mój stan stał się gorszy niż kiedykolwiek wcześniej, a im było gorzej, tym bardziej musiałem się ukrywać. Nie zawsze wyglądałem tak jak teraz. – Jego okulary odwracają się lekko od kamery, wpatruje się w prokurator Berger. – Kiedy poznałem Susan, zupełnie nie wyglądałem tak jak teraz. Mogłem się ogolić. Dostawałem różne zajęcia, radziłem sobie i nawet dobrze wyglądałem. A czasem miałem ubranie i pieniądze, bo brat mi pomagał.

Jaime Berger zatrzymuje kasetę i zwraca się do mnie:

– To możliwe z tym stresem?

– Stres ma tendencję do pogarszania wszystkiego – wyjaśniam. – Ale ten człowiek nigdy nie mógł wyglądać dobrze. Nie obchodzi mnie, co mówi.

– Mówił pan o Thomasie – podejmuje głos prokurator Berger na wideo.
– Thomas dawał panu ubrania, pieniądze, a może i inne rzeczy?

– Tak.

– Zeznał pan, że tamtego wieczoru w Lumi był pan w czarnym garniturze. Dał go panu Thomas?

– Tak. Lubił bardzo dobre ubrania. Nosiliśmy prawie ten sam rozmiar.

– Więc zjadł pan kolację z Susan. Co potem? Co się stało, kiedy skończyliście jeść? Zapłacił pan rachunek?

– Oczywiście, jestem dżentelmenem.

– Ile wyniósł rachunek?

– Dwieście dwadzieścia jeden dolarów bez napiwku.

Moja rozmówczyni, nie odrywając wzroku od ekranu, potwierdza to, co mówi Chandonne.

– Rachunek wyniósł dokładnie tyle. Mężczyzna zapłacił gotówką i zostawił dwa banknoty dwudziestodolarowe na stoliku.

Wypytyuję ją szczegółowo, ile ujawniono publicznie na temat restauracji, rachunku i napiwku.

– Czy było coś na ten temat w wiadomościach? – pytam.

– Nie. Więc jeśli to nie on, skąd, do diabła, wiedział, ile wyniósł rachunek? – Do jej głosu wkrada się frustracja.

Na taśmie pyta Chandonne'a o napiwek. Twierdzi, że zostawił czterdzieści dolarów.

– Chyba dwie dwudziestki – mówi.

– I co potem? Wyszliście z restauracji?

– Postanowiliśmy pójść do niej na drinka – odpowiada.

Rozdział 14

Chandonne podaje teraz mnóstwo szczegółów. Twierdzi, że wyszedł z Lumi z Susan Pless. Było bardzo zimno, ale zdecydowali się pójść pieszo, bo jej mieszkanie znajdowało się zaledwie kilka przecznic od restauracji. Opisuje księżyc i chmury w pełen wrażliwości, niemal poetycki sposób. Niebo poznaczone było białoniebieskawymi pasmami, jakby narysowanymi kredą, a księżyc w pełni częściowo skrywały chmury. Pełnia zawsze go podnieca seksualnie, mówi, bo przywodzi na myśl brzuch ciężarnej kobiety, jej pośladki i piersi. W pobliżu wysokich budynków mieszkalnych wiał ostry wiatr i Chandonne w pewnej chwili zdjął szalik i owinął nim Susan, żeby nie marzła. Twierdzi, że był ubrany w długi, ciemny, kaszmirowy płaszcz, a ja przypominam sobie, jak doktor Ruth Stvan, główny koroner Francji, opowiadała o swoim spotkaniu z człowiekiem, którym moim zdaniem był Chandonne.

Odwiedziłam doktor Stvan w Institut Medico-Legal niecałe dwa tygodnie temu, kiedy Interpol poprosił mnie o przejrzenie z nią spraw paryskich, i wtedy opowiedziała mi, jak pewnego wieczora do jej domu przyszedł nieznajomy mężczyzna, tłumacząc, że ma kłopoty z samochodem. Zapytał, czy może skorzystać z telefonu. Pamiętała, że nosił długi ciemny płaszcz i sprawiał wrażenie dżentelmena. Ale Ruth

Stvan powiedziała mi jeszcze coś. Pamiętała, że ów człowiek miał dziwny, bardzo nieprzyjemny zapach. Pachniał jak brudne, mokre zwierzę. I czuła się przy nim nieswojo, bardzo nieswojo. Wyczuwała jakieś zło. Byłaby go może i wpuściła albo, co bardziej prawdopodobne, wszedłby siłą, gdyby nie pewien graniczący z cudem przypadek.

Mąż doktor Stvan jest szefem kuchni w sławnej paryskiej restauracji, La Dome. Akurat tego wieczora był chory, został w domu i zawołał do niej z drugiego pokoju, pytając, kto przyszedł. Nieznajomy w ciemnym płaszczu uciekł. Następnego dnia pani Stvan doręczono wiadomość. Była napisana drukowanymi literami na kawałku zakrwawionego, podartego papieru do pakowania i podpisana *Le Loup Garou*. Muszę przyznać, że zlekceważyłam to, co powinno być dla mnie oczywiste. Doktor Stvan przeprowadzała autopsje francuskich ofiar Chandonne'a, który potem usiłował na nią napaść. Ja zaś przeprowadzałam autopsje jego ofiar amerykańskich i nie podjęłam żadnych poważnych środków, żeby zapobiec atakowi mordercy na mnie. Wielki wspólny mianownik odnoszący się do tej sprawy brzmi: Zawsze uważamy, że coś złego może się przytrafić tylko innym ludziom, a nie nam.

– Czy może pan opisać, jak wyglądał portier? – pyta Jaime Berger na wideo.

– Rzadki wąsik. Liberia. Zwracała się do niego per „Juan” – odpowiada Chandonne.

– Jedną chwileczkę – mówię.

Moja rozmówczyni znowu zatrzymuje taśmę.

– Czy pani czuła ten zapach? – pytam. – Kiedy siedziała pani z nim w pokoju, dzisiaj nad ranem. – Wskazuję na telewizor. – Kiedy go pani przesłuchiwała, czy wydzielał...

– Wolne żarty, to nie był zapach – przerywa. – Ten człowiek cuchnął jak brudny pies. Coś jak dziwna mieszanina mokrej sierści i przykrego zapachu ciała. Z trudem udało mi się nie zwymiotować. Pewnie go nie wykąpali w szpitalu.

Istnieje błędne przekonanie, że ludzi przywożonych do szpitala automatycznie prowadzi się do kąpeli. Zazwyczaj jednak tylko się przemywa obrażenia, chyba że pacjent zostaje na dłużej.

– Kiedy prowadzono dochodzenie w sprawie zabójstwa Susan Pless, dwa lata temu, czy ktokolwiek w Lumi wspomniał o zapachu? Że człowiek, z którym jadła kolację, brzydko pachniał? – pytam.

– Nie – odpowiada Berger. – Zupełnie nie. Znowu nie rozumiem, jak to mógł być Chandonne. Ale proszę słuchać, ta historia się robi coraz dziwniejsza.

Przez następne dziesięć minut obserwuję, jak Wilkołak pije pepsi przez słomkę, pali papierosy i snuje niewiarygodną opowieść o rzekomej wizycie w mieszkaniu Susan Pless. Opisuje z zadziwiającymi szczegółami, gdzie mieszkała, od dywanów na drewnianym parkiecie do mebli pokrytych kwiecistym materiałem i podrabianych lamp od Tiffany’ego. Oświadcza, że nie podzielał jej upodobań plastycznych, miała sporo dość pospolitych plakatów z wystaw w muzeach i trochę sztuchów z motywami morskimi i końmi. Lubiła konie, powiedział. Wspomniała mu, że się wychowała wśród koni i strasznie za nimi tęskni. Obok mnie Jaime Berger stuka dłonią w stół, ilekroć może potwierdzić to, co mówi zatrzymany. Tak, opis wnętrza mieszkania Susan stanowczo skłania ku przekonaniu, że Chandonne w jakimś momencie tam był. Owszem, Susan rzeczywiście wychowywała się na farmie, gdzie była stadnina. Tak, tak, wszystko się zgadza.

– Jezu. – Potrząsam głową, a strach zwija mi ciasno wnętrzości. Boję się, że wiem, ku czemu to zmierza. Staram się o tym nie myśleć. Ale jakaś

część mnie nie potrafi przestać o tym myśleć. Chandonne powie, że zaprosiłam go do siebie.

– A kiedy to było? – pyta Berger na taśmie. – Powiedział pan, że Susan otworzyła butelkę białego wina. O której godzinie?

– Może o dziesiątej albo jedenastej. Nie pamiętam. To nie było dobre wino.

– Ile pan do tego czasu wypił?

– Och, może pół butelki w restauracji. Nie wypilem dużo tego wina, którego mi naląa później. Taniego kalifornijskiego.

– Więc nie był pan pijany.

– Nigdy się nie upijam.

– Myślał pan jasno.

– Oczywiście.

– Czy pana zdaniem Susan była pijana?

– Może tylko trochę. Wesoła, powiedziałbym, że była wesoła. Więc usiedliśmy na sofie u niej w salonie. Stamtąd jest ładny widok na południowy zachód. Z salonu widać czerwony neon hotelu Essex w parku.

– To wszystko prawda – zwraca się do mnie Jaime Berger, znowu stukając dłonią w stół. – Zawartość alkoholu w jej krwi była bardzo niewielka. Trochę wypila – dorzuca szczegóły z sekcji Susan Pless.

– Co się działo potem? – pyta Chandonne'a.

– Trzymamy się za ręce. Wkłada sobie moje palce do ust, jeden po drugim, to bardzo seksowne. Zaczynamy się całować.

– Wie pan, która była wtedy godzina?

– Nie miałem powodu patrzeć na zegarek.

– Miał pan go na ręku? – Tak.

– Ma go pan jeszcze?

– Nie. Moje życie pogorszyło się przez nich. – Ostatnie słowo wymawia, jakby splotał. Ślina rozpryskuje się w powietrzu, ilekroć wymawia słowo „oni”, z nienawiścią, która sprawia wrażenie prawdziwej. – Nie miałem już pieniędzy. Zastawiłem zegarek jakiś rok temu.

– Oni? Ci sami ludzie, o których pan mówił? Agenci wymiaru sprawiedliwości?

– Amerykańscy agenci federalni.

– Wróćmy do Susan.

– Jestem dyskretnym mężczyzną. Nie wiem, jakie szczegóły chciałaby pani poznać. – Pije pepsi, a jego wargi zwijają się wokół słomki jak szare robaki.

Nie potrafię sobie wyobrazić, że ktokolwiek chciałby pocałować te usta. Nie potrafię sobie wyobrazić, że ktokolwiek chciałby dotknąć tego człowieka.

– Chcę, żeby mi pan opowiedział wszystko, co pan pamięta – odpowiada Jaime Berger. – Prawdę, proszę pana.

Chandonne odstawia pepsi i trochę mnie złości, kiedy ponownie widzę na ekranie ramię Talleya. Przypala mu kolejnego camela. Zastanawiam się, czy Chandonne’owi przyszło do głowy, że Talley jest agentem federalnym, właśnie jednym z tych ludzi, o których mówi, że go śledzą i niszczą mu życie.

– Dobrze, w takim razie opowiem pani. Nie chcę, ale staram się współpracować – oznajmia Chandonne, wydmuchując dym.

– Proszę mówić dalej. Tyle szczegółów, ile pan pamięta.

– Całowaliśmy się przez jakiś czas, a potem szybko poszło. – Nie mówi nic więcej.

– Co to znaczy: szybko poszło?

Zwykle wystarcza, że ktoś powie, że doszło do stosunku i na tym się poprzestaje. Zwykle oficer śledczy lub prokurator prowadzący przesłuchanie nie prosi o dokładny opis wszystkiego. Ale przemoc seksualna wobec Susan i innych kobiet, które naszym zdaniem Chandonne zamordował, sprawia, że istotne jest poznanie szczegółów tego, co on rozumie przez seks.

– Nie podoba mi się to – mówi Chandonne, znowu bawiąc się z Berger. Chce, żeby go zachęcać.

– Dlaczego? – pyta Berger.

– Nie rozmawiam o takich sprawach, a już na pewno nie w obecności kobiety.

– Dla nas wszystkich byłoby lepiej, gdyby pan myślał o mnie jako o prokuratorze, a niejako o kobiecie.

– Nie mogę z panią rozmawiać i nie myśleć o kobiecie – odpowiada cicho Chandonne. Uśmiecha się lekko. – Pani jest bardzo ładna.

– Pan mnie widzi?

– Ledwo, ledwo, właściwie nie. Ale wiem, że pani jest ładna. Tak słyszałem.

– Proszę, żeby pan więcej nie robił osobistych uwag pod moim adresem. Czy to jasne?

Wpatruje się w nią i kiwa głową.

– Co dokładnie pan robił po tym, jak zaczął pan całować Susan? Co było dalej? Dotykał pan jej, pieścił ją, rozbierał? Co? Czy pamięta pan, w co była ubrana tego wieczora?

– W brązowe skórzane spodnie. Powiedziałbym, że miały kolor belgijskiej czekolady. Były obcisłe, ale nie tak, żeby to wyglądało pospolicie. Na nogach miała skórzane brązowe buty do połowy łydki. Od góry była ubrana w czarną dopasowaną bluzkę, coś w rodzaju trykotu

gimnastycznego. Z długimi rękawami. – Patrzy w sufit. – Dość głęboko wyciętą pod szyją. Taka bluzka, która ma zatrzaski między nogami. – Robi ruch, jakby zapinał zatrzask. Jego palce, porośnięte krótkimi bladymi włosami, przypominają mi kaktusy albo szczotki do mycia butelek.

– Body – podpowiada Berger.

– Tak. Początkowo byłem trochę zagubiony, kiedy chciałem jej dotknąć i nie mogłem wyciągnąć bluzki.

– Próbował pan wsunąć ręce pod jej bluzkę, ale nie udawało się panu, ponieważ body było zapięte między nogami?

– Tak, właśnie.

– A jak ona zareagowała, kiedy usiłował pan wyciągnąć jej bluzkę ze spodni?

– Śmiała się z mojego zmieszania i ze mnie.

– Śmiała się z pana?

– Och, to nie było złośliwe. Uważała, że jestem zabawny. Żartowała. Powiedziała coś o Francuzach. Wie pani, uważa się nas za takich doświadczonych kochanków.

– Więc wiedziała, że pan jest z Francji.

– Ależ oczywiście – odpowiada uprzejmie Chandonne.

– Znała francuski? – Nie.

– Powiedziała panu, czy po prostu pan tak uważa?

– Zapytałem ją przy kolacji, czy zna francuski.

– Więc przekomarzała się z panem na temat body?

– Tak. Przekomarzała się. Wsunęła sobie moją rękę w spodnie i pomogła mi odpiąć zatrzaski. Pamiętam, że była podniecona i poczułem się trochę zaskoczony, że tak prędko się podnieciła.

– A wie pan, że była podniecona, ponieważ...?

– Była mokra – wyjaśnia Chandonne. – Bardzo mokra. Naprawdę, nie chcę o tym wszystkim opowiadać. – Jego twarz się ożywia. W rzeczywistości uwielbia opowiadać o tym wszystkim. – Czy naprawdę muszę kontynuować aż tak szczegółowo?

– Proszę pana o to. Wszystko, co pan pamięta. – Jaime Berger jest stanowcza i pozbawiona emocji. Chandonne mógłby równie dobrze opowiadać jej o tym, jak rozebrał zegar na części.

– Zacząłem dotykać jej piersi i zdjąłem jej stanik.

– Pamięta pan, jak wyglądał?

– Był czarny.

– Czy światło się paliło?

– Nie. Ale stanik miał ciemny kolor, chyba czarny. Mogę się mylić. Ale na pewno nie był jasny.

– Jak go pan rozpiął?

Chandonne milczy, jego czarne okulary są wycelowane w kamerę.

– Po prostu odpiąłem go na plecach. – Robi palcami odpowiedni ruch.

– Nie zdarł go pan siłą?

– Oczywiście, że nie.

– Proszę pana, jej stanik był rozdarty z przodu. Dosłownie przedarty na pół.

– To nie ja. Ktoś inny musiał to zrobić, kiedy wyszedłem.

– Dobrze, wróćmy do momentu, kiedy zdjął jej pan stanik. Czy spodnie miała już wtedy rozpięte?

– Rozpięte, ale jeszcze na sobie. Ściągam jej bluzkę. Wie pani, jestem bardzo oralny. Bardzo jej się to podobało. Trudno jej było zwolnić tempo.

– Proszę wytłumaczyć, co pan rozumie przez „trudno jej było zwolnić tempo”.

– Zaczęła się do mnie dobierać. Wsuwać rękę między nogi, chciała mi zdjąć spodnie, a ja nie byłem gotów. Jeszcze miałem dużo do zrobienia.

– Dużo do zrobienia? Co jeszcze miał pan do zrobienia?

– Nie byłem gotowy skończyć.

– Co pan rozumie przez koniec? Skończyć seks? Co skończyć? Skończyć jej życie, myślę.

– Zęby skończyć się z nią kochać – odpowiada Chandonne. Nienawidzę tego. Nie mogę znieść wysłuchiwania jego fantazji, szczególnie przy założeniu, iż on być może wie, że ja ich słucham, że mnie im poddaje, tak jak poddaje swoim kłamstwom Jaime Berger i że słucha tego także Talley, który siedzi tam obok i obserwuje. Talley nie różni się aż tak bardzo od Chandonne’a. Obaj skrycie nienawidzą kobiet, bez względu na to, jak bardzo ich pożądamy. Nie byłam tego świadoma co do Talleya, dopóki nie zrobiło się za późno, dopóki nie znalazł się w moim łóżku w pokoju hotelowym w Paryżu. Wyobrażam go sobie blisko prokurator Berger w małym pokoju do przesłuchań w szpitalu. Niemal widzę jego myśli, kiedy Chandonne zdaje nam relację z erotycznej nocy, której prawdopodobnie nie doświadczył ani razu przez całe swoje życie.

– Miała bardzo piękne ciało i chciałem się nim trochę nacieszyć, ale bardzo nalegała. Nie mogła się doczekać. – Chandonne rozkoszuje się każdym słowem. – Więc wróciliśmy do sypialni. Położyliśmy się na jej łóżku, zdjęliśmy ubrania i kochaliśmy się.

– Rozebrała się sama, czy pan to zrobił? Poza pomocą w rozpinaniu zatrzasków? – pyta Berger, a w jej tonie słychać przewagę wątpliwości co do prawdziwości relacji Chandonne’a.

– Rozebrałem ją. A ona rozebrała mnie.

– Czy zrobiła jakąś uwagę na temat pańskiego ciała? Był pan cały ogolony?

- Tak.
- I nic nie zauważyła?
- Byłem bardzo gładki. Nie zauważyła. Musi pani zrozumieć, że wiele mi się przydarzyło od tamtego czasu, przez nich.
- Co się panu przydarzyło?
- Ścigano mnie, prześladowano i bito. Napadli na mnie jacyś ludzie kilka miesięcy po tamtej nocy z Susan. Bili mnie po twarzy. Rozcięli mi wargę, strzaskali kości, o tutaj. – Dotyka okularów, wskazując oczodoły. – Jako dziecko miałem mnóstwo problemów z zębami, robiono mi rozmaite zabiegi, protetykę. Założono mi korony na przednie zęby, żeby wyglądały normalniej.
- Czy to małżeństwo, u którego jakoby pan mieszkał, płaciło za dentystę?
- Moja rodzina pomagała im finansowo.
- Golił się pan przed wizytą u dentysty?
- Goliłem te miejsca, które były widoczne. Twarz. Zawsze kiedy wychodziłem w ciągu dnia. Kiedy mnie napadnięto, wybito mi przednie zęby, połamano korony i w końcu widzi pani, jak wyglądam.
- Gdzie doszło do tego pobicia?
- Jeszcze w Nowym Jorku.
- Opatrzył pana jakiś lekarz albo zgłosił pan pobicie na policji?
- Och, to było niemożliwe. Oczywiście są w to zamieszane najwyżej postawione osoby z wymiaru sprawiedliwości. To oni mi to zrobili. Nie mogłem niczego zgłosić. Nie byłem leczony. Stałem się koczownikiem, ciągle się ukrywałem. Zniszczyli mnie.
- A nazwisko pańskiego dentysty?
- Och, to było bardzo dawno temu. Wątpię, żeby jeszcze żył. Nazywał się Corps. Maurice Corps. Gabinet miał chyba na ulicy Cabanis.

– Corps, tak jak „zwłoki”? – mówię do Jaime Berger. – A „cabanis” to anagram słowa canabis, czyli marihuana? – Potrząsam głową z niesmakiem i zdumieniem.

– Więc Susan i pan poszliście do łóżka w jej sypialni. – Na taśmie moja rozmówczyni powraca do tematu. – Proszę kontynuować. Jak długo byliście w łóżku?

– Chyba do trzeciej rano. Potem powiedziała mi, żebym wyszedł, bo musi się przygotować do pracy. Więc się ubrałem i umówiliśmy się, że się znowu zobaczymy wieczorem. Ustaliliśmy, że spotkamy się o siódmej w L'Absinthe, miłym francuskim bistro w sąsiedztwie.

– Mówi pan, że pan się ubrał. A ona była ubrana, kiedy pan wychodził?

– Była w czarnej satynowej pidżamie. Włożyła ją i pocałowała mnie przy drzwiach.

– I zjechał pan na dół? Widział pan kogoś?

– Juana, portiera. Wyszedłem i przez chwilę spacerowałem. Znalazłem kawiarnię i zjadłem śniadanie. Byłem bardzo głodny. – Przerzywa. – U Neila. Tak się nazywała. Dokładnie naprzeciwko Lumi.

– Pamięta pan, co pan zjadł?

– Wypiłem espresso.

– Był pan bardzo głodny, ale tylko wypił pan espresso? – Jaime Berger daje mu do zrozumienia, że zwróciła uwagę na słowo „głód” i zdaje sobie sprawę, że z niej kpi, wodzi ją za nos, mają gdzieś. Głód Chandonne’a nie dotyczył śniadania. Napawał się smakiem przemocy, zniszczenia ciała, krwi, bo dopiero co opuścił kobietę, którą zatłukł na śmierć i pogryzł. Bez względu na to, co mówi, to właśnie zrobił. Drań. Przeklęty, załgany drań.

– Kiedy się pan dowiedział, że Susan została zamordowana? – pyta go Berger.

– Nie przyszła tego wieczora na kolację.

– No, myślę, że chyba rzeczywiście nie.

– W takim razie nazajutrz...

– To znaczy piątego albo szóstego grudnia? – Jaime Berger przyśpiesza tempo, dając do zrozumienia, że ma dosyć tych sztuczek.

– Szóstego – potwierdza Chandonne. – Przeczytałem o wszystkim w porannej gazecie, nazajutrz po tym jak mieliśmy się spotkać w L’Absinthe. – Teraz udaje, że jest zmartwiony. – Byłem wstrząśnięty. – Pociąga nosem.

– Oczywiście nie pojawiła się w L’Absinthe poprzedniego wieczora. Ale pan twierdzi, że tam był?

– Zamówiłem kieliszek wina w barze i trochę czekałem. W końcu wyszedłem.

– Czy wspomniał pan komuś w restauracji, że pan na nią czeka?

– Tak. Zapytałem kierownika sali, czy może zostawiła dla mnie wiadomość. Znali ją z telewizji.

Jaime Berger wypytuje go szczegółowo o kierownika sali, pyta o nazwisko tego mężczyzny, o to, w co Chandonne był ubrany tego wieczora, ile zapłacił za wino, czy płacił gotówką i czy podał własne nazwisko, kiedy pytał o Susan. Oczywiście, nie. Trwa to z pięć minut. Pani prokurator napomyka mi, że pracownicy bistra skontaktowali się z policją i poinformowali, że był tam gość, który oświadczył, że czeka na Susan Pless. Wszystko to wówczas żmudnie sprawdzono. To prawda. Opis ubrania mężczyzny jest identyczny z tym, co Chandonne mówi na temat swojego stroju tamtego wieczora. Ów klient zamówił w barze kieliszek czerwonego wina i zapytał, czy nie wstąpiła tam Susan albo czy nie zostawiła dla niego wiadomości. Nie przedstawił się. Jego opis odpowiadał opisowi człowieka, który poprzedniego wieczora był z Susan w Lumi.

– A czy powiedział pan komuś, że był pan z nią tego wieczora, kiedy została zamordowana? – pyta Berger na wideo.

– Nie. Kiedy się dowiedziałem, co się stało, nie mogłem nic powiedzieć.

– A wiedział pan, że co się stało?

– Oni to zrobili. Oni jej to zrobili. Żeby mnie znowu pogrążyć.

– Znowu?

– Miałem kobiety w Paryżu, przed tym wszystkim. Zrobili z nimi to samo.

– Te kobiety, to było przed śmiercią Susan?

– Może jedna czy dwie. Potem też kilka. Tak samo było z nimi wszystkimi, bo mnie ciągle śledzono. Dlatego coraz bardziej się ukrywałem, a stres i ciężkie warunki pogarszały mój stan. To był koszmar, a ja nie mogłem nic powiedzieć. Kto by mi uwierzył?

– Dobrze pytanie – ripostuje ostro Jaime Berger. – Bo wie pan co? Weźmy choćby mnie. Ja panu nie wierzę. Zamordował pan Susan, prawda?

– Nie.

– Zgwałcił ją pan, prawda? – Nie.

– Pobił ją pan i pogryzł, prawda?

– Nie. Dlatego nic nikomu nie powiedziałem. Kto by mi uwierzył? Kto by uwierzył, że są ludzie, którzy chcą mnie zniszczyć tylko dlatego, że uważają mojego ojca za przestępcę, za mafijnego bossa?

– Nigdy nie powiedział pan policji ani nikomu, że mógł pan być ostatnią osobą, która widziała Susan żywą, bo pan ją zamordował, prawda?

– Nie powiedziałem nikomu, bo gdybym to zrobił, oskarżono by mnie o jej śmierć, tak jak pani mnie obwinia. Wróciłem do Paryża. Włączyłem się po mieście. Miałem nadzieję, że o mnie zapomną, ale nie zapomnieli. Widzi pani, że nie zapomnieli.

– Proszę pana, jest pan świadom, że Susan miała na ciele ślady ukąszeń i że na tych ukąszeniach znaleziono pańską ślinę, a DNA z tych śladów i z płynu nasiennego w jej pochwie zgadza się z pańskim DNA?

Chandonne tylko wbija w nią swe czarne okulary.

– Wie pan co to jest DNA, prawda?

– Mogłem się spodziewać, że znajdziecie mój DNA.

– Bo ją pan pogryzł.

– Wcale jej nie gryzłem. Ale jestem bardzo oralny. Ja... – Milknie.

– Co? Co pan robił, co mogłoby wytłumaczyć obecność śliny na śladach ukąszeń, których, jak pan twierdzi, nie pan jest sprawcą?

– Jestem bardzo oralny – powtarza Chandonne. – Lubię ssać i lizać. Całe ciało.

– Gdzie dokładnie? Ma pan na myśli każdy centymetr ciała?

– Tak. Całe. Kocham kobiece ciało, każdy centymetr. Może dlatego, że nie mam... Może dlatego, że jest takie piękne, a sam nigdy nie mogę być piękny... Więc je wielbię. To znaczy moje kobiety. Ich ciała.

– Liże pan na przykład i całuje ich stopy? – Tak.

– Podeszwy stóp?

– Wszędzie.

– Gryzł pan kiedyś piersi kobiety?

– Nie. Susan miała bardzo piękne piersi.

– Ale ssał je pan i lizał?

– Obsesyjnie.

– Piersi są dla pana ważne?

– Och tak. Szczerze to przyznaję.

– Szuka pan kobiet z dużym biustem?

– Mam swój ulubiony typ.

– Jaki dokładnie jest pana typ?

– Bardzo pełny. – Pokazuje rękoma. Kiedy opisuje typ kobiety, który go podnieca, na jego twarzy maluje się napięcie seksualne. Może to tylko moja wyobraźnia, ale oczy mu błyszczą za czarnymi okularami. – Ale żeby nie była gruba. Nie lubię grubych kobiet, o nie, nie. Szczupłe w talii i w biodrach, ale bardzo pełne u góry. – Znowu pokazuje, jak gdyby łapał piłki w locie, na jego rękach występują żyły, naprężają się mięśnie.

– A Susan była w pana typie? – Berger nie popuszcza.

– Spodobała mi się, jak tylko ją zobaczyłem w restauracji – odpowiada Chandonne.

– W Lumi? – Tak.

– Na jej ciele znaleziono także włosy. Czy jest pan świadom, że niezwykle długie, cienkie jak u dziecka włosy, odpowiadające pańskim, znaleziono na jej ciele? Jak to możliwe, skoro się pan ogolił? Powiedział mi pan przecież, że cały się pan ogolił.

– To oni podrzucają rozmaite rzeczy. Jestem tego pewien.

– Ci sami ludzie, którzy pana ścigają? – Tak.

– A skąd wzięli pańskie włosy?

– Był taki okres w Paryżu, jakieś pięć lat temu, kiedy zacząłem podejrzewać, że ktoś na mnie poluje. Miałem uczucie, że jestem obserwowany, śledzony. Nie wiedziałem dlaczego. Ale kiedy byłem młody, nie zawsze goliłem całe ciało. Plecy, może sobie pani wyobrazić? Bardzo trudno jest sięgnąć, bardzo trudno ogolić plecy, właściwie to niemożliwe, więc czasem mijało wiele, wiele miesięcy i wie pani, jak byłem młodszy, byłem nieśmiały w stosunku do kobiet i rzadko się do nich zbliżałem. Więc nie goliłem się aż tak dokładnie, nosiłem spodnie i koszule z długimi rękawami i goliłem tylko ręce, twarz i szyję. – Dotyka policzka. – Pewnego dnia przyszedłem do mieszkania moich przybranych rodziców...

– Czy pańscy przybrani rodzice jeszcze żyją? To małżeństwo, o którym pan wspomniał? Które mieszkało niedaleko więzienia? – pyta Berger z nutą ironii w głosie.

– Nie. Ale i tak mogłem tam mieszkać jeszcze przez jakiś czas. Mieszkanie nie było drogie, a ja miałem pracę, rozmaite zajęcia. Przychodzę do domu i widzę, że ktoś tam był. Dziwne. Nic nie zginęło, tylko rzeczy z mojego łóżka. Nie jest tak źle, pomyślałem. Przynajmniej ten ktoś zabrał tylko pościel. Potem to się powtórzyło jeszcze wiele razy. Teraz wiem, że to oni. Chcieli mieć moje włosy. Dlatego kradli pościel. Bo wypadają mi dużo włosów, rozumie pani? – Dotyka splątanych włosów na swojej głowie. – Zawsze wypadają, jeśli się nie golię. Zaczepiają się o rozmaite przedmioty, kiedy są takie długie. – Wyciąga rękę, żeby to zademonstrować; jego włosy unoszą się w powietrzu, jakby były w stanie nieważkości.

– Więc twierdzi pan, że nie miał długich włosów, kiedy poznał pan Susan? Nawet na plecach?

– Nie, nigdzie. Jeśli znaleźliście długie włosy na jej ciele, to zostały tam podrzucone, rozumie pani, co mówię? Ale i tak przyjmuję, że jej śmierć to moja wina.

Rozdział 15

Dlaczego to ma być pańska wina? – pyta Berger. – Dlaczego tak pan uważa? – Bo oni mnie śledzili – odpowiada Chandonne. – Musieli wejść zaraz po moim wyjściu i wtedy to zrobili.

– I pojechali za panem do Richmondu? Czemu pan tu przyjechał?

– Z powodu mojego brata.

– Proszę mi to wytłumaczyć.

– Usłyszałem o zwłokach w porcie i byłem przekonany, że to mój brat Thomas.

– Czym się zajmował pański brat?

– Spedycją morską, razem z ojcem. Był ode mnie kilka lat starszy. Thomas był dobry dla mnie. Mało go widywałem, ale dawał mi swoje ubrania, kiedy ich nie nosił, i inne rzeczy, jak już pani powiedziałem. I pieniądze. Wiem, że gdy go widziałem ostatni raz, jakieś dwa miesiące temu, w Paryżu, bał się, że mu się przytrafi coś złego.

– Gdzie w Paryżu spotkał się pan z Thomasem?

– Faubourg Saint Antoine. Lubił chodzić do nocnych klubów i tam, gdzie przychodzą młodzi artyści. Spotkaliśmy się w kamiennych podcieniach Cour Des Trois Freres, tam są pracownie rzemieślników, wie pani, niedaleko Sans Sanz i Balanjo i oczywiście Bar Americain, gdzie

można zapłacić dziewczynom za towarzystwo. Dał mi pieniądze i powiedział, że wyjeżdża do Belgii, do Antwerpii, a stamtąd dalej, tutaj. Nigdy więcej się do mnie nie odezwał, a potem dowiedziałem się o zwłokach.

– A gdzie pan usłyszał tę wiadomość?

– Powiedziałem pani, że mam dużo gazet. Podnoszę to, co ludzie wyrzucają. Wielu turystów, którzy nie znają francuskiego, czyta międzynarodowe wydanie „USA Today”. Była tam mała wzmianka o ciele znalezionym tutaj, a ja od razu pomyślałem, że to mój brat. Byłem tego pewien. Dlatego przyjechałem do Richmondu. Musiałem się przekonać.

– Jak pan tu przyjechał?

Chandonne wzdycha i dotyka zaognionej, zdartej skóry wokół nosa.

– Nie chcę o tym mówić – oświadcza.

– Dlaczego?

– Boję się, że użyjecie tego przeciwko mnie.

– Proszę pana, musi pan powiedzieć mi prawdę.

– Jestem złodziejem kieszonkowym. Ukradłem portfel facetowi, który zawiesił swój płaszcz na pomniku na Pere Lachaise, najślawniejszym cmentarzu w Paryżu, gdzie leży wielu członków mojej rodziny. Mamy *concession dperpetuite* – dodaje z dumą. – Dureń. Amerykanin. To był duży portfel, taki, w którym ludzie trzymają paszporty i bilety lotnicze. Żałuję, ale muszę pani powiedzieć, że robiłem to wiele razy. To część życia na ulicy, a coraz bardziej żyłem na ulicy, od czasu jak zaczęli mnie ścigać.

– Znowu ci sami ludzie. Agenci federalni.

– Tak, tak. Agenci, urzędnicy miejscy, wszyscy. Natychmiast wsiadłem w samolot, bo nie chciałem, żeby ten facet miał czas na zgłoszenie kradzieży portfela i żeby mnie ktoś zatrzymał na lotnisku. Miałem powrotny bilet do Nowego Jorku.

- Z którego lotniska pan odleciał i kiedy?
- De Gaulle. W zeszły czwartek.
- Szesnastego grudnia?
- Tak. Przyleciałem wcześniej rano i wsiadłem w pociąg do Richmondu.

Miałem siedemset dolarów z tego, co ukradłem temu facetowi.

- Ma pan jeszcze ten portfel i paszport?
- Nie, absolutnie. To by była głupota. Wyrzuciłem je do śmieci.
- Gdzie?
- Na dworcu w Nowym Jorku. Nie potrafię dokładnie powiedzieć, gdzie.

Wsiadłem do pociągu...

– A podczas obu tych pańskich podróży nikt się panu nie przyglądał? Nie był pan ogolony? Nikt się w pana nie wpatrywał, nie było żadnych reakcji?

– Miałem włosy zebrane w siatkę pod kapeluszem, byłem w koszuli z długimi rękawami i wysoka stójka. – Waha się. – Robię jeszcze jedno, kiedy wyglądam tak jak teraz, to znaczy nie zdążę usunąć włosów. Noszę maskę. Taką, jakimi ludzie z ciężką alergią zakrywają usta i nos. Wkładam też czarne bawełniane rękawiczki i ciemne okulary.

– Miał pan na sobie to wszystko w samolocie i w pociągu?

– Tak. To skutecznie działa. Ludzie odsuwają się ode mnie, a w tym wypadku miałem cały rząd foteli dla siebie, więc spałem.

– Ma pan jeszcze tę maskę, kapelusz, rękawiczki i okulary? Chandonne milczy i zastanawia się nad odpowiedzią. Jaime Berger posłała mu trudną piłkę, więc poczuł się niepewnie.

- Może je znajdę – mówi ostrożnie.
- Co pan robił po przyjeździe do Richmondu?
- Wsiadłem z pociągu.

Wypytuje go przez kilka minut. Gdzie jest dworzec? Czy wziął taksówkę? Jak się poruszał? Co miał zamiar zrobić w sprawie swojego brata? Chandonne odpowiada przytomnie. Opisuje wszystko w taki sposób, że wydaje się, iż był tam, gdzie twierdzi, na przykład na dworcu Amtrak przy Staples Mili Road, i jechał niebieską taksówką, z której wysiadł przy podłym motelu na Chamberlayne Avenue, gdzie zapłacił gotówką dwadzieścia dolarów za noc, ponownie używając fałszywego nazwiska. Oznajmia, że stamtąd dzwonił do mojego biura, żeby uzyskać informacje o niezidentyfikowanych zwłokach, które, jak twierdzi, należały do jego brata.

– Poprosiłem o rozmowę z koronerem, ale nikt nie chciał mi pomóc – mówi do prokurator Berger.

– Z kim pan rozmawiał?

– Z jakąś kobietą. Chyba z urzędniczką.

– Czy ta urzędniczka powiedziała panu, jak się nazywa koroner?

– Tak. Doktor Scarpetta. Więc powiedziałam, że chcę z nim mówić, a urzędniczka na to, że doktor Scarpetta jest kobietą. Więc mówię: dobra, czy mogę z nią porozmawiać? Jest zajęta. Oczywiście nie zostawiłem nazwiska ani numeru telefonu, bo muszę nadal być ostrożny. Może znowu mnie śledzą, skąd mam wiedzieć? A potem biorę gazetę i czytam o morderstwie popełnionym tutaj, o jakiejś kobiecie zabitej w sklepie tydzień wcześniej i jestem zaszokowany, przerażony. Oni są tutaj.

– Ci sami ludzie? Ci, którzy pana ścigają, jak pan twierdzi?

– Są tutaj, nie rozumie pani? Zabili mojego brata i wiedzieli, że tu przyjadę.

– To rzeczywiście zadziwiające, nieprawdaż? Zadziwiające, że przewidzieli, iż przyjedzie pan do Richmondu w Wirginii, bo akurat przez przypadek przeczytał pan wyrzuconą przez kogoś gazetę „USA Today”

i dowiedział się, że znaleziono tu czyjeś ciało, i pomyśli pan, iż to Thomas, więc ukradnie pan portfel i paszport i zjawi się tutaj.

– Wiedzieli, że przyjadę. Kocham swojego brata. Tylko jego mam w życiu. To jedyny człowiek, który był dla mnie dobry. I muszę się dowiedzieć ze względu na papę. Biedny papa.

– A pańska matka? Nie poruszy jej śmierć Thomasa?

– Jest zawsze pijana.

– Pańska matka jest alkoholiczką?

– Pije cały czas.

– Codziennie?

– Codziennie, cały dzień. A potem się złości albo strasznie płacze.

– Nie mieszka pan z nią, a jednak pan wie, że ciągle pije?

– Thomas mi mówił. Tak wyglądało jej życie, od kiedy pamiętam. Zawsze mi mówiono, że pije. Gdy przychodziłem do domu, też była pijana. Wspomniano mi kiedyś, że moja dolegliwość może być spowodowana tym, że piła, będąc w ciąży.

Jaime Berger patrzy na mnie.

– To możliwe? – pyta.

– Płodowy zespół alkoholowy? – zastanawiam się. – Mało prawdopodobne. Na ogół jeśli matka jest nałogową alkoholiczką, u dziecka może wystąpić poważne opóźnienie rozwoju umysłowego i fizycznego, a zmiany skórne, takie jak hipertrychoza, byłyby najmniejszym z problemów.

– Co nie znaczy, że on nie uważa matki za winną swojej choroby.

– Z pewnością może tak uważać – przyznaję.

– To pomaga wyjaśnić jego skrajną nienawiść do kobiet.

– O tyle, o ile cokolwiek może wyjaśnić ten rodzaj nienawiści – odpowiadam.

Na wideo Jaime Berger ponownie kieruje Chandonne'a na kwestię jego rzekomego telefonu do kostnicy, tu, w Richmondzie.

– Więc starał się pan skontaktować telefonicznie z doktor Scarpettą, ale nie udało się to panu. Co dalej?

– Potem, następnego dnia, w piątek, w pokoju w motelu, słyszę w telewizji, że zamordowano kolejną kobietę. Tym razem policjantkę. Zaczynają się wiadomości, wie pani, a ja patrzę i widzę, jak na miejsce zbrodni podjeżdża duży czarny samochód i mówią, że to koroner. To ona, doktor Scarpetta. Więc wpadam na pomysł, żeby natychmiast tam pójść. Poczekam, aż będzie odjeżdżał i wtedy do niej podejść. Powiem jej, że muszę z nią porozmawiać. Więc biorę taksówkę.

W tym miejscu Chandonne'a zawodzi jego niezwykła pamięć. Nie pamięta nazwy korporacji ani nawet koloru samochodu, tylko tyle, że kierowca był czarny. Prawdopodobnie osiemdziesiąt procent taksówkarzy w Richmondzie to Afroamerykanie. Chandonne twierdzi, że kiedy jechał na miejsce zbrodni – a znał adres, bo podano go w telewizji – słyszał kolejny komunikat. Tym razem ostrzegano mieszkańców miasta przed zabójcą, który być może cierpi na szczególną dolegliwość, sprawiającą, że ma bardzo niecodzienny wygląd. Opis pasuje do choroby Chandonne'a.

– Teraz wiem na pewno – ciągnie. – Zastawili na mnie pułapkę i cały świat myśli, że zabiłem te kobiety w Richmondzie. Więc wpadam w panikę na tylnym siedzeniu taksówki, próbuję zdecydować, co robić. Pytam taksówkarza: „Zna pan tę panią, o której mówią? Doktor Scarpettę?”. On na to, że wszyscy w mieście ją znają. Pytam, gdzie mieszka, mówię, że jestem turystą. Wiezie mnie w okolice jej domu, ale nie możemy podjechać bliżej, bo stoją strażnicy i jest brama. Ale wiem już dosyć, żeby mocją odnaleźć. Jestem zdecydowany porozmawiać z nią, zanim będzie za późno.

– Za późno na co? – pyta Jaime Berger.

– Zanim jeszcze ktoś zostanie zabity. Muszę wrócić później wieczorem i jakoś sprawić, żeby mi otworzyła, abym mógł z nią porozmawiać. Wie pani, oczywiście martwię się, że teraz ją zabiją. Widzi pani, to wzór, według którego działają. Rozumie pani, tak zrobili w Paryżu. Próbowali zabić tam lekarza sądowego, kobietę. Miała dużo szczęścia.

– Proszę pana, trzymajmy się tego, co stało się tutaj, w Richmondzie. Proszę mi powiedzieć, co się działo dalej. Jest przedpołudnie, piątek, siedemnastego grudnia, ubiegły piątek. Co pan robił, jak pan wysiadł z taksówki? Przez resztę dnia?

– Błąkałem się. Znalazłem opuszczony dom nad rzeką i wszedłem tam, żeby nie być na dworze.

– Wie pan, gdzie jest ten budynek?

– Nie potrafię powiedzieć, ale niedaleko od jej osiedla.

– Od osiedla, gdzie mieszka doktor Scarpetta? – Tak.

– Umiałby pan odnaleźć ten dom?

– Jest jeszcze w budowie. Bardzo duży. Rezydencja, w której teraz nikt nie mieszka. Wiem, gdzie jest.

Jaime Berger zwraca się do mnie.

– To tam, gdzie zdaniem policji mieszkał przez cały czas?

Potakuję. Znam ten dom. Myślę o nieszczęsnych ludziach, do których należy i nie wyobrażam sobie, żeby chcieli tam teraz mieszkać. Chandonne mówi, że ukrywał się w opuszczonym domu aż do zmroku.

Kilka razy tego wieczora wychodził, omijał strzeżoną bramę mojego osiedla i posuwał się wzdłuż rzeki i szyn biegnących obok. Twierdzi, że wczesnym wieczorem pukał do moich drzwi, ale bez rezultatu. Jaime Berger pyta mnie w tym momencie, o której wróciłam tego dnia do domu. Odpowiadam, że po ósmej. Po wyjściu z biura pojechałam do sklepu z narzędziami. Chciałam obejrzeć różne narzędzia, bo zaskoczyły mnie

dziwne obrażenia, które znalazłam na ciele Dianę Bray i ślady na materacu, gdzie zabójca odłożył zakrwawiony przyrząd, którym ją bił. Właśnie podczas owych poszukiwań natrafiłam na młotek kamieniarski, kupiłam go i pojechałam do domu, wyjaśniam.

Chandonne mówi dalej. Twierdzi, że zaczął się obawiać spotkania ze mną. Okolicę patrolowały liczne samochody policyjne i w pewnej chwili, późno w nocy, dwa z nich stały przed moim domem, kiedy tam podszedł. To dlatego, że włączyło się urządzenie alarmowe, gdy sforsował drzwi do garażu, żeby ściągnąć na miejsce policję. Oczywiście, zapewnia, że to nie on spowodował włączenie alarmu. To oni – to musieli być oni, mówi. Była już prawie północ, padał gęsty śnieg. Chandonne chowa się za drzewami obok mojego domu i czeka, aż policja odjedzie. Uważa, że to jego ostatnia szansa, musi się ze mną zobaczyć. Jest przekonany, że oni są w okolicy i że mnie zabiją. Więc podchodzi do moich drzwi wejściowych i puka.

– Czym pan zapukał? – pyta Berger.

– Pamiętam, że była kołatka. Wydaje mi się, że jej użyłem. – Dopija resztę pepsi. Marino pyta go na taśmie, czy chce jeszcze jedną. Chandonne kręci głową i ziewa. Opowiada, jak przyszedł do mnie do domu, żeby mi rozwalić głowę i ziewa, drań jeden!

– Dlaczego pan nie zadzwonił? – dąży Jaime Berger. To ważne pytanie. Mój dzwonek uruchamia system kamer. Gdyby Chandonne zadzwonił, zobaczyłabym go na ekranie wideo w domu.

– Nie wiem – odpowiada. – Zauważyłem kołatkę i zapukałem.

– Powiedział pan coś?

– Początkowo nie. Potem usłyszałem kobiecy głos pytający: „Kto tam?”.

– I co pan powiedział?

– Podałem jej swoje nazwisko. Powiedziałem, że mam informacje na temat ciała, które próbuje zidentyfikować i proszę, by ze mną

porozmawiała.

– Podał jej pan swoje nazwisko? Przedstawił się pan jako Jean-Baptiste Chandonne?

– Tak. Powiedziałem, że przyjechałem z Paryża i próbowałem się z nią skontaktować w biurze. – Znowu ziewa. – Dzieje się coś zdumiewającego – ciągnie dalej. – Nagle drzwi się otwierają i pojawia się ona. Mówi, żebym wszedł do środka, a w chwili kiedy to robię, zatrząskuje za mną drzwi i nie wierzę własnym oczom. Nagle ma w ręku młotek i próbuje mnie nim uderzyć!

– Nagle ma w ręku młotek? Skąd go wzięła? Pojawił się ot tak, znikąd?

– Mam wrażenie, że złapała go ze stołu przy drzwiach. Nie wiem. To się stało tak szybko. A ja próbuję przed nią uciec. Biegnę do salonu, krzyczę do niej, żeby przestała i wtedy dzieje się coś okropnego. Bardzo prędko. Pamiętam tylko, że byłem po drugiej stronie sofy i coś poleciało mi w twarz. Jakby płynny ogień zalał mi oczy. Nigdy nie czułem niczego tak, tak... – Znowu pociąga nosem. – Ból. Krzyczałem i próbowałem wycierać oczy. Chciałem stamtąd wyjść. Wiedziałem, że mnie zabije i nagle przyszło mi do głowy, że ona jest jedną z tamtych. Z nich. Dopadli mnie w końcu. Wpadłem w pułapkę. Od początku było zaplanowane, że to ona dostanie ciało mojego brata, bo tak wszystko zaaranżowali. Teraz mnie zaaresztują i nareszcie będą mieli tę okazję, o którą im chodzi.

– A o co im chodzi? – pyta Jalme Berger. – Proszę mi powiedzieć jeszcze raz, bo trudno mi zrozumieć, a tym bardziej uwierzyć w tę część pańskiego opowiadania.

– Chodzi im o mojego ojca! – oświadcza Chandonne i pierwszy raz widzę, że objawia jakieś uczucia. – Chcą osiągnąć papy! Znaleźć powód, żeby go ścigać, pogrążyć, zniszczyć. Żeby się okazało, że mój ojciec ma syna, który jest mordercą, więc będą mogli się zabrać do całej rodziny. To

wszystko trwa od lat! A ja jestem Chandonne'em i spójrzcie na mnie!
Spójrzcie na mnie!

Rozkłada ramiona w geście ukrzyżowania, włosy porastające jego ciało falują. Patrząc wstrząśnięta, jak ściąga ciemne okulary i światło przenika jego wrażliwe tęczówki. Spoglądam w te jaskrawoczerwone, poparzone kwasem oczy. Wydaje się, że Chandonne nie widzi wyraźnie. Po jego twarzy płyną łzy.

– Jestem zniszczony! – krzyczy. – Jestem brzydki, ślepy i oskarżony o zbrodnie, których nie popełniłem! Wy, Amerykanie, chcecie egzekucji Francuza! Prawda? Dla przykładu! – Słychać głośnie szuranie krzeseł, Marino z Talleyem obezwładniają go i przytrzymują na miejscu. – Nikogo nie zabiłem! To ona próbowała mnie zabić! Patrzcie, co mi zrobiła!

– Rozmawialiśmy godzinę – zwraca się do niego spokojnie Jaime Berger. – Skończymy teraz. Proszę się uspokoić, proszę się uspokoić.

Ekran mruga, pojawiają się na nim pasy, po czym wypełnia go jasny błękit pogodnego popołudnia. Prokurator Berger wyłącza magnetowid. Siedzę w milczeniu, jak porażona.

– Przykro mi, ale muszę to pani powiedzieć. – Przerywa upiorny czar, jaki Chandonne rzucił na moją małą prywatną salę konferencyjną. – Na świecie są paranoiści i idioci, którzy uznają, że ten gość jest wiarygodny. Miejmy nadzieję, że nikogo takiego nie będzie wśród przysięgłych. Wystarczy jeden.

Rozdział 16

Jay Talley – mówi ku memu zaskoczeniu Jaime Berger. Teraz, kiedy Chandonne zniknął spośród nas za naciśnięciem guzika pilota, prokurator z Nowego Jorku nie traci czasu i kieruje uwagę na mnie. Wracamy do ograniczonej, szarej rzeczywistości – sali konferencyjnej z okrągłym drewnianym stołem, drewnianymi półkami na ścianach i pustym ekranem telewizora. Teczki dotyczące śledztwa i makabryczne zdjęcia leżą przed nami, zapomniane, pozostawione, bo przez ostatnie dwie godziny to Chandonne przesłaniał wszystko i nas wszystkich absorbował.

– Chce pani mówić sama, czy mam zacząć od powiedzenia pani, co wiem? – pyta mnie.

– Nie jestem pewna, co miałabym powiedzieć. – Jestem zaskoczona, później urażona, a potem znowu wściekła, kiedy myślę o obecności Talleya przy przesłuchaniu Chandonne’a. Wyobrażam sobie Jaime Berger rozmawiającą z Jayem przed i po przesłuchaniu, a także podczas przerw na odpoczynek i jedzenie. Spędziła wiele godzin z Talleyem i Marinem. – A dla ścisłości – dodaję – co to ma wspólnego ze sprawą, którą prowadzi pani w Nowym Jorku?

– Pani doktor... – Moja rozmówczyni odchyła się w fotelu. Czuję się, jakbym spędziła z nią w tym pokoju połowę życia i jestem spóźniona.

Jestem już beznadziejnie spóźniona na spotkanie z gubernatorem. – Wiem, jakie to dla pani trudne – ciągnie – ale proszę, żeby mi pani zaufała. Czy może mi pani zaufać?

– Sama już nie wiem, komu ufać – odpowiadam zgodnie z prawdą. Uśmiecha się lekko i wzdycha.

– To uczciwe – przyznaje. – W porządku. Nie ma pani powodu mi ufać. Może nie ma pani powodu nikomu ufać. Ale nie ma też pani prawdziwego powodu, żeby mi nie ufać jako zawodowemu prokuratorowi, którego jedynym celem jest spowodowanie, żeby Chandonne zapłacił za swoje zbrodnie – jeżeli zamordował te kobiety.

– Jeżeli? – pytam.

– Musimy to udowodnić. I absolutnie wszystko, czego mogę się dowiedzieć o wydarzeniach w Richmondzie, jest dla mnie bezcenne. Zapewniam panią, że nie znoszę podglądania i nie zamierzam wchodzić z butami w pani życie prywatne. Ale muszę mieć pełny obraz sytuacji. Szczerze mówiąc, muszę wiedzieć, z czym, do licha, mam do czynienia, a trudność leży w tym, że nie wiem, kto jest kim ani czym i jaki może mieć związek z moją sprawą w Nowym Jorku. Na przykład czy uzależnienie Dianę Bray od leków dostępnych tylko na receptę może oznaczać jakąś nielegalną działalność, być może związaną ze zorganizowaną przestępczością i z rodziną Chandonne'ów? A może nawet z tym, dlaczego ciało Thomasa znalazło się w Richmondzie?

– Nawiasem mówiąc. – Trzymam się innej kwestii, własnej wiarygodności. – Jak Chandonne tłumaczy fakt, że w moim domu były dwa młotki kamieniarskie? Owszem, jeden z nich kupiłam w sklepie z narzędziami, tak jak pani powiedziałam. A skąd się wziął drugi, skoro on go nie przyniósł? I jeżeli chciałam go zabić, dlaczego nie użyłam pistoletu? Mój glock był pod ręką, na stole w jadalni.

Jaime Berger waha się i całkowicie uchyla od odpowiedzi.

– Jeżeli nie poznam całej prawdy, będzie bardzo trudno rozdzielić, co ma związek z moją sprawą, a co nie.

– Tyle rozumiem.

– Czy możemy zacząć od obecnego stanu pani związku z Jayem Talleyem?

– Zawiózł mnie do szpitala. – Poddaję się. Wyraźnie to nie ja mam teraz zadawać pytania. – Kiedy złamałam rękę. Przyjechał z policją, z ATF. Rozmawiałam z nim przez chwilę w sobotę po południu, gdy policjanci jeszcze byli w moim domu.

– Czy wie pani, dlaczego uznał za konieczne przylecieć tu z Francji, żeby pomagać podczas obławy na Chandonne’a?

– Mogę tylko przypuszczać, iż dlatego, że tak dobrze zna tę sprawę.

– Czy to pretekst, aby zobaczyć się z panią?

– To on musiałby odpowiedzieć na to pytanie.

– Widuje się z nim pani?

– Nie. Ostatni raz widziałam go w sobotę po południu, tak jak powiedziałam.

– Dlaczego? Uważa pani, że ten związek się skończył?.

– Nie uważam, że w ogóle się zaczął.

– Ale przespała się z nim pani. – Unosi brew.

– Moja wina. Błąd w ocenie.

– Jest przystojny, bystry. I młody. Można by nawet uznać, że ma pani dobry gust. Jest również wolny. Pani też. Nie popełniła pani cudzołóstwa. – Robi pauzę i przeciągają nieco. Czy to aluzja do Bentona, do faktu, że dopuściłam się cudzołóstwa w przeszłości? – Jay Talley ma masę pieniędzy, prawda? – Stuka piórem w notatnik, odbieram to jak metronom odmierzający ten przykry dla mnie czas. – Zapewne od rodziny. Sprawdzę

to. A nawiasem mówiąc, powinna pani wiedzieć, że rozmawiałam z nim, z Jayem. Długo.

– Rozumiem, że rozmawiała pani z całym światem. Jednego tylko nie zdołałam pojąć, to znaczy kiedy pani miała na to wszystko czas.

– Spędziłam trochę czasu w Centrum Medycznym, w szpitalu Akademii Medycznej.

Wyobrażam ją sobie, pijącą kawę z Talleyem. Mogę sobie wyobrazić wyraz jego twarzy i zachowanie. Zastanawiam się, czy Jay jej się podoba.

– Rozmawiałam z Talleyem i Marinem, kiedy Chandonne miał przerwy na odpoczynek i coś tam jeszcze. – Składa dłonie na notatniku z nagłówkiem swojego biura.

Nie zrobiła ani jednej notatki, nie napisała ani słowa, odkąd jesteśmy w tym pokoju. Już przewiduje, jak będzie się wymądrzać adwokat. „Obrona ma prawo zobaczyć wszystko, co jest na piśmie”. Więc nic nie zapisujemy. Co jakiś czas jednak coś rysuje, od wejścia do mojej sali konferencyjnej pokryła już tymi bazgrołami dwie strony. Gdzieś z tyłu głowy pojawia mi się czerwona chorągiewka. Jaime Berger traktuje mnie jak świadka. Nie powinnam być świadkiem, nie w jej sprawie z Nowego Jorku.

– Odnoszę wrażenie, że zastanawia się pani, czy Jay jest w to w jakiś sposób zamieszany... – zaczynam.

Przerywa mi wzruszeniem ramion.

– Zaglądam w każdą dziurę – mówi.

– Czy to możliwe? W tej chwili jestem prawie skłonna uwierzyć, że wszystko jest możliwe.

– W jakiej świetnej sytuacji byłby Talley, gdyby działał w porozumieniu z Chandonne'ami, prawda? Agent Interpolu, ach, ktoś taki przydałby się przestępczemu kartelowi. Dzwoni do pani i sprowadza panią do Francji, może po to, żeby sprawdzić, co pani wie na temat wolnego strzelca, Jeana-

Baptiste'a. A potem nagle zjawia się w Richmondzie, żeby wziąć udział w obławie. – Krzyżuje ramiona i ponownie przebija mnie wzrokiem. – Nie spodobał mi się. Dziwi mnie, że pani się podobał.

– Proszę posłuchać – mówię głosem, w którym brzmi ton porażki. – Jay i ja byliśmy ze sobą blisko w Paryżu przez najwyżej dwadzieścia cztery godziny.

– Pani zainicjowała zbliżenie. Pokłóciliście się tego wieczoru w restauracji i pani stamtąd wypadła, była pani zazdrosna, bo patrzył na inną kobietę...

– Co? – wybucham. – Tak powiedział?

Jaime Berger patrzy na mnie w milczeniu. Jej ton nie różni się od tego, jakim rozmawiała z Chandonne'em, tym potworem. Teraz przesłuchuje mnie, inną straszną przestępczynię. Tak się czuję.

– To nie miało nic wspólnego z inną kobietą – odpowiadam. – Z jaką inną kobietą? Był nachalny i kłótlivy, a ja miałam tego dosyć.

– Cafe Runtz na rue Favard. Zrobiła pani niezłą scenę. – Ciągnie moją historię w wersji Talleya.

– Nie zrobiłam żadnej sceny. Wstałam od stolika i wyszłam. Kropka.

– Stamtąd wróciła pani do hotelu, wsiadła w taksówkę i pojechała na Wyspę Świętego Ludwika, gdzie mieszka rodzina Chandonne'ów. Spacerowałam tam pani po ciemku, wpatrując się w ich dom, a potem wzięła pani próbkę wody z Sekwany.

To, co właśnie powiedziała, poraża każdą moją tkankę jak prąd elektryczny. Pot zimnymi strumyczkami spływa mi pod bluzką. Nigdy nie wspomniałam Jayowi, co robiłam, kiedy go zostawiłam w restauracji. Skąd ona wie to wszystko? I skąd wiedział Jay, jeśli wie to od niego? Marino. Co jej powiedział Marino?

– Jaki był prawdziwy powód odszukania domu Chandonne'ów? Czego się pani spodziewała dowiedzieć?

– Gdybym wiedziała czego i jak się dowiem, nie musiałabym prowadzić śledztwa – wyjaśniam. – Co do próbki wody, to jak już pani widziała w raportach, znaleźliśmy diatomy, czyli mikroskopijne algi na ubraniu niezidentyfikowanego ciała z portu w Richmondzie, ciała Thomasa. Chciałam wziąć próbkę wody niedaleko domu Chandonne'ów, żeby sprawdzić, czy jest jakaś szansa, że taki sam gatunek diatomów może występować w tej okolicy Sekwany. I był. Diatomy słodkowodne odpowiadały tym, które znalazłam wewnątrz ubrania na ciele Thomasa. Wszystko to jednak jest bez znaczenia. Jean-Baptiste nie będzie sądzony za zabójstwo domniemanego brata, bo prawdopodobnie to się stało w Belgii. Już to pani jasno wyraziła.

– Ale ta próbka jest ważna.

– Dlaczego?

– Wszystko, co się stało, mówi mi coraz więcej na temat oskarżonego i może doprowadzić do motywu. A co najważniejsze, do ustalenia tożsamości i intencji.

Tożsamość i intencja. Te dwa słowa przelatują z hukiem przez mój umysł jak pociąg. Jestem prawniczką. Wiem, co znaczą.

– Dlaczego wzięła pani próbkę wody? Czy rutynowo jeździ pani i zbiera dowody, które nie są bezpośrednio związane ze zwłokami? Innymi słowy, pobieranie próbek wody nie jest tak naprawdę w pani jurysdykcji, a szczególnie w obcym kraju. Dlaczego w ogóle pojechała pani do Francji? Czy to nie jest trochę niezwykle w wypadku koronera?

– Wezwał mnie Interpol. Sama pani to przed chwilą zauważyła.

– Ściślej mówiąc, wezwał panią Jay Talley.

– Reprezentuje Interpol. Jest łącznikiem ATF.

– Zastanawiam się, po co naprawdę zorganizował pani przyjazd do Paryża. – Milknie i pozwala, żeby chłodny lęk dotknął mojego mózgu. Przychodzi mi do głowy, że Jay zmanipulował mnie z powodów, które nie wiem, czy chcę rozważać. – Talley ma wiele twarzy – dodaje tajemniczo Berger. – Gdyby proces Jeana-Baptiste’a odbył się tutaj, obawiam się, że Talleyem raczej posłużyłby się obrońca, a nie oskarżyciel. Prawdopodobnie, żeby zdyskredytować panią jako świadka.

Fala gorąca podchodzi mi do szyi. Pali mnie twarz. Strach rozdziera mnie niczym szrapnel, niszcząc resztki nadziei, że coś takiego się nie zdarzy.

– Pozwoli pani, że o coś zapytam. – Moje oburzenie sięga szczytu. Z trudem panuję nad głosem. – Czy jest coś, czego pani nie wie o moim życiu?

– Jest tego całkiem sporo.

– Czemu mam wrażenie, że to ja zostanę postawiona w stan oskarżenia?

– Nie wiem. Dlaczego ma pani takie uczucie?

– Usiłuję nie podchodzić do tego wszystkiego osobiście. Ale z każdą chwilą jest mi trudniej.

Jaime Berger się nie uśmiecha. Stanowczość nadaje jej oczom kamienny wyraz i sprawia, że ton jej głosu twardnieje.

– To dopiero będzie bardzo osobiste. I gorąco zalecam, żeby pani tak tego nie odbierała. Pani wie najlepiej, jak to działa. Samo popełnienie zbrodni jest sprawą uboczną wobec totalnych następstw, jakie za sobą pociąga. Jean-Baptiste nie zadał pani ani jednego ciosu, kiedy wdarł się do pani domu. Dopiero teraz zaczyna pani szkodzić. Już pani zaszkodził. I zrobi to jeszcze. Chociaż jest w więzieniu, codziennie będzie zadawał pani ciosy. Zapoczątkował zabójczy, okrutny proces niszczenia Kay Scarpetty. Przykro mi. Takie jest życie, wie pani o tym aż nadto dobrze.

Odwzajemniam jej spojrzenie bez słowa. Zaszło mi w ustach. Mam wrażenie, że serce przestaje mi bić.

– To niesprawiedliwe, prawda? – mówi ostrym głosem oskarżyciela, który wie równie dobrze jak ja, jak się rozkłada istoty ludzkie na części. – Ale też jestem pewna, że pani pacjentom nie sprawiałby przyjemności fakt, że leżą nadzy na stole, pod pani nożem, że grzebie im się w kieszeniach i otworach ciała – gdyby o tym wiedzieli. Więc tak, jest piekielnie dużo tego, czego nie wiem o pani życiu. I nie będzie się pani podobało to, że w nim grzebię. Ale będzie pani ze mną współpracować, jeśli jest pani takim człowiekiem, jak mi mówiono. Ponieważ, do cholery, rozpaczliwie potrzebna mi jest pani pomoc, jeśli ta sprawa ma nie być monumentalnie spieprzona.

– Bo będzie pani próbowała wciągnąć w to także inne jego zbrodnie, prawda? – wyrzucam z siebie. – Zastosuje pani zasadę Mołineux?

Jaime Berger się waha. Jej oczy zatrzymują się na mnie i na chwilę się rozjaśniają, jak gdybym powiedziała coś, co napełniło ją radością, a może nowym szacunkiem. Potem, równie szybko, jej wzrok mnie odpycha.

– Nie jestem jeszcze pewna, co zrobię – mówi.

Nie wierzę jej. Jestem jedynym żyjącym świadkiem. Jedynym. Pani prokurator Berger ma szczyry zamiar wciągnąć mnie w to i wywlec na procesie wszystkie zbrodnie Chandonne'a. Wszystko będzie wspaniale pokazane w skromnym kontekście pewnej nieszczęsnej kobiety, którą zamordował dwa lata temu na Manhattanie. Chandonne jest przebiegły. Ale może na taśmie wideo popełnił fatalny błąd. Dał Jaime Berger do ręki broń umożliwiającą zastosowanie zasady Molineux – tożsamość i intelekt. Mogę zidentyfikować Chandonne'a. Wiem bardzo dobrze, jakie miał zamiary, kiedy wdarł się siłą do mojego domu. Jestem jedyną żyjącą osobą, mogącą obalić jego kłamstwa.

– Więc teraz pod młotek idzie moja wiarygodność. Niesmaczna gra słów jest zamierzona. Prokurator Berger zamierza się na mnie tak jak przedtem Chandonne, ale oczywiście z zupełnie innego powodu. Nie chce mnie zniszczyć. Pragnie mieć pewność, że nie zostanę zniszczona.

– Dlaczego przespała się pani z Jayem Talleyem? – pyta, znowu do tego powracając.

– Bo był pod ręką, do cholery – odparowuję.

Wybuch nagle śmiechem, głębokim i gardłowym, odchylając się w tył na krześle.

Nie chcę być zabawna. Jestem pełna niesmaku, jeżeli już o to chodzi.

– Tak brzmi banalna prawda, pani prokurator – dodaję.

– Proszę do mnie mówić Jaime. – Wzdycha.

– Nie zawsze zna się odpowiedź, nawet wtedy, kiedy się powinno. Na przykład dlaczego doszło do tej sytuacji z Jayem – ciągnę z rosnącym oburzeniem. – Wstyd mi, że to się wydarzyło. Jeszcze kilka minut temu czułam się winna i wyrzucałam sobie, że go wykorzystałam, zraniłam. Ale przynajmniej nie rozpowiadałam o tym.

Moja rozmówczyni nie ma na to odpowiedzi.

– Powinnam była wiedzieć, że to jeszcze smarkacz. Nie jest lepszy od tych nastolatków, którzy gapili się na moją siostrzenicę przedwczoraj w galerii handlowej. Chodzące hormony. Więc Jay się przechwalał, jestem pewna, że opowiadał o tym wszystkim, łącznie z panią. I pozwolę sobie dodać... – Przerwywam, aby przełknąć ślinę, gniew ściska mi gardło. – Pozwolę sobie dodać, że pewne szczegóły nie są i nigdy nie będą pani sprawą. Proszę panią jako o uprzejmość zawodową, żeby się pani nie wtrącała w to, co do pani nie należy.

– Gdyby jeszcze inni trzymali się tej zasady.

Patrzę znowu na zegarek, robię to celowo. Nie mogę jednak wyjść, dopóki nie zadam jej najważniejszego pytania.

– Czy pani wierzy, że on mnie zaatakował? – Prokurator Berger wie, że mam na myśli Cnandonne’a.

– A jest jakiś powód, dla którego nie miałabym wierzyć?

– Oczywiście moje zeznania jako naoczego świadka pokazują że wszystko, co on zeznał, jest bzdurą – ©opowiadam. – To nie byli oni. Nie było żadnych ich. Tylko ten przekłety skurwysyn, który udawał policjanta i napadł na mnie z młotkiem. Chciałabym wiedzieć, do cholery, jak zdoła to wytłumaczyć. Czy zapytała go pani, dlaczego w moim domu były dwa młotki? Mogę udowodnić, że kupiłam tylko jedną gradzinę, mam rachunek ze sklepu. – Ponownie podkreślam tę kwestię. – Więc skąd się wzięła druga?

– Proszę pozwolić, że zadam pani pytanie. – Ponownie unika odpowiedzi. – Czy jest możliwe, że pani tylko uznała, że chce panią zaatakować? Że zobaczyła go pani i wpadła w panikę? Jest pani pewna, że miał młotek i zamierzył się nim na panią? Patrzę na nią z niedowierzaniem.

– Uznałam, że mnie atakuje? A jak można wytłumaczyć jego obecność w moim domu?

– No cóż, otworzyła mu pani drzwi. Tyle już wiemy.

– Nie pyta pani, czy był zaproszonym gościem, prawda? – Patrzę na nią z wyzwaniem, w ustach czuję suchość. Drżą mi ręce. Jaime Berger nie odpowiada, więc odsuwam swoje krzesło. – Nie muszę tu siedzieć i wysłuchiwać tego. To już nawet nie jest śmieszne!

– Pani doktor, jakby się pani poczuła, gdyby publicznie zasugerowano, że pani rzeczywiście zaprosiła Chandonne’a do siebie do domu i napadła na niego? Bez powodu, może tylko dlatego, że wpadła pani w panikę? Albo gorzej, że bierze pani udział w spisku, tak jak oświadczył na przesłuchaniu,

że pani i Jay Talley jesteście w zмовie? Co także ułatwia wyjaśnienie, dlaczego pani pojechała do Paryża, przespała się z Talleyem, a potem odwiedziła doktor Stvan i zabrała dowody z kostnicy.

– Jakbym się poczuła? Nie wiem, co powiedzieć.

– Jest pani jedynym żyjącym świadkiem, jedyną żyjącą osobą, która wie, że to, co mówi Chandonne, jest kłamstwem i niczym poza tym. Jeżeli pani mówi prawdę, cała ta sprawa zależy wyłącznie od pani.

– Nie jestem świadkiem w sprawie, którą pani prowadzi – przypominam jej. – Nie miałam nic wspólnego z dochodzeniem w sprawie zabójstwa Susan Pless.

– Potrzebna mi pani pomoc. To będzie bardzo, bardzo czasochłonne.

– Nie pomogę pani. Nie, jeśli kwestionuje pani moją prawdomówność czy stan umysłu.

– Skoro o tym mowa, nie kwestionuję ani jednego, ani drugiego. Ale zrobi to obrona. Poważnie. Druzgocąco. – Jaime Berger powoli dochodzi do krawędzi rzeczywistości, którą musi ze mną dzielić. Adwokat przeciwnej strony. Przypuszczam, że ona już wie, kto nim będzie. Wie dokładnie, kto dokończy dzieła, jakie rozpoczął Chindonne: zniszczenia i upokorzenia mnie na oczach całego świata. Serce wali mi nierównym łomotem. Czuję się, jakbym już nie żyła. Moje życie właśnie się zakończyło na moich oczach.

– W jakiejś chwili będę chciała, żeby pani przyjechała do Nowego Jorku – mówi Berger. – Raczej wcześniej niż później. A swoją drogą chcę panią ostrzec, aby pani teraz bardzo, bardzo uważała, z kim pani rozmawia. Na przykład odradzam, żeby pani rozmawiała o tych zabójstwach z kimkolwiek bez uprzedniego porozumienia ze mną. – Zaczyna pakować swoje papiery i książki. – Ostrzegam panią przed jakimkolwiek kontaktem z Jayem Talleyem. – Zatrzaszkuje teczkę, nasze oczy na chwilę się

spotykają. – Myślę, niestety, że wszyscy dostaniemy na Gwiazdkę prezent, który nam się nie spodoba. – Podnosimy się z krzeseł i stajemy naprzeciwko siebie.

– Kto? – pytam zmęczonym głosem. – Wie pani, kto będzie bronił Chandonne’a, prawda? Dlatego spędziła z nim pani całą noc. Chciała pani do niego dotrzeć, zanim obrona zatrze drzwi.

– Wszystko prawda – odpowiada z odcieniem irytacji. – Pytanie tylko, czy nie zostałam w to wpuszczona. – Patrzymy na siebie ponad lśniąca powierzchnią drewnianego stołu. – Wydaje mi się to zbyt dużym zbiegiem okoliczności, że w ciągu godziny od mojego ostatniego przesłuchania Chandonne’a dowiedziałam się, iż zapewnił już sobie adwokata – dodaje. – Podejrzewam, że wiedział, kto go będzie bronił, mógł go wynająć już wcześniej. Chandonne i ten łajdak, z którym się skumał, są skłonni wierzyć, że ta kasetka – Berger klepie teczkę – nam tylko zaszkodzi, a jemu pomoże.

– Bo przysięgli albo mu uwierzą, albo uznają, że cierpi na paranoję i jest wariatem.

Moja rozmówczyni potakuje.

– Och, z pewnością. Jeśli wszystko inne zawiedzie, postawią na obłąd. A nie chcemy, żeby pan Chandonne wylądował w Kirby, nieprawdaż?

Kirby to osławiony sądowy szpital psychiatryczny w Nowym Jorku. To tam umieszczono Carrie Grethen, która po pewnym czasie uciekła i zamordowała Bentona. Jaime Berger dotknęła kolejnej części mojej bolesnej historii.

– Więc pani wie o Carrie Grethen – mówię tonem porażki. Wychodzimy z sali konferencyjnej, która już nigdy nie będzie dla mnie taka jak przedtem. Ona także stała się miejscem zbrodni. Cały świat zmienia się w miejsce zbrodni.

– Zebrałam trochę materiałów na pani temat – oświadcza Jaime Berger niemal przeproszającym tonem. – Ma pani rację, wiem, kto będzie reprezentował Chandonne’a, i jest to niedobra wiadomość. Prawdę mówiąc, nawet fatalna. – Wkłada swoje futro z norek i wychodzimy do holu. – Czy pamięta pani syna kapitana Marino?

Zatrzymuję się i patrzę na nią oszołomiona.

– Nie znam nikogo, kto by znał jego syna – odpowiadam.

– Chodźmy, przecież śpieszy się pani na przyjęcie. Możemy rozmawiać w drodze do wyjścia. – Idzie powoli po chodniku tłumiącym odgłos kroków. W ramionach trzyma książki i papiery. – Rocco Marino, nazywany czule Rocky, jest wyjątkowo szemranym obrońcą w sprawach kryminalnych. Bardzo chętnie reprezentuje gangsterów i innych łotrów, którzy sprawiają, że opłaca mu się wyciągać ich z pudła, wszystko jedno jak. Jest napastliwy, lubi się popisywać i kocha rozgłos. – Rzuca mi znaczące spojrzenie. – A nade wszystko lubi szkodzić innym. To mu daje poczucie władzy.

Gaszę światła w holu i na chwilę ogarnia nas ciemność. Podchodzimy do pierwszych drzwi z nierdzewnej stali.

– Słyszałam, że kilka lat temu, na studiach prawniczych, Rocky zmienił nazwisko na „Caggiano” – ciągnie Berger. – To chyba ostateczne odrzucenie ojca, którym gardzi.

Waham się, stojąc przed nią w głębokim półmroku. Nie chcę, żeby zobaczyła wyraz mojej twarzy, dostrzegła moje poczucie całkowitej klęski. Zawsze wiedziałam, że Marino nienawidzi syna i miałam rozmaite teorie, dlaczego. Może Rocky jest gejem albo narkomanem, albo po prostu nieudacznikiem. Od dawna było jasne, że Rocky jest dla swego ojca czymś w rodzaju przekleństwa i teraz wiem, czemu. Uderza mnie gorzka ironia, hańba tego wszystkiego. Mój Boże.

– Rocky, tak zwany Caggiano, usłyszał o tej sprawie i sam się zgłosił? – pytam.

– Może być. Możliwe także, że kontakty, jakie rodzina Chandonne'ów utrzymuje z organizacjami przestępczymi, doprowadziły Rocky'ego do Jeana-Baptiste'a, albo, cholera, może Rocky już jest z nimi związany. To może być połączenie powiązań osobistych i jego kontaktów niejako zawodowych. Ale ma to być walka syna z ojcem na arenie Koloseum. Ojcobójstwo na oczach całego świata, choć w sposób pośredni. Marino niekoniecznie będzie zeznawał podczas procesu Chandonne'a w Nowym Jorku, lecz mogłoby się tak zdarzyć, w zależności od tego, jak sprawy się rozwiną.

Wiem, jak się rozwiną. Wszystko to jest dla mnie takie jasne. Jaime Berger przyjechała do Richmondu z zamiarem włączenia naszych przypadków do swojej sprawy nowojorskiej. Nie byłabym zdziwiona, gdyby w jakiś sposób zdołała do niej włączyć także wydarzenia paryskie.

– Ale bez względu na wszystko – mówi – Chandonne zawsze będzie postrzegany jako sprawa Marina. Takich policjantów jak on obchodzi to, co się stanie. A fakt, że Rocky broni Chandonne'a, stawia mnie w niekorzystnej sytuacji. Gdyby proces odbywał się w Richmondzie, pomaszerowałabym do sędziego i zwróciła uwagę na oczywistą sprzeczność interesów. Prawdopodobnie wyrzuciłby mnie za drzwi i udzielił reprimendy. Ale przynajmniej mogłabym sprawić, żeby zażądano dodatkowej osoby w zespole obrońców oskarżonego, tak aby syn nie mógł przesłuchiwać ojca.

Naciskam guzik i otwierają się kolejne stalowe drzwi.

– Wywołałabym burzę protestów – ciągnie Jaime Berger. – I może sąd orzekłby na moją korzyść, a jeżeli nie, wykorzystałabym sytuację, żeby

zyskać sympatię przysięgłych, pokazać podłość Chandonne'a i jego obrońcy.

– Bez względu na to, jak potoczy się pani sprawa w Nowym Jorku, Marino nie będzie świadkiem. – Widzę, dokąd ona zmierza. – Nie w sprawie zabójstwa Susan Pless. Więc nie będzie pani miała szczęścia pozbyć się Rocky'ego.

– No więc właśnie. Nie ma konfliktu. Nie mogę nic z tym zrobić. A Rocky to zaraza.

Kontynuujemy rozmowę na podjeździe, stojąc na mrozie obok swoich samochodów. Surowość nagiego betonu dokoła nas jest jak symbol rzeczywistości, w jakiej się znalazłam. Życie stało się surowe i bezlitosne. Nie widać wyjścia. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak się poczuje Marino, kiedy się dowie, że obrońcą potwora, którego pomógł zatrzymać, będzie jego własny syn.

– Marino najwyraźniej nie wie – stwierdzam.

– Może źle zrobiłam, że mu jeszcze nie powiedziałam – odpowiada Jaime Berger. – Ale już i tak jest wystarczająco nieznośny. Myślałam, że zaczekam i rzucę tę bombę jutro albo pojutrze. Zauważyła pani, że nie był zadowolony z tego, jak przesłuchiwałam Chandonne'a – dodaje z błyskiem tryumfu.

– Zauważyłam.

– Wiele lat temu prowadziłam z Rockym pewną sprawę. – Otwiera drzwiczki mercedesa i pochyla się, żeby zapalić silnik i włączyć ogrzewanie. – Pewien zamożny biznesmen, przebywający w interesach w Nowym Jorku, zostaje napadnięty przez chłopaka z nożem. – Prostuje się i staje twarzą do mnie. – Facet się broni, udaje mu się powalić napastnika i walnąć jego głową o ziemię. Chłopak traci przytomność, zdążywszy jednak przedtem jeszcze uderzyć ofiarę nożem w pierś. Facet umiera.

Zabójca idzie na jakiś czas do szpitala, ale wraca do zdrowia. Rocky usiłował zinterpretować całą sprawę jako obronę własną, na szczęście przysięgli nie dali się na to nabrać.

– Zapewne od tamtej pory pan Caggiano jest pani wielbicielem do końca życia.

– Nie mogłam jednak zapobiec temu, że występował w imieniu tamtego chłopaka w sprawie cywilnej, żądając dziesięciu milionów odszkodowania za rzekome straty moralne, tere-fere. Rodzina zamordowanego w końcu poszła na ugodę. Dlaczego? Bo już mieli dosyć. Po cichu działo się dużo różnych paskudnych rzeczy – zastraszania, dziwne wypadki. Mieli włamanie. Ukradzono im jeden z samochodów. Otruto szczeniaka teriera. Ciągłe coś się działo i jestem przekonana, że wszystkim tym kierował Rocky Marino Caggiano. Tylko nigdy nie zdołałam niczego udowodnić. – Wsiada do swego sportowego mercedesa. – Jego sposób działania jest dosyć prosty. Stara się, żeby możliwie jak najwięcej uszło mu na sucho i stawia przed sądem wszystkich z wyjątkiem oskarżonego. Nie umie także przegrywać.

Pamiętam, jak Marino powiedział mi kilka lat temu, że chciałby, aby Rocky umarł.

– Czy w takim razie mogłoby to być częściowo jego motywacją? – pytam. – Zemsta. Nie tylko pogrążyć ojca, ale również panią. I zrobić to publicznie.

– Owszem – potwierdza Jaime Berger z siedzenia samochodu. – Bez względu na jego motywy, chcę, aby pani wiedziała, że mam zamiar protestować. Nie mogę pani powiedzieć, na ile to się zda, bo nie ma tu naprawdę kwestii naruszenia etyki. Wszystko zależy od sędziego. – Sięga po pas i przeciąga go przez klatkę piersiową. – Jak pani spędza Wigilię, Kay?

Więc teraz jestem Kay. Muszę się przez chwilę zastanowić. Wigilia jest już jutro.

– Muszę się zająć tymi przypadkami poparzeń. Berger potakuje.

– Ważne jest, żebyśmy obejrzały miejsca zbrodni Chandonne’a, póki jeszcze istnieją.

Włączając w to mój dom, myślę.

– Znalazłaby pani, trochę czasu jutro po południu? – pyta. – Tyle, ile może mi pani poświęcić. Pracuję przez całe święta. Ale nie chcę zepsuć świąt pani.

Muszę się uśmiechnąć na tę ironię. Święta. Tak, wesołych świąt. Dała mi prezent, nawet o tym nie wiedząc. Pomogła podjąć ważną decyzję, może nawet najważniejszą w życiu. Zrezygnuję ze stanowiska, a gubernator dowie się o tym pierwszy.

– Zadzwońię do pani, jak skończę swoje sprawy – obiecuję. – Spróbujmy się umówić na drugą.

– Przyjadę po panią – odpowiada.

Rozdział 17

Jest prawie dziesiąta, kiedy skręcam z Dziewiątej na Capitol Square, mijam oświetlony pomnik Jerzego Waszyngtona na koniu i jadę wzdłuż południowego portyku budynku, który zaprojektował Thomas Jefferson, gdzie za grubymi białymi kolumnami wznosi się dziesięciometrowa choinka ozdobiona światełkami i szklanymi bombkami. Przypominam sobie, że gubernator zapraszał na krótkie przyjęcie, a nie na kolację i z ulgą widzę, że goście już się rozeszli. Na parkingu nie widzę ani jednego samochodu.

Rezydencję zbudowano na początku XIX wieku z bladożółtego stiuku z białymi wykończeniami i kolumnami. Według legendy ocalała ją brygada strażaków z wiadrami, kiedy pod koniec wojny secesyjnej mieszkańcy Richmondu spalili własne miasto. Zgodnie z miejscową tradycją we wszystkich oknach palą się świece i wiszą wieńce, a czarną żelazną bramę oplatają girlandy z jedliny. Opuszczam szybę, kiedy policjant z budki podchodzi do samochodu.

– Czy mogę w czymś pomóc? – pyta podejrzliwie.

– Przyjechałam zobaczyć się z gubernatorem Mitchellem. – Byłam wiele razy w tym domu, ale nie o takiej porze i nie przyjeżdżałam wielkim

lincolnem. – Jestem doktor Scarpetta. Trochę się spóźniłam. Jeśli jest za późno, trudno, proszę go przeprosić w moim imieniu.

Twarz policjanta rozjaśnia się nagle.

– Nie poznałem pani w tym samochodzie. Nie ma już pani mercedesa? Proszę chwilę poczekać.

Wchodzi do swojej budki i podnosi słuchawkę, a ja z mieszanymi uczuciami patrzę przez okno na Capitol Square, a potem robi mi się smutno. Utraciłam to miasto. Już tu nie wrócę. Mogę winić o to Chandonne'a, ale jeśli mam być uczciwa wobec samej siebie, sprawa polega nie tylko na tym. Nadszedł czas, żeby zacząć robić coś trudniejszego. Nie zniknę. Lucy natchnęła mnie odwagą, a może sprawiła, że widzę siebie taką, jaką się stałam: obwarowaną przepisami, statyczną, zinstytucjonalizowaną. Od ponad dziesięciu lat jestem głównym koronerem Wirginii. Zbliżam się do pięćdziesiątki. Nie lubię swojej jedynej siostry. Moja matka jest marudna, a stan jej zdrowia pozostawia wiele do życzenia. Lucy wyprowadza się do Nowego Jorku. Benton nie żyje. Jestem sama.

– Wesołych świąt, pani doktor. – Policjant nachyla się do mojego okna i zniża głos. Przy mundurze ma mosiężny identyfikator z nazwiskiem „Renquist”. – Chciałem tylko pani powiedzieć, że jest mi przykro z powodu tego, co się stało, ale cieszę się, że dopadła pani sukinsyna. Naprawdę miała pani refleks.

– Dziękuję.

– Już mnie tu pani nie zobaczy po Nowym Roku – ciągnie. – Przenoszą mnie do śledczego, me będę chodził w mundurze.

– Mam nadzieję, że jest pan zadowolony.

– Och tak, proszę pani.

– Będzie nam pana brakowało.

– Może się spotkamy przy jakimś śledztwie.

Mam nadzieję, że nie. Jeśli mnie spotka przy jakimś śledztwie, będzie to oznaczało, że znowu ktoś nie żyje. Renquist macha mi energicznie i kieruje się w stronę bramy.

– Nie może pani zaparkować przed samym domem.

Zmiana. Tak, wszędzie zmiany. Nagle otaczają mnie ze wszystkich stron. Za rok i miesiąc gubernator Mitchell także odejdzie, co również jest niepokojące. Gubernatorzy Wirginii piastują swoje stanowisko tylko przez jedną kadencję i co cztery lata świat się przewraca do góry nogami. Przenosi się, zatrudnia i zwalnia setki urzędników. Zmienia numery telefonów Programuje na nowo komputery. Zakresy obowiązków już nie obowiązują, nawet jeśli pozostają te same stanowiska. Akta znikają albo się je niszczy. Jadłospisy rezydencji się przerabia albo wrzuca do niszczarki. Jedynym stałym elementem jest obsługa gmachu. Ci sami więźniowie pracują w ogrodzie i wykonują drobne prace na zewnątrz, te same osoby gotują i sprzątają, a jeśli obejmie je rotacja, to przynajmniej nie ma nic wspólnego z polityką. Na przykład Aaron jest tu lokajem, od kiedy mieszkam w Wirginii. Szczupły, wysoki, przystojny Afroamerykanin, wygląda bardzo wytwornie w długim, nieskazitelnie białym surducie i czarnej muszce.

– Aaron, jak się pan miewa? – pytam, wchodząc do holu wejściowego, z którego bije oślepiające światło, podawane przez kryształowe żyrandole jeden drugiemu przez całą długość sklepionego korytarza, aż na tyły domu. Pomiędzy dwiema salami balowymi stoi choinka ubrana w czerwone bombki i białe światełka. Ostatnio odrestaurowano ściany, przywracając gipsowym fryzom ich pierwotną szarość i biel; wyglądają jak porcelana Wedgwooda. Aaron odbiera ode mnie płaszcz. Mówi, że ma się dobrze i cieszy się, że mnie widzi. Używa przy tym niewielu słów, bo opanował sztukę bycia uprzejmym bez rozgadywania się.

Tuż za holem, po obu stronach znajdują się dwa dość sztywne salony z grubymi dywanami i okazałymi antykami. Tapeta w salonie dla panów jest ozdobiona pasem z motywem walk zapaśniczych w stylu klasycznym. W salonie dla pań występuje motyw kwiatowy. Lokalizacja tych pomieszczeń jest prosta. Pozwalają gubernatorowi przyjmować gości bez wpuszczania ich do domu. Interessantom udziela się audiencji przy wejściu; nie pozostają długo. Aaron prowadzi mnie obok tych bezosobowych historycznych wnętrz, a potem na górę schodami wyłożonymi dywanem we wzór federacji - czarne gwiazdy na tle głębokiej czerwieni – wiodącymi do prywatnych apartamentów rodziny Mitchellów. Wchodzę do salonu z parkietem z jodły, gdzie pośród foteli i kanap czeka na mnie Edith Mitchell, ubrana w garnitur z lejącego się czerwonego jedwabiu. Ścisła mnie i czuję lekki, egzotyczny zapach.

– Kiedy zagramy znowu w tenisa? – pyta krótko, wskazując na mój gips.

– To bardzo bezlitosny sport, jeśli nie ćwiczyło się od roku, ma się złamaną rękę i znowu się walczy z papierosami – odpowiadam.

Edith pojmuje aluzję do minionego roku. Ludzie, którzy mnie znają, wiedzą, że po śmierci Bentona zatraciłam się w wirze szaleńczej, nieustannej pracy. Przestałam widywać przyjaciół. Nigdzie nie chodziłam ani nie zapraszałam nikogo do siebie. Rzadko ćwiczyłam. Zajmowałam się tylko moimi przypadkami. Nie dostrzegałam nic z tego, co działo się wokół. Nie słyszałam, co do mnie mówią. Nie czułam. Jedzenie nie miało smaku. Ledwie zauważałam, jaka jest pogoda. Używając słów Anny, cierpiałam na deprivację sensoryczną. Jakimś cudem przez cały ten czas nie popełniałam błędów w sprawach, które prowadziłam. Może stałam się bardziej skłonna do obsesji. Ale moja psychiczna nieobecność okazała się szkodliwa dla biura. Nie byłam dobrą administratorką i to zaczęło być widoczne. Z pewnością zaś okazałam się fatalną przyjaciółką.

- Jak się masz? – pyta z troską Edith.
- Mniej więcej tak dobrze, jak można się spodziewać.
- Usiądź, proszę. Mikę kończy rozmawiać przez telefon. Chyba nie dość się nagadał z ludźmi podczas przyjęcia. – Uśmiecha się i wznosi oczy do góry, jakby mówiła o niesfornym chłopcu.

Edith nigdy naprawdę nie weszła w rolę pierwszej damy, nie w sposób tradycyjnie uznawany w Wirginii i choć może miała słabsze momenty, zdobyła szacunek jako kobieta silna i nowoczesna. Jest historykiem i archeologiem – nie zrezygnowała z pracy zawodowej, kiedy jej mąż objął urząd – i unika oficjalnych imprez, które uważa za niepoważne albo za stratę czasu. Jest jednak oddaną towarzyszką życia swego Mike’a i wychowała troje dzieci, dziś już dorosłych albo na studiach. Ma pod pięćdziesiątkę; ciemne włosy jednakowej długości, do kołnierzyka, zaczesuje do tyłu. Jej oczy są niemal bursztynowe, pełno w nich myśli i pytań. Jest czymś zaprzątnięta.

– Miałam zamiar wziąć cię na bok podczas przyjęcia. Kay, cieszę się, że zadzwoniłaś. Dziękuję, że wpadłaś. Wiesz, że to nie w moim stylu wtrącać się w sprawy, które prowadzisz, ale jestem naprawdę poruszona tym, co właśnie przeczytałam w gazecie. Ów człowiek znaleziony w tym okropnym motelu koło Jamestown. Mikę i ja jesteśmy bardzo przejęci, oczywiście z powodu związku z Jamestown.

– Nic nie wiem o żadnym związku z Jamestown. – Jestem zaskoczona i moją pierwszą myślą jest, że nadeszły jakieś informacje i ona coś wie, a ja nie. – Nie ma żadnego związku z wykopaliskami archeologicznymi. Nic o tym nie wiem.

– Kwestia odbioru – mówi Edith po prostu. – Choćby tylko. Jamestown jest pasją Edith Mitchell. Jej zawód zaprowadził ją tam przed laty a potem, przy swej obecnej pozycji politycznej, stała się mecenasem tego miejsca.

Odkopła resztki filarów i ludzkie kości i niezmordowanie zabiegała o zainteresowanie potencjalnych sponsorów i mediów.

– Przejeżdżam koło tego motelu niemal za każdym razem, kiedy tam jadę, bo z centrum bliżej jest jechać Piątą niż Sześćdziesiątą Czwartą. – Krzywi się z odrazą. – Prawdziwa nora. Nie mogę powiedzieć, że zdziwiłoby mnie, gdyby stało się tam coś złego. Sprawia wrażenie miejsca, gdzie zatrzymują się handlarze narkotyków i prostytutki. Byłaś tam?

– Jeszcze nie.

– Napijesz się czegoś, Kay? Mam bardzo dobrą whisky, którą przemyciłam w zeszłym miesiącu z Irlandii. Wiem, że lubisz irlandzką whisky.

– Ale tylko jeśli i ty się napijesz.

Edith podnosi słuchawkę i prosi Aarona, żeby przyniósł butelkę Black Bush i trzy szklaneczki.

– Co słyhać w Jamestown? – pytam. Powietrze w salonie jest przesiąknięte dymem z cygar, co budzi mój pełen frustracji głód papierosów. – Byłam tam ostatni raz ze trzy czy cztery lata temu.

– Kiedy znaleźliśmy JR – przypomina sobie Edith. – Tak.

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym, jak mi się wydaje. No to musisz przyjechać i zobaczyć, co robimy. To zdumiewające, jak zmienił się wygląd fortu, no i eksponaty, setki tysięcy, jak pewnie słyszałaś. Robiliśmy badania izotopowe niektórych kości, co cię chyba powinno zainteresować, Kay. JR jest nadal największą zagadką, na jaką natrafiliśmy. Jego profil izotopowy zupełnie nie pasował do diety składającej się z kukurydzy czy pszenicy, więc nie wiemy, jak to tłumaczyć, chyba że może nie był Anglikiem. Wysłaliśmy jego ząb do laboratorium w Anglii, żeby zbadano DNA.

JR znaczy Jamestown Rediscovery – Ponowne Odkrycie Jamestown. Te dwie litery poprzedzają kod, jakim oznacza się każde odkrycie na miejscu wykopalisk, ale w tym wypadku Edith mówi o znalezisku numer 102, pochodzącym z trzeciej warstwy, oznaczonej jako C. JR102C to grób. Stał się najślawniejszym grobem wykopalisk, bo uważa się, że znaleziony w nim szkielet należy do młodego mężczyzny, który przybył do Jamestown z Johnem Smithem w maju 1607 i został zastrzelony jesienią tego samego roku. Edith i główny archeolog wezwali mnie na miejsce od razu, kiedy po otwarciu umazanej gliną zbutwiałej trumny przeszło im przez myśl, że mają do czynienia ze zmarłym gwałtowną śmiercią. Oczyszcziliśmy z ziemi kulę z muszkietu, która strzaskała kość piszczelową i obróciła ją o sto osiemdziesiąt stopni, kierując stopę palcami do tyłu. Strzał naruszył albo całkowicie przerwał tętnicę podkolanową i JR, jak go czule nazywamy, szybko wykrwawił się na śmierć.

Oczywiście to, co natychmiast nazwano pierwszym morderstwem w Ameryce, wzbudziło żywe zainteresowanie; przy czym nie możemy stwierdzić z całą pewnością, że istotnie chodzi o morderstwo ani że jest ono istotnie pierwsze – Nowy Świat nie był jeszcze wtedy Ameryką. Na podstawie badań sądowych dowiedliśmy, że JR postrzelono pociskiem bojowym wystrzelonym z europejskiej broni, tak zwanego muszkietu z zamkiem kołowym, a na podstawie rozprysku ustaliliśmy, że strzał został oddany z odległości około pięciu metrów. Nie jest możliwe, żeby ten człowiek postrzelił się sam przypadkowo. Można by wydedukować, że winien był kolega-osadnik, co prowadzi do mało przesadzonego, smutnego stwierdzenia, że karma mieszkańców Ameryki polega na zabijaniu się nawzajem.

– Na zimę przenieśliśmy wszystko pod dach. – Edith zsuwa żakiet i układa go na oparciu sofy. – Katalogujemy i spisujemy eksponaty, robimy

wszystko to, na co nie ma czasu, kiedy pracujemy w terenie. I oczywiście zbieramy fundusze. To okropna strona życia; ostatnio coraz częściej spada na mnie. I tu dochodzę do sedna sprawy. Miałam dosyć niepokojący telefon od jednego z polityków, który dowiedział się z prasy o zabójstwie w motelu. Bardzo go wzburzyło, a to niedobrze, bo właśnie doprowadzi do tego, czego, jak mówi, chciałby uniknąć – zwróci uwagę na tę sprawę.

– A co go tak wzburzyło? – Marszczę brwi. – W gazecie była bardzo krótka wzmianka Edith sztywnieje. Nieważne, kim jest ów polityk, to oczywiste, że go nie lubi.

– Pochodzi z Jamestown – mówi oględnie. – Zdaje się, że uważa, iż to mogła być zbrodnia na tle nienawiści i że ofiara była gejem.

Słysząc cichy odgłos kroków na wyłożonych dywanem schodach i pojawia się Aaron, niosąc na tacy butelkę i trzy szklanki ozdobione herbem Wirginii.

– Nie muszę mówić, że taka sprawa mogłaby poważnie zaszkodzić naszej pracy. – Edith dobiera starannie słowa, a Aaron nalewa whisky do szklanek. Otwierają się drzwi i owiany chmurą dymu z cygar gubernator wychodzi ze swojego gabinetu. Zdjął już smoking i muszkę.

– Kay, przepraszam, że musiałaś czekać – mówi, obejmując mnie. – Pożary lasów. Może Edith już ci o tym wspomniała.

– Właśnie miała zamiar – odpowiadam.

Rozdział 18

Gubernator Mitchell jest wyraźnie poruszony. Jego żona wstaje, żeby zostawić nas samych. Wymienia z nim szybko kilka zdań na temat konieczności zatelefonowania do jednej z córek, po czym mówi mi dobranoc i wychodzi. Gubernator zapala kolejne cygaro. Jest przystojnym mężczyzną o surowym wyglądzie, wysportowanej sylwetce byłego futbolisty i włosach białych jak piasek na Karaibach.

– Miałem zamiar złapać cię jutro, ale nie wiedziałem, czy nie wyjeżdżasz na święta – zaczyna. – Dziękuję, że przyszłaś.

Każdy kolejny łyk whisky rozgrzewa mi gardło. Wymieniamy uprzejme uwagi na temat planów świątecznych i tego, co się dzieje w Wirginijskim Instytucie Medycyny Sądowej. Cały czas myślę o detektywie Stanfieldzie. Dureń. Oczywiście ujawnił poufne informacje odnoszące się do sprawy, którą prowadzi – i to w dodatku swojemu cholernemu szwagrowi, kongresmanowi Dinwiddiemu. Gubernator jest bystrym człowiekiem i co ważniejsze, zaczynał karierę jako prokurator. Wie, że jestem wściekła i dlaczego.

– Dinwiddie ma skłonność do wkładania kija w mrowisko. – Mitchell potwierdza, kim jest osoba, przysparzająca nam kłopotów. Dinwiddie jest wojującym nudziarzem, który nigdy nie pozwala światu zapomnieć, że jego

ród wywodzi się, choć w niezupełnie prostej linii, od wodza Powhatana, ojca Pocahontas.

– Detektyw zrobił źle, wyjawiając mu cokolwiek – odpowiadam. – A Dinwiddie zrobił źle, mówiąc tobie czy komukolwiek innemu. To sprawa kryminalna. Tu nie chodzi o czterechsetlecie Jamestown ani o turystów czy politykę. Chodzi o człowieka, którego najprawdopodobniej torturowano, a potem pozwolono, żeby się spalił w pokoju w motelu.

– To nie ulega kwestii – potakuje Mitchell. – Ale są pewne fakty, które musimy wziąć pod uwagę. Zbrodnia na tle nienawiści, w jakiś sposób związana z Jamestown, byłaby katastrofą.

– Nie wiem o żadnym związku z Jamestown, poza faktem, że ofiara zatrzymała się w okolicy Jamestown w motelu, który miał specjalną ofertę. – Zaczyna mnie ogarniać złość.

– Przy całej reklamie, jaką ostatnio zrobiono Jamestown, już ta jedna informacja wystarczy, żeby media nastawiły uszu. – Obraca cygaro w palcach i wolno podnosi je do ust. – Zakładamy, że obchody w dwa tysiące siódmym roku mogą przynieść stanowi dochód wysokości miliarda dolarów. To nasze Targi Światowe, Kay. W przyszłym roku Jamestown zostanie upamiętnione na monecie, na ćwierćdolarówce. Tłumy reporterów walą na miejsce wykopalisk.

Wstaje, żeby poprawić ogień na kominku, a ja cofam się w myślach do czasów, kiedy nosił wymięte garnitury i miał wygląd człowieka udręczonego; do zagraconego, zawałonego książkami i aktami gabinetu w budynku Sądu Okręgowego. Prowadziliśmy razem wiele spraw, niektóre z nich to najboleśniejse punkty w moim życiu zawodowym – te przypadkowe, okrutne zbrodnie, których ofiary nadal prześladują moją pamięć: roznosicielka gazet, uprowadzona ze swej trasy, zgwałcona i pozostawiona na powolną śmierć; stara kobieta, zastrzelona dla zabawy,

kiedy wieszała pranie; osoby zgładzone przez braci Brileyów. Mitchell i ja dręczyliśmy się z powodu licznych aktów przemocy i brakowało mi go, kiedy odszedł na wyższe stanowisko. Sukces rozdziela przyjaciół. Polityka jest szczególnie zabójcza dla przyjacielskich relacji, bo w samej jej naturze leży konieczność ponownego stworzenia samego siebie. Miejsce Mike'a Mitchella, którego znałam, zajął mąż stanu, umiejący przepuszczać swe gorące przekonania przez bezpieczne i starannie skalkulowane filtry autocenzury. Ma plan. Również dla mnie.

– Nie lubię, podobnie jak ty, kiedy media szerzą panikę – mówię mu.

Mitchell odwiesza pogrzebacz na mosiężny stojak i stoi, paląc, odwrócony tyłem do kominka, z twarzą zaczerwienioną od gorąca. Drewno syczy i strzela.

– Co możemy z tym zrobić, Kay?

– Powiedzieć Dinwiddiemu, żeby trzymał gębę na kłódkę.

– Panu D. od wielkich nagłówków? – Uśmiecha się kwaśno. – Który tyle napyskował, że niektórzy są przekonani, iż Jamestown było miejscem pierwszej zbrodni na tle nienawiści i nietolerancji wobec Rdzennych Amerykanów?

– No cóż, uważam, że zabijanie, skalpowanie i głodzenie ludzi na śmierć to także przejawy nienawiści. Wygląda na to, że zawsze jej było dużo, od początku świata. To nie ja używam terminu „zbrodni na tle nienawiści”, panie gubernatorze. Nie ma tego terminu w żadnym formularzu, który wypełniam, ani w żadnej rubryce na akcie zgonu. Dobrze wiemy, że takie etykiety przekleją prokurator i śledczy, a nie koroner.

– A jakie jest twoje zdanie?

Opowiadam mu o drugich zwłokach znalezionych w Richmondzie dzisiaj, późnym popołudniem. Obawiam się, że te zabójstwa są ze sobą powiązane.

– Na jakiej podstawie? – Cygaro dopala się w popielniczce. Gubernator pociera twarz i masuje sobie skronie, jakby go bolała głowa.

– Więzy – odpowiadam. – Oparzenia.

– Oparzenia? Przecież to ten pierwszy zginął w pożarze. Dlaczego drugi ma oparzenia?

– Podejrzewam, że go torturowano.

– Był gejem?

– Nie ma na to żadnych dowodów u drugiej ofiary. Choć nie można tego wykluczyć.

– Czy wiemy, kim był i czy to ktoś miejscowy?

– Na razie nie. Żadna z ofiar nie miała przy sobie rzeczy osobistych.

– To by sugerowało, że ktoś nie chce, aby zostały zidentyfikowane. Albo mamy do czynienia z rabunkiem. Albo z jednym i drugim.

– Możliwe.

– Powiedz mi więcej o tych oparzeniach – prosi gubernator. Opisuję je. Wspominam o sprawie, którą Jaime Berger prowadziła w Nowym Jorku i zaniepokojenie Mitchella staje się bardziej wyczuwalne. Na jego twarzy pojawia się gniew.

– Takie spekulacje muszą pozostać w tych czterech ścianach – oświadcza. – Ostatnie, czego nam trzeba, to kolejne powiązanie z Nowym Jorkiem. Chryste Panie!

– Nie ma dowodów, że istnieje jakieś powiązanie, chyba że ktoś po prostu wpadł na ten sam pomysł, usłyszawszy wiadomość. Nie mogę z całą pewnością stwierdzić, że w naszych przypadkach użyto palnika.

– Czy nie wydaje ci się cokolwiek dziwne, że morderstwa Chandonne’a mają powiązania nowojorskie? Więc tam zostaje przeniesiony proces. A teraz nagle znowu mamy tutaj dwa morderstwa, które są podobne do jeszcze jednego w Nowym Jorku!

– Tak, to dziwne. Bardzo dziwne. Panie gubernatorze, wszystko, co mogę powiedzieć z całą pewnością, to tyle, że nie mam zamiaru ze sprawozdań z autopsji zrobić głównego narzędzia napędzającego czyjekolwiek ambicje polityczne. Jak zawsze będę trzymać się faktów i unikać spekulacji. Proponuję, żebyśmy myśleli o nich raczej w kategoriach posługiwania się tym, co mamy, niż zatuszowania faktów.

– Psiakrew. Zrobi się piekło – mruczy zza chmury dymu.

– Mam nadzieję, że nie.

– A twoja sprawa? Francuski Wilkołak, jak go niektórzy nazywają? – pyta wreszcie Mitchell. – Jak się to wszystko odbije na tobie? Hm?

– Siada i patrzy na mnie poważnie.

Popijam whisky i zastanawiam się, jak mu powiedzieć. Nie ma naprawdę dobrego sposobu.

– Jak się to odbije na mnie? – Uśmiecham się smutno.

– To musi być okropne. Cieszę się, że przyskrzynyłaś tego sukinsyna. W oczach Mitchella błyszczą łzy, szybko odwraca wzrok. Znów jest prokuratorem. Dobrze się ze sobą czujemy. Jesteśmy starymi kolegami, starymi przyjaciółmi. Czuję się wzruszona, bardzo wzruszona, a jednocześnie przygnębiona. Przeszłość pozostaje przeszłością. Mitchell jest gubernatorem, prawdopodobnie potem wyląduje w Waszyngtonie. Ja jestem głównym koronerem Wirginii, a on jest moim przełożonym. Zaraz mu powiem, że muszę ustąpić ze stanowiska.

– Nie uważam, że w moim własnym interesie i w najlepiej pojmowanym interesie stanu jest to, abym pozostała na obecnym stanowisku.

– Mówię to wreszcie.

Mitchell wpatruje się we mnie w milczeniu.

– Oczywiście złożę dymisję formalnie, na piśmie. Ale podjęłam już decyzję. Odchodzę od pierwszego stycznia. Naturalnie zostanę, jak długo

będę potrzebna, dopóki nie znajdziesz następcy. – Zastanawiam się, czy się tego spodziewała. Może odczuwa ulgę. Może jest zły.

– Nie należysz do tych, co odchodzą, Kay – mówi. – Nigdy nie należałaś. Nie pozwól się przepędzić jakimś dupkiem, do licha.

– Nie porzucam zawodu. Zmieniam tylko zakres. Nikt mnie nie wypędza.

– Ach tak, zakres – zauważa gubernator, opierając się o poduszki sofy, i patrzy na mnie uważnie. – To brzmi, jakbyś miała zostać najemnikiem – Proszę cię. – Oboje czujemy tę samą pogardę wobec ekspertów, dla których sprawą decydującą przy wyborze strony, jaką mają reprezentować, są pieniądze, a nie sprawiedliwość.

– Wiesz, co mam na myśli. – Ponownie zapala cygaro i patrzy w przestrzeń. Już układa nowy plan. Widzę, jak pracuje jego umysł.

– Zamierzam pracować jako osoba prywatna, ale nigdy nie będę najemnikiem. Prawdę mówiąc, Mike, na tym, co muszę zrobić w pierwszym rzędzie, nie zarobię ani grosza. Ta nowojorska sprawa. Muszę im pomóc, a to mi zajmie masę czasu.

– Dobrze. Zatem rzecz jest prosta. Będiesz pracować na prywatne zlecenia, Kay, a nasz stan jest twoim pierwszym klientem. Zatrudnimy cię jako pełniącą obowiązki głównego koronera, dopóki nie znajdziemy lepszego rozwiązania dla Wirginii. Mam nadzieję, że twoje stawki są rozsądne – dodaje żartobliwie.

Wcale nie to spodziewałam się usłyszeć.

– Wyglądasz na zaskoczoną – zauważa Mitchell.

– Jestem zaskoczona.

– Dlaczego?

– Może Buford Righter mógłby to wytłumaczyć – zaczynam, a moje oburzenie znowu narasta. – W naszym mieście dwie kobiety zamordowano

w bestialski sposób i żeby nie wiem co, nie uważam, że to w porządku, że ich zabójca jest teraz w Nowym Jorku. Nic na to nie mogę poradzić, Mikę. Czuję, że to moja wina. Czuję, że wystawiłam na szwank tutejsze sprawy, bo Chandonne na mnie napadł. Czuję, że stałam się obciążeniem.

– Ach, Buford – komentuje łagodnie Mitchell. – Cóż, Kay, niezły z niego człowiek, ale marny prokurator. I nie uważam, że zgoda, aby Nowy Jork przejął Chandonne’a, to taki zły pomysł, biorąc pod uwagę okoliczności. – W jego słowach czuję ciężar wielu przemyśleń i podejrzewam, że jednym z nich – nie ostatnim – jest troska o to, jak zareagowaliby Europejczycy, gdyby w Wirginii skazano francuskiego obywatela. Wirginia jest znana z liczby wyroków śmierci, jakie się tu co roku wykonuje. Przeprowadzam autopsje wszystkich skazanych i znam statystykę aż za dobrze. – Nawet ja byłbym w kłopotcie, jak poprowadzić tę sprawę – dodaje Mitchell po chwili.

Mam uczucie, że za chwilę niebo się zawali. Powietrze jest pełne tajemnic, które trzaskają jak statyczna elektryczność, ale nie ma sensu się dopytywać. Gubernator Mitchell nie da się skłonić do ujawnienia informacji, kiedy sam nie jest gotów, aby to zrobić.

– Staraj się nie brać tego zbyt do siebie, Kay – radzi mi. – Masz moje poparcie. Pracuję z tobą od dawna i znam cię dobrze.

– Wszyscy mi mówią, żebym tego nie brała zbyt do siebie. Uśmiecham się lekko. Złowieszcze przecucie nasila się gwałtownie. Będzie mnie dalej wspierał, jak gdyby dawał mi do zrozumienia, że są powody, dla których nie powinien tego robić.

– Edith, dzieci, pracownicy, wszyscy mówią mi to samo – oznajmia. – I ciągle biorę wszystko do siebie. Tylko nie pokazuję tego.

– Więc nie miałaś nic wspólnego z prokuratorem Bergerem? Z tą dość znamieną zmianą miejsca, w którym odbędzie się proces? – Muszę go o to

zapytać.

Obraca powoli cygaro, formuje popiół w szpic i wydmuchuje dym, grając na zwłokę. Miał z tym coś wspólnego. Wiedział o wszystkim, jestem o tym przekonana.

– Ona jest naprawdę dobra, Kay. – Brak odpowiedzi Mitchella mówi mi wszystko, co chcę wiedzieć. Przyjmuję to. Opieram się chęci dalszego wypytywania. Pytam go jedynie, skąd ją zna.

– No wiesz, studiowaliśmy prawo na jednej uczelni. Potem, kiedy byłem prokuratorem generalnym, prowadziłem pewną sprawę. Powinnaś ją pamiętać, bo twoje biuro było w nią zaangażowane. Znana osoba z nowojorskiego towarzystwa, która wykupiła olbrzymią polisę ubezpieczeniową dla swojego męża na miesiąc wcześniej, zanim go zamordowała w hotelu w Fairfax. Próbowała upozorować samobójstwo.

Pamiętam aż za dobrze. Pozwała potem mnie i mój urząd do sądu, oskarżając nas między innymi o oszustwo, rzekome spiskowanie z towarzystwem ubezpieczeniowym i fałszowanie dokumentów, żeby uniemożliwić wypłacenie jej odszkodowania.

– Jaime Berger włączyła się w tę sprawę, bo okazało się, że pierwszy mąż tej kobiety zmarł kilka lat wcześniej w Nowym Jorku w podejrzanych okolicznościach – mówi Mitchell. – Zdaje się, że to był starszy człowiek słabego zdrowia. Utopił się w wannie akurat w miesiąc po tym, jak żona wykupiła ogromną polisę ubezpieczeniową. Koroner znalazł sińce, które mogły wskazywać na walnę, i odroczył sprawę na bardzo długo w nadziei, że śledztwo wykaże coś decydującego. Nie wykazało. Biuro prokuratora okręgowego nie mogło wytoczyć sprawy. A potem wdowa oskarżyła także tamtejszy urząd koronera. O zniesławienie, presję psychiczną, brednie w tym rodzaju. Odbyłem wiele rozmów z ludźmi stamtąd, głównie

z Bobem Morgethauem, prokuratorem okręgowym, ale także z Jaime. Porównywaliśmy obie sprawy.

– Zastanawiam się, czy FBI nie próbuje sprowokować Chandonne’a, żeby poszedł na ugodę i nakablował na swoją rodzinę i cały kartel. Zawrzyjmy układ. Co o tym sądzisz? – pytam.

– Myślę, że to pewne jak w banku – odpowiada uroczyście Mitchell.

– Więc to tak. – Teraz wiem. – Gwarantują mu, że nie dostanie kary śmierci? To jest ten układ.

– Morgenthau na ogół nie skazuje na śmierć. Aleja tak. Jestem starym twardzielem.

Gubernator właśnie uprzytomnił mi, jak przebiegały negocjacje. FBI będzie pracować nad Chandonne’em. W zamian za to proces odbędzie się w Nowym Jorku, gdzie istnieje pewność, że oskarżony nie zostanie skazany na śmierć. Cokolwiek by się zdarzyło, gubernator Mitchell nie wypadnie źle. To już nie jego problem. To już nie jest problem Wirginii. Nie spowodujemy międzynarodowego incydentu, wbijając Chandonne’owi igłę w ramię.

– Szkoda – podsumowuję. – Nie żebym była zwolenniczką kary śmierci, Mike. Ale szkoda, że wmieszała się w to polityka. Właśnie słuchałam przez kilka godzin kłamstw Chandonne’a. On nikomu nie pozwoli dobrać się do swojej rodziny. Nigdy. I powiem ci więcej, jeśli wyląduje w Kirby albo Bellevue, to w jakiś sposób się stamtąd wydostanie. I znowu będzie zabijał. Więc z jednej strony jestem zadowolona, że ten przypadek prowadzi doskonały prokurator, a nie Righter. Righter to tchórz. Ale z drugiej strony żałuję, że straciliśmy kontrolę nad tą sprawą.

Mitchell pochyła się i opiera dłonie na kolanach, co jest sygnałem, że nasza rozmowa dobiegła końca. Nie będzie dalej ze mną omawiał tej kwestii i to także dużo mi mówi.

– Miło z twojej strony, że przyszedłeś, Kay – oświadcza. Wytrzymuje moje spojrzenie. W ten sposób pokazuje mi: Nie pytaj o nic więcej.

Rozdział 19

Aaron sprowadza mnie z powrotem po schodach i otwierając drzwi wejściowe, lekko się uśmiecha. Wartownik macha mi, kiedy przejeżdżam przez bramę. Gdy już jadę wokół Capitol Square, a dom gubernatora znika w moim lusterku, mam świadomość zamknięcia i zakończenia czegoś. Zostawiłam coś za sobą. Właśnie odeszłam ze swojego życia, takiego, jakie >nałam. Odczuwałam też lekką nieufność wobec człowieka, którego zawsze tak bardzo podziwiałam. Nie, nie uważam, że Mitchell zrobił coś niewłaściwego. Ale wiem, że nie był ze mną szczery, nie do końca. To on ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za to, że Chandonne wyszedł spod naszej jurysdykcji, a powodem tego stała się polityka, a nie sprawiedliwość. Czuję to. Jestem tego pewna. Miał Mitchell nie jest już prokuratorem, tylko gubernatorem Wirginii. Dlaczego miałabym się dziwić? Czego się spodziewałam, do diabła?

Centrum sprawia wrażenie nieprzyjazne i obce. Jadę ulicą Ósmą do autostrady. Patrę na twarze ludzi w samochodach obok i zauważam ze zdziwieniem, że nikt z nich nie jest w pełni zaangażowany w to, co akurat robi. Rozmawiają i patrzą w lusterko lub sięgają po coś na siedzeniu albo majstrują przy radiu czy też gadają przez telefon albo ziewają. Nie dostrzegają, że ktoś obcy ich obserwuje. Widzę ich twarze tak wyraźnie, że

mogę stwierdzić, czy są przystojni, ładni czy mają blizny po trądziku i zdrowe zęby. Zdaję sobie sprawę, że przynajmniej jedna różnica między zabójcami a ich ofiarami polega na tym, że zabójcy są zaangażowani. Żyją całkowicie tą chwilą, dostrzegają otoczenie, są intensywnie świadomi każdego szczegółu – czy może im pomóc albo zaszkodzić. Obserwują obcych. Skupiają się na jakiejś twarzy i potrafią pójść za tą osobą do domu. Zastanawiam się, czy tak właśnie zostali wybrani dwaj młodzi mężczyźni, moi ostatni pacjenci. Zastanawiam się, z jakiego rodzaju drapieżnikiem mam tym razem do czynienia. Jakie są prawdziwe powody, dla których gubernator chciał się dziś ze mną zobaczyć i dlaczego on oraz pierwsza dama wypytywali mnie o sprawę James City County. Coś się dzieje. Coś złego.

Dzwonię do siebie do domu, na sekretarce jest siedem wiadomości. Trzy z nich zostawiła Lucy. Nie mówi, czego chce, tylko że próbuje się ze mną skontaktować. Dzwonię na jej komórkę, a kiedy odbiera, czuję napięcie. Wyczuwam, że nie jest sama.

- Wszystko w porządku? pytam ją.
- Ciociu Kay, chciałabym przyprowadzić Teun.
- To ona jest w Richmondzie? – pytam zdziwiona.
- Możemy być u Anny za jakieś piętnaście minut oznajmia Lucy.

Odbieram szybkie i mocne sygnały. Nie potrafię zidentyfikować tego, co puka do mojej podświadomości i próbuje skłonić mnie do uprzytomnienia sobie jakiejś bardzo ważnej prawdy. Co to, do licha? Jestem poruszona, poirytowana i zmieszana. Jadący za mną trąbi, a moje serce podskakuje. Tracę oddech. Spostrzegam, że mam zielone światło. Księżyc jest mało widoczny, przesłaniają go chmury. Kiedy jadę do południowej części miasta, rzeka James jest jak płynna ciemność pod mostem Huguenot. Parkuję pod domem Anny za suburbanem Lucy i natychmiast otwierają się

drzwi frontowe. Okazuje się, że Lucy i Teun McGovern przyjechały tuż przede mną. Stoją teraz wraz z Anną w holu pod lśniącym kryształowym żyrandolem. McGovern spotyka mój wzrok i uśmiecha się uspokajająco, jakby chciała powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Ścięła włosy na krótko i nadal wygląda bardzo atrakcyjnie, szczupła i chłopięca w czarnych dżinsach i długiej skórzanej kurtce. Ściskamy się i przypominam sobie, że jest mocna, opanowana, ale delikatna. Cieszę się, że ją widzę, bardzo się cieszę.

Wchodźcie, wchodźcie – zaprasza Anna. – Prawie już mamy święta, Wigilia, jak przyjemnie.

Ale wyraz jej twarzy jest jak najdalszy od wesołości. Rysy są ściągnięte, oczy podkrążone ze zmartwienia i zmęczenia. Dostrzega moje spojrzenie i stara się uśmiechnąć. Idziemy wszystkie razem do kuchni. Anna pyta, co nam dać do jedzenia i picia. Czy wszystkie jesteśmy po kolacji? A może Lucy i Teun chcą przenocować? W Wigilię nikt nie powinien spać w hotelu – to zbrodnia. Nie przestaje mówić i niepewnymi rękoma wyjmuję butelki, ustawiając rzędem whisky i inne trunki. Sygnały zapalają się teraz tak gwałtownie, że ledwie słyszę, co kto mówi. Potem w mojej psychice rozlega się grzmot – zrozumiałam. Już wiem. Prawda przeszywa mnie jak prąd. Anna nalewa mi whisky.

Powiedziałam Jaime Berger, że nie mam głębokich, mrocznych tajemnic. Chodziło mi o to, że zawsze byłam skryta. Nie mówię ludziom niczego, co mogłoby zostać użyte przeciwko mnie. Z natury jestem ostrożna. Ale ostatnio rozmawiałam z Anną, spędziłyśmy wiele godzin, badając najgłębsze szczeliny mojego życia. Powiedziałam jej o rzeczach, co do których nie byłam pewna, że o nich wiem. Nigdy jej nie zapłaciłam za te sesje, nie strzeże ich klauzula poufności, obowiązująca między lekarzem a pacjentem. Rocky Caggiano może wezwać Annę do złożenia zeznań

i patrząc na nią teraz, zakładam, że tak właśnie się stało. Biorę od niej szklankę z whisky. Nie spuszcza z siebie wzroku.

– Coś się dzieje – mówię.

Odwraca oczy. Przewiduję w myślach cały scenariusz. Jaime Berger oddali to wezwanie. To śmieszne. Caggiano mnie napastuje, całkiem zwyczajnie próbuje zastraszyć, ale mu się nie uda. Pieprzę go. Zrozumiałam i rozgryzłam to wszystko tak szybko, bo jestem zawodowcem, jeśli chodzi o unikanie wszelkiej prawdy, która ma bezpośredni związek z moją psychiką, moim samopoczuciem, moimi uczuciami.

– Powiedz mi, Anno – proszę.

W kuchni panuje cisza. Lucy i McGovern zamilkły. Lucy podchodzi i obejmuje mnie.

– Jesteśmy przy tobie – mówi.

– Jeszcze jak – potwierdza McGovern. Podnosi pięść z wyciągniętym do góry kciukiem.

Obie znikają w salonie, a ich wysiłki, żeby dodać mi otuchy, nie rozpraszają złych przeczuc. Anna patrzy na mnie i po raz pierwszy widzę zapowiedź łez u mojej zawsze stoickiej austriackiej przyjaciółki.

– Zrobiłam straszną rzecz, Kay. – Odchrząkuje i mechanicznie napełnia kolejną szklankę kostkami lodu. Jedna kostka wpada za pojemnik na śmieci, gdzie nie można jej dosięgnąć. – Ten zastępca szeryfa. Nie wierzyłam własnym uszom, kiedy dziś rano zadzwonił dzwonek przy bramie. I pojawił się zastępca z wezwaniem. Już samo to, że mi je przyniósł do domu, było okropne. Zawsze przychodzą do gabinetu. To nic dziwnego, jak wiesz, od czasu do czasu wzywają mnie, żebym zeznawała jako biegła. Nie mogę uwierzyć, że mi to zrobił. Ufałam mu.

Zwątpienie. Wstrząs. Pierwszy oddech strachu dotyka mojego centralnego układu nerwowego.

- Kto ci to zrobił? – pytam. – Rocky?
- Kto? – Anna sprawia wrażenie zaskoczonej.
- O Boże – szepczę. – O Boże.

Opieram się o blat kuchenny. Tu nie chodzi o Chandonne'a. To niemożliwe. Jeśli to nie Caggiano wezwał Annę, pozostaje tylko jedna możliwość i nie jest nią Jaime Berger. Oczywiście strona oskarżająca nie miałaby powodu, żeby rozmawiać z Anną. Myślę o dziwnym telefonie z banku, wiadomości z AT&T i zachowaniu Rightera, a także o wyrazie jego twarzy, kiedy zobaczył mnie w samochodzie Marina w zeszłą sobotę wieczorem. Odtwarzam w myślach nagłą chęć gubernatora, żeby się ze mną zobaczyć, jego wymijające odpowiedzi, a nawet kwaśny nastrój kapitana i to, jak mnie unikał. Ponownie przyglądam się nagłemu łysieniu Jacka i jego obawom, że zostanie szefem. Wszystko układa się na swoim miejscu, tworząc całość, w którą trudno uwierzyć. Wpadłam w kłopoty. Boże drogi, wpadłam w poważne kłopoty. Zaczynają mi się trząść ręce.

Anna mówi bezładnie, zacina się i potyka o słowa, jak gdyby bezwiednie wracała do pierwszego języka, którego nauczyła się w życiu, a którym nie był angielski. Walczy. Potwierdza to, co teraz już muszę podejrzewać. Została wezwana przed specjalną wielką ławę przysięgłych. Specjalna wielka ława przysięgłych w Richmondzie prowadzi śledztwo w mojej sprawie, żeby orzec, czy istnieją dostateczne powody, żeby mnie oskarżyć o zabójstwo Dianę Bray. Anna mówi, że ją wykorzystano. Została wmanewrowana.

– Kto cię wmanewrował? Righter? On za tym stoi? – pytam. Kiwa głową.

– Nigdy mu nie wybaczę. Powiedziałam mu to – zaklina się. Idziemy do salonu, gdzie sięgam po bezprzewodowy telefon stojący na eleganckiej podstawce z cisu.

– Anno, zdajesz sobie sprawę, że nie musisz mi tego wszystkiego mówić. – Wybieram domowy numer Marina. Nakazuję sobie spokój. – Jestem przekonana, że Bufordowi by się to nie podobało. Więc może nie powinnaś ze mną rozmawiać.

– Nie obchodzi mnie, co powinnam, a czego nie powinnam. W chwili kiedy dostałam wezwanie, Buford zadzwonił i wyjaśnił, czego ode mnie chce. Od razu zatelefonowałam do Lucy. – Anna nadal mówi łamaną angielszczyzną, utkwiała niewidzący wzrok w McGovern. Mam wrażenie, że nie ma pojęcia; kim jest Teun ani co robi u niej w domu.

– O której pojawił się u ciebie zastępca z wezwaniem? – pytam. Telefon Marina łączy mnie z jego pocztą głosową. – Cholera – mówię pod nosem. Rozmawia. Zostawiam mu wiadomość, aby oddzwonił i że to pilne.

– Około dziesiątej rano – odpowiada na moje pytanie Anna.

– Ciekawe – zauważam. – Mniej więcej w tym samym czasie Chandonne’a przewożono stąd do Nowego Jorku. A potem było nabożeństwo za Dianę Bray i moje pierwsze spotkanie z Jaime Berger.

– Jak to się wszystko łączy pani zdaniem? – Teun McGovern słucha uważnie, jej bystre, mądre oczy utkwione są we mnie. W ATF była jedną z najzdolniejszych specjalistek prowadzących śledztwa w sprawie podpażeń, dopóki nie została awansowana na wyższe stanowisko za sprawą osób, które później spowodowały, że odeszła.

– Nie jestem pewna – odpowiadam. – Poza tym, że prokurator Berger chciała zobaczyć, kto się zjawił w kościele. Zastanawiam się, czy chciała zobaczyć, czyja tam będę i czy w takim razie oznacza to, że wie o śledztwie w mojej sprawie i sama mnie sprawdza.

Telefon Anny dzwoni.

– Rezydencja doktor Zenner – mówię do słuchawki.

– Co się dzieje? – Marino przekrzykuje swój telewizor.

– Właśnie zaczynam się w tym łapać – odpowiadam.

Po moim tonie orientuje się natychmiast, że ma o nic nie pytać, tylko od razu wsiąść w samochód i przyjeżdżać. Żadnych sztuczek i żadnych tajemnic, mówię mu. Czekamy na niego przed kominkiem w salonie Anny, gdzie stoi choinka ozdobiona białymi świeczkami, łańcuchami, szklanymi figurkami zwierząt i drewnianymi owocami. Pod choinką leżą prezenty.

W myślach powtarzam każde słowo, jakie wypowiedziałam do mojej przyjaciółki, usiłując przypomnieć sobie to, co ona z pewnością będzie pamiętać, kiedy Righter zapyta ją o mnie przed wielką ławą przysięgłych, których powołano i zaprzysiężono, żeby zdecydowali, czy należy mi wytoczyć proces o morderstwo. Zimne palce strachu ściskają mi serce, jednak to, co mówię, brzmi rozsądnie. Na zewnątrz jestem opanowana, podczas gdy Anna opowiada szczegółowo, jak została wmanewrowana w tę sytuację. Zaczęło się od tego, że Righter skontaktował się z nią we wtorek, czternastego grudnia. Dobry kwadrans zajmuje jej wyjaśnianie, że Righter zadzwonił jako „przyjaciel, zatroskany przyjaciel”. Ludzie mówili na mój temat. Słyszał „różne rzeczy” i czuł, że musi to sprawdzić, a wiedział, że jesteśmy blisko zaprzyjaźnione.

– To nie ma sensu – zauważa Lucy. – Dianę Bray jeszcze wtedy żyła. Dlaczego Righter już wtedy rozmawiał z Anną?

– Nie rozumiem tego – zgadza się McGovern. – Coś tu naprawdę śmierdzi.

Przycupnęły obie z Lucy na podłodze przed kominkiem. Ja, jak zwykle, zajęłam fotel na biegunach, a Anna siedzi sztywno na otomanie.

– Kiedy Righter zadzwonił czternastego, o co dokładnie mu chodziło? – pytam Annę. – Jak zaczął rozmowę?

Patrzy mi w oczy.

– Niepokojono się o twój stan umysłowy. Od razu to powiedział. Kiwam głową. Nie czuję się urażona. Choć prawdą jest, że moja równowaga poważnie się zachwiała po zabójstwie Bentona, nigdy nie byłam chora psychicznie. Czuję się pewna swoich zdrowych zmysłów i zdolności rozumowania i myślenia. Jestem winna jedynie ucieczki od bólu.

– Wiem, że nie poradziłam sobie dobrze ze śmiercią Bentona – przyznaję.

– Jak można sobie dobrze poradzić z czymś takim? – odpowiada Lucy.

– Nie, nie. Bufordowi nie o to chodziło – wyjaśnia Anna. – Nie o to, jak poradziłaś sobie z żalem, Kay. Chodziło mu o twoje stosunki z Dianę Bray.

– Jakie stosunki? – Natychmiast zaczynam się zastanawiać, czy Bray dzwoniła do Rightera. Jeszcze jedna pułapka zastawiona na mnie. – Prawie jej nie znałam.

Oczy Anny utkwione są w moich, blask ognia drży na jej twarzy. Znowu uderza mnie, jak staro wygląda, jakby przez jeden dzień przybyło jej dziesięć lat.

– Miałaś z nią kilka konfrontacji. Tak mi powiedziałaś.

– Spowodowanych przez nią – tłumaczę szybko. – Nie miałyśmy kontaktów osobistych. Ani nawet towarzyskich.

– Uważam, że jeśli wypowiadasz komuś wojnę, to jest sprawa osobista. Nawet ludzie, którzy się nienawidzą, pozostają w pewnych relacjach, jeśli rozumiesz, co chcę powiedzieć. Oczywiście, że jej stosunek do ciebie był bardzo osobisty, Kay. Rozpuszczanie plotek. Kłamstwa na twój temat. Umieszczanie fałszywych informacji medycznych w Internecie, które wyglądały tak, jak gdybyś tyje pisała, ośmieszały cię i doprowadziły do kłopotów z sekretarzem do spraw bezpieczeństwa publicznego, a nawet z gubernatorem.

– Właśnie wracam od gubernatora. Nie mam z nim żadnych kłopotów. – Mówię tak, a jednocześnie widzę, że to dziwne. Jeżeli Mitchell wie, że bada mnie specjalna wielka komisja śledcza, a musi o tym wiedzieć, dlaczego nie przyjął mojej dymisji, dziękując Bogu, że się mnie pozbywa razem z całym moim życiowym bałaganem?

– Naraziła również karierę Marina, bo jest twoim pomagierem – ciągnie dalej Anna.

Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to, że Marino nie byłby zadowolony, że się go określa jako mojego pomagiera. Jak na zawołanie odzywa się domofon, obwieszczając, że kapitan właśnie stoi przed bramą.

– Innymi słowy, sabotowała twoją pracę. – Anna wstaje. – Prawda? Czy nie to mi powiedziałaś? – W nagłym przypływie energii naciska guzik na ścianie. – Tak? Kto tam? – rzuca do mikrofonu.

– Ja, dzidziu. – Głos Marina i warkot silnika jego dodge'a wypełniają salon.

– Och, jeśli jeszcze raz nazwie mnie dzidzią, to go zabiję. – Anna wznosi ręce ku górze.

Idzie do drzwi i po chwili detektyw wchodzi do salonu. Wypadł z domu w takim pośpiechu, że nie włożył kurtki, ma na sobie dres i tenisówki. Jest zaskoczony, widząc, że przy kominku siedzi po turecku Teun McGovern i podnosi na niego wzrok.

– A niech mnie – mówi. – Patrzcie, kogo przyniosło.

– Ja też się cieszę, że pana widzę, Marino – odpowiada McGovern.

– Może ktoś mi powie, co się dzieje, do diabła?

Przysuwa fotel bliżej kominka i siada. Przesuwa spojrzeniem z jednej twarzy na drugą, starając się zinterpretować sytuację. Udaje głupiego, jak gdyby nic nie wiedział. Jestem przekonana, że wie. Och tak, teraz jest jasne, dlaczego się tak dziwnie zachowywał.

Przechodzimy do rzeczy. Anna odkrywa przed nami, co się stało w dniach poprzedzających pojawienie się Jeana-Baptiste'a w Richmondzie. Sytuacja jest zdominowana przez Jaime Berger, jak gdyby prokurator już tu była. Nie ufam jej. A jednocześnie czuję, że moje życie może być w jej rękach. Próbuję sobie przypomnieć, co robiłam czternastego grudnia i cofam się od dziś, dwudziestego trzeciego, aż wreszcie dochodzę do tamtego wtorku. Byłam we Francji, w Lyonie, w siedzibie Interpolu, gdzie po raz pierwszy spotkałam się z Jayem Talleyem. Przypominam sobie to spotkanie, widzę nas dwoje przy stoliku w stołówce Interpolu. Marino nabrał natychmiastowej niechęci do Jaya i odszedł. Przy lunchu opowiedziałam Jayowi o Dianę Bray, o swoich problemach z nią i o tym, że robi, co w jej mocy, żeby dokuczyć kapitanowi, włącznie z wpakowaniem go z powrotem w mundur i przydzieleniem mu służby o północy. Jak to Jay ją nazwał? „Toksyczne odpady w obcisłych ciuchach”. Podobno się ścięli, kiedy Bray służyła w policji w Waszyngtonie, a on został na krótko przydzielony do tamtejszej kwatery ATF. Miałam wrażenie, że wie o niej wszystko. Czy to może być zbieg okoliczności, że w tym samym dniu, kiedy rozmawiałam z Jayem o Dianę Bray, Richter zadzwonił do Anny, żeby ją wypytać o moje stosunki właśnie z zastępczynią komendanta i robić aluzje na temat mojego zdrowia umysłowego?

– Nie miałam zamiaru tego mówić – ciągnie Anna twardym głosem. – Nie powinnam ci tego powtarzać, ale teraz, kiedy wyraźnie mam zostać użyta przeciwko tobie...

– Co to znaczy: „użyta przeciwko tobie”? – wtrąca Marino.

– Początkowo miałam nadzieję, że cię poprowadzę i pomogę oddalić te wszystkie pomówienia na temat twojego zdrowia psychicznego – zwraca się do mnie Anna. – Nie wierzyłam w nie. A jeśli miałam jakieś wątpliwości, może jakąś drobną wątpliwość, bo tak długo cię nie

widziałam, to i tak chciałam z tobą porozmawiać, z troski o ciebie. Jesteś moją przyjaciółką. Buford zapewnił mnie, że bez względu na to, co bym stwierdziła, on nie ma zamiaru tego w żaden sposób wykorzystać. Nasze rozmowy, jego ze mną, miały być czysto prywatne. Nie wspominał nic, absolutnie nic na temat oskarżenia cię o cokolwiek.

– Righter? – krzywi się Marino. – Prosił, żeby pani była jakąś pieprzoną wtyczką?

Anna potrząsa głową.

– Prowadzącą. – Ponownie używa tego słowa.

– To by się, kurwa, zgadzało. Na przegranej pozycji. – Marino wybucha złością.

– Musiał się upewnić, czy Kay jest stabilna umysłowo. Rozumie pan chyba, dlaczego to takie ważne, skoro miała być jego głównym świadkiem. Zawsze myślałam, że w całej sprawie chodzi o to, że ma być głównym świadkiem, a nie podejrzaną.

– Podejrzana jak moja dupa – warczy Marino. Już teraz niczego nie udaje, wie doskonale, o co chodzi.

– Marino, wiem, że nie mogłeś mi powiedzieć, iż specjalna komisja prowadzi śledztwo dotyczące mojej osoby w związku z zabójstwem Dianę Bray – odzywam się spokojnie. – Ale tak z ciekawości, zastanawiam się, od jak dawna o tym wiesz? Na przykład kiedy w niedzielę wieczorem wyprowadziłeś mnie z domu, już wiedziałeś, prawda? Dlatego obserwowałeś mnie jak jastrząb w moim własnym domu. Żebym ukradkiem czegoś nie zrobiła, nie zniszczyła dowodów, czy Bóg wie czego. Dlatego nie pozwoliłeś mi pojechać własnym samochodem, prawda? Bo musieliście sprawdzić, czy może są w nim jakieś ślady, na przykład krew Dianę Bray? Albo jakieś włókna? Włosy? Coś, co by wykazało, że byłam

w jej domu tej nocy, kiedy ją zamordowano? – Mówię chłodnym tonem, ale moje słowa są piekące.

– Jezu, kurwa, Chryste! – wybucha Marino. – Wiem, że tego nie zrobiłaś. Righter to szczytowy matoł i powiedziałem mu, co o nim myślę. Powtarzam mu to codziennie. Co mu zrobiłaś, Kay? Może mi powiesz dlaczego, do diabła, tak cię traktuje?

– Wiesz co? – Patrzę na niego twardo. – Nie chcę więcej słuchać, że wszystko to moja wina. Righterowi nie zrobiłam kompletnie nic. Nie wiem, co go napadło, chyba że to sprawka Jaya.

– A to pewnie też nie twoja wina. Przespałaś się z nim!

– Nie robi tego dlatego, że się z nim przespałam – odpalam. – Jeżeli już, to dlatego, że spałam z nim tylko raz.

Teun McGovern marszczy brwi. Siedzi oparta o kominiek.

– Nasz kochany Jay – mówi. – Śliczny chłopczyk, czyścioszek. Dziwne, nigdy go nie lubiłam.

– Powiedziałam Bufordowi, że zdecydowanie nie jesteś chora umysłowo. – Anna zaciska szczęki i patrzy na mnie stanowczo. – Chciał wiedzieć, czy uważam, że dasz radę mu pomagać, czy moim zdaniem jesteś zrównowazona. Widzisz, jak kłamał. Miało niby chodzić o naszą pomoc przy procesie Chandonne'a. Nie przyszło mi do głowy, co zamierza zrobić. Nie potrafię uwierzyć, że Buford podszedł mnie w taki sposób i wezwał do składania zeznań. – Kładzie rękę na piersi, jak gdyby dokuczało jej serce, i zamyka na chwilę oczy.

– Dobrze się czujesz, Anno? – Zaczynam się podnosić z fotela. Anna kręci głową.

– Nigdy już dobrze się nie poczuję... Nigdy bym z tobą nie rozmawiała, Kay, gdybym przypuszczała, że coś takiego może się wydarzyć.

– Czy nagrywała pani te rozmowy, robiła notatki? pyta McGovern.

– Oczywiście, że nie.

– To dobrze.

– Ale jeśli mnie zapytają... – zaczyna Anna.

– Rozumiem – odpowiadam. – Anno, rozumiem. Co się stało, to się nie odstanie. – Teraz muszę przekazać Marinowi drugą nowinę. Skoro jesteśmy przy takich okropnych rzeczach, może równie dobrze usłyszeć wszystko. – Twój syn, Rocky – wymawiam tylko to imię i nic więcej. Może chcę sprawdzić, czy o tym też już wie.

Marino sztywnieje.

– Co z nim? – pyta po chwili.

– Wygląda na to, że broni Chandonne’a.

Jego twarz przybiera odcień głębokiej, przerażającej czerwieni. Nie wiedział. Przez chwilę nikt się nie odzywa.

– To w jego stylu – stwierdza twardym, kategoriycznym tonem. – Prawdopodobnie maczał też palce w tym, co się dzieje z tobą, jeśli to możliwe. Zabawne, ale nawet się zastanawiałem, czy ma coś wspólnego z pojawieniem się tu Chandonne’a.

– Czemu się pan nad tym zastanawiał? – pyta ze zdumieniem McGovern.

– Bo to człowiek mafii, dlatego. Prawdopodobnie zna Wielkiego Papę Chandonnea w Paryżu i nic by go bardziej nie ucieszyło, niż gdyby mógł narobić mi kłopotów.

– Myślę, że czas, abyś nam opowiedział o Rockym mówię.

– Ma pani w domu burbona? – zwraca się Marino do Anny. Ta wstaje i wychodzi z pokoju.

– Ciociu Kay, nie możesz tu dłużej zostać – odzywa się Lucy cichym, stanowczym głosem.

– Nie może pani z nią więcej rozmawiać – dodaje McGovern.

Nie odpowiadam. Oczywiście mają rację. Teraz, na domiar wszystkiego, straciłam przyjaciółkę.

– No więc, powiedziałaś jej coś? – pyta mnie Marino oskarżycielskim tonem, który znam aż nadto dobrze.

– Powiedziałam, że świat jest lepszy bez Dianę Bray. Innymi słowy, powiedziałam, że się cieszę, iż nie żyje.

– Tak jak wszyscy, którzy ją znali – zauważa Marino. - I chętnie to powiem tej wielkiej, specjalnej pierdolonej komisji śledczej.

– To stwierdzenie jest niefortunne, ale nie oznacza, że pani kogokolwiek zabiła – zauważa McGovern.

– Niefortunne, to fakt – mruczy Marino. – Cholera, mam nadzieję, że Anna nie powiedziała Righterowi, iż jesteś zadowolona, że Bray dostała w czapę.

– To absurd – odpowiadam.

– Cóż – wzdycha Marino. – Tak i nie.

– Nie musisz mi o tym mówić – uprzedzam go. – Lepiej się nie narażaj.

– Och, pieprzę to. – Macha ręką. – Wiem, że nie zabiłaś tej przeklętej baby. Ale musisz na to spojrzeć z drugiej strony. Miałaś przez nią kłopoty. Starła się doprowadzić do wyrzucenia cię z pracy. Od śmierci Bentona zachowywałaś się trochę dziwnie, a przynajmniej tak mówiono, prawda? Doszło do konfrontacji między tobą a Bray na parkingu. Przypuszczalnie jesteś zazdrosna o nową, ważną policjantkę. Starła się przedstawić cię w złym świetle i skarżyła się na ciebie. Więc zabiłaś ją i postarałaś się, żeby wszystko wyglądało na sprawkę tego mordercy, który rąbnął Kim Luong, a kto mógłby to upozorować lepiej niż ty? Kto byłby zdolniejszy do popełnienia zbrodni doskonałej? Pierwsza miałaś dostęp do wszystkich dowodów. Mogłaś ją zatłuc na śmierć i umieścić włosy Wilkołaka na jej ciele, a nawet pozamieniać próbki, tak aby wyszło, że to

jego DNA. A to, że zabrałaś dowody z kostnicy w Paryżu i przywiozłaś je tutaj, też nie wygląda dobrze. Ani to, że wzięłaś tę próbkę wody. Righter uważa, że jesteś pomyłona, przykro mi to powiedzieć. I muszę jeszcze dodać, że osobiście cię nie lubi i nigdy nie lubił, bo jest bez jaj i nie toleruje silnych kobiet. Nawet Anny, prawdę mówiąc. To, że sprawę prowadzi prokurator Berger, to najlepsza zemsta. Righter jej naprawdę nienawidzi.

Cisza.

– Ciekawa jestem, czy wezwą mnie do złożenia zeznań – mówi Lucy.

Rozdział 20

Righter uważa, że ty też jesteś pomyłona – zwraca się Marino do mojej siostrzenicy. – To jedyna kwestia, w której się z nim zgadzam.

– Czy istnieje jakaś możliwość, że Rocky był związany z rodziną Chandonne’ów? – Teun McGovern patrzy na Marina. – W przeszłości? Mówi pan serio, że się pan nad tym zastanawiał?

– Ha! – parska Marino. – Rocky przez większość życia jest związany z przestępcami. Ale czyja wiem dokładnie, co robi ze swoim pierdolonym czasem, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu? Nie. Nie mogę przysiąc. Wiem tylko, kim jest. Gnojem. Już się taki urodził. Złe nasienie. Jeśli o mnie chodzi, to nie mój syn.

– Jest twoim synem – mówię.

– W myśl moich zasad, nie. Wdał się w złą część rodziny – upiera się kapitan. – W New Jersey mieliśmy dobrych i złych Marinów. Miałem wuja gangstera i wuja gliniarza. Dwaj bracia, a różni jak dzień i noc. A potem, jak skończyłem czternaście lat, ten duppek wuj Louie kazał sprzątnąć tego drugiego – tego glinę. Miał na imię Pete, dali mi imię po wujku. Zastrzelili go, kiedy podnosił pieprzoną gazetę przed własnym domem. Nigdy nie zdołaliśmy dowieść, że to zrobił wujek Louie, ale tak uważała cała rodzina. Ja nadal tak uważam.

– Gdzie jest teraz twój wujek Louie? – pyta Lucy. Anna wraca z drinkiem dla Marina.

– Słyszałem, że zmarł dwa lata temu. Nie utrzymywałem z nim kontaktu. Nigdy nie miałem z nim nic wspólnego. – Bierze szklanę z rąk Anny. – Ale Rocky jest kubek w kubek taki jak on. Nawet jak dorastał, to był do niego podobny, od urodzenia nieuczciwy, wypaczony, po prostu zrobiony z gówna. Jak myślicie, dlaczego wziął sobie nazwisko „Caggiano”? Bo to panieńskie nazwisko mojej matki i Rocky wiedział, że naprawdę mnie to wkurwi, jak zasia nazwisko mojej matki. Są ludzie, których nie można wyprostować, po prostu urodzili się źli. Nie proście, żebym wam to wytłumaczył, bo Doris i ja zrobiliśmy dla tego chłopaka wszystko, co tylko się dało. Nawet próbowaliśmy go wysłać do szkoły wojskowej, co było błędem. Skończyło się na tym, że ją polubił, polubił fałę, prawdziwe gnojenie innych chłopców. Jego nikt się nie czepiał, nawet pierwszego dnia. Był wielki jak ja i taki podły wobec innych, że nikt nie odważył się go tknąć.

– To nie tak – mruczy Anna pod nosem, wracając na swoje miejsce na otomanie.

– Jaki on ma motyw, aby zajmować się tą sprawą? – Wiem, co powiedziała Jaime Berger, ale chcę usłyszeć zdanie Marina. – Żeby ci dowalić?

– Rajcuje go rozgłos. Taka sprawa to niezły cyrk. – Mój przyjaciel nie chce powiedzieć tego, co jest oczywiste. Że być może R.ocky chce upokorzyć i wyszydzić ojca.

– Nienawidzi pana? – pyta Teun McGovern.

Kapitan ponownie prycha i w tej samej chwili odzywa się jego pager.

– I co się w końcu z nim stało? – pytam. – Wysłaliście go do szkoły wojskowej i co potem?

– Dałem mu kopa w tyłek. Powiedziałem, że jeśli nie potrafi się dostosować do reguł, które obowiązują w domu, nie będzie mieszkał pod moim dachem. To było po pierwszym roku w szkole wojskowej. I wiecie, co ten psychopata zrobił? – Marino czyta wiadomość na pagerze i wstaje. – Przeniósł się do Jersey i przystał do wujka Louie, do tej pieprzonej mafii. A potem miał czelność wrócić tu na studia, włącznie z wydziałem prawa na Uniwersytecie Williama i Mary. Więc owszem, jest zdolny jak cholera.

– Zdał egzaminy adwokackie w Wirginii? – pytam.

– Tak, tutaj i praktykuje wszędzie. Nie widziałem go od siedemnastu lat. Anno, pozwoli pani, że zadzwonię? Chyba nie chcę w tym wypadku używać komórki. – Wychodząc z pokoju, rzuca mi spojrzenie. – To Stanfield.

– A co z identyfikacją, w sprawie której dzwonił do ciebie wcześniej?

– Mam nadzieję, że dlatego dzwoni. Kolejna naprawdę dziwna sprawa jeśli to prawda.

Podczas gdy Marino rozmawia, Anna znika z salonu. M> siałam, że poszła do łazienki, ale nie wraca i mogę sobie tylko wyobrażać, jak się czuje. Pod wieloma względami martwię się o nią bardziej niż o siebie. Wiem wystarczająco dużo o jej życiu, żeby rozumieć, jak bardzo jest wrażliwa i bezbronna, i znam straszliwie ogołoczone, poznaczone bliznami miejsca jej duszy.

– To nie w porządku. – Zaczynam tracić panowanie nad sobą. – To nie fair wobec nikogo. – Wszystko, co zważyło się na mnie, zaczyna się obluźowywać i zsuwać w dół. – Proszę, niech mi ktoś powie, jak to się stało? Czy zrobiłam coś złego w poprzednim życiu? Nie zasłużyłam na to. Nikt z nas na to nie zasłużył.

Lucy i McGovern w milczeniu słuchają mojego wybuchu. Wydaje się, że mają własne poglądy i zamiary, ale na razie nie śpieszą się z ich

przedstawieniem.

– No, powiedzcie coś! – wołam. – Wyrzućcie to z siebie! – Mówię to głównie pod adresem siostrzenicy. – Moje życie legło w gruzach. Z niczym nie poradziłam sobie tak, jak powinnam. Przepraszam. – Jestem na krawędzi łez. – W tej chwili chcę papierosa. Czy ktoś ma papierosa?

– Owszem, Marino, ale rozmawia w kuchni przez telefon i ani mi w głowie zakradać się tam i przerywać mu z powodu papierosa, jak gdybym w ogóle chciała zapalić. – Wiecie, najbardziej boli to, że oskarża się mnie o to, czemu jestem tak głęboko przeciwna. Cholera, przecież nie nadużywam stanowiska. Nigdy bym nikogo nie zamordowała z zimną krwią. – Gadam i gadam. – Nienawidzę śmierci. Nienawidzę zabijania. Nienawidzę wszystkich tych cholernych rzeczy, które muszę oglądać każdego cholernego dnia. A teraz świat myśli, że zrobiłam coś takiego? I specjalna wielka ława przysięgłych orzeknie, że może jednak tak? – Pozostawiam to pytanie zawieszone w powietrzu. Lucy i McGovern nie odpowiadają.

Marino mówi głośno. Ma silny i donośny głos, taki jak on sam. Popycha, zamiast prowadzić i konfrontuje, zamiast iść obok.

– Jesteś pewien, że to jego dziewczyna? – rzuca w słuchawkę telefonu. Zakładam, że rozmawia z detektywem Stanfieldem. – A nie po prostu koleżanka? Wyjaśnij mi, skąd ta pewność. Tak, tak. Aha. Co? Czy rozumiem? Nie, cholera, nie rozumiem. To nie ma za grosz sensu, Stanfield. – Rozmawiając, chodzi po kuchni. Jest o krok od urwania Stanfieldowi głowy. – Wiesz, co mówię takim jak ty? – rzuca w słuchawkę.

– Mówię, żeby mi, kurwa, zeszli z drogi. I gównie mnie obchodzi, kim jest twój zasrany szwagier, rozumiesz? Może mnie pocałować w dupę na dobranoc. – Stanfield najwyraźniej usiłuje coś powiedzieć, ale Marino nie dopuszcza go do głosu.

– O rany – szepcze McGovern i moje myśli wracają do salonu, do mojego własnego poplątanego życia. – To on prowadzi śledztwo w sprawie tych dwóch, których prawdopodobnie torturowano i zamordowano? Ten ktoś, z kim rozmawia Marino?

Patrzę na nią dziwnie i doznaję uczucia, które jest jeszcze dziwniejsze.

– Skąd pani wie o dwóch zabitych mężczyznach? – Szukam brakującej odpowiedzi.

Teun McGovern działa w Nowym Jorku. Jeszcze nawet nie przeprowadziłam sekcji drugiego denata. Dlaczego wszyscy nagle sprawiają wrażenie wszechwiedzących? Myślę o Jaime Berger, o gubernatorze Mitchellu, kongresmanie Dinwiddiem i o Annie. Fala strachu zatruwa powietrze jak zapach ciała Chandonne'a, wydaje mi się, że znów go czuję i mój centralny układ nerwowy reaguje bez mojej woli. Zaczynam się trząść, jakbym wypić dzbanek mocnej kawy albo z pół tuzina tych mocno słodzonych kubańskich espresso, które nazywają *coladas*. Uprzytamniam sobie, że nigdy w życiu nie byłam tak przerażona i zaczynam rozważać rzecz nie do pomyślenia: może rzeczywiście jest ziarno prawdy w upartym i pozornie absurdalnym twierdzeniu Chandonne'a, że padł ofiarą jakiegoś wielkiego spisku politycznego? Cierpię na paranoję, to oczywiste. Usiłuję przemówić sobie do rozsądku. W końcu w mojej sprawie prowadzone jest śledztwo w związku z zabójstwem skorumpowanej policjantki, która prawdopodobnie była zamieszana w przestępczość zorganizowaną.

Zdaję sobie sprawę, że Lucy coś do mnie mówi. Wstała sprzed kominka i przysunęła sobie krzesło do mojego fotela. Siada i pochyla się ku mnie, dotykając mojej zdrowej ręki, jak gdyby chciała mnie obudzić.

– Ciociu Kay? – mówi. – Jesteś tu, ciociu? Słuchasz nas? Skupiam na niej uwagę. Marino mówi Stanfieldowi, że zobaczą się rano. Brzmi to jak

pogróżka.

– Umówiłam się z nim w barze na piwo. – Lucy patrzy w stronę kuchni. Przypominam sobie, że Marino powiedział mi dziś przed południem, iż spotyka się z nią po południu, bo Lucy ma dla niego wiadomość. – Wiemy o facecie z motelu. – Ma na myśli siebie i Taun McGovern, która siedzi nieruchomo przy kominku, patrzy na mnie i czeka, jak zareaguję, kiedy usłyszę resztę. – Teun jest tu od soboty – ciągnie Lucy. – Gdy dzwoniłam do ciebie z Jeffersona, pamiętasz, Teun była ze mną. Od razu ją poprosiłam, żeby przyjechała.

– Och. – To jedyna odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy. – To dobrze. Martwiłam się, że jesteś tam sama.

Łzy zalewają mi oczy. Jestem zażenowana i odwracam oczy od Lucy i McGovern. Powinnam być silna. To ja zawsze ratowałam siostrzenicę z kłopotów, których w większości sama sobie przysparzała. Zawsze byłam przewodniczką, prowadzącą ją właściwą drogą. Posłałam ją na studia. Kupowałam jej książki, podarowałam pierwszy komputer, opłacałam każdy specjalny kurs, na jaki chciała pójść, w różnych częściach kraju. Pewnego lata zabrałam ją ze sobą do Londynu. Przeciwstawiałam się każdemu, kto próbował się wtrącać w jej życie, łącznie z jej matką, która odwdzięczała mi się jedynie wymysłami.

– Powinnaś mnie szanować – mówię do swojej siostrzenicy, wycierając dłonią łzy. – A czy to jest teraz w ogóle możliwe?

Lucy wstaje i patrzy na mnie z góry.

– To kompletna bzdura – mówi z uczuciem. Marino wraca do salonu, niosąc sobie kolejnego burbona. – Nie chodzi o to, że cię nie szanuję. Jezu Chryste. Nikt z tu obecnych nie szanuje cię mniej niż przedtem, ciociu Kay. Ale potrzebna ci pomoc. Ten jeden raz pozwól, żeby inni ci pomogli. Z całą pewnością sama nie zdołasz sobie poradzić z tym wszystkim, więc może

trzeba na chwilę schować dumę do kieszeni i pozwolić nam zadziałać, co? Nie mam już dziesięciu lat, tylko dwadzieścia osiem. Nie jestem naiwną dziewczyną. Byłam agentką FBI i ATF i jestem zajebiście bogata. Mogłam być dowolnym agentem, jakim bym chciała. – Jej rany otwierają się na moich oczach. Boli ją, że została wysłana na urlop administracyjny, oczywiście, że boli. – A teraz jestem swoją własną agentką, pracuję na swoim – ciągnie.

– Złożyłam dziś dymisję – mówię jej. Zapada pełna zdumienia cisza.

– Coś ty powiedziała? – pyta Marino, stając przed kominkiem i pijąc burbona. – Co zrobiłaś?

– Powiedziałam o tym gubernatorowi. – Zaczyna mnie ogarniać niewytłumaczalny spokój. Dobrze jest mieć świadomość, że zrobiłam coś sama, zamiast pozwolić, żeby inni robili to mnie. Moje odejście sprawia, że czuję się w mniejszym stopniu ofiarą, jeśli w ogóle zgadzam się przyznać, że nią jestem. Chyba jednak tak i jedyna droga powrotu to skończyć to, co zaczął Chandonne: skończyć moje życie, takie, jakie było dotychczas i zacząć nowe. Dziwna i zaskakująca myśl. Opowiadam Marinowi, Lucy i Teun o rozmowie z Mikiem Mitchellem.

– Chwileczkę. – Detektyw przysiadł na stopniu kominka. Dochodzi północ. Anna zachowuje się tak cicho, że przez chwilę zapomniałam, iż jest w domu. Może się położyła. – To znaczy, że już nie możesz prowadzić żadnych spraw?

– Nic podobnego odpowiadam. – Będę pełnił swoje obowiązki, dopóki gubernator nie postanowi inaczej.

Nikt nie pyta, co zamierzam zrobić z resztą życia. Doprawdy, nie ma sensu martwić się o odległą przyszłość, skoro wali się teraźniejszość. Jestem wdzięczna, że nikt mnie nie pyta i zapewne wysyłam zwykłe sygnały, że nie chcę, aby mnie indagowano. Ludzie czują, kiedy mają milczeć, a jeśli tak nie jest, gaszą ich zainteresowanie i nawet nie zdają

sobie sprawy z tego, że ich zmanipulowałam, aby nie starali się wyciągnąć ze mnie informacji, które wolę zatrzymać dla siebie. Wspecjalizowałam się w takim postępowaniu w bardzo młodym wieku, kiedy nie chciałam, żeby w szkole pytano mnie o ojca – czy ciągle jest chory, czy mu się poprawia i jak to jest, kiedy twój ojciec umiera. Nauczyłam się nie mówić, a także nie pytać. Przez ostatnie trzy lata życia mojego ojca cała rodzina, włącznie z nim, całkowicie unikała tego tematu. Był włoskim macho, bardzo podobnym do Marina, który przyjmuje, że jego ciało nigdy go nie zawiedzie, bez względu na chorobę czy brak formy. Rozmyślałam o swoim ojcu, a Lucy, Marino i McGovern rozmawiają o tym, co mają zamiar zrobić i co już robią, żeby mi pomóc, łącznie z prowadzonymi już działaniami i rozmaitymi rzeczami, które ma mi do zaoferowania Ostatni Posterunek.

Nie słucham. Ich głosy mogłyby równie dobrze być krakaniem wron; wspominam gęstą trawę mojego dzieciństwa w Miami i wysuszone skorupy pluskw oraz lipę w niewielkim ogródku na tyłach naszego domu. Ojciec nauczył mnie rozbijać orzechy kokosowe na podjeździe, posługując się młotkiem i śrubokrętem, i spędzałam niewiarygodną ilość czasu, wydłubując biały miąższ z twardej, owłosionej skorupy. Ojca bawiło obserwowanie mojej obsesji. Miąższ kokosów lądował w przysadzistej, białej lodówce i nikt go nigdy nie jadł, nawet ja. Latem, w upalne soboty, ojciec robił mnie i Dorothy niespodziankę, przynosząc ze sklepu w sąsiedztwie dwa duże bloki lodu. Miałyśmy mały nadmuchiwany basen, który napełniało się wodą z węża i siedziałyśmy na lodzie, smażąc się w słońcu i jednocześnie odmrażając sobie pupy. Wskakiwałyśmy do basenu i wyskakiwałyśmy, żeby odtajać, a potem znowu przysiadaliśmy na swoich zimnych, śliskich tronach niczym królowny, a ojciec śmiał się z nas, stojąc w oknie salonu, pękał ze śmiechu, pukał w szybę i puszczał na cały regulator płyty Fatsa Wallera.

Mój ojciec był dobrym człowiekiem. Kiedy czuł się znośnie, był szczodry, delikatny, pełen humoru, skory do żartów. Był przystojnym blondynem średniego wzrostu, szerokim w ramionach, dopóki nie wyniszczył go rak. Jego pełne imię i nazwisko brzmiało: Kay Marcellus Scarpetta III i uparł się, że jego pierworodne dziecko będzie się nazywać tak samo jak on, tak jak było przyjęte w rodzinie jeszcze w Weronie. To, że ja pojawiłam się pierwsza i byłam dziewczynką, nie miało znaczenia. Kay to jedno z imion, które można dawać dzieciom obojga płci, ale matka zawsze nazywała mnie Katie. Według niej obecność dwóch osób o tym samym imieniu wprowadzała w domu zamieszanie. Później, kiedy nie było już z tym kłopotu, bo ojciec nie żył, nadal nazywała mnie Katie, odmawiając przyjęcia do wiadomości jego śmierci i nie umiejąc sobie z nią poradzić. Nie radzi sobie z nią aż do dziś. Nie pozwala mu odejść. Ojciec zmarł trzydzieści lat temu, kiedy miałam dwanaście lat, a matka nigdy nie umówiła się z żadnym innym mężczyzną. Nadal nosi obrączkę. I ciągle nazywa mnie Katie.

Lucy i McGovern omawiają plany jeszcze po północy, zrezygnowały z prób włączenia mnie do tej rozmowy i nawet już chyba nie dostrzegają, że myślami wróciłam do Starego Kraju. Siedzę, patrzę w ogień, masuję zeszywniałą lewą dłoń i wsuwam palec pod gips, żeby podrapać swoją nieszczęsną, spragnioną powietrza skórę. W końcu Marino ziewa jak niedźwiedź i dźwiga się na nogi. Burbon sprawia, że trochę się chwieje, czuć go starymi papierosami. Patrzy na mnie miękko z wyrazem oczu, który mogłabym nazwać smutną miłością, gdybym chciała zaakceptować jego prawdziwe uczucia.

– Chodźmy – mówi do mnie. – Odprowadź mnie do samochodu. – To jego sposób, aby zawrzeć ze mną rozejm. Marino nie jest brutalem. Ma

wyrzuty sumienia z powodu tego, jak mnie traktował, od kiedy omal nie zostałam zamordowana, i nigdy mnie nie widział tak dalekiej i milczącej.

Noc jest zimna i cicha, gwiazdy prześwitują nieśmiało przez niewyraźne chmury. Z podjazdu przed domem Anny patrzę na światło świec w jej licznych oknach i przypominam sobie, że jutro jest Wigilia, ostatnia Wigilia dwudziestego wieku. Brzęk kluczyków zakłóca ciszę, Marino otwiera zamek i waha się niezręcznie przed otwarciem drzwiczek od strony kierowcy.

– Mamy dużo roboty. Zobaczymy się wcześniej rano w kostnicy. – Nie to chce jednak naprawdę powiedzieć. Patrzy w górę na ciemne niebo i wzdycha. – Cholera, Kay. Posłuchaj, wiem o tym od jakiegoś czasu, dobra? Już się przecież zorientowałaś. Wiedziałem, co planuje ten skurwysyn Righter i musiałem pozwolić sprawom biec swoim trybem.

– Kiedy miałeś zamiar mi powiedzieć? – Nie pytam, żeby go oskarżać, po prostu jestem ciekawa.

Marino wzrusza ramionami.

– Cieszę się, że to wyszło od Anny. Na litość boską, wiem, że nie zabiłaś Dianę Bray. Ale prawdę mówiąc, nie miałbym ci za złe, gdybyś to zrobiła. Była najgorszą kurewską suką, jaka chodziła po ziemi. Uważam, że gdybyś ją zabiła, byłaby to obrona własna.

– Nie, nie byłaby. – Poważnie rozważam tę możliwość. – Nie byłaby, Marino. I nie zabiłam jej. – Patrzę uważnie na jego niezdarną postać w światłach samochodu i świątecznych lampek na drzewach. – Nie myślałaś chyba naprawdę...? – Nie kończę pytania. Może nie chcę znać odpowiedzi.

– Już sam, do licha, nie wiem, co ostatnio myślałem – mówi. – Taka jest prawda. Ale co ja mam zrobić, Kay?

– Co masz zrobić? Z czym? – Nie rozumiem, o co mu chodzi. Wzrusza ramionami i krztusi się. Nie wierzę własnym oczom, Marino jest o krok od płaczu!

– Jeśli odejdiesz. – Jego głos się podnosi, Marino chrząka i wygrzebuje z kieszeni lucky strike'a. Osłania swoimi wielkimi łapskami moją rękę i przypala mi papierosa. Jego skóra jest szorstka w dotyku, włosy na przegubach ocierają mi się o podbródek. Pali, wpatrzony przed siebie. Wydaje się zdruzgotany. - I co potem? Mam dalej chodzić do tej pierdolonej kostnicy, a ciebie już tam nie będzie? Psiakrew, nie zajrzałym nawet do tej cuchnącej dziury, gdyby nie to, że tam jesteś. Ty jedna wnosisz życie w to miejsce, poważnie.

Obejmuję go. Sięgam mu ledwie do piersi, a jego wielki brzuch rozdziela nasze bijące głośno serca. Marino wybudował wokół siebie fortecę i mam dla niego mnóstwo obehwładniającego współczucia, a zarazem jest mi potrzebny. Klepię go w szeroką pierś.

– Długo jesteśmy razem, Marino. Jeszcze się mnie nie pozbyłeś – oświadczam mu stanowczym tonem.

Rozdział 21

Zęby mają swoją własną historię i często mówi ona o człowieku więcej niż biżuteria czy ubrania od sławnych projektantów. Zęby pozwalają na identyfikację, wykluczającą jakąkolwiek pomyłkę pod warunkiem, że istnieje dokumentacja, zrobiona za życia ofiary. Zęby mówią mi o higienie człowieka. Ujawniają tajemnice o używaniu narkotyków, szepczą o antybiotykach przyjmowanych we wczesnym dzieciństwie, o chorobach, urazach i o tym, jaką wagę przywiązywał ów ktoś do swego wyglądu. Pokazują, czy dentysta wystawił rachunek za coś, czego nie zrobił. Mówią mi, czy był dobrym fachowcem.

Marino spotyka się ze mną nazajutrz w kostnicy przed świtem. W rękę trzyma dokumentację dentystyczną dwudziestodwuletniego mężczyzny z James City County, który wczoraj wyszedł pobiegać koło kampusu Williama i Mary i nie wrócił do domu. Nazywał się Mitch Barbosa. Uniwersytet Williama i Mary leży zaledwie kilka kilometrów od motelu Fort James, toteż kiedy Marino rozmawiał wczoraj wieczorem ze Stanfieldem i otrzymał tę informację, moją pierwszą myślą było „jakie to dziwne”. Syn Marina, cwany prawnik Rocky Caggiano, studiował na tym uniwersytecie. Życie podsuwa nam kolejny niesamowity zbieg okoliczności.

Jest szósta czterdzieści pięć, kiedy wytaczam wózek z ciałem z pracowni rentgenowskiej i pcham do swojego stanowiska na oddziale autopsji. Wokoło panuje cisza. Dziś, w Wigilię, wszystkie urzędy państwowe są zamknięte. Marino będzie mi asystował i nie spodziewam się, że oprócz dentysty sądowego pojawi się tu dziś jakakolwiek żywa istota. To kapitan musi mi pomóc rozebrać sztywne, odporne ciało i przenieść je na stół, a potem zabrać do chłodni. Nigdy bym mu nie pozwoliła uczestniczyć w jakiegokolwiek procedurze medycznej – nie żeby mi kiedykolwiek to zaproponował. Nigdy go nie prosiłam, żeby notował i nie mam zamiaru, bo masakruje łacińską terminologię medyczną wręcz wyjątkowo.

– Przytrzymaj go z obu stron – dyryguję. – Dobrze. Właśnie tak.

Marino ujmuję oburącz głowę zmarłego, starając się trzymać ją nieruchomo, a ja wsuwam cienkie dłuto pomiędzy zęby trzonowe denata, żeby rozsunąć mu szczęki. Stał drapie emalię. Uważam, by nie skaleczyć warg, ale nie da się uniknąć ukruszenia tylnych zębów.

– Dobrze, że ludzie już nie żyją, kiedy ich tak traktujesz – zauważa Marino. – Ale będziesz zadowolona, jak już znowu będziesz miała obie ręce.

– Nie przypominaj mi o tym. – Mam tak dosyć gipsu, że zastanawiałam się, czy go nie przeciąć piłą Strykera.

Szczęki umarłego ustępują i kierują w jego jamę ustną białe światło specjalnej lampy. Na języku dostrzegam włókna i zbieram je. Marino pomaga mi przełamać *rigor mortis* ramion i udaje nam się zdjąć kurtkę i koszulę denata, potem zdejmuję mu buty i skarpetki, a wreszcie spodnie od dresu i spodenki. Badam go PERK-iem i nie znajduję śladów urazów odbytu, niczego, co by wskazywało na praktyki homoseksualne. Odzywa się pager mojego przyjaciela. To znowu Stanfield. Dziś rano Marino ani słowem nie wspomniał o Rockym, ale jego duch unosi się w powietrzu.

Ciężka, bezradna udręka promieniuje z Marina niczym gorączka. Powinnam się martwić o to, co mi szykuje Rocky, ale mogę myśleć tylko o tym, co będzie z Marinem.

Teraz, kiedy pacjent leży przede mną nago, mam pełny obraz tego, kim był fizycznie. Sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, szczupły, waży sześćdziesiąt trzy kilogramy. Muskularne nogi, ale słabo rozwinięte mięśnie górnej części ciała, co jest naturalne u biegacza. Nie ma tatuaży, został obrzezany i wyraźnie dbał o siebie, co widać po porządnie utrzymanych paznokciach dłoni i stóp oraz gładko ogolonej twarzy. Na razie nie znajduję śladów zewnętrznych obrażeń, a zdjęcia rentgenowskie nie ujawniają obecności pocisków ani złamań. Ma stare blizny na kolanach i na lewym łokciu, ale nic świeżego oprócz zadrapań wynikających z tego, że go związano i zakneblowano. Co ci się stało? Dlaczego umarłeś? Milczy. Tylko Marino mówi głośno i dobitnie, żeby ukryć, jak dalece jest poruszony. Wydaje się bardziej zniecierpliwiony i arogancki niż zazwyczaj.

– Tak, pewnie, że byłoby miło, gdybyśmy to wiedzieli – ziej sarkazmem do telefonu na ścianie. – Śmierć nie bierze urlopów – dodaje po chwili. – Proszę powiedzieć komu trzeba, że przyjdę i mają mnie wpuścić. Tak, tak, tak. Taka pora. Aha, Stanfield, masz trzymać gębę na kłódkę, dobra? Dotarto? Jeżeli jeszcze raz przeczytam o tym w jakiejś pieprzonej gazecie... Ach, prawda, może jeszcze nie widziałeś miejscowej gazety. Wytnę dla ciebie dzisiejszy artykuł. Te brednie o Jamestown, zbrodnia na tle nienawiści i nietolerancji. Tylko piśnij, a dobiore ci się do dupy! Na swoje szczęście, jeszcze nie wiesz, co potrafię.

Wciąga nowe rękawiczki i wraca do wózka, a kitel płacze mu się wokół nóg.

– No, pani doktor, robi się coraz bardziej świrowato. Przyjmując, że ten gość tutaj to nasz zaginiony biegacz, wygląda na to, że mamy do czynienia

z nową odmianą kierowcy ciężarówki. Nienotowany. Żadnych kłopotów. Mieszkał z dziewczyną, która zidentyfikowała go na podstawie fotografii. Stanfield rozmawiał z nią wczoraj późnym wieczorem, ale dziś rano nie odbierała telefonu. – Na jego twarzy pojawia się wyraz niepewności, nie wie, ile mi już powiedziano.

– Przełożmy go na stół – mówię.

Ustawiam wózek równoległe do stołu sekcyjnego. Marino bierze denata za nogi, ja chwytam ramię i ciągniemy. Ciało uderza w stalową powierzchnię i z nosa wypływa strużka krwi. Odkręcam kran i woda bębni w stalowy zlew. Zdjęcia rentgenowskie zmarłego, rozpięte na podświetlonych ekranach, ukazują kości i czaszkę w idealnym stanie, pod różnymi kątami, a także zamek błyskawiczny kurtki treningowej, ześlizgujący się jak wąż po obu stronach wygięcia żeber. Kiedy przesuwam skalpel od barku do barku, a potem w dół przez brzuch, robiąc małe półkole, żeby ominąć pępek, na zewnątrz rozlega się dzwonek. Na ekranie wewnętrznego systemu monitorującego widzę doktora Sama Terry'ego i naciskam łokciem przycisk otwierający zewnętrzne drzwi. Sam jest jednym z naszych odontologów, czyli dentystów sądowych, który ma pecha i musi pracować w Wigilię.

– Myślę, że powinniśmy wpaść do niej z wizytą, jak będziemy w okolicy – ciągnie Marino. Mam jej adres, tej dziewczyny i osiedla, gdzie mieszkają.

– Patrzy na ciało. – Mieszkali.

– I myślisz, że Stanfield potrafi utrzymać język za zębami? – Odsuwam tkanekę krótkimi uderzeniami skalpela. Trzymam nieporadnie szczypcę czubkami palców, wystającymi spod gipsu.

– Tak. Mówi, że się z nami spotka w motelu, co nie jest przejawem życzliwości wobec właścicieli, którzy jęczą i narzekają, że to Wigilia i niepotrzebne im dalsze nasze najścia, bo wizyty policji już i tak źle

wpłynęły na interesy. Jakieś dziesięć osób odwołało rezerwację, usłyszawszy o całej tej historii. Brednie, tyle mogę powiedzieć. Większość ludzi, którzy się zatrzymują w tej dziurze, pewnie gównu wie, co tu się dzieje i nic ich to nie obchodzi.

Wchodzi doktor Terry, niosąc zniszczoną czarną torbę lekarską. Świeży kitel chirurgiczny, niezwiązany na plecach, powiewa wokół jego postaci, kiedy się do nas zbliża. Jest najmłodszym i najnowszym z naszych odontologów i ma dobrze ponad dwa metry wzrostu. Legenda głosi, że mógł zrobić karierę jako koszykarz w NBA, ale chciał się dalej kształcić. A prawda jest taka, i on sam to przyznaje, jak go zapytać, że był miernym obrońcą w drużynie stanu Wirginia, jedyne celne strzały oddał z broni palnej, jedyne dobre wyniki miał w kontaktach z kobietami, a dentystyką zajął się tylko dlatego, że nie mógł się dostać na medycynę. Terry rozpaczliwie chciał być patologiem sądowym. To, co robi praktycznie jako ochotnik, jest najbliższe jego marzeniom.

– Dziękuję, bardzo dziękuję – zwracam się do niego, gdy rozkłada papiery na podkładce z zaciskiem. – Dobry z ciebie kolega, Sam, że przyszedłeś nam dziś pomóc.

Uśmiecha się i kiwając głową w stronę kapitana, mówi swoim najbardziej przesadnym akcentem z New Jersey:

– Jak ci leci, Marino?

– Widziałeś kiedy, jak Grinch kradnie ludziom Boże Narodzenie? Bo jeśli nie, to pobądź tu ze mną trochę. Jestem w takim nastroju, że mam ochotę zabierać małym dzieciom zabawki i po drodze przez komin klepać po tyłkach ich matki.

– Nie próbuj włązić do komina, na pewno utkniesz.

– Cholera, ty byś mógł wyglądać przez komin, stojąc nogami w kominku. Jeszcze rośniesz?

– Nie tyle, co ty, chłopie. Ile teraz ważysz? – Terry przegląda karty dentystyczne, które przyniósł Marino. – No tak, to nie potrwa długo. Ma odwrócony prawy ząb przedtrzonowy i mnóstwo wypełnień. Co oznacza, że ten gość – unosi w górę karty – i wasz klient to ta sama osoba.

– Co powiesz na to, że drużyna Rams pobiła Louisville? – Marino przekrzykuje dudnienie lecącej wody.

– Byłeś na meczu?

– Nie, i ty chyba też nie, dlatego wygrali.

– Pewnie tak.

Biorę z wózka nóż chirurgiczny i w tej samej chwili dzwoni telefon.

– Sam, odbierzesz? – pytam.

Terry biegnie do kąta i łapie słuchawkę.

– Kostnica – oznajmia. Przycinam połączenie chrząstek żeber i wyjmuję trójkąt mostka i przymostkowych. – Chwileczkę – mówi Terry do swego rozmówcy. – Doktor Scarpetta? Czy może pani porozmawiać z Bentonem Wesleyem?

Pokój, w którym stoję, zamienia się w próżnię, wysysającą całe światło i dźwięk. Zastygam, patrząc w jeden punkt jak porażona, z nożem chirurgicznym w prawej dłoni, obleczony zakrwawioną rękawiczką.

– Co jest, kurwa? – wybucha Marino. Podchodzi do Terry'ego i wrywa mu słuchawkę. – Kto mówi, do cholery? – ryczy. – Psiakrew! – Rzuca słuchawkę na widełki. Najwyraźniej przerwano połączenie.

Terry sprawia wrażenie wstrząśniętego. Nie ma pojęcia, co się przed chwilą stało. Nie ma powodu, aby wiedział o Bentonie, chyba że mu ktoś powiedział, ale najwidoczniej tak się nie stało.

– Co dokładnie ten ktoś ci powiedział? – pyta go Marino.

– Mam nadzieję że nie zrobiłem nic niewłaściwego.

– Nie, nie. – Odzyskuję głos. – Nic – zapewniam go.

– Dzwonił jakiś mężczyzna – odpowiada. – Powiedział, że chce mówić z tobą i że się nazywa Benton Wesley...

Marino podnosi słuchawkę, klnie i pieni się, bo nie zdoła ustalić, kto dzwonił. Nigdy nie było nam potrzebne ustalanie tożsamości osób dzwoniących do kostnicy. Kapitan naciska kilka guzików i słucha. Zapisuje jakiś numer i wybiera go.

– No. Kto mówi? – pyta osobę, która odebrała telefon. – Gdzie? Dobra. Widziałeś kogoś, kto dzwonił z tego telefonu przed minutą? Z tego, z którego mówisz. Mhm. Nie wierzę ci, dupku. – Rzuca słuchawkę.

– Myślisz, że to ten sam, który dzwonił wcześniej? – pyta go zmieszany Terry. – Czego się dowiedziałeś?

– Dzwonił z automatu. Ze stacji Texaco przy Midlothiam Turnpike. Podobno. Nie wiem, czy to ten sam człowiek. Jaki miał głos? – Marino wbija wzrok w Terry'ego.

– Jak ktoś młody. Tak mi się zdaje. Nie wiem. Kto to jest Benton Wesley?

– Nie żyje. – Sięgam po skalpel, wkładam nowe ostrze i wyrzucam zużyte do jaskrawoczerwonego pojemnika na odpady stanowiące zagrożenie biologiczne. – Był moim przyjacielem, bliskim przyjacielem.

– Jakiś dupek robi chore dowcipy. Skąd ktoś może znać tutejszy numer telefonu? – Marino jest zdenerwowany, a właściwie już wściekły. Chce znaleźć tego, kto dzwonił i mu dołożyć. I bierze pod uwagę, że może za tym stać jego złowrogi syn. Czytam to w jego oczach. Myśli o Rockym.

– Z książki telefonicznej, pod instytucjami rządowymi. – Zaczynam przecinać naczynia krwionośne, odcinam tętnice szyjne, poruszam się ku dołowi, w stronę arterii biodrowych i żył miednicy.

– Nie mów mi, że w tej cholernej książce figuruje kostnica – warczy Marino, chcąc teraz zrzucić winę na mnie.

– Wydaje mi się, że numer jest pod informacjami pogrzebowymi – mówię spokojnie.

Przecinam cienki, płaski mięsień przepony, obluzowuję blok organów wewnętrznych i odcepiam go od kręgosłupa. Płuca, wątroba, serce, nerki i śledziona połyskują różnymi odcieniami czerwieni, kiedy kładę wszystko na desce do krojenia i obmywam z krwi łagodnym strumieniem zimnej wody. Dostrzegam krwotoki punkcikowate, ciemne obszary krwawienia, nie większe niż ukłucie szpilki, porozrzucane na płucach i sercu. Występują u osób, które miały trudności z oddychaniem w chwili śmierci lub niedługo przedtem.

Terry przynosi swoją czarną torbę do mojego stanowiska i stawiają na wózku z narzędziami chirurgicznymi. Pracujemy w milczeniu, przytłoczeni ciężarem tego, co się właśnie stało. Sięgam po większy nóż i rozcinam organy, zaczynając od serca. Arterie wieńcowe są otwarte i czyste, lewa komora szeroka na centymetr, zastawki normalne. Poza kilkoma pasemkami tłuszczu na aorcie serce i naczynia są zdrowe. Jedyne, co mu dolega, jest oczywiste – przestało bić. Z jakiegoś powodu serce tego człowieka stanęło. Szukam, ale nigdzie nie znajduję na to wytłumaczenia.

– Tak jak mówiłem, to łatwy przypadek – odzywa się Terry, robiąc notatki na karcie. W jego głosie słyhać zdenerwowanie. Żałuje, że odebrał telefon.

– To on? – pytam.

– Na pewno.

Arterie szyjne są jak szyny. Pomiedzy nimi leżą mięśnie języka i szyi, które ściągam w dół i usuwam, żeby je zbadać z bliska. W głębokiej tkance nie widać krwotoków. Maleńka, delikatna kość gnykowa, mająca kształt litery U, jest nienaruszona. Nie uduszono go. Kiedy odciągam skórę głowy, nie znajduję pod nią stłuczeń ani pęknięć. Włączam piłę Strykera do

rozgałęziacza nad stołem i uprzytamniam sobie, że będzie mi potrzebna druga ręka. Terry pomaga mi unieruchomić głowę, gdy przesuwam warczące, wirujące, półkoliste ostrze przez czaszkę. Gorący pył kostny unosi się w powietrzu, a pokrywa czaszki podnosi się z cichym odgłosem ssania i moim oczom ukazuje się poskręcany pagórek mózgu. Pobieżne oględziny me wykazują niczego nieprawidłowego. Pocięty w plastry, lśni jak kremowy agat o szarych, pomiętych krawędziach, kiedy go obmywam na desce. Zachowam mózg i serce do dalszych specjalistycznych badań, zakonserwuję je w formalinie i wyślę do Akademii Medycznej Wirginii.

Dzisiejszego ranka moja praca polega na wykluczaniu. Nie znalazłszy żadnych szczególnych, patologicznych przyczyn śmierci, muszę się opierać na przypuszczeniach. Drobne ślady krwawień w sercu i płucach, oparzenia i ślady więzów sugerują, że Mitch Barbosa umarł na arytmie spowodowaną stresem. Zakładam także, że w jakimś momencie wstrzymywał oddech albo nie mógł oddychać z powodu zatkania dróg oddechowych bądź z jakiegoś powodu miał takie trudności z oddychaniem, że się częściowo udusił. Może to wina knebla, który nasiąkł śliną. Jakakolwiek byłaby prawda, obraz, który się przede mną rysuje, jest prosty i straszny. Trzeba go jednak pokazać. Przydadzą się Terry i Marino.

Najpierw odcinam kilka kawałków grubego, białego sznurka, którym zwykle zaszywamy cięcia po sekcji. Mówię Marinowi, żeby podciągnął rękawy fartucha chirurgicznego i wyciągnął ręce przed siebie. Wiążę jeden koniec sznurka wokół jednego przegubu, a drugi wokół drugiego, niezbyt mocno, ale ciasno. Proszę go, żeby trzymał ręce przed sobą, a Terry ma ująć zwisające końce sznurka i pociągnąć ku górze. Terry jest na tyle wysoki, że może to zrobić, nie stając na krześle czy stołku. Sznurek natychmiast wpija się od dołu w nadgarstki detektywa, kierując się w stronę węzłów. Wypróbujemy rozmaite pozycje, z rękami złożonymi razem i ramionami

rozpostartymi jak przy ukrzyżowaniu. Oczywiście Marino przez cały czas stoi pewnie na podłodze, ani przez chwilę nie wisi.

– Jeżeli ciało jest zawieszona na rękach, jego ciężar utrudnia wydech – tłumaczę. – Można wdychać powietrze, ale wydech jest trudny, bo mięśnie międzybrowne są unieruchomione. Po pewnym czasie prowadzi to do uduszenia. Jeśli dodać do tego szok spowodowany bólem i torturami, strach i panikę, na pewno może dojść do arytmii.

– A co z krwotokiem z nosa? – Marino wyciąga ręce, a ja badam ślady, jakie sznur pozostawił na jego skórze. Kąt ich nachylenia jest podobny do tego, co zaobserwowałam u zmarłego.

– Zwiększone ciśnienie wewnątrzczaszkowe – wyjaśniam. – Przy wstrzymywaniu oddechu może dojść do krwawienia z nosa. Wobec braku obrażeń jest to prawdopodobne.

– Pytanie brzmi: czy ktoś miał zamiar go zabić? – odzywa się Terry.

– Większość ludzi nie wiązałyby kogoś i nie torturowała po to, żeby potem wypuścić więźnia i pozwolić mu o tym opowiedzieć – zauważam. – Zaczekam na razie ze stwierdzeniem przyczyn i okoliczności, dopóki nie zobaczymy, co ma do powiedzenia toksykologia. – Zatrzymuję wzrok na Marinie. – Ale myślę, że najlepiej potraktować to jako zabójstwo i to wyjątkowo brutalne.

Rozważamy to później, jadąc w stronę James City County. Kapitan wziął swój samochód, a ja zaproponowałam, żeby pojechać szosą numer 5, na wschód, wzdłuż rzeki, przez Charles City County, gdzie po bokach drogi osiemnastowieczne plantacje rozkładają się wachlarzem na rozległych terenach, które sięgają do okropnych ceglanych domostw i zabudowań Sherwood Forest, Westover, Berkeley, Shirley i Belle Air. Nie widać ani jednego autokaru, ciężarówki z drewnem czy też robót drogowych, a wiejskie sklepy są pozamykane. Jest Wigilia. Słońce prześwieca przez

niekończące się łuki starych drzew, plamy cienia pokrywają chodnik, a niedźwiedź Smoky pozdrawia nas z tablicy w tej miłej okolicy, gdzie w barbarzyński sposób zamordowano dwóch ludzi. Nie ma się wrażenia, że coś tak potwornego mogło się tu wydarzyć, dopóki nie dojeżdżamy do motelu i kempingu Fort James. Schowany w lesie z dala od szosy, jest mieszaniną domków, przyczep i baraków – pordzewiałych, z obłazującą farbą, które przypominają mi Hogan's Alley w akademii FBI: tanim kosztem wzniesione fasady, skąd prawo za chwilę wygarnie szemranych mieszkańców.

Biuro mieści się w niewielkim drewnianym budyneczku otoczonym skarłowaciałymi sosnami, których brązowe igły pokrywają dach i ziemię. Automaty z napojami i lodami przeświecają przez rozrośnięte krzaki od frontu. Popsute dziecinne rowery leżą w zaroślach, a stare huśtawki nie wzbudzają zaufania. Nieładna, stara, skundlona suka, umęczona nieustannym wydawaniem na świat szczeniąt, podnosi się i patrzy na nas z pochyłego ganku.

– Myślałam, że mamy się tu spotkać ze Stanfieldem – mówię, otwierając drzwiczki.

– Akurat. – Marino wysiada, jego oczy badają wszystko wokół.

Z komina unosi się welon dymu i niemal poziomo płynie z wiatrem, a przez okno widzę mrugające jaskrawo lampki świąteczne. Czuję na sobie śledzące nas oczy. Stoimy na ganku, czekając, pies podchodzi, obwąchuje mnie i liże moją rękę. Firanka porusza się, z wnętrza domu dochodzi przytłumiony dźwięk telewizora. Marino oznajmia nasze przybycie waleniem pięścią w drzwi.

– Hej! – woła wreszcie. – Jest tam kto? – Mocniej wali pięścią. – Policja!

– Idę, idę! – rozlega się zniecierpliwiony kobiecey głos. – Surowa, zmęczona twarz wypełnia szparę w uchylonych drzwiach, zabezpieczonych napiętym łańcuchem.

– Pani Kiffin? – pyta Marino.

– Kim pan jest? – odpowiada pytaniem.

– Kapitan Marino, Departament Policji Wirginii. To jest doktor Scarpetta.

– Po co pan przyprowadził doktora? – Marszczy czoło, przyglądając mi się z ciemnego wnętrza. Coś porusza się u jej stóp i wygląda ku nam dziecko, uśmiechające się jak chochlik.

– Zack, wracaj do środka. – Drobne nagie ramionka i dłonie o brudnych paznokciach obejmują kolano matki. Kobieta uwalnia się od chłopca. – Uciekaj! – Mały puszcza jej nogę i znika.

– Będzie nam pani musiała pokazać ten pokój, w którym był pożar – zwraca się do niej Marino. – Powinien tu być detektyw Stanfield z hrabstwa James City. Widziała go pani?

– Nie było tu dziś żadnej policji. – Zamyka drzwi, słysząc brzęk zdejmowanego łańcucha, po czym drzwi się otwierają, tym razem na oścież i kobieta wychodzi na ganek, wkładając jednocześnie czerwoną kurtkę, jaką noszą drwale. W dłoni ma dźwięczący pęk kluczy.

– Nigdzie nie idziesz. Zack, nie dobieraj się do surowego ciasta. Zaraz wracam! – woła w głąb domu. Zamyka drzwi. – Nie widziałam jeszcze, żeby ktoś tak lubił surowe ciasto jak to dziecko – wyjaśnia nam, kiedy schodzimy po schodach. – Czasem kupuję surowe bułki do upieczenia i kiedyś przyłapałam Zacka, jak zajadał jedną z nich, zdjął tylko papier jak skórkę z banana. Zanim go złapałam, zjadł połowę. Powiedziałam mu: Wiesz, co jest w środku? Surowe jajka, ot co.

Bev Kiffin zapewne nie ma więcej niż czterdzieści pięć lat, jej uroda jest ostra i krzykliwa jak kelnerki z baru, przy którym zatrzymują się ciężarówki, i z knajp otwartych do późna w noc. Ma tlenione, poskręcane jak u pudła włosy, dołeczki i figurę dojrzałej kobiety, przeistaczającej się w matronę. Jest w niej coś defensywnego i upartego, co kojarzy mi się z ludźmi przyzwyczajonymi do zmęczenia i kłopotów. Powiedziałabym też, że jest cwana. Będę podejrzliwa wobec każdego jej słowa.

– Nie chcę tu żadnych problemów – oznajmia. – Jakbym nie miała ich dosyć, zwłaszcza o tej porze roku. Wszyscy ci ludzie, którzy tu przyjeżdżają od rana do wieczora, żeby się pogapić i porobić zdjęcia.

– Jacy ludzie? – pyta Marino.

– Po prostu ludzie w samochodach, zatrzymują się przy podjeździe i gapią na motel. Niektórzy wysiadają i łążą mi tu. Dziś w nocy obudziłam się, kiedy ktoś przejeżdżał, była druga nad ranem.

Marino zapala papierosa. Idziemy w cieniu sosen zarośniętą ścieżką wydeptaną w śniegu, mijamy stare przyczepy, które wyglądają jak statki, niezdatne już do żeglugi. Obok stołu piknikowego leży kłęb różnych osobistych rzeczy, na pierwszy rzut oka wyglądających jak wyrzucone odpadki z kempingu. Ale potem widzę coś nieoczekiwanego, dziwnego: zabawki, lalki, książki, prześcieradła, dwie poduszki, koc, podwójny wózek dziecięcy – rzeczy brudne i przemoczone nie dlatego, że były nic niewarte i nieprzydatne, ale dlatego, że przez przeoczenie zostawiono je na deszczu i śniegu. Dokoła leżą powyrzucane, pocięte opakowania z plastiku; natychmiast kojarzę je ze strzępkami plastiku, który znalazłam przyklejony do poparzonych pleców pierwszej ofiary. Skrawki są biało-niebiesko-jaskrawopomarańczowe i zostały pocięte w wąskie paski, jak gdyby ten, kto to zrobił, miał zwyczaj nerwowego darcia wszystkiego na kawałki.

– Ktoś tu wyraźnie wyjechał w pośpiechu – komentuje Marino. Bev Kiffin mnie obserwuje.

– Może prysnął, nie płacąc? – pyta Marino.

– O, nie. – Mam wrażenie, że spieszno jej do niedużego, obskurnego motelu, widocznego zza drzew przed nami. – Zapłacili z góry, jak wszyscy. Rodzina z dwojgiem dzieci, mieszkali w namiocie i nagle się stąd zabrali. Nie wiem, czemu to wszystko zostawili. Niektóre rzeczy, jak ten wózek, są całkiem dobre. Oczywiście potem na wszystko spadł śnieg.

Podmuch wiatru rozrzuca strzępy opakowań jak konfetti. Podchodzę bliżej, trącam nogą poduszkę i przewracam ją na drugą stronę. Kucam, żeby spojrzeć z bliska, i czuję ostry, kwaśny zapach. Do spodu poduszki przyłgnęły włosy – długie blade, bardzo cienkie i pozbawione pigmentu. Serce mi wali jak nagłe uderzenia basowego bębna. Końcem palca dotykam podartych opakowań. Pokryty plastikiem materiał jest elastyczny, ale mocny, niełatwo go rozedrzeć, chyba że zaczyna się od końca, w którym krawędzie zostały zgrzane. Niektóre kawałki są spore i łatwe do rozpoznania – pochodzą z batoników karmelowo-fistaszkowych firmy PayDay. Udaje mi się nawet przeczytać adres strony internetowej producenta. Na kocu widzę inne włosy: krótkie, ciemne, włosy łonowe. I liczne długie, białe pasma.

– Batoniki PayDay – zwracam się do Marina. Otwieram torbę i patrzę na kobietę. – Zna tu pani kogoś, kto je dużo tych batoników i drze opakowania?

– To nie ode mnie z domu – odpowiada, jak gdybyśmy oskarżali ją albo Zacka o naganny pociąg do słodyczy.

Nie zabieram aluminiowej walizki z przyborami na miejsce zbrodni, jeśli nie ma ciała. Zawsze jednak wożę ze sobą na wszelki wypadek mocną torbę plastikową z jednorazowymi rękawiczkami, torebkami na dowody

rzeczowe, wacikami, niedużą fiolką wody destylowanej i zestawem do pobierania śladów prochu strzelniczego oraz paroma innymi niezbędnymi rzeczami. Zdejmuję zatyczkę i wyciągam patyczek z lepkiem końcem, którym posługuję się teraz, żeby zebrać trzy włosy z poduszki i dwa z koca. Zamykam patyczek w niedużej, przezroczystej plastikowej torebce.

– Pozwoli pani, że zapytam – zwraca się do mnie Bev Kiffin – po co pani to robi?

– Chyba zapakuję cały ten gnój, całe pole kempingowe i zabiorę do laboratorium. – Marino nagle jest wyciszony, spokojny jak doświadczony pokerzysta.

Umie rozmawiać z tą kobietą, a to teraz ważne, bo wie aż za dobrze, że osoby cierpiące na hipertrychozę mają jedyne w swoim rodzaju włosy, cienkie, pozbawione pigmentu, jak u niemowląt. Tylko że włosy niemowląt nie są tak długie, jak te, które Wilkołak pozostawił na miejscach swych zbrodni. Możliwe, że Jean-Baptiste Chandonne był tutaj.

– Sama pani zarządza tym wszystkim? – pyta Marino.

– W dużej mierze.

– Kiedy wyjechała ta rodzina z namiotu? To nie jest odpowiednia pogoda na kemping.

– Byli tutaj, tuż zanim zaczął padać śnieg. Pod koniec zeszłego tygodnia.

– Dowiedziała się pani, dlaczego wyjechali w takim pośpiechu? – pyta dalej Marino tym samym łagodnym tonem.

– Nie miałam od nich wiadomości, ani słowa.

– Będziemy się musieli dokładniej przyjrzeć temu, co zostawili.

Bev Kiffin dmucha na dłonie, żeby je rozgrzać, krzyżuje ręce i odwraca się tyłem do wiatru. Patrzy na swój dom i niemal widać, jak się zastanawia, jakie jeszcze kłopoty życie szykuje tym razem jej i jej rodzinie. Marino daje mi znak, żeby iść za nim.

– Niech pani tu zaczeka – mówi do Bev. – Zaraz wrócimy. Tylko weźmiemy coś z samochodu. Niech pani niczego nie dotyka, dobrze?

Kobieta patrzy, jak odchodzimy. Rozmawiamy ściszymi głosami. Wiele godzin przedtem, zanim Chandonne pojawił się w moich drzwiach, Marino szukał go ze specjalnym oddziałem i udało im się ustalić, gdzie się ukrywał – w Richmondzie, w domu, w którym prowadzono roboty renowacyjne, nad rzeką James, bardzo blisko mojego osiedla. Ponieważ rzadko albo wcale nie wychodził w dzień, nie został zauważony – chował się w remontowanym budynku, korzystając ze wszystkiego, co tam znalazł. Ale do tej chwili nie przyszło nam do głowy, że mógł się zatrzymać również gdzie indziej.

– Myślisz, że wystraszył tych z namiotu, żeby móc w nim zamieszkać? – Detektyw otwiera swój samochód i sięga do tyłu, gdzie, jak wiem, trzyma broń. – Bo muszę ci powiedzieć, że pierwsze, co zauważyliśmy, jakieśmy weszli do tamtego domu nad rzeką, to opakowania od batoników. Pełno papierków. – Bierze czerwoną skrzynkę z narzędziami i zatrzaskuje drzwiczki samochodu. – Wygląda na to, że ma słabość do słodyczy.

– Pamiętasz jakich? – Przypominam sobie wszystkie pepsi, które Chandonne wypił, kiedy go przesłuchiwała Berger.

– Jadł snickersy. Nie pamiętam, czy były tam też batoniki PayDay. Ale cukierki tak. I fistaszki. Takie małe torebki fistaszków. Teraz sobie przypominam, że wszystkie papierki były podarte.

– Chryste Panie – szepczę, nagle zmrożona do szpiku. – Ciekawa jestem, czy to możliwe, że ma niski poziom cukru we krwi. – Usiłuję myśleć o sprawach zawodowych, żeby odzyskać równowagę.

– Co on tu robił, do diabła? – mówi Marino, wpatrując się w oddaloną sylwetkę Bev Kiffin, aby się upewnić, że nie rusza niczego na kempingu,

który teraz stał się częścią miejsca zbrodni. – I jak się tu dostał, do cholery? Może jednak miał samochód?

– Czy były jakieś pojazdy w tym domu, gdzie się ukrywał? – pytam, kiedy wracamy, obserwowani przez samotną kobietę w czerwonej kurtce. Jej oddech wygląda jak kłęby dymu.

– Właściciele nie trzymali tam żadnych samochodów podczas trwania robót – odpowiada Marino bardzo cicho, aby Bev Kiffin nic nie usłyszała. – Może ukradł jakiś pojazd i zaparkował gdzieś, gdzie go nie zauważono. Zakładałem, że nawet nie umie prowadzić, sądząc po tym, że głównie siedział w piwnicy w domu swojej rodziny w Paryżu.

– Tak. Kolejne założenia – mówię, przypominając sobie, jak Chandonne twierdził, że jeździł na zielonym motocyklu i sprzątał chodniki. Wątpiłam w to, ale teraz już się waham. Jesteśmy z powrotem przy stole piknikowym. Marino stawia skrzynkę i otwiera ją. Wyjmuje i wkłada skórzane robocze rękawice, potem rozwija kilka wielkich, czarnych toreb na śmieci, a ja je przytrzymuję. Wypełniamy trzy torby, czwartą Marino rozcina, kawałkami czarnego plastiku owija wózek i okleja go taśmą. Robiąc to, tłumaczy właścicielce motelu, że możliwe, iż ktoś wystraszył rodzinę, która mieszkała w tym namiocie. Sugeruje, że może ktoś upomniał się o prawo do tego miejsca, nawet na jedną noc. Czy nie miała w jakiejś chwili wrażenia, że dzieje się coś nienormalnego, włączając w to pojawienie się w okolicy nieznanego samochodu w ostatnią sobotę? Pyta tak, jak gdyby w ogóle nie przychodziło mu do głowy, że Bev Kiffin mogłaby powiedzieć nieprawdę.

Wiemy oczywiście, że Chandonne nie mógł tu być później niż w sobotę, bo tego dnia został zatrzymany. Bev Kiffin nam nie pomoże. Nie zauważyła niczego nienormalnego poza tym, że któregoś dnia wyszła wcześniej po drewno na podpałkę i zobaczyła, że nie ma namiotu, ale pozostały rzeczy

należące do jego właścicieli, a przynajmniej część. Nie może przysiąc, ale im bardziej Marino naciska, tym bardziej jej się wydaje, że zauważyła brak namiotu około ósmej rano w zeszły piątek. Chandonne zamordował Dianę Bray w czwartek wieczorem. Czy uciekł potem i ukrył się w James City County? Wyobrażam sobie, jak się pojawia w namiocie, który zajmuje małżeństwo z małymi dziećmi. Całkiem możliwe, że jedno spojrzenie na niego wystarczyło, żeby wskoczyli w samochód i czym prędzej odjechali, nawet się nie pakując.

Niesiemy worki do samochodu Marina. Bev Kiffin ponownie czeka, aż wrócimy, stoi z rękoma w kieszeniach, twarz ma zaczerwienioną z zimna. Motel widoczny jest naprzeciwko, za sosnami – niewielkie białe pudełko, dwupiętrowe, z oknami i drzwiami pomalowanymi na ciemnozielone. Za budynkiem ciągnie się las, a dalej płynie szeroki strumień, odgałęzienie rzeki James.

– Ilu ma pani w tej chwili gości w motelu? – zwraca się Marino do kobiety, która prowadzi tę śmiertelną pułapkę dla turystów.

– Teraz? Jakież trzynaście osób, chyba że ktoś jeszcze wyjechał. Niektórzy po prostu zostawiają klucze w pokoju i nie wiem, czy wyjechali, dopóki nie pójde sprzątnąć. Wie pan, zostawiłam papierosy w domu – mówi do Marina, nie patrząc na niego. – Czy mogę?

Detektyw stawia skrzynkę z narzędziami na ścieżce, wytrząsa papierosa z paczki i podaje kobiecie ogień. Kiedy Bev wciąga dym, jej górna warga marszczy się jak krepina. Zaciąga się głęboko i wydmuchuje dym kątem ust. Mój głód tytoniu odżywa. Pęknięty łokieć skarży się na zimno. Nie mogę przestać myśleć o rodzinie z namiotu i jej przerażeniu – jeśli naprawdę pojawił się tu Chandonne, a ta rodzina rzeczywiście istnieje. Jeżeli przyjechał tu zaraz po zamordowaniu Dianę Bray, to co się stało z jego ubraniem? Musiał być cały zakrwawiony. Czy opuścił jej dom,

zjawił się tutaj cały we krwi, wystraszył nieznanomych mieszkańców namiotu i nikt nie wezwał policji ani nie powiedział o tym ani słowa?

– Ile osób było tu przedwczoraj wieczorem, kiedy wybuchł pożar?

– Marino podnosi swoją skrzynkę i idziemy dalej.

– Dużo się zarejestrowało. – Kiffin nie jest pewna. – Nie wiem, kto nadal tu był. Zameldowało się jedenaście osób włącznie z nim.

– Włącznie z tym, który zginął w pożarze? – Teraz moja kolej, żeby zadawać pytania.

– Zgadza się. – Bev Kiffin rzuca mi spojrzenie.

– Proszę nam powiedzieć, kiedy przyjechał i się zarejestrował – odzywa się Marino. Idziemy, zatrzymujemy się na chwilę, żeby się rozejrzeć i znowu ruszamy. – Widziała pani, jak podjechał, tak jak my przed chwilą? Wydaje mi się, że samochody zatrzymują się przed pani domem.

Kiffin kręci głową.

– Nie. Nie widziałam żadnego samochodu. Zapukał do drzwi i otworzyłam. Poprosiłam, żeby przeszedł do biura obok. Miał miły wygląd, był dobrze ubrany, nie wyglądał jak ci, którzy zwykle tu przyjeżdżają, to jasne jak słońce.

– Powiedział pani, jak się nazywa? – pyta Marino.

– Zapłacił gotówką.

– Więc jeśli ktoś płaci gotówką, nie każe mu pani niczego wypełniać?

– Może, jeśli chce. Nie musi. Mam bloczek z blankietami do rejestracji, które można wypełnić, a ja potem oddzieram pokwitowanie. Powiedział, że nie jest mu potrzebne.

– Miał jakiś akcent albo coś szczególnego w wymowie?

– Nie mówił tak, jakby był z tych stron.

– Mogłaby pani określić, skąd był? Z północy? Może był cudzoziemcem? – ciągnie Marino, kiedy przystajemy znowu pod sosnami.

Bev Kiffin rozgląda się wkoło i namyśla, paląc papierosa. Idziemy za nią błotnistą ścieżką na parking motelu.

– Nie był z głębokiego południa – stwierdza. – Ale nie mówił tak, jakby był cudzoziemcem. Wie pan, w ogóle mało się odzywał. Miałam wrażenie, jakby się śpieszył albo czymś denerwował, nie w głowie mu były pogaduszki. – A ja mam wrażenie, że kompletnie zmyśla. Nawet ton jej głosu się zmienia.

– Czy ktoś mieszka w tych przyczepach?

– Wynajmuję je. Ludzie nie przyjeżdżają teraz z przyczepami. To nie sezon.

– Czy ktoś je teraz wynajmuje?

– Nie. Nikt.

Przed motelem, obok automatu z coca colą i budki telefonicznej ustawiono podarty fotel. Na parkingu stoi kilka samochodów, amerykańskich i nienowych. Ford granada, ltd, firebird. Właściciele nie widać.

– Kto tu przyjeżdża o tej porze roku? – pytam.

– Różni. – Przecinamy parking przy południowym końcu budynku. Oglądam mokry asfalt.

– Ludzie, którym się nie układa. Dużo ich o tej porze roku. Kłóca się i jedno z nich wychodzi albo dostaje kopa i szuka, gdzie by się zatrzymać. A także ludzie, którzy jadą z daleka z wizytą do rodziny i chcą tanio przenocować. Albo kiedy rzeka wylewa, tak jak dwa miesiące temu, niektórzy tu przyjeżdżają, bo mogą wziąć zwierzęta. I turyści.

– Turyści zwiedzający Williamsburg i Jamestown? – pytam.

– Sporo ludzi przyjeżdża, żeby obejrzeć Jamestown. Rozkręciło się od czasu, jak zaczęli tam odkopywać te groby. Ludzie są dziwni.

Rozdział 22

Pokój numer 17 mieści się na pierwszym poziomie, na samym końcu budynku. Żółta wstążka policyjnej taśmy, jaką odgradza się miejsca zbrodni, przecina drzwi. Miejsce jest odosobnione, na skraju gęstego lasu, niczym bufor oddzielającego motel od drogi numer 5.

Szczególnie interesuje mnie roślinność albo śmieci na asfalcie na wprost pokoju, gdzie ratownicy znaleźli ciało. Spostrzegam ziemię, kawałki zeschniętych liści i niedopałki papierosów. Zastanawiam się, czy fragment papierka od batonika, który znalazłam przylepiony do pleców zmarłego, pochodził z pokoju czy stąd, z parkingu. Jeśli pochodził z pokoju, mogłoby to oznaczać, że zabójca przyniósł go ze sobą albo przechodził przez opuszczony kemping lub obok niego przed morderstwem, chyba że ten skrawek papieru był już wcześniej w pokoju, może został przyniesiony tam przez samą Bev Kiffin, kiedy przyszła posprzątać po wyjeździe ostatniego gościa. Dowód jest rzeczą złudną. Zawsze trzeba wziąć pod uwagę jego pochodzenie i nie można wyciągać wniosków, biorąc pod uwagę wyłącznie miejsce, gdzie się go znalazło. Na przykład włókna na ciele mogły zostać przyniesione przez zabójcę z dywanu, gdzie pierwotnie pozostawił je ktoś, kto wniósł je do domu z siedzenia samochodu, na którym pozostawił je jeszcze ktoś inny.

– Czy prosił o jakiś konkretny pokój? – pytam właścicielkę, która próbuje otworzyć drzwi kolejnym kluczem z kółka.

– Powiedział, że chce coś odosobnionego. Pokoje obok siedemnastki były puste, więc mu ją dałam. Co pani sobie zrobiła w rękę?

– Pośliznęłam się na lodzie.

– Och, fatalnie. Długo pani będzie w gipsie?

– Już niedługo.

– Czy miała pani wrażenie, że mógł z nim ktoś być? – pyta Marino.

– Nikogo nie widziałam. – Z kapitanem rozmawia sucho, ale w stosunku do mnie jest bardziej przyjazna. Podchwytuję jej częste spojrzenia i mam przykre uczucie, że widziała moje zdjęcia w prasie albo w telewizji.

– Od czego jest pani lekarzem? – pyta mnie.

– Jestem koronerem.

– Och. – Rozpromienia się. – Jak Quincy. Przepadałam za jego programem. Pamięta pani ten odcinek, w którym potrafił powiedzieć wszystko o człowieku na podstawie jednej kości? – Przekręca klucz w zamku i otwiera drzwi. Powietrze robi się cierpkie od przykrego zapachu spalenizny. – To było nadzwyczajne. Umiał podać rasę, płeć, nawet czym się ten ktoś zajmował, ile miał wzrostu i dokładnie kiedy i jak umarł, wszystko z jednej niedużej kości.

Drzwi otwierają się na pomieszczenie, w którym jest ciemno i brudno jak w kopalni węgla.

– Nie potrafię powiedzieć, ile mnie będzie kosztował remont – mówi, kiedy wchodzimy do pokoju. – Ubezpieczenie nie pokryje czegoś takiego. Nigdy nie pokrywa. Przeklęte firmy ubezpieczeniowe!

– Proszę, żeby pani zaczekała na zewnątrz – zwraca się do niej Marino.

Światło sączy się do pokoju tylko przez otwarte drzwi. Rozróżniam kształt podwójnego łóżka. W jego centrum, tam gdzie materac spalił się do

sprężyn, widnieje krater. Marino zapala latarkę i długi palec światła porusza się po pokoju, zaczynając od szafy przy drzwiach, na prawo od wejścia, gdzie stoję. Dwa pogieęte druczane wieszaki wiszą na drewnianym pręcie. Łazienka jest na lewo od drzwi, a pod ścianą naprzeciwko łóżka stoi komoda. Coś na niej leży. Książka. Jest otwarta. Marino podchodzi bliżej, żeby na nią poświecić.

– Biblia – mówi.

Światło przesuwa się do najdalszego końca pokoju, gdzie pod oknem i tylnymi drzwiami stoją dwa krzesła i stolik. Z tego, co widzę, ogień zniszczył tylko łóżko, które tliło się, wydzielając kłęby gęstego dymu. Wszystko w pokoju pokryte jest sadzą i to stanowi nieoczekiwany podarunek dla prowadzących śledztwo.

– Wszystko się okopciło – wyrażam głośno swoje zdumienie.

– Hę? – Marino świeci dokoła latarką, a ja wyciągam telefon komórkowy.

Nie widzę żadnych śladów, które by wskazywały, że Stanfield szukał tu utajonych odcisków palców, nie żebym miała o to do niego pretensję. Większość prowadzących śledztwo uznałaby, że zniszczenia spowodowane gęstym dymem i sadzą zetrą odciski palców, podczas gdy w rzeczywistości jest odwrotnie. Wysoka temperatura i sadza konserwują ślady. Istnieje nawet stara metoda, stosowana w laboratoriach, nazywana „zadymianiem”, stosowana na nieporowatych powierzchniach, takich jak lśniące metale. Daje ona efekt podobny do teflonu, jeśli wykorzystuje się tradycyjny proszek. Utajone odciski palców odbijają się na jakimś przedmiocie dlatego, że powierzchnie trące palców i dłoni zawierają szczątkowe ilości tłuszczu. Właśnie ten tłuszcz pozostaje na rozmaitych powierzchniach – na klamce, na szklance, na szybie. Ciepło zwiększa ilość wydzielania tłuszczu, a wtedy przywierają do niego dym i sadza. Przy ochłodzeniu utrwalają się

lub twardnieją i wtedy można ostrożnie usunąć sadzę, podobnie jak proszek. Przed wynalezieniem nowocześniejszych metod i zmiennych źródeł światła, wywoływanie odcisków palców za pomocą spalonych drzazg sosnowych, kamfory i magnezu nie było niczym nadzwyczajnym. Jest bardzo możliwe, że w tym pokoju pod warstwą sadzy kryje się cała galaktyka już utrwalonych odcisków palców.

Dzwonię do domu Nielsa Vandera, szefa sekcji odcisków palców, i opisuję sytuację. Obiecuje, że spotka się z nami w motelu za dwie godziny. Marina pochłaniają inne kwestie. Jego uwagę przykuwa miejsce nad łóżkiem, na które kieruje teraz światło.

– Jasny gwint – mruczy. – Możesz na to spojrzeć? – Oświetla dwie osmalone śruby oczkowe wkręcone w sufit, oddalone jedna od drugiej o jakieś dziewięćdziesiąt centymetrów. – Hej! – woła do Bev Kiffin.

Kobieta zagląda do pokoju i patrzy w miejsce, które oświetla latarka.

– Ma pani jakieś pojęcie, po co wkręcono w sufit te śruby? – pyta Marino.

Na jej twarzy pojawia się dziwny wyraz, a głos podnosi się o ton, moim zdaniem jak wtedy, kiedy ktoś chce uniknąć odpowiedzi.

– Nigdy przedtem ich nie widziałam. Ciekawa jestem, co się tu stało? – mówi.

– Kiedy była pani ostatni raz w tym pokoju? – kontynuuje detektyw.

– Dwa dni przed jego przyjazdem. To znaczy, jak sprzątałam po wyjeździe poprzedniego gościa.

– Tych śrub wtedy tu nie było?

– Nie zauważyłam, czy były.

– Niech pani zaczeka na zewnątrz, na wypadek gdybyśmy mieli jeszcze jakieś pytania.

Wkładamy oboje rękawiczki. Marino rozczapierza palce, guma rozciąga się i strzela. Okno obok tylnych drzwi wychodzi na basen pełen brudnej wody. Na wprost łóżka stoi mały telewizor marki Zenith z przylepioną kartką przypominającą gościom, żeby go wyłączyli przed opuszczeniem pokoju. Pokój wygląda w dużej mierze tak, jak go opisał Stanfield, ale detektyw nie wspominał o otwartej na komodzie Biblii ani o tym, że na prawo od łóżka, nad podłogą, jest gniazdko elektryczne, od którego odłączono dwa sznury – jeden od lampy stojącej na stoliku przy łóżku, a drugi od zegarka z radiem. To urządzenie starego typu, nie cyfrowe. Kiedy je wyłączono, wskazówki zatrzymały się na trzeciej dwanaście po południu. Marino ponownie woła Bev Kiffin do pokoju.

– O której powiedziała pani, że się zameldował?

– Och, około trzeciej. – Stoi w drzwiach i bezmyślnie wpatruje się w zegarek. – Wygląda na to, że wszedł i wyłączył zegar i lampę, prawda? To dziwne, chyba że chciał włączyć coś innego i potrzebne mu było gniazdko. Niektórzy z tych typów od biznesu zawsze mają ze sobą laptopy.

– A zauważyła pani, czy on miał? – Marino rzuca jej baczne spojrzenie.

– Nic nie zauważyłam oprócz czegoś, co wyglądało jak klucz od samochodu i portfela.

– Nic pani nie mówiła o portfelu. Widziała go pani?

– Wyjął go, żeby mi zapłacić. Pamiętam, że był z czarnej skóry. Wyglądał na kosztowny, jak wszystkie jego rzeczy. Mógł być z krokodyla czy czegoś w tym rodzaju – dodaje.

– Ile pani dał gotówki i w jakich banknotach?

– Banknot studolarowy i cztery dwudziestki. Nie chciał reszty. Rachunek wynosił sto sześćdziesiąt dolarów i siedemdziesiąt centów.

– Ach tak. Specjalna oferta, szesnaście zero siedem – stwierdza detektyw monotonnym głosem. Czuję, że Bev Kiffin mu się nie podoba. Na pewno

nie wierzy jej za grosz, ale zatrzymuje to dla siebie. Gdybym go tak dobrze nie znała, zwiódlłby nawet mnie. – Ma tu pani jakąś drabinkę? – brzmi jego kolejne pytanie.

Kobieta się waha.

– No, chyba tak. – Wychodzi, zostawiając drzwi szeroko otwarte. Marino klęka, żeby obejrzeć z bliska gniazdko i wyłączone sznury.

– Myślisz, że to tutaj podłączyli palnik? – zastanawia się głośno.

– Możliwe. Jeżeli rzeczywiście mówimy o palniku.

– Używałem takich palników do odmrażania rur i usuwania lodu ze stopni przed domem. Działa jak marzenie. – Zagląda pod łóżko, świecąc latarką. – Nigdy nie miałem sprawy, gdzie wykorzystano by go do czegoś takiego. Jezu, ten człowiek musiał być dobrze zakneblowany, skoro nikt go nie słyszał. Ciekawe, dlaczego wyłączyli jedno i drugie, lampę i zegar?

– Może żeby nie wysadziły korków?

– W takiej norze, tak, to możliwe. Palnik ma pewnie taką moc jak suszarka do włosów, sto dwadzieścia lub sto dwadzieścia pięć woltów. A przy suszarce pewnie w całej tej dziurze wy siadłoby światło.

Podchodzę do komody i patrzę na Biblię. Jest otwarta na szóstym i siódmym rozdziale Eklezjasty, stronice pokrywa sadza. Błat komody pod Biblią został oszczędzony, co wskazuje, że leżała w tej pozycji, kiedy wybuchł ogień. Pytanie, czy była otwarta tak jak teraz, zanim ofiara się wprowadziła i czy w ogóle należy do tego pokoju. Mój wzrok przesuwają się po linijkach i zatrzymuje na pierwszym wersecie siódmego rozdziału: „Lepsze jest dobre imię niż wonne olejki, a dzień śmierci niż dzień urodzenia”. Czytam go na głos Marinowi. Mówię mu, że ta część dotyczy próżności.

– Jakby pasuje, no nie? – komentuje.

Z zewnątrz dobiega brzęk aluminium i w drzwiach pojawia się Bev Kiffin, wpuszczając do pomieszczenia powiew zimnego powietrza. Marino bierze od niej pociętą, pochłapaną farbą drabinkę i rozstawia. Wspina się na nią i świeci latarką na śruby.

– Cholera, chyba muszę sobie sprawić nowe okulary. Nic nie widzę – stwierdza.

– Mam spojrzeć? – proponuję.

– Proszę bardzo. – Schodzi na dół.

Wyjmuję z torby niewielkie szkło powiększające i wchodzę na drabinkę. Marino podaje mi latarkę i oglądam śruby. Nie dostrzegam żadnych włókien. Jeśli nawet są, nie uda nam się ich tu zebrać. Problem w tym, jak zabezpieczyć jedne ślady, nie niszcząc innych, które mogły pozostać na śrubach: odciski palców, włókna i ślady narzędzi. Jeśli usuniemy sadzę w poszukiwaniu odcisków palców, możemy stracić włókna, które być może pasują do sznura przeciągniętego być może przez oczka śrub, których także nie da się odkręcić bez zostawiania na nich nowych śladów narzędzi, zakładając, że posłużylibyśmy się obcęgi. Największe ryzyko to nieumyślne usunięcie odcisków palców. Prawdę mówiąc, warunki i oświetlenie są tak fatalne, że nie powinniśmy niczego badać tu, na miejscu. Przychodzi mi do głowy pewien pomysł.

– Gdybyś mógł mi podać dwie torebki – mówię do Marina. - I taśmę. Podaje mi dwie małe, przezroczyste, plastikowe torebki. Nakładam po jednej na każdą ze śrub i ostrożnie owijam taśmą, uważając żeby nie dotknąć żadnej części śruby ani sufitu. Schodzę z drabinki. Marino otwiera skrzynkę z narzędziami.

– Przykro mi, że pani to robię – zwraca się do właścicielki motelu, czatującej przy drzwiach, z rękami głęboko w kieszeniach, starającej się nie marznąć. – Ale będę musiał wyciąć kawałek sufitu.

– Jakby to miało zrobić wielką różnicę – odpowiada kobieta z rezygnacją. A może błędnie odczytuję w jej głosie obojętność? – Wszystko jedno – dodaje.

Ciągle się zastanawiam, dlaczego ogień tylko się tlił. Naprawdę na tym utknęłam. Pytam Bev Kiffin o rodzaj pościeli i pokrycia materaca w tym pokoju.

– Były zielone. – W tej kwestii wydaje się pewna siebie. – Pokrowiec na materacu był ciemnozielony, mniej więcej tego koloru, na jaki są pomalowane drzwi. Ale nie wiemy, co się stało z pościelą. Prześcieradła były białe.

– Wie pani, z czego były zrobione?

– Jestem całkiem pewna, że kapy są z poliestru.

Poliester jest tak łatwopalny, że kiedy mam lecieć samolotem, staram się pamiętać, aby nie wkładać niczego syntetycznego. Gdyby doszło do przymusowego lądowania i samolot by się zapalił, ostatnie, co bym chciała mieć na sobie, to poliester. Równie dobrze mogłabym się polać benzyną. Gdyby w chwili podpalenia na łóżku była kapa z poliestru, najpewniej cały pokój stanąłby w płomieniach i to szybko.

– Gdzie pani kupiła materace? – pytam.

Waha się. Nie chce mi powiedzieć. W końcu się decyduje i moim zdaniem mówi prawdę.

– No cóż, nowe są okropnie drogie, więc jeśli się da, kupuję używane.

– Skąd?

– Z tego więzienia, które zamknęli w Richmondzie parę lat temu.

– Spring Street?

– Zgadza się. Ale nie kupiłam niczego, na czym sama bym nie chciała spać. – Broni swojego wyboru. – Wybrałam najnowsze.

To może wyjaśniać, dlaczego materac tylko się tlił, a nie zapalił. W szpitalach i więzieniach materace są mocno nasączone środkami przeciwzapalnymi. I oczywiście, zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, podpalacz nie pozostał tu tak długo, aby zobaczyć, że ogień wygasł sam.

– Proszę pani – pytam – czy w każdym pokoju jest Biblia?

– To jedyne, czego nie kradną. – Unika odpowiedzi, w jej głosie znowu pojawia się podejrzliwość.

– Czy wie pani, dlaczego ten egzemplarz jest otwarty na Księdze Eklezjasty?

– Ja nie chodzę i nie otwieram Biblii. Kładę je tylko na komodzie. Nie otworzyłam też tej. – Waha się. – Widać go zamordowano, inaczej nikt nie zadawałby sobie tyle trudu – dodaje.

– Musimy zbadać wszystkie możliwości – zauważa Marino, wchodząc znowu na drabinkę.

W rękę trzyma niedużą piłkę, bardzo pomocną w takich miejscach, bo ma wzmocnione zęby, ustawione prosto, a nie pod kątem. Można nią wycinać elementy *in situ*, czyli na miejscu, takie jak gzymsy, deski, rury, czy też jak w tym wypadku, belki.

– Ciężko mi idzie – oświadcza pani Kiffin. – Jestem sama, męża nigdy nie ma.

– Co robi pani mąż? – pytam.

– Jest kierowcą ciężarówki w Cwerland Transfer.

Marino zaczyna odrywać z sufitu płytki, wokół tych, w które wkręcone są śruby.

– Nie sędzę, żeby często bywał w domu – zauważam.

Jej dolna warga drży niemal niezauważalnie, a w oczach pojawia się smutek.

– Nie chcę tutaj morderstwa. O Boże, to mi strasznie zaszkodzi.

– Czy możesz mi poświecić? – Marino nie reaguje na nagłą potrzebę współczucia właścicielki motelu.

– Morderstwo szkodzi wielu osobom. – Kieruję światło latarki na sufit, a zdrową ręką przytrzymuję drabinę. – To smutny, niesprawiedliwy fakt, proszę pani.

Kapitan zaczyna piłować, w dół sypią się trociny.

– Nikt tu nigdy nie umarł – narzeka dalej Bev Kiffin. – Nic gorszego nie może się przytrafić w hotelu.

– Hej! – woła do niej z góry Marino, przekrzykując odgłos piłowania. – Zapewne ta reklama przyciągnie do pani gości.

Kiffin posyła mu ponure spojrzenie.

– Takie typy niech się trzymają jak najdalej.

Na podstawie zdjęć pokazanych mi przez Stanfielda poznaję fragment ściany, o którą oparte było ciało i orientuję się ogólnie, gdzie leżało ubranie. Wyobrażam sobie nagą ofiarę na łóżku, z rękami uniesionymi ku górze, związanymi sznurem przeciągniętym przez oczka śrub w suficie. Mógł klęczeć albo nawet siedzieć, był tylko częściowo uniesiony. Ale rozkrzyżowane ramiona i knebel utrudniały oddychanie. Dyszy, walczy o oddech, serce wali mu dziko z paniki i bólu, widzi jak ktoś włącza palnik, słyszy syk powietrza. Nigdy nie umiałam pojąć ludzkiej potrzeby zadawania tortur. Znam jej naturę, wiem, że chodzi o chęć dominacji nad kimś, że to ostateczne zademonstrowanie władzy. Ale nie potrafię zrozumieć, że sprawianie żywej istocie bólu może być źródłem satysfakcji, zemsty czy przyjemności seksualnej.

Mój centralny układ nerwowy jeży się i wzdryga, puls mi wali. Pocę się pod płaszczem, choć w pokoju jest tak zimno, że widzimy swoje oddechy.

– Proszę pani – zwracam się do właścicielki – pięć dni, specjalna oferta biznesowa? O tej porze roku? – Milknę, a na twarzy Bev Kiffin pojawia się

wyraz zmieszania. Nie zna moich myśli. Nie widzi tego, co ja. Nie może sobie nawet wyobrazić potworności, które rekonstruuje, stojąc w tym tanim pokoju motelowym z używanymi więziennymi materacami. – Dlaczego przyjechał na pięć dni w świątecznym tygodniu? – pytam. – Czy powiedział coś, cokolwiek, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego się tu pojawił, co robił, skąd pochodził? Poza pani spostrzeżeniem, że mówił jak ktoś nietutejszy?

– Nie pytałam. – Kobieta obserwuje pracującego na drabinie Marina. – Może powinnam. Niektórzy dużo mówią i opowiadają więcej, niż się chce usłyszeć. Inni nie chcą, żeby się wtrącać w ich sprawy.

– A jakie zrobił wrażenie na pani? – drążę dalej.

– Panu Fistaszkowi się nie podobał.

– Kto to jest Pan Fistaszek, do licha? – Marino podaje mi płytkę z sufitu, z dwunastocentymetrowym kawałkiem belki, w który została wkręcona śruba oczkowa.

– Nasza suka. Pewnie ją państwo zauważyli, jak tu przyszliście. Wiem, że to dziwne imię dla suki, która miała tyle szczeniaków, ale to Zack ją tak nazwał. Szczekała jak szalona, kiedy ten gość stanął w drzwiach. Nie chciała do niego podejść, cała się zjeżyła.

– A może pies szczekał i był zdenerwowany, bo ktoś był w pobliżu? Ktoś, kogo pani nie widziała? – podsuwam jej wyjaśnienie.

– Może być.

Druga płytką została zdjęta z sufitu; Marino schodzi, drabina trzęsie się pod jego ciężarem. Idzie do skrzynki z narzędziami po rolkę pergaminu i taśmę, pakuje płytki w zgrabne paczuszki, a ja wchodzę do łazienki, świecąc wokół latarką. Wszystko jest szpitalnie białe, na blacie widzę żółtawe ślady, prawdopodobnie po zapalonych papierosach, pozostawionych tam przez gości w trakcie golenia, robienia makijażu czy układania włosów. Widzę coś jeszcze, co przeoczył Stanfield. Wewnątrz

muszli zwisa kawałek nitki do zębów. Ujmuję go palcami w rękawiczce. Ma około trzydziestu centymetrów długości, część jest mokra od wody w toalecie, a środek bladoczerwony, jakby komuś, kto jej używał, krwawiły dziąsła. Ponieważ ostatnie znalezisko nie jest zupełnie suche, nie zamykam go w plastiku, lecz umieszczam w kawałku pergaminu, który następnie składam. Prawdopodobnie mamy DNA. Pytanie tylko, do kogo należy.

Marino i ja wracamy do samochodu o wpół do drugiej. Kiedy pani Kiffin otwiera drzwi frontowe, żeby wejść z powrotem do domu, ze środka wypada Pan Fistaszek. Gdy odjeżdżamy, biegnie za nami, szczekając. W bocznym lusterku widzę, jak kobieta krzyczy na psa.

– Wracaj tu natychmiast! – Klaszcze w ręce ze złością. – Chodź mi tu zaraz!

– Jakiś dupek przerywa tortury, żeby sobie przeczyścić nitką zęby? – zastanawia się detektyw. – O co tu chodzi, do diabła? Bardziej prawdopodobne, że tam wisiła od zeszłej Gwiazdki.

Pan Fistaszek jest teraz tuż przy moich drzwiach. Samochód podskakuje na wybojach niebrukowanej drogi prowadzącej do szosy numer 5.

– Chodź tu zaraz! – wrzeszczy Bev Kiffin, schodząc po stopniach i klaszcząc.

– Cholerny pies – narzeka Marino.

– Zatrzymaj samochód! – Boję się, że przejedziemy to nieszczęsne zwierzę.

Marino naciska na hamulec i samochód staje. Suka podskakuje, szczekając, jej łeb pojawia się w moim oknie i znika.

– Co się dzieje? – Jestem zaskoczona. Zwierzak ledwo się nami zainteresował, kiedy przyjechaliśmy kilka godzin wcześniej.

– Wracaj! – Kobieta nadchodzi w ślad za psem. W tle za nią, w otwartych drzwiach pojawia się dziecko, ale nie chłopczyk, którego

widzieliśmy wcześniej, tylko ktoś równie wysoki jak ona.

Wysiadam. Pan Fistaszek zaczyna machać ogonem i ociera się pyskiem o moją dłoń. Biedne zwierzę jest brudne i brzydko pachnie. Biorę je za obrozę i ciągnę w kierunku domu, ale suka nie chce odejść od samochodu.

– Chodź – mówię do niej. – Wracaj do domu, zanim ktoś cię przejedzie. Bev Kiffin podchodzi, rozwścieczona i daje psu mocnego kuksańca w łeb. Pan Fistaszek piszczy jak zranione jagnię, chowa ogon i kuli się, drżąc.

– Masz mnie słuchać, rozumiesz? – Kobieta wściekle grozi psu palcem.
– Jazda do domu!

Pan Fistaszek chowa się za mnie.

– Jazda!

Suka siada na ziemi za mną i cała drżąc, przyciska się do moich nóg. Postać, którą widziałam w drzwiach znikła, ale na ganku pojawia się Zack. Ubrany jest w dżinsy i bluzę, o wiele na niego za duże.

– Chodź tu, Fistaszek – nawołuje, pstrykając palcami. Sprawia wrażenie równie przerażonego jak pies.

– Zack! Nie każ sobie powtarzać, że masz wracać do domu! – krzyczy na chłopca matka.

Okrucieństwo. Kiedy odjedziemy, pies dostanie lanie. Może i dziecko też. Bev Kiffin jest gwałtowną, sfrustrowaną kobietą. Życie sprawiło, że czuje się bezsilna, ale cała w środku gotuje się z bólu, gniewu i żalu z powodu niesprawiedliwości całego świata. A może jest po prostu niedobra i może biedna Pan Fistaszek biegnie za samochodem Marina, bo chce, żebyśmy ją zabrali ze sobą i uratowali. Ta fantazja absorbuje moje myśli.

– Pani Kiffin – mówię spokojnym głosem władzy, tym bardzo chłodnym tonem, którym posługuję się, kiedy chcę komuś napędzić porządnego stracha. – Niech pani nie dotyka Pana Fistaszka, chyba że zrobi to pani

delikatnie. Jestem szczególnie uczulona na ludzi, którzy krzywdzą zwierzęta.

Jej twarz ciemnieje, błyska na niej złość. Kieruję wzrok w sam środek jej źrenic.

– Jest prawo zabraniające znęcania się nad zwierzętami – ciągnę. – A bicie Pana Fistaszka to zły przykład dla dzieci. – Daję jej do zrozumienia, że widziałam drugie dziecko, o którego istnieniu dotychczas nam nie wspomniała.

Kobieta odsuwa się ode mnie, odwraca i odchodzi w stronę domu. Pan Fistaszek siedzi i patrzy na mnie.

– Idź do domu – mówię, choć serce mi się kraje. – Idź, piesku. Masz iść do domu.

Zack schodzi po schodach i podbiega do nas. Bierze sukę za obrozę, kuca i drapie zwierzaka między uszami.

– Bądź grzeczna, Panie Fistaszku, nie złość mamy. Proszę pani – zwraca się do mnie. – Jej się nie podoba, że pani zabiera jej wózek.

Jestem zaskoczona, ale nie daję tego po sobie poznać. Przykucam, żeby być na tym samym poziomie co malec i łeb Pana Fistaszka. Staram się odsunąć myśl, że piżmowy zapach suki przypomina mi Chandonne'a. Mdłości przewracają mi żołądek i powodują wydzielanie śliny.

– To jej wózek? – pytam chłopca.

– Jak ma szczeniaki, to je w nim wożę – wyjaśnia.

– Dlaczego był przy stole piknikowym? – pytam. – Myślałam, że może zostawili go na kempingu jacyś turyści.

Potrząsa głową, głaszcząc sukę.

– To jest wózek Pana Fistaszka, prawda piesku? Muszę iść do domu. – Prostuje się i ogląda ukradkiem w stronę otwartych drzwi frontowych.

– Coś ci powiem. – Podnoszę się. – Musimy tylko obejrzyć wózek Pana Fistaszka i obiecuję ci, że go odwiozę, jak skończymy.

– Dobra. – Ciągnie psa za sobą, trochę biegnie, trochę go szarpie. Patrzę, jak wchodzi do domu; drzwi się za nimi zamykają. Stoję pośrodku podjazdu w cieniu karłowatych sosen, z rękami w kieszeniach i patrzę, bo nie mam wątpliwości, że Bev Kiffin mnie obserwuje. W języku ulicy nazywa się to zaznaczaniem, pokazywaniem swojej obecności. Nie załatwiłam tu jeszcze wszystkich interesów. Jeszcze tu wrócę.

Rozdział 23

Jedziemy na wschód szosą numer 5 i martwię się, że jest tak późno. Nawet gdybym umiała wyczarować helikopter Lucy, nie ma mowy, bym zdążyła do Anny na drugą. Wyjmuję portfel i odnajduję kartonik, na którym Jaime Berger zapisała mi swoje telefony. W hotelu nikt się nie zgłasza, więc zostawiam wiadomość, żeby po mnie przyjechała o szóstej. Chowam telefon z powrotem do plecaka. Marino milczy. Patrzy przed siebie, samochód z głośnym warkotem jedzie krętą, wąską drogą. Mój przyjaciel przetwarza w myślach to, co mu właśnie powiedziałam o wózku. Oczywiście Bev Kiffin nas okłamała.

– Ta cała historia, o rany – odzywa się wreszcie, kręcąc głową. – Ciarki mnie przechodzą. Jakby czyjeś oczy cały czas obserwowały wszystko, co robimy. Jakby to miejsce miało własne życie, o którym nikt nic nie wie.

– Ona wie – odpowiadam. – Ona coś wie. To oczywiste. Specjalnie nam powiedziała, że wózek zostawili tamci ludzie z kempingu. Sama to powiedziała, bez namysłu. Chciała, żebyśmy tak myśleli. Dlaczego? Ci turyści nie istnieją, ci, którzy podobno mieszkali w namiocie. Jeżeli się okaże, że włosy należą do Chandonne’a, będę musiała rozważyć możliwość, że ta kobieta pozwoliła mu tam się ukryć i dlatego tak dziwnie się zachowywała.

Obraz Chandonne'a pojawiającego się w motelu i proszącego o nocleg powoduje krótkie spięcie w mojej wyobraźni. Nie potrafię sobie tego wyobrazić. *Le Loup Garou*, jak sam siebie nazywa, nie podjąłby takiego ryzyka. Jego *modus operandi*, o ile wiemy, to nie pokazywać się nikomu, chyba że miał zamiar zamordować i zmasakrować tę osobę. O ile wiemy. O ile wiemy, myślę. Prawdą jest, że dziś wiemy mniej niż dwa tygodnie temu.

– Musimy zacząć od początku – zwracam się do Marina. – Zdefiniowaliśmy kogoś, nie mając informacji, i co teraz? Zrobiliśmy błąd, budując portret i wierząc następnie we własną wizję. A Chandonne ma w sobie rozmaite warstwy psychiczne, które kompletnie pominęliśmy i nawet jeśli teraz siedzi, niewiele to daje. Marino wyjmuje papierosa.

– Rozumiesz, co chcę powiedzieć? W swej arogancji zdecydowaliśmy, jaki on jest. Oparliśmy się na dowodach naukowych i stworzyliśmy coś, co w gruncie rzeczy jest tylko przypuszczeniem. Karykaturą. On nie jest wilkołakiem, tylko człowiekiem i bez względu na to jak jest zły, ma wiele twarzy i właśnie teraz je odkrywamy. To było oczywiste na kasecie, do diabła. Dlaczego tak wolno pojmujemy? Nie chcę, żeby Vander jechał sam do tego motelu.

– Słuszna uwaga. – Marino sięga po telefon. – Pojadę z nim, a ty możesz wrócić moim samochodem do Richmondu.

– Ktoś stał w drzwiach – mówię. – Widziałeś go? Był duży.

– Hm – odpowiada. – Nikogo nie widziałem. Tylko tego małego, jak mu tam? Zacka. I psa.

– Widziałam jeszcze kogoś – upieram się.

– Sprawdzę. Masz numer Vandera?

Podaję mu go i Marino dzwoni. Vander już jest w drodze, żona podaje nam numer jego telefonu komórkowego. Patrę przez okna na położoną

w lesie dzielnicę willową z dużymi domami w stylu kolonialnym, stojącymi z dala od ulicy. Zza drzew połyskują eleganckie ozdoby bożonarodzeniowe.

– No, jest tam jakieś dziwne gównno – mówi Marino przez telefon Vanderowi. – Więc tu obecny będzie pańskim ochroniarzem. – Kończy rozmowę i przez chwilę milczymy. To, co się stało ostatniego wieczora, zdaje się wypełniać teraz pełną hałasu przestrzeń między nami w samochodzie.

– Od jak dawna wiedziałeś? – pytam w końcu jeszcze raz, nie całkiem przekonana tym, co mi powiedział u Anny, kiedy go odprowadziłam po północy do samochodu. – Kiedy dokładnie Righter powiedział ci, że rozpoczyna specjalne dochodzenie przed wielką ławą, i jakie miał powody, żeby to zrobić?

– Jeszcze nawet nie skończyłaś jej sekcji. – Zapala papierosa. – Bray leżała jeszcze u ciebie na stole, mówiąc ściśle. Righter zadzwonił do mnie i oświadczył, że nie chce, abyś to ty robiła jej autopsję, a ja mu na to: „Więc co pan chce, żebym zrobił? Mam wejść do kostnicy, kazać jej rzucić skalpel i podnieść ręce do góry?”. Głupi gnój. – Detektyw wydmuchuje dym, a oburzenie układa się w przerażający kształt w moim mózgu. – Dlatego nie poprosił cię o zgodę, żeby przyjść i węszyć w twoim domu.

Przynajmniej co do węszenia się domyśliłam.

– Chciał wiedzieć, czy gliny coś znalazły. – Przerywa, żeby strząsnąć popiół. – Na przykład ten młotek kamieniarski, szczególnie gdyby była na nim krew Bray.

– Na tym, którym usiłował mnie zaatakować, z powodzeniem mogła być jej krew. – Odpowiadam spokojnie i rozsądnie, ale czuję narastający niepokój.

– Problem w tym, że młotek ze śladami jej krwi rzeczywiście znaleziono u ciebie w domu – przypomina mi Marino.

– Oczywiście, że tak. Przyszedł z nim, żeby go użyć na mnie.

– Tak, jest na nim jej krew – nie przestaje mówić Marino. – Już sprawdzili DNA. Nigdy nie widziałem, żeby laboratorium działało w taki tempie jak w tych dniach, możesz chyba zgadnąć dlaczego. Gubernator ma oko na wszystko, co się dzieje, na wypadek gdyby jego główny koroner okazał się stukniętą morderczynią. – Zaciąga się papierosem i rzuca mi spojrzenie. – I jeszcze jedno. Nie wiem, czy Berger ci o tym wspomniała. Ten drugi młotek, co mówiłaś, że go kupiłaś w sklepie z narzędziami. Nie znaleźli go.

– Co? – Najpierw nie mogę uwierzyć, potem ogarnia mnie wściekłość.

– Więc jedyny młotek w twoim domu to ten ze śladami krwi Bray. Jeden młotek. Znaleziony u ciebie w domu. Z krwią Bray. – Podkreśla to nie bez pewnej niechęci – Wiesz, dlaczego go kupiłam – odpowiadam, jakbym to z nim prowadziła spór. – Chciałam zobaczyć, czy pasuje do ran, jakie jej zadano. I z całą pewnością był u mnie wtedy. Jeśli go nie znaleźliście, przetrząsając cały dom, to albo go przeoczyliście, albo ktoś go zabrał.

– Pamiętasz, gdzie go położyłaś?

– Używałam go w kuchni, na kurczaku, żeby zobaczyć, jak wyglądają ślady ciosów, a także jak wyglądałby odcisk uchwytu, gdybym go czymś umazała i odcisnęła na papierze.

– No, znaleźliśmy zbitego kurczaka w śmieciach. I powłoczkę na poduszkę pobrudzoną sosem do potraw z grilla, tak jakbyś na niej odciskała uchwyt. – Moje eksperymenty nie wydają mu się dziwne. Wie, że angażuję się w rozmaite nietypowe poszukiwania, kiedy staram się dowiedzieć, co się komuś przydarzyło. – Ale nie młotek. Nie znaleźliśmy go. Ani z sosem, ani bez – mówi dalej Marino. – Więc się zastanawiam, czy go nie gwizdnął ten dupek Talley. Może powinnaś zlecić Teun i Lucy, żeby ich tajna organizacja się nim zajęła i spróbowała go sprawdzić. Pierwsze duże

śledztwo Ostatniego Posterunku. Chciałbym znać stan konta tego drania i zobaczyć, skąd bierze całą tę forszę, to po pierwsze.

Spoglądam co chwila na zegarek, odmierzając czas jazdy. Ulica, przy której mieszkał Mitch Barbosa, jest oddalona o dziesięć minut jazdy od motelu Fort James. Szarobrązowe domy zbudowano niedawno i wokół nie ma roślinności tylko goła ziemia z widoczną gdzieś zeschłą trawą i plamami śniegu. Kiedy podjeżdżamy, rozpoznaję nieoznakowane samochody policji, trzy fordów crown victoria i chevroleta lumine, zaparkowane jeden obok drugiego. Naszej uwagi nie uchodzi fakt, że dwa z nich mają tabliczki z waszyngtońską rejestracją.

– O cholera – mówi Marino. – Czuję federalnych. O rany – dodaje, kiedy parkujemy. – Niedobrze.

Idąc wybrukowaną ceglami ścieżką w stronę domu, gdzie mieszkał Barbosa ze swoją rzekomą dziewczyną, spostrzegam dziwny szczegół. Przez okno na górze widzę wędkę. Stoi oparta o szybę i nie wiem czemu, uderza mnie jako coś nie na miejscu, poza tym, że to nie pora roku na łowienie ryb, podobnie jak nie pora na namiot. Znowu myślę o tajemniczych, jeśli nie mitycznych osobach, które uciekły z pola kempingowego, pozostawiając tam sporo swoich rzeczy. Powracam do kłamstwa Bev Kiffin i czuję, że wchodzę coraz głębiej w niebezpieczną przestrzeń, gdzie działają poruszające się z niewyobrażalną szybkością siły, których nie widzę i nie rozumiem. Czekamy przed budynkiem D, Marino ponownie naciska dzwonek.

Detektyw Stanfield otwiera drzwi i wita nas z roztargnieniem; ma rozbiegane oczy. Napięcie między nim a kapitanem jest jak dzielący ich mur.

– Przepraszam, że nie dotarłem do motelu – mówi krótko i odsuwa się, żeby nas wpuścić. – Coś wynikło. Zaraz państwo zobaczą.

Ma na sobie szare sztruksowe spodnie i gruby wełniany sweter. Unika patrzenia mi w oczy. Nie wiem, czy dlatego, że wie, co myślę o tym, że przekazuje informacje swojemu szwagrowi, kongresmanowi Diwiddiemu, czy też jest jakiś inny powód. Przemyka mi przez myśl, że może Stanfield wie o prowadzonym wobec mnie śledztwie z podejrzeniem o morderstwo. Staram się nie dopuszczać tego do siebie. Nie ma sensu teraz się martwić.

– Wszyscy są na górze – dodaje Stanfield. Idziemy za nim.

– Jacy wszyscy? – pyta Marino.

Nasze kroki postukują cicho o dywan. Stanfield nie zatrzymuje się ani nie odwraca.

– ATF i FBI.

Spostrzegam oprawione w ramki fotografie na ścianie na lewo od schodów i zatrzymuję się, żeby je obejrzeć. Rozpoznaję uśmiechniętego Mitcha Barbosę w barze, w towarzystwie osób sprawiających wrażenie wstawionych, i wychylonego z okna ciężarówka. Na jednym ze zdjęć opala się w slipkach na tropikalnej plaży, może na Hawajach. Podnosi szklanę z drinkiem w toaście do osoby robiącej zdjęcie. Na kilku innych fotografiach widać go z ładną kobietą, zastanawiam się, czy to przyjaciółka, z którą mieszkał. W połowie drogi jest podest z oknem, gdzie stoi wędka.

Zatrzymuję się, dziwne uczucie przenika moje ciało, kiedy oglądam, nie dotykając, wędzisko z włókna szklanego marki Shakespeare i kołowrotek marki Sheimano. Do linki przypięte są ciężarki i haczyk, a na dywanie obok widzę niebieskie plastikowe pudełko na sprzęt. Obok, jakby zostawił je tam ktoś tuż po wejściu do domu, stoją dwie puste butelki po piwie Rolling Rock, leży nienapoczęte pudełko cygar Tiparillo i trochę drobnych. Marino odwraca się, żeby zobaczyć, co robię. Dołączam do niego na szczycie schodów i wchodzimy do jasno oświetlonego pokoju dziennego, ładnie urządzonego kilkoma nowoczesnymi meblami i indiańskimi dywanami.

– Kiedy byłeś ostatni raz na rybach? – pytam Marina.

– Nie łowię w słodkiej wodzie – odpowiada. – Nie w tych okolicach, nie ostatnimi czasy.

– Właśnie. – Urywam, uświadamiając sobie, że znam jedną z trzech osób stojących przy dużym oknie w pokoju.

Serce mi podskakuje, kiedy znajoma ciemna głowa odwraca się w moją stronę i nagle stoję twarzą w twarz z Jayem Talleyem. Nie uśmiecha się, patrzy na mnie ostro, jak gdyby jego oczy były grotami strzał. Marino wydaje ledwie dosłyszalne warknięcie, które brzmi niczym pomruk dzikiego zwierzęcia. Ma mi to dać do zrozumienia, że Jay jest ostatnią osobą, jaką chciałby tu zobaczyć. Drugi mężczyzna, także w garniturze i krawacie, jest młody i wygląda na Latynosa, a kiedy odstawia filiżankę, jego marynarka rozchyła się, ukazując futerał z pistoletem dużego kalibru.

Trzecia osoba to kobieta. Nie sprawia wrażenia zdruzgotanej i oszołomionej, jak ktoś, komu właśnie zamordowano ukochanego. Jest zdenerwowana, tak. Ale dobrze ukrywa swoje uczucia i rozpoznaję błysk w jej oczach i gniewne zaciśnięcie szczęk. Widziałam to u Lucy, u Marina i innych, którzy odczuwają więcej niż utratę kogoś, kogo kochali. To policjanci. Stróże prawa czują się dotknięci i popadają w nastrój „oko za oko”, kiedy coś się stanie jednemu z nich. Od razu podejrzewam, że dziewczyna Mitcha Barbosy ma coś wspólnego z wymiarem sprawiedliwości, prawdopodobnie jest tajną agentką. W ciągu kilku minut cały scenariusz zmienił się dramatycznie.

– To jest Bunk Pruett, FBI – przedstawia Stanfield. – Jay Talley, ATF. – Jay podaje mi rękę, jakbyśmy się nie znali. - I Jilison McIntyre. – Jej uścisk dłoni jest chłodny, ale mocny. – Pani McIntyre też jest z ATF.

Ustawiamy krzesła tak, aby podczas rozmowy każde z nas widziało pozostałych. Powietrze jest twarde jak krzemień od gniewu. Widziałam to

tyle razy, kiedy zabito policjanta. Przedstawivszy nas sobie nawzajem, Stanfield chowa się za zasłonę nadąsanego milczenia. Bunk Pruett przejmuje inicjatywę w sposób typowy dla FBI.

– Pani doktor, panie kapitanie – zaczyna. – Zacznę od stwierdzenia rzeczy oczywistej. To bardzo, bardzo delikatna sprawa. Bardzo niechętnie mówię cokolwiek na temat tego, co się dzieje, ale musicie państwo wiedzieć, z czym macie do czynienia. – Mięśnie jego szczęk się napinają. – Mitch Barbosa jest – był – tajnym agentem FBI i uczestniczył w dużym śledztwie prowadzonym tu, w okolicy, które teraz oczywiście musimy zawiesić, przynajmniej w pewnym stopniu.

– Narkotyki i broń – mówi Jay, przenosząc wzrok z Marina na mnie.

Rozdział 24

Interpol też został w to włączony? – Nie rozumiem, dlaczego jest tu Jay Talley. Zaledwie dwa tygodnie temu przebywał we Francji. – Cóż, powinnaś wiedzieć – mówi Jay z nutą sarkazmu, a może sobie to tylko wyobrażam. – Niezidentyfikowana ofiara, w jej sprawie kontaktowałeś się przecież z Interpolem, ten gość, który zginął w motelu niedaleko stąd. Mamy przypuszczenia, kto to może być. Owszem, Interpol został w to włączony. Teraz już tak. Spokojna głowa.

– Nie wiedziałem, że przyszła odpowiedź z Interpolu. – Marino niezbyt się sili na uprzejmość wobec Jaya. – Więc mówi pan, że ten facet z motelu to może być jakiś międzynarodowy przestępca?

– Tak – odpowiada Jay. – Rosso Matos, dwadzieścia osiem lat, z Kolumbii, z Ameryki Południowej. Ostatnio widziany w Los Angeles. Znany również jako Kot, bo zachowuje się tak cicho, kiedy gdzieś wchodzi albo skądś wychodzi i zabija. To jego specjalność, zabijanie ludzi, jest płatnym mordercą. Matos cieszy się opinią człowieka lubiącego bardzo drogie ubrania, samochody i młodych mężczyzn. Chyba powinienem o nim

mówić w czasie przeszłym. – Milknie. Nikt się nie odzywa, patrzymy na niego. – Nikt z nas nie rozumie, czego szukał w Wirginii – dodaje.

– Na czym dokładnie polega tutejsza operacja? – zwraca się Marino do Jilison McIntyre.

, – Zaczęło się cztery miesiące temu od faceta jadącego z nadmierną szybkością szosą numer 5, niedaleko stąd. Zatrzymał go policjant z James City. – Agentka rzuca spojrzenie Stanfieldowi. – Sprawdził i okazało się, że gość był przestępcą z wyrokiem. W dodatku policjant zauważył, że spod koca na tylnym siedzeniu wystaje kolba półautomatycznego karabinka. Okazuje się że to MAK-90 ze spiłowanym numerem. Nasze laboratoria w Rockville zdołały odtworzyć serię i stwierdziły, że broń pochodziła z dostawy z Chin, regularnej dostawy do Richmondu. Jak wiadomo, MAK-90 jest popularną kopią AK-47, kałasznikowa, na ulicy można go kupić za tysiąc, dwa. Ludzie z gangów lubią MAK-a; jest produkowany w Chinach i regularnie dostarczany do portów w Richmondzie i Norfolk, legalnie, w dokładnie oznakowanych skrzyniach. Inne MAK-i są tu przemycane z Azji, razem z heroiną, w rozmaitych skrzyniach, oznakowanych dowolnie, od sprzętu elektronicznego po wschodnie dywany.

Rzeczowym głosem, tylko chwilami ujawniającym napięcie, kobieta opisuje krąg przemytniczy obejmujący, poza okolicznymi portami, także firmę przewozową James City County, gdzie tajny agent Barbosa zatrudnił się jako kierowca, a ona, agentka McIntyre, występowała jako jego dziewczyna. Znalazł jej pracę w biurze firmy. Fałszowano tam listy przewozowe i rachunki, żeby ukryć bardzo lukratywną operację, obejmującą również papierosy przewożone z Wirginii do Nowego Jorku i innych miejsc na północnym wschodzie. Część broni jest sprzedawana przez nielegalnego dealera w tej okolicy, ale duża jej ilość pojawia się

w nielegalnej sprzedaży podczas pokazów strzeleckich, a wiemy wszyscy, ile odbywa się w Wirginii tego typu imprez – kończy.

– Jak się nazywa ta firma przewozowa? – pyta Marino.

– Cwerland.

Jego oczy biegną w moim kierunku. Przeczesuje palcami rzednące włosy.

– Chryste – mówi do nas. – To u nich pracuje mąż Bev Kiffin. Jezu Chryste.

– To kobieta, która jest właścicielką i prowadzi motel Fort James – wyjaśnia Stanfield.

– Overland jest dużym przedsiębiorstwem i nie wszyscy są zamieszani w nielegalną działalność. – Pruetta stara się być obiektywny. – Dlatego to takie trudne. Firma i większość zatrudnionych tam osób działa uczciwie, więc można cały dzień zatrzymywać ich ciężarówki i nic w żadnej nie znaleźć. Innego dnia idzie ładunek artykułów papierniczych, telewizorów i tak dalej, a w środku są ukryte karabiny bojowe i narkotyki.

– Myślicie, że ktoś zakapował Mitcha? – Marino zwraca się z pytaniem do Pruetta. - I postanowili go sprzątnąć?

– Jeśli tak” dlaczego nie żyje także Matos? – Teraz mówi Jay. – I wygląda na to, że Matos zginął pierwszy, prawda? – Patrzy na mnie. – Znalaziono go nieżywego w naprawdę dziwnych okolicznościach, w motelu niedaleko stąd. Następnego dnia ciało Mitcha porzucono w Richmondzie. W dodatku Matos dostał trzystukilogramowego goryla. Nie wiem, co miałby tu robić; nawet jeśli ktoś zakapował Mitcha, nie wysła się takiego zabójcy jak Matos. Jest raczej zarezerwowany na grubszą zwierzynę w potężnych organizacjach przestępczych, na facetów, których trudno dopaść, bo ich pilnują uzbrojone zbiry.

– Wiemy, dla kogo Matos pracował? – pyta Marino.

– Dla każdego, kto płacił – odpowiada Pruett.

– Działał wszędzie – dodaje Jay. – W Ameryce Południowej, w Europie, tutaj. Nie był związany z żadną konkretną siatką czy kartelem, pracował w pojedynkę. Chcesz się kogoś pozbyć, wynajmujesz Matosa.

– Więc ktoś go wynajął i facet zjawił się tutaj – stwierdzam.

– Musimy przyjąć takie założenie – przyznaje Jay. – Nie przypuszczam, żeby przyjechał tu po to, by zwiedzać Jamestown czy oglądać świąteczne ozdoby w Williamsburgu.

– Wiemy także, że nie zabił Mitcha Barbosy – dodaje Marino. – Matos już nie żył i leżał na stole u doktor Scarpetty, zanim Mitch poszedł biegać.

Wszyscy obecni kiwają głowami. Stanfield skubie paznokieć. Sprawia wrażenie zagubionego i bardzo skrępowanego. Ciągłe ociera pot z czoła i wyciera ręce o spodnie. Marino prosi Jilison McIntyre, żeby nam dokładnie opowiedziała, co się stało.

– Mitch lubił biegać w południe, przed lunchem – zaczyna agentka. – Wyszedł około południa i nie wrócił. To było wczoraj. Pojechałam go szukać około drugiej, a kiedy nadal go nie było, zawiadomiłam policję i oczywiście naszych chłopaków. FBI i ATF. Zaczęli go szukać. Nic. Wiemy, że widziano go w pobliżu wydziału prawa.

– Marshall-Wythe? – pytam, notując.

– Tak, na Uniwersytecie Williama i Mary. Mitch zwykle biegał tą samą trasą, stąd wzdłuż szosy numer 5, potem do Francis Street i South Henry i z powrotem. Zwykle trwało to około godziny.

– Czy pamięta pani, w co był ubrany i co mógł mieć przy sobie?

– Był w czerwonym dresie i kamizelce. Na dresie miał puchową kamizelkę. Szarą, firmy North Face. Miał też saszetkę z tyłu przy pasku, nigdzie się bez niej nie ruszał.

– Nosił w niej broń? – upewnia się Marino.

McIntyre potakuje i przetyka, zachowując stoicki wyraz twarzy.

– Broń, pieniądze, telefon. Klucze od domu.

– Kiedy go znaleziono, był bez kamizelki – wyjaśnia Marino. – Nie miał także saszetki. Proszę opisać klucz.

– Klucze – poprawia go McIntyre. – Miał klucze od domu, do mieszkania i do samochodu, na stalowym kółku.

– Jak wygląda klucz od domu? – pytam i czuję, że Jay wpatruje się we mnie.

– To zwyczajny mosiężny klucz. Normalny klucz.

– W kieszeni jego spodenek znalazłam klucz z nierdzewnej stali – mówię. – Z numerem dwieście trzydzieści trzy napisanym flamastrem.

Agentka McIntyre marszczy brwi. Nic o tym nie wie.

– Hm, to naprawdę dziwne. Nie mam pojęcia, od czego by to mógł być klucz – stwierdza.

– Więc musimy przyjąć, że dokąś go zawieziono – zauważa Marino. – Związano, zakneblowano, torturowano, a potem ciało przywieziono do Richmondu i wyrzucono na ulicy obok jednego z naszych cudnych osiedli, Mosby Court.

– Czy to okolica znana z handlu narkotykami? – pyta Pruett.

– O tak. Broń i narkotyki! Spokojna głowa. – Marino zna swój teren. – A kolejną miłą cechą takich dzielnic jak Mosby Court to ta, że nikt nic nie widzi. Chcesz wyrzucić trupa, to wyrzucasz, nieważne, że stoi tam pięćdziesiąt osób. Ludzie cierpią na chwilową ślepotę i amnezję.

– To znaczy, że ktoś znał Richmond. – Stanfield wreszcie wyraża swoje zdanie.

W oczach agentki McIntyre maluje się zdumienie. Po jej twarzy widać, że jest wstrząśnięta.

– Nie wiedziałam o torturach – zwraca się do mnie. Jej zawodowe opanowanie chwieje się jak drzewo, które zaraz upadnie.

Opisuję oparzenia Barbosy, wdaję się również w szczegóły oparzeń Matosa. Mówię o śladach więzów i knebli, a Marino opowiada o śrubach w suficie w pokoju motelowym. Wszyscy obecni mają dokładny obraz sytuacji. Każdy może sobie uprzytomnić, co zrobiono z tymi dwoma. Podejrzewamy, że ta sama osoba czy osoby miały związek ze śmiercią obu mężczyzn. Jednak to nam nie mówi, kto ani dlaczego. Nie wiemy, dokąd zawieziono Barbose, ale przychodzi mi do głowy pewna myśl.

– Jak tam pojedziesz z Vanderem – mówię do Marina – może powinniście sprawdzić inne pokoje, zobaczyć czy jeszcze gdzieś są śruby w suficie.

– Zrobi się. Zresztą muszę już lecieć. – Patrzy na zegarek.

– Dzisiaj? – pyta go Jay. – Aha.

– Ma pani jakiś powód, aby sądzić, że Mitch był pod wpływem narkotyku, tak jak ten drugi? – zwraca się do mnie Pruett.

– Nie znalazłam żadnych śladów wkłuć – odpowiadam. – Ale zobaczymy, co pokaże analiza toksykologiczna.

– Jezu – szepcze Jilison McIntyre.

– I obaj się zmoczyli? – pyta Stanfield. – Czy to się zdarza, kiedy ludzie umierają? Tracą panowanie nad pęcherzem i moczą się? Innymi słowy, czy to naturalne?

– Nie mogę powiedzieć, że to rzadkie zjawisko. Ale pierwszy z nich, Matos, rozebrał się. Był nagi. Wygląda na to, że się zmoczył, a potem rozebrał.

– Więc to się stało, zanim doznał oparzeń – mówi Stanfield.

– Tak zakładam. Nie poparzone go przez ubranie. Jest bardzo możliwe, że obie ofiary straciły panowanie nad pęcherzem z powodu strachu, paniki.

Człowiek, który się bardzo boi, moczy się.

– Jezu – szepcze znowu agentka McIntyre.

– A kiedy widzisz, jak jakiś dupek wkręca śruby w sufit i włącza palnik, to wystarczy, żeby naszczać w spodnie ze strachu. – Obrazowo ilustruje sytuację Marino. – Wiesz aż nadto dobrze, co z tobą zrobią.

– Jezu! – wybucha Jilison. – O czym wy, kurwa, mówicie? – Jej oczy płoną.

Cisza.

– Dlaczego, do kurwy nędzy, ktoś miałby to zrobić Mitchowi? I nie można powiedzieć, że nie był ostrożny, że wsiadłby po prostu do czyjegoś samochodu albo zbliżył się do kogoś obcego, kto by go próbował zatrzymać na szosie.

– To mi przypomina Wietnam, to co wyprawiali z jeńcami, jak ich torturowali, żeby zmusić do mówienia – zauważa Stanfield.

– Chęć wymuszenia zeznań na pewno może być powodem tortur – odpowiadam Stanfieldowi. – Ale także żądza władzy. Są ludzie, którym torturowanie innych naprawdę sprawia przyjemność.

– Myśli pani, że to ten przypadek? – pyta Pruett.

– Tego nie wiem. – Zwracam się do agentki McIntyre. – Kiedy podchodziłam do domu, zauważyłam wędkę.

Jej reakcją jest lekkie zaskoczenie. Po chwili uświadamia sobie, o czym mówię.

– Ach, tak. Mitch lubił łowić ryby.

– Tu, w okolicy?

– W strumieniu niedaleko College Landing Park.

Patrzę na Marina. Ten strumień płynie na skraju zalesionego terenu kempingowego przy motelu Fort James.

– Czy Mitch wspominał kiedykolwiek o motelu niedaleko strumienia?

– Wiem tylko, że lubił tam chodzić na ryby.

– Czy znał kobietę, która prowadzi ten motel? Bev Kiffin? I jej męża? Może znacie go oboje, bo pracuje w firmie Cwerland? – wypytuje Marino.

– Wiem, że Mitch rozmawiał z jej synami. Ma dwóch chłopców; czasem łowili ryby tam, gdzie Mitch. Mówił, że mu ich żal, bo ojca nigdy nie było w domu. Ale w firmie nie znam nikogo o nazwisku Kiffin, a prowadzę ich księgowość.

– Może pani to sprawdzić? – pyta Jay.

– Chyba, że on używa innego nazwiska.

– Właśnie.

Agentka McIntyre potakuje.

– Pamięta pani, kiedy Mitch poszedł tam ostatnio na ryby? – pyta Marino.

– Tuż przedtem, zanim spadł śnieg. Była całkiem ładna pogoda.

– Zauważyłam trochę drobnych, dwie butelki po piwie i cygara na podeście – mówię. – Obok wędk.

– Jest pani pewna, że nie był na rybach, od czasu jak spadł śnieg? – Kapitan podejmuje moją myśl.

Wyraz jej oczu wskazuje wyraźnie, że nie jest pewna. Zastanawiam się, ile naprawdę wie o swoim rzekomym chłopaku.

– Czy w motelu działo się coś nielegalnego, o czym wiedzieliście, pani i Mitch? – pyta Marino.

Agentka potrząsa głową.

– Nigdy nic takiego nie mówił. Nic w tym rodzaju. Jego jedyny związek z motelem ograniczał się do tego, że chodził tam na ryby i był miły dla tych dwóch chłopców, jeśli ich akurat spotkał.

– Tylko jeśli tam byli, kiedy łowił ryby? – naciska Marino. – Czy można przypuszczać, że podszedł kiedyś do domu, żeby do nich zagadać?

Kobieta się waha.

– Mitch był otwartym człowiekiem?

– O, tak. Bardzo. Mógł podejść do domu. Naprawdę lubi dzieci. Lubił. – Łzy napływają jej do oczu, a jednocześnie widać, że w środku cała się gotuje.

– Jak się przedstawiał ludziom, tu, w okolicy? Mówił, że jest szoferem ciężarówki? Co mówił o pani? Miała pani być kobietą z ambicjami zawodowymi? Tak naprawdę nie byliście parą. To część kamuflażu, prawda?

Marino coś węszy. Pochyliła się do przodu, opiera przedramiona o kolana, wpatruje się intensywnie w agentkę. Kiedy się tak zachowuje i tak szybko strzela pytaniami, ludzie często nie mają czasu, żeby odpowiedzieć. Potem płaczą się i mówią coś, czego później żałują. Tego doświadcza właśnie Jilison McIntyre.

– Hola, nie jestem podejrzaną – mówi ostro. – Co zaś do naszego związku, nie wiem, do czego pan zmierza. To był kontakt zawodowy. Ale trudno się nie zaangażować, jeśli się mieszka w tym samym domu i ma zachowywać, jakby się było parą, tak żeby inni w to uwierzyli.

– Ale się nie zaangażowaliście – stwierdza Marino. – A przynajmniej on nie. Mieliście zadanie do wykonania, no nie? Czyli jeśli chciał się zainteresować samotną matką z dwoma chłopczykami, mógł to zrobić. – Odchyła się do tyłu na krześle. W pokoju panuje taka cisza, że wydaje się, iż szumi. – Problem w tym, że Mitch nie powinien był tego robić. To niebezpieczne i cholernie głupie w jego sytuacji. Czy to jeden z tych facetów, co nie umieją utrzymać portek na tyłku?

Agentka McIntyre nie odpowiada. Płacze.

– Wiecie co, chłopaki? – Marino rozgląda się po pokoju. – Możliwe, że Mitch zaplątał się w coś, co nie ma nic wspólnego z waszą tajną operacją.

Niewłaściwe miejsce, niewłaściwy moment. Złowił coś, czego na pewno nie chciał złowić.

– Czy wie pani, gdzie Mitch był we środę o trzeciej po południu, kiedy Matos zjawił się w motelu i wybuchł pożar? – Stanfield składa poszczególne elementy. – Był tutaj czy gdzieś poza domem?

– Nie, nie było go tutaj – odpowiada ledwie dosłyszalnie jego partnerka. Wyciera oczy papierową chusteczką. – Wszedł. Nie wiem dokąd.

Marino prychnie z niesmakiem. Nie musi nic mówić. Tajni agenci, którzy ze sobą współpracują, mają zawsze wiedzieć, gdzie który z nich jest, a jeśli agentka McIntyre nie zawsze wiedziała, gdzie przebywa specjalny agent Barbosa, to znaczy, że zajmował się czymś, co może niezupełnie dotyczyło ich śledztwa.

– Wiem, Jilison, że nawet nie chce pani o tym myśleć – ciągnie Marino łagodniejszym tonem. – Ale Mitcha torturowano i zamordowano, prawda? I przeraził się na śmierć. Dosłownie. W wyniku tego, co z nim wyprawiali, dostał ataku serca. Zmoczył spodnie. Zabrano go dokądś, związano, zakneblowano i podrzucono mu jakiś klucz do kieszeni. Po co? Dlaczego? Czy zajmował się czymś, o czym powinna pani wiedzieć, Jilison? Łowił coś jeszcze poza rybami w tym strumieniu przy kempingu? Po twarzy kobiety płyną łzy. Ociera je energicznym gestem chusteczką i głośno pociąga nosem.

– Lubił alkohol i kobiety – mówi cicho. – W porządku?

– Wychodził wieczorami, chodził po barach i tak dalej? – pyta Pruett.

Jilison potakuje.

– To była część jego roli. Widziała go pani. – Jej wzrok biegnie w moją stronę. – Ufarbowane włosy, kolczyk i cała reszta. Mitch grał rolę faceta, no, takiego, co się lubi bawić, a naprawdę lubił kobiety. Nigdy nie udawał, że jest wierny mnie, tak zwanej swojej dziewczynie. To należało do jego

roli. I sam też taki był. Martwiło mnie to, ale taki był Mitch. Był jednak dobrym agentem. Nie wierzę, że zrobił coś nieuczciwego, jeśli o to pan pyta. Nie mówił mi jednak wszystkiego. Na przykład jeśli natrafił na coś na kempingu, mógł zacząć węszyć. Mógł.

– Nie informując o tym pani – upewnia się Marino. Agentka znowu potakuje.

– Ja też wychodziłam w swoich sprawach. Nie siedziałam tu i nie czekałam na niego cały czas. Pracowałam w biurze Overlandu. Na pół etatu. Więc żadne z nas nie wiedziało, co przez cały dzień robi to drugie.

– Mogę powiedzieć tyle, że Mitch na coś natrafił – oznajmia Marino. – Zastanawiam się, czy nie znalazł się w motelu, w czasie kiedy pojawił się tam Matos. Może Mitch miał pecha, że go zauważono w okolicy. Może to jest aż tak proste. Ktoś uznał, że Mitch coś widział, czy coś wie, więc go dorwali i załatwili.

Nikt z nas nie kwestionuje teorii kapitana. Prawdę mówiąc, ta teoria jest w tej chwili jedyną, jaka ma sens.

I to prowadzi nas z powrotem do pytania, co tu robił Matos – komentuje Pruett.

Patrzę na Stanfielda. Wyłączył się z rozmowy. Jest blady i sprawia wrażenie wykończonego nerwowo. Jego spojrzenie kieruje się w moją stronę i szybko ucieka. Oblizuje wargi i odkasłuje kilka razy.

– Panie detektywie Stanfield – czuję się zmuszona powiedzieć to przy wszystkich – na miłość boską, niech pan o tym nie wspomina szwagrowi. – W oczach Stanfielda zapala się złość. Upokorzyłam go i nic mnie to nie obchodzi. – Proszę – dodaję.

– Chce pani znać prawdę? – odparowuje ze złością. – Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. – Powoli wstaje i szklanym wzrokiem rozgląda się wkoło po pokoju. – Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale nie chcę

brać w niczym udziału, żadnego. Wy, FBI, siedzicie już w tym po uszy, więc sobie to weźcie. Ja wychodzę. – Kiwa głową. – Dobrze usłyszeliście. Wychodzę.

Ku memu zdumieniu detektyw Stanfield nagle pada. Pada tak ciężko, że pokój się trzęsie. Zrywam się błyskawicznie. Dzięki Bogu, oddycha. Puls ma bardzo szybki, ale to nie jest atak serca ani nic, co by zagrażało życiu. Po prostu zemdlał. Oglądam jego głowę, żeby sprawdzić, czy się nie zranił. Wszystko w porządku. Przychodzi do siebie. Marino i ja pomagamy mu wstać i prowadzimy do kanapy. Zmuszam, żeby się położył, i podkładam mu pod głowę poduszki. Nade wszystko jest zmieszany, ogromnie.

– Proszę pana, czy jest pan cukrzykiem? – pytam. – Choruje pan na serce?

– Gdyby pani miała coca colę albo coś w tym rodzaju, to by było dobrze – odpowiada słabym głosem.

Wstaję i idę w stronę kuchni.

– Zobaczę, co się da zrobić – mówię, jakbym tu mieszkała. Wyjmuję z lodówki sok pomarańczowy. W szafce znajduję masło fistaszkowe i nabieram dużą łyżką. Rozglądam się za papierowym ręcznikiem i spostrzegam buteleczkę z lekarstwem obok tosterka. Na etykietce wypisane jest nazwisko pacjenta – Mitch Barbosa. Brał prozac, środek antydepresyjny. Wracam do salonu i wspominam o tym Jilison McIntyre, która informuje nas, że Barbosa zaczął brać prozac kilka miesięcy temu, bo cierpiał na depresję i lęki. Dodaje, że przypisywał to tajnemu zadaniu i stresowi.

– Ciekawe. – To wszystko, co Marino ma do powiedzenia na ten temat.

– Wspomniał pan, że po wyjściu stąd wraca pan do motelu? – pyta Jay Marina.

– No. Vander zobaczy, czy uda nam się zdjąć odciski palców.

– Odciski? – szepcze Stanfield ze swego łoża boleści.

– Jezu, Stanfield! – wybucha ze zniecierpliwieniem Marino. – Uczą was czegoś w tej szkole detektywów? Czy wysłali cię od razu do wyższej klasy z powodu pańskiego przekłętą szwagra?

– Jeśli pan chce wiedzieć, naprawdę jest przeklętym szwagrem. – Stanfield mówi to tak żałośnie i szczerze, że wszyscy wybuchamy śmiechem. Detektyw ożywia się trochę i podsuwa wyżej na poduszkach. – A pani ma rację. – Patrzy mi w oczy. – Nie powinienem był mu pisać ani słowa o tej sprawie. I nic mu więcej nie powiem, bo tu wszystko ma wymiar polityczny. Chcę, aby pani wiedziała, że nie ja wciągnąłem w to całą historię Jamestown. Pruett marszczy brwi.

– Jaką historię Jamestown?

– Och, wie pan, te wykopaliska tutaj i uroczystości, które planuje stan Wirginia. Prawdę mówiąc, chodzi o to, że Dinwiddie ma w sobie tyle krwi indiańskiej co ja. Te wszystkie brednie, że pochodzi od wodza Powhatana. Phi! – Oczy Stanfielda są pełne niechęci, jaką zapewne nieczęsto odczuwa. Pewnie nienawidzi szwagra.

– Mitch miał krew indiańską – mówi smutnie McIntyre. – Jest w połowie rdzennym Amerykaninem.

– Więc miejmy nadzieję, na litość boską, że gazety tego nie odkryją – szepcze do Stanfielda Marino, nie wierząc ani przez chwilę, że ten będzie trzymał język za zębami. – Najpierw gej, teraz Indianin. O rany, rany. – Kapitan kręci głową. – Musimy się trzymać z dala od polityki, znaczy nie puścić tego w obieg. – Patrzy prosto na Stanfielda, potem na Jaya. – Bo wiecie co? Nie możemy mówić o tym, co się naprawdę dzieje, no nie? O dużej tajnej operacji. O tym, że Mitch był agentem FBI. I że może w jakiś nieprawdopodobny sposób Chandonne jest powiązany z tym całym głównym tutaj. Więc jeśli ludzie uwierzą w całą tę historię o zbrodni na tle

nienawiści i nietolerancji, to jak ją odkręcimy, skoro nie możemy powiedzieć prawdy?

– Nie zgadzam się – odpowiada Jay. – Jeszcze nie potrafię powiedzieć, o co chodzi w tych morderstwach. Na przykład nie mogę stwierdzić, że Matos, a teraz Barbosa, nie mieli związku z przemytem broni. Nie mam żadnych wątpliwości, że istnieje związek między zabójstwem jednego i drugiego.

Nikt nie oponuje. Sposób działania w obu przypadkach jest zbyt podobny, żeby te sprawy nie były ze sobą powiązane. Morderstwa zostały popełnione przez tę samą osobę czy osoby.

– Nie mogę również całkowicie wykluczyć myśli, że są to zbrodnie na tle nienawiści i nietolerancji – ciągnie Jay. – Gej. Rdzenny Amerykanin. – Wzrusza ramionami. – Tortury to całkiem oczywisty wyraz nienawiści. Czy stwierdzono jakieś obrażenia na ich genitaliach? – zwraca się do mnie.

– Nie. – Wytrzymuję jego spojrzenie. Dziwnie jest pomyśleć, że niedawno byliśmy w sytuacji intymnej, widzieć jego szczupłe biodra i smukłe dłonie i pamiętać ich dotyk. Kiedy szliśmy ulicami Paryża, ludzie oglądali się za nim.

– Hm – mówi. – Uważam, że to interesujące i może ważne. Oczywiście nie jestem psychiatrą sądowym, ale wydaje się, że w przypadku zbrodni na tle nienawiści i nietolerancji sprawcy rzadko ranią genitalia swych ofiar.

Marino patrzy na niego z niedowierzaniem i rozchyła usta w grymasie nieukrywanej pogardy.

– Bo jak się trafi jakiś prostacki homofob, genitalia są ostatnią częścią ciała, do której chce się zbliżyć.

– Jeżeli rzeczywiście chce pan w taki sposób tego dociekać – zwraca się do niego kwaśno kapitan – to skojarzmy tę sprawę z Chandonne'em. On również nigdy nie dotykał genitaliów swych ofiar. Cholera, nawet nigdy nie

zdejmował im majtek, tylko masakrował twarze i piersi. Jedyne, co robił z dolną częścią ich ciał, to zdejmował im buty i pończochy i gryzł stopy. A dlaczego? Facet boi się kobiecych genitaliów, bo jego własne są równie zdeformowane jak cała reszta. – Marino przygląda się twarzom siedzących wokół. – Jedyne plus, jaki wynikł z przymknięcia tego drania to ten, że zobaczyliśmy, jak wygląda reszta jego osoby. Zgadza się? I wiecie co? Nie ma fiuta. Albo raczej powiedzmy, że tego, co ma, nie nazwałbym fiutem.

Stanfield siedzi teraz wyprostowany, oczy ma szeroko otwarte ze zdumienia.

– Pojadę z panem do motelu – mówi Jay do Marina. Ten wstaje i wygląda przez okno. – Ciekaw jestem, gdzie, do cholery, podział się Vander – rzuca.

Dzwoni do Vandera na komórkę i w chwilę potem idziemy z nim się spotkać na parkingu. Jay idzie obok mnie. Czuję, jak bardzo pragnie rozmowy ze mną i osiągnięcia jakiegoś porozumienia. W tym sensie przypomina stereotyp kobiety. Chce rozmawiać, pozałatwiać sprawy, zamknąć albo odświeżyć kontakt, żeby móc znowu odgrywać trudnego do zdobycia. Ja z kolei niczego takiego sobie nie życzę.

– Kay, poświęcisz mi minutę? – pyta mnie na parkingu. Zatrzymuję się i patrzę na niego, zapinając płaszcz.

Widzę, że Marino spogląda w naszą stronę. Wyjmuje z samochodu paczki i wózek i wkłada wszystko do samochodu Vandera.

– Wiem, że to niezręczna sytuacja, ale czy nie możemy się postarać, żeby uczynić ją łatwiejszą? Poza wszystkim innym, musimy ze sobą pracować – mówi Jay.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim opowiedziałeś całą historię ze szczegółami Jaime Berger, Jay – odpowiadam.

– To nie było przeciwko tobie. – W jego oczach widzę napięcie.

– Aha.

– Zadawała mi pytania, to zrozumiałe. Robiła tylko to, co do niej należy.

Nie wierzę mu. To mój podstawowy problem z Jayem Talleyem. Nie ufam mu i żałuję, że kiedykolwiek mu zaufałam.

– Ach, to ciekawe – brzmi mój komentarz. – Bo wygląda na to, że zaczęto zadawać pytania dotyczące mojej osoby jeszcze przed zabójstwem Dianę Bray. Pytania zaczęły się niemal dokładnie wtedy, kiedy byłam z tobą we Francji.

Jego twarz ciemnieje. Jay nie potrafi ukryć złości.

– Kay, jesteś paranoiczką – mówi.

– Masz rację, Jay – zgadzam się. – Masz absolutną rację.

Rozdział 25

Nigdy nie prowadziłam dodge'a Marina i gdyby nie napięcie i okoliczności, wydałoby mi się to komiczne. Nie jestem wysoka, mam sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, szczupłą budowę i nie ma we mnie niczego odjazdowego ani szokującego. Chodzę czasem w dżinsach, ale nie dzisiaj. Myślę, że ubieram się, jak przystało na koronera albo na prawniczkę, zwykle w kostium albo flanelowe spodnie i żakiet, chyba że pracuję na miejscu zbrodni. Włosy mam krótko i porządnie obcięte, lubię lekki makijaż i poza sygnetem oraz zegarkiem obywam się bez biżuterii. Nie mam ani jednego tatuażu. Nie wyglądam jak ktoś, kto jeździłby z hukiem wielkim samochodem w typie macho, ciemnoniebieskim, ze szlaczkiem, chromowanymi zderzakami, chlupaczami, skanerem i wielkimi, kołyszącymi się antenami od miejscowego pasma radiowego i aparatu nadawczo-odbiorczego.

Jadę Sześćdziesiątą Czwartą Zachodnią, gdyż jest szybsza, i skupiam się na tym, co robię, bo prowadzenie pojazdu tej wielkości jedną ręką nie jest łatwe. Nigdy jeszcze nie spędzałam w taki sposób Wigilii i to mnie przygnębia. Zazwyczaj o tej porze lodówka i zamrażalnik były pełne, sosy i zupy gotowe, a dom udekorowany na święta. Czuję się całkowicie bezdomna i obca, kiedy tak jadę samochodem Marina po szosie stanowej

i uprzytamniam sobie, że nie wiem, gdzie będę dzisiaj spała. Pewnie u Anny, ale obawiam się chłodu między nami. Nawet jej nie widziałam dziś rano i bezradne uczucie samotności opanowuje mnie i wgniata w siedzenie. Dzwonię do Lucy.

– Muszę jutro wprowadzić się z powrotem do siebie – oznajmiam.

– Może powinnaś pomieszkać w hotelu z Teun i ze mną? – proponuje moja siostrzenica.

– A może ty i Teun pomieszkałybyście ze mną? – Jest mi strasznie trudno wyrazić swoją prośbę, a są mi potrzebne. Naprawdę. Z wielu powodów.

– Kiedy mamy przyjechać?

– Zrobimy sobie razem Gwiazdkę rano.

– Wcześniej. – Lucy nigdy nie zdarzyło się wstać później niż o szóstej w Boże Narodzenie.

Dwudziesty czwarty grudnia. Dni są już tak krótkie, jak to tylko możliwe, i długo jeszcze potrwa, zanim światło zacznie wydłużać godziny i rozjaśni moje ciężkie, pełne napięcia nastroje. Kiedy dojeżdżam do centrum Richmondu, jest ciemno, a kiedy parkuję przed domem Anny pięć po szóstej, widzę, że Jaime Berger czeka na mnie w swoim mercedesie, którego reflektory przebijają noc. Nie widzę samochodu Anny. Nie ma jej w domu. Nie wiem, dlaczego to mnie tak kompletnie wytrąca z równowagi, chyba podejrzewam, że Anna wie o moim spotkaniu z prokuratorem Bergerem i postanawia w nim nie uczestniczyć. Rozważanie tej możliwości przypomina mi, że moja przyjaciółka rozmawiała z różnymi osobami i pewnego dnia może być zmuszona wyjawić to, co jej powiedziałam podczas swoich najcięższych chwil spędzonych u niej w domu. Kiedy otwieram drzwi, Jaime Berger wysiada ze swojego samochodu i jeśli jest zaskoczona, widząc mój środek transportu, nie okazuje tego.

– Potrzebuje pani czegoś z domu, zanim pojedziemy? – pyta.

– Proszę mi dać minutę – odpowiadam. – Czy doktor Zenner była w domu, jak pani przyjechała?

Czuję, że lekko sztywnieje.

– Przyjechałam tu zaledwie kilka minut przed panią.

Unik, myślę, wchodząc po frontowych schodach. Otwieram drzwi i wyłączam alarm. W holu jest ciemno, nie palą się światełka na choince ani wielki żyrandol. Zostawiam Annie kartkę, dziękując jej za przyjaźń i gościnność. Muszę jutro wrócić do siebie i wiem, że zrozumie dlaczego. Przede wszystkim chcę, aby wiedziała, że nie jestem na nią zła, że zdaję sobie sprawę, iż ona także padła ofiarą okoliczności, podobnie jak ja. Mówię „okoliczności”, bo nie jestem już pewna, kto jeszcze przyciśnie jej łufę do głowy i każe się dzielić zwierzeniami na mój temat. Następny może być Rocky Caggiano, chyba że zostanie postawiona w stan oskarżenia. Gdyby do tego doszło, nie będę żadnym świadkiem w procesie Chandonne’a i w żaden sposób nie zdołam pomóc w jego skazaniu. Kładę kartkę na nieskazitelnie zasłanym biedermeierowskim łóżku Anny. Potem wsiadam do samochodu Jaime Berger i zaczynam jej opowiadać o swoim dniu w James City County, o porzuconym namiocie i długich, białych włosach na poduszce. Słucha uważnie, jednocześnie prowadząc. Wie, dokąd jechać, jakby całe życie mieszkała w Richmondzie.

– Możemy udowodnić, że to włosy Chandonne’a? – pyta w końcu.

– Zakładając, że są bez cebulek, jak zawsze. Te, które znaleziono na miejscach zbrodni, też były bez cebulek, prawda? Na pani miejscach zbrodni, przy ciałach Luong i Bray.

– Nie było cebulek – potwierdzam, poruszona uwagą o moich miejscach zbrodni. To nie są moje miejsca zbrodni, protestuję w milczeniu.

– Te włosy mu wypadły, więc nie mogą mieć cebulek. Ale możemy z nich pobrać mitochondrialny DNA. Tak więc możemy stwierdzić definitywnie, czy włosy z kempingu należą do niego.

– Proszę mi to wytłumaczyć. Nie jestem specjalistką od mitochondrialnego DNA. Ani od włosów, jeśli już o tym mowa, szczególnie takich jak jego.

DNA jest trudnym tematem. Wyjaśnienie ludzkiego życia na poziomie molekularnym to dla większości osób bardziej skomplikowana sprawa, niż mogą zrozumieć i chcą wiedzieć. Policja i prokuratorzy kochają DNA za to, co potrafi udowodnić. Nie cierpią o tym mówić w sposób naukowy i niewielu z nich rozumie, o co chodzi. Według starego dowcipu większość ludzi nie umie nawet poprawnie napisać DNA. Tłumaczę, że jądrowy DNA jest tym, co otrzymujemy, kiedy mamy do zbadania komórki wraz z jądrem, jak w przypadku krwi, tkanki, płynu nasiennego i cebulek włosów. Jest dziedziczony w równym stopniu od każdego z rodziców, więc jeśli uzyskamy czyjś jądrowy DNA, w pewnym sensie mamy całego człowieka i możemy porównać profil jego DNA z każdą inną próbką biologiczną, którą ta osoba zostawiła, powiedzmy, w innym miejscu zbrodni.

– Czy możemy po prostu porównać włosy z kempingu z włosami, które zostawił na miejscach zbrodni? – pyta Berger.

– Nieskutecznie. Zbadanie charakterystycznych cech pod mikroskopem w tym wypadku niewiele nam powie, bo włosy nie zawierają pigmentu. Będziemy mogli najwyżej powiedzieć, że ich morfologia jest podobna bądź zgodna.

– To nie będzie miarodajne dla sądu – myśli na głos moja rozmówczyni.

– W żadnym razie.

– Jeżeli nie zrobimy porównania mikroskopowego, obrońca i tak to wyciągnie – snuje swoje rozważania dalej. – Zapyta: „Dlaczego nie

zrobiliście porównania?”.

– No cóż, jeśli pani sobie życzy, możemy porównać włosy pod mikroskopem.

– Te z ciała Susan Pless i te z pani spraw.

– Jeśli pani sobie życzy – powtarzam.

– Proszę mi wytłumaczyć, jak funkcjonuje w rdzeniu włosa DNA.

Wyjaśniam, że mitochondrialny DNA znajduje się w ściankach komórek, a nie w ich jądrze, co oznacza, że DNA mitochondrialny jest antropologicznym DNA włosów, paznokci, zębów i kości. Mitochondrialny DNA to cząsteczki, które tworzą nasze cegły i zaprawę. Jego ograniczona użyteczność bierze się stąd, że mitochondrialny DNA dziedziczy się tylko w linii żeńskiej. Posługuję się jajkiem jako przykładem. Pomyślmy o mitochondrialnym DNA jako o białku, podczas gdy DNA jądrowy jest żółtkiem. Nie można porównać jednego z drugim. Ale jeśli się ma DNA z krwi, ma się całe jajko i można porównać jedne mitochondria z drugimi – białko z białkiem. Mamy krew, bo mamy Chandonne’a. W szpitalu musiał oddać próbkę krwi. Mamy szczegółowy profil jego DNA i możemy porównać mitochondrialny DNA niezidentyfikowanych włosów z mitochondrialnym DNA jego krwi.

Jaime Berger słucha, nie przerywając. Wygląda na to, że zrozumiała moje wywody. Jak zwykle, nie robi żadnych notatek.

– Czy Chandonne pozostawił jakieś włosy u pani w domu?

– Nie wiem, co znalazła policja.

– Przy tym, jak mu wypadają, przypuszczam, że pozostawił je u pani w domu, a już na pewno w śniegu na podwórzu, gdy się tam tarzał.

– Można by tak sądzić – zgadzam się z nią.

– Czytałam o wilkołakach. – Berger przeskakuje do następnego tematu.

– Zdaje się, że naprawdę byli ludzie, którzy wierzyli, że są wilkołakami

albo robili rozmaite dziwne rzeczy, aby się w nie zamienić. Czary, czarna magia. Kult szatana. Kąsanie. Picie krwi. Myśli pani, że to możliwe, iż Chandonne naprawdę wierzy, że jest *loup garoul* Wilkołakiem? A może nawet chce nim być?

– Czyli byłby niepoczytalny, a zatem niewinny – odpowiadam. Od początku uważałam, że taka właśnie będzie linia jego obrony.

– Na początku siedemnastego wieku żyła pewna węgierska hrabina, Elizabeth Batory-Nadasdy, znana także jako Krwawa Hrabina – opowiada Berger. – Podobno torturowała i zamordowała około sześciuset młodych kobiet. Kąpała się w ich krwi, wierząc, że w ten sposób zatrzyma młodość i urodę. Zna pani tę historię?

– Słabo.

– Hrabina ponoć trzymała te kobiety w lochu, karmiła je, a następnie podcinała im żyły i kąpała się w krwi, a potem zmuszała inne więzione przez siebie biedaczki, aby zlizywały krew z jej ciała. Podobno ręczniki był dla niej zbyt szorstkie. Wcieranie krwi w skórę całego ciała w celach leczniczych – zastanawia się Berger. – Te opisy pominęły oczywistą sprawę. Uważam, że był w tym również element erotyczny – dodaje sucho. – Morderstwa na tle seksualnym. Nawet jeśli sprawczynie istotnie wierzyły w magiczną moc krwi, chodziło też o władzę i seks. O to chodzi, bez względu na to, czy ktoś jest piękną hrabiną czy genetyczną anomalią wychowaną na Wyspie Świętego Ludwika.

Skręcamy w Canterbury Road i wjeżdżamy w zadrzewioną, zamożną dzielnicę Windsor Farms, na skraju której mieszkała Diane Bray. Mur odgradza jej posesję od hałaśliwej ulicy prowadzącej do centrum.

– Dużo bym dała, żeby wiedzieć, co Chandonne'owie mają w swojej bibliotece – mówi Jaime Berger. – Albo ściślej, jakie książki Chandonne czytał przez te lata, poza historią i innymi erudycyjnymi materiałami, które

dawał mu ojciec, tere-fere. Na przykład czy wie coś o Krwawej Hrabinie? Czy nacierał się krwią w nadziei, że go to w magiczny sposób uleczy?

– Uważamy, że kapał się w Sekwanie a potem tutaj, w James – odpowiadam. – Być może właśnie z tego powodu. Żeby się w magiczny sposób wyleczyć.

– Jakaś biblijna historia.

– Może.

– Mógł też czytać Biblię – snuje rozważania dalej. – Może był pod wpływem francuskiego seryjnego mordercy Gillesa Garniera, który zabijał małych chłopców, zjadał ich ciała i wył do księżycy? W średniowieczu we Francji było wielu tak zwanych wilkołaków. Oskarżono o to około trzydziestu tysięcy osób, wyobraża pani sobie? – Przystudiowała ten temat, to oczywiste. – Według wierzeń ludowych jeżeli kogoś ugryzł wilkołak, ofiara też stawała się wilkołakiem. Może Chandonne usiłował przemienić swoje ofiary w wilkołaki? Może po to, żeby znaleźć odpowiednik narzeczonej Frankensteina, kobietę taką samą jak on?

Te niezwykle rozważania układają się w całość, która jest o wiele bardziej rzeczowa i prozaiczna, niż mogłoby się wydawać. Jaime Berger po prostu przewiduje, co w tej sprawie zrobi obrona, a oczywistym zabiegiem jest odwrócenie uwagi przysięgłych od potwornego charakteru zbrodni przez zajęcie ich fizycznym zniekształceniem Chandonne'a, rzekomą chorobą umysłową i dziwacznością. Gdyby się udało skutecznie wykazać, że oskarżony wierzy, iż jest istotą paranormalną, wilkołakiem, potworem, wówczas jest bardzo mało prawdopodobne, aby przysięgli uznali jego winę i skazali go na dożywocie. Przychodzi mi do głowy, że niektórym mogłoby nawet być go żal.

– Kula za srebra. – Robi aluzję do przesądu, że wilkołaka można zabić jedynie kulą ze srebra. – Mamy stos dowodów, ale oskarżyciel w sprawie

OJ. Simpsona też je miał. Srebrną kulą dla obrony będzie stwierdzenie, że Chandonne jest psychicznie chory i godny litości.

Dom Dianę Bray przypomina drewniane białe pudełko z dwuspadowym dachem i choć policja zabezpieczyła miejsce zbrodni i wycofała się, miejsce to nie wróciło do życia. Nawet prokuratorowi nie wolno tu wejść bez pozwolenia właściciela, czy, w tym wypadku, osoby występującej w roli pełnomocnika spadkobierców. Siedzimy na podjeździe, czekając, aż Erie Bray, brat ofiary, pojawi się z kluczem.

– Mogła go pani widzieć na mszy. – Jaime Berger przypomina mi, że Erie Bray niósł urnę z prochami siostry. – Niech mi pani wyjaśni, jakim sposobem Chandonne skłonił doświadczoną policjantkę, aby mu otworzyła drzwi. – Jej uwaga odpływa daleko od potworów w średniowiecznej Francji i powraca do bardzo rzeczywistych jatek przed naszymi oczyma.

– To wykracza poza moje kompetencje, proszę pani. Może lepiej niech pani ograniczy swoje pytania do zwłok i tego, co ustaliłam.

– Teraz nie ma kompetencji, są tylko pytania.

– Czy to dlatego, że zakłada pani, iż może nigdy nie pojawię się w sądzie, przynajmniej nie w Nowym Jorku, bo jestem splamiona? – Poruszam tę kwestię. – Faktem jest, że nie można być bardziej splamionym niż ja w tej chwili.

Milknę, żeby zobaczyć, czy coś wie. Kiedy się nie odzywa, przyciskam ją.

– Czy Righter dał pani do zrozumienia, że mogę okazać się niezbyt pomocna? Że sprawdza mnie wielka ława przysięgłych, bo wpadł na ten durny pomysł, że miałam coś wspólnego ze śmiercią Dianę Bray?

– To coś więcej niż danie mi do zrozumienia – odpowiada cicho, wpatrując się w ciemny dom. – Rozmawiałam też o tym z Marinem.

– Tyle są warte tajne działania – zauważam sardonicznie.

– Cóż, jest zasada, że nic, co się dzieje w sali posiedzeń wielkiej ławy, nie może się przedostać na zewnątrz. A jeszcze się nic nie dzieje. Na razie Righter posługuje się wielką ławą, żeby zdobyć dojsie, do czego się da. Zgromadzić wszystko na pani temat. Pani rachunki telefoniczne, wyciągi bankowe. I co ludzie mają do powiedzenia. Wie pani, jak to działa. Jestem pewna, że nieraz pani zeznawała podczas przesłuchań wielkiej ławy przysięgłych.

Mówi tak, jakby to była zwykła rutyna. Moje oburzenie narasta i wyraża się w słowach.

– Wie pani, nie jestem pozbawiona uczuć. Może oskarżenie o morderstwo to dla pani chleb powszedni, ale dla mnie nie. Moja opinia osoby uczciwej zawodowo to jedyne, na czego utratę nie mogę sobie pozwolić. Jest dla mnie wszystkim. I żeby mnie oskarżyć o taką zbrodnię! Właśnie mnie! A nawet pomyśleć, że mogłabym zrobić coś, przeciwko czemu walczę w każdej świadomej minucie swego życia! Nigdy. Nie nadużywam stanowiska i władzy. Nigdy. Nie ranie umyślnie ludzi. Nigdy. I niech pani nie kupuje tych bredni ot tak, pani Berger. Nic gorszego nie mogło mnie spotkać. Nic.

– Mam pani coś poradzić? – Patrzy na mnie.

– Zawsze jestem otwarta na sugestie.

– Po pierwsze, media o wszystkim się dowiedzą. Wie pani o tym. Na pani miejscu uprzedziłabym wydarzenia i zwołała konferencję prasową. Od razu. Nie została pani zwolniona i to jest dobra wiadomość. Nie utraciła pani poparcia ludzi, którzy mają coś do powiedzenia w sprawie pani życia zawodowego. To cud. Politycy zwykle szybko się wycofują, ale gubernator bardzo wysoko panią ceni. Nie wierzy, że pani zabiła Dianę Bray. Jeśli złoży oświadczenie w tym duchu, powinna pani być bezpieczna, zakładając, że specjalna wielka ława nie zdecyduje się pani oskarżyć.

– Czy rozmawiała pani o którejś z tych spraw z gubernatorem Mitchellem?

– Miałam z nim kontakt w przeszłości. Znamy się. Prowadziliśmy razem pewną sprawę, kiedy był prokuratorem generalnym.

– Tak, wiem o tym. – Nie o to ją pytałam.

Milczymy. Jaime Berger patrzy na dom Dianę Bray. Wewnątrz nie pali się światło, więc zwracam jej uwagę, że do metody działania Chandonne’a należało wykręcenie żarówki na ganku albo wyrwanie drutów i kiedy ofiara otwierała drzwi, on pozostawał w ciemności.

– Chciałabym znać pani opinię – odzywa się Berger. – Jestem pewna, że ją pani ma. Jest pani bardzo spostrzegawczą, doświadczoną osobą. – Mówi to zdecydowanie i z przekonaniem. – Wie pani również, co zrobił pani Chandonne – zna pani jego sposób działania jak nikt inny.

Irytuje mnie, że wspomina o napaści Chandonne’a na mnie. Chociaż robi tylko to, co do niej należy, czuję się obrażona takim pozbawionym osłonek obiektywizmem. Zniechęcają mnie także jej wymijające odpowiedzi. Złości mnie, że decyduje, kiedy i o czym będziemy rozmawiały i jak długo. Nie mogę nic na to poradzić, jestem tylko człowiekiem. Chcę, żeby okazała mi choć cień współczucia z powodu tego, przez co przechodzę.

– Ktoś zadzwonił dziś do prosektorium i przedstawił się jako Benton Wesley. – Rzucam jej tę bombę. – Czy odezwał się już do pani Rocky Caggiano? Jakie ma zamiary? – Gniew i strach sprawiają, że mój głos nabiera ostrego brzmienia.

– Jeszcze przez jakiś czas się do nas nie odezwie. – Odpowiada, jak gdyby dobrze to wiedziała. – To nie w jego stylu. Ale wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby zastosował swoje stare sztuczki. Prześladowanie. Nękanie. Zastraszanie. Uderzanie w czułe miejsca, choćby w ramach ostrzeżenia. Przypuszczam, że nie będzie pani miała z nim bezpośredniego kontaktu ani

nawet nie poczuje pani jego obecności, dopóki nie nadejdzie dzień procesu. Jeżeli w ogóle go pani zobaczy. Taki on już jest, ten skurczysyn. Cały czas pozostaje w ukryciu.

Przez chwilę żadna z nas się nie odzywa. Ona czeka na mój ruch. W końcu się odzywam:

– Chce pani mojej opinii czy też spekulacji, doskonale. Tego pani sobie życzy. Dobrze.

– Tego chcę. Byłaby pani całkiem dobrym numerem dwa. – To aluzja do drugiego prokuratora okręgowego, który będzie z nią współpracował jako jej partner podczas procesu. Albo powiedziała mi komplement, albo to ironia.

– Dianę Bray miała przyjaciółkę, która często ja odwiedzała. – Robię pierwszy krok. Zaczynam dedukować. – Detektyw Renę Anderson. Ta zaś miała obsesję na punkcie swojej szefowej. A wydaje się, że Bray się z nią drażniła. Myślę, że możliwe jest, iż Chandonne obserwował Bray i zbierał informacje. Widział, jak Anderson przychodzi i wychodzi. W noc zabójstwa zaczekał, aż detektyw Anderson wyjdzie, i natychmiast z tego skorzystał, wykręcił żarówkę na ganku, po czym zapukał do drzwi. Bray uznała, że to tamta wraca, aby kontynuować kłótnię czy szukać zgody albo jeszcze coś innego.

– Bo się kłóciły. Często się kłóciły – podejmuje wątek Berger.

– Z tego, co się widziało, to był burzliwy związek. – Zanurzam się głębiej w niedozwoloną przestrzeń. Nie wolno mi zaglądać w tę część śledztwa, ale idę dalej. – W przeszłości detektyw Anderson też gwałtownie wypadała, a potem wracała – dodaję.

– Była pani przy przesłuchaniu Renę Anderson po tym, jak znaleziono ciało. – Wie o tym. Ktoś jej powiedział. Prawdopodobnie Marino.

– Tak.

– No więc co się stało tej nocy, kiedy ta kobieta jadła pizzę i piła piwo u Dianę Bray?

– Z tego, co mówiła, pokłóciły się. Renę wyszła rozzłoszczona i w chwilę później rozległo się pukanie do drzwi. W taki sposób, jak zawsze pukała Anderson. Udał jej pukanie, tak jak podszył się pod policję, kiedy przyszedł do mnie.

Jaime Berger patrzy na mnie.

– Proszę mi pokazać.

Pukam w deskę rozdzielczą. Trzy razy, mocno.

– Tak zawsze pukała do drzwi Anderson? Nie używała dzwonka?

– Wystarczająco długo się pani obraca wśród policjantów, aby wiedzieć, że rzadko kiedy dzwonią do drzwi. Są przyzwyczajeni do okolic, gdzie dzwonki nie działają, jeśli w ogóle istnieją.

– Ciekawe, że Anderson nie wróciła – zauważa Berger. – Co by było, gdyby to zrobiła? Myśli pani, że Chandonne wiedział, że nie wróci tej nocy?

– Też się nad tym zastanawiałam.

– Może wyczuł coś w jej zachowaniu, kiedy wyszła? A może już tak nad sobą nie panował, że nie mógł się powstrzymać – rozmyśla głośno Berger. – A może jego żądza była silniejsza od strachu, że ktoś mu przeszkodzi.

– Mógł też zauważyć inną ważną rzecz. Renę Anderson nie miała klucza od domu Dianę Bray. Bray jej zawsze otwierała.

– Tak, ale drzwi nie były zamknięte na klucz, kiedy Anderson wróciła nazajutrz rano i znalazła ciało, prawda?

– To nie znaczy, że nie były zamknięte, gdy on tam był i zaatakował Dianę Bray. Kiedy mordował Kim Luong, wywiesił tabliczkę „Zamknięte” i zamknął sklep na klucz.

– Ale nie mamy pewności, że zamknął za sobą drzwi na klucz, kiedy wszedł tutaj.

– Ja nie mam tej pewności.

– Mógł nie zamknąć – ciągnie Jaime Berger. – Mógł się wepchnąć do środka i zaczął ją ścigać. A drzwi pozostały niezamknięte przez cały czas, kiedy masakrował ją w sypialni.

– To by oznaczało, że stracił panowanie nad sobą i dużo ryzykował – zauważani.

– Hm. Nie chcę używać określenia, że stracił panowanie nad sobą. Jaime Berger sprawia wrażenie, jakby mówiła do siebie.

– Stracić panowanie nad sobą to nie to samo, co być obłąkanym – przypominam jej. – Wszyscy, którzy zabijają, poza działającymi w obronie własnej, stracili panowanie nad sobą.

– Ach. Trafiony. – Potakuje. – Więc Dianę Bray otwiera drzwi, światło się nie pali, a on tam stoi w ciemności.

– To samo zrobił u doktor Stvan w Paryżu. Tam także zamordowano kilka kobiet, sposób działania był ten sam i w kilku przypadkach Chandonne pozostawiał listy na miejscu zbrodni.

– Stąd pochodzi jego przydomek *Le Loup Garou* – wtrąca Berger.

– Podpisał się nim także na pudle wewnątrz kontenera, gdzie znaleziono ciało jego brata, Thomasa. Tak, podobno kiedy mordował w Paryżu, zaczął zostawiać listy, w których nazywał siebie Wilkołakiem. Pewnej nocy pojawił się w drzwiach doktor Stvan, nie wiedząc, że jej mąż zachorował i nie wyszedł do pracy. Pracuje wieczorami, jest kucharzem, ale wtedy niespodziewanie został w domu, dzięki Bogu. Doktor Stvan otworzyła drzwi, a gdy Chandonne usłyszał głos jej męża z drugiego pokoju, uciekł.

– Przyjrzała mu się dobrze?

– Chyba nie. – Powtarzam to, co powiedziała mi doktor Stvan. – Było ciemno. Odniosła wrażenie, że był porządnie ubrany, miał długi, ciemny płaszcz, szalik, trzymał ręce w kieszeniach. Wysławiał się przyzwoicie, zachowywał uprzejmie, opowiedział zmyśloną historię, że mu się zepsuł samochód i musi zatelefonować. Potem się zorientował, że nie jest sama i zwał gdzie pieprz rośnie.

– Czy zapamiętała jeszcze coś?

– Zapach. Czuć go było jak psa.

Przy tym komentarzu Berger wydaje dziwny odgłos. Zaczynam się przyzwyczajać do jej drobnych nawyków; kiedy jakiś szczegół jest wyjątkowo dziwaczny lub obrzydliwy, wciąga policzek i wydaje cichy chrapliwy dźwięk, jak ptak.

– Więc najpierw usiłuje zaatakować głównego koronera w Paryżu, a potem tutaj. Panią – mówi z naciskiem. – Dlaczego? – Siedzi zwrócona twarzą do mnie, oparłszy łokieć o kierownicę.

– Dlaczego? – powtarzam, jak gdyby to było pytanie, na które nie umiem odpowiedzieć, jak gdyby nie powinna mi go zadawać. – Może właśnie ktoś powinien mi to wyjaśnić. – Znowu czuję przyływ gorącego gniewu.

– Premedytacja – odpowiada Berger. – Obłąkani nie planują zbrodni z takim rozmysłem. Wybrał głównego koronera najpierw w Paryżu, a potem tutaj. W obydwu wypadkach to kobiety. Obie przeprowadzały autopsje jego ofiar i wobec tego pozostają w swoistego rodzaju perwersyjnie intymnym związku z nim samym. Być może nawet w intymniejszym niż kochanka, bo w pewnym sensie obie go obserwowałyście. Widziałyście ślady jego ugryzień. Kładłyście ręce na tych samych ciałach, których on dotykał. W pewnym sensie obserwowałyście,

jak się kochał z tymi kobietami, bo w taki właśnie sposób Jean-Baptiste Chandonne kocha się z kobietą.

– Co za obrzydliwa myśl. – Uważam jej interpretację psychologiczną za obraźliwą dla mnie osobiście.

– Wzór. Plan. Nic nie jest w najmniejszym stopniu przypadkowe. Więc to ważne, żebyśmy zrozumiały te mechanizmy, Kay. Bez osobistego obrzydzenia czy reakcji. – Robi pauzę. – Musi pani patrzeć na niego beznamiętnie. Nie może pani pozwolić sobie na nienawiść.

– Trudno jest nie nienawidzić kogoś takiego jak on – odpowiadam uczciwie.

– A kiedy kogoś naprawdę odpychamy i nienawidzimy, trudno jest poświęcać mu czas i uwagę, interesować się nim dogłębnie, jak gdyby był wart zrozumienia. My zaś musimy się interesować Chandonne'em. Dogłębnie. Chcę, żeby pani zainteresowała się nim bardziej niż kiedykolwiek kimkolwiek innym w życiu.

Nie sprzeciwiam się temu, co mówi. Wiem, że zwraca uwagę na istotną sprawę. Ale rozpaczliwie bronię się przed zainteresowaniem Chandonne'em.

– Zawsze zajmowały mnie ofiary – mówię. – Nigdy nie poświęcałam czasu na próbę wejścia w dusze i umysły tych gnojów, którzy popełniali zbrodnie.

– Ale też nigdy nie prowadziła pani takiej sprawy jak ta. Nigdy nie była pani także podejrzana o morderstwo. Mogę pani pomóc w tym śledztwie. I potrzebna mi pani pomoc przy moim. Niech mi pani pomoże wejść w umysł Chandonne'a, w jego serce. Chcę, żeby go pani nie nienawidziła.

Milczę. Nie chcę dawać Chandonne'owi więcej z siebie, niż już wziął. Czuję łyżę frustracji i wściekłości i mrugam, opanowując je.

– Jak pani może mi pomóc? – pytam. – Nie ma pani tu jurysdykcji.

Dianę Bray nie jest pani sprawą. Może ją pani wciągnąć do przypadku Susan Pless, używając precedensu Molineux, ale ja zostanę na lodzie, kiedy przyjdzie do przesłuchania przed wielką ławą przysięgłych w Richmondzie. Zwłaszcza jeśli pewni ludzie starają się, aby wyglądało na to, że to ja zabiłam Dianę Bray. Że jestem obłąkana. – Oddycham głęboko. Serce bije mi pośpiesznie.

– Klucz do oczyszczenia pani jest ten sam. Susan Pless. W jaki sposób mogła pani mieć cokolwiek wspólnego z tamtym zabójstwem? W jaki sposób mogłaby pani fałszować dowody w tamtej sprawie?

Czeka na moją odpowiedź, jakbym umiała cokolwiek odpowiedzieć. Sama myśl odbiera mi mowę. Oczywiście, że nie miałam nic wspólnego z zabójstwem Susan Pless.

– Moje pytanie brzmi następująco – kontynuuje Jaime Berger. – Jeżeli DNA ze sprawy Susan pasuje do DNA z pani sprawy, czy to nie oznacza, że ta sama osoba musiała zabić obydwie kobiety?

– Przypuszczam, że przysięgli muszą być o tym przekonani poza wszelkimi uzasadnionymi wątpliwościami. Potrzebna im tylko prawdopodobna przyczyna. – Odgrywam adwokata diabła w swoim własnym dylemacie. – Młotek kamieniarski poplamiony krwią Dianę Bray, znaleziony w moim domu. I kwit potwierdzający, że kupiłam takie narzędzie. A ten, który naprawdę kupiłam, zniknął. To wszystko wskazuje na mnie, prawda? Wprost się rzuca w oczy.

– Niech mi pani powie – pyta – zrobiła to pani? – Dotyka mojego ramienia.

– Nie – oświadczam. – Nie, nie zrobiłam tego.

– Dobrze. Bo nie dałabym sobie rady, gdyby pani to zrobiła. Jest mi pani potrzebna. Im także. – Mówi o innych ofiarach Chandonne'a, tych, które nie przeżyły. Jestem im potrzebna. Wpatruje się w zimny, pusty dom

widoczny za przednią szybą. – Dobra. – Wracamy do tej, z której powodu teraz czekamy na podjeździe. Do Dianę Bray. – Więc Chandonne wchodzi drzwiami frontowymi. Nie ma śladów walki, atakuje ją dopiero, jak już są w drugiej części domu, w jej sypialni. Nie wygląda, żeby próbowała uciekać czy bronić się w jakikolwiek sposób. Nie sięgnęła po broń? Jest policjantką. Gdzie jej broń?

– Wiem, że kiedy się wdarł do mojego domu, próbował zarzucić mi na głowę płaszcz. – Próbuję robić to, czego chce Jaime Berger. Zachowuję się, jakbym mówiła o kimś innym.

– Więc może jej także zarzucił na głowę płaszcz albo coś innego i zmusił ją do pójścia na tyły domu, do sypialni?

– Może. Policja nigdy nie znalazła broni Dianę Bray. Jak mi wiadomo – odpowiadam.

– Hm. Ciekawe, co z nią zrobił? – zastanawia się Berger.

W lusterku odbijają się przednie światła samochodu. Odwracam głowę. Samochód kombi zwalnia na podjeździe.

– Z jej domu zginęły także pieniądze. Dwa i pół tysiąca dolarów, pieniądze za narkotyki, suma, którą detektyw Anderson przyniosła wcześniej tego wieczora. Według jej własnych zeznań. – Kombi zatrzymuje się za nami. – Ze sprzedaży lekarstw na recepty, jeśli ta dziewczyna powiedziała prawdę.

– Myśli pani, że mówiła prawdę?

– Całą prawdę? Nie wiem. Więc może Chandonne zabrał pieniądze i może wziął też broń. Chyba że Anderson ukradła te pieniądze, gdy wróciła nazajutrz rano i znalazła ciało. Ale kiedy zobaczyła, co stało się w sypialni, trudno sobie wyobrazić, że mogła zrobić cokolwiek innego, niż uciec co sił w nogach.

– Na podstawie zdjęć, które mi pani pokazała, jestem skłonna się zgodzić.

Wysiadamy. Nie widzę Erica Braya tak wyraźnie, żeby go rozpoznać, ale odnoszę wrażenie, że jest dobrze ubranym, przystojnym mężczyzną, w wieku zbliżonym do zamordowanej siostry, około czterdziestki. Podaje mojej towarzyszkę klucz z przyczepioną karteczką.

– Numer kodu urządzenia alarmowego jest na zawieszce – wyjaśnia. – Ja zaczekam tutaj.

– Naprawdę mi przykro, że narażam pana na cały ten kłopot. – Berger bierze aparat fotograficzny i papiery z tylnego siedzenia. – Szczególnie w Wigilię.

– Wiem, że musicie robić, co do was należy – odpowiada mężczyzna drętwym, głuchym głosem.

– Był pan w środku?

Erie Bray waha się i patrzy na dom.

– Nie mogę. – Jego głos się podnosi, dławią go łzy. Potrząsa głową i wsiada z powrotem do samochodu. – Nie wiem, jak ktokolwiek z nas... Cóż. – Rozmawia z nami przez otwarte drzwi kombi. Światło wewnątrz jest zapalone. – Jak damy radę kiedykolwiek tam pójść i zająć się jej rzeczami. – Patrzy na mnie i Jaime Berger przedstawia nas sobie. Nie mam wątpliwości, że Erie Bray już bardzo dobrze wie, kim jestem.

– Są w okolicy firmy zajmujące się sprzątaniami – zwracam się do niego ostrożnie. – Proponuję skontaktować się z którąś, żeby zajęła się wszystkim, zanim wejdzie tam ktoś z państwa. Na przykład Service Master. – Przechodziłam przez to wiele razy z ludźmi, których bliscy ginęli śmiercią tragiczną w swoich mieszkaniach. Nikt nie powinien być zmuszony do oglądania rozbryzgniętych po całym domu szczątków, krwi i mózgu osoby, którą kochał.

– Mogą tam wejść bez nas? – pyta Erie Bray. – Ci sprzątający?

– Trzeba zostawić klucz w skrzynce przy drzwiach. Tak, wejdą i zajmą się wszystkim bez potrzeby państwa obecności. Są solidni i ubezpieczeni.

– To tak zrobimy. Chcemy sprzedać ten dom – zwraca się do Jaime Berger. – Jeśli już nie jest wam potrzebny.

– Dam panu znać – zapewnia go. – Oczywiście mają państwo prawo zrobić z nim, co chcą.

– Nie wiem, kto go kupi po tym, co się stało.

Ani prokurator Berger, ani ja nie komentujemy tej uwagi. Erie Bray ma pewnie rację. Większość ludzi nie chce kupować domów, gdzie kogoś zamordowano.

– Rozmawiałem już z jedną agencją od nieruchomości – ciągnie brat Dianę głuchym głosem, w którym nie słyhać już nawet gniewu. – Oświadczyli, że nie mogą się tym zająć. Bardzo im przykro i tak dalej, ale nie chcieli się tego podjąć. Nie wiem, co robić. – Patrzy na ciemny, pozbawiony życia dom. – Nie byliśmy blisko, Dianę i ja, nikt z rodziny nie był z nią blisko. W gruncie rzeczy nie zależało jej na rodzinie czy przyjaciółach. Była zajęta głównie sobą. Wiem, że nie powinienem tego mówić, ale to prawda.

– Często ją pan widywał? – pyta Berger. Mężczyzna potrząsa głową.

– Chyba ja ją znałem najlepiej, bo między nami są tylko dwa lata różnicy. Wszyscy wiedzieliśmy, że ma za dużo pieniędzy, czego nie umieliśmy wytłumaczyć. Wpadła do mnie w Święto Dziękczynienia, podjechała nowusieńkim czerwonym jaguarem. – Uśmiecha się gorzko i ponownie potrząsa głową. – Wtedy już byłem pewien, że wdała się w coś, o czym lepiej nie wiedzieć. Nie dziwię się, naprawdę. – Oddycha głęboko, spokojnie. – W gruncie rzeczy nie jestem zdziwiony, że to się tak skończyło.

– Wiedział pan, że jest zamieszana w handel narkotykami? – Prokurator Berger przekłada segregator do drugiej ręki.

– Policja coś niecoś nam wspomniała. Dianę nigdy nie mówiła o tym, co robi, a my nie pytaliśmy, szczerze mówiąc. O ile wiem, nawet nie napisała testamentu. Więc teraz mamy cały ten bałagan. I musimy coś zrobić z jej rzeczami. – Podnosi na nas oczy ze swego miejsca za kierownicą. Nawet w ciemności widać, jaki jest zgnębiony. – Naprawdę nie wiem, co robić.

Tyle spraw się kłębi wokół tragicznej śmierci. Są rzeczy, których nie widzi się na filmach ani nie czyta się o nich w gazetach: ludzie, którzy zostali, i to, co muszą znosić. Daję Ericowi Brayowi swoją wizytówkę i mówię, żeby zadzwonił do mnie do biura, jeśli ma jakieś pytania. Jak zwykle w takich wypadkach, informuję go, że nasz instytut wydał broszurę, doskonale źródło informacji, zatytułowaną „Co robić po wyjściu policji”. Napisał ją Bill Jenkins, którego syn został zamordowany przed dwoma laty podczas kretańskiego napadu rabunkowego na jedną z restauracji typu fast food.

– Ta publikacja odpowie na wiele pańskich pytań – zapewniam go. – Bardzo mi przykro. Zabójstwo pociąga za sobą wiele problemów. To smutna rzeczywistość.

– Tak, proszę pani, z pewnością. Owszem, chciałbym przeczytać to, co macie na ten temat. Nie wiem, czego się spodziewać, co z tym wszystkim robić – powtarza znowu. – Będę tu, gdyby miały panie jakieś pytania. Czeka w samochodzie.

Zamyka drzwiczki. Czuję ucisk w piersi. Jestem poruszona bólem Erica Braya, a jednak nie potrafię odczuwać smutku z powodu jego zamordowanej siostry. Jeżeli już, to portret Dianę rysujący się z jego słów sprawia, że lubię ją jeszcze mniej. Nawet wobec swoich najbliższych nie zachowywała się przyzwoicie. Prokurator Berger milczy, kiedy wchodzimy

po frontowych schodach. Czuję się poddana ciągłej obserwacji. Widzi moją niechęć wobec Dianę Bray z powodu tego, co usiłowała zrobić z moim życiem. Nie staram się niczego ukryć. Po cóż miałabym to robić, w dodatku w tej chwili?

Jaime Berger patrzy w górę na lampę na ganku, którą słabo oświetlają reflektory samochodu Erica Braya. To nieduża szklana kula, przykręcona do oprawki. Policja znalazła ją w trawie, obok krzaka bukszpanu, gdzie widocznie rzucił ją Chandonne. Potem pozostało mu już tylko wykręcenie żarówki.

– Była gorąca – mówię. – Więc przypuszczam, że ją czymś owinął. Może użył płaszcza.

– Nie ma na niej odcisków palców. Jego odcisków, z tego co mówił Marino. – Nie wiedziałam. – Ale to mnie nie dziwi, jeżeli przyjmujemy, że owinął czymś żarówkę, żeby się nie oparzyć.

– A co z kloszem?

– Też nie ma na nim jego odcisków. – Wkłada klucz w zamek. – Ale mógł mieć coś na rękach również wtedy, kiedy go odkręcał. Zastanawiam się tylko, jak go dosięgnął. To dość wysoko. – Otwiera drzwi i włącza się urządzenie alarmowe. – Myśli pani, że wspinał się na coś? – Wystukuje numer kodu.

– Może wszedł na poręcz – sugeruję. Nagle staję się ekspertką od zachowania Chandonne'a i wcale mi się ta rola nie podoba.

– A u pani w domu?

– Mógł to zrobić. Wejść na poręcz i przytrzymać się ściany albo dachu nad gankiem.

– U pani też nie znaleziono żadnych odcisków palców na oprawce ani na żarówce, na wypadek gdyby pani nie wiedziała. W każdym razie nie jego.

W salonie tykają zegary i przypominam sobie, jaka byłam zaskoczona, kiedy weszłam pierwszy raz do domu Dianę Bray, już po jej śmierci, i odkryłam kolekcję doskonale zsynchronizowanych czasomierzy i wspaniałe, choć zimne, angielskie antyki.

– Pieniądze. – Moja rozmówczyni stoi w salonie i przygląda się eleganckiej kanapie, obrotowej półce z książkami, wykładanemu hebanem kredensowi. – O tak, zdecydowanie. Pieniądze, pieniądze, pieniądze. Policjanci tak nie mieszkają.

– Narkotyki.

I to ile, cholera jasna. – Wzrok Jaime Berger przesuwają się po całym pokoju. – Brała i rozprowadzała. Tylko że miała do tego jeleni. Włącznie z tą Anderson. Włącznie z pani pomocnikiem z kostnicy, który kradł lekarstwa znajdowane przy denatach, a pani zakładała, że są niszczone. Chuck jak mu tam. – Dotyka zasłon ze złocistego adamaszku i zagląda za lambrekin. – Pajęczyny – stwierdza. – Ten kurz nie pojawił się tu przez te kilka dni. Są i inne historie na jej temat – dodaje.

– Muszą być. Handlowanie narkotykami na ulicy nie wystarczyłoby na to wszystko tutaj i na nowego jaguara.

– Co sprawia, że wracam do pytania, które zadaję każdej osobie, z którą rozmawiam. – Berger idzie w stronę kuchni. – Dlaczego Dianę Bray przeniosła się do Richmondu?

Nie znajduję odpowiedzi.

– Nie z powodu pracy, bez względu na to, co mówiła. Nie dlatego. Wykluczone. – Otwiera lodówkę. W środku jest bardzo niewiele: płatki śniadaniowe, mandarynki, musztarda, majonez. Mleko o dwuprocentowej zawartości tłuszczu wczoraj utraciło ważność. – Dość interesujące – zauważa. – Myślę, że ta pani nigdy nie bywała w domu. – Otwiera szafę

i bada puszki z zupami Campbella i paczkę krakersów. Obok stoją trzy słoiki wykwintnych oliwek. – Do martini? Ciekawa jestem. Dużo piła?

– Nie w wieczór swojej śmierci – przypominam jej.

– Słusznie. Poziom alkoholu trzy setne. – Otwiera kolejną szafkę i następną, aż dociera do tej, w której Bray trzymała alkohol. – Butelka wódki. Butelka szkockiej. Dwa argentyńskie cabernety. To nie jest barek kogoś, kto dużo pije. Pewnie była zbyt dumna ze swojej figury, żeby ją niszczyć piciem. Prochy są przynajmniej nietuczące. Kiedy została pani wezwana na miejsce zbrodni, to była pani pierwsza wizyta w tym domu?

– Tak.

– Ale mieszka pani zaledwie kilka przecznic dalej.

– Widziałam jej dom, przejeżdżając obok. Z ulicy. Ale nigdy nie byłam w środku. Nie przyjaźniłyśmy się.

– A ona chciała się z panią zaprzyjaźnić?

– Podobno chciała pójść ze mną na lunch, czy coś. Żeby mnie poznać.

– Jak mówił Marino.

– Owszem, powiedział tak – potwierdzam. Przyzwyczajam się już do jej pytań.

– Myśli pani, że interesowała się panią od strony erotycznej? – Berger rzuca to pytanie mimochodem, jednocześnie otwierając kolejne szafki. W środku stoją talerze i kieliszki. – Wiele wskazuje na to, że robiła na obie strony.

– Pytano mnie już o to. Nie wiem.

– Stanowiłoby to dla pani problem, gdyby tak było?

– Czuję się nieswojo. Prawdopodobnie – przyznaję.

– Często jadała poza domem?

– Z tego, co wiem, tak.

Zauważam, że Jaime Berger zadaje pytania, na które, jak przypuszczam, zna odpowiedź. Chce usłyszeć moją wersję i porównać moje spostrzeżenia z tym, co usłyszała od innych. W części tego, o co pyta, pobrzmiewa echo pytań Anny z naszych zwierzeń przy kominku. Zastanawiam się, czy to możliwe, że rozmawiała także z moją przyjaciółką.

– To wszystko mi przypomina sklep, który służy jako przykrywka dla nielegalnych interesów – stwierdza Berger, zaglądając pod zlew.

Znajduje tam środki czyszczące i kilka zeschniętych gąbek. – Niech się pani nie martwi. – Wydaje się czytać w moich myślach. – Nie pozwolę nikomu zadawać pani takich pytań w sądzie, na temat pani życia intymnego czy czegokolwiek. Na temat jej życia prywatnego też nie. Zdaję sobie sprawę, że to nie jest zakres pani kompetencji.

– A powinien być? – Uwaga wydaje mi się dziwna.

– Problem jednak w tym, że część z tego, co pani wie, to nie są pogłoski, tylko wiadomości, które otrzymała pani bezpośrednio od Dianę Bray. Powiedziała pani – Berger otwiera szufladę – że denatka często jadała w mieście sama, w restauracji Buckhead.

– Tak mi powiedziała.

– Tego wieczora, kiedy spotkała ją pani na parkingu i doszło do konfrontacji?

– Tego wieczora, kiedy próbowałam udowodnić, że jest w zмовie z Chuckiem, moim pomocnikiem z kostnicy.

– I była.

– Na pewno, niestety.

– I powiedziała jej pani o tym? – Tak.

– No cóż, kochany Chuck jest pod kluczem, co mu się należy. – Jaime Berger wychodzi z kuchni. – Ale jeśli to nie pogłoska, Rocky Caggiano zapyta panią o to, a ja nie będę mogła zgłosić sprzeciwu. To znaczy, będę

mogła, tylko że to nic nie da. Musi być pani tego świadoma. Także tego, jak pani będzie wtedy wyglądać.

– Teraz akurat bardziej mnie martwi to, jak będę wyglądać w oczach wielkiej ławy przysięgłych – odpowiadam uszczypliwie.

Berger zatrzymuje się w korytarzu. Na końcu jest wejście do sypialni, drzwi są uchylone, co potęguje jeszcze atmosferę zaniedbania i obojętności, która napęłnia dom chłodem. Patrzy mi w oczy.

– Nie znam pani prywatnie – mówi. - I żadna z osób z ławy przysięgłych nie będzie pani znała. Tu chodzi o pani słowa przeciwko słowom zamordowanej policjantki, że to ona panią szykanowała, a nie odwrotnie, i że nie miała pani nic wspólnego z tym zabójstwem, nawet jeśli pani uważa, że dla świata jest lepiej, iż jej już nie ma.

– Wie to pani od Anny czy od Rightera? – pytam z goryczą. Berger rusza przed siebie korytarzem.

– Niedługo, pani doktor, będzie pani miała grubszą skórę. Uważam to za swoją misję.

Rozdział 26

Krew to życie. Zachowuje się jak żywa istota. Kiedy układ krążenia zostaje przerwany, naczynie krwionośne kurczy się w panice i zmniejsza, usiłując ograniczyć ilość życiodajnego płynu uciekającego z rany czy skaleczenia. Płytki natychmiast śpieszą, aby zatkać dziurę. Istnieje trzynaście czynników krzepnięcia, które pobudzają nawzajem swoją alchemię, żeby ograniczyć utratę krwi. Zawsze uważałam, że wiem, dlaczego krew jest jaskrawoczerwona. To kolor alarmu, nagłego wypadku, niebezpieczeństwa i zagrożenia. Gdyby była przezroczystą cieczą jak pot, moglibyśmy nie zauważyć skaleczenia u siebie albo u kogoś innego. Czerwień podkreśla ważność krwi, jest syreną, która rozbrzmiewa natychmiast, gdy dochodzi do najcięższego pogwałcenia praw jednostki: okaleczenia lub pozbawienia życia przez innego człowieka.

Krew Dianę Bray krzyczy strużkami i kroplami, plamami i smugami. Opowiada, kto to zrobił i jak, a może również dlaczego. Brutalność ciosów ma wpływ na prędkość i masę krwi, jaka przenosi się w powietrzu. Krew rozpryskująca się, kiedy zabójca bierze zamach narzędziem zbrodni, mówi o liczbie uderzeń; w tym wypadku było ich co najmniej pięćdziesiąt sześć. Tylko z taką dokładnością możemy to obliczyć, ponieważ niektóre plamy krwi zastygły jedna na drugiej i próba obliczenia, ile z nich leży warstwami

na sobie, przypominałaby ustalanie, ile razy młotek uderzył w gwóźdź, żeby go wbić w drewno. Liczba uderzeń dająca się odczytać w tej sypialni zgadza się z tym, co mi powiedziały zwłoki Dianę Bray. Ale i tam tyle urazów nakładało się na siebie i tyle było kompletnie strzaskanej tkanki kostnej, że i ja straciłam rachubę. Nienawiść. Niewiarygodna żądza i nienawiść.

Nie podjęto żadnej próby usunięcia śladów tego, co się wydarzyło w sypialni, więc naszym oczom, moim i Berger, ukazuje się widok głęboko kontrastujący ze sterylnością reszty domu. Pierwsze, co widzimy, to coś, co wygląda jak gęsta jaskraworóżowa pajęczyna. To nici, które rozpięli technicy, wskazując w ten sposób trajektorię kropel krwi, które są po prostu wszędzie. Celem tego zabiegu jest określenie odległości, prędkości i kąta, aby za pomocą modelu matematycznego obliczyć dokładne położenie ciała ofiary, kiedy zadawano jej kolejne ciosy. Rezultat wygląda jak dziwna nowoczesna instalacja, dziwaczna geometria koloru fuksji, prowadząca oko ku ścianom, sufitowi, podłodze, antykom i czterem ozdobnym lustrom, w których Dianę Bray podziwiała swą efektowną, zmysłową urodę. Kałuże zakrzepłej krwi na podłodze są teraz twarde i gęste jak wyschła melasa, a ogromne łóżko, gdzie tak brutalnie wystawione było na pokaz ciało zamordowanej, wygląda, jakby ktoś wylał kilka puszek czarnej farby na goły materac.

Czuję reakcję prokurator Berger, kiedy na to patrzy. Milczy i wchłania coś, co jest potworne, naprawdę niepojęte. Naładowuje się tą szczególną energią, którą rozumieją tylko ludzie walczący zawodowo z przemocą, szczególnie kobiety.

– Gdzie jest pościel? – Otwiera segregator. – Przesłano ją do laboratorium?

– Nie znaleźliśmy jej – odpowiadam i przypominam sobie pokój w motelu na kempingu. Tam też nie było pościeli. Chandonne utrzymywał, że pościel znikła również z jego mieszkania w Paryżu, przypominam sobie.

– Zdjęto ją, zanim Bray została zabita czy potem? – Wyjmuje zdjęcia z koperty.

– Zanim. – Wskazuję ślady krwi na materacu.

Wchodzę do pokoju, omijając nitki, które jak długie cienkie palce wskazują oskarżycielsko na Chandonne'a. Pokazuję mojej rozmówczynie dziwne, równoległe smugi na materacu, krwawe ślady, jakie pozostawił skręcony jak sprężyna uchwyt młotka kamieniarskiego, kiedy morderca odłożył go pomiędzy jednym ciosem a drugim albo później. Berger początkowo nie widzi odbitego wzoru. Wpatruje się, marszcząc brwi, a ja odcyfrowuję chaos ciemnych plam, które są odciskami dłoni i smugami, i wskazuję miejsca, gdzie przypuszczalnie opierały się kolana Chandonne'a, kiedy siedział okrakiem na ofierze, realizując swoje potworne fantazje seksualne.

– Tych śladów nie byłoby na materacu, gdyby w chwili ataku leżało na nim prześcieradło – wyjaśniam.

Jaime Berger studiuje fotografię Dianę Bray leżącą na plecach w czarnych sztruksowych spodniach z paskiem, ale bez butów i skarpetek, nagiej od pasa w górę, z rozbitym złotym zegarkiem na lewym przegubie. Złoty pierścionek na jej zmasakrowanej prawej dłoni wbija się w kość palca.

– Więc albo nie było wtedy pościeli na łóżku, albo ją z jakiegoś powodu usunął – dodaję.

– Próbuję to sobie wyobrazić. – Moja rozmówczynie ogląda materac. – Wchodzi do domu. Zapędzają tutaj, do sypialni. Nie ma śladów walki ani żadnych dowodów, że ją zranił, dopóki nie znaleźli się tutaj. I wtedy

rozpętało się piekło. Mam pytanie, zapędzą ją tutaj i mówi: „Zaraz, poczekaj no chwilę, zdejmę pościel”? Miałyby na to czas?

– Wątpię, żeby mogła jeszcze biec czy mówić, kiedy się już znalazła na łóżku. Niech pani spojrzy tutaj, tutaj, tutaj i tutaj. – Wskazuję kawałki nici, przylepione do kropli krwi, zaczynających się od drzwi do sypialni. – To krople, które spadły przy zamachu narzędziem zbrodni, w tym wypadku młotkiem kamieniarskim.

Prokurator Berger ogląda jaskrawoczerwony wzór i stara się skorelować, co z niego wynika, z tym, co widzi na zdjęciach.

– Proszę mi powiedzieć prawdę – mówi. – Naprawdę wierzy pani tym oznaczeniom nicią? Znam policjantów, którzy uważają, że to bzdura i straszna strata czasu.

– Nie, jeśli ktoś umie to robić i opiera się na nauce.

– A nauka to co?

Wyjaśniam, że krew w dziewięćdziesięciu jeden procentach składa się z wody. Jest posłuszna prawom fizyki cieczy i mają na nią wpływ ruch i siła ciężkości. Typowa kropla krwi spada z szybkością siedmiu i pół metra na sekundę. Średnica plamy zwiększa się wraz z odległością, z jakiej krew spada. Krew kapiąca na krew tworzy koronę rozprysków wokół pierwotnej kałuży. Bryzgająca zaś daje długie, wąskie rozpryski wokół centralnego śladu, a kiedy zasycha, zmienia kolor z jasnoczerwonego przez czerwonawobrązowy do czarnego. Znam specjalistów, którzy spędzili całe swoje życie zawodowe, przymocowując kroplówki napełnione krwią do stojaków, używali linek z ciężarkami, wyciskali, kapali, rozlewali i rozchlapywali krew na rozmaite powierzchnie pod różnymi kątami, chodzili po kałużach, robili odciski i rozpryskiwali, eksperymentując. Oczywiście, poza tym jest jeszcze matematyka, geometria linii prostej i trygonometria, które pozwalają obliczyć punkt wyjścia.

Kiedy się dobrze przyjrzeć, krew w sypialni Dianę Bray jest jak taśma wideo, ukazująca, co się stało, ale tak nagrana, że nie można jej odczytać, nie posługując się nauką, doświadczeniem i rozumowaniem dedukcyjnym. Jaime Berger chce także, żebym się posługiwała intuicją. Mam znowu przekroczyć granice badania klinicznego. Idę za dziesiątkami nici, które łączą ślady krwi na ścianie i na ramie drzwi i zbiegają się w jednym punkcie w powietrzu. Ponieważ nie można umocować nici w powietrzu, technicy przesunęli stylowy wieszak i przymocowali je jakieś półtora metra od podstawy, żeby określić punkt wyjścia. Pokazuję pani prokurator, gdzie prawdopodobnie stała Dianę Bray, kiedy Chandonne zadał pierwszy cios.

– Była już w sypialni. Widzi pani tę pustą przestrzeń tutaj? – Wskazuję odcinek ściany, gdzie nie ma krwi, tylko zastygła wokół aureola kropel. – Jej albo jego ciało sprawiło, że nie pryskała na tę część ściany. Bray stała wyprostowana. Albo on. A jeśli on był wyprostowany, możemy przyjąć, że ona także, bo nie da się stać prosto, bijąc kogoś, kto leży na podłodze. – Staję wyprostowana i pokazuję. – Chyba że ma się ręce dwumetrowej długości. Również punkt wyjścia jest blisko sto sześćdziesiąt centymetrów nad podłogą, co pokazuje, że w tym miejscu ciosy dosięgły celu. Ciała ofiary. Prawdopodobnie jej głowy. – Podchodzę bliżej łóżka. – Teraz upadła.

Wskazuję smugi i krople krwi na podłodze. Wyjaśniam, że okrągłe plamy pochodzą od kropel spadających pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Na przykład jeśli się opadnie na czworaki, a krew kapie z twarzy wprost na podłogę, ślady będą okrągłe. A liczne ślady na podłodze są właśnie takie. Niektóre są też rozmazane. Pokrywają mniej więcej sześćdziesiąt centymetrów podłogi. Dianę Bray przez chwilę była na czworakach, może próbowała się przesuwać, a Chandonne zadawał cios za ciosem.

– Czy kopał ją albo deptał?

– Na podstawie tego, co zobaczyłam, nie mogę powiedzieć. – To dobre pytanie. Deptanie i kopniaki przydałyby zbrodni dodatkowego odcienia emocjonalnego.

– Mordercy częściej używają dłoni niż stóp – zauważa Berger. – Tak wynika z moich doświadczeń z morderstwami o podłożu seksualnym. Rzadko się widzi kopanie czy deptanie.

Krążę po pokoju, wskazując kolejne plamy rozprysniętej krwi i zatrzymuję się nad zakrzepłą kałużą nieopodal łóżka.

– Tu się wykrwawiła – stwierdzam. – Możliwe, że tutaj też zdarł z niej bluzkę i stanik.

Pani prokurator przegląda fotografie i znajduje tę, która przedstawia zieloną satynową bluzkę Dianę Bray i jej czarny biustonosz na drutach leżące obok łóżka.

– Jesteśmy blisko łóżka i znajdujemy tutaj tkankę mózgu. – Nadal odcyfrowuję mordercze hieroglify.

– Kładzie ofiarę na łóżku – dodaje Berger. – Nie chodzi o zmuszenie jej, żeby się położyła. Pytanie tylko, czy kiedy ją kładzie, jest jeszcze przytomna.

– Nie sądzę. – Wskazuję maleńkie kawałki poczerniałej tkanki przyklejone do wezłowania, ścian, lampy przy łóżku i sufitu nad nim. – Tkanka mózgowa. Bray już nie wie, co się dzieje. To tylko moje przypuszczenie – dodaję.

– Żyje jeszcze?

– Jeszcze się wykrwawia. – Wskazuję zbite czarne plamy na materacu. – To nie przypuszczenie. To fakt. Ma ciśnienie krwi, ale jest bardzo mało prawdopodobne, żeby była przytomna.

– Dzięki Bogu. – Wyjmuje aparat i zaczyna robić zdjęcia. Widzę, że się na tym zna i została odpowiednio przeszkolona. Opuszcza pokój i robi zdjęcia, wchodząc, odtwarza i utrwała na kliszy to, co jej właśnie pokazałam. – Sfilmuję to kamerą wideo – mówi.

– Policja już to zrobiła.

– Wiem. – Flesz błyska raz po raz. Jaime Berger jest profesjonalistką i chce to zrobić po swojemu. – Strasznie bym chciała mieć kasetę wideo, na której pani to wszystko wyjaśnia, ale nie mogę tego nagrać.

Nie może, chyba że chce, aby obrona również miała dostęp do tej taśmy. Widząc znamienne braki notatek, jestem pewna, że pani prokurator nie życzy sobie, aby Rocky Caggiano zyskał dostęp do choćby jednego słowa, mówionego czy pisanego, które by wykraczało poza moje standardowe raporty. Zachowuje skrajną ostrożność. Pozostaję w cieniu podejrzeń, które trudno jest mi brać poważnie. Naprawdę jeszcze do mnie nie dotarło, iż ktoś mógłby naprawdę uważać, że zamordowałam kobietę, której krew znajduje się dokoła nas i pod naszymi stopami.

Kończymy wreszcie z sypialnią. Sprawdzamy następnie inne pomieszczenia, którym w ogóle nie poświęciłam uwagi albo poświęciłam jej niewiele, kiedy pracowałam na miejscu zbrodni. Przejrzałam szafkę z lekarstwami w sypialni. Robię to zawsze. Niejednego można się dowiedzieć na podstawie tego, czego ludzie używają dla złagodzenia fizycznych dolegliwości. Wiem, kto cierpiał na migreny, kto na chorobę umysłową, a kto miał obsesję na punkcie zdrowia. Wiem na przykład, że ulubionymi lekarstwami Diane Bray były valium i ativan. Znalazłam setki tabletek, które trzymała w buteleczkach po nuprinie i tylenolu. Miała też trochę busparu. Lubiła środki uspokajające. Potrzebne jej było wyciszenie. Oglądamy pokój gościnny, w którym nigdy nie byłam i bez zdziwienia

stwierdzam, że nikt w nim nie mieszkał. Nie ma w nim nawet mebli, jest zawalony kartonami, których Bray najwyraźniej nigdy nie rozpakowała.

– Czy nie odnosi pani wrażenia, że nie miała zamiaru długo tu zabawić?
– Jaime Berger zaczyna ze mną rozmawiać, jakbym wchodziła w skład jej zespołu, była oskarżycielem pomocniczym podczas procesu. – Bo ja zdecydowanie tak. A przecież nie przyjmuje się poważnego stanowiska w policji, nie zakładając, że się na nim pozostanie przynajmniej przez parę lat. Nawet jeśli to tylko stopień w drodze do kariery.

Zaglądam do łazienki i zauważam, że nie ma w niej papieru toaletowego, chusteczek ani nawet mydła. Ale zaskakuje mnie to, co znajduję w szafce na lekarstwa.

– Środek przeczyszczający – stwierdzam. – Co najmniej dwanaście pudełek.

Jaime Berger pojawia się w drzwiach.

– A niech mnie – mówi. – Może nasza próżna przyjaciółka cierpiała na zaburzenia odżywiania.

Często się zdarza, że osoby cierpiące na bulimię najpierw się objadają, a potem biorą na przeczyszczenie. Podnoszę deskę klozetową i znajduję ślady wymiotów, którymi zachlapano są krawędź i wnętrze miski. Są czerwone. Bray rzekomo jadła przed śmiercią pizzę i przypominam sobie, że miała bardzo nikłą zawartość żołądka – ślady mielonego mięsa i jarzyn.

– Jeżeli ktoś wymiotował po jedzeniu, a pół godziny czy godzinę później umarł, to spodziewa się pani, że jego żołądek będzie zupełnie pusty? – Prokurator Berger idzie za tym, co staram się poskładać.

– Do ścianek żołądka będą nadal przyklejone resztki jedzenia. – Opuszczam deskę. – Żołądek nie jest zupełnie pusty ani czysty, chyba że ktoś wypije ogromną ilość wody i się przeczyści. Albo jeżeli

przeprowadzono kilkakrotne płukanie, na przykład w celu usunięcia trucizny.

Przed moimi oczyma przesuwają się inny fragment taśmy dokumentalnej. To miejsce było brudną, wstydliwą tajemnicą Dianę Bray. Jest odcięte od reszty domu i nikt poza nią tu nie wchodził, więc nie bała się, że zostanie odkryta, a wiem wystarczająco dużo o zaburzeniach odżywiania i uzależnieniach, aby być świadomą rozpaczliwej potrzeby ukrycia tego wstydliwego rytuału przed innymi. Bray nie chciała, aby ktokolwiek choćby mógł przypuszczać, że się objada i przeczyszcza. Może właśnie ten jej problem wyjaśnia, dlaczego miała w domu tak mało jedzenia. Może lekarstwa pomagały jej zapanować nad lękiem, który nieodłącznie towarzyszy każdemu uzależnieniu.

– Może to dlatego wyprosiła Anderson tak szybko po kolacji – snuje przypuszczenia Berger. – Musiała się pozbyć tego, co zjadła, i chciała być sama.

– To mógłby być przynajmniej jeden z powodów. Ludzie cierpiący na bulimię do takiego stopnia są podporządkowani temu nakazowi, że bierze on górę nad wszystkim, co się dzieje. Owszem, mogła chcieć zostać sama, żeby móc się tym zająć. I mogła być tutaj, w tej łazience, kiedy pojawił się Chandonne.

– Co sprawiło, że była jeszcze bardziej bezbronna. – Jaime Berger fotografuje środki przeczyszczające w szafce.

– Tak, jeśli akurat dokonywała jakichś działań, była przerażona, wręcz ogarnięta paranoicznym strachem. Jej pierwsza myśl dotyczyła tego, co robi, a nie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa.

– Miała rozproszoną uwagę. – Moja rozmówczyni pochyła się i fotografuje miskę klozetową.

– W najwyższym stopniu.

– Więc śpieszy się, żeby skończyć to, co robi. Wymiotuje – rekonstruuje pani prokurator. – Wybiega stąd, zamyka drzwi i idzie do wejścia. Zakłada, że to wraca Renę Anderson, pukając trzy razy. Bardzo możliwe, że Bray była zła czy poirytowana i mogła nawet zacząć coś mówić, kiedy otworzyła drzwi i... – robi kilka kroków w tył na korytarzu, zaciskając ponuro usta – zginęła.

Pozwala temu scenariuszowi zawisnąć ciężko w powietrzu, gdy idziemy szukać pralni. Wie, że rozumiem owo oszołomienie i obezwładniającą grozę, jakie wiążą się z otwarciem drzwi i wpuszczeniem do domu Chandonne'a, który wpada gwałtownie jak potwór z piekła rodem. Jaime Berger otwiera szafy w holu, po czym znajduje drzwi prowadzące do piwnicy. Tu się mieści pralnia. Jestem dziwnie poruszona i zdenerwowana, znalazłszy się w ostrym świetle nagich żarówek, które zapalają się po pociągnięciu za sznur. W tej części domu też nigdy nie byłam. Nigdy nie widziałam czerwonego jaguara, o którym tyle słyszałam. Wydaje się absurdalnie nie na miejscu w tym ciemnym, zagraconym, ponurym wnętrzu. Stanowi śmiały i wyzywający symbol władzy, której Bray tak pragnęła i którą się tak pyszniła. Przypominam sobie, jak Renę Anderson powiedziała ze złością, że była gońcem swojej szefowej. Mam poważne wątpliwości, czy Bray kiedykolwiek sama się pofatygowała do myjni.

Podziemny garaż wygląda tak, jak sobie wyobrażam, że wyglądał, kiedy Bray kupiła ten dom: to pełna kurzu, ciemna betonowa piwnica, gdzie czas się zatrzymał. Nie ma żadnych śladów ulepszeń. Wiszące na kołkach narzędzia i kosiarka do trawy są stare i zardzewiałe. Zapasowe opony stoją oparte o ścianę. Pralki i suszarka nie są nowe i choć jestem pewna, że policja je zbadała, nie widzę żadnych śladów, które by na to wskazywały. Obie maszyny są pełne. Po ostatnim praniu Bray nie zadała sobie trudu, żeby wyjąć rzeczy i bielizna, džinsy oraz ręczniki są strasznie wygniecione

i wydzielają kwaśny zapach. Skarpetki, kolejne ręczniki i ubrania sportowe nie zostały wyprane. Wyciągam bluzę Speedo.

– Czy chodziła do jakiegoś klubu?

– Dobre pytanie. Przy jej próżności i obsesji przypuszczam, że robiła coś, aby się utrzymać w formie. – Berger kopie w ubraniach w pralce i wyciąga parę majtek zaplamionych w kroku krwią. – Skoro mowa o wyciąganiu na wierzch brudnej bielizny – komentuje ze smutkiem. – Nawet ja się czasem czuję jak podglądacz. Może miała niedawno okres? Tylko co ma piernik do wiatraka?

– Może mieć. Zależy, jaki to miało wpływ na jej nastrój. Zespół napięcia przedmiesiączkowego mógł z pewnością pogłębiać zaburzenia w odżywianiu, a skoki nastrojów nie pomogły niepewnemu związkowi z Anderson.

– Dziwnie jest myśleć, że zwykłe, normalne czynności mogą doprowadzić do katastrofy. – Berger wrzuca majtki z powrotem do pralki. – Prowadziłam kiedyś pewną sprawę. Facet musi się wysiusiać i postanawia się zatrzymać koło Bleeker Street i załatwić w alejce. Nie widzi, co robi, aż nadjeżdża samochód i w świetle jego reflektorów gość zdaje sobie sprawę, że sika na zakrwawionego trupa. Dostaje ataku serca. Trochę później uwagę policjanta zwraca nieprawidłowo zaparkowane auto, wchodzi w alejkę i znajduje nieżywego Latynosa pokłutego nożem. Obok niego leży trup starszego białego mężczyzny z fiutem wystającym z rozpiętych spodni. – Jaime Berger podchodzi do zlewu, opłukuje ręce i potrząsa nimi, żeby wyschły. – Potrzeba nam było trochę czasu, żeby to poukładać – mówi.

Rozdział 27

Kończymy badać dom Dianę Bray o wpół do dziesiątej i chociaż jestem zmęczona, już sama myśl o spaniu wydaje się niemożliwa. Jestem napięta i pełna energii. Mam umysł jasny jak wielkie miasto nocą i czuję się prawie tak, jakbym miała gorączkę. Nigdy bym się nikomu nie przyznała, jak dobrze mi się pracuje z Jaime Berger. Nic nie uchodzi jej uwagi. A bardzo dużo z tego, co wie, zatrzymuje dla siebie. Intryguje mnie. Spróbowałam zakazanego owocu wykraczania poza granice, jakie narzuca mi biurokracja, i spodobało mi się to. Napinam mięśnie, ale nie muszę się denerwować, bo pani prokurator nie ogranicza zakresu moich ekspertyz i nie czuje się zagrożona, że wkraczam na jej terytorium. Może również chce, żeby mnie szanowała. Poznała mnie, gdy znalazłam się najniżej, w roli oskarżonej. Oddaje klucz Ericowi Brayowi, który o nic nas nie pyta. Nie sprawia nawet wrażenia zainteresowanego wynikami poszukiwań, chce tylko stąd odjechać.

– Jak się pani czuje, Kay? – pyta Berger, kiedy ruszamy. – Trzyma się pani?

– Trzymam się – potwierdzam.

Zapała górne światło i zezuje na kartkę na desce rozdzielczej. Wybiera jakiś numer telefonu i włącza głośnik. Słysząc jej własne zgłoszenie, więc

wstukuje kod, żeby sprawdzić, ile jej zostawiono wiadomości. Osiem. Podnosi słuchawkę, żebym ich nie słyszała. Wydaje mi się to dziwne. Czy jest jakiś powód, dla którego nie chce, żebym wiedziała, jakie to wiadomości? Pozostaję sama ze swoimi myślami, podczas gdy Jaime Berger jedzie przez moją dzielnicę z telefonem przy uchu. Szybko przesłuchuje taśmę i podejrzewam, że mamy ten sam zwyczaj. Jeśli ktoś się rozgaduje, kasuję wiadomość przed końcem. Założę się, że ona robi to samo. Jedziemy wzdłuż Selgrave Road przez samo serce Windsor Farms, mijamy Wirginia House i Agecroft Hall, stare domostwa w stylu Tudorów, które zostały rozebrane, zapakowane i przewiezione tu z Anglii przez bogatych mieszkańców Richmondu w czasach, kiedy ta część miasta stanowiła jedną wielką posiadłość.

Podjeżdżamy do budki strażnika w moim osiedlu. Z budki wychodzi Rita i po jej niewyraźnej minie orientuję się od razu, że już widziała tego mercedesa i kobietę za kierownicą.

– Cześć – zwraca się do niej pani prokurator. – Przywiozłam doktor Scarpette.

Rita pochyla się i jej twarz wypełnia otwarte okno. Cieszy się, że mnie widzi.

– Witamy w domu – mówi z odcieniem ulgi. – Mam nadzieję, że wróciła pani na dobre? To nie w porządku, że pani tu nie ma. Ostatnio jest tu naprawdę spokojnie.

– Jutro wracam do domu. – Mam mieszane wrażenia, ogarnia mnie wręcz lęk, kiedy słyszę własne słowa. – Wesołych świąt, Rito. Wygląda na to, że dziś wieczór wszyscy pracujemy.

– Jak trzeba, to trzeba.

Odjeżdżamy. Serce ściska mi się z poczucia winy. To będzie pierwsze Boże Narodzenie, kiedy nie okazałam w żaden sposób strażnikom, że

o nich pamiętam. Zwykle piekę coś dla nich albo posyłam jedzenie temu, któremu wypadło siedzieć w tej budce zamiast być w domu z rodziną. Nie odzywam się. Jaime Berger widzi, że coś mnie gryzie.

– To bardzo ważne, żeby dzieliła się pani ze mną swoimi odczuciami – mówi cicho. – Wiem, że to jest całkowicie sprzeczne z pani naturą i stanowi pogwałcenie wszystkich zasad, jakimi się pani kieruje w życiu. – Jedziemy w stronę rzeki. – Rozumiem to aż za dobrze.

– Morderstwo sprawia, że wszyscy stają się egoistami.

– Bez żartów.

– Powoduje gniew i ból nie do zniesienia. Myśli się tylko o sobie. Przeprowadziłam sporo analiz statystycznych w bazie danych naszego komputera i pewnego dnia znalazłam sprawę kobiety, która została zgwałcona i zamordowana. Znajduję trzy przypadki o tym samym nazwisku i odkrywam losy reszty jej rodziny: brat umarł na skutek przedawkowania kilka lat po zabójstwie; ojciec popełnił samobójstwo jakiś czas potem; matka zginęła w wypadku samochodowym. Rozpoczęliśmy ambitne badania w instytucie, aby sprawdzić, co się dzieje z tymi, którzy pozostali. Rozwodzą się. Zaczynają nadużywać rozmaitych substancji. Leczą się na choroby psychiczne. Tracą pracę. Przeprowadzają się ciągle.

– Przemoc zatruwa wszystko – zauważyła dość banalnie Jaime Berger.

– Jestem zmęczona własnym egoizmem. To właśnie czuję. Dziś jest Wigilia, a co robiłam dla innych? Nic, nawet dla Rity. Siedzi tu, w pracy, po północy, ma kilka posad, bo musi utrzymać dzieci. Nienawidzę tej sytuacji. On skrzywdził tyle osób. Dalej je krzywdzi. Są nowe dwa dziwne morderstwa, które moim zdaniem mają ze sobą związek. Tortury. Powiązania międzynarodowe. Broń. Narkotyki. Brak pościeli. – Zwracam wzrok na kobietę za kierownicą. – Kiedyż to się skończy, do cholery?

Jaime Berger skręca na mój podjazd, nie udając, że nie wie dokładnie, w którym domu mieszkam.

– Prawda jest taka, że nieprędko – odpowiada.

Tak jak u Dianę Bray, w moim domu jest zupełnie ciemno. Ktoś wygasił wszystkie światła, łącznie z reflektorami ukrytymi grzecznie w drzewach albo pod okapem i skierowanymi ku dołowi, żeby nie oświetlały domu jak boiska do baseballu i nie przeszkadzały sąsiadom. Nie czuję się tu mile widziana, boję się wejść do środka i stanąć oko w oko z tym, co Chandonne i policja zrobili z moim prywatnym światem. Siedzę przez chwilę w samochodzie, patrząc przez okno na dom i jest mi coraz ciężiej na sercu. Wypełnia je gniew. Ból. Jestem głęboko urażona.

– Co pani czuje? – pyta Berger, również wpatrzona w mój dom.

– Co czuję? – odpowiadam z goryczą. – *Piu si spende e peggio si mangia.* – Wysiadam i ze złością zatraskuję drzwi.

W swobodnym tłumaczeniu, to włoskie przysłowie znaczy: „Im więcej płacisz, tym gorzej jesz”. Życie na wsi we Włoszech ma być proste i przyjemne. Nieskomplikowane. Najlepsze jedzenie przygotowuje się ze świeżych składników, a ludzie nie zrywają się w pośpiechu od stołu ani nie zajmują sprawami, które nie są naprawdę ważne. Dla sąsiadów mój okazały dom jest jak forteca, ma wszystkie możliwe systemy zabezpieczeń. Dla mnie samej to, co zbudowałam, to *casa colonica*, dziwaczny wiejski dom z kremowoszarego kamienia o różnych odcieniach, z brązowymi okiennicami, wywołującymi ciepłe, dodające otuchy, serdeczne myśli o ludziach, od których się wywodzę. Żałuję tylko, że dachu nie pokrywają *coppi*, wygięte dachówki z terakoty, zamiast łupka, ale uznałam, że nie pasowałyby do wiejskiego kamienia. Skoro nie mogłam znaleźć starych materiałów, wybrałam przynajmniej takie, które się stapiają z ziemią.

Zniszczono istotę tego, kim jestem. Zbrukano proste piękno i bezpieczeństwo mojego życia. Drzę w środku. Łzy mącą mi wzrok, kiedy wchodzę po schodach i staję na ganku pod lampą, którą Chandonne wyłączył. Nocne powietrze jest zimne, a księżyc znikł za chmurami. Wydaje się, że znowu będzie padał śnieg. Mrugam i wdycham kilka haustów zimnego powietrza, starając się uspokoić i odepchnąć uczucie, które chce mną zawładnąć. Jaime Berger ma przynajmniej tyle taktu, żeby mnie na chwilę zostawić w spokoju. Trzyma się z tyłu. Wkładam klucz w zamek otwierający zasuwę. Wchodzę do ciemnego, chłodnego przedpokoju i wystukuję kod wyłączający urządzenie alarmowe. Jednocześnie zdaję sobie sprawę z czegoś, co sprawia, że nagle jeżą mi się włosy ze strachu. Zapalam światła i mrugając, patrzę na stalowy klucz marki Medeco, który trzymam w ręku. Czuję przyśpieszenie tętna. To szaleństwo. To niemożliwe. Wykluczone. Prokurator Berger cicho wchodzi za mną i rozgląda się, patrząc na stiuki oraz sklezione sufity. Obrazy są poprzekrzywiane, a drogie perskie dywany wymiętoszone, poprzesuwane i zabrudzone. Niczego nie przywrócono do poprzedniego stanu. To, że nikt nie zadbał, aby usunąć stąd proszek i błoto, wydaje mi się objawem lekceważenia, ale nie dlatego wyraz mojej twarzy zwraca uwagę gościa.

– O co chodzi? – pyta Jaime Berger, a jej ręce zastygają, gdy rozpina futro.

– Muszę szybko zatelefonować – odpowiadam.

Nie mówię jej, o czym myślę. Nie zdradzam, czego się obawiam. Nie ujawniam, że wyszłam z powrotem na ganek, aby zadzwonić z telefonu komórkowego, połączyłam się z Marinem i poprosiłam, by tu zaraz przyjechał.

– Wszystko w porządku? – pyta Jaime Berger, kiedy wracam do przedpokoju i zamykam drzwi frontowe.

Nie odpowiadam. Oczywiście, że nie w porządku.

– Od czego zaczynamy? – przypominam jej, że mamy coś do zrobienia.

Chce, żebym dokładnie zrekonstruowała, co się stało tamtego wieczora, kiedy Chandonne usiłował mnie zamordować. Wchodzimy do salonu. Zaczynam od białej sofy naprzeciwko kominka. Tu siedziałam w zeszły piątek, robiąc rachunki. Telewizor był przyciszony. Co jakiś czas podawano komunikat, ostrzegając widzów przed seryjnym mordercą, który sam siebie nazywa *Le Loup Garou*. Ujawniono informację o jego zaburzeniu genetycznym, widocznej deformacji i kiedy sobie przypominam tamten wieczór, wydaje mi się niemal absurdem to, że w poważnym programie lokalnym mówiono o kimś, kto ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, dziwaczne zęby i jest porośnięty długimi, jasnymi włosami, cienkimi jak u dziecka.

– Około jedenastej przełączyłam telewizor na NBC, żeby obejrzeć późne wydanie dziennika i w chwilę potem włączył się alarm – mówię teraz. – Według tablicy rozdzielczej naruszona została strefa przy garażu, więc kiedy zadzwonili z obsługi, poprosiłam, aby wezwali policję, bo nie mam pojęcia, dlaczego alarm się włączył.

– Więc pani garaż ma system alarmowy. Dlaczego? I jak pani myśli, czemu Chandonne starał się tam włamać?

– Zrobił to umyślnie, żeby włączyć alarm i sprowadzić policję. – Powtarzam to, o czym jestem przeświadczona. – Przyjeżdżają. Odjeżdżają. Potem on się zjawia. Podaje się za policję, a ja otwieram drzwi. Nieważne, kto co uważa ani co słyszałam na taśmie, kiedy pani go przesłuchiwała. Mówił doskonałą angielszczyzną. Nie miał ani śladu obcego akcentu.

– Nie tak jak człowiek, którego słyszała pani na taśmie.

– Nie. Stanowczo nie.

– Więc nie rozpoznała pani jego głosu na tej kasecie?

– Nie rozpoznałam.

– Zatem nie uważa pani, że rzeczywiście chciał się dostać do pani garażu. Chodziło tylko o włączenie alarmu – precyzuje Jaime Berger, jak zwykle niczego nie zapisując.

– Nie uważam. Myślę, że usiłował zrobić dokładnie tak, jak powiedziałam.

– A skąd pani zdaniem wiedział, że ten garaż ma system alarmowy? To dość niezwykle. W większości domów nie ma alarmu w garażu.

– Nie wiem, czy wiedział ani skąd.

– Mógł na przykład sprawdzić tylne drzwi i zobaczyć, czy alarm się włączy, zakładając, że wiedział, że ma pani to urządzenie. A jestem głęboko przekonana, że wiedział. Można przyjąć, iż rozumiał, że zależy pani na własnym bezpieczeństwie, szczególnie po tych wszystkich zabójstwach tu, w okolicy.

– Nie mam pojęcia, co się działo w jego głowie – ucinam. Prokurator Berger przechadza się tam i z powrotem. Zatrzymuje się przed kamiennym kominkiem, który zije pustką i ciemnością, sprawiając, że mój dom wydaje się niezamieszkały i opuszczony jak dom Dianę Bray. Celuje we mnie palcem.

– Owszem, pani wie, co on myśli. On zbierał informacje o pani i wczuwał się w to, jak pani rozumuje i jakie są wzorce pani postępowania, a pani robiła to samo w stosunku do niego. Dowiedziała się pani o nim wiele z obrażeń na ciałach tych kobiet. Komunikowała się z nim pani poprzez jego ofiary, poprzez miejsca zbrodni, poprzez to wszystko, czego się pani dowiedziała we Francji.

Rozdział 28

Moja klasyczna biała włoska sofa jest poplamiona na różowo formaliną. Na jednej z poduszek widzę ślady stóp, prawdopodobnie to ja je tam zostawiłam, kiedy uciekając przed Chandonne'em, przeskakiwałam przez sofę. Nigdy już na niej nie usiądę i nie mogę się doczekać, żeby kazać ją stąd zabrać. Przysiadam na krawędzi krzesła od tego samego kompletu.

– Muszę go poznać, żeby go rozłożyć na części w sądzie – ciągnie Jaime Berger, w jej oczach płonie wewnętrzny ogień. – A mogę go poznać tylko przez panią. Musi pani tego dokonać, Kay. Niech mnie pani do niego zaprowadzi. Niech mi go pani pokaże. – Siada na kominku i dramatycznym gestem unosi ręce. – Kim jest Jean-Baptiste Chandonne? Dlaczego zjawił się przy pani garażu? Co jest szczególnego w tym pomieszczeniu? Co?

Zastanawiam się przez chwilę.

– Nie umiem powiedzieć, co w nim jest akurat dla Wilkołaka.

– Dobrze. W takim razie co jest w nim szczególnego dla pani?

– Trzymam tam ubrania, w których chodzę na miejsca zbrodni. – Zaczynam rozumieć, co może być ważnego w moim garażu. – Mam tam też dużą pralkę i suszarkę. Nigdy nie chodzę w tych ubraniach po domu, więc garaż to w dużym stopniu moja przebieralnia.

W oczach mojej rozmówczynie zapala się jakiś błysk, oznaczający zrozumienie i skojarzenie faktów. Wstaje.

– Proszę mi go pokazać – mówi.

Zapalam światło w kuchni i przechodzimy do sionki, gdzie znajdują się drzwi do garażu.

– Pani domowa szatnia – komentuje Jaime Berger.

Zapalam światła i doznaję skurczu serca na widok pustego pomieszczenia. Nie ma mojego mercedesa.

– Gdzie jest, do cholery, mój samochód?– pytam. Obrzucam wzrokiem rzędy gablot pod ścianami i specjalnie wentylowaną szafę z drewna cedrowego, porządnie poukładane materiały ogrodowe i narzędzia, wnękę z pralką i suszarką oraz duży stalowy zlew. – Nikt mi nie mówił, że policja zabierze samochód. – Patrząc oskarżycielsko na prokurator Berger i czuję przypływ nieufności. Ale albo jest świetną aktorką, albo nie ma pojęcia, o co chodzi. Idę na środek garażu i rozglądam się dokoła, tak jakbym mogła tam znaleźć coś, co mi wskaże, gdzie jest mój samochód. Wyjaśniam, że mój czarny mercedes był tu w zeszłą sobotę, kiedy przenosiłam się do Anny. Od tej pory go nie widziałam. Nie przychodziłam tu od tamtego dnia. – Ale pani tu była – dodaję. – Czy mój samochód tu stał, kiedy była tu pani ostatnio? Ile razy pani tu była? – Posuwam się do postawienia jej tego pytania.

Ona także chodzi wokół pustego pomieszczenia. Przykuca przed drzwiami garażu i bada zadrapania na gumowym pasku w miejscu, gdzie naszym zdaniem Chandonne posłużył się jakimś narzędziem, żeby podnieść wrota.

– Czy mogę panią prosić o otwarcie drzwi? – Jej głos brzmi ponuro. Naciskam przycisk na ścianie i drzwi unoszą się z hałasem. Temperatura wewnątrz garażu natychmiast spada.

– Nie, kiedy tu byłam, pani samochód już tu nie stał. – Prostuje się. – Nie widziałam go. Wobec zaistniałej sytuacji przypuszczam, że wie pani, co to znaczy.

Noc zagarnia ogromną pustą przestrzeń, a ja podchodzę do Jaime Berger.

– Prawdopodobnie został zabrany przez policję. Jezu Chryste! Kiwa głową.

– Dotrzemy do sedna tej sprawy. – Odwraca się w moją stronę i dostrzegam w jej oczach coś, czego nie widziałam nigdy przedtem. Zwątpienie. Pani prokurator czuje się niepewnie. Może to z mojej strony pobożne życzenie, ale odnoszę wrażenie, że ma poczucie winy.

– No więc co teraz? – pytam i rozglądam się po garażu, jakbym go nigdy przedtem nie widziała. – Czym niby mam jeździć?

– Pani alarm włączył się około jedenastej wieczorem w piątek. – Jaime Berger jest znowu rzeczowa. Znowu staje się silna i rozsądna. Powraca do naszego wspólnego odtwarzania kroków Chandonne'a. – Przyjeżdża policja. Prowadzi ich pani tutaj i okazuje się, że drzwi są otwarte na dwadzieścia centymetrów. – Nie ulega wątpliwości, że czytała raport dotyczący próby włamania. – Padał śnieg i po drugiej stronie znalazła pani ślady butów. – Wychodzi z garażu, idę za nią. – Pokrywała je cienka warstwa śniegu, ale widziała pani, że prowadzą wzdłuż ściany domu na ulicę.

Stoimy na podjeździe, w zimnym powietrzu, obie bez palt. Patrę w pochmurne niebo i kilka zimnych płatków śniegu osiada na mojej twarzy. Znowu zaczyna padać. Zima jest jak ktoś chory na hemofilię – nie może przestać krwawić. Światła z domu sąsiada przebijają przez magnolie i nagie drzewa. Zastanawiam się, ile spokoju ducha pozostało mieszkańcom tej dzielnicy. Chandonne naznaczył także ich życie. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby część tutejszych ludzi się wyprowadziła.

– Pamięta pani, gdzie były ślady butów?

Pokazuję. Idę podjazdem obok ściany domu i przecinam podwórze wprost ku ulicy.

– W którą stronę szedł? – Jaime Berger patrzy w jedną i drugą stronę pustej ulicy.

– Nie wiem. Śnieg był zbity i dalej padało. Nie umieliśmy powiedzieć, dokąd poszedł. Ale też nie zostałam tu, żeby to badać. Chyba będzie pani musiała zapytać policję. – Myślę o Marinie. Chciałabym, żeby się pośpieszył i przyjechał. Przypominam sobie, dlaczego go wezwałam, a strach i oszołomienie obezwładniają mnie natychmiast. Rozglądam się po domach sąsiadów. Nauczyłam się rozumieć miejsce, w którym mieszkam, i po światłach w oknach, samochodach na podjeździe i roznoszonych tu gazetach, potrafię powiedzieć, kiedy ludzie są w domu, co zdarza się naprawdę nieczęsto. Wielu mieszkańców okolicy to emeryci: zimę spędzają na Florydzie, a upalne miesiące letnie gdzieś nad wodą. Przychodzi mi do głowy, że tak naprawdę nigdy nie miałam tu przyjaciół, tylko osoby, które mi machają, kiedy się mijamy, jadąc samochodem.

Jaime Berger idzie z powrotem w stronę garażu, kuląc się, żeby nie zmarznąć; jej oddech zamarza w biały pióropusz. Przypominam sobie Lucy jako dziecko, kiedy tu przyjeżdżała z Miami. Jedynie w Richmondzie miała kontakt z zimnem. Zwijała kartkę z notesu i stała na patiu, udając, że pali papierosa, strzepując wyimaginowany popiół i nie wiedząc, że obserwuję ją przez okno.

– Cofnijmy się do poniedziałku, szóstego grudnia – odzywa się prokurator Berger. – Do dnia, kiedy w kontenerze w porcie znaleziono ciało. Ciało, które, jak przypuszczamy, należało do Thomasa Chandonne’a, brata Jeana-Baptiste’a. Proszę mi dokładnie opowiedzieć, co się wydarzyło tamtego poniedziałku.

– Zawiadomiono mnie, że są zwłoki – zaczynam.

– Kto panią zawiadomił?

– Marino. Kilka minut później zadzwonił mój zastępca, Jack Fielding. Powiedziałam, że tam pojedę.

– Ale nie musiała pani – przerywa Berger. – Pani jest szefem. Pojawia się cuchnące, wstrętne, rozkładające się ciało w gorący poranek, nietypowy dla tej pory roku. Mogła pani, hm, pozwolić Fieldingowi tam pojechać.

– Mogłam.

– To dlaczego pani tego nie zrobiła?

– Było jasne, że to skomplikowany przypadek. Statek przyplłynął z Belgii i musieliśmy brać pod uwagę możliwość, że denat pochodził stamtąd, co dodawało sprawie trudności natury międzynarodowej. Staram się brać trudne zabójstwa, te, którym będzie towarzyszyło wiele rozgłosu.

– Dlatego, że lubi pani rozgłos?

– Dlatego, że go nie lubię.

Jesteśmy teraz z powrotem w garażu, obie przemarznięte do szpiku kości. Zamykam drzwi.

– A może chciała pani wziąć tę sprawę, bo tamten poranek wytrącił panią z równowagi? – Bray podchodzi do cedrowej szafki. – Pozwoli pani?

– Odpowiadam twierdząco, znowu zaskoczona tym, co wie na mój temat.

Czarny poniedziałek. Tego dnia przyjechał do mnie senator Frank Lloyd, przewodniczący komisji prawnej, i mój kochany stary przyjaciel. Miał przy sobie list, który napisał do mnie Benton. Nie wiedziałam o tym. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że kilka lat wcześniej, na wakacjach nad jeziorem Michigan Benton napisał do mnie list i polecił senatorowi Lloydowi oddać mi go, gdyby coś się stało. Pamiętam, że kiedy senator oddał mi list, od razu rozpoznałam pismo. Nigdy nie zapomnę tego wstrząsu. Byłam zdruzgotana. Smutek dosięgnął mnie wreszcie i zawładnął moją duszą i taki

był właśnie zamiar Bentona. Do końca pozostał wspaniałym psychologiem. Wiedział doskonale, jak zareaguję na jego śmierć i chciał mnie zmusić, żebym wyszła z pracoholizmu i przestała walczyć z tym, co się zdarzyło.

– Skąd pani wie o liście? – pytam otępiała.

Bada wnętrze szafy, ogląda dresy, gumowe buty, kalosze, grube skórzane rękawice, bieliznę, skarpetki, tenisówki.

– Proszę ze mną wytrzymać – mówi niemal łagodnie. – Proszę na razie odpowiadać na moje pytania. Później ja odpowiem na pytania pani.

To mi nie wystarcza.

– Dlaczego ten list ma znaczenie?

– Nie jestem pewna. Ale zacznijmy od stanu pani umysłu.

Czeka, aż to przetrawię. Stan mojego umysłu to dziesiątka na tarczy, w którą będzie celował Caggiano, jeżeli wyląduję w Nowym Jorku. Wydaje mi się jednak, że wszyscy mają co do tego wątpliwości.

– Przyjmijmy, że jeśli ja o czymś wiem, to wie także druga strona – dodaje prokurator Berger.

Przytakuje.

– Nagle przychodzi ten list. Od Bentona. – Urywa i po wyrazie jej twarzy widzę, że jest poruszona. – Chciałam tylko powiedzieć... – Odwraca wzrok. – Mnie by to też wytrąciło z równowagi, kompletnie. Przykro mi z powodu wszystkiego, przez co pani przeszła. – Patrzy mi w oczy. Czy to kolejny podstęp, żebym z nią współpracowała? – W rok po swojej śmierci Benton chce uzmysłwić pani, że zapewne nie radzi pani sobie z jego utratą. Jak szalona ucieka pani od bólu.

– Nie mogła pani widzieć tego listu. – Jestem oburzona i wstrząśnięta. – Jest zamknięty w sejfie. Skąd pani zna jego treść?

– Pokazała go pani kilku osobom – odpowiada rzeczowo moja rozmówczyni.

Z resztą obiektywizmu, jaka mi pozostała, uprzytamniam sobie, że jeśli jeszcze nie rozmawiała ze wszystkimi wokół mnie, włączając w to Lucy i Marina, zrobi to niebawem. To jej obowiązek. Byłaby szalona i niesolidna, gdyby z tego zrezygnowała.

– Szósty grudnia – podejmuje. – Napisał ten list szóstego grudnia 1996 i zobowiązał senatora Lloyda, żeby go pani dostarczył szóstego grudnia po jego śmierci. Dlaczego ta data miała dla Bentona specjalne znaczenie?

Waham się chwilę.

– Gruba skóra, Kay – przypomina mi. – Gruba skóra.

– Nie wiem dokładnie, jakie znaczenie ma szósty grudnia, poza tym, że Benton napisał w liście, iż wie, że Boże Narodzenie to dla mnie ciężki okres. Chciał, abym dostała list około Bożego Narodzenia.

– Boże Narodzenie jest dla pani ciężkie?

– A dla innych nie?

Jaime Berger milczy, a potem zadaje następne pytanie:

– Kiedy zaczął się wasz intymny związek?

– Jesienią. Przed laty.

– Dobra. Jesienią, przed laty. Wtedy zaczęliście ze sobą sypiać. Mówi to tak, jakbym unikała prawdy. – Kiedy jeszcze był żonaty. Wtedy zaczął się wasz romans.

– Zgadza się.

– Dobra. Więc szóstego grudnia dostała pani list, a później, po południu, pojechała pani do portu. Potem wróciła pani tutaj. Proszę mi dokładnie opisać, co pani robi, wróciwszy z miejsca zbrodni.

– Ubranie, które miałam na sobie, było w dwóch workach w bagażniku samochodu. Dres i tenisówki. – Wpatruję się w puste miejsce, gdzie powinien stać mój samochód. – Dres poszedł do pralki, a buty do zlewu

z wrzącą wodą i środkiem dezynfekującym. – Pokazuję jej buty. Nadal stoją na półce, gdzie je odstawiłam ponad dwa tygodnie temu, żeby wyschły.

– A potem? – Podchodzi do pralki i suszarki.

– Potem rozebrałam się do naga. Zdjęłam z siebie całe ubranie i włożyłam do pralki, włączyłam ją i weszłam do domu.

– Goła.

– Tak. Przeszłam przez sypialnię i poszłam wprost pod prysznic. Zawsze tak robię, kiedy wracam z miejsca zbrodni do domu.

Berger sprawia wrażenie zafascynowanej. Ma już jakąś teorię i cokolwiek by to było, czuję się coraz bardziej bezbronna.

– Zastanawiam się – rozmyśla na głos. – Zastanawiam się, czy mógł o tym wiedzieć.

– Czy mógł wiedzieć? Naprawdę chciałabym wejść do środka, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. – Zmarzłam na kość.

– Wydaje się, że skądś wiedział, jak pani postępuje – upiera się Jaime Berger. – Może dlatego interesował się pani garażem. Może chodziło o coś więcej niż włączenie alarmu. Może rzeczywiście próbował dostać się do środka. Garaż jest miejscem, gdzie zdejmuję pani ubranie, które ma pani na sobie na miejscu śmierci. W tym wypadku śmierci spowodowanej przez niego. Była pani naga i bezbronna, nawet jeśli trwało to tylko chwilę. – Wchodzi za mną do domu, zamykam za nami drzwi przedsiionka. – Mógł mieć fantazje seksualne na ten temat.

Sprzeciwiam się takiej hipotezie.

– Nie wiem, jak mógł wiedzieć cokolwiek na temat mojego postępowania. Nie widział, co robiłam tamtego dnia.

Jaime Berger patrzy na mnie i unosi brwi.

– Może to pani stwierdzić z całą pewnością? Czy nie jest możliwe, że jechał za panią do domu? Wiemy, że w jakimś momencie był w porcie, bo

dotarł do Richmondu na pokładzie „Syriusza”. Ukrywał się, chodząc w białym fartuchu, ogolił widoczne części ciała i spędził większość czasu w kuchni, pracując jako kucharz i trzymając się z dala od innych. Zdecydowanie nie kupuję tego, co powiedział podczas przesłuchania. Że ukradł paszport i portfel i przyleciał tu samolotem.

– Istnieje teoria, że przybył tu w tym samym czasie, kiedy pojawiło się ciało jego brata.

– Więc Jean-Baptiste, który jest takim kochającym bratem, prawdopodobnie stał na statku i patrzył, jak wy wszyscy latacie tam i z powrotem, kiedy znaleziono zwłoki. Najlepsze widowisko na świecie. Te dupki lubią nas oglądać przy pracy.

– Jakim sposobem mógł za mną jechać? – Wracam do tej okropnej myśli. – Jak? Miał samochód?

– Może miał. Zaczynam rozważać możliwość, że Chandonne nie jest samotnym, nieszczęsnym stworzeniem, które przypadkiem zjawilo się w tym mieście, bo tak było mu wygodnie, czy zrzędził to przypadek. Nie wiem, jakie ma powiązania i zaczynam się zastanawiać, czy może jego przyjazd był częścią większego planu, mającego związek z rodzinnymi interesami. Może nawet z samą Dianę Bray, jako że była zamieszana w działalność przestępczego podziemia. A teraz mamy kolejne morderstwa i jedną z ofiar wyraźnie związaną ze zorganizowaną przestępczością. Płatnego zabójcę. I tajnego agenta FBI, pracującego nad sprawą przemytu broni. A także włosy na kempingu, które mogą być włosami Chandonne’a. To wszystko razem daje coś więcej niż przypadek człowieka, który zabił swojego brata i zajął jego miejsce na statku płynącym do Richmondu, a wszystko po to, żeby wyjechać z Paryża, bo jego przykre, drobne przyzwyczajenie polegające na masakrowaniu kobiet stawało się coraz bardziej niewygodne dla potężnej przestępczej rodziny. A potem zaczyna

zabijać tutaj, bo nie potrafi się opanować? Cóż – opiera się o kuchenny blat – za dużo tu zbiegów okoliczności. A jak się dostał na kemping, jeśli nie miał samochodu? Zakładając, że znalezione tam włosy należą do Chandonne’a – powtarza.

Siadam przy stole. W moim garażu nie ma okien, ale są nieduże prześwity w drzwiach. Rozważam możliwość, że Chandonne rzeczywiście śledził mnie w drodze do domu i podglądał, kiedy prałam ubranie i rozbierałam się... Może także ktoś mu pomógł znaleźć opuszczony dom nad rzeką. Może ona ma rację. Może nie jest i nigdy nie był sam. Dochodzi północ, już niemal Boże Narodzenie. Marina ciągle nie ma, a po Jaime Berger widzę, że może ciągnąć rozmowę do świtu.

– Włącza się alarm – kontynuuje. – Policja przyjeżdża i odjeżdża.

Wraca pani do salonu. – Daje mi znak, żebym tam za nią poszła. – Gdzie pani siedzi?

– Na sofie.

– Dobrze. Telewizor jest włączony, przegląda pani rachunki i około północy co się dzieje?

– Ktoś puka do drzwi.

– Proszę to opisać.

– Stukanie czymś twardym. – Staram się przypomnieć sobie każdy szczegół. – Jakby latarką czy pałką, tak jak puka policja. Wstaję i pytam, kto tam. Chyba pytam. Nie jestem pewna, ale męski głos przedstawia się jako policja. Mówi, że zauważono kogoś w pobliżu mojego domu i pyta, czy wszystko w porządku.

– I to brzmi przekonująco, bo wiemy, że godzinę wcześniej ktoś usiłował otworzyć drzwi garażu.

– No właśnie – potakuję. – Wyłączam alarm, otwieram drzwi i on tam stoi – dodaję, jak gdybym mówiła o dzieciach przychodzących po słodycze.

– Proszę mi pokazać – decyduje.

Przechodzę przez salon, mijam jadalnię i idę do holu. Otwieram drzwi i samo odtworzenie scenariusza, który niemal kosztował mnie życie, powoduje ostrą reakcję. Zaczynają mi się trząść ręce. Na ganku nadal nie ma światła, bo policja zabrała żarówkę i oprawkę do laboratorium, żeby z nich zdjąć odciski palców. Z sufitu ganku zwisają gołe druty. Jaime Berger czeka cierpliwie, aż zacznę mówić.

– Wpada do środka – opowiadam. – Kopnięciem zamyka za sobą drzwi.

– Zamykam je. – Ma czarny płaszcz i usiłuje mi go zarzucić na głowę.

– Miał go na sobie, kiedy wszedł?

– Tak. Zdejmował go, wchodząc. – Stoję bez ruchu. – I próbował mnie dotknąć.

– Próbował pani dotknąć? – Marszczy brwi. – Młotkiem kamieniarskim?

– Ręką. Wyciągnął rękę i dotknął mojego policzka albo chciał go dotknąć.

– A pani stała przez ten czas? Tak po prostu?

– To wszystko wydarzyło się tak szybko – tłumaczę. – Tak szybko – powtarzam. – Nie jestem pewna. Wiem tylko, że próbował to zrobić, ściągnął z siebie płaszcz i chciał mi go zarzucić na głowę. A ja uciekłam.

– A co z młotkiem?

– Miał go w ręku. Nie jestem pewna. Albo go wyjął. Ale wiem, że trzymał go w ręku, kiedy biegł za mną do salonu.

– Nie miał go od razu? Nie trzymał młotka w ręku od razu? Jest pani tego pewna? – naciska moja rozmówczyni.

Usiłuję to sobie uzmysłwić.

– Nie, nie miał go od razu – stwierdzam. – Najpierw usiłował dotknąć mnie ręką. Potem obezwładnić płaszczem. Wreszcie wyciągnął młotek.

– Czy może pani pokazać, co pani następnie zrobiła?

– Mam biec? – Tak.

– Tak się nie da. Musiałabym mieć taki sam przyпіływ adrenaliny, być w takiej samej panice, żeby tak biec.

– Kay, proszę to ze mną przejść krok po kroku.

Wychodzę z holu, mijam jadalnię i wracam do salonu. Na wprost mnie stoi żółty australijski stolik do kawy, który znalazłam w tym cudownym sklepie w Katonah, w stanie Nowy Jork. Jak on się nazywał? Antypody? Piękne, jasne drewno ma połysk miodu i staram się nie dostrzegać proszku na całej jego powierzchni ani tego, że ktoś postawił na nim styropianowy kubek po kawie. – Słoik z formaliną stał tutaj, po tej stronie blatu. – Pokazuję.

– A był tam z powodu...?

– Z powodu tatuażu, który w nim przechowywałam, a który zdjęłam z pleców trupa, przypuszczalnie Thomasa Chandonne'a.

– Obrona będzie chciała wiedzieć, dlaczego przyniosła pani ludzką skórę do domu, Kay.

– Oczywiście. Wszyscy mnie o to pytają. – Czuję przyпіływ złości. – Ten tatuaż jest istotny, postawił nas przed wieloma pytaniami, bo nie potrafiliśmy odgadnąć, co przedstawia. Nie dość, że ciało było w stanie daleko posuniętego rozkładu, to jeszcze się okazało, że to tatuaż maskujący. Jeden zakrywał drugi i szczególnie ważne było ustalenie, jak wyglądał ten pierwotny.

– Dwa złote punkty, które przykrywała sowa – wtrąca Jaime Berger. – Każdy z członków kartelu Chandonne'ów ma wytatuowane dwa złote punkty.

– Brat Thomas kantował rodzinę, rozkręcił na boku własny interes, zmieniał kursy statków, fałszował dokumenty przewozowe, prowadził własny handel bronią i narkotykami. Mamy teorię, że rodzina się połapała.

Przerobił sobie tatuaż na sowę i zaczął się posługiwać fałszywymi nazwiskami, bo wiedział, że rodzina go zabije, jak go znajdzie – recytuję to, czego się dowiedziałam w Lyonie od Jaya.

– Ciekawe. – Berger przykłada palec do ust i rozgląda się wokół. – I wygląda na to, że rodzina rzeczywiście go zabiła. Zrobił to drugi syn. Słoik z formaliną. Dlaczego przyniosła go pani do domu? Proszę mi powiedzieć jeszcze raz.

– To nie było zaplanowane. Pojechałam do pewnego zakładu, gdzie robią tatuaże, żeby specjalista obejrzał ten rysunek. Stamtąd wróciłam wprost do domu i zostawiłam słoik w gabinecie. To przypadek, że w nocy, kiedy się zjawił...

– Jean-Baptiste Chandonne.

– Tak. Tej nocy, kiedy się zjawił, wcześniej przyniosłam słoik do salonu i patrzyłam na niego, robiąc inne rzeczy. Chandonne tu wpada, ja uciekam. Ma już w ręku młotek i podnosi go, żeby mnie uderzyć. To był po prostu niesamowity refleks. Widzę słoik, łapię go. Przeskakuję przez oparcie sofy, odkręcam wieczko i chlustam napastnikowi formaliną w twarz.

– Refleks, bo wie pani dobrze, jak żrąca jest formalina.

– Nie można codziennie czuć jej zapachu i tego nie wiedzieć. W moim zawodzie wiadomo, że kontakt z formaliną to stałe zagrożenie. Wszyscy boimy się pochlapać – wyjaśniam, zastanawiając się, jak moja historia zabrzmiała w uszach wielkiej ławy przysięgłych. Naciągana. Niewiarygodna. Groteskowo dziwaczna.

– Czy dostała się pani kiedyś formalina do oka? Pochlapała się nią pani kiedyś?

– Dzięki Bogu, nie.

– No więc chlusnęła mu nią pani w twarz. I co dalej?

– Wyskoczyłam na korytarz. Po drodze złapałam glocka ze stołu w jadalni, gdzie go zostawiłam wcześniej. Wybiegłam na ganek, poślizgnęłam się na oblodzonych stopniach i złamałam łokieć. – Unoszę do góry rękę w gipsie.

– A on?

– Wybiegł za mną.

– Od razu?

– Na to wygląda.

Berger staje za sofą, gdzie formalina wyżarła lakier na podłodze ze starego francuskiego dębu. Idzie za jasnymi smugami na drewnie. Wydaje się, że formalina rozprysnęła się niemal do wejścia do kuchni. Aż do tej chwili nie zdawałam sobie z tego sprawy. Pamiętam tylko krzyk Chandonne’a, jego skowyt bólu, kiedy złapał się za oczy. Jaime Berger stoi w drzwiach i wpatruje się w moją kuchnię. Podchodzę bliżej, zastanawiając się, co też wzbudziło zainteresowanie pani prokurator.

– Muszę odejść od tematu i przyznać się, że chyba nigdy nie widziałam takiej kuchni – zauważa.

Kuchnia to serce mojego domu. Miedziane rondle i patelnie lśnią jak złoto na półkach wokół wielkiego urządzenia stojącego na środku, na które składają się dwa opiekacze, miejsce z gorącą wodą do trzymania na nim garnków, żeby nie stygły, grill, dwie płytki elektryczne, małe palniki gazowe, ruszt na węgiel drzewny i ogromny palnik gazowy na wielkie gary zupy, które kocham gotować. Wszystko z nierdzewnej stali, łącznie z lodówką i zamrażarką.

Wzdłuż ścian umocowane są uchwyty na słoiki z przyprawami; mam też deskę do krojenia wielkości małżeńskiego łóżka. Dębowa podłoga jest goła, w kącie stoi chłodziarka do wina, a niewielki stół umieściłam pod oknem, z którego widać kamienisty zakręt rzeki James w oddali.

– Kombinat – szepcze Berger, chodząc po kuchni, która napęnia mnie dumą, co przyznaję. – To nie tylko kuchnia kogoś, kto przychodzi tu pracować, ale także kto kocha piękniejsze strony życia. Słyszałam, że jest pani nadzwyczajną kucharką.

– Uwielbiam gotować. Odrywam się wtedy myślami od wszystkiego.

– Skąd ma pani pieniądze? – pyta wprost.

– Umiem nimi zarządzać – odpowiadam chłodno, bo nie lubię mówić o finansach. – Przez wiele lat miałam szczęście do inwestowania, dużo szczęścia.

– Jest pani dobrą bizneswoman.

– Staram się. A Benton zostawił mi w spadku mieszkanie w Hilton Head. – Milknę na chwilę. – Sprzedałam je, nie mogłam tam mieszkać. – Znowu milknę. – Dostałam za nie ponad sześćset tysięcy.

– No tak. A co to jest? – Wskazuje mediolańską maszynkę do sandwiczów.

Wyjaśniam.

– Jak już się to skończy, będzie mi pani musiała kiedyś coś ugotować – mówić dość apodyktycznie Jaime Berger. – Plotka głosi, że specjalizuje się pani w kuchni włoskiej.

– Tak, głównie we włoskiej. – To nie plotka. Ta kobieta wie o mnie więcej niż ja sama.

– Czy sądzi pani, że chciał tu wejść i próbować umyć twarz nad zlewem? – pyta po chwili.

– Nie mam pojęcia. Mogę tylko powiedzieć, że wybiegłam i upadłam, a kiedy podniosłam głowę, Chandonne wychodził, potykając się, z domu. Zszedł po schodach, cały czas krzycząc, upadł na ziemię i zaczął sobie wycierać twarz śniegiem.

– Próbował wypłukać formalinę z oczu. Jest dość oleista, prawda? Trudno ją usunąć?

– Niełatwo. Potrzeba do tego ogromnych ilości ciepłej wody.

– A nie zaoferowała mu jej pani? Nie podjęła pani próby, aby mu pomóc?

– No wie pani! – mówię, patrząc na nią ostro. – A co pani by zrobiła, do cholery? – Czuję ukłucie złości. – Mam odstawić learkę po tym, jak ten skurwysyn chciał mi rozwalić głowę?

– Zapytają panią o to – odpowiada rzeczowo Berger. – Ale nie, ja bym mu też nie pomogła, choć mówię to poza protokołem. Więc Chandonne jest na podwórzu.

– Zapomniałam powiedzieć, że kiedy wybiegałam z domu, nacisnęłam guzik alarmu zagrożenia – przypominam sobie.

– Złapała pani słoik z formaliną. Złapała pani pistolet. Włączyła pani alarm. Wykazała pani całkiem niezłą przytomność umysłu, prawda? – komentuje moje zachowanie. – W każdym razie jest pani z Chandonne'em przed domem. Podjeżdża Lucy i musi ją pani powstrzymać, żeby mu nie strzeliła w łeb. Pojawia się ATF i wojsko. Koniec historii.

– Chciałabym, żeby to był koniec tej historii.

– Młotek kamieniarski. – Jaime Berger powraca do tego tematu. – Odkryła już pani, co było narzędziem zbrodni, bo poszła pani do sklepu żelaznego, żeby się rozejrzeć, i znalazła pani coś, co mogło pozostawić takie ślady jak te, które znalazła pani na ciele Bray?

– Miałam więcej danych, niż pani sądzi. Wiedziałam, że zatłuczono ją czymś, co miało dwie krawędzie. Jedną raczej spiczastą i drugą, bardziej kwadratową. Wgniecenia na czaszce wyraźnie pokazywały kształt tego, czym ją bito, a poza tym był ów wzór na materacu – wiedziałam, że powstał, kiedy napastnik odłożył tam jakiś zakrwawiony przedmiot.

Najprawdopodobniej narzędzie zbrodni. Młotek albo rodzaj kilofa. Ale nie zwyczajnego typu. Rozglądałam się. Pytałam ludzi.

– I oczywiście, kiedy Chandonne przyszedł do pani, do domu, miał ten młotek schowany w płaszczu i próbował panią nim uderzyć. – Mówi to beznamiętnie, obiektywnie.

– Tak.

– Więc w pani domu były dwa. Ten, który kupiła pani w sklepie żelaznym już po zabójstwie Bray. I drugi, który przyniósł ze sobą Jean-Baptiste Chandonne.

– Tak. – Jestem porażona tym, co mi właśnie uprzytomniła. – O Boże – szepczę. – Zgadza się. Kupiłam młotek po jej zabójstwie, nie przed. – Żyję w takim zamieszaniu przez to wszystko, co się wydarzyło przez te dni. – O czym myślę? Przecież na paragonie musi być data...

Mój głos zamiera. Pamiętam, że płaciłam gotówką. Pięć dolarów z czymś. Nie mam pokwitowania, jestem tego niemal pewna i czuję, jak krew odpływa mi z twarzy. Berger wie od początku to, o czym ja zapomniałam: że nie kupiłam młotka, zanim Bray została zatłuczona na śmierć, tylko dzień później. Ale nie mogę tego udowodnić. Chyba że sprzedawca, który mnie obsługiwał, może pokazać wydruk z kasy fiskalnej i przysiąc, że to ja kupiłam młotek, inaczej nie ma dowodu.

– A teraz jeden z nich zginął. Ten, który pani kupiła – stwierdza Berger, a ja mam zamęt w głowie. Mówię jej, że nie wiem, co odkryła policja. – Ale była pani na miejscu, kiedy przeszukiwali dom. Nie została tu pani razem z policją?

– Pokazałam im wszystko, co chcieli zobaczyć, odpowiedziałam na pytania. Byłam tu w sobotę i wyszłam wczesnym wieczorem, ale nie mogę potwierdzić, że widziałam wszystko, co robili i co zabrali, bo kiedy opuszczałam dom, jeszcze nie skończyli. Szczerze mówiąc, nawet nie

wiem, jak długo tu byli ani ile razy. – Ogarnia mnie złość i moja rozmówczyni to czuje. – Chryste, nie miałam młotka, kiedy zamordowano Bray. Pomieszało mi się, bo kupiłam go w dniu, gdy znaleziono jej ciało, a nie wtedy, kiedy zginęła. Zamordowano ją poprzedniego wieczora, ciało znaleziono nazajutrz – mówię bezładnie.

– Do czego używa się takiego narzędzia? Nawiasem mówiąc, przykro mi to powiedzieć, ale bez względu na to, co pani twierdzi na temat tego, kiedy kupiła pani młotek, Kay, pozostaje drobny problem, a mianowicie, że młotek, który znaleziono w pani domu, jedyny, jaki znaleziono, nosi ślady krwi Dianę Bray.

– Używa się ich w kamieniarstwie. W tej okolicy dużo się buduje z kamienia i łupku.

– Więc prawdopodobnie używają ich robotnicy kładący dachy? Policja ma teorię, że Chandonne znalazł taki młotek w tym remontowanym domu, gdzie się ukrywał. – Berger jest niezmordowana.

– Zdaje się, że taką właśnie ma teorię.

– Pani dom jest też zbudowany z kamienia i pokryty dachem z łupku – zauważa Berger. – Czy nadzorowała pani budowę? Bo wygląda pani na osobę, która by to robiła. Jest pani perfekcjonistką.

– Trzeba być szaleńcem, żeby samemu nie nadzorować tego, co się buduje.

– Zastanawiam się, czy mogła pani widzieć to narzędzie, kiedy stawiano pani dom. Może na budowie albo u któregoś z robotników?

– Nie przypominam sobie. Ale nie jestem pewna.

– I nie miała pani takiego młotka przed pójściem do sklepu z narzędziami Pleasants Hardware siedemnastego grudnia, dokładnie dwa tygodnie temu, niemal dobę po zamordowaniu Dianę Bray?

– Nie. Nie, nigdy przedtem nie miałam takiego młotka, o ile mi wiadomo – odpowiadam.

– Która była godzina, jak pani kupowała młotek? – pyta dalej, a sprzed domu dobiega dudniący odgłos samochodu, który parkuje właśnie Marino.

– Około siódmej. Nie wiem dokładnie. Może między pół do siódmej a siódmą. – W tej chwili nie myślę jasno. Berger mnie wykańcza i nie wyobrażam sobie, że ktokolwiek mógłby nabrać ją na kłamstwo. Problem w tym, żeby wiedzieć, co jest kłamstwem, a co nie, a nie jestem przekonana, że mi wierzy.

– Prosto ze sklepu poszła pani do domu? Proszę mi powiedzieć, co pani robiła przez resztę wieczora.

Dzwoni dzwonek przy drzwiach. Patrzę na ekran na ścianie salonu i widzę twarz Marina. Berger właśnie zadała to pytanie. Sprawdza metodę, której z pewnością użyje Richter, żeby zamienić moje życie w gówno. Prokurator Berger chce znać moje alibi. Chce wiedzieć, gdzie byłam dokładnie w tym czasie, kiedy zamordowano Dianę Bray, w czwartek, szesnastego grudnia wieczorem.

– Właśnie tego dnia rano przyleciałam z Paryża – odpowiadam. – Załatwiałam sprawy, wróciłam do domu około szóstej wieczorem. Później, około dziesiątej, pojechałam do szpitala zobaczyć, jak się miewa Jo, przyjaciółka Lucy, ta, która razem z nią brała udział w strzelaninie w Miami. Chciałam się zorientować, czy mogę jakoś pomóc, bo jej rodzice wmieszali się w ich związek. – Dzwonek przy drzwiach odzywa się ponownie. – Chciałam też wiedzieć, gdzie jest Lucy, a Jo mi powiedziała, że w barze w Greenwich Village. – Idę w stronę drzwi. Jaime Berger patrzy na mnie, nie rozumiejąc. – W Nowym Jorku. Lucy była w Nowym Jorku. Wróciłam do domu i zadzwoniłam do niej. Była pijana. – Marino znowu dzwoni i wali w drzwi. – Więc odpowiadając na pani pytanie, pani

prokurator, nie mam alibi na to, gdzie byłam między szóstą a wpół do jedenastej w czwartek wieczorem, bo byłam albo w domu, albo w samochodzie, sama, zupełnie sama. Nikt mnie nie widział. Nikt ze mną nie rozmawiał. Nie mam świadków, że między wpół do ósmej a wpół do jedenastej nie byłam u Dianę Bray i nie zatłukłam jej na śmierć tym cholernym młotkiem kamieniarskim.

Otwieram drzwi. Czuję, jak spojrzenie Jaime Berger pali mi plecy. Marino wygląda, jakby za chwilę miał eksplodować. Nie wiem, czy jest wściekły czy śmiertelnie przerażony. Może jedno i drugie.

– Co jest, do cholery? – pyta, patrząc na przemian na nas obie. – Co się dzieje, do cholery?

– Przepraszam, że musiałeś stać na mrozie – mówię. – Wejdz.

Rozdział 29

Marinowi tyle czasu zajęło dojechanie tutaj, bo po drodze wstąpił do biura depozytów w centrali. Poprosiłam, żeby przywiózł klucz z nierdzewnej stali, który znalazłam w kieszeni spodenek Mitcha Barbosy. Opowiada nam teraz, że musiał długo kopać w tym niedużym pomieszczeniu za stalową siatką, z półkami wypchanymi torbami opatrzonymi kodem – kilka z nich zawiera przedmioty, które policja zabrała ode mnie z domu w zeszłą sobotę.

Byłam w tym pokoju i mogę go sobie wyobrazić. Wewnątrz toreb na półkach dzwonią telefony komórkowe, odzywają się pagery. Ludzie usiłują skomunikować się z kimś, kto siedzi za kratkami albo nie żyje. Są tam również zamykane na klucz lodówki, gdzie przechowuje się próbki pobrane od zmarłych i wszelkie inne dowody mogące ulec zepsuciu – jak na przykład surowy kurczak, którego waliłam młotkiem kamieniarskim.

– Więc dlaczego waliła pani surowego kurczaka młotkiem kamieniarskim? – Jaime Berger domaga się dalszych wyjaśnień tej części mojej cokolwiek dziwnej historii.

– Żeby zobaczyć, czy obrażenia pasują do obrażeń na ciele Dianę Bray – wyjaśniam.

– Kurczak jest ciągle w lodówce z dowodami – dodaje Marino. – Trzeba przyznać, że zdrowo go stłukłaś.

– Proszę szczegółowo opisać, co dokładnie robiła pani z kurczakiem – przyciska mnie prokurator Berger, jakbym już zeznawała w charakterze świadka.

Stoję naprzeciwko niej i Marina w holu mojego domu, przy wejściu i wyjaśniam, że położyłam dwie piersi kurczaka na desce i tłukłam je oboma końcami, a także krawędzią młotka, żeby zbadać, jaki wzór pozostawią uderzenia na mięsie. Ślady zadane zarówno tępym, jak i spiczastym końcem młotka były identyczne w kształcie i rozmiarach z ranami znalezionymi na ciele Bray, szczególnie na wgniecionych fragmentach chrząstki i czaszki, które doskonale zachowują kształt – lub obraz – tego, co w nie weszło. Następnie rozłożyłam białą poszewkę na poduszkę. Umoczyłam trzonek młotka, mający kształt sprężyny, w sosie do potraw z grilla. Berger oczywiście chce się dowiedzieć, jakiego sosu użyłam.

Przypominam sobie, że to był sos do wieprzowiny, który rozcieńczyłam do konsystencji krwi, po czym przycisnęłam pokryty nim uchwyt młotka do materiału, żeby zobaczyć, jaki wzór się odciśnie. Otrzymałam takie samo prążkowanie jak na materacu Dianę Bray. Powłoczka ze śladami sosu została przekazana do laboratorium dla zbadania DNA, mówi Marino. Zauważam, że to strata czasu. Nie robi się prób na obecność pomidorów. Nie staram się być dowcipna, ale jestem wystarczająco sfrustrowana, żeby wykrzesać z siebie iskierkę sarkazmu. Jedyne wyniki, jakie otrzyma laboratorium, będzie brzmiał: „nie pochodzenia ludzkiego”, zapewniam. Marino przechadza się tam i z powrotem.

Jestem upieprzona, mówi, bo nie ma tego młotka, który kupiłam i z którym przeprowadzałam te wszystkie eksperymenty. Nie znalazł go, a szukał wszędzie. Nie widnieje na liście dowodów w komputerze. Wyraźnie nigdy nie trafił do pokoju, gdzie przechowuje się dowody; nie

wzięli go też technicy sądowi i nie przekazali do laboratoriów. Zginął. Zniknął. A ja nie mam paragonu ze sklepu. Teraz jestem tego pewna.

– Powiedziałaś ci przez telefon, że go kupiłam – przypominam mu.

– No – odpowiada. Pamięta, że dzwoniłam z samochodu po wyjściu ze sklepu między wpół do siódmej a siódmą. Powiedziałaś mu o swoim przypuszczeniu, że Dianę Bray załuczono młotkiem kamieniarskim. Powiedziałaś też, że właśnie go kupiłam. Ale, zauważa rozsądnie, to nie znaczy, że nie kupiłam tego narzędzia już po zbrodni po to, aby mieć alibi.

– Wiesz, żeby wyglądało, że go nie miałaś i dopiero później się dowiedziałaś, czym ją zabito.

– Po czyjej jesteś stronie, do cholery? – pytam go. – Wierzysz w te brednie Rightera? Jezu! Mam tego dosyć.

– Tu nie chodzi o strony – odpowiada ponuro mój przyjaciel, a Jaime Berger patrzy bez słów.

Powracamy do faktu, że jest tylko jeden młotek: poplamiony krwią Dianę Bray, znaleziony u mnie w domu. A dokładnie w moim salonie, na perskim dywanie, pół metra na prawo od stolika do kawy. To młotek Chandonne'a, nie mój, powtarzam i wyobrażam sobie zgrzebne torby z brązowego papieru z numerami i kodem, który oznacza Scarpettę, złożone za metalową siatką w pokoju z dowodami.

Opieram się o ścianę w holu przy wejściu – kręci mi się w głowie. To tak, jakbym wyszła z własnego ciała i patrzyła w dół na samą siebie po tym, jak wydarzyło się coś strasznego i ostatecznego. Koniec ze mną. Zniszczą mnie. Jestem nieżywa, tak jak ci, których rzeczy w brązowych papierowych torbach lądują w pokoju z dowodami. Nie jestem martwa, ale bycie oskarżoną o morderstwo to coś jeszcze gorszego. Nie chcę nawet myśleć o tym, jaki będzie kolejny etap mojej zagłady.

– Marino – mówię – wypróbuj ten klucz w moich drzwiach.

Waha się, marszcząc brwi. Potem z wewnętrznej kieszeni starej skórzanej kurtki podbitej wyliniałym barankiem wyjmuje przezroczystą plastikową torebkę na dowody rzeczowe. Otwiera drzwi i zimny wiatr wciska się do domu. Marino wsuwa stalowy klucz w zamek – wsuwa go z łatwością i przekręca, otwierając i zamykając zasuwę.

– Numer na kluczu – mówię cicho do nich obojga – to kod mojego urządzenia alarmowego.

– Co? – Ten jeden raz pani prokurator niemal braknie słów. Idziemy we troje do salonu, gdzie przysiadam na skraju wygasłego kominka niczym Kopciuszek. Berger i Marino wolą nie siadać na zniszczonej kanapie i stają obok. Patrzą na mnie, oczekując wyjaśnienia. Jest tylko jedno i wydaje mi się dość oczywiste.

– Policja i Bóg wie kto jeszcze wchodził tu i wychodził stąd od zeszłej soboty – tłumaczę. – Szuflada w kuchni, w niej są wszystkie klucze. Od domu, samochodu, gabinetu, szaf na akta i czego tam jeszcze. Więc to nie było tak, że nikt nie miał łatwego dostępu do zapasowego klucza od mojego domu, a wy, chłopcy, znaleźcie numer kodu mojego urządzenia alarmowego, prawda? – Patrzą na kapitana. – Chodzi mi o to, że nie zostawiliście domu z włączonym alarmem, kiedy wychodziliście. Jak tu przyszłyśmy przed chwilą, był włączony.

– Musimy mieć listę wszystkich, którzy tu wchodzili – oświadcza ponuro Berger.

– Mogę pani podać nazwiska wszystkich, o których wiem – odpowiada Marino. – Ale nie było mnie tu za każdym razem, kiedy ktoś tu przychodził. Więc nie mogę powiedzieć, że wiem o wszystkich w ogóle.

Wzdycham i opieram się plecami o kominek. Zaczynam wyliczać policjantów, których sama widziałam, włączając w to Jaya Talleya, i Marina.

– Righter też tu był – dodaję.

– Podobnie jak ja – zauważa Berger. – Ale na pewno nie otwierałam sobie sama drzwi. Nie miałam pojęcia, jaki jest pani kod.

– Kto panią wpuścił? – pytam.

W odpowiedzi patrzy na Marina. Nie podoba mi się, że słowem mi nie wspomniał o tym, iż oprowadzał ją po moim domu. To irracjonalne. W końcu kto, jeśli nie on? Komu ufałabym bardziej? Widać, że jest poruszony. Wstaje i idzie do kuchni. Słyszę, jak otwiera szufladę, w której trzymam klucze, a potem lodówkę.

– Byłam z panią, kiedy znalazła pani ten klucz w kieszeni Mitcha Barbosy – myśli głośno Jaime Berger. – Nie mogła go pani tam podłożyć, bo nie była pani na miejscu zbrodni. I nie dotykała pani ciała bez świadków. To znaczy, Marino i ja byliśmy obok, kiedy otwierała pani worek z ciałem. – Prycha, okazując swoją frustrację. – A kapitan Marino?

– Nie zrobiłby tego – zaprzeczam, machnąwszy ręką. – Wykluczone. Oczywiście, miał dostęp do kluczy, ale to wykluczone. I według jego raportu w ogóle nie widział ciała Barbosy. Kiedy przyjechał do Mosby Court, już je wnoszono do ambulansu.

– Więc zrobił to albo jeden z policjantów tam, gdzie go znaleziono...

– Albo, co bardziej prawdopodobne, klucz włożono mu do kieszeni, kiedy go zabito – kończę jej myśl. – Na miejscu zbrodni. Nie tam, gdzie porzucono ciało.

Wchodzi Marino z butelką piwa Spaten, które widocznie kupiła Lucy. Nie pamiętam, żebym ja to zrobiła. Wydaje mi się, że w moim domu nic już nie należy do mnie i przypomina mi się historia Anny. Zaczynam rozumieć, jak musiała się czuć, kiedy naziści zajmowali jej rodzinny dom. Nagle pojmuję, że ludzi można doprowadzić do czegoś więcej niż gniew, łzy,

protest, a nawet smutek. W końcu człowiek zapada się w ciemne bagno akceptacji. Jest jak jest. A to co było, to przeszłość.

– Nie mogę tu dłużej mieszkać – mówię do Jaime Berger i Marina.

– Dobrze to wykombinowałaś – oświadcza Marino agresywnym, pełnym złości tonem, który do niego pasuje jak własna skóra.

– Słuchaj – mówię – przestań już na mnie warczeć. Wszyscy jesteśmy wściekli, sfrustrowani i wykończeni. Nie rozumiem, co się dzieje, ale to jasne, że ktoś, kto ma styczność z nami, jest również związany z zabójstwem tych dwóch mężczyzn, których torturowano, i przypuszczam, że ktokolwiek umieścił mój klucz przy zwłokach Barbosy, albo chce mnie wmieszać w te zbrodnie, albo, co bardziej prawdopodobne, ostrzec mnie.

– Myślę, że to ostrzeżenie – zgadza się Marino. „A gdzież jest teraz Rocky”, ciśnie mi się na usta.

– Pana kochany syn Rocky – wyręcza mnie Jaime Berger. Marino pociąga łyk z butelki i wyciera usta wierzchem dłoni. Nie odpowiada. Pani prokurator patrzy na zegarek i podnosi na nas wzrok.

– No cóż – mówi. – Wesółych świąt.

Rozdział 30

Dom Anny jest ciemny i cichy, kiedy wracam tuż przed trzecią nad ranem. Moja przyjaciółka pamiętała, żeby zostawić zapalone światło w holu i w kuchni, przygotowała też kryształową szklanekę i butelkę whisky Glenmorangie, na wypadek gdyby mi był potrzebny środek uspokajający. O tej porze rezygnuję z niego. Jakaś część mnie chciałaby, żeby Anna nie spała. Czuję niejasną potrzebę, żeby się pokręcić po domu w nadziei, że przyjdzie i ze mną posiedzi. W dziwny sposób uzależniłam się od naszych sesji, nawet jeśli teraz powinnam żałować, że się odbywały. Idąc w stronę skrzydła dla gości, zaczynam myśleć o zjawisku nazywanym w psychologii przeniesieniem i zastanawiam się, czy właśnie tego doświadczam teraz z Anną. A może tylko czuję się samotna i smutna, bo jest Boże Narodzenie, a ja nie śpię, jestem umęczona i wracam do cudzego domu po całym dniu zajmowania się brutalnymi zabójstwami, włącznie z tym, o którego dokonanie podejrzewa się mnie samą.

Anna zostawiła mi na łóżku list. Biorę do ręki elegancką kremową kopertę i po jej grubości wiem, że list jest długi. Rzucam ubranie na jeden stos na podłodze w łazience i wyobrażam sobie całą tę ohydę, jaką musiał przesiąknąć materiał z powodu tego, gdzie byłam i czym się zajmowałam w ciągu ostatnich dwudziestu godzin. Dopiero wyszedłszy spod prysznica,

czuję, że ubranie jest przesiąknięte brudnym zapachem spalenizny z pokoju motelowego. Zawijam rzeczy w ręcznik, żeby o nich zapomnieć aż do czasu, kiedy je oddam do pralni. Wkładam gruby szlafrok Anny, idę do łóżka i czuję zdenerwowanie, biorąc znowu do ręki jej list. Otwieram kopertę i wyjmuję sześć sztywnych arkusików papieru listowego ze znakiem wodnym i monogramem. Zaczynam czytać, starając się nie śpieszyć. Anna przemyślała ten list i chciała, żebym ja także zastanowiła się nad każdym słowem, bo nie rzuca ich na wiatr.

Najdroższa Kay, Jako dziecko wojny nauczyłam się, że prawda nie zawsze jest rzeczą właściwą, dobrą ani zgoła najlepszą. Kiedy esesmani walili w drzwi i pytali, czy w domu są Żydzi, nie mówiło się prawdy, jeśli się ukrywało Żydów. Kiedy wyżsi funkcjonariusze SS zajmowali mój rodzinny dom w Austrii, nie mogłam powiedzieć prawdy o tym, jak bardzo ich nienawidzę. Kiedy komendant obozu w Mauthausen przychodził nocą do mojego łóżka i pytał, czy przyjemne jest dla mnie to, co robi, nie mówiłam prawdy.

Opowiadał ohydne dowcipy i syczał mi w ucho, naśladując odgłos zagazowywania Żydów, a ja się śmiałam, bo się bałam. Czasem, kiedy przychodził z obozu, strasznie się upijał, a raz się przechwalał, że podczas łapanek w pobliskiej wiosce Langenstein zabił dwunastoletniego chłopca. Później się dowiedziałam, że to nieprawda, to Leitselle, szef SS w Linzu, zastrzelił tego biedaka, ale wcześniej wierzyłam w to, co mówił komendant i mojego strachu nie da się opisać. Ja również byłam cywilem i dzieckiem. Nikt nie czuł się bezpieczny. (W 1945 roku tego człowieka stracono w Gusen, a jego ciało przez wiele dni pozostawiono na widok publiczny. Zobaczyłam je i splunęłam. Taka była prawda o tym, co czułam – prawda, której wcześniej nie mogłam wyjawić!).

Tak więc prawda jest czymś względnym. Chodzi o właściwy czas. O to, co bezpieczne. Prawda jest luksusem uprzywilejowanych, którzy mają dosyć jedzenia i nie muszą ukrywać się dlatego, że są Żydami. Prawda może zniszczyć i dlatego nie zawsze jest mądrze ani nawet zdrowo mówić prawdę. Dziwne, że coś takiego pisze psychiatra, prawda? Jest powód, dla którego udzielam Ci tej lekcji, Kay. Kiedy przeczytasz ten list, musisz go zniszczyć i nigdy nie wolno ci wyjawiać, że kiedykolwiek istniał. Znam Cię dobrze. Takie zatajenie, choć to niewielkie przestępstwo, będzie dla Ciebie trudne. Gdyby Cię jednak pytano, nie wolno Ci powiedzieć niczego o tym, co Ci wyjawiałam.

Moje życie tutaj ległoby w gruzach, gdyby się dowiedziano, że moja rodzina przyjmowała i żywiła esesmanów, a fakt, że nie robiliśmy tego dobrowolnie, jest bez znaczenia. Trzeba było przeżyć. Myślę także, że i Tobie bardzo by to zaszkodziło, gdyby ludzie się dowiedzieli, że Twoja najlepsza przyjaciółka była zwolenniczką nazistów, a jestem pewna, że tak by mnie określano. Och, jakież to straszne być tak nazywaną, szczególnie kiedy się ich nienawidziło tak jak ja. Jestem Żydówką. Mój ojciec był człowiekiem przewidującym, świadomym zamiarów Hitlera. W połowie lat trzydziestych wykorzystał swój majątek oraz kontakty bankowe i polityczne, żeby zapewnić nam całkowicie nową tożsamość. Zmienił nasze nazwisko na Zenner i zabrał rodzinę z Polski do Austrii, kiedy byłam zbyt mała, żeby z wielu rzeczy zdawać sobie sprawę.

Można zatem powiedzieć, że odkąd pamiętam, żyłam w kłamstwie. Być może to Ci pozwoli zrozumieć, dlaczego nie chcę być przesłuchiwana podczas procesu i dlaczego, jeśli się da, wolę tego unikać. Tak więc Kay, prawdziwym powodem, dla którego piszę ten list, nie jest opowiedzenie Ci mojej historii. Wreszcie rozmawiam z Tobą o Bentonie.

Jestem pewna, że nie wiesz, iż przez pewien czas był moim pacjentem. Jakieś trzy lata temu przyszedł do mnie do gabinetu. Był przygnębiony i miał wiele kłopotów w pracy, o których nie mógł mówić z nikim, nawet z Tobą. Powiedział, że w całej swojej karierze w FBI widział rzeczy najgorsze z najgorszych - najbardziej koszmarnie zbrodzenia, jakie tylko można sobie wyobrazić. I choć owe wizje go prześladowały i cierpiał na wiele sposobów przez kontakt z tym, co nazywamy ziemią, nigdy naprawdę się nie bał. Większość sprawców tych czynów nie interesowała się nim osobiście. Nie mieli zamiaru zrobić krzywdy jemu samemu, a nawet w gruncie rzeczy było im przyjemnie, że poświęcał im uwagę i rozmawiał z nimi w więzieniu. A w licznych sprawach, które pomógł policji rozwiązać, nie był osobiście zagrożony. Seryjni gwałciciele i mordercy nie zajmowali się jego osobą.

Ale potem, kilka miesięcy wcześniej, zanim do mnie przyszedł, zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Żałuję, że nie pamiętam lepiej, Kay, ale mówił, że działo się coś dziwnego. Głuche telefony, których nie można było zlokalizować, bo ktoś dzwonił przez satelitę i odwieszał słuchawkę (myślę że chodziło o połączenia komórkowe). Benton dostawał też jakieś obłąkańcze listy z aluzjami do Twojej osoby. Pogróżki wobec Ciebie, również niemożliwe do zlokalizowania. Dla Bentona było jasne, że ten, kto pisał to wszystko, wiedział o Waszym związku.

Oczywiście podejrzewał Carrie Grethen. „Ta kobieta nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa”, powtarzał. Ale nie wiedział, jak mogłaby telefonować i wysyłać listy, bo siedziała w więzieniu w Nowym Jorku – w Kirby.

Podsumuję to pół roku rozmów z Bentonem stwierdzeniem, że miał bardzo silne przeczucie bliskiej śmierci. Cierpiał na depresję, niepokój, paranoję i chorobę alkoholową. Powiedział, że ukrywa przed Tobą napady

ostrego picia i że jego problemy powodują pogorszenie Waszych stosunków. Kiedy słuchałam tego, co mi mówiłaś podczas naszych spotkań, Kay, widzę, że jego zachowanie w domu uległo znacznej zmianie. Może teraz zrozumiesz niektóre powody tego stanu rzeczy.

Chciałam zapisać Bentonowi łagodny środek antydepresyjny, ale się nie zgodził. Ciągle się martwił, co będzie z Tobą i Lucy, gdyby jemu się coś stało. Otwarcie płakał z tego powodu w moim gabinecie. To ja zasugerowałam mu napisanie tego listu, który kilka tygodni temu doręczył Ci senator Lloyd. Zaproponowałam Bentonowi: „Wyobraź sobie, że nie żyjesz i masz jedną, ostatnią możliwość, żeby coś przekazać Kay”. Zrobił to. Powiedział te słowa, które przeczytałaś w liście.

Podczas naszych sesji wielokrotnie sugerowałam, że może wie więcej na temat tego, kto go prześladowa, i może odsuwa tę wiedzę od siebie, nie chcąc spojrzeć prawdzie w oczy. Wahał się. Dobrze pamiętam swoje wrażenie, że ma pewne informacje, lecz nie może albo nie chce ich ujawnić. Teraz zaczynam myśleć, że może wiem. Doszłam do wniosku, że to, co przydarzyło się Bentonowi kilka lat temu i to, co się teraz dzieje z Tobą, ma związek z Rockym, synem Marina, tym mafiosem. Rocky ma powiązania z bardzo potężnymi przestępcami i nienawidzi ojca. Znienawidzi też każdego, kto jest dla jego ojca kimś ważnym. Czy to może być zbieg okoliczności, że Benton najpierw dostawał listy z pogrózkami, potem został zamordowany, jeszcze później ten potworny zabójca Chandonne zjawił się w Richmondzie, a teraz podły syn Marina jest jego adwokatem? Czy ta kręta droga nie prowadzi do jakiegoś strasznego końca, który ma na celu zniszczenie wszystkiego, co dobre w życiu Marina?

W moim gabinecie Benton często wspominał o teczce O-POS. Trzymał w niej wszystkie tamte listy i inne dowody tego, co się mu przydarzyło. Przez wiele miesięcy myślałam, że mówi o teczce OBS, że to skrót od

obserwacji, jaką prowadzi policja, ale poprawił mnie, wyjaśniając, że chodzi o jego teczkę O-POS. Zapytałam, co oznacza ten skrót, a on odpowiedział, że Ostatni Posterunek. Zapytałam, co przez to rozumie, a jemu łzy napłynęły do oczu. „Ostatni Posterunek to tam, gdzie skończę, Anno. Tam, gdzie skończę”. Dokładnie tak brzmiały jego słowa.

Nie możesz nawet sobie wyobrazić, co poczułam, kiedy Lucy wspomniała, że tak brzmi nazwa firmy dochodzeniowo-konsultacyjnej, w której teraz pracuje w Nowym Jorku. Wczoraj wieczorem byłam taka zdenerwowana, bo dostarczono mi wezwanie do sądu. Oto, co się stało: otrzymałam wezwanie. Zadzwoiłam do Lucy, bo uważałam, że powinna wiedzieć, co się z Tobą dzieje. Powiedziała mi, że jej nowy szef (Teun McGovern) jest w Richmondzie, i wspomniała również o Ostatnim Posterunku. Byłam wstrząśnięta. Nadal jestem wstrząśnięta i nie rozumiem, co to wszystko znaczy. Czy może Lucy wie o teźce Bentona?

I znowu – czy to tylko zbieg okoliczności, Kay? Czy po prostu wymyśliła taką samą nazwę, jaką Benton nadał swojej tajnej teźce? Czy te wszystkie powiązania mogą być jedynie zbiegiem okoliczności? W Nowym Jorku istnieje coś, co się nazywa Ostatni Posterunek i Lucy przeprowadza się do Nowego Jorku, proces Chandonne a przeniesiono do Nowego Jorku, bo popełnił morderstwo w tym mieście dwa lata temu, kiedy Carrie Grethen ciągle była w więzieniu w Nowym Jorku, jej współlnik-morderca Tempie Gault zginął w Nowym Jorku (Ty go zabiłaś), Marino zaczął tam swą karierę jako policjant. No i Rocky mieszka w Nowym Jorku.

Pozwól mi powiedzieć na zakończenie, że czuję się okropnie, wiedząc, że mogłam przyczynić się do pogorszenia Twojej sytuacji, ale bądź pewna, że nie zamierzam powiedzieć niczego, co by się dało przekręcić. Nigdy. Jestem na to za stara. Jutro, w Boże Narodzenie, wyjadę do swojego domu w Hilton Head i pozostanę tam aż do czasu, kiedy będę musiała wrócić do

Richmond. Robię to z wielu powodów. Nie chcę ułatwiać sytuacji Bufordowi Righterowi ani nikomu innemu, kto chciałby się ze mną kontaktować. Najważniejsze jednak jest to, że musisz mieć gdzie mieszkać. Nie wracaj do siebie do domu, Kay.

Twoja oddana przyjaciółka Anna.

Czytam list Anny wiele razy. Robi mi się niedobrze na myśl o młodej dziewczynie wdychającej zatrute powietrze Mauthausen i o tym, co się tam działo. Odczuwam najgłębszy smutek, że przez całe życie słuchała uwag na temat Żydów, wstrętnych dowcipów o Żydach, relacji o straszliwych zbrodniach popełnianych na Żydach i cały czas wiedziała, że jest Żydówką. Bez względu na to, jak to teraz racjonalizuje, postępowanie jej ojca było tchórzliwe i złe. Podejrzewam również, że wiedział, iż jego córkę gwałci komendant SS, którego przyjmował u siebie w domu, i także nic w tej sprawie nie zrobił. Zupełnie nic.

Uprzytamniam sobie, że jest już pewnie piąta rano. Powieki mi ciążą, nerwy mam napięte. Nie ma sensu próbować zasnąć. Wstaję i idę do kuchni zaparzyć kawę. Przez chwilę siedzę przed ciemnym oknem, patrząc w stronę niewidocznej rzeki i rozmyślając o tym, czego się dowiedziałam z listu Anny. Wiele z tego, co się działo w ostatnich latach z Bentonem, jest teraz zrozumiałe. Myślę o tych dniach, kiedy skarżył się na ból głowy spowodowany napięciem, a ja myślałam, że wygląda na skacowanego. Był coraz bardziej przygnębiony, daleki i sfrustrowany. W pewien sposób rozumiem, czemu nie powiedział mi o listach, telefonach i teczce, którą nazwał O-POS. Ale nie zgadzam się z jego decyzją. Powinien był mi powiedzieć.

Nie pamiętam, żebym się natknęła na taką teczkę, kiedy przeglądałam papiery Bentona, po tym jak go zamordowano. Ale tylu rzeczy nie pamiętam z tamtego okresu. Czułam się, jakbym żyła pod ziemią

i poruszała się z trudem, powoli, niezdolna dostrzec, dokąd idę ani skąd przychodzę. Po śmierci Bentona Anna pomogła mi uporządkować jego rzeczy osobiste, opróżniła szafy i szuflady, a ja krążyłam między pokojami jak oszalały owad, to pomagałam, to znów mówiłam coś bez związku i płakałam. Ciekawa jestem, czy natknęła się wtedy na tę teczkę. Wiem, że jeśli jeszcze gdzieś jest, muszę ją znaleźć.

Pierwsze światło poranka ma w sobie zapowiedź głębokiego błękitu. Robię Annie kawę i niosę filiżankę do jej sypialni. Nasłuchuję pod drzwiami jakiegoś odgłosu, który byłby znakiem, że już nie śpi. Cisza. Otwieram ostrożnie drzwi i wchodzę. Stawiam kawę na owalnym stoliku obok łóżka. Anna lubi, żeby w nocy paliło się światło. Jej pokój jest oświetlony jak pas startowy, lampy zainstalowano niemal wszędzie. Kiedy to zobaczyłam pierwszy raz, wydało mi się dziwne. Teraz zaczynam rozumieć. Może całkowita ciemność kojarzy jej się z tym, jak samotna i przerażona czekała w sypialni na pijanego, śmierdzącego esesmana, który przychodził zawładnąć jej młodym ciałem. Nic dziwnego, że poświęciła całe życie innym poszkodowanym ludziom. Rozumie ich. Bada swoje dawne tragedie tak samo, jak jej zdaniem ja badam swoje.

– Anno? – mówię szeptem. Widzę, że się porusza. – Anno, to ja. Przyniosłam ci kawę.

Siada zaskoczona, mrużąc oczy, nastroszone siwe włosy opadają jej na twarz.

Zaczynam mówić: „Wesołej Gwiazdki”, ale zmieniam na: „Wesołych świąt”.

– Przez cały ten czas obchodzę Boże Narodzenie, a w tajemnicy przed wszystkimi jestem Żydówką. – Sięga po filiżankę. – Nie zwykłam mieć miłego nastroju z samego rana – dodaje.

Ściskam jej rękę. Nagle Anna wydaje mi się stara i krucha.

– Przeczytałam twój list. Nie wiem, co powiedzieć, ale nie mogę go zniszczyć. Musimy porozmawiać.

Milczy przez chwilę. Wydaje mi się, że w jej milczeniu wyczuwam ulgę. Potem znowu powraca upór, Anna macha ręką, jakby tym gestem mogła odrzucić całą swoją historię i wszystko to, co mi powiedziała o własnym życiu. Nocne lampki rozjaśniają wyolbrzymione, głębokie cienie biedermeierowskich mebli, stylowych lamp i obrazów w jej wielkiej, wspaniałej sypialni. Grube jedwabne zasłony są zaciągnięte.

– Chyba nie powinnam była pisać tego wszystkiego – mówi stanowczo.

– Szkoda, że nie napisałaś tego wcześniej, Anno. Pije kawę i naciąga kołdrę na ramiona.

– To, co cię spotkało, kiedy byłaś niemal dzieckiem, to nie twoja wina – tłumaczę jej. – Wyborów dokonywał twój ojciec, nie ty. Z jednej strony cię chronił, z drugiej nie. Może zresztą nie miał wyboru.

Potrząsa głową.

– Nie wiesz. Nie możesz tego wiedzieć. Nie zamierzam się spierać.

– Nie znam takich potworów, które można by było z nimi porównać. Moja rodzina nie miała wyboru. Ojciec pił dużo sznapsa. Przez większość czasu chodził pijany, a oni upijali się razem z nim. Po dziś dzień nie mogę znieść zapachu sznapsa. – Obejmuje kubek z kawą obiema dłońmi. – Wszyscy się upijali, to nie miało znaczenia. Kiedy minister Rzeszy Speer i jego świta zwiedzali obozy w Gusen i Ebensee, przyszli do nas, och tak, odwiedzili nasz miły zameczek, a rodzice wydali wspaniały bankiet, byli muzycy z Wiednia, najlepszy szampan i jedzenie i wszyscy się upili. Pamiętam, że schowałam się ze strachu przed tym, kto może do mnie przyjść. Całą noc ukrywałam się pod łóżkiem i wiele razy słyszałam kroki w swoim pokoju, a raz ktoś odrzucił kołdrę i zaklął. Całą noc przeleżałam pod łóżkiem, śniąc o muzyce i o pewnym młodym człowieku, który umiał

wydobywać takie słodkie dźwięki ze swych skrzypiec. Często na mnie patrzył, a ja się czerwieniłam, i kiedy tamtej nocy chowałam się pod łóżkiem, myślałam o nim. Ktoś, kto tak pięknie gra, nie może być niedobry. Myślałam o nim całą noc.

– O tym skrzypku z Wiednia? Tym, za którego później...?

– Nie, nie. – Anna potrząsa głową w półmroku. – To było wiele lat przed Rudim. Ale myślę, że wtedy z wyprzedzeniem zakochałam się w Rudim, nie znając go jeszcze. Widziałam muzyków w czarnych frakach i byłam zahipnotyzowana pięknem, które tworzą, i chciałam, żeby zabrali mnie z tej grozy. Wyobrażałam sobie, że na ich tonach wznoszę się ku jakiemuś czystemu miejscu. Na chwilę wróciłam do Austrii sprzed kamieniołomów i krematoriów, kiedy życie było proste, ludzie przyzwoici i radośni, tacy zadowoleni i dumni ze swoich wypielegnowanych ogrodów i domów. W słoneczne wiosenne dni kładło się w oknach kołdry z gęsiego puchu, żeby się wywietrzyły na najwonniejszym powietrzu, jakim kiedykolwiek oddychałam. Bawiliśmy się na rozległych, falujących łąkach, które wydawały się prowadzić prosto do nieba, podczas gdy ojciec polował w lesie na dziki, a matka zajmowała się szyciem i pieczeniem. – Milknie, na jej twarzy maluje się łagodny smutek. – Ten kwartet smyczkowy odmienił tamtą straszną noc. A później moje myślenie magiczne zaprowadziło mnie w objęcia mężczyzny ze skrzypcami, Amerykanina. I jestem tutaj. Jestem teraz tutaj. Uciekłam. Uciekłam. Ale naprawdę nigdy nie uciekłam, Kay.

Świt rozjaśnia zasłony i nadaje im kolor miodu. Mówię Annie, że cieszę się, iż jest ze mną. Dziękuję jej, że rozmawiała z Bentonem i w końcu powiedziała mi o wszystkim. W pewnym sensie obraz staje się pełniejszy, dzięki temu, co teraz zrozumiałam. W innym nie. Nie potrafię wyraźnie uzmysłwić sobie nastrojów i zmian, które poprzedziły zabójstwo Bentona,

ale wiem, że mniej więcej w czasie kiedy chodził do Anny, Carrie Grethen szukała nowego współnika na miejsce Temple'a Gaulta. Carrie wcześniej pracowała przy komputerach. Była w tym świetna i miała niewiarygodną zdolność manipulowania ludźmi. Zdołała uzyskać dostęp do komputera w szpitalu psychiatrycznym Kirby. W ten sposób zarzuciła swoją sieć i znalazła nowego współnika – Newtona Joyce'a. Zrobiła to za pomocą Internetu, a Joyce pomógł jej uciec z Kirby.

– Może poznała również inne osoby przez Internet – sugeruje Anna.

– Syna Marina, Rocky'ego?

– Tak myślę.

– Anno, czy masz jakieś pojęcie, co się stało z tą teczką Bentona? Teczka O-POS, jak ją nazywał?

– Nigdy jej nie widziałam. – Prostuje się, decydując, że czas wstać z łóżka i kołdra zsuwa się w okolice jej talii. Nagie ramiona Anny są żałośnie chude i pomarszczone, jak gdyby ktoś wypuścił z nich powietrze. Jej piersi zwisają nisko i luźno pod ciemnym jedwabiem. – Kiedy pomagałam ci uporządkować jego ubrania i inne rzeczy osobiste, nie widziałam takiej teczki. Ale nie dotykałam niczego w gabinecie.

Tak niewiele pamiętam.

– Nie. – Odrzuca kołdrę i spuszcza nogi na podłogę. – Nie chciałam w to wchodzić. W jego papiery. – Wstaje i wkłada szlafrok. – Uznałam, że tyje przejrzysz. – Patrzy na mnie. – Zrobiłaś to, Kay? A co z jego gabinetem w Quantico? Benton już był wtedy na emeryturze, więc chyba go opróżnił?

– Tak. – Idziemy w stronę kuchni. – Akta spraw, które prowadził, pozostały na miejscu. W przeciwieństwie do swych kolegów z FBI, którzy odchodzili na emeryturę, Benton nie uważał spraw, jakie prowadził, za swoją własność – dodaję smutno. – Więc wiem, że kiedy przeszedł na

emeryturę, nie zabrał z Quantico żadnych akt. Ale nie wiem, czy mógł zostawić w biurze teczkę O-POS. Jeśli tak, nigdy jej nie zobaczę.

– To była jegoteczka – zauważa Anna. – Korespondencja skierowana do niego osobiście. Kiedy mi opowiadał, co się dzieje, nigdy nie traktował tego jako sprawy FBI. Miałam wrażenie, że traktował te listy i dziwaczne telefony jak coś osobistego i nic mi nie wiadomo, żeby rozmawiał o tym z innymi agentami. Bał się głównie dlatego, że część pogroźek dotyczyła również ciebie. Dawał mi do zrozumienia, że jestem jedyną osobą, której o tym powiedział. Wiem, że to prawda. Mówiłam mu wiele razy, że moim zdaniem powinien zgłosić to w FBI. – Potrząsa głową. – Nie chciał – powtarza znowu.

Wyrzucam do śmieci filtr od kawy i czuję ukłucie dawnej niechęci. Jak dużo Benton przede mną ukrywał.

– Szkoda – odpowiadam. – Może gdyby powiedział któremuś z agentów, to wszystko by się nie wydarzyło.

– Napijesz się jeszcze kawy?

– Chyba powinnam. – Przypominam sobie, że się w ogóle nie kładłam.

– Wiedeńskiej kawy – postanawia Anna, otwierając lodówkę i szukając wśród torebek. – Ponieważ dziś rano odczuwam nostalgię za Austrią. – Mówi to z odcieniem sarkazmu, jak gdyby po cichu potępiała samą siebie za ujawnianie przeszłości. Wsypuje ziarna do młynka i przez chwilę kuchnię wypełnia hałas.

– Benton w końcu rozczarował się do biura – rozmyślam na głos. – Nie jestem pewna, czy nadal ufał ludziom wokół siebie. Współzawodnictwo. Był szefem oddziału i wiedział, że wszyscy będą się bić o jego stanowisko, począwszy od chwili, w której choćby wspomni, że jest gotów odejść na emeryturę. Jak go znam, zajmował się własnymi problemami w kompletnym odosobnieniu, tak samo zresztą prowadził wszystkie

sprawy. Poza wszystkim innym był wcieleniem dyskrecji. – Rozważam wszystkie możliwości. Gdzie Benton schowałby taką teczkę? Gdzie mogła być? Miał swój pokój w moim domu; trzymał tam swoje rzeczy i włączał laptop. Miał szuflady na akta. Ale przejrzałam je i nie widziałam tam niczego, co w najmniejszym stopniu przypominałoby teczkę, którą opisała Anna.

Potem sobie coś przypominam. Kiedy Bentona zamordowano w Filadelfii, mieszkał w hotelu. Zwrócono mi kilka toreb z jego rzeczami osobistymi, łącznie z aktówką, którą otworzyłam. Przejrzałam ją, a przede mną zrobiła to policja. Wiem, że nie widziałam niczego w rodzaju teczki O-POS, ale jeżeli jest prawdą, że Benton podejrzewał, iż Carrie Grethen może mieć jakiś związek z telefonami i listami, jakimi go nęcano, czy mógł nie wziąć ze sobą tamtych dokumentów, kiedy pracował nad nowymi sprawami? Nie zabrałby teczki do Filadelfii?

Idę do telefonu i dzwonię do Marina.

– Wesołych świąt – mówię. – To ja.

– Co? – bełkocze niemal przez sen. – O cholera. Która godzina?

– Parę minut po siódmej.

– Po siódmej! – Jęk. – Do diabła, jeszcze nawet nie było tu Świętego Mikołaja. Dlaczego tak wcześnie dzwonisz?

– Marino, to ważna sprawa. Kiedy policja przejrzała osobiste rzeczy Bentona w jego pokoju w hotelu w Filadelfii, czy i ty je widziałeś?

Słyszę potężne ziewnięcie, a potem parsknięcie.

– Psiakrew, muszę skończyć z takim późnym chodzeniem spać. Płuca mi wysiadają, trzeba rzucić papierosy. Zabalowaliśmy wczoraj z paroma chłopakami i Turkiem. – Znowu ziewa. – Chwileczkę. Już dochodzę do siebie. Przełączam kanały. W jednej minucie mamy Boże Narodzenie, a w następnej pytasz mnie o Filadelfię?

- Otóż to. O to, coście znaleźli w pokoju Bentona.
 - No. Tak, cholera, przeglądałem to wszystko.
 - Czy zabrałeś coś? Na przykład coś, co mogło być w jego aktówce?
Chodzi mi o teczkę, w której mogły być listy.
 - Miał tam parę teczek. Dlaczego pytasz?
Czuję podniecenie. Moje synapsy zapalają się, rozjaśnia mi się w głowie, komórki napełnia energia.
 - Gdzie są teraz te teczki?
 - No, pamiętam jakieś listy. Jakieś pomyłone paskudztwo, pomyślałem, że powinienem zwrócić na to uwagę... Potem Lucy skasowała Carrie i Joyce'a i zmieniła ich w karmę dla ryb, chyba można uznać, że nad wyraz dobrze wyczyściła całą tę sprawę. Cholera. Ciągle nie mogę uwierzyć, że miała AR-15 w tym pieprzonym helikopterze i...
 - Gdzie są te rzeczy? – pytam ponownie, nie umiając ukryć napięcia w głosie. Serce mi wali. – Muszę zobaczyć teczkę, w której są te listy. Benton nazwał ją teczką O-POS. O-POS, czyli Ostatni Posterunek. Może stąd Lucy wzięła pomysł na nazwę firmy.
 - Ostatni Posterunek. Chodzi ci o tę firmę, gdzie Lucy będzie pracować, tę firmę Teun McGovern w Nowym Jorku? Co to ma wspólnego, do cholery, z jakąś teczką w aktówce Bentona?
 - Dobre pytanie – przyznaję.
 - W porządku. Gdzieś tam jest, znajdę ją i przyjadę.
- Anna wróciła do sypialni, a ja rozmyślałam o naszej świątecznej kolacji i czekam, aż się pojawią Lucy i McGovern. Zaczynam wyciągać jedzenie z lodówki i przypominam sobie to, co Lucy mi powiedziała o nowej firmie McGovern w Nowym Jorku. Nazwa „Ostatni Posterunek” początkowo była żartem. „Tam idziesz, kiedy już nie ma dokąd pójść”. Anna napisała w swoim liście, iż Benton jej powiedział, że skończy na Ostatnim

Posterunku. Szyfry. Zagadki. Benton uważał, że jego przyszłość jest w jakiś sposób związana z tym, co wkłada do tej teczki. Ostatni Posterunek to śmierć, rozmyślam. Jak miał skończyć Benton? Miał umrzeć. Czy to chciał powiedzieć? Gdzie indziej miał skończyć?

Kilka dni temu obiecałam Annie, że ugotuję kolację na Boże Narodzenie, jeżeli nie ma nic przeciwko temu, że jej kuchnią zawładnie Włoszka, która nie uznaje indyka ani tego, czym ludzie go nadziewają w święta. Anna mężnie podjęła próbę zrobienia zakupów. Kupiła nawet oliwę z oliwek tłoczoną na zimno i mozzarellę z bawolego mleka. Nalewam wody do dużego garnka i idę do sypialni Anny, aby jej powiedzieć, że nie może wyjechać do Hilton Head ani nigdzie indziej, dopóki nie spróbuje *cuccina Scarpetta* i nie napije się wina. To jest dzień rodzinny, tłumaczę jej, gdy myje zęby. Dopiero po kolacji zacznę myśleć o wielkiej ławie przysięgłych i prokuratorach. Może Anna ugotowałyby coś austriackiego? Moja przyjaciółka niemal splotła pastą. Nigdy, mówi. Gdybyśmy jednocześnie były w kuchni, pozabijałybyśmy się natychmiast.

Przez chwilę nastrój w jej domu wydaje się pogodniejszy. Lucy i McGovern przyjeżdżają około dziewiątej i pod choinką pojawia się stos prezentów. Zaczynam mieszać jajka i mąkę i wyrabiać je palcami na drewnianej stolnicy. Kiedy ciasto ma właściwą konsystencję, owijam je w folię i szukam ręcznej maszyny do robienia makaronu, którą Anna jakoby gdzieś ma. W natłoku myśli ledwie słyszę, o czym rozmawiają Lucy i McGovern.

– Nie chodzi o to, że nie potrafię latać, kiedy nie ma warunków. – Lucy wyjaśnia coś, co odnosi się do nowego helikoptera, który właśnie dostarczono jej z Nowego Jorku – Mam odpowiednie przyrządy. Ale nie interesuje mnie jednosilnikowy helikopter, bo wtedy muszę cały czas

widzieć ziemię. Wobec czego przy złej pogodzie nie mogę latać nad chmurami.

– To niebezpieczne – zauważa McGovern.

– To nie jest ani trochę niebezpieczne. Silniki nigdy się nie psują, ale zawsze warto rozważyć najgorszy scenariusz.

Zaczynam wyrabiać ciasto. To mój ulubiony etap robienia makaronu i zawsze unikam używania maszyn i mikserów, bo ciepło rąk nadaje szczególną konsystencję świeżemu makaronowi, której nigdy nie można uzyskać, używając stalowych mieszadeł. Pracuję rytmicznie, ugniatam składam, mocno naciskając ciasto zdrową ręką. Jednocześnie ja także rozmyślam o najgorszych scenariuszach. Jaki scenariusz Benton mógł uważać za najgorszy dla siebie? Jeśli sądził, że skończy na tym metaforycznym Ostatnim Posterunku, jaki mógł być najgorszy scenariusz? Uznaję, że mówiąc to, nie miał na myśli własnej śmierci. Nie. Kto jak kto, ale Benton wiedział, że są rzeczy o wiele gorsze od śmierci.

– Udzielałam jej od czasu do czasu lekcji, skoro mowa o szybkiej nauce. Ale ludzie, którzy pracują rękami, mają przewagę – mówi Lucy do McGovern. Myśli o mnie.

„Tam skończę”. Słowa Bentona błyskają w moim umyśle.

– Słusznie. Bo to wymaga koordynacji.

– Trzeba używać jednocześnie obu rąk i obu stóp. A w przeciwieństwie do samolotów mających skrzydła, helikoptery są z natury niestabilne.

– Właśnie to mówię. Są niebezpieczne.

– Nie, Teun, nie są niebezpieczne. Może się zdarzyć, że nawali silnik na trzystu metrach, a udaje się wylądować. Powietrze obraca śmigło. Słyszałaś o samoistnej rotacji? Lądujesz na parkingu albo na czyimś podwórzu. Samolotem nie da się tego zrobić.

Co miałaś na myśli, Benton? Co miałaś na myśli, do licha? Gniotę i ściskam, obracam ciągle kulę ciasta w tę samą stronę, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, bo używam głównie prawej ręki, unikając kontaktu gipsu z ciastem.

– Zdawało mi się, że powiedziałaś, iż silnik nigdy nie nawala. Napiałabym się grzanego piwa. Czy Marino przyniesie dziś swoje sławne grzane piwo z jajkiem? – pyta McGovern.

– To jego specjalność noworoczna.

– Co? Na Boże Narodzenie zabronione? Jak Kay to robi?

– Jest uparta i tyle.

– Chyba tak. A my tu stoimy bezczynnie.

– Nie pozwoli sobie pomóc. Nikt nie ma prawa tknąć jej ciasta, możesz mi wierzyć. Ciociu Kay, czy nie boli cię od tego łokieć?

Podnoszę wzrok. Ugniatam ciasto prawą ręką i końcami palców lewej. Patrzę na zegar nad zlewem i widzę, że straciłam poczucie czasu, wyrabiam ciasto od blisko dziesięciu minut.

– Boże, z jakiego świata wracasz? – Pogodny nastrój mojej siostrzenicy nabiera ciężaru ołowiu, kiedy Lucy bada spojrzeniem moją twarz.

– Nie pozwól, żeby cię to pożało żywcem. Będzie dobrze.

Myśli, że martwię się specjalną wielką ławą przysięgłych, a jak na ironię dziś rano nie myślę o niej wcale.

– Teun i ja ci pomożemy, już ci pomagamy. Jak myślisz, co robiłyśmy przez te ostatnie kilka dni? Mamy pewien plan, o którym chcemy z tobą porozmawiać.

– Po grzonym piwie – dodaje z łagodnym uśmiechem McGovern.

– Czy Benton kiedykolwiek rozmawiał z wami o Ostatnim Posterunku?
– wyrzucam z siebie niemal oskarżycielskim tonem. Patrzę na nie surowo i z zaskoczenia obu wnioskuje, że nie wiedzą, o czym mówię.

– Masz na myśli to, co teraz robimy? – Lucy marszczy brwi. – Biuro w Nowym Jorku? Nie mógł o nim wiedzieć, chyba że mu powiedziałaś. – Kieruje ostatnie słowa do Teun.

Dziękuję ciasto na mniejsze porcje i dalej ugniatam.

– Zawsze myślałam, żeby pójść na swoje – odpowiada McGovern.

– Ale nigdy o niczym nie wspominałam Bentonowi. Byliśmy dość zajęci tym, co się działo w Pensylwanii.

– Największe niedopowiedzenie stulecia – komentuje ponuro Lucy.

– To prawda. – McGovern wzdycha i kręci głową.

– Jeżeli Benton nie miał pojęcia o firmie, którą miałyście zamiar założyć, czy jest możliwe, że słyszał, jak rozmawiałyście o Ostatnim Posterunku, a raczej o samej koncepcji. Może żartowałyście na ten temat? Usiłuję dociec, dlaczego opatrzył tą nazwą teczkę.

– Jaką teczkę? – pyta Lucy.

– Marino zaraz ją przyniesie. – Kończę wyrabiać porcję ciasta i owijam ją ciasno plastikową folią. – Była w aktówce Bentona w Filadelfii.

Relacjonuję im, co Anna napisała mi w liście, a Lucy pomaga wyjaśnić przynajmniej jeden punkt. Jest pewna, że tłumaczyła Bentonowi założenia Ostatniego Posterunku. Wydaje jej się, że pamięta, jak kiedyś jechali razem samochodem i pytała go o prywatne konsultacje, których zaczął udzielać po przejściu na emeryturę. Powiedział, że dobrze mu idzie, ale ma trudności z logistyką prowadzenia własnego interesu, brakuje mu sekretarki i kogoś, kto przyjmowałby telefony i tak dalej. Lucy zamyśliła się wtedy i powiedziała, że może powinniśmy się wszyscy zebrać i otworzyć wspólną firmę. Wtedy właśnie użyła nazwy „Ostatni Posterunek” – coś w rodzaju „naszej własnej ligi”, powiedziała. Rozkładam czyste, suche ścierki na stole.

– Czy przyszło mu do głowy, że poważnie myślisz, aby to zrobić? – pytam.

– Powiedziałałam mu, że jeśli kiedyś będę miała dosyć pieniędzy, odejdę z tej pierdolonej rządowej posady.

– Cóż. – Wkładam wałki do maszyny i ustawiam najszerszy rozstaw. – Każdy, kto cię zna, pojąłby, że to tylko kwestia czasu, kiedy zrobisz pieniądze. Benton zawsze powtarzał, że jesteś zbyt niezależna, aby utrzymać się dłużej w biurokratycznej strukturze. Nie byłby ani trochę zdziwiony, widząc, co cię teraz spotyka, Lucy.

– Prawdę mówiąc, spotykało cię to od samego początku – zauważa McGovern, zwracając się do mojej siostrzenicy. – Właśnie dlatego nie utrzymałaś się w FBI.

Lucy nie czuje się obrażona. Zaakceptowała przynajmniej to, że na początku popełniła parę błędów, z których największym był związek z Carrie Grethen. Nie oskarża już FBI o to, że musiała stamtąd odejść. Rozpłaszczam dłonią kawałek ciasta i przepuszczam przez maszynę.

– Zastanawiam się, czy Benton nie wykorzystał twojego pomysłu jako nazwy dla swojej tajemniczej teczki, bo w jakiś sposób przewidywał, że Ostatni Posterunek – to znaczy my – będziemy pewnego dnia badać jego sprawę – mówię. – Że to my zaczniemy tam, gdzie on skończył, bo to, co zapoczątkowały napastliwe listy i cała reszta, nie miało się skończyć wraz z jego śmiercią. – Przepuszczam ciasto przez maszynę kilka razy, aż wreszcie otrzymuję doskonale rozwałkowany pasek, który kładę płasko na ścierce. – Wiedział to. Jakimś sposobem wiedział.

– Jakimś sposobem zawsze wszystko wiedział. – Na twarzy Lucy maluje się smutek.

Benton jest tu, w kuchni. Czujemy jego obecność, gdy robię makaron i rozmawiamy o tym, jak pracował jego umysł. Miał ogromną intuicję.

Zawsze sięgał myślą daleko poza teraźniejszość. Widzę, jak wybiega poza swoją śmierć i wyobraża sobie, jak zareagujemy na wszystko, co się dzieje, łącznie z teczką, którą znajdziemy w jego papierach. Benton wiedział na pewno, że jeśli mu się przydarzy coś złego, a wyraźnie się tego obawiał, z pewnością przejrzę jego papiery, co istotnie zrobiłam. Natomiast nie mógł przewidzieć, że to Marino przejrzy aktówkę przede mną i wyjmie teczkę, a ja dowiem się o niej dopiero teraz.

Okolo południa rzeczy, które Anna zabiera ze sobą do domu na plaży, są już w samochodzie, a blaty w kuchni pokrywa ciasto na lasagne. Sos pomidorowy gotuje się na kuchence. W miskach leżą starte parmezan i stary asagio, a świeża mozzarella, owinięta w ścierkę, pozbywa się części wilgoci. W domu pachnie czosnkiem i dymem z płonącego drewna, który ucieka przez komin. Świąteczne lampki płoną. Kiedy pojawia się Marino, hałaśliwy i niezdamy, widzi, że każda z nas jest o wiele radośniejsza niż w ostatnich tygodniach. Jest ubrany w dżinsy i dżinsową koszulę, dźwiga prezenty i butelkę samogonu Virginia Lightning. Widzę, że z torby pełnej kolorowych paczek wystaje krawędź teczki i serce mi podskakuje.

– Ho! Ho! Ho! – grzmi. – Wesołych, kurwa, świąt. – To jego standardowy świąteczny tekst, ale wygłasza go bez przekonania. Odnoszę wrażenie, że nie poświęcił kilku ostatnich godzin jedynie na szukanie teczki O-POS. Przystudiował ją. – Muszę się napić – oznajmia głośno.

Rozdział 31

Włączam piec i przygotowuję lasagne. Mieszam starte sery z ricottą i zaczynam przekładać nimi i mięsnym sosem warstwy ciasta, układając je w głębokim naczyniu. Anna nadziewa daktyle serem śmietankowym i wysypuje do miski solone orzechy, a Marino, Lucy i McGovern piją piwo i wino i przygotowują świąteczny koktajl według własnego uznania – w wypadku Marina będzie to ostro przyprawiona krwawa mary z samogonu.

Marino jest w dziwnym nastroju i już dobrze podpity. Teczka O-POS nadal tkwi w torbie z prezentami pod choinką, jak na ironię. Marino zna zawartość, ale nie pytam go o nic.

Nikt nie pyta. Lucy zaczyna wyjmować składniki na ciasteczka z czekoladą i dwa ciasta – jedno z masłem fistaszkowym, a drugie cytrynowe, jak gdybyśmy miały nakarmić całe miasto. Teun McGovern otwiera butelkę czerwonego burgunda Chambertin Grand Cru, Anna nakrywa do stołu, a teczka przyciąga nas z ogromną siłą. Jak gdybyśmy wszyscy zawarli milczące porozumienie, żeby przynajmniej wznieść toast i usiąść do kolacji, zanim zaczniemy rozmawiać o morderstwie.

– Czy ktoś chce Krwawej Mańki? – mówi głośno Marino i kręci się po kuchni, w niczym nie pomagając. – Hej, pani doktor, a może bym zrobił

cały dzbanek? – Otwiera lodówkę, wyjmując kilka puszek ostrego soku warzywnego V8 i zaczyna je otwierać. Zastanawiam się, ile wypił, zanim tu przyjechał, i zawór bezpieczeństwa mojej cierpliwości puszcza. Czuję się urażona tym, że położył teczkę pod choinką, jakby chciał zrobić nam niesmaczny, ponury żart. O co mu chodzi? To ma być prezent gwiazdkowy dla mnie? Czy też jest tak gruboskórny, że kiedy dość bezceremonialnie położył torbę pod choinką, nie przyszło mu do głowy, że nadal jest tam teczka? Potrąca mnie, przechodząc i zaczyna wyciskać połówki cytryn na elektrycznym wyciskaczu, a skórki rzuca do zlewu.

– Skoro nikt mi nie chce pomóc, sam się obsłużę – bełkocze. – Hej! – wrzeszczy nagle, jakbyśmy nie stały tuż obok. – Czy komuś przyszło do głowy, żeby kupić chrzan?

Anna rzuca mi spojrzenie. Wszystkim zaczyna się udzielać zły nastrój. Mam wrażenie, że w kuchni robi się ciemniej i chłodniej, moja złość buzuje. Zaraz obrugam starego przyjaciela, a bardzo się staram opanować. Jest Boże Narodzenie, mówię sobie. Jest Boże Narodzenie. Marino bierze długą, drewnianą łyżkę i daje pokaz mieszania w swoim dzbanku krwawej mary, do której dolewa przerażające ilości samogonu.

– Wariat. – Lucy kręci głową – Przynajmniej dolej szarej gęsi.

– W życiu nie będę pił francuskiej wódki. – Marino miesza swój koktajl i postukuje łyżką o krawędź dzbanka. – Francuskie wino, francuska wódka. Hola. A gdzież to się podziały włoskie specjały? – Mówi z przesadnym włosko-nowojorskim akcentem. – Co się stało z naszą dzielnicą?

– W tym paskudztwie, które szykujesz, nie ma nic włoskiego – oświadcza Lucy, wyjmując z lodówki piwo. – Jeśli wypijesz to wszystko, ciocia Kay zabierze cię jutro z sobą do pracy. Tylko że w worku.

Marino wychyla szklankę swojej piekielnej mieszanki.

– Dobrze, że sobie przypomniałem – mówi, nie zwracając się do żadnej z nas. – Jeśli umrę, ona nie będzie mnie kroić. – Jak gdybym nie stała tuż obok. – Umowa stoi. – Znowu sobie nalewa. Teraz już wszystkie porzuciłyśmy to, czym się zajmowałyśmy i patrzymy na niego. – To mi, kurwa, dokucza od dziesięciu lat. – Znowu pije. – Cholera, aż idzie w nogi. Nie chcę, żeby mnie walnęła na któryś z tych stołów i rozcięła jakbym był, kurwa, rybą na targu. Ha. Mam umowę z dziewczynami od frontu. – Chodzi o urzędniczki z mojego biura, położonego we frontowej części budynku. – Żadnego oglądania moich zdjęć. Nie myślcie, że nie wiem, co się tam dzieje. Porównują wielkość fiutów. – Wypija pół szklanki i wyciera usta wierzchem dłoni. – Słyszałem je. Szczególnie Clitę. – Ordynarnie przekręca imię Clety.

Sięga ponownie po dzbanek, ale wyciągam rękę, żeby go powstrzymać, a moja złość wybuchła lawiną ostrych słów.

– Dosyć! Co cię opętało? Jak śmiesz tu przychodzić pijany i dalej się upijać? Idź się przespać, Marino. Jestem pewna, że znajdzie się jakieś łóżko. Nigdzie nie pojedziesz w tym stanie, a żadna z nas nie życzy sobie teraz twojego towarzystwa.

Rzuca mi ironiczne, wyzywające spojrzenie i ponownie unosi szklankę.

– Przynajmniej jestem uczciwy – oświadcza. – Wy wszystkie możecie sobie udawać, ile chcecie, że to taki miły dzień, bo jest, kurwa, Boże Narodzenie. No i co z tego? Lucy odeszła z pracy, zanim ją wylali, bo jest przemądrzałą lesbą.

– Marino, przestań – mówi ostrzegawczo moja siostrzenica.

– McGovern też odeszła i nie wiem, co było powodem w jej wypadku. – Wskazuje ją kciukiem, insynuując, że może być tej samej orientacji co Lucy. – Anna się musi wynieść z własnego, kurwa, domu, bo ty tu mieszkasz i masz być przesłuchiwana w sprawie o morderstwo, a w

dotatku złożyłaś dymisję. Nic dziwnego, a jeszcze zobaczymy, czy gubernator cię zatrzyma. Prywatne konsultacje, akurat. – Mówi bełkotliwie i zatacza się na środku kuchni. Twarz ma pokrytą czerwonymi plamami. – To ci dopiero będzie. Więc kto zostaje? Ja sam, moja osoba i ja. – Odstawia z trzaskiem szklankę i wychodzi z kuchni, wpada na ścianę, przekrzywia obraz i idzie do salonu.

– Mój Boże! – McGovern oddycha głęboko.

– Prostack i skurwieli – stwierdza Lucy.

– To ta teczka. – Anna patrzy w ślad za Marinem. – To go tak walnęło.

Marino leży pogrążony w pijackiej śpiączce na kanapie w salonie. Nie porusza się, ale jego chrapanie uprzytomnia nam, że żyje, a zarazem nie jest świadom tego, co się dzieje w domu Anny. Lasagne stoi już w piecyku, a ciasto cytrynowe chłodzi się w lodówce. Mimo moich protestów Anna wyruszyła w ośmiogodzinną podróż do Hilton Head. Robiłam, co w mojej mocy, żeby ją skłonić do pozostania, ale uznała, że musi jechać. Lucy, McGovern i ja od kilku godzin siedzimy przy stole w jadalni. Odsunęliśmy nakrycia, pod choinką leżą prezenty, nadal nierozpakowane. Przed sobą mamy teczkę O-POS.

Benton był dokładny. Wszystko, co jest w środku, zamknął w przezroczystej folii, a fioletowe ślady na niektórych listach i kopertach wskazują, że używano ninhydryny dla zbadania ukrytych odcisków palców. Pieczątki na znaczkach pochodzą z Manhattanu, wszystkie mają te same pierwsze trzy cyfry kodu pocztowego – 100. Odgadnięcie, na której poczcie nadano te listy, jest niemożliwe. Trzycyfrowy prefiks ujawnia jedynie tyle, że listy nie przechodziły przez maszynę frankującą domową, biurową ani w jakimś urzędzie pocztowym na wsi. W takim wypadku kod byłby trzycyfrowy.

Na początku teczki znajduje się lista jej zawartości, obejmująca 63 pozycje, od wiosny 1966 (około pół roku przedtem, zanim Benton napisał list, który miał mi być dostarczony po jego śmierci) do jesieni 1998 (zaledwie kilka dni przed ucieczką Carrie Grethen z Kirby). Pierwsza pozycja opatrzona jest etykietką „Eksponat 1”, jak gdyby była dowodem rzeczowym, przedstawianym przysięgłym. Jest to list nadany w Nowym Jorku 15 maja 1996, niepodpisany i wydrukowany na komputerze ozdobną, trudną do odczytania czcionką programu Word Perfect, którą Lucy określa jako Ransom.

Kochany Bentonie, Jestem prezesem Klubu Wielbicieli Brzydoty i zostałeś wybrany na honorowego członka! Wiesz co? Brzydocy stają się członkami klubu za darmo! Nie cieszysz się? Ciąg dalszy później...

Potem nadeszło dalszych pięć listów, w kilkutygodniowych przerwach. We wszystkich była mowa o Klubie Wielbicieli Brzydoty i o tym, że Benton został jego najnowszym członkiem. Pisane były na gładkim papierze tą samą czcionką Ransom, nie zawierały nazwiska autora, miały ten sam nowojorski kod pocztowy, wszystkie wyraźnie napisała ta sama osoba. I to bardzo sprytna, dopóki, wysyłając szósty list, nie popełniła błędu, dość oczywistego dla kogoś, kto ma oko śledczego. Dlatego jestem zaskoczona, bo wygląda na to, że Benton nie dostrzegł owego błędu. Na odwrocie zwykłej gładkiej koperty odcisnęło się pismo, co jest widoczne, kiedy ustawiam ją pod kątem i światło pada na nią inaczej.

Wyjmuję z plecaka parę lateksowych rękawiczek, wkładam je i idę do kuchni po latarkę. Anna trzyma ją obok tosterka. Wracam do jadalni, wyjmuję kopertę z plastikowej torebki i ukośnie rzucam na nią światło. Dostrzegam cień odcisniętych słów „kierownik poczty” i natychmiast staje się dla mnie jasne, co zrobił autor tego listu.

„Franklin D...” – odcyfrowuję kolejne słowa.

– Czy w Nowym Jorku jest urząd pocztowy imienia Franklina D. Roosevelta? Bo tu jest niewątpliwie napisane „Nowy Jork”.

– Tak. To poczta w mojej dzielnicy – odpowiada Teun McGovern, a jej oczy rozszerzają się ze zdumienia. Podchodzi do mnie, żeby się przyjrzeć z bliska.

– Znam przypadki, gdzie przestępcy starali się stworzyć sobie alibi – mówię, świecąc na kopertę ze wszystkich stron.

Oczywiste i zużyte metody to takie, które wskazują, że zabójca był w zupełnie innym, oddalonym miejscu, w czasie kiedy popełniono morderstwo – dlatego nie mógł go popełnić. Przesłanie listu z odległego miejsca to najprostszy sposób – sprawia się dzięki temu wrażenie, że mordercą musiał być ktoś inny, bo przecież nie można być w dwóch miejscach jednocześnie.

– Trzecia Aleja – wtrąca McGovern. – Tam jest urząd pocztowy FDR.

– Mamy część adresu z nazwą ulicy: Dziewięć coś tam Trzecia Al. Tak, Trzecia Aleja. Więc wystarczy zaadresować list, nakleić odpowiednie znaczki i włożyć go do koperty zaadresowanej do kierownika poczty, z której ma być wysłany. Poczta ma obowiązek wysłać ofrankowany list. Więc ten ktoś włożył list do drugiej koperty, a kiedy ją adresował, pismo odcisnęło się na kopercie pod spodem.

Lucy też podchodzi i pochyla się, żeby spojrzeć z bliska.

– To dzielnica Susan Pless – zauważa.

Nie tylko to, w dodatku ten zdecydowanie najwstrętniejszy z listów nosi datę 3 grudnia 1997 – dnia, kiedy zamordowano Susan Pless.

Cześć, Ben ton, jak się masz chłopczyku, który niedługo zbrzydniesz. Ciekawe, czy wiesz, jak to jest – patrzeć w lustro i chcieć popełnić samobójstwo? Nie? Niedługo się dowiesz. Nieeedłuuuugo się doooooowiesz. Pokroję cię jak świątecznego indyka i to samo dotyczy tej

Naczelnaj Cipy, którą pierdolisz, jak masz wolne od zajmowania się takimi jak ja i ty. Nie potrafię Ci powiedzieć, jaka to będzie frajda użyć dużego noża, żeby ją otworzyć. Quid pro quo, prawda? Kiedy się wreszcie nauczycie nie wtykać nosa w cudze sprawy?

Wyobrażam sobie Bentona otrzymującego te wstrętne, prostackie listy. Wyobrażam go sobie w pokoju u mnie w domu, siedzącego przy biurku nad otwartym laptopem połączonym z modemem, z teczką obok, z kawą w zasięgu ręki. Z jego notatek wynika, że ustalił nazwę czcionki jako Ransom (okup) i zastanawiał się nad jej znaczeniem. „Uwolnienie po zapłaceniu wyznaczonej sumy. Odkupienie. Wybawienie od grzechu”, czytam jego notatki. Mogłam być w drugim końcu korytarza w swoim gabinecie albo w kuchni dokładnie w chwili, kiedy Benton czytał ten list lub kiedy sprawdzał w słowniku dokładne znaczenia słowa „okup”, i nic mi nigdy o tym nie powiedział. Lucy jest zdania, że nie chciał mnie martwić, bo nawet gdybym wiedziała, i tak w niczym by to nie pomogło. Nic bym nie mogła zrobić, dodaje.

– Kaktus, róża, tulipany. – McGovern przegląda teczkę. – Więc ktoś mu anonimowo przysyłał kwiaty do Quantico.

Zaczynam przeglądać dziesiątki kartek, na których zapisuje się wiadomość telefoniczną, zawierających jedynie adnotację „odwieszono słuchawkę” wraz z datą i godziną. Telefonowano na jego bezpośredni numer w Wydziale Nauki Behawioralnej. We wszystkich wypadkach, po sprawdzeniu połączenia, okazało się, że pochodziło ono spoza obszaru, co oznacza, że prawdopodobnie ktoś dzwonił z telefonu komórkowego. Jedyna uwaga, jaką zanotował Benton, to chwila przerwy przed odłożeniem słuchawki.

Teun informuje nas, że zamówienia na kwiaty składano w kwaciarni przy Lexington Avenue, którą Benton sprawdził. Lucy dzwoni do

informacji, żeby się dowiedzieć, czy kwiaciarnia nadal istnieje. Istnieje.

– Zrobił tu notatkę na temat opłat. – Ciężko mi patrzeć na drobne, pełne zakrętów pismo Bentona. – Zamówienia składano listownie. Gotówka, napisał tu słowo „gotówka”. Więc wygląda na to, że ktoś wysyłał gotówkę i pisemne zamówienie. – Wracam do spisu treści. Rzeczywiście, numery od 51 do 55 to zamówienia, jakie otrzymywała kwiaciarnia. Odnajduję odpowiednie strony. – Napisane na komputerze i niepodpisane. Nieduża wiązanka tulipanów z poleceniem wysłania na adres Bentona w Quantico. Mały kaktus i tak dalej, kartki w kopertach z pieczętką Nowego Jorku.

– Pewnie ten sam system – zauważa Lucy. – Wysyłano je za pośrednictwem poczty w Nowym Jorku. Pytanie, skąd je wysłano pierwotnie?

Nie dowiemy się tego, nie widząc zewnętrznych kopert, które wylądowały w koszu, kiedy pracownicy poczty je otworzyli. A nawet gdybyśmy je mieli, to mało prawdopodobne, że nadawca podał swój adres zwrotny. Moglibyśmy najwyżej próbować odczytać stempel pocztowy.

– Kwiaciarnia pewnie myślała, że ma do czynienia z jakimś świrem, który nie uznaje kart płatniczych – komentuje McGovern. – Albo z kimś, z kim Benton miał romans.

– Albo pisał to ktoś z więzienia.

Oczywiście myślę o Carrie Grethen. Wyobrażam sobie, jak wysyłała wiadomości z Kirby. Wkładając listy w dodatkową kopertę, zaadresowaną do kierownika poczty, zapobiegała temu, żeby personel szpitala zobaczył, do kogo pisze. Posługiwanie się adresem poczty w Nowym Jorku jest zrozumiałe. Carrie mogła mieć dostęp do rozmaitych urzędów dzięki książce telefonicznej i czuję przez skórę, że nie było ważne, czy ktoś się domyśli, że listy pochodzą z miasta, w którym odsiadywała wyrok. Po prostu nie chciała zwracać uwagi personelu Kirby, a jednocześnie potrafiła

doskonale manipulować ludźmi. Tak samo zajmowała się sylwetką psychologiczną Bentona jak on jej.

– Jeżeli to Carrie – zauważa ponuro McGovern – trzeba się zastanowić, czy mogła wiedzieć coś o Chandonnie i jego morderstwach.

– To by ją rajcowało – odpowiadam ze złością i wstaję od stołu. – I aż nadto dobrze zdawała sobie sprawę, że list do Bentona z datą zabójstwa Susan Pless doprowadzi go do szachu. Musiał skojarzyć te fakty.

– I jeszcze wybrała pocztę w dzielnicy Susan – dodaje Lucy.

Spekulujemy, rozważamy, wyrażamy przypuszczenia aż do późnego popołudnia, kiedy postanawiamy, że czas na świąteczną kolację. Budzimy Marina i opowiadamy mu, czego się dowiedzieliśmy. Opowiadamy, jedząc jarzyny, słodką cebulę i pomidory skąpane w balsamicznym occie i tłoczonej na zimno oliwie z oliwek. Marino zachowuje się, jakby od kilku dni nic nie jadł, opycha się wręcz. Rozważamy następującą kwestię: jeżeli to Carrie pisała te wszystkie listy i miała jakiś kontakt z rodziną Chandonne'ów, to czy zabójstwo Bentona nie było czymś więcej niż zwykłym działaniem psychopaty? Może zabicie go to akt zorganizowanej przestępczości upozorowany na bezsensowny czyn obłąkanego mordercy, a Carrie działała jak żołnierz i była więcej niż gotowa wykonać to zadanie?

– Innymi słowy – Marino zwraca się do mnie z pełnymi ustami – może jego śmierć była tym, o co oskarżają ciebie.

Przy stole zapada cisza. Żadna z nas nie rozumie dokładnie, o co mu chodzi, ale po chwili staje się to dla mnie jasne.

– Chcesz powiedzieć, że prawdziwy motyw zamordowania Bentona był inny, a upozorowano to na seryjne zabójstwo?

Kapitan wzrusza ramionami.

– Tak samo jak ty zostałeś oskarżona o zamordowanie Dianę Bray i upozorowanie tego tak, żeby wyglądało, że to robota Wilkołaka.

– Może dlatego Interpol tak się podniecił i przejął – rozważa Lucy. Marino nalewa sobie doskonałego francuskiego wina i pije je jak oranżadę.

– No, Interpol. Może Benton jakoś się zaplątał w kartel i...

– Z powodu Chandonne’a – przerywam i nagle widzę wszystko ostrzej i wydaje mi się, że wpadłam na ślad, który może nas doprowadzić do prawdy.

Jaime Berger jest naszym nieproszonym gościem w te święta. Jej cień kładzie się na moich myślach przez całe popołudnie. Nie mogę przestać myśleć o jednym z pierwszych pytań, które mi zadała, kiedy spotkałyśmy się w mojej sali konferencyjnej. Chciała wiedzieć, czy ktoś wykonał portret psychologiczny zabójcy z Richmondu. Od razu poruszyła tę kwestię i jest oczywiste, że uważa portrety psychologiczne przestępców za ważną sprawę. Na pewno poprosiła kogoś o stworzenie profilu zabójcy Susan Pless i coraz bardziej podejrzewam, że Benton mógł znać tę sprawę.

Wstaję od stołu.

– Proszę, niech pani będzie w domu – mówię głośno do Jaime Berger, a moje napięcie narasta, gdy szukam w plecaku wizytówki, na której zapisała mi swój prywatny numer. Dzwonię z kuchni Anny, gdzie nikt mnie nie słyszy. Jakaś część mnie czuje się zażenowana, a jednocześnie boję się i jestem zła. Jeśli się mylę, wyjdę na idiotkę. Jeśli mam rację, powinna była mówić ze mną bardziej otwarcie, niech ją diabli.

– Halo? – zgłasza się kobiecy głos.

– Pani Berger? – pytam.

– Chwileczkę. Mamo! Do ciebie! – Słyszę wołanie.

– Czego jeszcze o pani nie wiem? Bo staje się coraz bardziej oczywiste, że wiem niewiele – zauważam od razu, kiedy prokurator Berger podchodzi do telefonu.

– Och, to Jill. – Najwyraźniej ma na myśli osobę, która odebrała telefon.
– To córki Grega z pierwszego małżeństwa. Dwie nastolatki. Dzisiaj sprzedałabym je pierwszemu chętnemu. Do licha, jeszcze bym dopłaciła, żeby je wziął.

– Wcale byś tak nie zrobiła – śmieje się w tle Jill.

– Chwileczkę, znajdę jakiś spokojniejszy kąt. – Rozmawiając ze mną, Jaime Berger przechodzi do innej części domu, gdzie mieszka z mężem i dwójką dzieci, o których mi nigdy nie wspomniała mimo tylu wspólnie spędzonych godzin. Czuję gotującą się we mnie niechęć. – O co chodzi, Kay?

– Czy znała pani Bentona? – pytam wprost. Cisza.

– Jest tam pani? – upewniam się.

– Jestem – mówi cicho i poważnie. – Zastanawiam się, jak pani najlepiej odpowiedzieć.

– A może by tak zacząć od prawdy? Chociaż raz.

– Zawsze mówię pani prawdę.

– To śmieszne. Słyszałam, jak nawet najlepsi spośród was kłamią, kiedy staracie się kogoś zmanipulować. Sugerujecie wykrywacze kłamstw albo wielką szprycę z surowicą, żeby skłonić ludzi do przyznania się, a jest jeszcze coś takiego jak kłamstwo polegające na pomijaniu prawdy. Domagam się prawdy. Całej prawdy. Na litość boską, czy Benton miał coś wspólnego ze sprawą Susan Pless?

– Tak – odpowiada Berger. – Zdecydowanie tak, Kay.

– Proszę o odpowiedź, pani Berger. Właśnie spędziłam całe popołudnie, przeglądając listy i inne dziwne rzeczy, które dostawał, zanim go zamordowano. Przesyłano je z urzędu pocztowego w dzielnicy, gdzie mieszkała Susan.

Chwila ciszy.

– Widziałam się z Bentonem wiele razy, a moje biuro korzystało z tego, co miała do zaoferowania nauka behawioralna. Przynajmniej wtedy. Teraz wzywamy psychiatrę sądowego, kogoś z Nowego Jorku. Pracowałam przedtem z Bentonem przy innych sprawach i natychmiast, kiedy się dowiedziałam o zabójstwie Susan Pless i pojechałam na miejsce zbrodni, zadzwoniłam i ściągnęłam go. Zbadaliśmy mieszkanie, tak jak pani i ja badałyśmy miejsca zbrodni w Richmondzie.

– Czy wspomniał pani kiedyś o dziwnych listach, telefonach i innych przesyłkach? I że być może jest jakiś związek między osobą, która to robi, a zabójcą Susan Pless?

– Rozumiem.

– Rozumie pani? Co pani rozumie, do diabła?

– Rozumiem, że pani wie. Pytanie, skąd?

Mówię jej o teczce O-POS. Wyjaśniam, że wygląda na to, iż Benton oddał dokumenty do zbadania odcisków palców i zastanawiam się, kto przeprowadzał te badania i gdzie mogą być wyniki. Jaime Berger nie ma pojęcia, ale mówi, że powinniśmy przepuścić ukryte odciski przez AFIS, Zautomatyzowany System Identyfikacji Odcisków Palców.

– Na kopertach są znaczki – zauważam. – Benton ich nie odkleił, a musiałyby to zrobić, gdyby chciał zbadać DNA.

Analiza DNA dopiero w ostatnich latach stała się na tyle skuteczna dzięki PCR, czyli reakcji polimerazowej, że warto analizować ślinę, jeśli ten, kto przyklepał znaczki, robił to, śliniąc je. Nie jestem pewna, czy nawet Carrie mogła już wtedy wiedzieć, że poślinienie znaczka może nas do niej doprowadzić. Ja wiedziałam. Gdyby Benton pokazał mi te listy, poradziłabym zbadanie znaczków. Może otrzymalibyśmy jakieś wyniki. Może by nie zginął.

– Wtedy wiele osób, nawet zajmujących się ściganiem przestępców po prostu nie myślało tymi kategoriami – zauważa Berger.

Teraz natomiast odnosi się wrażenie, że jedyne, czym policja się zajmuje, to szukanie filiżanek po kawie, papierowych ręczników, kleenexów i niedopałków. Zdziwiająca.

Przychodzi mi do głowy niewiarygodna myśl. Słowa Jaime Berger przypomniały mi o pewnej sprawie w Anglii, gdzie niesłusznie oskarżono kogoś o włamanie, ponieważ przypadkowo natrafiono na obraz DNA tej osoby w krajowej bazie danych w Birmingham. Adwokat oskarżonego zażądał ponownego zbadania DNA z materiału znalezionego na miejscu zbrodni, tym razem przy użyciu dziesięciu lokusów, zamiast standardowych sześciu użytych poprzednio. Lokusy albo allele to po prostu specyficzne miejsca na naszej mapie genetycznej. Niektóre z nich są powszechniejsze od innych, więc im są mniej powszechne i im większej liczby miejsc się używa, tym większa szansa na zgodność – która wprawdzie nie jest prawdziwą zgodnością, ale raczej prawdopodobieństwem statystycznym sprawiającym, że niemal nie sposób uwierzyć, iż podejrzany nie popełnił przypisywanej mu zbrodni. W tamtej brytyjskiej sprawie domniemany włamywacz został wykluczony po przeprowadzeniu ponownych prób z dodatkowymi lokusami. Szansa na brak zgodności wynosiła jeden na trzydzieści siedem milionów i proszę bardzo, jednak to możliwe.

– Kiedy sprawdzaliście DNA podczas śledztwa w sprawie Susan, używaliście STR? – pytam.

STR (short tandem repeats) to najnowsza technika w określaniu profilu DNA. Oznacza ona wzmacnianie DNA przy użyciu PCR i badanie podstawowych bardzo wyróżniających się i powtarzających par. Dzisiaj zgodnie z wymaganiami dla baz danych DNA trzeba użyć co najmniej

trzynastu lokusów, dzięki czemu prawdopodobieństwo niewłaściwej identyfikacji praktycznie nie istnieje.

– Wiem, że nasze laboratoria stoją na bardzo wysokim poziomie – odpowiada Berger. – Od lat używają PCR.

– Wszyscy używają PCR, chyba że jakieś laboratorium używa jeszcze starej techniki RFLP, która jest bardzo solidna, ale potrzeba na nią strasznie dużo czasu – odpowiadam. – W 1997 kwestią było, ilu próbek albo lokusów się używa. Często przy pierwszym badaniu próbki laboratorium może nie chcieć sprawdzać dziesięciu, trzynastu czy piętnastu. To jest dosyć kosztowne. Na przykład jeśli w przypadku Susan zbadano tylko cztery lokusy, można było natrafić na dziwny wyjątek. Zakładam, że biuro koronera nadal ma próbkę w lodówce.

– Jakiego rodzaju dziwny wyjątek?

– Jeżeli mamy do czynienia z rodzeństwem. Z braćmi, z których jeden pozostawił płyn nasienny, a drugi włosy i ślinę.

– Ale zbadala pani DNA Thomasa, prawda? I był zbliżony do DNA Jeana-Baptiste'a, ale nie identyczny, prawda? – Nie wierzę własnym uszom, pani prokurator jest poruszona.

– Zrobiliśmy to badanie kilka dni temu z użyciem trzynastu lokusów, a nie czterech czy sześciu – wyjaśniam. – Zakładam, że profile miały dużo takich samych alleli, ale miały również punkty odmienne. Im więcej prób się robi, tym więcej wychodzi różnic. Szczególnie jeśli chodzi o zamknięty krąg osób. A członkowie rodziny Chandonne'ów od kilkuset lat mieszkają na Wyspie Świętego Ludwika i zapewne żenią się między sobą, więc prawdopodobnie stanowią bardzo zamknięty krąg. W niektórych wypadkach rozmnażanie wsobne, małżeństwa między kuzynami, także mogą być przyczyną wrodzonych upośledzeń, jak u Jeana-Baptiste'a. Im

bliżej ludzie się krzyżują, tym większe są możliwości genetycznych powikłań.

– Musimy ponownie zbadać płyn nasienny ze sprawy Susan – postanawia Berger.

– Pani laboratorium i tak by to zrobiło, tu chodzi o zabójstwo. Ale może ich pani skłoni do zajęcia się tym w pierwszej kolejności.

– Boże, miejmy nadzieję, że się nie okaże, iż to ktoś inny – mówi zdenerwowana. – Jezu, to by było straszne, gdyby wyniki DNA się nie zgodziły, kiedy powtórzymy badania. To by naprawdę położyło sprawę.

Ma rację. Z pewnością tak by się stało. Nawet jej byłoby trudno przekonać przysięgłych, że Chandonne zabił Susan Pless, jeśli jego DNA nie jest zgodny z DNA płynu nasiennego znalezionego w ciele denatki.

– Powiem Marinowi, żeby dostarczył znaczki i odciski palców do laboratorium w Richmondzie – ciągnie Jaime Berger. – I Kay, muszę panią prosić, żeby pani nie oglądała niczego, co jest w tej teczce, bez świadków; najlepiej proszę już niczego więcej nie oglądać. Wolę, żeby pani sama nie dostarczała żadnych dowodów.

– Rozumiem. – To kolejne przypomnienie, że jestem podejrzana o morderstwo.

– Dla pani własnego dobra – dodaje.

– Proszę mi powiedzieć, skoro wiedziała pani o listach i o tym, co się działo z Bentonem, co pani pomyślała, kiedy go zamordowano?

– Poza oczywistym szokiem i smutkiem? Że zamordowała go osoba, która wysyłała listy. Tak, to była pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy. Jednak gdy stało się jasne, kim byli jego zabójcy i kiedy ich potem zastrzelono, nie przypuszczałam, że zostało jeszcze coś, co należałoby dalej badać.

– Jeśli Carrie Grethen jest autorką tych listów, to najgorszy z nich napisała w dniu zabójstwa Susan.

Milczenie.

– Uważam, że trzeba rozważyć wszelkie możliwe powiązania. – Jestem stanowcza. – Susan mogła być pierwszą ofiarą Chandonne’a tutaj, a kiedy Benton zaczął węszyć, może znalazł się zbyt blisko innych spraw, które wskazują na kartel. Kiedy Chandonne się tu pojawił i zabił Susan, Carrie jeszcze żyła i mieszkała w Nowym Jorku.

– A może Benton to było zabójstwo na zlecenie? – W głosie Jaime Berger brzmi nuta powątpiewania.

– Więcej niż może. Znałam Bentona i jego sposób myślenia. Przede wszystkim, dlaczego miałby teczkę O-POS przy sobie, po co zabrał ją ze sobą do Filadelfii, jeśli nie uważał, że to, co się w niej znajduje, wiąże się z tym, co robi Carrie i jej wspólnik? Z zabijaniem ludzi i obcinaniem im twarzy. Oszpecaniem ich. A listy, które dostawał, mówiły jasno, że zostanie oszpecony, no i został, i to jak...

– Muszę mieć kopię tej teczki. – Prokurator Berger mnie odprawia. Słyszę z jej tonu, że nagle chce zakończyć rozmowę. – Mam w domu faks. – Podaje mi numer.

Idę do gabinetu Anny i spędzam następne pół godziny, robiąc fotokopie całej zawartości teczki O-POS, bo faks nie przyjmuje laminowanych dokumentów. Marino dokończył burgunda i znowu śpi na kanapie w salonie. Gdy tam wracam, Lucy i McGovern siedzą przed kominkiem, kreśląc scenariusze, które pod wpływem alkoholu stają się coraz fantastyczniejsze. Święta uciekają. Wreszcie o pół do jedenastej bierzemy się do otwierania prezentów. Zaspany Marino odgrywa Świętego Mikołaja, rozdaje upominki i stara się być wesoły. Ale jego nastrój jeszcze się

pogorszył i wszelkie próby żartów są kąśliwe. O jedenastej dzwoni telefon. Jaime Berger.

– *Quid pro quo!* – zaczyna, nawiązując do listu z trzeciego grudnia 1997.
– Ile osób niezwiązanych z zawodem prawnika używa tego terminu? To tylko wariacki pomysł, ale ciekawe, czy jest jakiś sposób, żeby zdobyć DNA Rocky’ego Caggiano. Możemy od razu zbadać wszystko, co się da, i nie zakładać z góry, że to Carrie napisała te listy. Może tak było. A może nie.

Wracam do prezentów pod choinką, ale nie potrafię się skupić. Staram się uśmiechać i okazywać radość, ale nikt się na to nie nabiera. Od Lucy dostaję zegarek Breiling z nierdzewnej stali, nazywany B52, a od Marina bon na roczny zapas drewna opałowego, które osobiście mi przywiezie i poukłada. Lucy jest zachwycona wisiorkiem z Wirującymi Dziewczynami, który dla niej zamówiłam, a Marino już włożył skórzaną kurtkę od nas obu. Anna ucieszyłaby się z wazonu, ale oczywiście jest teraz gdzieś na szosie 1-95. Wszyscy prędko załatwiamy sprawę prezentów, bo powietrze jest ciężkie od wiszących w nim pytań. Kiedy zbieramy pogniecione wstążki i pomięty papier, daję kapitanowi znak, że musimy pomówić na osobności. Marino jest przez cały dzień w różnych stadiach oszołomienia alkoholem i wnoszę z tego, że prawdopodobnie pije regularnie. Ale też ma powody.

– Nie możesz tego robić – mówię i nalewam nam po szklance wody. – To w niczym nie pomaga.

– Nigdy nie pomagało i nigdy nie pomoże. – Pociera twarz. – Ale to bez różnicy, kiedy tak podle się czuję. Teraz wszystko to jedno wielkie gówno. – Jego mętne, przekrwione oczy spotykają moje. Znowu wygląda, jakby się miał rozpląkać.

– Czy jest coś, z czego moglibyśmy pobrać DNA Rocky’ego? – pytam wprost.

Wzdryga się, jakbym go uderzyła.

– Co powiedziała Jaime Berger przez telefon? To właśnie? Dzwoniła w związku z Rockym?

– Sprawdza nazwiska z listy. Każdy, kto jest związany z nami albo z Bentonem, może mieć kontakt ze zorganizowaną przestępczością. A Rocky zdecydowanie się nasuwa jako jeden z pierwszych. – Opowiadam, co Jaime Berger ujawniła na temat Bentona i sprawy Susan Pless.

– Ale on dostawał te listy, zanim Susan została zamordowana – zauważyła Marino. – Więc czemu ktoś miałby go nękać, skoro jeszcze w nic nie wetknął nosa? Na przykład dlaczego miałby to robić Rocky? Zakładam, że tak myślicie, że może to Rocky posyłał mu te paskudztwa.

Nie mam odpowiedzi. Nie wiem.

– Cóż, chyba będziecie musieli zbadać DNA Doris i mój, bo nie mam nic Rocky'ego. Nawet jego włosów. Możesz to zrobić, prawda? Jeśli jest DNA matki i ojca, można na przykład porównać ślinę?

– Moglibyśmy zrobić wykres i przynajmniej wiedzieć, że twój syn nie może być wykluczony jako ten, którego DNA znajduje się na znaczkach.

– Dobra. – Prycha. – Jeśli tego chcesz. Skoro nie ma Anny, czy nie mógłbym tu zapalić?

– Nawet się nie waży. A co z odciskami palców Rocky'ego?

– Szkoda gadać. Poza tym miałem wrażenie, że Bentonowi nie udało się zdjąć odcisków. To znaczy, dał listy do zbadania, ale na tym koniec. Wiem, że nie chcesz tego słuchać, Kay, ale może lepiej się zastanów, dlaczego zaczynasz to wszystko. Urządzasz polowanie na czarownice, żeby odpłacić temu gnojowi, który może wysyłał te obrzydlistwa do Bentona i miał coś wspólnego z jego zabójstwem. Nie warto tego robić. Szczególnie jeśli sądzisz, że to robota Carrie. Ona nie żyje. Niech gnije.

– Owszem, warto. Jeśli mogę zdobyć pewność, kto wysyłał te listy, to dla mnie dużo znaczy.

– Hm. Powiedział, że skończy na Ostatnim Posterunku. Wygląda na to, że rzeczywiście – rozważa Marino. – Ostatni Posterunek to my, a my pracujemy nad jego sprawą. Niezłe, co?

– Myślisz, że zabrał teczkę do Filadelfii, bo chciał być pewien, że te materiały trafią do jednego z nas?

– Na wypadek gdyby coś się stało? Potakuję.

– Może. Martwił się, że ma już niewiele czasu i chciał, żebyśmy znaleźli to wszystko, gdyby rzeczywiście coś mu się przytrafiło. Poza tym zawartość teczki jest dziwna. Niewiele mówi, prawie jakby Benton wiedział, że mogą ją znaleźć inne osoby i nie chciał, aby w niej było coś, co mógłby zobaczyć ktoś niepowołany. Nie uważasz, że to ciekawe, iż nie zawiera żadnych nazwisk? Jeśli Benton kogoś podejrzewał, czemu go nie wymienił?

– Tak, teczka jest tajemnicza – przyznaję.

– Więc obawiał się, że kto mógłby ją zobaczyć? Policja? Przecież wiedział, że jak mu się coś stanie, policja przejrzy wszystko, co znajdzie. I tak się stało. Gliny z Filadelfii przejrzały wszystko w jego pokoju, a potem oddały to mnie. Benton z pewnością zakładał, że w jakimś momencie ty też zobaczysz jego rzeczy. A może i Lucy.

– Myślę, że chodzi o to, iż nie mógł być pewien, kto znajdzie teczkę. Więc był ostrożny i tyle. Benton był znany z ostrożności.

– Nie mówiąc o tym – ciągnie Marino – że pojechał do Filadelfii, by pomóc ATF. Więc mógł przypuszczać, że ATF obejrzy tę teczkę, prawda? Lucy jest z ATF, Teun McGovern jest z ATF i kierowała oddziałem reagowania zajmującym się pożarami, które Carrie i jej pomocnik wzniecali, aby ukryć fakt, że mają brzydkie hobby polegające na odcinaniu

ludziom twarzy, prawda? – Jego oczy się zwężają. – Talley jest z ATF – zauważa. – Może powinniśmy zbadać jego DNA, skurwiela jednego. – Znowu ma ten wyraz twarzy. Myślę, że nigdy mi nie wybaczy, że się przespałam z Jayem Talleyem. – Prawdopodobnie miałaś jego pierdolony DNA, gra słów jest niezamierzona. Nie sądzę, żeby została ci gdzieś jakaś plama albo żebyś zapomniała się umyć?

– Zamknij się – mówię cicho.

– Ssie mnie. – Wstaje i idzie do barku. Teraz jest czas na burbona. Nalewa sobie pół szklanki i wraca do stołu. – Ale by była heca, gdyby się okazało, że Talley jest wmieszany we wszystko od początku do końca. Może dlatego chciał, żebyś przyjechała do Interpolu. Chciał cię wy badać, aby sprawdzić, czy się orientujesz, co wiedział Benton? Bo wiesz co? Może jak Benton zaczął węszyć po zabójstwie Susan, to odkrył coś, co doprowadziło go zbyt blisko prawdy, do której ujawnienia Talley nie może dopuścić?

– O czym rozmawiacie? – pyta Lucy. Nie słyszałam, jak weszła do kuchni.

– To coś dla ciebie. – Marino podnosi na nią zapuchnięte oczy i kręci szklanką z burbonem. – Może ty i Teun zbadałybyście Talleya i sprawdziły, jak bardzo jest umoczony. Bo wierzę głęboko całym serduszkiem, że nie ma bardziej umoczonych niż on. A nawiasem mówiąc – zwraca się do mnie – był jednym z tych, którzy odwozili Chandonne’a do Nowego Jorku. Czyż to nie zajmujące? Był przy tym, gdy Jaime Berger go przesłuchiwała. Spędził z nim sześć godzin w samochodzie. Pewnie są teraz kumplami od kieliszka, a może byli już przedtem.

Lucy stoi z rękami w kieszeniach i patrzy w okno, wyraźnie speszona i zniechęcona zachowaniem naszego przyjaciela. Marino jest spocony,

zachowuje się prostacko, zatacza się, w jednej chwili zionie pogardą i nienawiścią, a w następnej ogarnia go przygnębienie.

– Wiecie, czego nie mogę znieść? – ciągnie dalej swoje. – Nie mogę znieść policjantów, którym to uchodzi na sucho, bo wszyscy mają za dużego pietra, żeby ich tknąć. A nikt nie chce ruszyć Talleya ani choćby spróbować, bo zna te wszystkie języki i był w Harvardzie, i jest prymusem...

– Sam nie wiesz, co wygadujesz – wtrąca się Lucy. McGovern też już przysłała do kuchni. – Mylisz się, Jay nie jest nietykalny, a ty nie jesteś jedyną osobą na kuli ziemskiej, która ma wątpliwości co do jego osoby.

– Poważne wątpliwości – dodaje McGovern. Kapitan milknie i opiera się o blat.

– Mogę ci powiedzieć, cośmy dotychczas ustaliły – zwraca się do mnie Lucy. Wydaje się pełna rezerwy i mówi cicho, bo nikt nie jest naprawdę pewny co do moich uczuć wobec Jaya. – Robię to niechętnie, bo nie ma niczego sprecyzowanego. Ale na razie nie wygląda to dobrze. – Patrzy na mnie, jakby oczekiwała zachęty.

– Dobrze – mówię. – Słucham.

– No. Zamieniam się w słuch – dodaje Marino.

– Sprawdziłam go w wielu bazach danych. Żadnych śladów spraw karnych czy cywilnych. Żadnych wyroków sądowych. Nie żebyśmy się spodziewały znaleźć go w rejestrze przestępców na tle seksualnym, niewywiązujących się ze zobowiązań ojców albo osób zaginionych czy poszukiwanych; nie ma też dowodów, że CIA, FBI czy nawet ATF ma jego teczkę w swoim systemie. Ale proste sprawdzenie akt dotyczących nieruchomości sprawiło, że zapaliło się czerwone światelko. Po pierwsze, ma luksusowe mieszkanie w Nowym Jorku, w którym zatrzymują się pewni wybrani przyjaciele, włącznie z wysoko postawionymi urzędnikami

wymiaru sprawiedliwości. Mieszkanie za ponad trzy miliony, pełne antyków, przy Central Parku. Jay chwalił się, że należy do niego. Ale tak nie jest. Właścicielem jest jakaś korporacja.

– Nierzadko się zdarza, że bogaci kupują nieruchomości jako rozmaite korporacje, żeby uniknąć rozgłosu, a także zabezpieczyć różne aktywa – zauważam.

– Tak, wiem. Ale ta korporacja nie jest własnością Jaya. Chyba że jest właścicielem firmy zajmującej się spedycją lotniczą – wyjaśnia Lucy.

– Dość niesamowite, prawda? – dodaje McGovern. – Biorąc pod uwagę, w jaki sposób rodzina Chandonne'ów zajmuje się spedycją morską. Więc może istnieje jakieś powiązanie. Jeszcze o wiele za wcześnie, żeby to stwierdzić.

– To żadna niespodzianka – oświadcza Marino, ale oczy mu błyszczą. – Dobrze pamiętam, jak odstawał bogatego absolwenta Harvardu, prawda, pani doktor? Pamiętam, jak się zastanawiałem, jak to jest, że jednego dnia on przylatuje prywatnym samolotem, a nazajutrz my lecimy concorde'em do Francji. Wiedziałem, że to nie Interpol za to zapłacił.

– Nie powinien był nigdy się przechwalać tym apartamentem – mówi Lucy. – Wyraźnie ma tę samą słabość co kupa innych palantów: ego. – Patrzy na mnie. – Chciał was olśnić, więc załatwił wam podróż samolotem ponaddwiętkowym. Twierdzi, że mu dali bilety za frajer, bo to dla wymiaru sprawiedliwości. Rzeczywiście, linie lotnicze czasem to robią. Ale sprawdzamy to, żeby zobaczyć, kto robił te rezerwacje.

– Moje główne pytanie – włącza się McGovern – brzmi oczywiście, czy tamto mieszkanie może być własnością rodziny Chandonne'ów. A możecie sobie wyobrazić, przez ile warstw trzeba się przebić, aby do nich dotrzeć.

– Psiakrew, pewnie są właścicielami całego pieprzonego budynku – warczy Marino. - I jeszcze do tego połowy Manhattanu.

– A co z pracownikami korporacji? – pytam. – Znalazłyście jakieś interesujące nazwiska?

– Owszem, są, ale na razie nie mają żadnego szczególnego znaczenia – odpowiada Lucy. – Te sprawy papierkowe pochłaniają strasznie dużo czasu. Sprawdzamy wszystko i wszystkich, a to trwa i trwa.

– A jaki mają z tym związek Mitch Barbosa i Rosso Matos? – pytam. – I czy w ogóle mają? Bo ktoś zabrał ode mnie z domu klucz i włożył go do kieszeni Barbosy. Myślicie, że to Jay?

Marino prychnął i wypija haust burbona.

– Ja głosuję na niego – oświadcza. – Zabrał klucz i ten twój młotek. Nie widzę nikogo innego, kto mógłby to zrobić. Znam każdego, kto wchodził do twojego domu. Chyba że to sprawka Rightera, ale ma za dużego pietra i tak naprawdę to nie myślę, że jest nieuczciwy.

Cień Jaya przesunął się wiele razy przez nasze myśli. Wiemy, że Talley był u mnie w domu. Wiemy, że jest na mnie rozgoryczony. Wszyscy mamy poważne zastrzeżenia co do jego charakteru, ale jeśli podrzucił klucz albo ukradł go ode mnie z domu i przekazał komu innemu, to musi być bezpośrednio wmieszany w sprawę torturowania i zabójstwa Barbosy, a najprawdopodobniej także Matosa.

– Gdzie jest teraz Jay? Czy ktoś wie? – Patrzę pytająco na twarze obecnych.

– Był w Nowym Jorku w środę. Wczoraj po południu widzieliśmy go w James City County. Nic mam pojęcia, gdzie jest akurat w tej chwili – odpowiada Marino.

– Mamy jeszcze parę innych rzeczy, które mogą cię zainteresować – Lucy zwraca się do mnie. – Szczególnie jedna jest naprawdę dziwna, ale na razie nic z niej nie rozumiem. Sprawdzając wyciągi bankowe, natrafiłam na dwóch Jayów Talleyów z różnymi adresami i numerami ubezpieczenia

społecznego. Jeden z nich dostał swój numer w Phoenix między 1960 a 1961. To nie może być Jay, bo musiałyby mieć koło czterdziestki, a ile on ma lat? Jest niedużo starszy ode mnie, prawda? Po trzydziestce. Z kolei drugi Jay Talley otrzymał numer ubezpieczenia między 1936 a 1937. Nie mamy daty urodzenia, ale musiał go dostać jako jeden z pierwszych, po wprowadzeniu Ustawy o Ubezpieczeniach Społecznych w 1935 roku, więc Bóg jeden wie, ile ten Jay Talley miał lat, jak dostał numer. Dziś jednak ma na pewno po siedemdziesiątce, często się przemieszcza i korzysta ze skrzytek pocztowych, a nie ze stałego adresu. Kupuje też dużo samochodów, czasem je zmienia dwa razy w roku.

– Czy Talley powiedział ci, gdzie się urodził? – pyta mnie Marino.

– Powiedział, że większą część dzieciństwa spędził w Paryżu, a potem rodzina przeniosła się do Los Angeles. Siedziałeś przecież obok mnie, kiedy to mówił. W stołówce Interpolu.

– Nie ma śladu, że jakiś Jay Talley mieszkał w Los Angeles – oświadcza Lucy.

– A skoro mowa o Interpolu – wtrąca Marino. – Nie sprawdzili go, zanim pozwolili mu tam pracować?

– Oczywiście, mogli go sprawdzić, ale zapewne niezbyt dokładnie – zauważa Lucy. – Jest agentem ATF. Zakładają, że musi być czysty.

– A jak ma na drugie imię? Wiemy? – pyta znów Marino.

– Nie znam drugiego imienia. Nie ma nic w aktach personalnych ATF – uśmiecha się kwaśno McGovern. – Nie ma go także Jay Talley, który dostał numer ubezpieczenia społecznego przed Wielką Powodzią. Już to jest dziwne. Większość ludzi ma dwa imiona. Z jego papierów w kwaterze głównej wynika, że urodził się w Paryżu i mieszkał tam do szóstego roku życia. Ale potem jakoby przeniósł się do Nowego Jorku z ojcem Francuzem i matką Amerykanką. Nie ma żadnej wzmianki o Los Angeles. W podaniu

o przyjęcie do ATF napisał, że studiował na Harvardzie, ale sprawdziliśmy to i nie ma śladu, żeby jakiś Jay Talley kiedykolwiek uczył się na tym uniwersytecie.

– Jezu! – wykrzykuje Marino. – Czy nikt niczego nie sprawdza, jak rozpatrują te podania? Po prostu wierzą na słowo, że się skończyło Harvard albo miało stypendium Rhodesa, albo skakało o tyczce na olimpiadzie? Od razu cię zatrudniają, wręczając ci odznakę i broń?

– Nie dam cynku Sprawom Wewnętrznym, żeby go trochę dokładniej sprawdzili – odzywa się McGovern. – Musimy być bardzo ostrożni, aby go ktoś nie ostrzegł, a trudno powiedzieć, jakich ma przyjaciół w Centrali.

Marino unosi ręce i przeciąga się, aż trzaska mu w karku.

– Jestem znowu głodny – oznajmia.

Rozdział 32

Pokój gościnny w domu Anny znajduje się od strony rzeki i od kiedy tu jestem, zrobiłam sobie prowizoryczne biurko pod oknem. Wymagało to przesunięcia niedużego stołu, który przykryłam obrusem, żeby nie zadrapać atlasu, którym jest wykończony, a z biblioteki pożyczyłam sobie angielski obracany fotel z zielonej skóry. Początkowo byłam zmartwiona, bo zapomniałam swojego laptopa, ale niespodziewanie zaczęło mi sprawiać przyjemność używanie wiecznego pióra i papieru, gdy pozwalałam myślom przepływać przez palce i lśnić czarnym atramentem. Mam okropny charakter pisma, zapewne wiąże się to z tym, że jestem lekarką. Są dni, kiedy muszę się podpisać albo postawić parafę pięćset razy, a sędzę, że bazgranie okropnych opisów i pomiarów w zakrwawionych rękawiczkach też zrobiło swoje.

Mam własny rytuał w domu Anny. Co rano idę do kuchni i nalewam sobie filiżankę kawy z ekspresu, który tak zaprogramowałam, że kawa zaczyna skapywać dokładnie o wpół do szóstej. Wracam do swojego pokoju i siedzę pod oknem, pisząc i mając przed sobą szklany kwadrat całkowitej ciemności. Pierwszego poranka tutaj przygotowywałam plan zajęć, które mam prowadzić podczas najbliższego kursu w instytucie, dotyczących badania przyczyn śmierci. Ale wypadki drogowe, uduszenia i radiologia

sądowa całkowicie odpłynęły z moich myśli, kiedy pierwsze światło dnia rozjaśniło życie na rzece.

Dziś rano uważnie obejrzałam to widowisko. O wpół do siódmej ciemność zbladła do szarości i po kilku minutach mogłam odróżnić sylwetki nagich jaworów i dębów; potem ciemne płaszczyzny zamieniły się w wodę i ziemię. Najczęściej o poranku woda jest cieplejsza niż powietrze i nad jej powierzchnią kłębi się mgła. W tej chwili rzeka wygląda jak Styks i chyba podświadomie oczekuję, że zaraz zobaczę widmową postać w łachmanach, popychającą drągiem łódź przez mleczną zasłonę. Nie spodziewam się ujrzeć przed ósmą zwierząt, a stały się tu dla mnie wielką radością. Zakochałam się w kanadyjskich gęsiach, które zbierają się przy pomoście Anny jak gęgający chór. Wiewiórki ganiają w swoich sprawach po krzakach i drzewach; ich ogony zwijają się jak rude pióropusze. Ptaki zawisają przy moim oknie i patrzą mi prosto w oczy, jak gdyby chciały sprawdzić, czyje szpieguję. Jelenie przebiegają przez bezlistny zimowy las na drugim brzegu rzeki, a jastrzębie spadają z nieba na ziemię.

W rzadkich, szczególnych chwilach jest mi dane widywać orły bieliki. Ogromna rozpiętość ich skrzydeł, białe hełmy i pantalony sprawiają, że nie można ich pomylić z innymi ptakami i czuję się pocieszona, bo orły latają wyżej i wydają się zajęte innymi sprawami niż pozostałe ptaki. Obserwuję, jak krążą albo przysiadają na chwilę na drzewie, nigdy nie pozostając długo w jednym miejscu, i nagle odlatują, a ja się zastanawiam jak Emerson, czy może otrzymałam właśnie jakiś znak. Odkryłam, że przyroda odznacza się dobrocią. Reszta świata, w którym żyję, nie.

Jest poniedziałek, siedemnasty stycznia i jestem nadal na wygnaniu w domu Anny, a przynajmniej tak to widzę. Czas przepływa wolno, niemal stoi w miejscu jak woda za moim oknem. Prądy mojego życia poruszają się w pewnym ledwie dostrzegalnym kierunku i niemożliwa jest zmiana ich

nieuchronnej trasy. Święta nadeszły i przeszły, mój gips zastąpiono łupkiem i bandażami. Jeżdżę wynajętym samochodem, bo mercedesa zatrzymano do dalszych badań na parkingu skonfiskowanych samochodów, który nie jest strzeżony całą dobę, nie ma tam także psa. Ktoś wybił szybę i ukradł aparat nadawczo-odbiorczy, radio samochodowe, odtwarzacz płyt kompaktowych i Bóg wie co jeszcze. To tyle, jeżeli chodzi o zabezpieczanie dowodów, powiedziałam Marinowi.

Mamy nowe ustalenia w sprawie Chandonne'a. Tak jak podejrzewałam, kiedy pierwszy raz badano płyn nasienny ze sprawy Susan Pless w 1997 roku, użyto tylko czterech próbek. Biuro koronera w Nowym Jorku nadal używa czterech próbek do pierwszego badania, bo ma je na miejscu i dlatego najprościej jest zająć się w pierwszym rzędzie nimi. Zamrożoną próbkę zbadano jeszcze raz, używając piętnastu lokusów i stwierdzono brak zgodności. Płyn nasienny nie pochodził od Chandonne'a ani od jego brata Thomasa. Ale stwierdzono obecność tylu wspólnych alleli, a profile DNA są tak niewiarygodnie bliskie, że możemy jedynie założyć, iż istnieje jeszcze trzeci brat i to on miał stosunek z Susan Pless. Jesteśmy zdumieni. „DNA powiedział prawdę i dowalił nam” – powiedziała mi Jaime Berger przez telefon. Uzębienie Chandonne'a pasuje do śladów ukąszeń, jego włosy i ślinę znaleziono na zakrwawionym ciele, ale to nie on miał stosunek z Susan tuż przed jej śmiercią. W naszych czasach, które są czasami DNA, może to być niewystarczające dla przysięgłych. Wielka ława w Nowym Jorku będzie musiała zdecydować, czy to dosyć, aby wnieść akt oskarżenia i kiedy Jaime Berger mi o tym powiedziała, uderzyła mnie ironia całej sprawy. Przecież wydaje się, że tak niewiele trzeba, żeby oskarżyć mnie o morderstwo, nic ponad pogłoski, rzekomy zamiar i fakt, że eksperymentowałam z młotkiem kamieniarskim i sosem do potraw z grilla.

Przez kilka tygodni czekałam na wezwanie. Przyszło wczoraj, a kiedy się pojawił zastępca szeryfa, był wesoły jak zawsze, pewnie nie zdawał sobie sprawy, że tym razem jestem wzywana jako oskarżona, a nie jako ekspert. Mam się stawić w sali 302 w budynku sądu, żeby złożyć zeznania przed specjalną wielką ławą przysięgłych. Przesłuchanie odbędzie się we wtorek, pierwszego lutego, o drugiej.

Kilka minut po siódmej stoję w garderobie, przeglądając bluzki i kostiumy i przebiegając w myślach wszystko, co muszę dziś zrobić. Wiem od Jacka Fieldinga, że mamy sześć przypadków, a dwóch lekarzy jest w sądzie. O dziesiątej mam telekonferencję z gubernatorem Mitchellem. Wybieram czarny garnitur w niebieskie prążki i niebieską bluzkę z mankietami. Idę do kuchni po następną filiżankę kawy i porcję wysokoproteinowych płatków, które przyniosła Lucy. Muszę się uśmiechnąć, kiedy praktycznie łamię sobie zęby na jej zdrowym, chrupiącym śniadaniu. Moja siostrzenica jest absolutnie przekonana, że wychynę z tłących się zgłiszcz mojego życia jak Feniks i stanę w pełni formy. Płuczę naczynia, kończę się ubierać i właśnie wychodzę, kiedy mój pager zaczyna wibrować. Na ekranie pokazuje się numer Marina, a za nim 911.

Na podjeździe Anny stoi ostatnia zmiana w moim życiu – wynajęty samochód. To ciemnoniebieski ford explorer, który śmierdzi starymi papierosami i zawsze będzie nimi śmierdział, chyba że posłucham rady kapitana i przyczepię do deski rozdzielczej odświeżacz powietrza. Włączam telefon komórkowy do gniazdka od zapalniczki i dzwonię do mojego przyjaciela.

- Gdzie jesteś? – pyta natychmiast.
- Wyjeżdżam z podjazdu.

Włączam ogrzewanie, brama Anny otwiera się i wypuszcza mnie. Nie zatrzymuję się nawet, – żeby wziąć gazetę, którą, jak mi właśnie mówi Marino, powinnam zobaczyć, jako że najwyraźniej jeszcze jej nie czytałam, bo inaczej od razu bym do niego zadzwoniła.

– Za późno – stwierdzam. – Już jestem na Cherokee. – Przygotowuję się jak małe dziecko, które napina mięśnie brzucha, kiedy rzuca komuś wyzwanie, żeby je uderzył. – Mów, Pete.

Podejrzewam, że wiadomość o śledztwie przed wielką ławą przysięgłych przeciekła do prasy i mam rację. Jadę wolno Cherokee, zimowa pogoda roztapia się w krople i kałuże, a topniejący śnieg zsuwa się leniwie z dachów.

– „Główny koroner podejrzana w sprawie o przerażające zabójstwo”, czyta mi czołowy tytuł z pierwszej strony. – Jest też twoje zdjęcie – dodaje. – Wygląda, że chyba zrobiła je ta suka przed twoim domem. Pamiętasz, ta, co się przewróciła na lodzie? Widać na nim, jak wsiadasz do mojego samochodu. Samochód całkiem dobrze wyszedł. Ale ty nie za bardzo...

– Powiedz mi, co piszą – przerywam detektywowi.

Czyta pozostałe nagłówki, a ja jadę pełną ostrych zakrętów Cherokee Road. Specjalna wielka ława przysięgłych w Richmondzie prowadzi w mojej sprawie śledztwo w związku z zabójstwem zastępczyni szefa policji, Dianę Bray, pisze gazeta. Rzecz opisana jest jako szokująca i tajemnicza, a miejscowi stróże prawa są wstrząśnięci. Chociaż prokurator wspólnoty, Buford Righter, odmówił komentarza, nieujawnione źródła twierdzą, że „z ogromnym bólem serca” wszczął śledztwo, po tym jak świadkowie złożyli zeznania, a policja pokazała dowody, których nie można było zlekceważyć. Inne anonimowe źródła twierdzą, że byłam w ostrym konflikcie z Dianą Bray, która uważała, że jestem niekompetentna i nie powinnam pełnić funkcji głównego koronera Wirginii. Bray starała się

zwolnić mnie ze stanowiska i przed śmiercią powiedziała rozmaitym osobom, że przy wielu okazjach doprowadzałam do konfrontacji, zastraszając ją i grożąc jej. Źródła utrzymują też, że są oznaki wskazujące na możliwość, iż tak zaaranżowałam zabójstwo, żeby wyglądało jak brutalne morderstwo Kim Luong i tak dalej.

Teraz jestem na Huguenot Road, w tłoku godziny szczytu. Mówię Marinowi, żeby przestał. Dosyć już usłyszałam.

– Wałkują to bez końca – odpowiada.

– Wyobrażam sobie.

– Musieli nad tym pracować przez całe święta, bo jest tu cała masa o tobie i twojej przeszłości. – Słyszę, jak przewraca strony. – Nawet o Bentonie i jego śmierci, i o Lucy. Jest też z boku cała kolumna z informacjami, gdzie się kształciłaś. Cornell, Georgetown, Hopkins. Zdjęcia w środku im się udały. Zamieścili nawet jedno z miejsca zbrodni, na którym jesteśmy oboje. O cholera, to sypialnia Bray.

– Co mówią o Lucy? – pytam.

Ale kapitan jest oszołomiony rozgłosem, i, jak przypuszczam, dużymi fotografiami, na których widać nas oboje przy pracy.

– W życiu czegoś takiego nie widziałem. – Znowu przewraca strony. – Piszą i piszą. Na razie naliczyłem pięciu autorów. Musieli przy tym zatrudnić cały swój pieprzony zespół od zbierania wiadomości, a myśmy nic nie wiedzieli. Jest nawet zdjęcie twojego domu z lotu ptaka...

– Co z Lucy? – pytam z większym naciskiem. – Co piszą o Lucy?

– No, niech ja skonam, jest nawet zdjęcie twoje z Bray na parkingu obok miejsca zabójstwa Kim Luong, przy sklepie. Wyglądacie, jakbyście się obie nienawidziły...

– Marino! – podnoszę głos. Z trudem udaje mi się skupić na prowadzeniu. – Dobra, dosyć!

Chwila ciszy.

– Przepraszam. Jezu, wiem, że to okropne, ale nie miałem możliwości zobaczyć więcej niż stronę tytułową, zanim cię złapałem. Nie miałem pojęcia. Przepraszam. Po prostu nigdy niczego takiego nie widziałem, chyba że umarł ktoś sławny.

Łzy pieką mnie w oczy. Nie wytykam mojemu przyjacielowi ironii tego, co właśnie powiedział. Czuję się, jakbym umarła.

– Niech spojrzę, co piszą o Lucy – mówi Marino. – To, czego się można spodziewać. Jest twoją siostrzenicą, ale zawsze byłaś dla niej jak matka, studia *cum laude*, miała wypadek w stanie wskazującym na, jest les, lata helikopterem, FBI, ATF. I że mało nie zastrzeliła Chandonne’a przed twoim domem. To dla nich, kurwa, najważniejsze. – Marino powraca do swego pełnego złości sposobu bycia. O ile sam krytykuje Lucy, o tyle nie znosi, żeby to robił kto inny. – Nie piszą na szczęście, że jest na urlopie administracyjnym ani że ty się ukrywasz w domu Anny. Przynajmniej jest coś, do czego te dupki się nie dokopały.

Zbliżam się do West Cary Street Road.

– Gdzie jesteś? – pytam.

– W komendzie. Zaraz po ciebie jadę. Bo czeka cię niezłe przyjęcie powitalne. – Ma na myśli prasę. – Pomyślałem, że może ci się przydać towarzystwo. Poza tym jest coś, co chcę z tobą omówić. Myślałem też, że może moglibyśmy spróbować zrobić jedną sztuczkę. Podjadę pierwszy do twojego biura i zostawię samochód. Ty podjedziesz od frontu, od Jackson Street, zamiast jechać na parking od tyłu, przy Czwartej, wyskoczysz i wejdiesz do budynku, a ja zaparkuję twój samochód. Chłopaki mówią, że jest około trzydziestu reporterów, fotografów, facetów z telewizji, warują na twoim miejscu parkingowym i czekają, aż się pokażesz.

W pierwszej chwili zgadzam się z nim, ale potem zmieniam zdanie. Nie, mówię. Nie będę się bawić w ciuciubabkę i podnosić kołnierza, żeby ukryć twarz przed obiektywami, jak gdybym była przestępczynią. Absolutnie nie. Mówię Marinowi, że spotkamy się u mnie w biurze, ale zaparkuję tak jak zawsze i poradzę sobie z mediami. Po pierwsze, odezwał się mój upór. Po drugie, nie mam nic do stracenia, zajmując się swoimi sprawami jak zwykle i po prostu mówiąc prawdę, a prawdą jest to, że nie zabiłam Dianę Bray. Nigdy nawet o tym nie pomyślałam, choć niewątpliwie nie znosiłam jej bardziej niż kogokolwiek w życiu.

Na Dziewiątej zatrzymuję się i wkładam żakiet od kostiumu. Patrę w lusterko, żeby się upewnić, że jestem w miarę pozbierana. Maluję usta i przeczesuję palcami włosy. Włączam radio i przygotowuję się na złe wiadomości. Przewiduję, że lokalne stacje będą często przerywały swój program, aby przypomnieć wszystkim, że jestem pierwszym skandalem nowego tysiąclecia.

– ...więc muszę to powiedzieć, Jim. To znaczy, skoro mowa o kimś, komu by się udało popełnić morderstwo doskonale...

– Serio. Kiedyś przeprowadzałem z nią wywiad...

Przełączam radio na inną stację, a potem na kolejną i wszędzie jestem wyśmiewana lub poniżana albo po prostu mówią o mnie, bo ktoś dał cynk do mediów na temat tego, co ma być najtajniejszym i najświętszym postępowaniem sądowym. Zastanawiam się, kto pogwałcił kodeks milczenia. To smutne, ale do głowy przychodzi mi kilka nazwisk. Nie ufam Righterowi. Nie ufam też nikomu, z kim się kontaktował w sprawie moich wyciągów bankowych i telefonicznych. Ale mam też podejrzenia co do innej osoby, Jaya Talleya, i idę o zakład, że jego także wezwano. Uspokajam się, wjeżdżając na parking i widząc wozy transmisyjne radia

oraz telewizji wzdłuż ulicy Czwartej i dziesiątki ludzi oczekujących na mnie z aparatami, mikrofonami i notesami.

Reporterzy nie zwracają uwagi na mojego ciemnoniebieskiego explorera, bo się go nie spodziewają. Zdaję sobie sprawę, że popełniłam poważny błąd taktyczny. Od wielu dni jeżdżę wynajętym samochodem i do tej chwili nie przyszło mi do głowy, że ktoś może mnie zapytać dlaczego. Skręcam na swoje stałe miejsce przy drzwiach frontowych i wtedy mnie dostrzegają. Cała sfera rusza w moim kierunku jak myśliwi za grubą zwierzyną, a ja zmuszam się do wejścia w swoją rolę. Ja tu rządzę. Jestem pełna rezerwy, przygotowana i nie odczuwam strachu. Nie zrobiłam nic złego. Wsiadam i nie śpiesząc się, biorę z tylnego siedzenia teczkę i stos segregatorów. Łokieć boli mnie pod warstwą bandaży elastycznych. Aparaty pstrykają, a mikrofony mierzą we mnie jak lufy karabinowe.

– Doktor Scarpetta, czy może pani skomentować...

– Doktor Scarpetta?

– Kiedy się pani dowiedziała, że specjalna wielka ława przysięgłych prowadzi śledztwo w pani sprawie?

– Czy to prawda, że były nieporozumienia między panią a Dianę Bray?

– Gdzie jest pani samochód?

– Czy może pani potwierdzić, że w gruncie rzeczy została pani usunięta ze swojego domu i nawet nie ma pani teraz samochodu?

– Czy złoży pani dymisję?

Stoję naprzeciwko nich na chodniku. Milczę, ale jestem opanowana, czekam, aż ucichną. Kiedy się orientują, że mam zamiar coś powiedzieć, widzę zdumione spojrzenia zgromadzonych, a ich agresja szybko wygasa. Rozpoznaję liczne twarze, ale nie pamiętam nazwisk. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek znałam nazwiska prawdziwych żołnierzy mediów, którzy zbierają informacje na zapleczu. Mówię sobie, że po prostu wykonują

swoją pracę i nie ma powodu, abym to brała osobiście. Właśnie, nie osobiście. To wszystko jest ordynarne, nieludzkie, niestosowne, bez wyczucia i w dużej mierze nieprawdziwe, ale nie osobiste.

– Nie mam przygotowanego oświadczenia – zaczynam.

– Gdzie pani była tej nocy, kiedy zamordowano Dianę Bray...?

– Proszę państwa – przerywam im. – Tak samo jak państwo, niedawno się dowiedziałam, że specjalna wielka ława przysięgłych prowadzi śledztwo w sprawie tego zabójstwa i proszę państwa o uszanowanie koniecznej w takich sytuacjach zasady poufności. Proszę zrozumieć, dlaczego nie mogę z państwem o tym mówić.

– Ale czy pani...?

– Czy to prawda, że nie jeździ pani swoim samochodem, bo go zabrała policja?

Kieruję się w stronę budynku, a pytania i oskarżenia rozdierają poranne powietrze jak szrapnele. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Jestem głównym koronerem. Idę opanowana, spokojna i nie boję się. Nie zrobiłam nic złego. Wśród reporterów jest jeden, którego pamiętam, bo jak mogłabym zapomnieć wysokiego, białowłosego Afroamerykanina o rzeźbionych rysach, który nazywa się Washington George? Ma na sobie długi skórzany płaszcz i przeciska się teraz za mną, podczas gdy usiłuję otworzyć szklane drzwi prowadzące do budynku.

– Czy mogę pani zadać jedno pytanie? Pamięta mnie pani? To nie jest to pytanie. – Uśmiecha się. – Jestem Washington George. Pracuję dla Associated Press.

– Pamiętam pana.

– Pozwoli pani, że pomogę. – Przytrzymuje drzwi i wchodzimy do holu. Strażnik patrzy na mnie i rozpoznaję już to spojrzenie. Moja zła sława odbija się w oczach ludzi. Robi mi się ciężko na sercu.

– Dzień dobry, Jeff – mówię, przechodząc obok jego stanowiska. Skinienie głowy.

Przesuwam kartę identyfikacyjną przez elektroniczny czujnik i drzwi wiodące do mojej części budynku otwierają się cicho. Washington George idzie obok i coś mówi, ale go nie słucham. W części recepcyjnej siedzi jakaś kobieta. Kuli się na krześle i sprawia wrażenie smutnej i małej pośród lśniących bloków z granitu i szkła. To nie jest przyjemne miejsce. Zawsze mi żal tego, kto się tu znajdzie.

– Czy ktoś się panią zajął? – pytam.

Kobieta ma na sobie czarną spódnicę, buty, jakie noszą pielęgniarki i ciemny płaszcz od deszczu, którym jest ciasno owinięta. Przyciska do siebie torebkę, jak gdyby ktoś miał ją ukraść.

– Czekam tu – mówi stłumionym głosem.

– Z kim chce się pani zobaczyć?

– Nie wiem dokładnie – jąka się, oczy ma pełne łez. Wewnątrz niej narasta płacz, zaczyna jej kapać z nosa. – Chodzi o mojego syna. Czy mogłabym go zobaczyć? Nie rozumiem, co wy wszyscy z nim robicie. – Jej podbródek drży, obciera nos wierzchem dłoni. – Chcę go tylko zobaczyć.

Fielding zostawił mi wiadomość o dzisiejszych przypadkach i wiem, że jest wśród nich kilkunastoletni chłopiec, który jakoby się powiesił.

– Jak się nazywał? White? – pytam, a kobieta potakuje i podaje mi jego imię, Benny.

Wyrażam przypuszczenie, że jest panią White i moja rozmówczyni znowu potakuje, tłumacząc, że ona i syn zmienili nazwisko na White, kiedy przed kilku laty ponownie wyszła za mąż. Mówię, żeby poszła ze mną – teraz rozpaczliwie płacze – i zobaczymy, co się dzieje z Bennym. Washington George będzie musiał poczekać.

– Chyba nie będzie pani chciała, żeby to poczekało – odpowiada.

– No dobrze. Proszę pójść ze mną, porozmawiam z panem, jak tylko będę mogła. – Mówiąc to, wpuszczam go do swojego biura, posługując się kolejnym identyfikatorem. Cleta wprowadza nasze dzisiejsze przypadki do komputera i widząc mnie, natychmiast się czerwieni.

– Dzień dobry. – Stara się być wesoła jak zwykle, ale w oczach ma ten wyraz, którego nauczyłam się bać i nienawidzić.

Mogę sobie tylko wyobrazić, o czym moi pracownicy mówili między sobą dziś rano i nie umyka mojej uwagi, że na biurku Clety leży złożona gazeta i że starała się zasłonić ją swetrem. Cleta przez święta utyla i ma czarne sińce pod oczami. Dochodzi do tego, że z mojego powodu wszyscy są zgnębieni.

– Kto się zajmuje Bennym White'em? – pytam.

– Chyba doktor Fielding. – Patrzy na panią White i wstaje zza biurka. – Czy mogę wziąć od pani palto? Napije się pani kawy?

Mówię Ciecie, żeby zaprowadziła panią White do mojego pokoju konferencyjnego, a Washington George może poczekać w bibliotece medycznej. Odnajduję swoją sekretarkę Rosę i jej widok przynosi mi taką ulgę, że zapominam o kłopotach, a ona nie przypomina mi o nich ukradkowym, zaciekawionym i zakłopotanym spojrzeniem. Rosę to po prostu Rosę. Katastrofa mobilizuje ją, dodając sił. Patrzy mi w oczy i potrząsa głową.

– Czuję takie obrzydzenie, że mogłabym zwymiotować – mówi, kiedy staję w drzwiach. – To najbardziej kretyńskie bzdury, jakie słyszałam w życiu. – Bierze gazetę i potrząsa nią przede mną, jakbym była niegrzecznym psem. – Niech pani się tym nie przejmuje, pani doktor. – Jakby to było takie proste. – Ten cholerny Buford Righter jest głupszy niż noga stołowa. Nie potrafi się zdobyć na odwagę, żeby to pani powiedzieć

w twarz, prawda? Więc musi się pani dowiadywać wszystkiego w taki sposób. – Znowu potrząsa gazetą.

– Rose, czy Jack jest w prosektorium?

– O Boże, zajmuje się tym biednym chłopcem. – Rose porzuca temat mojej osoby i jej oburzenie zamienia się w żal. – Boże, Boże. Widziała go pani?

– Dopiero przyszłam.

– Wygląda jak chłopczyk z chóru. Śliczny, niebieskooki blondynek. Boże, Boże. Gdyby to było moje dziecko...

Przerywam jej, kładąc palec na ustach, bo słyszę, że nadchodzi Cięta z nieszczęsną matką Benny'ego. Poruszam bezgłośnie ustami, mówiąc „jego matka” i Rose milknie. Jej wzrok napotyka moje oczy. Jest dziś spięta i niespokojna, ubrała się w surową czerń, włosy ma ściągnięte do tyłu i upięte. Przypomina mi obraz Gran ta Wooda „Amerykański Gotyk”.

– U mnie w porządku – mówię cicho.

– No, w to akurat nie wierzę. – Jej oczy wilgotnieją i zaczyna nerwowo przekładać papiery.

Jean-Baptiste Chandonne zdziesiątkował mój personel. Wszyscy, którzy mnie znają i ode mnie zależą, są zdumieni i wstrząśnięci. Nie ufają mi już i martwią się w cichości, co będzie z ich życiem i pracą. Przypomina mi się najgorsza chwila w szkole, kiedy miałam dwanaście lat – byłam jak Lucy, nad wiek rozwinięta i najmłodsza w klasie. Mój ojciec umarł wtedy, 23 grudnia, i jedynym plusem, jaki potrafię dostrzec w fakcie, że stało się to dwa dni przed Bożym Narodzeniem, jest to, że przynajmniej sąsiedzi mieli wolne i większość była w domu, zajęta gotowaniem i pieczeniem. Zgodnie z dobrą włosko-katolicką tradycją pamięć mojego ojca uczczono jak należy. Przez wiele dni nasz dom był pełen śmiechu, łez, jedzenia, picia i śpiewu.

Kiedy wróciłam do szkoły po Nowym Roku, stałam się jeszcze bardziej niezmordowana w swoich intelektualnych próbach i poszukiwaniach. Zdobywanie najlepszych stopni na klasówkach już mi nie wystarczało. Z czasem zaczęłam przesiadywać w szkole parafialnej całymi popołudniami, trzepałam na schodach ścierki do wycierania tablic, pomagałam nauczycielom oceniać prace i układać gazetki ściennie. Nauczyłam się świetnie posługiwać nożyczkami i zszywaczami. Kiedy trzeba było wyciąć litery alfabetu albo cyfry i ułożyć z nich słowa, zdania czy daty, zakonnice zwracały się do mnie.

Martha była dziewczynką z mojego kursu matematyki, siedziała przede mną i nigdy się nie odzywała. Często oglądała się na mnie w sposób chłodny, ale pełen ciekawości, zawsze starając się dostrzec moje obwiedzione na czerwono stopnie na złożonych kartkach z pracą domową albo klasówką, żeby zobaczyć, czy poradziła sobie lepiej ode mnie. Pewnego dnia, po szczególnie trudnej klasówce z algebry, zauważyłam, że zachowanie siostry Teresy wobec mnie stało się zdecydowanie chłodniejsze. Zaczekała, aż będę znowu trzepać ścierki; przykucnąwszy na schodach, uderzałam nimi o stopnie, wznosząc tumany kredowego kurzu w słońcu. Podniosłam na nią oczy. Stała nade mną w swym habicie, górując niczym olbrzym, jak marszczący brwi antarktyczny czarny ptak z krucyfiksem. Ktoś oskarżył mnie o ściąganie na klasówce z algebry i choć siostra Teresa nie ujawniła źródła tego kłamstwa, nie miałam wątpliwości, kto był donosicielką: Martha. Jedyнным sposobem, w jaki mogłam dowieść swojej niewinności, było napisanie klasówki ponownie i ponowne zdobycie najlepszego wyniku.

Siostra Teresa czujnie mnie obserwowała. Nie odważyłam się nawet odwrócić wzroku od tego, co pisałam, siedząc w swojej ławce. Minęło kilka dni. Byłyśmy tylko we dwie w klasie, opróżniałam kosze na śmieci, a ona

powiedziała, że muszę się stale modlić, aby Bóg pozwolił mi być wolną od grzechu. Muszę dziękować Ojcu Niebieskiemu za swoje wielkie zdolności i prosić go, żebym była uczciwa, bo jestem tak bystra, że wiele może mi ująć na sucho. Bóg wie o wszystkim, oświadczyła siostra Teresa. Nie uda się Go oszukać. Zaprotestowałam, mówiąc, że jestem uczciwa i nie próbuję oszukać Boga i może Go sama zapytać. Rozpłakałam się. „Nie jestem oszustką, szłochałam. Chcę do tatusia”.

Kiedy byłam na pierwszym roku medycyny w szkole Johnsa Hopkinsa, napisałam list do siostry Teresy i opowiedziałam o tym bolesnym, niesprawiedliwym incydencie. Powtórzyłam zapewnienie o swojej niewinności, nadal rozżalona i wściekła, że zostałam fałszywie oskarżona, a siostry nie stanęły w mojej obronie i nigdy potem już mi nie ufały.

Kiedy teraz stoję obok biurka Rosę, ponad dwadzieścia lat później, myślę o tym, co powiedziała Jaime Berger, kiedy spotkałyśmy się pierwszy raz. Powiedziała, że krzywda się dopiero zaczęła. Miała rację, oczywiście.

– Zanim wszyscy dzisiaj wyjdą – zwracam się do swojej sekretarki – chciałabym z nimi porozmawiać. Przekaż im to, Rosę. Zobaczymy, jak się rozwinie dzień i znajdziemy czas. Idę zobaczyć, co z Bennym. Proszę, zaopiekuj się jego matką, a ja niedługo wrócę i pomówię z nią.

Idę korytarzem, mijam pokój socjalny i odnajduję Washingtona George’a w bibliotece medycznej.

– Mam tylko minutę – odzywam się z roztargnieniem.

George ogląda książki na półce, w opuszczonej ręce trzyma notes, niczym pistolet, którym mógłby się posłużyć.

– Słyszałem pewne pogłoski – mówi. – Jeśli pani wie, że są prawdziwe, może je pani potwierdzi. Jeśli pani nie wie, to może dobrze, żeby pani się dowiedziała. Buford Righter nie będzie oskarżał podczas przesłuchiwania pani przez specjalną wielką ławę.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiadam, ukrywając oburzenie, które zawsze mnie ogarnia, kiedy prasa dowiadyuje się jakichś szczegółów przede mną. – Ale prowadziliśmy razem wiele spraw – dodaję. – Nie spodziewałam się, że chciałby sam prowadzić tę sprawę.

– Tak mi się wydaje i z tego, co zrozumiałem, wyznaczono specjalnego oskarżyciela. Do tego zmierzam. Jest pani tego świadoma? – Usiłuje coś wyczytać z mojej twarzy.

– Nie. – Ja także staram się czytać w jego twarzy, mając nadzieję znaleźć coś, co pozwoli mi uniknąć zmasowanego ataku na swoją osobę.

– Nikt pani nie wspomniał, że Jaime Berger wyznaczono do postawienia pani w stan oskarżenia? – Patrzy mi w oczy. – Z tego, co wiem, to jeden z powodów, dla których tu przyjechała. Omawiała z panią zabójstwa Bray i Luong, ale wiem z bardzo dobrego źródła, że to podstęp. Pracowała w ukryciu, jakby to pani nazwała. Righter to uknuł, zanim Chandonne jakoby pojawił się u pani w domu. Berger jest w to włączona od tygodni.

– Jakoby? – To jedyna odpowiedź, jaka mi przychodzi do głowy. Jestem wstrząśnięta.

– Cóż – zauważa Washington George. – Z pani reakcji wnoszę, że nie słyszała pani o tym wszystkim.

– Nie przypuszczam, że powie mi pan, kto jest pańskim wiarygodnym źródłem – odpowiadam.

– Nie. – Uśmiecha się lekko, trochę bezradnie. – Więc może pani to potwierdzić?

– Oczywiście, że nie – odpowiadam, zbierając myśli.

– Proszę posłuchać, będę dalej kopał, ale chcę, aby pani wiedziała, że panią lubię, bo zawsze była pani dla mnie miła – ciągnie, lecz ledwie go słyszę.

Myślę tylko o tym, że Jaime Berger spędziła ze mną wiele godzin w instytucie, w samochodzie, w moim domu, w domu Dianę Bray i przez cały czas robiła w myślach notatki do wykorzystania przeciwko mnie podczas przesłuchania przed specjalną wielką ławą przysięgłych. Boże, nic dziwnego, że tyle wie o moim życiu. Prawdopodobnie widziała wykaz moich rozmów telefonicznych, wyciągi bankowe, zestawienia wydatków opłacanych kartami kredytowymi i rozmawiała ze wszystkimi ludźmi, którzy mnie znają.

– Washington – mówię – mam tu matkę jakiegoś dzieciaka, który właśnie zmarł, i nie mogę dłużej stać i rozmawiać z panem. – Wychodzę. Nie obchodzi mnie, czy teraz uważa, że jestem nieuprzejma.

Idę skrótem przez damską toaletę i w przebieralni zakładam fartuch laboratoryjny i papierowe ochraniacze na buty. Oddział autopsji jest pełen odgłosów sekcji, na każdym stole leży jakiś nieszczęśnik. Jack Fielding stoi zachlapany krwią. Otworzył już ciało syna pani White i teraz wprowadza wielką igłę ze strzykawką w aortę, żeby pobrać krew. Kiedy podchodzę do jego stołu, posyła mi dość nieprzytomne, oszołomione spojrzenie. Poranne wiadomości malują się na jego twarzy.

– Później. – Podnoszę dłoń, zanim Jack zada pytanie. – Jego matka jest u mnie w biurze. – Wskazuję ciało.

– Cholera – mówi Fielding. – To wszystko, co mam do powiedzenia o tym całym pierdolonym świecie.

– Chce go zobaczyć.

Biorę ścierkę z torby na wózku i wycieram delikatną, ładną twarz chłopca.

Jego włosy mają kolor siana, a skóra, poza zaczerwienioną twarzą, jest jak różane mleczko. Nad górną wargą ma meszek, a na podbrzuszu zaledwie ślad włosów łonowych, jego hormony właśnie się budziły, żeby

go przygotować do dorosłego życia, którego nie dane mu było poznać. Wąska, ciemna bruzda wokół szyi prowadzi w górę do prawego ucha, gdzie zawiązany był węzeł. Poza tym na jego młodym, silnym ciele nie widać oznak przemocy ani niczego, co by wskazywało, że miał jakiegokolwiek powody, żeby nie chcieć żyć. Samobójstwa bywają wielkim wyzwaniem. Wbrew powszechnemu przekonaniu samobójcy rzadko zostawiają listy. W życiu ludzie nie zawsze mówią o swoich uczuciach, a czasem po śmierci ich ciała też mają niewiele do powiedzenia.

– Psiakrew – mruczy Jack.

– Co o nim wiemy? – pytam.

– Tylko tyle, że zaczął się dziwnie zachowywać w szkole około Bożego Narodzenia. – Jack bierze wąż i płucze jamę klatki piersiowej, aż zaczyna lśnić jak wnętrze kielicha tulipana. – Jego ojciec umarł kilka lat temu na raka płuc. – Woda pryska. – Ten cholerny Stanfield, Jezu Chryste. Co się dzieje? Jakiś festiwal nam tu urządza, czy co? Trzy kurewskie przypadki od niego w ciągu czterech pieprzonych tygodni. – Jack opłukuje wyjęte z ciała organy. Błyszczą ciemną barwą na desce do krojenia, oczekując ostatecznego zbezczeszczenia. – Ciągłe się pojawia jak zasrany zły szeląg. – Bierze duży nóż chirurgiczny z wózka. – Więc ten dzieciak idzie wczoraj do kościoła, wraca do domu i wieszka się w lesie.

Im bardziej Jack Fielding jest zdenerwowany, tym częściej używa ordynarnych stów. Teraz jest wyjątkowo zdenerwowany.

– Co ze Stanfieldem? – pytam ponuro. – Myślałam, że odchodzi.

– Ach, gdybyż. To idiota. Dzwoni w związku z tą sprawą i zgadnij, co dalej? Jedzie na miejsce. Chłopak wisi na drzewie, a Stanfield go odcina.

Mam przeczucie, że wiem, co nastąpi.

– Odcina go, przecinając węzeł. Miałam rację.

– Ale zrobił najpierw zdjęcia, mam nadzieję.

– Tam leżą. – Głową wskazuje blat po drugiej stronie sali.

Idę obejrzeć fotografie. Bolesny widok. Benny nawet się nie przebrał, kiedy wrócił do domu z kościoła, tylko poszedł wprost do lasu, przerzucił nylonową linę przez gałąź, zrobił pętlę na jednym końcu i przeciągnął przez nią drugi. Potem zrobił drugą pętlę ze zwykłym węzłem i przełożył przez nią głowę. Na zdjęciach ma na sobie granatowy garnitur i białą koszulę. Przypinany krawat w czerwono-niebieskie paski leży na ziemi; zsunął się, zawadziwszy o linę, albo może Benny sam go zdjął. Chłopiec klęczy, jego ramiona zwisają luźno, a głowa jest pochylona w pozycji typowej dla wisielców samobójców. Nie miałam wielu przypadków, gdzie denaci wisieliby, nie dotykając stopami ziemi. Chodzi o wywołanie takiego ucisku na naczynia krwionośne szyi, żeby zbyt mało utlenionej krwi dotarło do mózgu. Wystarczy zaledwie nacisk dwóch kilogramów, żeby ucisnąć żyły szyjne i trochę więcej niż dwa razy tyle, żeby zamknąć tętnice. Wystarczy ciężar głowy w pętli. Utrata przytomności przychodzi szybko, a śmierć następuje po kilku minutach.

Wracam do Jacka.

– Zrobimy tak. Przykryj go. Położymy kilka plastikowych prześcieradeł, przez które nie przesiąknie krew. I pozwolimy, żeby matka go zobaczyła, zanim będziesz dalej nim się zajmował.

Jack oddycha głęboko i rzuca skalpel z powrotem na wózek.

– Pójdę z nią porozmawiać i zobaczę, może się czegoś dowiem. – Odchodzę. – Zadzwoń do Rose, jak będziesz gotowy. Dzięki, Jack. – Zatrzymuję się, żeby spojrzeć mu w oczy. – Pogadamy później? Nigdy nam się nie udało ta kawa razem. Nawet nie złożyliśmy sobie życzeń świątecznych.

Odnajduję panią White w pokoju konferencyjnym. Przestała płakać i jest w głębokim szoku, wpatruje się nieruchomym wzrokiem przed siebie, bez

życia. Ledwie mnie dostrzega, kiedy wchodzę i zamykam drzwi. Mówię jej, że właśnie widziałam Benny'ego i za kilka minut ona też będzie mogła go zobaczyć. Jej oczy napęcznieją się łzami i pyta, czy cierpiał. Mówię jej, że szybko stracił przytomność. Chce wiedzieć, czy umarł dlatego, że nie mógł oddychać. Odpowiadam, że nie znam jeszcze odpowiedzi na wszystkie pytania, ale zapewne jego drogi oddechowe nie były zatkane.

Benny mógł umrzeć z powodu uszkodzenia mózgu wskutek niedokrwienia, ale raczej przypuszczam, że ucisk na naczynia krwionośne spowodował reakcję wazowagalną. Innymi słowy, nastąpiło zwolnienie pracy serca i śmierć. Kiedy wspominam, że Benny klęczał, pani White wyraża przypuszczenie, że może modlił się, żeby Bóg go zabrał do siebie. Może, odpowiadam. Bardzo możliwe, że się modlił. Pocieszam panią White, najlepiej jak umiem. Informuje mnie, że jakiś myśliwy szukał jelenia, którego wcześniej zastrzelił, i znalazł ciało jej syna. Benny nie mógł długo nie żyć, bo znikł zaraz po wyjściu z kościoła, około wpół do pierwszej, a policja przyszła do niej do domu około piątej. Powiedzieli jej, że myśliwy znalazł Benny'ego około drugiej. Więc przynajmniej nie pozostał tam długo sam, powtarza. I dobrze, że miał w kieszeni garnituru Nowy Testament, bo było na nim jego nazwisko i adres. W ten sposób policja dowiedziała się, kim jest i znalazła jego rodzinę.

– Proszę pani – pytam. – Czy ostatnio coś się działo z Bennym? Co było wczoraj rano w kościele? Czy stało się coś, o czym pani wie?

– Jest markotny. – Wydaje się teraz bardziej opanowana. Mówi o Bennym tak, jakby siedział na zewnątrz i czekał na nią. – W przyszłym miesiącu skończy dwanaście lat, wie pani jak to jest.

– Co pani rozumie przez „markotny”?

– Idzie do siebie do pokoju i zamyka drzwi. Siedzi tam i słucha muzyki w słuchawkach. Co jakiś czas mi pyskuje, a wcześniej taki nie był. Martwię

się. – Głos jej się załamuje. Mruga, przypominając sobie nagle, gdzie jest i dlaczego. – Po prostu nie wiem, dlaczego musiał zrobić coś takiego! – Z jej oczu tryskają łzy. – Wiem, że w kościele są chłopcy, którzy mu dokuczają. Drażnią się z nim, nazywają go pięknišem.

– Czy wczoraj ktoś się z nim drażnił?

– Bardzo możliwe. Wszyscy razem chodzą do szkółki niedzielnej.

I dużo się mówiło o tych zabójstwach w okolicy, wie pani. – Znowu milknie. Nie chce iść dalej drogą, prowadzącą do tematu, który jest dla niej zarówno obcy, jak i nienormalny.

– O tych dwóch mężczyznach zabitych tuż przed świętami?

– Mhm. O tych, co mówią, że byli przekłęci, bo nie od tego zaczęła się Ameryka. Nie od ludzi, którzy robią takie rzeczy.

– Przekłęci? Kto mówi, że byli przekłęci?

– Tak mówią. Często – ciągnie dalej, oddychając głęboko. – Jamestown jest tuż obok. Zawsze się słyszało historie o ludziach, którzy widzieli duchy Johna Smitha i Pocahontas, i w ogóle. Potem tych dwóch zostało zamordowanych tu obok, obok Jamestown Island i całe to gadanie o nich, że byli, wie pani. Że byli nienaturalni i to dlatego ktoś ich zabił. Przynajmniej tak słyszałam.

– Czy rozmawiała pani o tym wszystkim z Bennym? – Z każdą chwilą robi mi się ciężiej na sercu.

– Trochę. To znaczy wszyscy mówili o tych dwóch zabitych mężczyznach, poparzonych i torturowanych. Ludzie częściej niż dawniej zamykają drzwi na klucz. Muszę przyznać, że zrobiło się nam jakoś nieswojo. Więc rozmawialiśmy o tym, Benny i ja, tak. Prawdę mówiąc, od czasu jak się to wszystko wydarzyło, jest o wiele bardziej ponury. Więc może to go tak wytrąciło z równowagi. – Milknie i wpatruje się w blat stołu. Nie umie zdecydować, w jakim czasie mówić o swoim nieżyjącym

synu. – To, i to, że inni chłopcy mówili, że jest pięknišem. Benny tego nienawidził i nie dziwi mnie to. Zawsze mu powtarzam: „Poczekaj tylko, aż dorośniesz i będziesz przystojniejszy niż cała reszta. Dziewczyny będą stały do ciebie w kolejce. To ich nauczy”. – Uśmiecha się lekko i znowu zaczyna płakać. – Naprawdę jest drażliwy na tym punkcie. A wie pani, jak dzieci potrafią dokuczać.

– Może bardzo mu dokuczili wczoraj w kościele? – Prowadzę ją tym tropem. – Czy nie sądzi pani, że chłopcy mogli robić uwagi na temat tak zwanych zbrodni na tle nienawiści, na temat gejów i może sugerowali...?

– No – wybucha. – No tak. Mówiliśmy o klątwie na ludziach, którzy postępują niezgodnie z naturą i są źli. Biblia jasno to określa. „Dlatego wydał ich Bóg na pastwę bezecnych namiętności” – cytuje.

– Czy możliwe jest, że Benny miał problemy ze swoją seksualnością, proszę pani? – jestem bardzo łagodna, ale stanowcza. – To całkiem normalne u dzieci wchodzących w wiek dorastania. Często jest dużo zamieszania w kwestii tożsamości seksualnej i tak dalej. Zwłaszcza dzisiaj. Świat jest skomplikowany, o wiele bardziej niż dawniej. – Dzwoni telefon. – Przepraszam panią na chwilę.

Dzwoni Jack.

– Benny jest gotowy, można go zobaczyć. I jest tu Marino, szuka cię. Mówi, że ma ważne wiadomości.

– Powiedz mu, gdzie jestem. – Rozłączam się.

– Benny zapytał mnie, czy tym dwóm zrobiono te wszystkie straszne rzeczy dlatego, że to... Użył słowa „pedały” – ciągnie pani White. – Powiedziałam, że to mogła być kara od Boga.

– Jak zareagował? – pytam.

– Nie pamiętam, żeby coś powiedział.

– Kiedy to było?

– Jakieś trzy tygodnie temu. Zaraz po tym, gdy znaleźli drugie ciało i przysłała wiadomość, że to były zbrodnie z nienawiści.

Zastanawiam się, czy Stanfield ma jakiegokolwiek pojęcie, ile szkody wyrządził, ujawniając szczegóły śledztwa swojemu zakichanemu szwagrowi. Pani White papie nerwowo, w miarę jak z każdym krokiem narasta w niej przerażenie. Prowadzę ją przez biuro do specjalnego pokoju. Wewnątrz jest kanapa i stół. Na ścianie wisi obraz przedstawiający spokojny angielski wiejski pejzaż. Ściana naprzeciwko kanapy zrobiona jest ze szkła. Jest zasłonięta. Po jej drugiej stronie znajduje się chłodnia.

– Proszę usiąść – zapraszam matkę Benny’ego, dotykając jej ramienia.

Jest spięta, przerażona, wzrok ma utkwiony w zaciągniętej niebieskiej zasłonie. Przysiada na brzegu sofy, zaciśnięte dłonie trzyma na kolanach. Odsuwam zasłonę i ukazuje się Benny spowity w błękit, przykryty po szyję niebieskim prześcieradłem, które zasłania ślady na szyi. Mokre włosy ma zaczesane do tyłu, a oczy zamknięte. Pani White siedzi znieruchomiała na skraju kanapy. Wydaje się, że nie oddycha. Wpatruje się w syna nieruchomo, nie rozumiejąc. Marszczy brwi.

– Dlaczego jego twarz tak wygląda? – pyta niemal oskarżycielskim tonem.

– Lina nie pozwoliła krwi odpłynąć z powrotem do serca – wyjaśniam. – Więc ma przekrwioną twarz.

Wstaje i podchodzi bliżej do szyby.

– Och, moje dzieciątko – szepcze. – Moje najmilsze dziecko. Jesteś teraz w niebie. W ramionach Jezusa, w raju. Niech pani spojrzy, ma zupełnie mokre włosy, jak od chrztu. Widać go wykąпалиście. Chcę tylko wiedzieć, że nie cierpiał.

Nie mogę jej tego powiedzieć. Wyobrażam sobie, że kiedy zacisnął pętlę wokół własnej szyi, ciśnienie i hałas wewnątrz głowy były przerażające.

Zaczął proces unicestwienia swojego życia i był przytomny i skupiony tak długo, żeby czuć nadchodzący koniec. Tak, cierpiał.

– Niedługo – mówię. – Nie cierpiał długo, proszę pani.

Pani White zakrywa twarz dłońmi i płacze. Zaciągam zasłonę i wyprowadzam kobietę z pokoju.

– Co teraz z nim zrobicie? – pyta, idąc za mną jak automat.

– Skończymy go oglądać i zrobimy parę badań, żeby zobaczyć, czy możemy się jeszcze czegoś dowiedzieć.

Kiwa głową.

– Może chciałaby pani chwilę posiedzieć? Czy mogę pani coś podać?

– Nie, nie. Pójdę.

– Jest mi bardzo przykro z powodu pani syna. Nie umiem pani powiedzieć jak bardzo. Gdyby miała pani jakieś pytania, proszę dzwonić. Gdyby mnie nie było, zawsze ktoś się panią zajmie. Będzie pani bardzo ciężko i będzie pani musiała przejść przez wiele różnych rzeczy. Więc proszę zadzwonić, jeśli możemy pani w czymś pomóc.

Zatrzymuje się na korytarzu i chwyta mnie za rękę. Patrzy mi z napięciem w oczy.

– Jest pani pewna, że ktoś mu tego nie zrobił? Skąd mamy pewność, że to on sam...?

– W tej chwili nie ma niczego, co pozwoliłoby nam przypuszczać, że zrobił to kto inny – zapewniam ją. – Ale zbadamy każdą możliwość. Jeszcze nie skończyliśmy. Niektóre z tych badań trwają kilka tygodni.

– Nie będziecie go tu trzymać przez kilka tygodni!

– Nie będzie go można zabrać za kilka godzin. Mogą po niego przyjechać z domu pogrzebowego.

Jesteśmy w biurze od frontu i prowadzę ją przez szklane drzwi z powrotem do holu wejściowego. Pani White waha się, niepewna, co ma

zrobić.

– Dziękuję pani – mówi. – Była pani dla mnie bardzo uprzejma.

Nieczęsto słyszę podziękowania. Wracam do swojego gabinetu pełna tak przygnębiających myśli, że niemal wpadam na Marina, zanim go spostrzegam. Czeka na mnie w drzwiach, w ręku trzyma jakieś papiery, a z jego twarzy bije podniecenie.

– Nie uwierzysz, kurwa, z czym przychodzę! – woła.

– W tej chwili jestem gotowa uwierzyć niemal we wszystko – odpowiadam ponuro, niemal padając na duży skórzany fotel za zavalonym papierami biurkiem. Wzdycham. Spodziewam się, że Marino przyszedł, aby mi powiedzieć że Jaime Berger jest specjalnym prokuratorem w mojej sprawie.

– Jeśli chodzi o Berger, to już wiem – mówię. – Reporter z AP powiedział mi, że została wyznaczona, aby mnie postawić w stan oskarżenia. Nie zastanawiałam się jeszcze, czy to dobrze czy źle. Psiakrew, nawet nie mogę zdecydować, czy mnie to obchodzi.

Na twarzy Marina maluje się zdziwienie.

– Poważnie? Jak ma zamiar to zrobić? Zdała egzamin prokuratorski w Wirginii?

– Nie musiała – odpowiadam. – Może występować pro *hac vice*. To wyrażenie znaczy: przy tej szczególnej okazji. Tłumaczę, że na specjalne żądanie ławy sąd może wydać prawnikowi spoza stanu specjalne pozwolenie na udział w sprawie, nawet jeśli ta osoba nie ma prawa wykonywać zawodu prawnika w Wirginii.

– A co z Righterem? – pyta Marino. – Co będzie robił przez cały ten czas?

– Ktoś z biura prokuratora stanu będzie musiał z nią pracować. Przypuszczam jednak, że Righter wszystko jej pozostawi.

Marino dzieli się ze mną swoimi nowinami.

– Odkryliśmy coś dziwnego w sprawie hotelu Fort James. Vander pracował jak szatan nad odciskami palców w pokoju i, kurwa, nie uwierzysz – powtarza znowu – nie zgadniesz, czyje się tam pojawiły. Dianę Bray! Nie sprzedaję kitu. Doskonały utajony odcisk obok kontaktu, zaraz jak się wchodzi do pokoju, odcisk jej palca, Bray. Oczywiście znaleźliśmy też odciski nieboszczyka, ale nie natrafiliśmy na żadne inne oprócz Bev Kiffin, jak się można było spodziewać. Na przykład jej odciski są na Biblii, ale jego, Matosa, nie. I to też jest dosyć interesujące. Wygląda na to, że to Kiffin mogła otworzyć Biblię na, jak mu tam.

– Eklezjaście – przypominam mu.

– No. Ukryty odcisk palca Bev Kiffin. A pamiętasz, powiedziała, że nie otwierała Biblii, więc ją zapytałem jeszcze raz przez telefon, a ona dalej twierdzi, że jej nie otwierała. Więc mam poważne podejrzenia co do jej udziału, szczególnie teraz, kiedy wiemy, że i Bray była w tym pokoju przed zabójstwem tego gościa. Co ona robiła w tym motelu, możesz mi powiedzieć?

– Może tam handlowano narkotykami – odpowiadam. – Nie przychodzi mi do głowy inny powód. Na pewno ten motel to nie miejsce, w którym by się zatrzymywała.

– Trafiony. – Marino celuje we mnie palcem jak pistoletem. – A mąż Kiffin podobno pracuje w tej samej firmie przewozowej, gdzie pracował Barbosa, tak? Chociaż ciągle nie natrafiliśmy na nikogo o nazwisku Kiffin, kto by jeździł ciężarówką – w ogóle nie możemy go znaleźć, co, muszę przyznać, jest dziwne. A wiemy, że Cwerland zajmuje się przemytem narkotyków i broni, prawda? Może rzeczywiście się okaże, że to Chandonne pozostawił włosy na kempingu. Może mówimy o jego rodzinnym kartelu, co? Może właśnie to, kurwa, w ogóle sprowadziło go do

Richmondu, rodzinne interesy. A będąc tutaj, nie potrafił zapanować nad swoim zwyczajem mordowania kobiet.

– To by także wyjaśniało, co tu robił Matos – dodaję.

– No właśnie. Może on i Chandonne byli kumplami. Albo też ktoś z rodziny przysłał Matosa do Wirginii, żeby powęszył, co porabia Johnny i uspokoił go, żeby nikomu nie wyśpiewał o rodzinnych interesach.

Jest niekończąca się liczba możliwości.

– Ale nic nie wyjaśnia, dlaczego Matos został zamordowany ani kto to zrobił. Ani czemu został zabity Barbosa – zauważam.

– Nie, ale wiem, że się robi ciepło – oświadcza Marino. – I mam przeczucie, że jak głębiej poskrobiemy, możemy znaleźć Talleya. Może to on jest brakującym ogniwem w tym wszystkim.

– Podobno znał Dianę Bray jeszcze w Waszyngtonie. I mieszkał w tym samym mieście, gdzie jest kwatera główna Chandonne'ów.

– I zawsze udaje mu się znaleźć tam, gdzie przebywa Chandonne – dodaje Marino. – I chyba widziałem tego dupka przedwczoraj. Na czerwonych światłach obok mnie stał wielki motor Honda. Nie poznałem Talleya w pierwszej chwili, bo był w hełmie z ciemną opuszczaną osłoną z przodu, ale wpatrywał się w mój samochód. Jestem pewien, że to był on. Szybko odwrócił wzrok. Palant.

Dzwoni Rosę, aby mi powiedzieć, że na linii jest gubernator, mamy umówioną rozmowę telefoniczną. Daję znak Marinowi, żeby zamknął drzwi mojego gabinetu i czekam, aż Mitchell się zgłosi. Rzeczywistość znowu atakuje. Wracam do swojego ciężkiego położenia i rozgłosu wokół całej sprawy. Wydaje mi się, że wiem dokładnie, o czym myśli gubernator.

– Kay? – Mikę Mitchell ma ponury głos. – Było mi bardzo przykro, kiedy zobaczyłem dzisiejszą gazetę.

– Mnie to też nie cieszy – oświadczam.

– Wspieram cię i dalej będę cię wspierał – mówi, być może żeby przygotować mnie na resztę, którą ma zamiar mi przekazać, a która nie może być niczym dobrym. Nie odpowiadam. Podejrzewam także, że wie o Jaime Berger i prawdopodobnie miał coś wspólnego z tym, że mianowano ją specjalnym oskarżycielem. Nie podnoszę tego tematu. – Myślę, że w twoim obecnym położeniu – ciągnie gubernator – najlepiej będzie, jeśli zaprzestaniesz wykonywania obowiązków, dopóki cała sprawa się nie wyjaśni. I, Kay, to nie dlatego, abym wierzył chociaż w jedno słowo. – To również nie to samo, co gdyby powiedział, że uważa, iż jestem niewinna. – Ale dopóki wszystko się nie uspokoi, jestem zdania, że nierozsądne byłoby, gdybyś nadal kierowała biurem koronera.

– Wyrzucasz mnie, Mike? – pytam prosto z mostu.

– Nie, nie – mówi szybko, a jego ton łagodnieje. – Przejdźmy po prostu przez to przesłuchanie przed wielką ławą i wtedy zobaczymy. Nie rezygnuję także z twojego pomysłu pracy na prywatne zlecenia. Tylko skończmy najpierw z tym wszystkim – powtarza.

– Oczywiście, zrobię, jak sobie życzysz – mówię z należnym szacunkiem. – Ale muszę zaznaczyć, że nie uważam, iż w najlepszym interesie stanu jest to, bym wycofała się z bieżących spraw, które nadal wymagają mojej uwagi.

– Kay, to niemożliwe. – Teraz jest politykiem. – Mówimy tylko o dwóch tygodniach, zakładając, że przesłuchanie pójdzie dobrze.

– Wielki Boże – odpowiadam. – Musi dobrze pójść.

– Jestem pewien, że tak będzie. Odkładam słuchawkę i patrzę na Marina.

– No to tyle. – Zaczynam wrzucać papiery do teczki. – Mam nadzieję, że nie wymienią zamków natychmiast, jak stąd wyjdę.

– Tak naprawdę, Kay, co miał zrobić? Zastanów się tylko, co innego mógł zrobić? – Marino pogodził się z tym, co nieuchronne.

– Chciałabym tylko wiedzieć, kto, do cholery, zrobił przeciek do mediów? – Zamykam teczkę i zatrzaszukuję zamki. – Czy dostałeś wezwanie? – pytam. – To nie jest poufne. Możesz mi powiedzieć.

– Wiedziałaś przecież, że dostanę. – Ma zboląłą minę. – Nie daj się tym skurwielom. Nie wolno ci się poddawać.

Biorę teczkę i otwieram drzwi gabinetu.

– Wszystko tylko nie to. Prawdę mówiąc, mam sporo do zrobienia. Wyraz jego twarz mówi „co”? Właśnie gubernator rozkazał mi nie robić nic.

– Mikę to porządny facet – zauważa Marino – ale nie wolno na niego naciskać. I nie dawaj mu powodu, żeby cię wylał. Może dokądś wyjedziesz na kilka dni? Może pojedziesz odwiedzić Lucy? Wróciła przecież do Nowego Jorku z Teun. Powinnaś się stąd wynieść aż do przesłuchania. Bardzo bym chciał przestać się cały czas o ciebie martwić. Nie podoba mi się nawet to, że jesteś zupełnie sama w domu Anny.

Oddycham głęboko, starając się ukryć wściekłość i ból. Marino ma rację. Nie ma sensu rozeźlić gubernatora i pogorszyć sprawy. Teraz na domiar wszystkiego czuję się jeszcze wyrzucona z miasta. Anna nie odezwała się ani słowem i to także boli. Jestem na skraju łez, a nie chcę płakać w biurze. Odwracam wzrok, ale Marino rozumie mój nastrój.

– Hola – mówi – masz wszelkie prawo, żeby się czuć podle. To wszystko jedno wielkie gówno.

Przechodzę przez hol i skracam sobie drogę przez damską toaletę, idąc do prosektorium. Turek zaszywa Benny'ego White'a, a Jack siedzi przy blacie zajęty papierami. Przystawiam sobie krzesło i zdejmuję kilka włosów z fartucha Fieldinga.

– Musisz przestać linieć – mówię, starając się ukryć niepokój. – Powiesz mi, dlaczego tak ci wypadają włosy? – Już od kilku tygodni miałam zamiar

go o to zapytać. Jak zawsze, tyle się wydarzyło, a nam się nie udało porozmawiać.

– Wystarczy przeczytać gazetę – mówi, odkładając pióro. – To powinno wyjaśnić, dlaczego mi wypadają włosy. – W oczach ma zmęczenie.

Potakuję, rozumiejąc, co ma na myśli. Tak jak przypuszczałam, Jack wie już od jakiegoś czasu, że jestem w poważnych kłopotach. Może Righter się z nim skontaktował kilka tygodni temu i zaczął go wypytywać tak jak Annę. Pytam, czy tak było, a Jack przyznaje, że owszem. Mówi, że jest wrakiem. Nienawidzi polityki i władzy, i nie chce mojej posady ani teraz, ani potem.

– Dzięki tobie dobrze wypadam – mówi. – Zawsze tak było. Może myślą, że powinienem zostać głównym koronerem? I co ja wtedy zrobię? Nie wiem. – Przeczesuje palcami włosy i znowu kilka mu wypada. – Chciałbym po prostu, żeby wszystko znowu wróciło do normalności.

– Ja też, możesz mi wierzyć. – Dzwoni telefon i Turek go odbiera.

– Przypomniało mi się – mówi Jack. – Odbieramy tu dziwne telefony. Mówiłem ci o tym?

– Byłam tu, jak ktoś się przedstawił jako Benton.

– To chore – stwierdza Jack z niesmakiem.

– To jedyny, o jakim wiem – dodaję.

– Doktor Scarpetta? – woła Turek. – Może pani podejść? To Paul. Idę do telefonu.

– Jak się masz Paul? – zwracam się do Paula Monty’ego, dyrektora laboratoriów sądowych na cały stan.

– Przede wszystkim chcę, abyś wiedziała, że wszyscy w całej tej cholerniej budzie trzymają z tobą, Kay. Brednie. Przeczytałam te bzdury i praktycznie się porzygałam. A teraz urabiamy się po łokcie. – Chodzi mu o badanie dowodów. Teoretycznie podejście do badania dowodów ma być

egalitarne – to znaczy żadna ofiara nie powinna być ważniejsza od innej i przesuwana na początek kolejki. Ale istnieje również niepisana reguła, taka jak w przypadku strzelania do policjantów. Wszyscy zajmują się przede wszystkim swoimi ludźmi. Tak to już jest. – Mam interesujące wyniki, które chciałbym ci przekazać osobiście – ciągnie Paul Monty. – Włosy z kempingu – przypuszczałaś, że mogą należeć do Chandonne’a? DNA się zgadza. Ale jest jeszcze bardziej interesujące, że porównania wykazują, iż włókna bawełnianych prześcieradeł z kempingu pasują do tych z materaca w sypialni Dianę Bray.

Układa się pewien scenariusz. Po zamordowaniu Dianę Bray Chandonne zdjął pościel z łóżka i uciekł na kemping. Może w niej spał. A może po prostu ją tam wyrzucił. Ale w każdym wypadku możemy zdecydowanie zlokalizować Chandonne’a w motelu Fort James. Paul nie ma w tej chwili nic więcej do przekazania.

– A co z nitką do zębów, którą znalazłam w motelu? Tą z pokoju, gdzie zabito Matosa?

– Tu nie mamy trafienia. DNA nie pasuje do Chandonne’a ani Bray, ani żadnego z podejrzanych. Może zostawił ją któryś z poprzednich gości? Może nie mieć związku z tą sprawą.

Wracam do pulpitu, gdzie Jack znowu podejmuje temat dziwnych telefonów. Mówi, że było ich sporo.

– Odebrałem jeden z nich i jakiś facet chciał mówić z tobą, przedstawił się jako Benton, a potem rozłączył. Za drugim razem odebrała Turek. Facet prosi ją, by ci powtórzyła, że się spóźni godzinę na kolację, przedstawia się jako Benton i rozłącza. Więc i to dołącz do całej tej mieszanki. Nic dziwnego, że łysieję.

– Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? – Biorę z roztargnieniem jedno ze zdjęć Benny’ego White’a, zrobione, zanim go rozebrano na wózk.

– Uznałem, że masz i tak dosyć. Powinienem być ci powiedzieć. Źle zrobiłem.

Widok drobnego ciała chłopca ubranego w najlepsze niedzielne ubranie i leżącego jeszcze w rozpiętym worku na zwłoki jest czymś nie na miejscu. Czuję głęboki smutek, dostrzegłszy, że spodnie Billy’ego są trochę przykrótkie, a skarpetki nie do pary, jedna niebieska, jedna czarna. Czuję się jeszcze gorzej.

– Znalazłeś coś nieoczekiwanego?

Dosyć już się nagadałam o swoich problemach. Prawdę mówiąc, wydają się mało ważne, kiedy patrzę na zdjęcia Benny’ego i myślę o jego matce w pokoju, z którego oglądała ciało syna.

– Znalazłem coś, co mnie zdziwiło – oświadcza Jack. – Powiedziano mi, że wrócił z kościoła i w ogóle nie wszedł do domu. Wsiadł z samochodu i poszedł wprost do stodoły, mówiąc, że zaraz przyjdzie, bo chce poszukać scyzoryka. Myślał, że może jest w pudełku na przynętę, ponieważ zapomniał go stamtąd wyjąć, kiedy wrócił poprzedniego dnia z ryb. Nie pokazał się w ogóle w domu. Innymi słowy, nie zjadł niedzielnego obiadu. A jednak ten chłopiec miał pełny żołądek.

– Możesz mi powiedzieć, co jadł? – pytam.

– No. Prażoną kukurydzę. I wygląda na to, że parówki. Więc dzwonię do niego do domu i rozmawiam z ojczymem. Pytam, czy Benny mógł coś jeść w kościele i dowiaduję się, że nie. Ojczym nie miał pojęcia, skąd się wzięło to jedzenie.

– To bardzo dziwne – zauważam. – Czyli wraca do domu z kościoła i wychodzi się powiesić, ale najpierw zatrzymuje się gdzieś po drodze na prażoną kukurydzę i parówki? – Wstaję. – Coś tu jest nie w porządku.

– Gdyby nie zawartość żołądka, powiedziałbym, że to oczywiste samobójstwo. – Jack nadal siedząc, podnosi na mnie wzrok. –

Zamordowałbym Stanfielda za przecięcie węzła. Matoł.

– Może powinniśmy obejrzeć miejsce, gdzie wisiał Benny – postanawiam. – Trzeba tam pojechać.

– Mieszkają na farmie w James City County. Nad samą rzeką, a las, gdzie wisiał Benny, jest podobno na skraju pola, ponad kilometr od domu.

– Chodźmy – mówię. – Może Lucy nas podrzuci.

Hangar w Nowym Jorku znajduje się o dwie godziny lotu od HeloAir w Richmondzie i Lucy jest bardziej niż zadowolona, mogąc się pochwalić nowym sprzętem firmy. Plan jest prosty. Zabierze Jacka i mnie i polecimy na farmę, po czym we troje sprawdzimy miejsce, gdzie Benny White rzekomo odebrał sobie życie. Chcę także obejrzeć jego pokój. Potem odstawimy Jacka do Richmondu, a ja wrócę z Lucy do Nowego Jorku i pozostanę tam aż do przesłuchania przed wielką ławą przysięgłych. To wszystko zaplanowaliśmy na jutro rano. Detektyw Stanfield nie jest zainteresowany spotkaniem się z nami na miejscu zbrodni.

– Po co? – Brzmią jego pierwsze słowa. – Po co chcecie tam jechać?

Niemal mówię mu o niedającej się wytłumaczyć treści żołądka. Jestem o krok od zapytania, czy zauważył cokolwiek, co wzbudziło jego podejrzenia. Ale gryzę się w język. Coś mnie powstrzymuje.

– Gdyby tylko pan mi wytłumaczył, jak tam trafić – proszę. Stanfield opisuje, gdzie mieszka rodzina Benny’ego White’a; w bok od szosy numer 5, nie można nie trafić, bo przy skrzyżowaniu jest niewielki sklep i przy nim właśnie trzeba skręcić w lewo. Podaje mi punkty orientacyjne, które nie będą pomocne przy locie helikopterem. Wreszcie wyciągam z niego, że farma jest położona półtora kilometra od promu nieopodal Jamestown i wtedy po raz pierwszy uprzytamniam sobie, że dom Benny’ego znajduje się bardzo blisko motelu Fort James i kempingu.

– O tak – mówi Stanfield, kiedy go o to pytam. – Był dokładnie w tej okolicy, gdzie tamci dwaj. Właśnie to go tak wytrąciło z równowagi, zdaniem jego matki.

– Jak daleko od motelu leży farma?

– Na wprost, po drugiej stronie strumienia. To nieduża farma.

– Detektywie Stanfield, czy istnieje jakaś możliwość, że Benny znał dzieci Bev Kiffin, jej dwóch synów? Rozumiem, że chłopiec lubił łowić ryby. – Przed oczyma staje mi wędką oparta o okno na piętrze domu, gdzie mieszkał Mitch Barbosa.

– Znam tę historię, że niby poszedł wyjąć scyzoryk z pudełka na przynętę, ale nie sądzę, że tak było. Myślę, że po prostu chciał znaleźć pretekst, by się oddalić – odpowiada Stanfield.

– Czy wiemy, skąd wziął sznur? – Odsuwam jego irytujące przypuszczenia.

– Jego ojczym mówi, że w stodole leży mnóstwo rozmaitych sznurów. Nazywają to „stodoła”, ale po prostu trzymają tam rozmaite graty. Pytałem go, co tam jest, i powiedział, że graciarnia. Wie pani, mam wrażenie, że Benny mógł spotkać Barbosę, wie pani, na rybach, a wiemy, że tamten był miły dla dzieci. To z pewnością ułatwia wyjaśnienie sprawy. A matka chłopca powiedziała przecież, że miał koszmary i był strasznie poruszony tymi zabójstwami. Śmiertelnie przerażony, to jej słowa. Musicie iść wprost do potoku. Zobaczycie stodołę na skraju pola i tuż obok las, na lewo. Jest tam zarośnięta ścieżka, Benny powiesił się jakieś piętnaście metrów dalej, obok platformy do obserwowania jeleni. Nie można jej nie zauważyć. Nie wchodziłem na platformę, żeby odciąć sznur, tylko odciąłem tę część, którą miał na szyi. Więc powinien nadal tam być.

Powstrzymuję się od wyrażenia opinii o niedbalstwie. Nie wypytuję więcej i nie mówię, że powinien zrobić właśnie to, czym groził – odejść.

Dzwonię do pani White, żeby ją poinformować o swoich planach. Jej głos jest cichy i pełen bólu. Sprawia wrażenie oszołomionej i nie rozumie, że chcemy wylądować na farmie helikopterem.

– Potrzebna nam polana. Płaskie pole, miejsce, gdzie nie ma drutów telefonicznych i wielu drzew – tłumaczę.

– Nie mamy pasa startowego. – Powtarza to kilka razy. Wreszcie prosi do telefonu męża. Ma na imię Marcus. Mówi mi, że mają pole soi pomiędzy szosą numer 5 a domem i stoi tam również silos pomalowany na ciemnozielone. W okolicy nie ma innego silosu takiego koloru, dodaje. Nie przeszkadza mu, że wylądujemy na jego farmie.

Reszta dnia jest długa. Pracuję w biurze i udaje mi się złapać współpracowników przed wyjściem do domu. Tłumaczę im, co się dzieje w moim życiu, i zapewniam każdego z osobna, że jego posada nie jest zagrożona. Mówię także jasno, że nie zrobiłam nic złego i jestem pewna, że moje imię zostanie oczyszczone. Nie wspominam, że złożyłam dymisję. Mieli już dosyć wstrząsów i nie potrzeba im trzęsienia ziemi. Nie pakuję niczego w swoim gabinecie i wychodzę, zabierając jedynie teczkę, tak jakby wszystko było w porządku i miałabym zobaczyć się ze swoim personelem, jak zwykle, jutro rano.

Teraz jest dziewiąta wieczór. Siedzę w kuchni u Anny, skubię gruby plaster cheddara i sączę powoli kieliszek czerwonego wina, bo po prostu nie mogę przełknąć czegoś solidniejszego. Schudłam. Nie wiem ile. Nie mam apetytu i nabrałam paskudnego zwyczaju wychodzenia co jakiś czas przed dom na papierosa. Mniej więcej co pół godziny próbuję bez skutku skontaktować się z Marinem. I ciągle myślę o teczce O-POS. Niemal nie opuściła moich myśli od czasu, jak na nią patrzyłam w Boże Narodzenie. Około północy dzwoni telefon i zakładam, że to wreszcie kapitan oddzwania.

– Scarpetta – mówię do słuchawki.

– Tu Jaime – brzmi charakterystyczny, zdecydowany głos. Jestem zaskoczona. Ale po chwili przypominam sobie: prokurator Berger nie waha się rozmawiać z osobami, które ma zamiar wysłać do więzienia, bez względu na godzinę.

– Rozmawiałam przez telefon z Marinem – zaczyna. – Więc wiem, że jest pani świadoma mojej sytuacji. A raczej należy powiedzieć naszej sytuacji. I w gruncie rzeczy powinna się pani dobrze z tym czuć, Kay. Nie będę pani pouczać, ale proszę mi pozwolić powiedzieć sobie jedno.

Niech pani rozmawia z przysięgłymi tak, jak pani rozmawiała ze mną. I niech się pani próbuje nie martwić.

– Myślę, że już jestem poza tym etapem – odpowiadam.

– Dzwonię głównie po to, żeby przekazać pani pewne informacje. Mamy DNA ze znaczków. Ze znaczków na listach z teczki O-POS – precyzuje, jakby znowu czytała w moich myślach. Przychodzi mi do głowy, że teraz laboratoria w Richmondzie współpracują bezpośrednio z nią. – Wygląda na to, Kay, że Dianę Bray była wszędzie. W każdym razie polizała te znaczki i zakładam, że napisała również listy, a była na tyle sprytna, że nie zostawiła na nich odcisków palców. Odciski palców na listach pochodzą od Bentona, prawdopodobnie zostawił je, kiedy otwierał koperty, nie wiedząc, co jest w środku. Zakładam, że wiedział, iż są tam jego odciski. Nie rozumiem, dlaczego nie zostawił notatki na ten temat. Zastanawiam się, czy Benton kiedykolwiek wspominał pani o Bray. Czy jest jakiś powód, by przypuszczać, że się znali?

– Nie pamiętam, żeby o niej wspominał. – Moje myśli są zablokowane. Nie mogę uwierzyć w to, co właśnie usłyszałam.

– Cóż, z pewnością mógł ją znać – ciągnie. – Pracowała w Waszyngtonie. On był kilka kilometrów stamtąd, w Quantico. Nie wiem.

Ale zdumiewa mnie, że mu wysyłała te listy i zastanawiam się, czy chciała, by je wysyłano z Nowego Jorku po to, żeby poszedł tropem przypuszczenia, że pochodzą od Carrie Grethen.

– A wiemy, że poszedł tym tropem – przypominam jej.

– W takim razie musimy się zastanowić, czy to możliwe, tylko możliwe, że Bray miała również coś wspólnego z jego zabójstwem – stawia kropkę Berger.

Przemyka mi przez myśl, że znowu mnie sprawdza. Czego się spodziewa? Że wyskoczę z czymś, co mnie obciąży? „Dobrze. Bray dostała za swoje”. Albo: „Dostała, na co zasłużyła”. A jednocześnie sama nie wiem. Może to przemawia moja paranoja, a nie rzeczywistość. Może Jaime Berger po prostu mówi to, co myśli i nic poza tym.

– Nie przypuszczam, żeby Dianę Bray kiedykolwiek wspominała pani o Bentonie.

– Niczego takiego nie pamiętam. Nie przypominam sobie, żeby Bray kiedykolwiek powiedziała choćby słowo na jego temat.

– Czego nie rozumiem, to związku z Chandonne'em. Jeśli przyjmiemy, że znał Bray, zakładając, że ze sobą współpracowali, to dlaczego miałyby ją zabić? I jeszcze w taki sposób? To mi nie pasuje. Nie pasuje do sylwetki psychologicznej. Co pani o tym myśli?

– Może powinna mi pani najpierw przeczytać moje prawa, zanim mnie pani zapyta, co myślę o zabójstwie Bray – zauważam. – Albo może należy zaczekać z pytaniami do przesłuchania.

– Nie jest pani aresztowana – odpowiada i nie wierzę własnym uszom. W jej tonie słyszę śmiech. Rozbawiłam ją. – Nie muszę czytać pani jej praw. – Poważnieje. – Nie bawię się z panią, Kay. Proszę panią o pomoc. Powinna się pani cieszyć, do diabła, że to ja będę w tej sali przesłuchiwać świadków, a nie Righter.

– Przykro mi, że ktokolwiek będzie w tej sali. Nikt nie powinien tam się znajdować. Nie z mojego powodu.

– Mamy dwa główne elementy, które musimy wyjaśnić. – Jaime Berger jest nieczuła i ma mi jeszcze coś do powiedzenia. – Płyn nasienny w przypadku Susan Pless nie pochodzi od Chandonne’a. A teraz mamy te najnowsze informacje o Dianę Bray. To tylko intuicja. Ale nie myślę, że Chandonne znał Bray. Nie osobiście. W ogóle. Myślę, że wszystkie jego ofiary to osoby, które znał tylko z widzenia. Obserwował je, zakradał się, fantazjował. Nawiasem mówiąc, takiego zdania był również Benton, kiedy robił profil psychologiczny zabójcy Susan Pless.

– Czy był także zdania, że ten, kto ją zamordował, pozostawił również płyn nasienny? – pytam.

– Nigdy nie przypuszczał, że w grę wchodzi więcej niż jedna osoba. Aż do pani spraw w Richmondzie ciągle szukaliśmy tego dobrze ubranego, przystojnego faceta, który jadł z nią kolację w Lumi. Absolutnie nie szukaliśmy samozwańczego wilkołaka z zaburzeniami genetycznymi, wtedy zdecydowanie nie.

Tak jakbym mogła po tym wszystkim dobrze spać. Nie mogę. Zapadam się i wynurzam, co chwila biorę do ręki budzik, żeby sprawdzić, która godzina. Czas posuwa się niepostrzeżenie i ciężko jak lodowce. Śni mi się, że jestem w swoim domu i mam szczeniaka, zachwycającą żółtą suczkę labradora, z długimi, ciężkimi uszama, wielkimi łapami i najmiłszym pyskiem, jaki można sobie wyobrazić. Przypomina mi pluszowe zwierzęta w sklepie z zabawkami FAO Schwartz, tym cudownym sklepie w Nowym Jorku, gdzie szukałam niespodzianek dla Lucy, kiedy była dzieckiem. W moim śnie, tej bolesnej fikcji, którą snuję na pół przytomnie, bawię się z suczką, łaskoczę ją, a ona mnie liże i macha ogonem jak szalona. Potem idę znowu do swojego domu, który jest ciemny i zimny, i czuję, że nie ma

w nim nikogo, żadnego życia, wokół panuje absolutna cisza. Wołam suczkę, ale nie pamiętam imienia i gorączkowo szukam jej we wszystkich pomieszczeniach. Budzę się w gościnnym pokoju Anny, płacząc, szlochając i krzycząc.

Rozdział 33

Wstaje poranek i mgła unosi się jak dym, kiedy lecimy ponad drzewami. Jesteśmy z Lucy same w jej nowej zabawce, bo Jack obudził się z bólem i zaziębiony. Został w domu, a ja podejrzewam, że sam się wpędził w tę chorobę. Myślę, że jest skacowany i boję się, że nieznośny stres, jaki sprowadziłam na całe biuro, wywołał u niego złe nawyki. Jack był bardzo zadowolony ze swojego życia. Teraz wszystko się zmieniło.

Helikopter Bell 407 jest czarny w jaskrawe pasy. Pachnie jak nowy samochód i porusza się z gładką siłą ciężkiego jedwabiu. Lecimy na wschód, trzysta metrów nad ziemią. Obserwuję mapę, którą trzymam na kolanach, usiłując dopasować przedstawione na niej linie wysokiego napięcia, drogi i szyny kolejowe do tego, nad czym przelatujemy. Nie żebyśmy nie wiedziały dokładnie, gdzie jesteśmy, bo helikopter Lucy ma wyposażenie nawigacyjne wystarczające dla concorde'a. Ale kiedy czuję się tak jak w tej chwili, staram się czymś zająć.

– Dwie anteny na jedyńce. – Pokazuję jej na mapie. – Sto siedemdziesiąt metrów nad poziomem morza. Nie powinny mieć znaczenia, ale jeszcze ich nie widzimy.

– Patrzę – odpowiada.

Anteny będą znacznie poniżej horyzontu, co znaczy, że nie są zagrożeniem, nawet jeśli znajdziemy się blisko nich. Ale mam specjalną fobię wobec przeszkód, bo jest ich coraz więcej w świecie ciągłej komunikacji. Zgłasza się wieża kontroli lotów w Richmondzie, informując nas, że wychodzimy spoza radaru i możemy lecieć, stosując VFR. Zmieniam częstotliwość na tysiąc dwieście. Anteny są ledwie widoczne kilkanaście kilometrów przed nami. Nie powodują błysków wysokiego napięcia i są jedynie cienkimi prostymi ołówkami w szarej mgle. Pokazuję je Lucy – Widzę – mówi. – Nie cierpię ich. – Naciska jakiś przyrząd i omija je z daleka, nie chcąc żadnego bliższego kontaktu z drutami, bo te ciężkie stalowe kable są jak snajperzy. Zawsze dosięgną cię pierwsze.

– Czy gubernator wkurzy się na ciebie, jak się dowie, co robisz? – Pytanie Lucy rozbrzmiewa w moich słuchawkach.

– Kazał mi zrobić sobie wakacje od biura. I jestem poza biurem.

– Więc pojedziesz ze mną do Nowego Jorku. Możesz u mnie zamieszkać. Naprawdę się cieszę, że odchodzisz z tej pracy, przestajesz być szefem, idziesz na swoje. Może zostaniesz w Nowym Jorku i będziesz pracować dla mnie i Teun?

Nie chcę ranić jej uczuć, więc nie mówię jej, że się nie cieszę. Chcę mieszkać we własnym domu i zajmować się swoją pracą, jak zawsze, a to już nigdy nie będzie możliwe. Czuję się jak uciekinierka, tłumaczę Lucy, której uwaga skupiona jest na tym, co się dzieje poza kabiną i z czego ani na chwilę nie spuszcza wzroku. Rozmowa z kimś, kto pilotuje helikopter, jest jak rozmowa przez telefon. Tamten ktoś w gruncie rzeczy cię nie widzi. Nie można gestykulować ani się dotknąć. Słońce nabiera blasku, a mgła rzednie, im dalej lecimy na wschód. Pod nami strumienie lśnią jak wnętrzości ziemi, a James błyszczy jak śnieg. Obniżamy się i zwalniamy, przelatujemy nad Susan Constant, Gidspeed i Discovery, naturalnej

wielkości replikami statków, które w 1607 roku przywiozły do Wirginii czterystu mężczyzn i chłopców. W oddali odróżniam obelisk górujący nad drzewami na Jamestown Island, gdzie archeolodzy wskrzeszają pierwszą angielską osadę w Ameryce. Prom wolno przewozi samochody przez wodę w stronę Surry.

– Widzę zielony silos! – woła Lucy. – Myślisz, że to tu?

Spoglądam za jej wzrokiem w kierunku niewielkiej farmy, za którą płynie strumień. Po drugiej stronie wąskiego, błotnistej pasemka wody widoczne wśród gęstych sosen dachy i stare przyczepy ukazują motel i kemping Fort James. Lucy okrążyła farmę na stu sześćdziesięciu metrach, upewniając się, że nie ma żadnych zagrożeń, takich jak linie wysokiego napięcia. Ocenia okolicę i sprawia wrażenie zadowolonej. Opuszcza maszynę i zmniejsza szybkość. Zaczynamy się zbliżać ku polanie pomiędzy lasem a niewielkim domem z cegły, gdzie Benny White przeżył swoje krótkie, dwunastoletnie życie. Zeschła trawa burzy się, kiedy Lucy sadza helikopter, delikatnie badając grunt, aby się upewnić, że jest płaski. Pani White wychodzi z domu. Wpatruje się w nas, osłaniając dłonią oczy, a po chwili dołącza do niej wysoki mężczyzna w garniturze. Stoją na ganku, a Lucy i ja czekamy przez dwie minuty, aż silnik i urządzenia się wyłączą. Wsiadamy i idziemy w stronę domu. Uprzytamniam sobie, że rodzice Benny'ego ubrali się odświętnie na nasz przyjazd. Wyglądają, jakby właśnie wrócili z kościoła.

– Nigdy bym nie pomyślał, że coś takiego wyląduje na mojej farmie. – Pan White patrzy na helikopter z zatroskanym wyrazem twarzy.

– Proszę, niech panie wejdą. Napiją się panie kawy? – zaprasza jego żona.

Rozmawiamy o locie, gawędzimy niezobowiązująco, ale atmosfera jest gęsta od niepokoju. Państwo White'owie rozumieją, że jestem tu, bo

widocznie mam jakieś złowieszcze podejrzenia dotyczące tego, co się naprawdę stało z ich synem. Uznają chyba, że Lucy należy do ekipy dochodzeniowej i kiedy się odzywają, zwracają się do nas obu. W domu panuje porządek, jest ładnie umeblowany dużymi wygodnymi krzesłami, plecionymi dywanami i mosiężnymi lampami. Podłoga jest sosnowa, a drewniane ściany pobielone, wiszą na nich akwarele przedstawiające sceny z wojny secesyjnej. Na półkach obok kominka w salonie jest pełno kul armatnich, kul minie, menażek, starych butelek i innych przedmiotów, które prawdopodobnie pochodzą z walk tamtego okresu. Widząc moje zainteresowanie, pan White wyjaśnia, że jest kolekcjonerem. Jest poszukiwaczem skarbów i bada teren za pomocą wykrywacza metali, kiedy ma czas. Pracuje jako księgowy. Farma stanowi własność rodziny od ponad stu lat, ale on już nie gospodaruje, wyjaśnia Lucy i mnie.

– Chyba mam fioła na punkcie historii. Znalazłem nawet kilka guzików z czasów wojny o niepodległość. Nigdy nie wiadomo, na co się tu natrafi.

Jesteśmy w kuchni. Pani White nalewa Lucy szklanek wody.

– A Benny? – pytam. – Interesował się historią?

– Och, jeszcze jak – odpowiada jego matka. – Oczywiście ciągle miał nadzieję znaleźć prawdziwy skarb. Na przykład złoto. – Zaczęła już godzić się z tym, że jej syn nie żyje i mówi o nim w czasie przeszłym.

– Znają panie tę starą historię, że konfederaci ukryli gdzieś całe swoje złoto i nigdy go nie odnaleziono. Benny myślał, że je znajdzie. – Pan White trzyma w ręku szklanek wody, jak gdyby nie był pewien, co ma z nią zrobić. Odstawia ją, nie wypiwszy ani kropli. – Lubił być na dworze, naprawdę lubił. Często myślałem, jaka to szkoda, że nie prowadzimy już farmy, bo myślę, że naprawdę by go to cieszyło.

– Zwłaszcza zwierzęta – dodaje pani White. – To dziecko kochało zwierzęta bardziej niż ktokolwiek inny. Miał takie czułe serce. – Łzy

napływają jej do oczu. – Jeśli ptak uderzył w okno, wybiegał, żeby go poszukać i wracał w kompletnej histerii, gdy się okazywało, że biedak złamał kark, co się zwykle zdarza w takich wypadkach.

Ojczym Benny'ego wpatruje się w przestrzeń za oknem, na jego twarzy maluje się ból. Matka milczy. Za wszelką cenę stara się jakoś trzymać.

– Benny przed śmiercią coś zjadł – mówię im. – Może doktor Fielding pytał państwa o to, żeby się upewnić, czy chłopiec mógł dostać coś do jedzenia w kościele.

Pan White potrząsa głową, nadal patrząc w okno.

– Nie, proszę pani. W kościele nie podają jedzenia poza kolacjami w środę wieczorem. Jeśli Benny coś jadł, to zupełnie nie wiem, gdzie.

– Nie tutaj – dodaje z naciskiem pani White. – Zrobiłam pieczeń w niedzielę, ale nie jadł obiadu. Pieczeń była jednym z jego ulubionych dań.

– Miał w żołądku prażoną kukurydzę i parówki – mówię. – Wydaje się, że jadł niedługo przed śmiercią. – Mam nadzieję, że oboje rozumieją, jakie to dziwne i wymagające wyjaśnienia.

Twarze obojga rodziców wyrażają zdumienie. W ich oczach widać zainteresowanie i zaskoczenie. Mówią, że nie mają najmniejszego pojęcia, gdzie Benny najadł się tych śmieci, jak to nazywają. Lucy pyta o sąsiadów – czy Benny mógł wstąpić do kogoś, zanim poszedł do lasu. Ponownie nie potrafią sobie wyobrazić, żeby zrobił coś takiego, nie w porze obiadu, a wszyscy sąsiedzi to starsi ludzie i nigdy by nie dali chłopcu obiadu ani nawet nic do przegryzienia, nie zadzwoniwszy do rodziców, żeby się upewnić, czy nie mają nic przeciwko temu.

– Nie poczęstowaliby go bez zapytania nas o zgodę. – Pani White jest tego pewna.

– Pozwolą państwo, że zobaczę jego pokój? – pytam. – Czasem łatwiej mi zrozumieć pacjenta, kiedy widzę, gdzie mieszkał.

Państwo White'owie trochę się wahają.

– Cóż, to chyba w porządku – decyduje w końcu ojczym. Prowadzą nas korytarzem na tyły domu. Po lewej stronie korytarza mijamy pokój, który wygląda, jakby należał do dziewczynki; ma biało-różowe ściany i różową kapę na łóżku. Na ścianach wiszą plakaty z końmi. Pani White wyjaśnia, że to pokój Lori. To młodsza siostra Benny'ego, w tej chwili jest u babci w Williamsburgu. Jeszcze nie wróciła do szkoły, pójdzie dopiero po pogrzebie, który odbędzie się jutro. Choć tego nie mówią, rozumiem, że są zdania, iż dla dziecka lepiej, aby było poza domem, kiedy z nieba spada koroner i zaczyna wypytywać o tragiczną śmierć brata.

Sypialnię Benny'ego wypełnia kolekcja pluszowych zabawek: smoków, niedźwiedzi, ptaków, wiewiórek – miłych i kudłatych zwierzątek, wiele z nich jest śmiesznych. Są ich dziesiątki. Rodzice Benny'ego wraz z Lucy stoją w drzwiach, a ja zatrzymuję się na środku pokoju i rozglądam, pozwalając, żeby do mnie przemówił. Do ścian przyklejone są kolorowe obrazki narysowane flamastrami; one także przedstawiają zwierzęta. Widać w nich wyobraźnię i niemały talent. Benny był artystą. Pan White mówi mi, że chłopiec nosił przy sobie szkicownik i rysował drzewa, ptaki – wszystko, co mu wpadło w oko. Ciągle też robił rysunki, które rozdawał w prezencie. Pan White opowiada, a jego żona cicho płacze, łzy płyną po jej twarzy.

Patrzę na rysunek na ścianie na prawo od komody. Barwny, pełen wyobraźni obrazek przedstawia człowieka w niedużej łódce. Mężczyzna ma na głowie kapelusz z szerokim rondem, łowi ryby, wędka jest wygięta, jakby właśnie dopisało mu szczęście. Benny narysował jasne słońce i kilka chmur, a w tle, na brzegu, kwadratowy budynek z mnóstwem okien i drzwi.

– Czy to ten potok na tyłach państwa domu? – pytam.

– Tak – potwierdza pan White, obejmując ramieniem żonę. – Spokojnie, skarbie – powtarza, zwracając się do niej co chwila i przełykając z trudem, jak gdyby sam też miał się rozpłakać.

– Benny lubił łowić ryby? – dobiega z korytarza głos Lucy. – Zastanawiam się właśnie, bo ludzie, którzy kochają zwierzęta, nie lubią łowić ryb. Albo łapią i zaraz je wypuszczają.

– Interesująca uwaga – stwierdzam. – Czy mogę zajrzeć do szafy?

– Proszę bardzo – mówi bez wahania pan White. – Nie, Benny nie lubił niczego łowić. Po prawdzie, lubił po prostu siedzieć na łódce albo znajdował sobie jakieś miejsce na brzegu. Większość czasu siedział i rysował.

– W takim razie to musi być pan. – Patrzą znowu na obrazek przedstawiający mężczyznę w łódce.

– Nie, to chyba jego tata – odpowiada smutnie pan White. – Ojciec zabierał go na łódkę. Po prawdzie, ja nie pływam łódką. – Milknie na chwilę. – No cóż, nie umiem pływać, więc nieswojo się czuję na wodzie.

– Benny był trochę zawstydzony tym rysowaniem – mówi drżącym głosem pani White. – Myślę, że nosił ze sobą wędkę, bo, wie pani, dzięki niej wyglądał jak inni chłopcy. Nie przypuszczam, że brał przynętę. Nie wyobrażam sobie, żeby mógł zabić robaka, a co dopiero rybę.

– Chleb – wtrąca pan White. – Brał chleb i robił z niego kulki. Mówiłem mu, że nic większego na to nie złapie, ale używał chleba jako jedynej przynęty.

Oglądam garnitury, spodnie i koszule na wieszakach i buty ustawione w rzędzie na podłodze. Ubrania są konserwatywne i wyglądają, jakby wybrali je rodzice. Za szafą stoi oparta o ścianę wiatrówka. Pan White wyjaśnia, że Benny strzelał do tarczy i do puszek. Nie, nigdy nie strzelał do

ptaków. Oczywiście, że nie. Nie potrafiłby nawet złapać ryby, ponownie podkreślają rodzice.

Na biurku leży stos podręczników szkolnych i pudełko flamastrów. Na pudełku leży szkicownik i pytam rodziców, czy go przeglądali. Mówią, że nie. A czy ja mogę przejrzeć? Potakują. Stoję przy biurku. Nie siadam ani się nie rządzę w pokoju ich nieżyjącego syna. Odnoszę się z szacunkiem do szkicownika i ostrożnie przewracam strony, przeglądając staranne rysunki ołówkiem. Pierwszy przedstawia konia na pastwisku i jest zadziwiająco dobry. Potem następuje kilka szkiców jastrzębia siedzącego na bezlistnym drzewie, na tle wody. Benny narysował stary, zawałony płot. Jest też kilka scen zimowych. Szkicownik został do połowy wypełniony i wszystkie prace są utrzymane konsekwentnie w tym samym stylu, dopóki nie dochodzę do kilku ostatnich. Tutaj nastrój i tematy zdecydowanie się zmieniają. Cmentarz w nocy, z księżycem w pełni, który delikatnie oświetla pochylone nagrobki. Odwracam stronę i widzę dłoń, muskularną dłoń zwiniętą w pięść, a dalej psa. Suka jest gruba, pokazuje zęby, jeży się i kuli, jakby się bała. Znam ją chyba.

Podnoszę wzrok na White'ów.

– Czy Benny mówił coś o psie Kiffinów? – pytam. – O psie imieniem Pan Fistaszek?

Na twarzy ojczyrna pojawia się szczególny wyraz, a w oczach błyszczą łzy. Wzdycha.

– Lori ma alergię – mówi, jakby to była odpowiedź na moje pytanie.

– Ciągle narzekał na to, jak traktują tego psa – włącza się pani White. – Pytał, czy nie moglibyśmy wziąć Pana Fistaszka. Chciał mieć tego psa i powiedział, że jego zdaniem Kiffinowie go oddadzą, ale nie mogliśmy jej zabrać.

– Z powodu Lori – mówię.

– Była też stara – dodaje pani White.

– Była? – pytam.

– To naprawdę smutne – ciągnie. – Zaraz po świętach Pan Fistaszek chyba źle się poczuła. Benny powiedział, że biedaczka się trzęsie i ciągle liże, jakby ją coś bolało. Potem, jakoś tak tydzień temu, musiała pewnie dokądś pójść, żeby zdechnąć. Wie pani, zwierzęta tak robią. Benny codziennie chodził jej szukać, aż serce mi się krajało. To dziecko naprawdę kochało tego psa. Myślę, że to był główny powód, dlaczego chodził do motelu – żeby się pobawić z Panem Fistaszkiem. Potem wszędzie jej szukał.

– Czy to wtedy jego zachowanie się zmieniło? – pytam. – Po zniknięciu Pana Fistaszka?

– Mniej więcej w tym czasie – potwierdza pan White. Żadne z nich nie jest w stanie wejść do pokoju Benny’ego. Stoją w drzwiach, jakby podtrzymywali ściany. – Nie myśli pani, że zrobił coś takiego z powodu psa, prawda? – Pytanie pana White’a brzmi niemal żałośnie.

Jakiś kwadrans później idę z Lucy w stronę lasu, pozostawiwszy rodziców chłopca w domu. Nie byli przy platformie, gdzie znaleziono powieszzonego Benny’ego. Pan White powiedział mi, że wie o platformie i widział ją wiele razy, chodząc ze swoim wykrywaczem metali, ale ani on, ani jego żona nie mogliby pójść tam teraz. Zapytałam, czy ich zdaniem wiele osób zna miejsce, gdzie umarł chłopiec. Obawiam się, że zaczną się tam kręcić ciekawscy, ale oboje uważają, że nikt nie wie dokładnie, gdzie znaleziono ciało. Chyba że detektyw opowiedział miejscowym, dodaje pan White.

Pole, na którym wylądowałyśmy, znajduje się pomiędzy domem a strumieniem. Ten kawałek ugoru od wielu lat nie widział pług. Na wschód ciągną się kilometry lasu, silos stoi niemal na brzegu i sterczy

w górę, zardzewiały i ciemny jak zmęczona, gruba latarnia morska, która zdaje się patrzeć przez wodę na motel i kemping Fort James. Kiedy myślę o Bennym, odwiedzającym Kiffinów, zastanawiam się, którądy tam chodził, ponieważ na szerokim strumieniu nie ma mostu. Lucy i ja idziemy ścieżką przez las, badając teren krok po kroku. W drzewach blisko wody zaplątana jest żyłka rybacka, zauważam też kilka starych łusek po nabojach i puszek. Idziemy nie dłużej niż pięć minut, kiedy napotykamy platformę do obserwacji jeleni. Wygląda jak pozbawiony dachu domek na drzewie, który ktoś sklecił w pośpiechu, a potem jeszcze przybił do pnia drewniane szczeble. Odcięta żółta nylonowa lina zwisa z belki trawersu i porusza się w lekkim chłodnym wiateryku, wiejącym od rzeki i szepeczącym w drzewach.

Zatrzymujemy się i rozglądamy dokoła w milczeniu. Nie widzę żadnych śmieci – żadnych torebek po prażonej kukurydzy ani innego śladu, że Benny jadł tu cokolwiek. Podchodzę bliżej do liny. Stanfield odciął ją na wysokości około stu dwudziestu centymetrów nad ziemią i ponieważ Lucy jest bardziej wysportowana ode mnie, proponuję, że może wejdzie na platformę i zdejmie linę we właściwy sposób. Najpierw robię zdjęcia. Sprawdzamy szczeble przybite do drzewa i wydają nam się wystarczająco solidne. Lucy ma na sobie grubą puchową kurtkę, która jednak nie ogranicza jej ruchów podczas wspinaczki. Kiedy wchodzi na platformę, ostrożnie sprawdza deski, aby się upewnić, że wytrzymają jej wagę.

– Wydaje się dość solidna – informuje mnie.

Rzucam jej rolkę taśmy, a Lucy otwiera pudełko z narzędziami. Wszyscy agenci ATF noszą przy sobie zestaw narzędzi, takich jak ostrza, szczypce, śrubokręty, nożyczki. Na miejscu pożaru często trzeba chociażby wyciągać gwoździe ze swoich wzmocnionych stałą butów. Agenci ATF często się

brudzą i są narażeni na rozmaite zagrożenia. Lucy przecina linę nad węzłem i skleja końce taśmą.

To zwyczajny, stary skautowski węzeł. Końce liny zostały stopione, żeby się nie rozplotła. Ten, kto ją obcinał, przypalił ją z obu stron.

To mnie trochę dziwi. Nie spodziewałabym się, że ktoś zaprzętał sobie głowę takimi szczegółami, gdy szykował linę, żeby się na niej powiesić.

– Nietypowe – mówię do schodzącej z platformy Lucy. – Wiesz co, zdobędę się na odwagę i sama spojrzę.

– Bądź ostrożna, ciociu Kay. Jest tam kilka paskudnych, zardzewiałych gwoździ. I uważaj na drzazgi.

Zastanawiam się, czy Benny mógł używać tej platformy jako kryjówki. Chwytam stare poszarzałe deski jedną po drugiej i wspinam się. Dobrze, że jestem w kombinezonie i butach do kostek. Na górze znajduje się ławka, na której myśliwy może usiąść i czekać, aż niczego niepodejrzewające zwierzę zjawi się w polu strzału. Sprawdzam wytrzymałość ławki, wydaje się wystarczająco mocna, więc siadam. Benny był tylko o trzy centymetry wyższy ode mnie, więc teraz mam przed oczyma to, co stąd widział, zakładając, że się tu wdrapywał. Mam nieodparte wrażenie, że tak było. Ktoś tu przychodził. W przeciwnym razie podłogę pokrywałaby gruba warstwa zeschniętych liści, a tak nie jest.

– Zauważyłaś, jak tu porządnie? – wołam do Lucy.

– Pewnie stale korzystają z niej myśliwi – odpowiada.

– Jaki myśliwy będzie sobie zawracał głowę uprzątnięciem liści o piątej rano?

Z tego punktu obserwacyjnego mam rozległy widok na wodę; widzę także tyły motelu i ciemny, brudny basen. Z komina domu Kiffinów wydobywa się dym. Wyobrażam sobie, jak Benny tu siedział i podglądał życie, szkicując i być może uciekając od smutku, który musiał odczuwać po

śmierci ojca. Umiem to sobie wyobrazić aż za dobrze, kiedy wspominam swoje własne dzieciństwo. Platforma była doskonałym miejscem dla samotnego, utalentowanego chłopca. O rzut kamieniem od brzegu wody widzę wysoki dąb, którego pień obrasta pnącze kudzu, przez co wygląda, jakby był w getrach. Wyobrażam sobie, jak na gałęzi siada jastrząb.

– Myślę, że mógł narysować tamto drzewo. I miał stąd doskonały widok na kemping.

– Ciekawa jestem, czy coś zobaczył – dobiega z dołu głos Lucy.

– Jeszcze jak – odpowiadam ponuro. – A ktoś mógł zobaczyć jego – dodaję. – O tej porze roku, kiedy na drzewach nie ma liści, był dobrze widoczny na platformie. Szczególnie jeśli ktoś miał lornetkę i jakiś powód, żeby patrzeć w tę stronę. – Kiedy to mówię, przychodzi mi do głowy, że właśnie teraz ów ktoś może również nas obserwować. Przenika mnie chłód i schodzę na ziemię.

– Masz broń w tej saszetce z tyłu, prawda? – pytam Lucy, kiedy czuję już ziemię pod stopami. – Chciałabym pójść tą ścieżką i zobaczyć, dokąd prowadzi.

Biorę linę, zwijam ją i wkładam do plastikowej torby, którą następnie wsuwam do kieszeni kurtki. Taśma wraca do plecaka. Ruszamy przed siebie ścieżką. Znajdujemy dalsze łuski po nabojach i nawet strzałę, pozostałość po sezonie łuczniczym. Wchodzimy głębiej w las, dróżka zakręca wzdłuż strumienia. Nie słychać żadnych odgłosów, tylko skrzypienie drzew na wietrze i trzaskanie gałązek łamiących się pod stopami. Chcę sprawdzić, czy ścieżka doprowadzi nas na drugą stronę strumienia i tak się dzieje. Dojście do motelu Fort James to kwadrans marszu i oto jesteśmy w lesie między motelem a szosą numer 5. Benny z pewnością mógł tu przyjść po kościele. Na parkingu motelowym stoi sześć samochodów, niektóre są wynajęte, a obok automatu z coca colą widzę duży motocykl marki Honda.

Idę z Lucy w stronę domu Kiffinów. Pokazuję jej plac kempingowy, gdzie znaleźliśmy pościel i wózek dziecienny i odczuwam połączenie złości i smutku, wspominając Pana Fistaszka. Nie wierzę, że pies odszedł gdzieś, aby zdechnąć. Boję się, że Bev Kiffin zrobiła coś okrutnego, może nawet otruła sukę i mam zamiar zapytać o to i o inne rzeczy. Nie obchodzi mnie, jak zareaguje. Po dzisiejszym dniu będę uziemiona, bez pracy i prawa do wykonywania zawodu, zawieszona. Nie mam pewności, czy jeszcze kiedykolwiek będę praktykować jako lekarz sądowy. Mogę zostać wyrzucona i napiętnowana na resztę życia. Cholera, mogę nawet wylądować w więzieniu. Kiedy wchodzimy po schodkach na ganek domu Kiffinów, czuję na sobie czyjeś oczy.

– Ponure miejsce – mówi szeptem Lucy.

Zza firanek wygląda twarz, a potem znika, kiedy starszy syn Bev Kiffin widzi, że na niego patrzę. Dzwonię do drzwi i otwiera chłopak, ten sam, którego tu widziałam wcześniej. Jest duży, ciężkiej budowy i ma pełną okrucieństwa twarz, pokrytą trądzikiem. Nie potrafię powiedzieć, ile ma lat, ale daję mu jakieś dwanaście, może czternaście.

– Była tu pani przedtem – mówi, patrząc na mnie hardo.

– Zgadza się – odpowiadam. – Czy możesz powiedzieć swojej matce, że przysłała doktor Scarpetta i chce z nią porozmawiać?

Uśmiecha się, jakby znał jakiś podły sekret, który uważa za zabawny. Powstrzymuje śmiech.

– Nie ma jej tu akurat teraz. Jest zajęta. – Jego spojrzenie twardnieje i ucieka w kierunku motelu.

– Jak masz na imię? – pyta go Lucy.

– Sonny.

– Sonny, co się stało z Panem Fistaszkiem? – pytam od niechcienia.

– To był głupi pies. Możemy tylko przypuszczać, że ktoś ją ukradł.

Nie mogę uwierzyć, że ktokolwiek chciałby ukraść taką starą, wymęczoną sukę. Po pierwsze, nie była przyjazna w stosunku do obcych. Jeżeli już, to raczej bym się spodziewała, że ją potrącił samochód.

– Ach tak? To niedobrze – mówi Lucy do Sonny’ego. – Dlaczego myślisz, że ktoś ją ukraść?

Zaskoczyła go. Chłopak zaczyna kłamać, ale jego opowieść rwie się co chwila.

– Ee, jakiś samochód podjechał w nocy. Słyszałem go i słyszałem, jak się zamykały drzwi, a ona szczekała, a potem była cisza. Znikła. Zack jest kompletnie zdołowany.

– Kiedy znikła? – pytam.

– Och, nie wiem. – Wzruszenie ramion. – W zeszłym tygodniu.

– Benny też był dość zdołowany z tego powodu – zauważam, patrząc jak zareaguje.

W jego oczach znowu pojawia się chłód.

– W szkole mówili, że jest lalą. I tak było. Dlatego się zabił. Wszyscy tak gadają – odpowiada Sonny z zadziwiającą gruboskórnością.

– Myślałam, że byliście przyjaciółmi. – Lucy robi się w stosunku do niego agresywna.

– Wkurzał mnie – oświadcza Sonny. – Ciągłe tu przychodził, żeby się bawić z tym durnym psem. Nie był moim przyjacielem. Był przyjacielem Zacka i Pana Fistaszka. Ja się nie koleguję z lalami.

Słysząc ryk uruchamianego silnika motocyklowego. W oknie pokazuje się twarz Zacka. Mały płacze.

– Czy Benny był tu w ostatnią niedzielę? – Pytam wprost. – Po kościele? Gdzieś około wpół do pierwszej, pierwszej. Czy jadł z wami parówki?

Znowu wydaje się zaskoczony. Nie spodziewał się szczegółu dotyczącego parówek i jest w kłopotcie. Ciekawość bierze górę nad

nieufnością.

– Skąd pani wie o parówkach? – pyta.

Marszczy brwi na widok motocykla, który widziałyśmy kilka minut temu, a który teraz, warcząc, jedzie ścieżką, prowadzącą z motelu do domu Kiffinów. Motocyklista, kimkolwiek jest, jedzie wprost na nas. Ma na sobie czerwono-czarny skórzany kombinezon, a jego twarz zakrywa przyciemniona osłona przy czarnym kasku.

W tej osobie dostrzegam coś znajomego. Jestem porażona, kiedy sobie to uzmysławiam. Jay Talley zatrzymuje się i zsiada z motocykla, zręcznie przerzucając nogę nad szerokim siodełkiem.

– Sonny, wracaj do domu – rozkazuje. – Już. – Mówi to z chłodną swobodą, jak gdyby znał chłopca bardzo dobrze.

Sonny wchodzi do domu i zamyka drzwi. Zack znika z okna. Jay zdejmuje kurtkę.

– Co ty tu robisz? – pyta go Lucy, a w oddali widzę Bev Kiffin ze strzelbą. Idzie w naszym kierunku od strony motelu, gdzie, jak mogę przypuszczać, była z Jayem.

W mojej głowie pojawiają się nagle czerwone chorągiewki, ale ani Lucy, ani ja nie kojarzymy faktów dość szybko. Jay rozpiną suwak grubej skórzanej kurtki i niemal natychmiast trzyma w ręku broń, czarny pistolet.

– Chryste – mówi moja siostrzenica. – Na litość boską, Jay!

– Naprawdę wolałbym, żebyś tu nie przychodziła – chłodno i spokojnie mówi do mnie Jay. – Naprawdę bym wolał. – Robi ruch pistoletem w kierunku hotelu. – Idziemy. Musimy porozmawiać.

Uciec. Ale nie ma dokąd. Gdybym uciekła, mógłby zastrzelić Lucy. Mógłby strzelić mi w plecy. Unosi pistolet i wymierza go w Lucy, jednocześnie odpinając jej saszetkę. Wie doskonale, co zawiera. Bierze mój plecak i poddaje mnie dokładnej, zawstydzającej rewizji osobistej. Chce

mnie upokorzyć, pokazać mi moje właściwe miejsce i nacieszyć się bezsilną furią Lucy, która się temu przygląda.

– Przestań – mówię cicho. – Jay, możesz już przestać. Uśmiecha się, a potem ciemna wściekłość zapala się na jego twarzy, która mogłaby być twarzą Greka. Albo Włocha. Albo Francuza. Bev Kiffin podchodzi do nas, jej oczy zwężają się na mój widok. Ubrana jest w tę samą czerwoną kurtkę drwala, co tydzień temu, włosy ma rozczochrane, jakby dopiero wstała z łóżka.

– Proszę, proszę – mówi. – Do niektórych nigdy nie dociera, że nie są mile widziani, prawda? – Jej wzrok kieruje się w stronę Jaya i zatrzymuje na nim.

Jest dla mnie oczywiste, że sypiają ze sobą, a każde słowo, jakie do mnie wypowiedział, to kłamstwo. Teraz rozumiem zaskoczenie agentki Jilison McIntyre, kiedy powiedziałam, że mąż Bev Kiffin pracuje w Overlandzie jako szofer ciężarówki. McIntyre była tajną agentką. Prowadziła księgowość firmy. Gdyby tam pracował ktoś o nazwisku Kiffin, wiedziałyby o tym. Jedynym łącznikiem z przestępczą firmą spedycyjną jest sama Bev Kiffin, a przemyt broni i narkotyków wiąże się z kartelem Chandonne'ów. Odpowiedzi. Znam je teraz, ale jest za późno.

Lucy idzie obok mnie, twarz ma jak z betonu. Nie okazuje żadnej reakcji, kiedy prowadzą nas obok zardzewiałych przyczep, które, jak podejrzewam, pozostają puste nie bez powodu.

– Laboratoria narkotyków – mówię do Jaya. – Tutaj robicie narkotyki na zamówienie? Czy po prostu trzymacie karabiny wojskowe i inne rzeczy, które później lądują na ulicy i zabijają ludzi?

– Zamknij się Kay – odpowiada cicho. – Bev, zajmij się nią. – Wskazuje Lucy. – Znajdź jej jakiś miły pokój i upewnij się, że jest jej wygodnie.

Kobieta uśmiecha się lekko i szturcha od tyłu Lucy w nogi lufą strzelby. Jesteśmy teraz przy motelu. Przebiegam wzrokiem po zaparkowanych samochodach i nie dostrzegam śladu ludzkiej obecności. Przez myśl przebiega mi Benton. Serce mi wali, a w głowie huczy od tego, co sobie właśnie uświadomiłam. Bonnie i Clyde. Nazywaliśmy Carrie Grethen i Newtona Joyce'a Bonnie i Clyde'em. Parą morderców. Przez cały czas byliśmy tacy pewni, że to oni są odpowiedzialni za zabójstwo Bentona. A jednak nigdy nie dowiedzieliśmy się z całą pewnością, z kim się spotkał tamtego popołudnia w Filadelfii. Dlaczego poszedł sam i nie powiedział o tym nikomu? Był na to za mądry. Nigdy by się nie zgodził spotkać z Carrie Grethen czy Newtonem Joyce'em czy nawet z nieznajomym mającym jakieś informacje, bo nigdy by nie zaufał nieznajomemu z tak zwanymi informacjami, kiedy był gdzieś sam i starał się wytropić tak przebiegłą, seryjną morderczynię jak Carrie. Zatrzymuję się na parkingu, podczas gdy Bev Kiffin otwiera drzwi i czeka, aż Lucy wejdzie pierwsza do jednego z pokoi. Numer 14. Lucy nie ogląda się na mnie; drzwi zamykają się za nimi obiema.

– To ty zabiłeś Bentona, prawda, Jay? – stwierdzam, a nie pytam. Kładzie mi rękę na plecach, szturcha mnie lufą pistoletu i mówi, że mam otworzyć drzwi. Wchodzimy do pokoju numer 15, tego samego, który Kiffin mi pokazała, kiedy chciałam zobaczyć, jakich prześcieradeł i materaców używała w tej norze.

– Ty i Bray – mówię do Jaya. – To dlatego wysyłała listy z Nowego Jorku, starając się, aby wyglądało, że pochodzą od Carrie. Aby Benton myślał, że tam były pisane, bo Grethen siedziała w Kirby.

Jay zamyka drzwi i macha pistoletem niemal zmęczony, jakbym była utrapieniem, które go nie bawi.

– Siadaj.

Mój wzrok wędruje w stronę sufitu, w poszukiwaniu śrub oczkowych. Zastanawiam się, gdzie jest palnik i czy taki los mnie spotka. Stoję nadal w miejscu, obok komody, na której leży Biblia, tym razem nieotwarta na rozdziale o próżności ani żadnym innym.

– Chcę tylko wiedzieć, czy spałam z człowiekiem, który zabił Bentona. – Patrzę prosto na Jaya. – Masz zamiar mnie zabić? Strzelaj. Ale już to zrobiłeś, zabijając Bentona. Więc chyba nie możesz mnie zabić dwa razy, Jay. – Dziwne, lecz nie czuję strachu, tylko rezygnację. Mój ból i udręka dotyczą tylko Lucy. Czekam, kiedy ściany zadrżą od odgłosu wystrzału. – Czy nie możesz jej z tego wyłączyć? – pytam, a Jay wie, że chodzi mi o Lucy.

– Nie zabiłem Bentona – oznajmia z twarzą, jaką się widuje u ludzi, którzy podchodzą i strzelają do prezydentów. Błądą, bez wyrazu, jak u zombi. – Zrobili to Carrie i ten jej dupek. Ja tylko zadzwoniłem.

– Zadzwoniłeś?

– Zadzwoniłem, aby się ze mną spotkał. To nie było zbyt trudne. Jestem agentem. – Podoba mu się przypominanie mi tego. – Dalej poprowadziła sprawę Carrie. Ona i ten świr z pokiereszowaną gębą, z którym się związała.

– Wystawiłeś go – mówię po prostu. – Prawdopodobnie pomogłeś też Carrie uciec.

– Nie potrzebowała wiele pomocy. Tylko trochę – odpowiada beznamiętnie. – Była taka jak wiele osób w tym biznesie. Jak się dorwą do forsy, to pieprzy im się całkiem w tych już i tak popieprzonych głowach. Zaczęła działać na własną rękę. Wieki temu. Gdybyście wy nie rozwiązali tego problemu, my byśmy to zrobili. Przestała być użyteczna.

– Rodzinne interesy, Jay? – Przygważdżam wzrokiem jego oczy. Rękę z pistoletem trzyma opuszczoną wzdłuż boku, opiera się o drzwi. Nie boi

się mnie. Jestem jak zbyt mocno napięta cięciwa łuku, zaraz pęknę. Czekam, nasłuchuję jakiegoś dźwięku z sąsiedniego pokoju. – Te wszystkie pomordowane kobiety – z iloma z nich przedtem spałeś? Jak Susan Pless. – Potrząsam głową. – Chcę tylko wiedzieć, czy pomagałeś Chandonne’wi czy też wchodził po tobie i raczył się tym, co pozostawiłeś?

Jay spogląda na mnie ostrzej. Dotknęłam prawdy.

– Wiesz co, jesteś o wiele za młody, żeby być Jayem Talleyem, kimkolwiek by był. Jay Talley bez drugiego imienia! I nie studiowałeś na Harvardzie, i wątpię, czy kiedykolwiek mieszkałeś w Los Angeles, nie jako dziecko. To twój brat, prawda, Jay? Ten potwornie zdeformowany facet, który nazywa siebie Wilkołakiem? Jest twoim bratem, a wasze DNA są tak podobne, że przy rutynowym badaniu moglibyście uchodzić za identycznych bliźniaków. Wiedziałaś, że twój DNA jest taki sam jak jego przy rutynowym badaniu? Na poziomie czterech próbek ty i on jesteście tacy sami.

Błysk złości. Próżny, piękny Jay nawet nie chciał pomyśleć, że jego DNA jest choćby podobny do tego, który ma ktoś tak brzydki i odrażający jak Jean-Baptiste Chandonne.

– I to ciało w kontenerze na statku. To, co do którego przekonywałaś nas, że to jego brat Thomas. Tamten DNA miał wiele wspólnych cech z DNA Jeana-Baptiste’a, ale nie tyle co twój – pobrany z płynu nasiennego, który zostawiłeś w ciele Susan Pless, zanim została zmasakrowana. Thomas to krewny? Nie brat, co? Kuzyn? Jego też zabiłeś? Utopiłeś go w Antwerpii, czy zrobił to Jean-Baptiste? A potem ściągnąłeś mnie do Interpolu, nie dlatego, że potrzebna ci była moja pomoc przy tej sprawie, ale aby sprawdzić, ile wiem. Chciałeś się upewnić, czy aby nie wiem tego, co Benton prawdopodobnie odkrył: że jesteś Chandonne’em. – Jay nie reaguje. – Prawdopodobnie byłeś mózgiem całego interesu ojca i dlatego

poszedłeś pracować w wymiarze prawa jako zakamuflowany szpieg. Bóg jeden wie, ile spraw zwichnąłeś, wiedząc o wszystkim, co robią przyzwoici ludzie, a potem obracając to przeciwko nim. – Potrząsam głową. – Wypuść Lucy. Zrobię, co zechcesz. Tylko ją wypuść.

– Nie da rady. – Nawet nie próbuje zaprzeczać temu, co powiedziałam.

Spogląda teraz na ścianę, jakby mógł zobaczyć pokój po drugiej stronie. Widzę, że się zastanawia, co się tam dzieje, dlaczego jest tak cicho. Moje nerwy napinają się jeszcze bardziej. Proszę, Boże, proszę. Proszę. Albo przynajmniej niech to będzie szybko. Nie pozwól jej cierpieć.

Jay zamyka drzwi na zasuwę i zakłada łańcuch.

– Rozbierz się – mówi; nie zwraca się już do mnie po imieniu. Łatwiej jest zabijać osoby, do których ma się podejście bezosobowe. – Nie martw się, nie mam zamiaru nic robić. Tylko muszę to upozorować, żeby wyglądało na coś innego – dodaje dziwacznie.

Patrzę na sufit. Jay wie, o czym myślę. Jest blady i spocony, otwiera szufladę komody i wyjmuje z niej kilka śrub oczkowych i czerwony palnik.

– Dlaczego? – pytam go. – Dlaczego ich? – Mam na myśli tych dwóch mężczyzn, których moim zdaniem zamordował.

– Wkręcisz teraz te śruby w sufit – zwraca się do mnie. – W trawers. Wchodź na łóżko i bierz się do roboty. I nie próbuj żadnych sztuczek!

Kładzie śruby na łóżku i daje mi głową znak, żebym je wzięła i zrobiła, co mi każe.

– Tu chodzi o to, co staje się konieczne, kiedy ktoś się miesza do tego, do czego nie powinien. – Wyjmuje z szuflady szmatę i sznur.

Stoję w miejscu i tylko na niego patrzę. Śruby połyskują na łóżku jak cyna.

– Matos przyjechał, żeby się spotkać z Jeanem-Baptiste'em i trzeba było łagodnej perswazji, aby się dowiedzieć, o co dokładnie chodzi i kto mu

wydał polecenie. I to nie było to, o czym myślisz. – Zdejmuje skórzaną kurtkę i wiesz ją na krześle. – To nie rodzina, tylko główny pomocnik, który nie chciał, żeby Jean-Baptiste zaczął mówić i zepsuł dobre interesy wielu ludziom. Jedna rzecz, jeśli chodzi o rodzinę...

– Twoją rodzinę, Jay – przypominam mu o jego rodzinie i o tym, że jesteśmy po imieniu.

– No. – Wpatruje się we mnie. – Kurwa, tak, moją rodzinę. Opiekujemy się sobą nawzajem. Nieważne, co kto robi, rodzina to rodzina. Jean-Baptiste jest popieprzony, wystarczy na niego spojrzeć i widać, dlaczego ma ten swój problem.

Milczę.

– Oczywiście, nie pochwalamy tego, co robi. – Jay zachowuje się, jakby mówił o dziecku, które strzela do latarni albo pije za dużo piwa. – Ale to nasza krew, a więc nie wolno go tknąć.

– Ktoś jednak tknął Thomasa – odpowiadam. Nie wzięłam śrub i nie weszłam na łóżko. Nie mam zamiaru pomagać Jayowi znęcać się nade mną.

– Chcesz znać prawdę? To był wypadek. Thomas nie umiał pływać, potknął się o linę i spadł z nabrzeża, czy coś w tym rodzaju. Nie było mnie przy tym. Utonął. Jean-Baptiste wolał, żeby ciało znalazło się jak najdalej od stoczni, daleko od innych spraw, które tam się dzieją i nie chciał, żeby Thomas został zidentyfikowany.

– Bzdury – odpowiadam. – Przepraszam, ale Jean-Baptiste położył obok ciała kartkę. *Bon voyage, Le Loup Garou*. Tak się robi, kiedy się nie chce zwracać na coś uwagi? Nie wydaje mi się. Lepiej sprawdź jeszcze raz historyjkę swojego brata. Może członkowie twojej rodziny opiekują się sobą nawzajem, ale chyba Jean-Baptiste jest tu wyjątkiem. Wygląda na to, że rodzina w ogóle go nic nie obchodzi.

– Thomas był kuzynem. – Jak gdyby to pomniejszało zbrodnię. – Wchodź na łóżko i rób, co ci kazałem. – Wskazuje na śrubę i zaczyna być zły. Bardzo zły.

– Nie – odmawiam. – Rób, co chcesz zrobić, Jay. – Nadal wymawiam jego imię. Znam go. Do ostatniej chwili będę zwracała się do niego po imieniu i patrzyła mu w oczy. – Nie pomogę ci pozbawić mnie życia, Jay.

Z pokoju obok dobiega łoskot, jak gdyby coś się przewróciło albo ktoś upadł na podłogę, a potem słychać wystrzał i moje serce zamiera.

Łzy dławią mnie w gardle i napływają mi do oczu. Jay krzywi się, a po chwili jego twarz przybiera niewzruszony wyraz.

– Siadaj – mówi. Kiedy nie słucham, podchodzi i popycha mnie, płaczącą, na łóżko. Płaczę z powodu Lucy.

– Ty pierdolony skurwysynu! – krzyczę. – Tego chłopca też zabiłeś? Zaprowadziłeś Benny’ego do lasu i powiesiłeś? Dwunastoletnie dziecko?

– Nie powinien był tu przychodzić. Mitch. Znałem Mitcha. Widział mnie. Nie mogłem nic zrobić. – Jay stoi nade mną, jakby nie był pewien, co dalej.

– A więc zabiłeś tego chłopca. – Wycieram oczy grzbietami dłoni. W oczach Jaya pojawia się błysk zmieszania. Ma problem z Bennym. Reszta go nie obchodzi, ale ten chłopiec tak.

– Jak mogłeś stać i patrzeć, jak wisi? Dziecko? Dziecko w niedzielnym garniturze! Jak to zniosłeś?

Jay bierze zamach i uderza mnie w twarz. Dzieje się to tak szybko, że w pierwszej chwili nawet nic nie czuję. Usta i nos mi drętwieją i zaczynają szczypać, kapie z nich coś mokrego. Krew leci mi na kolana. Pozwalam jej kapać, cała się trzęsę i wpatruję w niego. Teraz jest mu już łatwiej. Rozpoczął już cały proces. Przewraca mnie na łóżko i siada na mnie okrakiem, unieruchamiając mi ramiona kolanami. Mój gojący się pęknięty

łokieć krzyczy z bólu, kiedy Jay wyciąga mi siłą rękę ponad głowę i wiąże liną. Przez cały czas opowiada o Dianę Bray. Drwi ze mnie, mówi, że znała Bentona. Czy Benton nigdy mi nie powiedział, że na niego leciała? I gdyby był dla niej troszkę miłszy, może zostawiłaby go w spokoju. Może zostawiłaby w spokoju mnie. W głowie mi huczy. Z trudem rozumiem, co mówi.

Czy naprawdę myślałam, że Benton ma romans tylko ze mną? Byłam taka głupia, że myślałam, iż oszukiwał swoją żonę, ale mnie nigdy? Do jakiego stopnia jestem głupia? Jay wstaje po palnik. Ludzie robią to, co robią, mówi. Benton miał coś z Bray w Waszyngtonie, a potem, jak ją odstawił, a zrobił to dosyć szybko, co trzeba przyznać, ona nie miała zamiaru tego mu tak odpuścić. Nie Dianę Bray. Jay usiłuje mnie zakneblować, a ja rzucam głową raz w jedną stronę, raz w drugą. Krwawię z nosa. Nie będę mogła oddychać. Bray porządnie dowaliła Bentonowi, a do Richmondu przeniosła się częściowo dlatego, że zamierzała mnie też wykończyć.

– Całkiem wysoka cena za to, że się kogoś parę razy pierdoliło – stwierdza Jay, wstając z łóżka. Poci się, jest blady.

Staram się oddychać nosem, serce wali mi jak karabin maszynowy, a całe ciało zaczyna wpadać w panikę. Usiłuję zmusić się do spokoju. Hiperwentylacja tylko utrudni mi oddychanie. Panika. Próbuję zaczerpnąć powietrza i krew spływa mi do gardła, kaszlę i krztuszę się, a serce wali mi o żebra jak pięści usiłujące wyważyć drzwi. Wali, wali, wali, a pokój zamazuje się i nie mogę się ruszyć.

Rozdział 34

Osoby, które zebrały się z mojego powodu, to zwykli ludzie. Siedzą spokojnie, nawet nabożnie, niemal zszokowani. Niemożliwe, żeby nie słyszeli wszystkiego, co podano w wiadomościach. Trzeba by było mieszkać w głębi Afryki, żeby nie wiedzieć, co się działo przez ostatnie tygodnie, a szczególnie co się stało w James City County, w tej kloace i pułapce na turystów, która okazała się okiem potwornego cyklonu korupcji i zła.

A wyglądało na to, że na zapuszczonym, zarośniętym kempingu jest tak spokojnie. Nie umiem sobie wyobrazić, ile osób mieszkało w namiotach albo w motelu i nie miało pojęcia, co szaleje wokół. Jak huragan, który pochłonęło morze, siły zła uciekły. O ile nam wiadomo, Bev Kiffin żyje. Podobnie Jay Talley. Jak na ironię, jest teraz poszukiwany przez Interpol: ci sami ludzie, z którymi pracował, teraz go ścigają. Bev Kiffin także. Uważa się, że oboje zbiegli ze Stanów Zjednoczonych i ukrywają się gdzieś za granicą.

Jaime Berger staje przede mną. Stoję na miejscu dla świadków przed ławą składającą się z trzech kobiet i pięciu mężczyzn. Dwoje jest białych, pięcioro to Afroamerykanie, jedna osoba jest Azjatą. Reprezentowane są rasy wszystkich ofiar Chandonne'a, choć jestem pewna, że to przypadek.

Wydaje mi się jednak, że tak jest sprawiedliwie i jestem zadowolona. Szklane drzwi sali sądowej zaklejono brązowym papierem, żeby ciekawscy i media nie mogli zaglądać do środka. Przysięgli, świadkowie i ja weszliśmy do budynku przez podziemia, tak jak się przyprowadza tu więźniów. Tajność unosi się chłodem w powietrzu, a przysięgli patrzą na mnie jak na ducha. Moja twarz jest zielonkawożółta od niedawnych sińców, lewą rękę mam znowu w gipsie, a na nadgarstkach do dziś pozostały ślady liny. Żyję tylko dlatego, że Lucy włożyła wówczas kamizelkę kuloodporną.

Nie miałam o tym pojęcia. Kiedy leciałyśmy helikopterem, miała ją pod puchową kurtką.

Jaime Berger pyta mnie o wieczór, kiedy zamordowano Dianę Bray. Czuję się, jakbym była domem, gdzie w każdym pokoju gra odmienna muzyka. Odpowiadam na jej pytania, ale pochłaniają mnie inne myśli, przychodzą mi do głowy inne obrazy i słyszę inne dźwięki w różnych częściach swojej psychiki. W jakiś sposób jednak udaje mi się skupić na zeznaniu. Mowa jest o kwicie kasowym za młotek kamieniarski, który kupiłam. Potem Berger cytuje fragmenty sprawozdania laboratorium, które przekazano sądowi jako dowód, tak samo jak protokół sekcji i sprawozdania z badań toksykologicznych i innych. Opisuje przysięgłym to narzędzie i prosi mnie, żebym wyjaśniła korelację między powierzchniami młotka a potwornymi obrażeniami, jakich doznała Bray.

To zabiera trochę czasu. Patrząc na twarze tych, którzy przyszli tu po to, żeby mnie osądzić. Ich twarze są różne – od niewzruszonych poprzez zaintrygowane aż do pełnych grozy. Jednej z kobiet wyraźnie robi się niedobrze, kiedy opisuję zmiażdżone miejsca czaszki i gałkę oczną, która była praktycznie wyrwana, to znaczy zwisała z oczodołu. Berger zauważa, że według sprawozdania laboratorium, młotek kamieniarski zabrany ode

mnie z domu był pokryty rdzą. Pyta mnie, czy ten, który kupiłam w sklepie po zabójstwie Bray, był zardzewiały. Mówię, że nie.

– Czy takie narzędzie mogło zardzewieć w ciągu kilku tygodni? – dąży dalej. – Czy pani zdaniem, pani doktor, krew na młotku mogła spowodować, że był w takim stanie, to znaczy, w takim jak młotek znaleziony u pani w domu, ten, który według pani słów Chandonne przyniósł ze sobą, kiedy na panią napadł?

– Moim zdaniem nie – odpowiadam, wiedząc, że w moim najlepszym interesie jest taka odpowiedź. Ale to nie ma znaczenia. Powiedziałabym prawdę, nawet gdyby to nie było w moim najlepszym interesie. – Przede wszystkim policja powinna się rutynowo upewnić, że młotek jest suchy, kiedy go wkładano do torebki z dowodami – dodaję.

– A specjaliści, którzy dostali młotek do zbadania, mówią, że był zardzewiały, prawda? Chodzi mi o to, że prawidłowo odczytuję sprawozdanie laboratorium, prawda? – Uśmiecha się leciutko. Jest ubrana w czarny garnitur. Robi kilka kroków tam i z powrotem.

– Nie wiem, co powiedziały laboratoria – odpowiadam. – Nie widziałam tych sprawozdań.

– Oczywiście, że nie. Nie było pani w biurze od około dziesięciu dni. A, hm, to sprawozdanie dostarczono nam dopiero przedwczoraj. – Patrzy na datę. – Mówi się tu, że młotek z krwią Bray był zardzewiały. Wyglądał na stary, a wydaje mi się, że sprzedawca w sklepie żelaznym Pleasants utrzymuje, że młotek, który pani tam kupiła wieczorem siedemnastego grudnia, niemal dwadzieścia cztery godziny po zabójstwie Bray, na pewno nie wyglądał na stary. Był zupełnie nowy. Zgadza się?

Zwracam uwagę pani prokurator, że, tak jak przedtem, nie mogę wiedzieć, co utrzymuje pracownik sklepu żelaznego, a przysięgli chwytają każde moje słowo i gest. Zostałam wyłączona ze wszystkich zeznań

świadków. Berger po prostu zadaje mi pytania, na które nie mogę odpowiedzieć, bo sama chce wyjawiać przysięgłym to, co powinni wiedzieć. Zdradliwe i cudowne przy przesłuchaniach wielkiej ławy przysięgłych jest to, że nie ma adwokata obrony ani sędziego – nikt nie może kwestionować tego, o co pyta prokurator. Może mnie zapytać o wszystko i robi to, bo to jeden z tych rzadkich przypadków na naszej planecie, kiedy oskarżyciel stara się wykazać, że oskarżona jest niewinna.

Jaime Berger pyta, o której wróciłam do domu po przyjeździe z Paryża i poszłam na zakupy. Wspomina, że poszłam tego wieczora odwiedzić Jo w szpitalu i że później rozmawiałam przez telefon z Lucy. Przedział czasowy się zawęża, robi się coraz ciasniejszy. Kiedy miałam czas, żeby popędzić do Dianę Bray, zatłuc ją na śmierć, podrzucić dowody i upozorować zbrodnię? I dlaczego zadawałabym sobie fatygę, żeby kupować młotek niemal dwadzieścia cztery godziny po fakcie, jeśli nie w celu, który cały czas podawałam: żeby przeprowadzić próby? Prokurator Berger pozwala tym pytaniom zawisnąć w powietrzu, podczas gdy Buford Righter siedzi przy stole oskarżycieli i studiuje notatki. Jak może, unika patrzenia na mnie.

Odpowiadam punkt po punkcie. Jest mi coraz trudniej mówić. Knebel podrapał mi wewnątrz jamy ustnej, a zadrapania owrzodziały. Nie miałam niczego takiego od dziecka i zapomniałam, jakie to bolesne. Kiedy mówiąc, dotykam obolałym językiem zębów, brzmi to, jakbym miała wadę wymowy. Czuję się słaba i zmęczona. Przeszkadza mi pulsujący ból w lewym łokciu, pod gipsem, bo kiedy Jay wyciągnął mi ręce i przywiązał je do wezglowia łóżka, moja kontuzja się odnowiła.

– Widzę, że pani trudno mówić – Pani prokurator zatrzymuje się, aby zwrócić na to uwagę. – Pani doktor, wiem, że to nie na temat. – Nic nie jest jednak nie na temat dla Jaime Berger. Istnieje ważki powód dla każdego jej

oddechu, każdego kroku, każdej miny, wszystkiego, absolutnie wszystkiego, co robi. – Ale czy możemy zrobić małą dygresję? – Zatrzymuje się i podnosi dłonie w pytającym geście. – Myślę, że byłoby pouczające, gdyby pani opowiedziała przysięgłym, co się pani przydarzyło w ubiegłym tygodniu. Wiem, że przysięgli z pewnością się zastanawiają, dlaczego jest pani posiniaczona i trudno pani mówić.

Wsuwa rękę w kieszenie spodni i cierpliwie zachęca mnie, żebym opowiedziała swoją historię.

– Przepraszam, ale nie jestem w tej chwili ostra jak brzytwa – mówię – a przysięgli się uśmiechają.

Opowiadam o Bennym i na ich twarzach maluje się ból. Oczy jednego z przysięgłych napęniają się łzami, kiedy opisuję rysunki chłopca, które doprowadziły mnie do platformy, gdzie w moim przekonaniu Benny spędzał wiele czasu, obserwując świat i utrwalając go w szkicowniku. Tłumaczę, dlaczego uznałam, że Benny’ego zamordowano. Zawartości jego żołądka, wyjaśniam, nie da się wytłumaczyć tym, co nam wiadomo o kilku ostatnich godzinach jego życia.

– Czasami pedofile, ludzie molestujący dzieci, zwabiają je słodyczami, jedzeniem, czymś, co je skusi. Czy widziała pani takie przypadki, pani doktor? – pyta mnie Jaime Berger.

– Tak – potwierdzam. – Niestety.

– Czy może nam pani podać jakiś przykład, gdy dziecko zostało zwabione za pomocą jedzenia albo słodyczy?

– Kilka lat temu przywieziono nam ciało ośmioletniego chłopca – podaję przykład z własnego doświadczenia. – Podczas sekcji stwierdziłam, że dziecko się udusiło, kiedy sprawca zbrodni zmusił je, ośmioletnie dziecko, do seksu oralnego. W żołądku chłopca znalazłam gumę do żucia, sporą

ilość gumy do żucia marki Dentyne, a ten mężczyzna rzeczywiście przyznał się do zabójstwa.

– Więc na podstawie wieloletniego doświadczenia miała pani powód do obaw, kiedy znalazła pani prażoną kukurydzę i parówki w żołądku Benny’ego White’a – podsumowuje Berger.

– Tak jest. Miałam poważne obawy – odpowiadam.

– Proszę, niech pani mówi dalej. Co się stało, kiedy opuściła pani platformę i poszła ścieżką przez las?

Wśród przysięgłych jest kobieta. Siedzi w pierwszym rzędzie, druga od lewej; przypomina mi moją matkę. Ma dużą nadwagę i dałabym jej przynajmniej około siedemdziesiątki. Ubrana jest w niemodną czarną suknię w duże czerwone kwiaty. Nie odrywa ode mnie wzroku, a ja się do niej uśmiecham. Sprawia wrażenie dobrej kobiety, obdarzonej zdrowym rozsądkiem, a ja się cieszę, że nie ma tu mojej matki, że jest w Miami. Myślę, że nie wie, co się ze mną dzieje. Nie powiedziałam jej. Moja matka ma słabe zdrowie i nie trzeba, żeby się o mnie martwiła. Ciągle wracam do przysięgłej w kwiecistej sukni, kiedy opisuję, co się stało w motelu Fort James.

Berger podsuwa mi pytania, z których wyłania się sylwetka Jaya Talleya, tego, jak się poznaliśmy i jak doszło do zbliżenia w Paryżu. W jej sugestii i wnioski wplecione są pozornie niewytłumaczalne wydarzenia, które nastąpiły po tym, gdy Chandonne na mnie napadł: zniknięcie młotka kamieniarskiego, który kupiłam w celu przeprowadzenia badań; klucz od mojego domu znaleziony w kieszeni Mitcha Barbosy, tajnego agenta FBI, którego torturowano i zamordowano, a którego nie znałam. Jaime Berger pyta, czy Jay był kiedykolwiek u mnie w domu, oczywiście, że był. Więc mógł mieć dostęp do klucza i kodu do urządzenia alarmowego. Mógł mieć dostęp do dowodów. Tak, potwierdzam.

A w interesie Jaya Talleya mogło być uwikłanie mnie i zagmatwanie sprawy wskazującej na winę jego brata, tak? Berger przerywa swój spacer i wbija we mnie spojrzenie. Nie jestem pewna, czy umiem odpowiedzieć na to pytanie. Idzie dalej. Kiedy mnie zaatakował i zakneblował w pokoju motelowym, podrapałam mu rękę, prawda?

– Wiem, że z nim walczyłam – odpowiadam. – A potem miałam pod paznokciami krew. I skórę.

– To nie była pani skóra? Może się pani zadrapała podczas walki? – Nie.

Podchodzi do stołu i przekłada papiery w poszukiwaniu kolejnego sprawozdania laboratorium. Buford Righter zamienił się w kamień, siedzi sztywno, jest spięty. DNA z tego, co miałam pod paznokciami, nie jest mój. Zgadza się z DNA mężczyzny, którego nasienie znaleziono w pochwie Susan Pless.

– A to był Jay Talley. – Berger kiwa głową i znowu się przechadza. – Tak więc mamy funkcjonariusza federalnego wymiaru sprawiedliwości, który odbył stosunek z tą kobietą, zanim została brutalnie zamordowana. DNA tego mężczyzny wykazuje również bliskie podobieństwo z DNA Jeana-Baptiste’a Chandonne’a. – Robi kilka kroków i przykłada palec do ust. – Wiemy, że prawdziwe nazwisko Jaya Talleya nie brzmi Talley. Jest kłamcą. Pobił panią, pani doktor?

– Tak. Uderzył mnie w twarz.

– Przywiązał panią do łóżka i zdaje się, że miał zamiar torturować panią palnikiem?

– Takie odniosłam wrażenie.

– Kazał się pani rozebrać, związał panią i zakneblował i wyraźnie zamierzał panią zabić?

– Tak. Powiedział jasno, że mnie zabije.

– Dlaczego tego nie zrobił? – pyta Berger, jak gdyby mi nie wierzyła. Robi to umyślnie. Wierzy mi. Wiem, że mi wierzy.

Patrzę na przysięgłą, która przypomina moją matkę. Tłumaczę, że było mi strasznie trudno oddychać, gdy Jay mnie związał i zakneblował. Byłam w panice i zaczęłam hiperwentylować, co oznacza, wyjaśniam, że oddychałam zbyt szybko i płytko, żeby móc wdychać dostateczną ilość tlenu. Nos mi krwawił i puchł, a knebel nie pozwalał oddychać ustami. Straciłam przytomność, a kiedy ją odzyskałam, w pokoju była Lucy. Miałam rozwiązane ręce, nie byłam zakneblowana, a Jay Talley i Bev Kiffin znikli.

– Słyszeliśmy już zeznanie pani siostrzenicy – mówi w zamyśleniu Berger, idąc w stronę ławy przysięgłych. – Na jego podstawie wiemy, co się stało, kiedy pani straciła przytomność. Co Lucy pani powiedziała, kiedy przyszła pani do siebie? – Gdybym podczas procesu powtarzała, co powiedziała Lucy, uznano by to za pogłoskę. Podczas obecnego, jedyne w swoim rodzaju przesłuchania, Jaime Berger może sobie pozwolić niemal na wszystko.

– Powiedziała mi, że miała na sobie kamizelkę kuloodporną – wyjaśniam. – Powiedziała też, że w pokoju obok odbyło się coś w rodzaju rozmowy...

– Między Lucy a Bev Kiffin – uściśla Berger.

– Tak. Lucy mówiła, że stała z podniesionymi rękami, a Bev Kiffin celowała w nią ze strzelby. I strzeliła, ale kula utkwiała w kamizelce i chociaż Lucy była strasznie posiniaczona, nic się jej nie stało. Wyrwała pani Kiffin strzelbę i wybiegła z pokoju.

– Bo jej główną troską w tym momencie było to, co się dzieje z panią. Nie obezwładniła tamtej kobiety, bo najważniejsza była pani.

– Tak. Powiedziała mi, że zaczęła otwierać drzwi po kolei. Nie wiedziała, gdzie jestem, więc pobiegła na tyły motelu, bo od tamtej strony są okna wychodzące na basen. Znalazła pokój, zobaczyła mnie na łóżku, wybiła okno kolbą strzelby i weszła. Jego już nie było. Wydaje się, że on i Bev Kiffin wybiegli frontowymi drzwiami, wsiedli na motocykl i uciekli. Lucy pamięta, że słyszała warkot motocykla, kiedy próbowała mnie ocucić.

– Miała pani jakieś wiadomości od Jaya Talleya? – Jaime Berger zatrzymuje się, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Nie – odpowiadam i po raz pierwszy w tym długim dniu czuję przypływ gniewu.

– A co z Bev Kiffin? Ma pani jakieś pojęcie, gdzie może być?

– Żadnego.

– Więc są zbiegami. Zostawiła swoje dzieci – miała dwóch synów i psa – ich domowego psa. Tego psa, którego tak lubił Benny White. Zapewne właśnie z powodu tego psa pobiegł do motelu po wyjściu z kościoła. Proszę mnie poprawić, jeśli zawodzi mnie pamięć. Ale czy Sonny Kiffin, starszy syn Bev, nie wspominał o dokuczaniu Benny’emu? I że Benny zadzwonił do domu Kiffinów przed pójściem do kościoła, żeby zapytać, czy Pan Fistaszek się nie znalazła? A Sonny powiedział mu, że pies, cytuję: dopiero co poszedł popływać i jeśli Benny przyjdzie później, będzie mógł zobaczyć Pana Fistaszka? Czy Sonny nie wyznał tego wszystkiemu detektywowi Marino już po fakcie, po tym jak Jay Talley i Bev Kiffin usiłowali zabić panią i pani siostrzenicę, a następnie uciekli?

– Nie wiem bezpośrednio, co Sonny powiedział Pete’owi Marinowi – oświadczam. Ale Jaime Berger nie zależy na mojej odpowiedzi. Chce tylko, żeby przysięgli usłyszeli pytanie. Oczywiście zachodzą mi łzami na myśl o starym, nieszczęsnym psie i o tym, co się z nim stało, a co wiem na pewno.

– Pies nie poszedł popływać, nie z własnej woli, prawda, pani doktor? Czy pani i Lucy nie znalazłyście Pana Fistaszka na terenie kempingu, kiedy czekałyście, aż przyjedzie policja? – pyta dalej prokurator Berger.

– Tak. – Łzy płyną mi z oczu.

Pan Fistaszek znalazła się za motelem, na dnie basenu. Do tylnych nóg miała przywiązane cegły. Przysięgła w sukni w kwiaty zaczyna płakać. Inna przysięgła łapie powietrze i zasłania oczy ręką. Wyraz grozy, a nawet nienawiści maluje się kolejno na twarzach wszystkich ośmiorga. Jaime Berger pozwala, żeby ta chwila, ta bolesna okropna chwila trwała. Okrutny obraz śmierci Pana Fistaszka jest jak eksponat w sali sądowej, żywy i nie do zniesienia, a pani prokurator nie pozwala go usunąć. Cisza.

– Jak ktoś mógł zrobić coś takiego! – wybucha przysięgła w sukni w kwiaty, zatrzaszkując torebkę i wycierając oczy. – Jacy to źli ludzie!

– Skurwysyny i tyle.

– Dzięki Bogu. Dobry Pan Bóg czuwał nad panią, to pewne. – Jeden z przysięgłych potrząsa głową, kierując swój komentarz do mnie.

Jaime Berger robi trzy kroki. Jej spojrzenie omiata ławę przysięgłych.

– Dziękuję, pani doktor – mówi cicho! – Z pewnością to straszni, źli ludzie – mówi łagodnie w stronę siedzących tam ludzi. – Dziękuję, że poświęciła nam pani tyle czasu teraz, kiedy nie czuje się pani dobrze i przeszła pani przez piekło. To jest właściwe słowo. – Patrzy na przysięgłych. – Piekło.

Wszyscy przytakują.

– Piekło to właściwe słowo – zwraca się do mnie kobieta w sukni w kwiaty, tak jakbym sama nie wiedziała. – Rzeczywiście przeszła pani przez piekło. Czy mogę zadać pani pytanie? Wolno nam zadawać pytania, prawda?

– Proszę – odpowiada Jaime Berger.

– Wiem, co myśleć – mówi mi przysięgła. – Ale wie pani, co? Coś pani powiem. Byłam tak wychowana, że jak się nie mówiło prawdy, dostawało się po tyłku i to mocno. – Wysuwa do przodu podbródek w świętym oburzeniu. – Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś robił takie rzeczy jak to, o czym tu wszyscy opowiadaliście. Chyba już nigdy nie zasnę. A jestem rozsądna.

– To widać – zauważam.

– Więc zapytam prosto z mostu. – Wpatruje się we mnie, ściskając swą dużą zieloną torebkę. – Zrobiła to pani? Zabiła pani tę policjantkę?

– Nie, proszę pani – zaprzeczam tak stanowczo jak nigdy w życiu. – Nie zabiłam jej.

Czekamy na reakcję. Wszyscy siedzą cicho, nikt już nie rozmawia, nie ma pytań. Przysięgli skończyli. Jaime Berger podchodzi do swojego stołu i bierze papiery. Składa je i wyrównuje brzegi, stukając nimi o blat. Układa wszystko i dopiero potem podnosi wzrok. Patrzy kolejno na każdego z przysięgłych, a potem na mnie.

– Nie mam więcej pytań – oświadcza. – Panie i panowie. – Podchodzi do poręczy i pochyła się w stronę przysięgłych, jak gdyby zaglądała do wnętrza wielkiego statku i tak jest w istocie. Kobieta w sukni w kwiaty i jej koledzy są łodzią, którą odpłynę ze zmaconych wód. Z oceanu kłopotów. – Moim zawodem jest dochodzenie prawdy. – Berger opisuje samą siebie słowami, jakich nigdy nie słyszałam w ustach oskarżyciela. – Moją misją zawsze jest odnalezienie i uszanowanie prawdy. Dlatego poproszono mnie o przyjazd do Richmondu i odkrycie absolutnej, niepodważalnej prawdy. Wszyscy państwo słyszeli, że sprawiedliwość jest ślepa. – Czeka, a przysięgli kiwają głowami. – Sprawiedliwość jest ślepa w tym sensie, że ma być całkowicie obiektywna, bezstronna, doskonale uczciwa wobec wszystkich. Ale – przesuwa oczami po twarzach ośmiorga ludzi – nie

jesteśmy ślepi wobec prawdy, zgoda? Widzieliśmy, co się działo w tej sali. Widzę, że państwo rozumieją, co się działo w tej sali i nie są państwo ślepi. A musielibyście być ślepi, żeby nie widzieć tego, co jest oczywiste. Ta kobieta – ogląda się i wskazuje na mnie – doktor Kay Scarpetta, nie zasłużyła na nasze dalsze pytania, wątpliwości i bolesne dociekania. Zgodnie z własnym sumieniem nie mogę na to pozwolić. – Milknie. Przysięgli siedzą jak skamieniali i wpatrują się w nią, nie śmiejąc mrugnąć. – Panie i panowie, dziękuję za waszą uczciwość, za wasz czas, za gotowość zrobienia tego, co jest słuszne. Wróćcie teraz do swoich zajęć, do domów i rodzin. Zwalniam was. Sprawy nie ma. Sprawa zostaje oddalona. Życzę państwu miłego dnia.

Kobieta w sukni w kwiaty uśmiecha się i wzdycha. Przysięgli zaczynają bić brawo. Buford Righter wpatruje się w swoje zaciśnięte dłonie leżące na stole. Wstaję, a wszystko nade mną wiruje, kiedy otwieram wahadłowe drzwiczki podobne do tych, jakie się widzi w barach i opuszczam miejsce świadka.

Kilka chwil później

Czuję się, jakbym się budziła z częściowego omdlenia. Unikam kontaktu wzrokowego z reporterami i innymi gapiami, czekającymi za oklejonymi papierem drzwiami, które kryły mnie przed światem zewnętrznym, a teraz mnie do niego prowadzą.

Jaime Berger towarzyszy mi do znajdującego się obok niedużego pokoju świadków, gdzie Marino, Lucy i Anna natychmiast zrywają się na nogi, pełni strachu i podniecenia. Wyczuwają, co się stało, a ja tylko kiwam potakująco głową.

– No, w porządku. Jaime była mistrzowska – udaje mi się powiedzieć.

Wreszcie nazywam prokurator Berger jej imieniem i niewyraźnie dociera do mnie, że choć byłam niezliczoną ilość razy w tym pokoju dla świadków w ciągu ostatnich dziesięciu lat, to nigdy sobie nie wyobrażałam, że pewnego dnia będę czekała tu po to, żeby się tłumaczyć.

Lucy porywa mnie w objęcia i ściska, unosząc, a ja się krzywię z bólu i jednocześnie śmieję. Ściskam również Annę. Ściskam Marina. Prokurator Berger czeka w drzwiach, raz się nie wtrąca. Ją też ściskam. Wsuwa akta i papiery do teczki i wkłada płaszcz.

– Wynoszę się stąd – oznajmia. Znowu jest rzeczowa, ale czuję jej radość. Psiakrew, jest z siebie dumna i ma do tego prawo.

– Nie wiem, jak ci dziękować – zwracam się do niej z sercem przepelnionym wdzięcznością i szacunkiem. – Nawet nie wiem, co powiedzieć, Jaime.

– No i amen! – wykrzykuje Lucy.

Moja siostrzenica ma na sobie niebieski garnitur i wygląda jak olśniewająca prawniczka albo lekarka, albo kim tam chce być. Po tym, jak patrzy na Jaime Berger, widzę, że zauważa, jaka to atrakcyjna kobieta i jakie robi wrażenie. Lucy nie odrywa od niej oczu i nie przestaje jej gratulować. Moja siostrzenica robi się wylewna. Prawdę mówiąc, flirtuje. Flirtuje z moją specjalną oskarżycielką!

– Muszę wracać do Nowego Jorku – mówi Jaime. – Pamiętasz moje wielkie śledztwo? – przypomina mi sucho o Susan Pless. – Mam robotę. Jak prędko możesz przyjechać i zająć się ze mną sprawą Susan? – Chyba mówi serio.

– Jedź choćby dzisiaj – mówi Marino. Jest ubrany w wygnieciony granatowy garnitur z przykrótkim czerwonym krawatem. Na twarzy mojego przyjaciela maluje się smutek. – Jedź z nią do Nowego Jorku, Kay. Zaraz. Stanowczo nie powinnaś przez jakiś czas być tutaj. Niech się ten bajzel uspokoi.

Nie odpowiadam, ale ma rację. W tej chwili raczej brak mi słów.

– Lubi pani helikoptery? – pyta Lucy Jaime Berger.

– Ja do tego nie wsiądę, żeby nie wiem co – wtrąca Anna. – Ani jedno prawo fizyki nie pozwala, żeby to latało. Ani jedno.

– Aha, i nie ma też prawa fizyki, według którego latają trzmielce – odpowiada pogodnie Lucy. – Duże grubasy z malutkimi skrzydełkami. Bzbzzbzzbzz. – Naśladuje lot trzmiela, macha jak szalona rękami i kręci się w kółko.

– Cholera, znów się naćpałaś czy co? – Marino przewraca oczami w jej kierunku.

Lucy obejmuje mnie ramieniem i wychodzimy z pokoju dla świadków. Jaime Berger przez ten czas podeszła już sama do windy, z teczką pod pachą. Zapala się strzałka skierowana w dół i drzwi się otwierają. Wysiadają podle wyglądający ludzie, którzy przyszli na swoją rozprawę albo żeby oglądać, jak ktoś inny przechodzi przez piekło. Berger przytrzymuje drzwi Marinowi, Lucy, Annie i mnie. Wokół krążą reporterzy, ale nawet nie próbują do mnie podejść, bo potrząsam głową, dając im do zrozumienia, że nic nie powiem i chcę mieć spokój. Prasa nie wie, co się działo podczas przesłuchania przed specjalną wielką ławą przysięgłych. Świat nie wie. Dziennikarzy nie wpuszczono do sali, mimo że najwyraźniej wiedzieli, że będę dziś przesłuchiwana. Znowu nastąpią przecieki. Będzie ich więcej, jestem pewna. To bez znaczenia, ale uświadamiam sobie, że Marino mądrze mi doradził, abym wyjechała z miasta przynajmniej na trochę. Mój nastrój powoli opada wraz z windą. Zatrzymujemy się na parterze. Staję twarzą w twarz z rzeczywistością i podejmuję decyzję.

– Wsiadajmy w helikopter i lećmy do Nowego Jorku. Będzie dla mnie zaszczytem pomóc pani, jak tylko potrafię. Teraz moja kolej, pani prokurator Berger.

Zatrzymuje się w zatłoczonym, hałaśliwym holu i przekłada swoją wypchaną, sfatygowaną teczkę pod drugą pachę. Jeden ze skórzanych pasków się odpiął.

– Jaime – przypomina mi. – Do zobaczenia w sądzie, Kay.